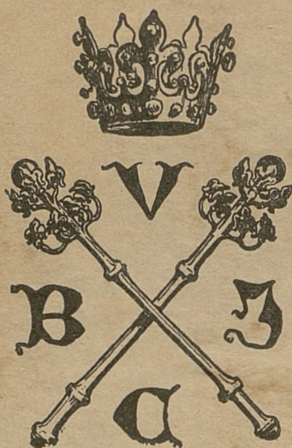

V
B
J
D
BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS


V
B
J
C

WYPISY POLSKIE

DLA SZKÓŁ ŻEŃSKICH,

Z NAJCELNIEJSZYCH PISARZY KRAJOWYCH

zebrane i ułożone przez

Dr. Karola Mecherzyńskiego

byłego profesora literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim.

WYDANIE DRUGIE.

Cena egzemplarza 1 złr. 60 kr.

W KRAKOWIE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA.

1875.

WYPISY POLSKIE

DLA SZKÓŁ ŻEŃSKICH,

Z NAJCELNIEJSZYCH PISARZY KRAJOWYCH

zebrane i ułożone przez

Dr. Karola Mecherzyńskiego

byłego profesora litoratury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim.

WYDANIE DRUGIE.

Cena egzemplarza 1 złr. 60 kr.

W KRAKOWIE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA.

1875.

Egzemplarzy nieopatrzonych moim podpisem, prawnie poszukiwać będę.

W Drukarni Leona Paszkowskiego, pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA

DO PIERWSZEGO WYDANIA

Powstające coraz liczniej w kraju i rozwijające się zakłady naukowe żeńskie wywołują potrzebę odpowiednich książek. Wiadomo, że wszędzie, zwłaszcza w Niemczech i Francyi, szkoły żeńskie mają dla siebie osobne dziełka elementarne. Podjęte zatém usiłowanie w tej mierze nie może być bez pożytku. Pierwszy wzgląd należy się tu językowi ojczystemu, którego nauka najwięcej na dobrych wzorach polega; nie mamy zaś dotąd tego rodzaju książki, zastosowanej do pojęcia i potrzeb młodych czytelniczek. Zbiór niniejszy ma temu niedostatkowi zaradzić. Mieszczą się w nim wyciągi z dzieł najcelniejszych pisarzy krajowych, których imiona same mogą być rękojmią pewności wyboru. Szło tu bowiem o podanie wzorów poprawnej i pięknej polszczyzny, mających służyć zarazem do ćwiczenia zdolności umysłowych przykładami dobrego stylu i smaku. Dla dogodności uczących, zachowane jest w układzie pewne stopniowanie, od rzeczy prostszych i przystępniejszych, do wyższych i większej wymagających wprawy w myśleniu. Obeznany z swoim przedmiotem nauczyciel, potrafi snadno do każdego rodzaju prozy i poezyi stosowne dobrać wzory.

PRZEDMOWA

DO DRUGIEGO WYDANIA.

Wypisy polskie dla szkół żeńskich, które W. Rada Szkolna krajowa uchwałą z dnia 4 stycznia 1873 do l. 10231 zaliczyć raczyła w poczet książek dozwolonych do użytku szkolnego, znalazły tak przychylne przyjęcie, że zupełne ich w krótkim czasie wyczerpanie i ciągły o nie popyt spowodowały nakładcę do powtórnego wydania.

Wydanie to nie różni się od pierwszego ani co do wyboru, ani co do układu. Wyjęto jedynie kilka wzorów tak z prozy jak i z poezyi, które zdawały się nieco trudnemi do Wypisów dla szkół żeńskich, a w ich miejsce podano kilka łatwiejszych i stosowniejszych.

W Krakowie w październiku 1874.

I.

1. POZNANIE BOGA.
(p. Stan. Jachowicza).

Co tu rybek w tej wodzie!
Co motylków w ogrodzie!
Co tu ptaszyn wśród krzaczków!
Co tu ślicznych robaczków!
Co koników! co krówek!
A owieczek! jak mrówek —
Nie zrachuję wszystkiego,
Aj! aj! aj! co tu tego! —

„A powiedz mi też dziécię,
„Kto wszystkiemu dał życie?
„Czy to zawsze tak było?“
— Dziecię rączki złożyło,
I na niebo wskazało,
Bo już Boga poznało.

2. BŁAWATKI.
(p. Klem. Tańska).

„Ach! żeby-to ta rola samemi bławatkami była zasiana! — wołały dwie dziewczynki, idąc z matką przez pole kołyszącém się zbożem okryte. Jakby to pięknie było! jakiebyśmy miały strojne i bogate wieńce! — a tak mały tylko uzbierałyśmy pęczek. Bławatków trochę, a tych kłosów wszędzie tyle!“

— „Dzieci, dzieci! odpowiedziała matka, jakże-to płoche wasze żądanie! Czy nie wiecie, że nie te kwiatki, z których niema prawie użytku, ale kłosy dające nam chléb do pożywienia, są celem wszystkich rolnika zabiegów?“

Pole do życia przyrównać można, bławatki do zabaw i igraszek, kłosy do starania i pracy. Ktoby zabawom i igraszkom dni swoje poświęcał, byłby podobny temu, któryby pole całe bławatkami zasiał: czas jakiś cieszyłby go widok powabny i wesoły, ale w chwili żniwa niczby do zebrania nie miał.

3. DZIEWCZYNA WIEJSKA.

(p. Teof. Lenartowicza).

Już słoneczko powstało,
I przegląda się w rzece:
Oj! na rosę na białą,
Polecęż ja polecę.

Jak to z brzozy płaczącej,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i cieką!

Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze!
Jakie czyste potoki!
O! mój Boże, mój Boże!

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył!
Tak go cudnie ozdobił,
Tyle kwiecia rozmnożył!

4. ROZMOWA MATKI Z CÓRKĄ.

(p. Stanisława Jachowicza).

„Szkoda tylu wiśni i czereśni, które bez pożytku na ziemi leżą i gniją!“ — mówiła do mnie Emilka, pokazując w sadzie mnóstwo owoców dojrzałych, leżących w trawie. Szkoda! wszystko marnieje; a gdyby to się zebrało w swoim czasie, coby-to było ślicznego owocu!

— „Zupełnie to bez pożytku nie zmarnieje, odpowiedziałem. Obejrzyj-no się: czy nie widzisz, jak wśród trawy wznoszą się maleńkie drzewka? A zkądże one się-to wzięły? wszak ich tu nikt nie sadził. Widzisz Emilciu: owoce dostałe i wiatrem wstrząśnione upadają na ziemię, gniją w trawie, a wśród tej wilgoci rozwija się zaród cudownie w ziarnku ukryty. Tym-to sposobem roślina wkorzenia się w ziemię, słaby pieniek grubieje i wznosi się zwolna do góry. Tak powstały wszystkie te drzewa, które dopiero ulepszone dorodniejszemi gałązkami sady wzbogacają. Żaden owoc nie spadł tu napróżno: jeżeli nowego nie przybrał życia, to posilił ptaszki, które Bóg kocha i niemi się opiekuje. Opatrzność równie w małej jak wielkiej rzeczy okazuje mądrość i dobroć swoję. Nic w jej gospodarstwie nie niknie. Jak ziarnko owocowe żadne napróżno nie spada, tak i żaden czyn ludzki próżno nie ginie.

5. DZIONEK NA WSI.

(z Lirenki Teof. Lenartowicza).

Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaszków śpiewania,
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.

Każdy przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żołna lasy rozsiewa.

Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy;
I człek myśli że w raju,
A on w kraju, oj! w kraju.

Na zachodzie pogoda,
W jasném niebie wesele.
Dał Bóg ludziom oj! wiele,
Może jeszcze co doda.

* * *

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu dylu od ucha!
Kto ma uszy niech słucha.

Szumią lasy, hej lasy!
A w karczemce grzmią basy:
Kiedy skakać to skaczą,
A jak płakać to płaczą.

Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele:
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,

I za wszystko co miłe,
I za wszystko co boli;
W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

---

6. DWIE JABŁONIE.

(p. Klementynę Tańską).

Jeden ogrodnik miał dwóch synów; rok tylko było między nimi różnicy. W maju darował obydwom po ślicznem drzewku jabłoni; jednego wzrostu, jednego gatunku, jednej czerstwości były oba te drzewka, i oba okryte zarówno kwiatem. „Synowie moi (rzekł do nich) daję wam piękne i jednakowe drzewka: od was zależeć będzie, piękność ich w jednakowym utrzymać stanie; ale ostrzegam, że bez pracy i starania tu się nie obejdzie.“ Starszy uważny i pilny, szczęśliwy z podarku ojca, umiał się z swoją jabłonką obchodzić — obrał ją z gąsienic, przywiązał do pala, okopał w około ziemię, żeby wilgoć łatwiej do korzeni dochodziła — słowem, prawdziwym był jej opiekunem. Młod-

szy zaś płochy i niedbały, zapomniał zupełnie o swojej jabłoni, i dopiero w październiku, gdy się w całym ogrodzie do zbierania owoców wzięto, przypomniał ją sobie. Pobiegł do drzewa — ale ani jednego jabłka nie zastał; gąsienice część owocu jeszcze w zawiązku zjadły, resztę wiatr strącił. Zasmucony, poszedł obejrzeć jabłoń brata, i zdumiał się na jej widok: drzewo znacznie się rozrosło, a jabłka piękne i duże zdaleka się czerwieniły. Rozgniewany i zazdrością zdjęty, pobiegł z żalem do ojca. „Ojcze (zawołał) jak mogłeś dać memu bratu tak śliczne i rodzajne dzewo, a mnie tak brzydkie i niepłodne?“ — „Jednakowo was udarowałem, odpowiedział ojciec; ale twój brat utrzymał i ulepszył dar mój staraniem, a tyś go zniszczył niedbalstwem. Jaka praca taki zysk“.

Ileż to razy podobne w życiu trafiają się zdarzenia! rodzice dadzą dzieciom jednakie wychowanie, jednaki majątek, a dzieci nie jednakowy użytek z tych darów odnoszą — lecz czyjaż w tém wina?

---

7. DESZCZYK.

(p. Stanisława Jachowicza).

„Mamo, deszcz! tak mi tnie w oczy!“
Rzekł Staś — „wszystko na mnie zmoczy;
„Jakże niepotrzebnie pada!“ —
Matka Stasiowi przekłada:
Że deszczyk drogi dar nieba,
Bez niego nie będzie chleba;
On skwar słońca ułagadza,
Zieloną trawkę rozradza,
Wszystko rzeźwi, wszystko krzepi;
Kwiatek, drzewko rośnie lepiéj;
Bo Bóg wszystkiém mądrze włada.
„O! kiedy tak, to niech pada.“

---

8. POCHYŁE KŁOSY.

(p. Jana Chęcińskiego).

Ojciec wyszedł z swoim synem Michałkiem w pole, aby zobaczyć, jak rychło będzie można rozpocząć żniwo.

„Mój ojcze, zapytał Michaś, dla czego niektóre kłosy są pochylone ku ziemi, a niektóre trzymają się prosto? Zapewnie te proste są lepsze, a pochyłe nic nie warte?“

Ojciec zerwał dwa kłosy, a pokazawszy je z bliska Michałkowi, rzekł: „Przypatrz się moje dziecię: ten kłos pochylony ku ziemi pełen jest najpiękniejszego ziarna; ten zaś drugi, który trzymał się tak prosto, jest zupełnie pusty. Jakże je teraz ocenisz? który z nich lepszy?“

„Tak kochany Michasiu bywa i między ludźmi: rozumni są zwykle skromni, nierozumni zaś najbardziej podnoszą głowy“.

9. MATKA I DZIECIĘ.

(p. Kazim. Brodzińskiego).

W dzień zimowy matka miła
Na łonie miała swe dziecię;
Nucąc mu mile, tuliła
Jedyne skarby na świecie.

— Matko! dla czego te dzwony?
Tak smutno księża śpiewają? —
— Nie bój się, mój ulubiony!
Ktoś umarł, chować go mają.
— Jakto on umarł, o! mamo? —
— Na długie zasnął on spanie.
— Będzież i ze mną to samo? —
— Nie będzie, moje kochanie.
— Księża tak brzydko mu nucą.
A mama śpiewa tak pięknie:
Jeśli go oni ocucą,
Zapewne się ich przelęknie. —
— On się ocucić nie zdoła,
Aż będzie biła godzina:
Ojciec na niego zawoła,
Aniołka przyśle po syna. —
— Ale gdzie jego prowadzą? —
— Na cmentarz; rwałeś tam kwiatki.
— Poco mu chodzić tam dadzą?
Zapewne nie ma on matki! —

— Ma on tam matkę nieboże!
Tam ona czeka go rada.
— Jak ona czekać tam może,
Gdy taki zimny śnieg pada?
Nie chodź tam mamo kochana!
Oboje pójdziem na wiosnę;
Będziesz w kwiateczki ubrana,
Ja z tobą, skoro dorosnę.
— Zostań ty, pójdę ja sama,
Będziemy później przy sobie.
— Nie chodź, tyś dobra jest mama,
I mnie tu dobrze przy tobie. —
To gdy dziecina mówiła,
Ucichła snem umorzona;
Matka ją łzami rosiła,
Całując, tuląc do łona.

---

10. KORZYŚĆ DOBREGO WYCHOWANIA I NAUKI.

(p. Luc. Siemieńskiego).

Pewnego dnia przechodził się Julek z matką po ogrodzie, i ujrzał ogrodnika, który od rana obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa.

„Mamo! — rzekł Julek — dlaczego ten ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ani ich obcina, ani szczepi, ani oskrobuje, ani podlewa.“

— „Prawda, mój synu, odpowiedziała matka: jednakże między leśnemi a ogrodowemi drzewami wielka jest różnica.“

— Jakaż-to różnica? zapytał Julek.

Matka, zamiast odpowiedzieć, zerwała kwiatek z klombu i owoc z drzewa, i podała oboje synowi. Julek wziął owoc, skosztował, i powiedział że smaczny; powąchał kwiatek, i pochwalił, że przyjemnie pachnie. Poczem poprowadziła Julka do bliskiego lasu — zerwała kwiat polny i podniosła owoc leżący pod dziką jabłonką. Chłopczyk powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim woni; skosztował owocu, lecz zaraz rzucił go na ziemię, mówiąc że twardy i cierpki.

„Teraz przekonaj się mój synu, rzekła matka, i pamiętaj,

że człowiek bez wychowania i nauki jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten, lubo piękny, woni nie ma; drzewo wydaje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobny szczepionemu starannie drzewu, które słodki i smaczny owoc wydaje."

---

11. ADAŚ.

(p. Stanisława Jachowicza).

„Zegniéj to małe drzewko" — rzekł ojciec do syna.
Adaś je łatwo zgina.
„A to większe?" Już trudniej, ale żwawe dziecię
Zgina je przecie.
„Teraz luby Adasiu, gniéj to drzewo spore,
„Co już znacznie od ziemi podniosło się w górę."
Próżne usiłowania! — Adaś zmordowany:
„Ja go, rzecze, nie wzruszę, mój tato kochany."
— „Otóż widzisz, mój synu, rzekł ojciec ze łzami,
„Coś doświadczył na drzewkach, to się dzieje z wami:
„Pókiście jeszcze młodzi, jak pierwsza drzewina,
„Ojciec, w którą chce stronę, łatwo was nagina
„Ku pracy, pobożności, nauce i cnocie;
„Ale skoro wzrośniecie w nałogach, ciemnocie,
„Już was sprostować nie zdoła jak pragnie,
„Już was do cnoty nic nagnie."

---

12. SIKORA.

(p. Jana Chęcińskiego).

„Widzisz tę śliczną sikorkę na wierzchołku jabłoni? — zawołał Tadzio do swojej siostry -- poczekaj, za chwilę będzie moją."

To powiedziawszy wspiął się na drzewo, założył potrzask, poczem spuścił się na ziemię i usunął wraz z siostrą do pobliskiego chłodnika, aby czatować na ptaszka. Sikora zwabiona ziarnem wpadła w potrzask, a Tadzio w mgnieniu oka był już na drzewie dla zabrania zdobyczy. Ale w tejże samej chwili załamała się pod nim gałąź, i nieostrożny chłopczyk spadł razem z potrzaskiem, otarłszy sobie nieco rękę o drzewo. Sikora zaś przez wypadły pręcik zdążyła uciec.

„O biedny Tadziu, zawołała Ludwisia! — skaleczyłeś sobie rękę, i ptaszek umknął. Spodziewam się, że już teraz nie weźmie cię ochota wyłazić na drzewa dla chwytania ptaszków albo wybierania im gniazdeczek, bo mógłbyś kiedy rękę albo nogę złamać.“

— „Sama nie wiesz co mówisz! odpowiedział Tadzio. Wcale nie zważam na tak lekkie zadraśnięcie — zaraz znowu zastawię potrzask, ale wyżej jeszcze, bo ta sikorka już nie będzie tak śmiała jak pierwej, doświadczywszy raz przygody.“

„Jeżeli tak — rzekła Ludwisia, to sikora jest rozsądniejsza od ciebie, bo nie zechce narażać się powtórnie na niebezpieczeństwo, którego raz uniknęła. Ty wcale inaczej postępujesz: zaledwie opłaciłeś twoją nieostrożność drobném skaleczeniem, już płocho zapowiadasz, że się chcesz narazić na nowe. Braciszku! radzę ci większą mieć uwagę.“

---

13. KRZYŻYK ZŁOTY.

(p. St. Jachowicza).

DZIECIĘ. Mamo! daj mi krzyżyk złoty.

MATKA. Dobrze, dziecię me kochane.
Krzyżyk będzie stróżem cnoty,
Doprowadzi cię do nieba:
Ale jedno przyrzec trzeba.

DZIECIĘ. O! ja na wszystko przystanę.

MATKA. Oto pomniéj: znak zbawienia
Na twej piersi odpoczywa.
Nie obraż niczem sumienia;
Niech się z ust twych wydobywa
Święta prawda, słowo Boże.
W dobrém krzyżyk dopomoże.

Kiedy złe powstaną chęci,
To miéj krzyżyk na pamięci;
Kiedy serce smutek ściśnie,
Rzuć nań okiem — radość błyśnie;
Bo ten, który niebem władnie,
Ziemskie troski gładzi snadnie. —

Dziecię matki usłuchało,
Słodki pokój w sercu miało;
I nosząc ów krzyżyk złoty,
Codziennie wzrastało w cnoty.

14. PRACA ODKŁADANA.

(p. Klem. Tańską).

Przy jednym wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; w pośród mnóstwa kamieni wyrastały gdzieniegdzie kępy ostu i innego zielska.

„Ojcze, my ten kawał ziemi oczyścimy“ — powiedzieli dnia jednego trzej bracia do właściciela — „daj nam go na rok jeden.“

„Chętnie, odpowiedział ojciec“ — i kawał ziemi na trzy równe części podzielił.

Było-to na końcu marca; już do gruntu puściło. Dni bywały piękne i najzdatniejsze do podobnej roboty. Trzej bracia wzięli się do niej, i dwaj starsi w przeciągu tygodnia oczyścili dział swój prawie zupełnie. Młodszy więcej się bawił niż robił; i tamtych skończona była praca, kiedy on swoję zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, Franuś odpowiedział: „O! dopiero początek wiosny, dosyć czasu będzie.“ Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały: ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła, i przestawać musiał. „Nadejdzie chłodna jesień (mówił sam do siebie) to będzie najlepsza pora.“ Nadeszła jesień — ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego deszcz go kropił; trudno było co zrobić. „Przyjdzie zima (mówił) bywają i w zimie dni piękne i jasne; ja to w mgnieniu oka zrobię.“ Przyszła nareszcie i zima: Franuś do kamieni i do zeschłych łodyg — lecz cóż? przymarzły zupełnie i nic zrobić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś, tak błądzi każdy, który pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje. Co masz do zrobienia, zrób jak najprędzej — teraźniejsza godzina sprzyja twojej pracy, a któż ci za dalsze zaręczyć potrafi? Jeśli zawsze pomyślniejszej pory czekać będziesz, może cię wprzódy śmierć zaskoczyć, nim dzieło rozpoczniesz.

15. PRZECHADZKA.

(p. St. Jachowicza).

Byłto dzień majowy, wesoły, pogodny,
I wietrzyk od wschodu powiewał łagodny,
I konik świergotał, ptaszęta śpiewały:
Dziewczynki szły łąką, kwiateczki zbierały —
I doszły do lasku, usiadły pod cieniem;
Cieszył ich strumyczek łagodném mruczeniem;
Niewinne kwiateczki spostrzegły na brzegu,
Widziały wiewiórkę i zająca w biegu,
Widziały motylków skrzydełka w promyki,
I pilne pszczółeczki i złote chrząszczyki.
I były szczęśliwe, i wesołe były,
I z słodkiém uczuciem do domu wróciły.
„Ach! jakże tam ślicznie, Elżbietko, na dworze;
I jutro, proś Mamy, pójdziemy tam może.“
Tak młodsza siostra do starszej mówiła.
„O! pewnie pójdziem, byleś grzeczną była.
Pójdziem, gdzie łąka w kwiateczki ubrana;
Uwielbiać będziem Wszechmocnego Pana,
Co wszystko stworzył, upięknia i żywi,
Byśmy go kochali i byli szczęśliwi.“

---

16. WIERZBA I DĄB.

(p. Jana Chęcińskiego).

Pewnego poranku, po straszliwej burzy, która w nocy trwała przez kilka godzin, wyszedł gospodarz wraz z małym synkiem w pole, aby obejrzyć szkody, które wicher z ulewą poczyniły w lesie i zbożu.

„Patrzno, ojcze! zawołał Adaś: dąb tak ogromny, co zdawał się ze wszystkich drzew najwytrwalszym, leży powalony na ziemię — a ta licha wierzbinka stoi sobie spokojnie, nawet wcale nie uszkodzona. Ja myślę, że burza daleko łatwiej mogła wywrócić wierzbę, niż dąb tak potężny i wielki.“

— „Moje dziécię, odpowiedział ojciec, właśnie ta wielkość stała się dla niego zgubną, bo stawiła opór burzy, której jednakże dąb wytrzymać nie mógł. Szczęśliwsza wierzba, że mała

i giętka; nie opierając się gwałtowności wiatru, uchylała przed nim swoje gałązki, przez co potrafiła uchronić się szkody.

17. DZIECIĘ I SKOWRONEK.

(p. Stanisława Jachowicza).

Dziecię.
Gdzie to lecisz skowroneczku?
Skowronek.
Lecę myśleć o gniazdeczku.
Dziecię.
A jak gniazdko zlepisz sobie?
Skowronek.
Pytasz co ja wtenczas zrobię?
Wzbiję się w niebo radośnie,
I przymilę śpiewem wiośnie;
Zanucę cześć Panu w niebie,
Co mnie zasila w potrzebie,
Co ma opiekę nad nami,
Co przyświeca gwiazdeczkami.
Dziecię.
I ja klęknę, rączki złożę,
Podziękuję Tobie Boże!
Zaśpiewam na Twoję chwałę,
Bo z twych rąk mam szczęście całe.

18. CHŁOPCZYK UKŁÓTY OD PSZCZOŁY.

(p. B. Leśniewską).

Dziesięcioletni Karolek, syn zamożnego ziemianina, nieco rozpieszczony, przyzwyczaił się był przewodzić nad służącemi, lekceważyć ich sobie i niegrzecznie się nawet z niemi obchodzić. Prawdziwą jego ofiarą była biedna Małgosia, któréj najwięcej dokuczał; nie cierpiał jej i prawie patrzeć na nią nie chciał. Pewnego dnia, przy podbieraniu pszczół, przyniesiono do domu duży plaster miodu. Ucieszony Karolek pochwycił go z chciwością, wziął do ust ulubiony sobie przysmak — alić natychmiast uczuł w twarzy ból niezmierny, i począł krzyczeć w niebogłosy. Usłyszawszy jego krzyk Małgosia, przybiegła czémprędzej; a widząc upuszczony na ziemię talerz z miodem, i u Karolka palce w ustach, zaraz domyśliła się co mu było: oto jedząc miód łakomo i z nagłością, nie zważał, że w świeżym plastrze znajdowała się żywa pszczoła, która go za przytknięciem do ust ukłóła. Niezdolnemu więc radzić sobie, a od bólu mówić nie mogącemu chłopczykowi, wydobyła niebawem tkwiące w ustach żądło. Karolek uwolniony od gwałtownego cierpienia, uczuł po raz pierwszy potrzebę podziękowania Małgosi za jej usługę,

i nauczył się tą przygodą, że nie należy nikogo lekceważyć, bo nie wiemy na co kto może nam się przydać.

---

19. ZACHWYCENIE *).

(p. T. Lenartowicza):

A Matko moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?
— „O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym kraju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłém się słońcu lekko kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.

Potém widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod Boże nóżki:
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potém widziałam przeróżne kwiatki,
Te w Bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochały,
A potém w niebie powyrastały.“
– Mateczko moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci Anieli?
— „Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami;
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się pleni.“
— A droga matko, proszęż ja ciebie,
Widać też naszą wioskę tam w niebie?

---

*) Letarg czyli śmierć pozorną nazywa lud zachwyceniem, w którém dusza człowieka ma niby chwilowo przebywać na tamtym świecie.

Naszą chateczkę, bydło na smugu,
Siostrę w obórce, ojca przy pługu?
— „O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy.
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy:
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną:
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.“
— A słuchajcież mnie, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— „Nie, moje dziecko, bo za obłokiem
Jak słońce chmurką skryty przed okiem;
Tylko z promieni co z tamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną Jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.
— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Nie lada droga, o! moje dziécię,
Iść tam potrzeba przez całe życie:
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Chroniąc się złego, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych.“
— Toście wy dużo, matko widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli?
Więc jak pójdziecie mateczko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.
— „O! ty zostaniesz, lube pacholę,
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Krasiatą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz — ja nie zostanę.“
— Ej! co tam gadać, wy nie umrzecie:
Jest-ci już dużo na tamtym świecie...
— „Wiem ja dziecino moję godzinę,
I że bez woli Bożej nie zginę.“

20. NIEMA ZŁEGO, KTÓREBY NA DOBRE NIE WYSZŁO.

(Przysłowie).

(p. Stanisława Jachowicza).

„Moja Mamo, mówiła Walercia, ja słyszałam to przysłowie, że niema złego, coby na dobre nie wyszło; a jednak kto się nie chce uczyć, to źle robi, i wątpię żeby mu to mogło wyjść na dobre.“

— „Prawda, moje dziécię — odpowiedziała matka, ale bo też przysłowia nie należy zawsze brać dosłownie, trzeba je dobrze rozumieć. I tak, to przysłowie nie stosuje się do złych chęci i uczynków, i rzeczywiście mieści w sobie wielką naukę i drogą dla serca pociechę. Ludźmi jesteśmy! nie raz nam się co złego wydarzy, nieraz błędy nasze przykrém opłacamy doświadczeniem; wtedy doświadczenie samo, stając się dla nas nauką, nie małą korzyść nam przynosi. Gdy poniesiemy jaką szkodę, gdy nas ominie jaka przyjemność, lub jakiej niespodzianej doznamy przykrości, powinniśmy wtedy przypomnieć sobie to przysłowie, i pocieszyć się tą myślą, że owo pozorne złe może nam wyjść na dobre. Samaś już może Walerko tego doświadczyła.“ — „Ach! prawda mamo, odpowiedziała Walerka. Pamiętam, gdy raz mieliśmy pójść na zabawę, a potém odmienił się zamiar, przykro mi było i płakałam — aż tu tego samego wieczora przyjeżdża kochana Ciocia, której dwa lata nie widziałam. Jakżebym była żałowała, że nas tak długo nie było w domu. Wtedy mimowolnie powtórzyłam owo przysłowie, że niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Drugi raz zgubiłam kluczyki od mojej szkatułki — a wtém kupiec przynosi śliczne wstążki, grzebyczki i inne drobiazgi. Mamy w domu nie było. Jakżebym rada była co kupić, mając troszkę pieniędzy w szkatułce! a tu nie było można otworzyć. Kupiec odszedł, a ja potém bardzom się cieszyła, żem na niepotrzebne drobnostki nie wydała pieniędzy. Znowum powtórzyła owo przysłowie, bo dobrze się stało.“

— „Otóż widzisz, moje dziécię, rzekła matka, i w dalszém życiu tak ci często zdarzać się będzie. Gdy jakiej doznasz przykrości, pocieszysz się tém pięknem przysłowiem. Rzadko, a może nigdy nie zawiedziesz się na niém, bo złe z dobrem przeplata się na świecie. Przy róży ciernie, przy cierniach kwiaty; po deszczu pogoda, po uciesze smutek, po smutku znowu pociecha.“

21. SIELANKA.

(p. Teofila Lenartowicza).

Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko.:
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię to samo.
Bo przecież ja coś umiem:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumiem,
I zaśpiewam w kościele.

Matuchna mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę:
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wyskoczę,
I dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża.

Pająk przędzie, oj! przędzie
Swoje szare włókienko:
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie.

A gaiki, a wianki,
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki,
Jak najpiękniéj uplotę...

Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli:
Nie wiem co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli...
To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl łechce:
Weselić się i skakać
I chciałabym i nie chcę.

---

22. MGŁA.

(p. Stanisława Jachowicza).

Pięknego wieczora w porze jesiennej Wandzia używała przechadzki ze swoim ojcem. W niejakiej od nich odległości wznosiła się mgła gęsta.

„Co tam jest na tej łące?“ zawołała Wandzia.

Ojciec. To jest mgła moje dziécię.

Wandzia. Ale jaka gęsta mgła! możnaby ją łapać.

Ojciec. Jednakże, gdybyśmy tam byli, gdzie ona jest, zaledwiebyśmy ją dojrzeli.

Wandzia. Chyba sobie Tata żartuje.

Ojciec. Czy tak myślisz? pójdźmy więc dalej.

Gdy przyszli na łąkę: „No, jakże? moja córko (rzekł ojciec) gdzie się podziała ta góra mglista, którąś ztamtąd widziała?

Wandzia. Zniknęła... a to rzecz szczególniejsza!..

Ojciec. Nie dziwuj się temu, moja Wandziu; — wiele

jest rzeczy na świecie, które zdaleka wydają się cudowne, a zblisko są tylko dymem.

---

23. PIEŚŃ UBOGIEJ DZIEWCZYNKI.

(p. St. Jachowicza).

W słomą krytej, niskiej chatce,
Przy ubogiej mieszkam matce:
Chodźcie do nas! zobaczycie,
Jakie to tu miłe życie!
Kołowrotek się obraca,
Ubóstwo nam słodzi praca,
A szczęśliwi i weseli
Pracujemy do niedzieli.
A w niedzielę u matulki
Bieluchne jak śnieg koszulki;
Postroi nas jak laleczki —
Ach! dobrzeż nam u mateczki!
Błyśnie ranek — dzwonek woła,
Więc idziemy do kościoła;
Usta wdzięczne, choć nieśmiałe,
Wyśpiewują Bogu chwałę.
Obiadek lepszy w niedzielę,
Zjemy smaczno, choć nie wiele:
Dobrze o tém pamiętamy,
Że od Boga wszystko mamy.

---

24. PASTUSZEK.

(p. Luc. Siemieńskiego).

Pastuszek pasł krowę na wygonie — niedaleko był sad pełen wisien. Widok dojrzewających jagód znęcił chłopca; puścił więc krowę samopas, a sam dalejże na drzewo obrywać co najlepsze. Bydlę, nie widząc nikogo przy sobie, wlazło w pobliski łan pszenicy, i spasłszy dużo kłosów, wydeptało i popsuło jeszcze więcej. Właściciel pola ujrzawszy szkodę, zaczął krzyczeć na niedbałego pastucha, który dopiero poznał swoje niedbalstwo i lekkomyślność. Spuścił się więc czémprędzej z drzewa,

wyrwał z płotu żerdź ogromną, i mszcząc się na biedném bydlęciu, począł je niemiłosiernie po bokach okładać. Tymczasem ojciec jego, który zdaleka patrzał na wszystko, zbliżył się do chłopca i pogroziwszy mu surowo, zapytał: „Kogo to słusznie bić należy, ciebie, czy bydlę, które samo nie wié, co robi? Które z was okazało więcej łakomstwa, czy ty, coś wlazł na cudzą wiśnię, czy krowa, co puszczona samopas w cudze weszła zboże? A ty jeszcze śmiesz tak nielitościwie pastwić się nad nią? zapominasz o własnej winie, i o tém, że nie jesteś przecież jak ona nierozumném bydlęciem."

Chłopiec zawstydził się, poznawszy swój błąd i słuszność ojcowskich wyrzutów.

25. CHCIEJ, A BĘDZIESZ SZCZĘŚLIWYM.

(p. St. Jachowicza).

Motylek z kwiatka na kwiatek ulata,
I sam ma postać kwiata;
Kąpie się w świetle, chłodną rosę pije,
I mówi: „A co? nie roskosznież żyję?
Czym nie szczęśliwy, bogaty?
Wszystkie dla mnie rosną kwiaty." —

Chrząszcz w wieczornym pływa chłodzie,
Buja sobie po ogrodzie,
I na róży ściele łoże.
Cóż? czym nie szczęśliwy może?
Czy roskoszą się nie poję?
Drzewa, kwiatki, wszystko moje."

Komarek, wśród kwiatków woni,
Wieczorem za braćmi goni;
A roskoszny i szczęśliwy
Przepływa gaje i niwy,
I brzęczy sobie wesoło —
Wszystko moje naokoło!

Przypatrz-że się temu dziécię!
Jak roskoszne Bóg dał życie.
Trzódka w polu, rybki w wodzie,
Ptaszki w lesie i w ogrodzie,

Wszystko woła: dziécię tkliwe,
Chciej tylko, będziesz szczęśliwe.

26. CUDOWNE ZIELE.

(p. J. Chęcińskiego).

Dwie służące wiejskie szły razem do miasta, każda z koszykiem sporym owoców. Brygida ciągle narzekała, że dźwigać trzeba było kosz tak ciężki; Kasia zaś śmiała się i żartowała.

„Nie wiem, zkąd ci ta wesołość? zapytała pierwsza — przecież ani twój koszyk nie jest lżejszy od mojego, ani ty nie jesteś mocniejsza ode mnie“.

— „Bo nie wiesz, odpowiedziała Kasia, że ja włożyłam w mój koszyk trochę pewnego ziela, które go czyni tak lekkim, że prawie w rękach go nie czuję“.

„Doprawdy? zawołała Brygida — to musi być jakieś cudowne ziele! O! bardzoby się i mnie przydało. A jakże się ono nazywa?

— Kasia rośmiała się, i rzekła: „Chcesz je poznać? możesz je nawet łatwo posiadać. Jest-to chęć dobra i cierpliwość, przez które każda praca staje się łatwiejszą, każdy ciężar lżejszym.

27. SIEJBA.

(p. Stanisława Jachowicza).

Powiedz mi, mój ojcze luby,
Czemu rzucasz w ziemię zboże?
Czego próżnej szukasz zguby?
Wszak ze zboża chleb być może.
Zanieś je lepiej do młyna.“
Tak mówił młody chłopczyna.
— „Synu! rzekł ojciec sędziwy,
To zboże mi tu nie zginie:
Ujrzysz, nim jeszcze rok minie,
Ile zbierzemy z tej niwy.“

Siejcie dzieci w sercu cnoty,
Miłą cieszcie się nadzieją;

One tam pięknie dojrzeją,
I wydadzą wam plon złoty.

28. WSZYSTEK ŚWIAT PEŁEN CUDÓW.

(Powiastka z Pisma św.)

Salomon siedział w dniu wiosennym pod palmami w ogrodzie ojca i dumał. Przystąpił Natan nauczyciel jego i rzekł: „Czego tak dumasz Salomonie? — Młodzian podniósł głowę i odpowiedział: „Mój nauczycielu, radbym bardzo widzieć cud jaki.“ — Na to prorok z uśmiechem: „Jest-to, rzecze, życzenie mego niegdyś młodzieńczego wieku.“ — „A czy spełnione było?“ zapytał Salomon. — „Słuchaj“ odpowie Natan:

„Pewnego dnia mąż Boży stał przedemną z ziarnkiem drzewa granatu, i rzekł: „Patrzaj, co będzie z tego ziarnka!“ I zrobił palcem mały otwór w ziemi, i włożył weń ziarnko, i nakrył ziemią. Zaledwo usunął rękę, pękła łupinka, i dwa listki zielone pokazały się nad ziemią. Wnet przyłożył się listek do listka, zaokrągliły się społem, i powstał pień otoczony korą, który w oczach moich rósł coraz wyżej i grubiał. „Uważaj teraz!“ rzekł mąż Boży. — A oto siedm gałęzi rozwinęło się z pieńka, jak siedmioramienny świecznik na ołtarzu Pańskim.— Zdumiałem się: ale mąż ów skinął ręką i nakazał milczenie. „Patrz, mówił potém, nowe zobaczysz dziwy.“ I zaczerpnął wody z potoku, który blisko płynął, skropił nią trzy razy gałęzie, a w chwili wszystkie okryły się liściem i kwiatem — chłodny cień nas otoczył, a miła woń rozeszła się szeroko. Chciałem coś przemówić, a wtém łagodny wietrzyk zatrząsł gałązkami, i rozsypał w około nas kwiecie, podobnie jak obłoki sypią śniegiem w zimie. Ledwie znowu kwiaty opadły, zaczerwieniały pomiędzy liściami jabłka granatowe. — Tu znikł posłaniec Boży i zostawił mnie w zadumieniu.“

Tak zakończył opowieść mądry Natan. A Salomon zapytał z ciekawością: „Co to za mąż Boży? gdzie on jest? jakie imię jego? czy jeszcze żyje?“ —

— „Synu Dawida, odpowie Natan, sen ci tylko opowiedziałem.“ Salomon usłyszawszy te słowa, zasmucił się bardzo, i rzekł z wyrzutem do Natana: „Jakże mnie mogłeś tak łudzić?“

„To nie złudzenie, ale prawda żywa, odpowiedział prorok.

W ogrodzie ojca twojego możesz to wszystko ujrzeć w rzeczywistości. Czyż i w tej chwili nie odbywa się to, o czém ci mówiłem, takim sposobem i w takim samym porządku?“

„Tak jest rzekł Salomon, ale nieznacznie, powoli, i w długim przeciągu czasu.“

— „A czyż-to dla tego, mówił mędrzec, mniejszym jest cudem Bożym, że się dzieje powoli i nieznacznie? Czémże są chwile, i jakiż czas jest długi wobec wieczności? Poznaj mój synu przyrodę, rozważ jej tajemnice i dziwy, a nie będziesz pragnął cudu człowieka.“

29. DZIEDZINA OJCZYSTA.

(p. T. Lenartowicza).

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem co milsze nad swojskie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
I matkę, co w białej len przędzie świetlicy?
Nad ziemię, co zboże nam rodzi?
Nad gwiazdkę, co w czystej kąpie się krynicy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?
I nie wiem co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?

---

30. RÓŻA.

(p. Luc. Siemieńskiego.

Było to w Niedzielę rano, przede mszą. Aniela straciwszy kilka godzin przed zwierciadłem, wystrojona i wymuskana, usiadła sobie na ławeczce przed domem swoich rodziców, gdzie w przyległym ogródku wykwitnął świeży krzak róży. Dwóch mieszczan przechodząc rzuciło wzrok na nię, i jeden rzekł: „Ach! jaka ładna, jak świeża, pełna i rumiana!“ Anusia biorąc tę pochwałę do siebie, uśmiechnęła się i podziękowała ukłonem za grzeczne słowa. Ale owi mieszczanie zaczęli się śmiać do roz-

puku, a jeden ozwał się z naigrawaniem: „Nie o pannie to mowa, ale o tej róży, którą tej wiosny pierwszą widzimy.“ — Zawstydzona dziewczyna spuściła oczy. Jakże ukaraną została za swoję próżność!

---

31. ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

(p. St. Jachowicza).

Powiedz słowiczku, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie,
O czém ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku, w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody,
W miłym, rozgłośnym śpiewie?
Jakeś przeleciał wonne ogrody?
Na jakiém spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone
W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiéj, drżącej,
Na lazurowém niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej?
Powiedz mi, proszę ciebie.

— O! ja ci powiem, śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czém tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją.

I kiedy znika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna i blada,
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.

---

32. PODRÓŻNY I WOŹNICA.

(p. St. Jachowicza).

Pewien młody człowiek wysłany z miasta na wieś spotkał woźnicę, który na drodze pełnej kamieni niemiłosiernie gnał konie.

„A czy stanę ja w mieście przed nocą? zapytał woźnica podróżnego.

„Staniesz, odpowiedział, jeżeli nie tak prędko będziesz jechał."

— „A to głupi człowiek!" rzekł do siebie woźnica, i popędził jeszcze bardziej konie.

Nad wieczorem posłaniec ów wracając tą samą drogą, napotkał woźnicę w wielkim kłopocie: jedno koło złamało mu się u wozu, a koń jeden ciężko okulał.

„A nie mówiłżem ci, rzekł do woźnicy, że jeżeli chcesz ściągnąć na noc do miasta, trzeba ci jechać wolniej?"

---

33. PIELGRZYM.

(p. J. E. Minasowicza).

Idąc z odpustu w jesiennej dobie,
Siadłem pod dębem chcąc spocząć sobie;
A gdym się w myślach rozmarzył trochę,
Przyszły mi zkądsiś uwagi płoche:

„Czemu Bóg, w dziełach swych doskonały,
„Stworzył na dębie owoc tak mały?
„Na takiém drzewie, co tyka nieba,
„Dyniom przynajmniej rodzić się trzeba."

A wtém gdy spadnie żołądź z wysoka,
Małom nie pozbył jednego oka —
Dopiero mówię: „wié Bóg co czyni;
Dobrze że nie ma na dębie dyni!

---

34. ŻART NIEROZWAŻNY.

(Powiastka).

Swawolny Jaś lubił kłamać i zwodzić drugich dla igraszki.

Raz, kiedy pasł na polu owce, przyszła mu myśl nierozważna do głowy, aby zażartować z swych towarzyszów, i począł krzyczeć z całego gardła: „Wilk! wilk! gwałtu! ratujcie!“ — Przestraszeni wieśniacy pobiegli czemprędzej z kijmi i siekierami, opuściwszy swoje roboty. Ale gdy wilka nigdzie nie ujrzeli, wrócili do swych zatrudnień — a Jaś śmiał się i szydził w duchu z ich łatwowierności.

Było tak kilka razy — aż nareszcie poznano się na pustocie Jasia, i uważano go odtąd za zwodziciela i kłamcę. Zdarzyło się, że po niejakim czasie na prawdę wilk wyszedł z lasu i podchodził ku owcom. Skoro go Jaś spostrzegł, począł jak dawniej krzyczeć i wołać ratunku. Ale gdy wołanie jego wzięto za zwykłą chłopca swawolę, nikt mu nie pospieszył na pomoc. Wilk tymczasem, nie zważając na małego pastucha, wpadł między trzodę i wszystkie owce podusił. O! dopieroż żałował Jaś swych nierozważnych żartów.

---

35. PODRÓŻNY I KALEKA.

(z Krasickiego).

Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżył na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy:
Wtém gdy razu jednego do kościoła wchodzę,
Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze. —
Nauczył mnie tém bardziej milczeć ów ubogi:
Lepiej mnie bez obówia, niż jemu bez nogi.

---

36. PSZCZOŁY.

(p. Jana Chęcińskiego).

Ludwiś wbiegłszy do ogrodu sąsiada, spostrzegł prześliczny krzak róży, cały kwiatami okryty. „Co za róże! — zawołał z podziwieniem — muszę zerwać choć jednę.“ Sięgnął do krzaka — lecz zaledwo dotknął się obranej przez siebie róży, uczuł bolesne w rękę ukłócie. Pszczoła, której między listkami Ludwiś nie uważał, ucięła go swojém żądłem. Z płaczem rzucił różę na ziemię, wybiegł za opłotki, gdzie przy ogrodzie stało kilka ulów, i chcąc się zemścić, zaczął rzucać na nie pełnemi gar-

ściami piasku i żwiru. Pszczoły rozdrażnione rzuciły się całym rojem na napastnika. Daremnie chłopiec oganiał się na wszystkie strony — pokłóły mu nielitościwie twarz i ręce, że aż opuchł do niepoznania. Ta przygoda nauczyła go być ostrożniejszym.

37. TADEUSZEK.

(p. Stanisława Jachowicza).

Raz swawolny Tadeuszek
Nawsadzał w flaszeczkę muszek;
A nie chcąc ich morzyć głodem,
Ponarzucał chleba z miodem.
Widząc to ojciec, przyniósł mu piernika,
I nic nie mówiąc, drzwi na klucz zamyka.
Zaczął się prosić, płakał Tadeuszek —
A ojciec na to: „Nie więż biednych muszek.“
Siedział dzień cały. To go nauczyło:
Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

38. SZKODZĄ CZĘSTO POZORY.

(Powiastka).

Pewnego wieczora siedział ojciec otoczony dziatwą w pokoju wychodzącym na ogród. Świeciła się na stole lampa. Znęcony jasnością komar, wleciał przez otwarte okno, i brzęcząc wesoło począł krążyć około lampy, która pewnie wydawała mu się świecącém u zachodu słońcem. Nadaremnie dzieci chciały go odpędzić, wiewając chustkami — uparty komar cisnął się coraz bliżej do światła, aż biedny popalił sobie skrzydełka i nóżki, i upadł na stół bez życia.

„Kochane dzieci (rzekł ojciec) co się przytrafiło komarowi, który płomień lampy wziął za światło dzienne, to się często zdarza i ludziom, gdy nierozważnie łudzą się pozorami. Nie wszystko złoto co się świeci; nie każdy blask mniemanej pomyślności prawdziwém jest szczęściem.“

39. KOTEK, PIESEK, MYSZKA I PTASZEK.

(p. St. Jachowicza).

Kotek z ostremi pazury,
Piesek sprzecznej z nim natury,
Lękliwa myszka i ptaszek nieśmiały,
Razem się z sobą chowały.
Prześliczna zgoda była między niemi;
Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi,
A myszka sobie wesoło
Biegała wkoło;
Ptaszek w górę podlatywał,
I swobodnie wyśpiewywał:
Nawet kiedy jeść im dano,
Poróżnienia nie widziano.
Rzadką w świecie zgoda taka:
Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka. —
Powiecie, że to bajka? mylne wasze zdanie,
Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.
Pamiętajcież dzieci o tém:
Kiedy pies się zgodził z kotem,
Jakże to będzie niełądnie,
Jeśli niezgoda między was się wkradnie!

---

40. KOŃ I OSIEŁ.

(Bajka).

(z pism Skargi).

Zazdrościł osieł koniowi, iż był pięknie na wojnę ubrany. Ale gdy się koń z wojny wychudzony z ranami wielkiemi wracał, w swoim się stanie osieł ukochał.

---

41. GĄSKI.

(p. K. Brodzińskiego).

Gąski miały radę długą,
Jedna mądrzejsza nad drugą;
Wtém najgłupszej nie wiedzieć co się przywidziało,
Wrzasła — i wszystko za nią w błoto poleciało.

---

42. PRACA JEST NAJPEWNIEJSZYM SKARBEM.

(Powiastka).

Dwaj bracia, Szymon i Ludwik, po śmierci ubogiego ojca przymuszeni byli iść w świat i szukać sposobu do życia.

Starszy z nich, Szymon, nie oddalając się nazbyt od rodzinnego domu, starał się jak najprędzej o zarobek choć ciężki; wziął się szczerze do pracy — i wkrótce uskładał sobie tyle grosza, że mógł kupić kawałek gruntu, i opędzać swoje potrzeby.

Młodszy Ludwik wyżej nierównie zakroił. Słysząc o kopalniach w dalekich gdzieś krajach, popłynął za morze, i poszedł w góry szukać złotego piasku. Znalazł wprawdzie upragnione bogactwo, ale w miejscach pustych i bezludnych, gdzie złoto niewielką ma wartość, i nacierpiał się przy niém głodu. „Trzeba, mówił, wrócić do swego kraju, tam będę bogactwa mego używał.“ Zabrał się więc w drogę; ale nim wrócił, wszystek ów złoty piasek, którego miał spory woreczek, w podróży wyprzedać musiał. Znalazłszy dopiero u zamożnego już brata przytułek, poznał, że praca jest prawdziwym i najpewniejszym dla człowieka skarbem.

---

43. FILIŻANKA.

(Bajka).

(p. Juliana Niemcewicza).

„Precz ztąd odemnie! — rzeknie filiżanka
Do glinianego dzbanka —
Co tobie w głowie? czyliś ty szalony,
Z postacią twoją nikczemną
Bratać się ze mną?
Patrz, jak mój cały obwód wykształcony!
Jakem misterną zdziałana robotą!
Od głowy do stóp u mnie kapie złoto;
Każdy spogląda na mnie z podziwieniem,
I nie zbliża się jak z drżeniem.“
— Dzban jej odpowie: „Skończ wymówki twoje,
Wszakżeśmy z gliny oboje;

Z tą chyba tylko różnicą,
Że się na tobie marne fraszki świecą;
Że stoisz próżno lub służysz do zbytku,
A ja służę do użytku.“

44. CHOINKA.

(Bajka).

(p. F. H. Lewestama).

W lesie na porębie zieleniła się mała, urodna choinka, a rosła w miejscu wyborném, bo słoneczném i przestronném, otoczona licznem towarzystwem większych sosien i jodeł. Otóż najgorętszém pragnieniem tej drobnej choinki było, żeby i ona urosła jak najprędzej. Nie zważała ani na ciepłe słońce, ani na świeże powietrze; nie zwracała uwagi na dzieci wiejskie, które bawiły się wesoło pod nią, zbierając maliny i poziomki. „Jakiżto śliczny chojaczek!“ mówiły nie raz dzieci do siebie: ale ona ani słyszeć nie chciała podobnych pochwał. W następnym roku podrosła już o całe dość spore kolanko, a znowu w drugim roku jeszcze o jedno wyżej. Choinka jednak ciągle powtarzała: „Ach! czemuż nie jestem dużą jak tamte drzewa; czemuż nie mogę wspaniale rozpościerać moich gałęzi! Ptaki gnieździłyby się na moim wierzchołku, a ileby razy wiatr powiał, szumiałabym poważnie i znaćby mnie przecież było w świecie.“ Gdy nastała zima, a śnieg kiściami wiszący na wyniosłych drzewach iskrzył się do słońca, zazdrościła im tego uroczystego blasku. Nieraz żerując po zaroślach nadbiegł młody zajączek, i jednym susem przeskoczył małą choinkę — jakże ją to mocno gniewało! Choć bujnie rosła, przecież chciało jej się odrazu być dużą. Choć promienie słoneczne zdawały się jej świecić największém szczęściem, a cała przyroda napominać: „Używaj lat młodych, ciesz się świeżym wdziękiem, oddychaj tą pełnością życia, które teraz buja najswobodniej!“ ona tego głosu nie rozumiała. Napróżno wiatr letni ucałował choinkę — nadaremnie zrosił ją roskoszny deszczyk majowy — z niczego nie była rada, bo wyrównać chciała wzrostem najwyższym drzewom. — Nadszedł wreszcie czas, że już sporym została chojakiem — aż jesieni jednej zajeżdżają rębacze do lasu, i ścinają obok niej najroślejsze drzewa. Kiedy z trzaskiem okropnym poczęły się walić jedno po

drugiém, i już przyszła kolej na najbliższą choinki sąsiadkę, dopieroż przeszły ją dreszcze, i poczęła lepiej cenić swój wiek młody.

45. GĘŚ.

(Bajka).

(p. Juliana Niemcewicza).

Z malenkiém oczkiem i nosem czerwonym,
Na jeziorze roztoczoném,
Gęś głupia, zatém pyszna, bo to razem bywa,
Gdy roskosznie sobie pływa,
Widzi wśród kurcząt szeregu
Kurę na brzegu.
„Wyznaj, rzecze, że w całym zbiorze przyrodzenia
Doskonalszego stworzenia
Nie widziałaś nademnie — czy w powietrzne szlaki
Wzbiję się, i wspaniale latam między ptaki;
Czyli obłoki porzucę,
I chodząca po trawie słodko sobie nucę;
Jest co posłuchać, jest i patrzeć na co!
Słowem, gęś wszystkie talenta bogacą.
Co tylko uczy sztuka lub natura,
Wszystko ja umiem. — „Nikt temu nie przeczy;
Wszystko, odpowie kura,
Ale nie do rzeczy.“ —
Są gęsi między ludźmi, co każdej nauki,
Nie jednej nawet wyzwolonej sztuki
Liznąwszy trochę, sądzą się mądremi,
A przecież ledwie, ledwie są miernemi.

46. ŁABĘDŹ, GĘŚ I KACZKA.

(p. St. Jachowicza).

Otóż masz łabędzie — mówił ojciec do Władzia, — przypatrz się dobrze temu pysznemu ptakowi. Z jakąto on wspaniałością płynie po tym stawie, nie zamącając wcale jego wód powierzchni. Jak rozpościera swoje skrzydła srebrzyste — jak

zanurza szyję długą i wygiętą! Spojrzyj na jego towarzyszkę, z jaką dumą prowadzi swoją małą rodzinę! Dzieci dalekie są jeszcze od piękności matki, jeszcze je szpeci brudna szata; ale wkrótce białość ich pierza świetny stawi widok dla oka.

Ta biedna gęś, tyle z kształtu podobna do łabędzia. jakże bardzo różni się od niego pod względem wdzięku i piękności! Krzyczy ona tylko głosem chrapliwym i w niezgrabnym chodzie kiwa się jak pijana. Nie pogardzajmy nią jednak dla tego, że jej zbywa na powierzchownych ozdobach, któremi się łabędź odznacza. Łabędź dostarcza nam tylko puchu i piór na ozdobę strojów, — przeciwnie, z gęsi mamy smaczne mięso, i jej winniśmy pióra do pisania, któremi tyle dzieł pięknych napisano.

Uważaj teraz tę kaczkę, wiodącą ze sobą liczne grono kaczątek. Dokąd one pędzą tak szybko? Oto są już na wodzie. Patrz, z jaką w niéj bujają swobodą! — Widzisz tam dalej inne grono kacząt bez matki? Któż się niemi opiekuje? Oto ta kura, tak baczna na najmniejsze ich poruszenie. Lecz widzisz, i one przyrodzoném wiedzione uczuciem rzucają się w wodę — a kura nie mogąc się puścić z niemi, smuci się i pełna trwogi krąży nad brzegiem wody, kwocząc żałośnie.

Łabędź, gęś i kaczka, należą do ptaków ziemnowodnych, to jest, że mogą żyć w wodzie i na ziemi. Przypatrz się ich nogom — wszystkie ich części są połączone cienką błonką, jak u wszystkich ptaków wodnych. Używają ich one jako wioseł, za pomocą których rybacy kierują swemi łodziami.

---

47. WIEWIÓRKA I MAŁPA.

(Bajka).

(p. St. Jachowicza).

Jeszcze w zielonej skórce,
Dostał się orzech wiewiórce;
Ledwie go dotknie drobnemi ząbkami:
„Jakże mię, rzecze, moja matka mami!
„Nieraz mi to powiadała,
„Że orzeszek potrawa arcydoskonała.
„Dziękuję za nią!“ — i rzuci orzechem.
Małpa podniosła go z śmiechem —
Bierze w łapki, rozłupywa,

Słodkie ziarnko wydobywa;
I gdy je zajada sama,
Rzecze wiewiórce: „Dobrze mówi mama,
„Dobry orzeszek; lecz trzeba zgryść wprzody.“
Trzeba wprzód popracować, kto chce mieć wygody.

---

48. WIEWIÓRKA.

(p. St. Jachowicza).

Zapewne już nie raz widziałyście wiewiórkę, ale nie możecie powiedzieć, iżbyście ją znały dokładnie. Jej wesołość, żwawe obroty, podobały się wam bezwątpienia, lecz nie zwróciłyście uwagi na jej przyrodę. Jestto zwierzątko z pozoru bardzo przyjemne, łatwo się daje obłaskawić; ale bywa czasem bardzo złośliwe, i ukąszenie jego daje się uczuć boleśnie. Jeżeli więc dla zabawki swojej chować ją zechcecie, bądźcie ostrożne, nie dowierzajcie jej mince uprzejmej i grzecznej postawie. Przyjemny to widok, kiedy wiewiórka siadłszy na tylnych nóżkach, uchwyci orzeszek w przednie łapki i gryzie go zręcznie swemi ostremi ząbkami. Ale na tém kończy się jej zręczność. Widziano nie raz, jak tym sposobem rozłupany orzeszek niosła do ust swojej pani, jak jej pieniądze w kieszeni rachowała. Chcąc mieć wyobrażenie o jej zręczności, trzeba ją widzieć wolną w lesie. Tam wspina się z dziwną szybkością na drzewa, i z jednego przeskakuje na drugie, włosisty ogon unosząc w powietrzu. Gniazdo buduje sobie na wysokich drzewach z liści i mchu, albo je zajmuje niejako w spuściznie po srokach i wronach. W bliskości opatruje sobie śpiżarnię w orzechy na zimowy zapas, ale tak dobry czyni wybór, że niepodobna prawie znaleźć między niemi orzecha pustego. Prócz orzechów, ma także za pożywienie bukiew, szyszki, korzonki, żołądź, i niektóre owoce. Głód długo wytrzymać może, tak jako i pragnienie. Przeczuwa słotę, i przed deszczem albo burzą kryje się w wydrążone drzewo i zatyka otwór. Lubi czystość i ochędostwo — wszelako, utrzymywana po domach, nieprzyjemnym wyziewem napełnia powietrze.

Szare wiewiórki w Laponii, które są nieco większe od naszych, mają szczególniejszy sposób przeprawiania się przez rzekę. Gdy im zabraknie pożywienia i chcą się przenieść w inne strony, usiadają na korze z drzewa, podnoszą ogonki nakształt żagli,

a wiosłując jedną nogą, płyną swobodnie. Dopóki wiatr łagodny, podróż idzie pomyślnie, lecz najmniejsze poruszenie fali zatapia je w rzecze — widziano nieraz kilkotysiączną flotę wiewiórek tym sposobem ginącą. Nietylko szare ale i czarne wiewiórki w Ameryce północnej odbywają podróże — we dwóch dniach przepłynęło ich raz 50,000 przez szeroką rzekę Nijagarę.

Z wiewiórki pospolitej, prócz rozrywki, tę mamy korzyść, że zapas jej orzechów staje się częstokroć naszą zdobyczą, z włosów jej ogonka robi malarz pędzelki, a skórka wyprawna daje piękne futerko.

49. OWIECZKA MŁODA.

(Bajka).

(p. Antoniego Goreckiego).

„Nie oddalaj się kochanko od trzody!“
Mówiła stara owca do owieczki młodéj;
„Zobaczysz, porwą cię wilki,
„Na to dosyć jednej chwilki.“ —
Młoda mruknęła sobie: „O! Bóg wić co plecie,
„A wilków nie ma na świecie;
„Nie dziś żyję, żadnegom jeszcze nie widziała.
„U starych, aby gdérać, to na tém rzecz cała;
„Jak poczną, to już bają co im myśl przyniesie.“
Tak sobie rozumując, zagłębia się w lesie;
To liść z drzewa, to trawkę skubnie wśród parowu,
To raz podskoczy, to się wstrzyma znowu . . .
Wtém razem nagle zawoła:
„O! gwałtu, wilki dokoła!
„Mamuniu ratuj! mamuniu kochana!“
Biegną co tchu pasterze, krzyczą na brytana —
Lecz już próżno! oddała już owieczka ducha.
Tak to bywa, dziateczki, kto starszych nie słucha.

50. OWCA.

(z Histor. natur. Jundziłła).

Owca, dla słabości swojej, a wielkiej liczby czyhających na jej życie drapieżnych nieprzyjaciół, dla wielorakich pożytków,

które człowiekowi przynosi, od najdawniejszych czasów musiała się stać domowém zwierzęciem; a w żadnych teraz, nawet najumiarkowańszych krajach, nie znajduje się więcej w pierwiastkowym dzikości stanie. Owszem zdaje się, że owca od początku stworzenia przy ludzkiej tylko trwała i dotąd trwa pomocy, a najliczniejsze jej trzody samym sobie zostawione, wkrótce musiałyby wyginąć i stać się ofiarą żarłoczności innych zwierząt.

Owca zupełnie jest bezbronna. Baran słaby tylko ma oręż w rogach — odwaga jego jemu niepożyteczna, nikomu nieszkodliwa, od najmniejszych przypadków ubezpieczyć go nie może. Owce za najmniejszym strachem w kupę się zbiegają, tłoczą się; a od bojąźni tej gorsza jest jeszcze głupowatość, która wtedy najbardziej widzieć się daje. Nie umieją bowiem ani uciekać przed jawném niebezpieczeństwem, ani znać stanu, w którym się znajdują. Stoją z uporem tam, gdzie je strach zaskoczy, i ostatniego trzeba gwałtu, aby je z miejsca wyruszyć.

Ze wszystkich zwierząt tego rodzaju, owce najmniej zdają się mieć instynktu. Mimo wszelką potrzebę pomocy, nie uciekają się do człowieka: a co zdaje się być ostatnim nieczułości stopniem, owca daje odebrać sobie jagnię bez oporu, obrony i gniewu, żalu nawet swego nie oznaczając inném jak zwyczajném beczeniem. Bydlę to jednak, napozór nikczemne, bardzo drogiém jest dla człowieka zwierzęciem, którego pożyteczność bezpośrednio go dotyka, i najobszerniej się rozciąga. Owca opatruje wiele pierwszych potrzeb naszych: daje wyborny pokarm i odzienie, nie licząc innych pożytków ze skóry, mleka, łoju, kiszek, gnoju nawet samego. To uważając sławny naturalista Buffon, sprawiedliwie powiada: że przyrodzenie nic na własność owcy nie dało, lecz wszystko co ma, człowiekowi całkowicie odkazało.

Owce bezsilne żadnej prawie pracy wytrzymać nie mogą. Bieg dłuższy i droga prędko je morduje; upał równie im nieznośny jak wilgoć. Chorób więcej mają niż inne zwierzęta, a z tych niektóre są zaraźliwe.

Pasza owcom najprzyzwoitsza, gdzie pagórki suche, mało urodzajne, wonnemi i aromatycznemi roślinami, jak n. p. macierzanką, szałwią, piołunem pokryte; miejsca zaś nizkie, błotne, łąki tłuste, złą dają dla owiec paszę. Zamknięcie gorące w owczarniach ciasnych, gdzie powietrze należycie odmieniać się nie może, szkodliwém jest dla owiec więzieniem. Budowa obszerna,

miernie wysłana, często przewietrzana, napój czysty, przechadzka częsta choć pośród śniegów, a szczególnie sól kilkakrotnie na tydzień do lizania dawana, są jedynym żywiołem, który owce w zdrowiu, dobrej wełnie, w ciele, obfitości mleka i t. d. utrzymuje. Bryła soli przy owczarni leżąca, którą owce często odwiedzać i lizać mogą, jest skuteczniejszą nad wszystkie drogie z aptek brane lekarstwa.

Wełna na owcach rozmaitej bywa delikatności, według różnych krajów i różnych owiec pokoleń. W tym względzie dwa są owiec pokolenia: hiszpańskie i angielskie.

---

51. KURA I KACZKA.

(Bajka).

(p. J. Niemcewicza).

Choć sobą cała zajęta,
Wylęgłe przez się kurczęta
Nad stawem wodziła kura,
Mniej na cudze baczna płody.
A że kacząt jest natura
Z maleńkiego iść do wody:
Uczyniwszy szereg długi,
Chyląc się w ten bok i drugi,
Szły na przestrzenię głęboką,
Nic nie zważając, że paszczą szeroką
Sum okrutny, siedząc na dnie,
Mógł kilkoro połknąć snadnie;
Że czepy sterczące w górę
Mogły na wskróś przebić które;
Że w koło przygód bez liku.
To widząc pliszka na małym kamyku
Stojąc, kiwając główką i ogonkiem,
Dybiąc za muchą, lub wodnym pająkiem,
Gdy je koleją porywa,
Tak się do kacząt odzywa:
„Śliczna też to wasza mama!
Bawiąc się na brzegu sama,
Nic nie dba o wasze zdrowie —
Jak też może być tak płocha!

Jedno jej z kacząt odpowie:
„To tylko nasza macocha.“

---

52. SŁOWIK.

(z Hist. natur. Jundziłła).

Ojczyzną słowika jest cała Europa i Azja. Przyrodzenie zawsze hojne i w darach swych rozmaite, ozdobiwszy bogatemi aż do podziwienia farbami ptaki gorących części świata, talent śpiewania, czyli raczej zbiór wszystkich talentów, na jednego przelało słowika. Jakoż pienia skowronków, szczygłów, kosów, drozdów, kanarków i t. d. póty tylko są miłe, póki słowik milczy; lecz gdy się ten odezwie, gasną wszystkie, i niemasz nikogo, coby harmonijnych, ciągłych, a prawie zawsze nowych, najprzyjemniejszych spadków i odmian pieśni słowiczych, nad głosy wszystkich innych ptaków nie przeniósł. Zwyczajny czas śpiewania słowika jest od początku wiosny, gdy się liście na drzewach rozwijać poczynają, aż do letniego przesilenia dnia z nocą. „Na święty Wit, słowik cyt!“ Chowany w domu, przez dziewięć miesięcy prawie ciągle śpiewać nie przestaje. Lecz nie wszystkie słowiki równie pięknie śpiewają. Są spostrzeżenia, że pienia słowików w niektórych okolicach wdzięczniejsze są niż w drugich: drobne te odmiany i różnice od klimatu, pokarmu i pierwiastkowych wzorów śpiewania, lub innych nam niewiadomych przyczyn pochodzić mogą. Z miesiącem czerwcem słowik dziki śpiewać przestaje; wdzięczny głos jego zamienia się w chrapliwe kwokanie, tak różne od pierwiastkowych harmonijnych tonów, iż go wprawne tylko ucho doskonałych ptaszników głosem posłowiczym być uznaje.

Słowik u nas jest przelotnym ptakiem. Na końcu kwietnia pojedynczo przylatuje, a na początku września podobnież pojedynczo odlatuje. Gniazdo swoje kładzie w zaroślach, lub w gąszczykach liści drzew ogrodowych, mianowicie blisko wód, w niskich a ciemno zarastających krzakach. Samica niesie pospolicie jaj pięć, które troskliwie przez trzy prawie tygodnie wysiaduje. Przez czas jej siedzenia, samczyk usiadłszy blisko gniazda, śpiewa; lecz gdy się pisklęta wylęgną, w nocy tylko zwykł śpiewać, w dzień zaś pokarm dla młodych ptasząt zbiera i przynosi. Karmi się wszelkiemi owocami; jaja mrówcze szczególniej lubi.

---

53. MOTYL I ŚLIMAK.

(Bajka).

(p. J. Niemcewicza).

Leciuchny motyl, w nowe odzian szaty,
I złotem i jasnemi lśniący się szkarłaty,
W miesiącu maju, po pięknym ogrodzie
Latał wesoło, a w rączym zawodzie
Z kwiatów na kwiaty, od krzaku do krzaka
Bujając, spostrzegł biednego ślimaka.
Ten nic nikomu nie winien na świecie,
Lazł z domkiem swoim na grzbiecie
Piaskiem sypaną drożyną;
Gdy motyl z hardą i wyniosłą miną
Woła na ogrodnika: „Niedbały człowiecze,
Patrz, w twym ogrodzie jaki gad się wlecze!
Możeż ten ślimak, stworzenie nikczemne,
Plamić twe smugi i kwiaty przyjemne?
Wyrzuć go zapłot, albo zadepcz nogą.“
Ślimak z krwią zimną na tę mowę srogą
Tak odpowiada: „Los ślepy cię zwodzi,
Tobie być pysznym wcale się nie godzi;
Przypomnij sobie cały życia wątek,
A najbardziej twój początek:
Z bogactwy, co się dziś na tobie świecą,
Czém byłeś wczora? podłą gąsienicą.
Ja zawsze jeden, pod tym niskim krzakiem
Urodziłem się i umrę ślimakiem.
Kto drugim gardzi i z bogactw się puszy,
Podle zrodzonej cechę nosi duszy.“

---

54. KOŃ.

(p. A. Felińskiego).

Ze wszystkich zwycięstw, jakie otrzymał człowiek, najszlachetniejsze jest nad tym dumnym i ognistym zwierzem, który z nim dzieli trudy wojny i chwałę w boju. Równie jak jego pan nieustraszony, koń widzi niebezpieczeństwo i na nie się rzuca. Przywyka do szczęku broni, lubi go, szuka, i tymże samym co

rycerz wre zapałem. Dzieli także jego rozrywki na łowach, na turniejach, na wyścigach; błyska, sypie ogień. Lecz z odwagą łącząc uległość i pojętność, swemu zapałowi unieść się nie pozwala; umié go miarkować, nie tylko się poddaje ręce kierującego, ale stara się niejako wybadać jego życzenia, i jedynie ich pełnieniem jest zajęty. Na jego skinienie puszcza się, hamuje, albo stawa. Jest-to stworzenie, które swego jestestwa się zrzekło, chcąc tylko żyć wolą cudzą; które ją umié zgadywać i uprzedzać; które przez szybkość i dokładność swoich poruszeń każe się domyślać, że tę wolę rozumié i wykonywa; które czuje, co sobie życzymy, a działa ile chcemy; które nakoniec oddając się nam bez granic, od niczego się nie wymawia, łoży na usługę wszystkie siły, wycieńcza je nawet z gorliwości, i aby lepiej było posłuszném, umiera.

---

55. ORZEŁ I SROKI.

(p. A. Goreckiego).

Młody orzełek, poczuwszy swe plemię,
Począł się wznosić nad ziemię.
„Gdzież-to lecisz nieboraku?
„Nie siedziałbyś z nami w krzaku!“
Wszystkie sroki zakrzyczały.
Orzeł podwaja lot śmiały:
Wzbił się nad gaje —
Krzyczą srok zgraje.
Wzbił się nad wieże wzniesione —
Jeszcze krzyczą jak szalone.
Już minął Karpatu skały —
Jeszcze krzyczały.
A wtém się schował w obłoki,
I zmilkły sroki.

---

56. WIELBŁĄD.

(z Histor. natur. Jundziłła).

Ojczyzną wielbłąda są stepy Azyi umiarkowanej, a ugłaskany mieszka na całym wschodzie i w Afryce, gdzie wielu na-

rodów jedyne i całkowite bogactwo stanowi. Zwierz ten, krajów umiarkowanych mieszkaniec, zbyt wielkiego ciepła równie jak zimna znieść nie może. Próżno usiłowano przenieść wielbłądy do Ameryki, Hiszpanii, Francyi i Niemiec. Trzymając je w stajniach ciepłych, karmiąc starannie, dozwalając wolnego wyjścia w najpiękniejsze dni lata, można je utrzymać przy życiu, można nawet rozmnożyć, ale potomstwo ich będzie słabe, niedołężne, a same coraz bardziej nędznieć będą, aż nakoniec wyginą.

Arabowie uważają wielbłąda za drogi dar nieba, bez którego pomocy ani jeździć, ani handlować, ani żyćby nie mogli. Mleko i mięso wielbłądzie jest ich zwyczajnym pokarmem; wełna miękka i delikatna daje im wygodne odzienie. Mając wielbłądy, mogą ścigać w jednym dniu o 25 mil nieprzyjaciela, lub od niego uciekać — żadne wojsko świata nie zdołałoby ich dogonić.

Wystawmy sobie, powiada Buffon, kraj bez wody i roślin, słońce skwarliwe, niebo zawsze suche i pogodne, równiny piaszczyste, góry nagie i opalone, ziemię prawie martwą, wiatrami szarpaną i miotaną, pustynię zupełnie nagą, gdzie podróżny nigdy w cieniu nie spoczął — samotność daleko okropniejszą, niż samotność lasów, gdzie przynajmniej drzewa, istoty żywe, człowiekowi towarzyszą — przestrzeń okiem nieprzejrzaną, która mu grobem się staje — przestrzeń niepodobną do przebycia, w której upał, pragnienie, głód, trzymają go między śmiercią a rozpaczą! — Arab jednak za pomocą wielbłąda przebywa te okropne przerwy przyrodzenia, i co Europejczyk na morzu okrętem, on w pustyniach wielbłądem dokazuje: przewozi towary, ściga karawany, najeżdża spokojnych, najodleglejszych mieszkańców; i jak niespodzianie napada, tak prędko, zabrawszy zdobycz, ucieka niedościgniony. W ośmiu dniach 150 mil bez trudności ubiega.

W Turcyi, Persyi, Arabii, Egipcie, Barbaryi, wszelki handel i przewóz towarów na wielbłądach się odbywa. Kupcy i podróżni tworzą karawanę, a ta, jakożkolwiek jest liczna, zawsze z większej liczby wielbłądów niż ludzi się składa. Każdy wielbłąd według siły swojej jest obładowany, i nie przyjmuje więcej nad to, co unieść może. Zwyczajnie wielki wielbłąd niesie tysiąc do dwóch tysięcy funtów ciężaru, a w tych podróżach nie spiesznym lecz powolnym postępuje krokiem. Wieczorem puszczony na paszę, jeśli miejsce jest po temu, prędko się najada,

a całą noc przeżuwając odpoczywa. Karmi się zaś wszelkiemi ciernistemi roślinami, których żadne inne bydlę nie tyka; piołun, oset, pokrzywy i inne kolczyste krzewy nad słodkie i soczyste zioła przekłada.

Pragnienie wielbłąd przez kilka dni wytrzymuje. Na ten koniec przyrodzenie szczególniej go usposobiło. Prócz czterech żołądków, wszystkim przeżuwającym zwierzętom wspólnych, ma jeszcze żołądek piąty, jedynie do przechowania wody przeznaczony: ten jest tak obszerny, że znaczną wody ilość objąć może, a woda ta ani się psuje, ani z innemi pokarmami miesza. Wielbłąd spragniony, samém ściśnieniem muszkułów pomyka część wody z tego żołądka do innego, odwilża pokarmy i gasi pragnienie. Tym więc sposobem, raz w siebie nabrawszy wody, długo bez świeżego obchodzi się napoju: owszem, woda tak czysta, bez przymieszania innych wilgoci ciała i soków żołądkowych zachowuje się, iż w braku wody spragnieni podróżni, w pośród bezwodnych pustyń, wielbłądy niekiedy zabijają i wodą ich pragnienie gaszą.

Przyrodzenie wielbłąda łagodne jest i powolne. Na rozkaz przewodnika swego do wszystkiego się przyzwyczaja. Klęka na kolana, gdy ma podejmować ładugę — obładowany podnosi się prosto i bez pomocy. Bicia ani przymusu żadnego do przyspieszenia biegu nie potrzebuje — znużony i już prawie ustający, śpiewaniem i muzyką do podróży się zachęca. Samice nie pracują, lecz wolno się pasą, dla mleka, którego wiele dają, a które wybornym i jedynym jest pokarmem wielu azyatyckich i afrykańskich narodów. Żyje wielbłąd 40 do 50 lat.

---

57. WRÓBLE.

(Bajka).

(p. Antoniego Goreckiego).

Siedząc w stadzie wróble szare,
Wiodły uczoną rozmowę;
W każdém stworzeniu znalazły przywarę:
Dudek, mówiły, ma czubatą głowę —
Kraska mniema, że nadobna —
Wilga, doprawdy, do drozda podobna, —

Gołąb, niby to skromny, a wysoko leci —
Kukułka drugim narzuca swe dzieci —
Gil tam usiada, gdzie największe drzewa —
Szczygieł rozumie, że on pięknie śpiewa —
Pliszka, to czysty waryat, jak nastanie dzionek,
Lata po wszystkich kątach zadarłszy ogonek.
A panowież-to wróble sami byli jacy,
Że wszystkich brali na nice?
Byli-to sobie próżniacy,
Co jedli chłopków pszenicę.

---

58. KROKODYL.

(p. Stanisława Jachowicza).

Krokodyl jest zwierzę wielkie, należące do gadów, kształtu jaszczurki. Ma czasem do trzydziestu stóp długości. Żyje w Afryce i w Indyach. Ulubioném jego schronieniem jest trzcina, szczególniej nad brzegami Nilu. Znosi do stu jaj, wielkości gęsich, i składa je w piasku — te ogrzane słońcem wydają płód nowy.

Zwierzę to ma ogromną paszczę, zęby ostre i ostre pazury, wzrok bystry, skórę zwierzchnią łuskowatą i bardzo twardą. Biegnie szybko, ale tylko w prostym kierunku; zgiąć się nie może, dlatego łatwo przed nim uciec. Jest-to okropny potwór, połyka dosyć wielkie zwierzęta, przewraca statki, i rzuca się na ludzi.

Śmieli Afrykanie ze zdumiewającą zręcznością i odwagą uderzają na krokodyla, pokonywają go, i mięsa jego używają za pokarm. Małe zwierzątko, zwane ichneumon, wyszukuje jaja krykodylowe, wypija je, i tym sposobem znacznie przerzedza liczbę tych niebezpiecznych zwierząt.

---

59. KMIEĆ I MERKURY.

(Bajka).

(z Kniaźnina).

Ufając sobie w Boskiej opiece,
Rąbał drwa kmiotek przy rzece —

Uskoczy w wodę siekiera —
Podniosłszy ręce ze łzami:
„Jakże, zawoła, los mną poniewiera!
„Nie dość ciężkiemi znoić mnie trudami,
„Ostatni jeszcze sposób mi odbiera!
„Cóż teraz pocznę? o! nieba,
„Czém zarobię na kęs chleba?“
Alić, o! cudo, z ponadbrzeżnej góry
Spuści się razem Merkury,
Bożek ludzi utrapionych,
I patron rzeczy zgubionych.
Z ulitowaniem: Cóż ci to? rzecze —
„Czego tak płaczesz, biedny człowiecze?
— „Nie wiem, odpowie, z jakiej przygody
Wpadła mi do tej siekiera wody —
Ostatni sposób życia straciłem!
Z niej tylko żyłem.“
Tu Merkury nurkiem siągnie,
Siekierę złotą wyciągnie:
„A co? pyta się, czy twoja?
— „Nie, mówi, to nie moja.“
Srebrną potém wydobędzie:
„Może ta będzie?“
— „Nie ta“. — Tu za trzecim razem
Dobywa drewno z wsadzoném żelazem.
— „Ta jest! ta“ — skoczy, i czyniąc podziękę,
Boską całuje mu rękę. —
Bożek cnotliwą tknięty prostotą,
Wziąwszy zarazem srebrną i złotą,
Rzecze: „Człowiecze szczery,
„I te miej sobie siekiery.“
Oddawszy zniknął — a kmieć w radości,
Uniesie za nim ręce wdzięczności.
Gdy takim darem bogaty
Począł się chlubić przed swoimi braty,
Gdy opowiedział, aż do ich zazdrości,
Boskiej nad sobą cud opatrzności:
Jeden z nich zaraz postanowił sobie
Próbować szczęścia w podobnym sposobie.

Nic więc nie mówiąc nikomu,
W to samo miejsce zaszedł pokryjomu;
A co pierwszemu stało się z przygody,
Umyślnie wrzucił siekierę do wody.
Zaczął płakać, ręce łamać,
I przed całém niebem kłamać.

Przybył Merkury — z równą ochotą
Siekierę z wody wyciąga złotą:
„Mój przyjacielu! czy to ma być twoja?"
— A on z radością wyskakując krzyknie:
„Ach! moja właśnie, moja to jest! moja!"

Taka bezczelność bożka przeniknie —
Więc rzekł Merkury ku wszystkich nauce:
„Brzydzę się fałszem, człowiecze nieszczery!
„Nie tylko tej ci nie oddam siekiery,
„Ale i tamtej nie wrócę."

A tak, co kłamstwem radby się zbogacił,
I złotej nie wziął i żelazną stracił.

---

60. ZDANIA OBYCZAJOWE I PRZYSŁOWIA.

Cudze rzeczy wiedzieć, ciekawość jest, a swoje potrzeba.
Nie kto siła umié, ale kto umié co potrzeba, dość mądry.
Z uczynku nie z słów dobrego poznają,
Gdy siła dobrze czynisz, mów o tém mało. Ile dobrym postępkiem przyczynisz sobie sławy, tyle chełpliwością ujmiesz.
Do mowności a nie do rozumu należy, wielą języków mówić: kto jednym mówi rozsądnie, ten jakoby wszystkie umiał.
Milczenie skarb wielkiej ceny: milcząc dokażesz. Milczenia rzadko kto żałował, a mowności często.
Pytasz, co złego o tobie ludzie mówią? raczej pytaj, co mówią dobrego — chyba że się sam źle czujesz.

(Alex. Fredro).

61. CNOTA JEST PRAWDZIWYM SKARBEM.

(p. Jana Kochanowskiego).

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiém inszém panuje przygoda.

Siła zrobi, kto robi jak potrzeba. Wszystko zrobi, kto wedle czasu robi.

Kto się na swój rozum spuszcza, pyszny raczej, a nie mądry.

Zły do urazy bierze przestrogę, mądry do poprawy.

Piękny żart, kiedy bez szkody, bez bólu, kiedy bez przymówki: inaczej nie żart, ale gotowa zwada.

Prawdy a żartów jako soli używaj, bo często przesolisz.

Porada albo przestroga jako ziarno: taki owoc wydaje, na jaką ziemię padnie. (*Fredro*).

---

62. NA CZEM SZCZĘŚCIE.

(p. K. Brodzińskiego).

Kto tylko sobie budował,
Nic dla siebie nie zakłada:
Kto świat cały umiłował,
Ten i cały świat posiada.
Niezłomne męztwo wywyższa nad ludzi,
Szlachetne chęci ku Bogu podnoszą:
Czyste wesele, które cnota budzi,
Równa się z boską roskoszą.

Kto się nie douczy, albo przeuczy, szkodliwszym bywa od prostaka.

Nie dopuszczaj wkorzeniać się złemu: co dzisiaj łatwo wyrwać możesz, jutro siłą nie wyważysz.

Długo myśl, prędko czyń.

Złotą wędą łowi, kto się lekko na rzecz rozmyśla: albo mu wędę utracić, albo płotkę złowić; większa szkoda z wędy utraty, niż korzyść z obłowu.

Nie sama mądrość mądrze mówić, ale wiedzieć, kiedy nie mówić lecz zamilczeć.

Złotnik w cichości tysiączne kształtuje klejnoty: u kowala pełno huku, roboty za szóstak. Tak jednego ciche sprawy zacniejsze bywają niż drugiego, co z rozgłosem wiele niby robi. (*Fredro*).

---

63. *Stałość i cierpliwość wszystko zwycięża.*

SKAŁA I KROPLA.

(Bajka).

(*p. St. Jachowicza*).

„Jakież zamiary zuchwałe!
„Ty kroplo wody chcesz wydrążyć skałę?"
Rzekła twarda opoka, i dumnie spojrzała
Na kroplę, która spadała.

Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada —
I stałością dokazała,
Że się wydrążyła skała.

Gdy czas na próżnem czytaniu trawisz, jakobyś motyle w powietrzu chwytał: złapawszy rzucić je musisz, i tylko ci palce poplamią. (*Skarga*).

Zawdy ludzie z towarzystwa, jakiego się kto trzyma, sądzili i sądzą; a jakiego widzą jednego, tak o drugim rozumieją. Bo każda rzecz do podobnej sobie z przyrodzenia rada się garnie. A przeto trzeba na to mieć pilne oko, z kim przyjaźń zacząć. (*Łuk. Górnicki*).

Roskosz jako pszczoła: miodu troszka, a żądła i boleści wiele.

Pomyślenie jest jako ziarno — przyzwolenie na uczynek jako żdźbło — a kłos z owocem jest popełnienie uczynku. (*Skarga*).

Skąpy bogacz jako skrzynia: choć w niej złoto, przecie w kącie leży.

Łakomy od marnotrawcy uboższy: ten co ma rozproszy, ale użyje — tamten, co ma niema, dobrowolną nędzę cierpiąc, bo wszystko w łakomstwie zatonie.

Mało bogactw, mało troski: troskliwe jest bogactw staranie.

Bezpiecznie żyjesz, gdy bez obwinienia.

Małą szkodą zbyć się większej, stoi za korzyść. Lepiej zmoknąć niż utonąć.

Przy statku a skromności, rada się cnota wiąże. (*Fredro*).

Chociaż nie skończysz, ciągle rób;
Ciebie, nie dzieło, zamknie grób:
Choć tu dla czynów krotko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.
(*Brodziński*).

Kto z Bogiem, Pan Bóg z nim.
Pokora niebiosy przebija.
Znać po mowie, jaki rozum w głowie.
Bez prace nie będą kołacc.
Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimie głodu.
Cudze ręce lekkie, ale nieużyteczne.
U leniwych zawsze święto.
Nie przyjdą same gołąbki do gąbki.
Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.
Z młodu tarnki się ostrzą.
Jaką miarką mierzysz, taką ci będzie odmierzono.

---

64. ZDRADA UKARANA.

(Przysłowie).

Skradał się lis na króliki,
I podkopywał pod gródzę; —
Gospodarz zastawił wniki:
„A tuś mi! nie rusz co cudze."
Sparzony jakby w ukropie,
Nieboże, rzekł tylko: biada!
Kto pod kim dołki kopie,
Ten sam w nie wpada.

Cicha woda brzegi rwie.
Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Nałóg staje się drugą naturą.
Daj kurze grzędę, ona powie: jeszcze wyżej siędę.
Nie przebieraj, bo przebierzesz.
Każda liszka swój ogon chwali.
Znam cię ziółko, żeś pokrzywka.
Nie pomoże kruczkowi mydło.
Na kogo przymówka, na siebie ni słówka.

---

65. KOCIEŁ I GARNIEC.

(Przysłowie).

Przyganiał kocieł garncowi:
„Wstydź się! jakiś brzydki cały!
„Osmolony, okopciały!“

— Garnek odpowié:
„A cóż cię to w błąd wprowadza?
Wszak my to bratnie naczynie
W jednym siadamy kominie —
Czy twoja nie smoli sadza?

Trafi się i ślepej kurze ziarnko.
Złej tanecznicy i fartuszek zawadzi.
Kiedy sówka zjastrzębieje, chce latać wyżej niż sokół.
Próżno dwie sroki za ogon ciągnąć.
Trudno płynąć przeciw wodzie.
Czego natura nie dała, tego kowal nie ukuje.
Według stawu grobla.
Diecko za rączkę, matkę za serce.
Kiedy wnijdziesz między wrony, musisz krakać jak i ony.
Siedź w kącie, znajdą cię.

---

66. KAMIEŃ I KOSA.

(Przysłowie).

Z rączym sierpem na wyścigi,
Cięła kosa, cięła śmiało,
Chwasty — osty — wrzos — łodygi,
Nic się przed nią nie ostało.

Pyszna, w szale swych omamień,
Gdy chce moc pokazać swoję,
T r a f i ł a k o s a n a k a m i e ń,
I zgrzytnąwszy pękła w dwoje.

---

67. TRZEJ PRZYJACIELE.

(*p. K. Brodzińskiego*).

Nie ufaj żadnemu przyjacielowi, póki go nie poznasz. Więcej ich jest przy obfitym stole, niżeli przy drzwiach więzienia.

Jeden człowiek miał trzech przyjaciół. Dwóch bardzo kochał — dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten lepiej mu sprzyjał.

Raz zawołany był do sądu, gdzie niewinnie ale ciężko był oskarżonym. „Który z was (mówił) pójdzie ze mną, by za mną świadczyć? bo ciężko jestem obwiniony i król się gniewa.“

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma inne zatrudnienia. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, ale tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej rachował, wszedł za nim, mówił, i tak dowiódł jego niewinności, że sędzia nie tylko go puścił, ale i obdarzył.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie: jakże oni się zachowają w godzinę śmierci, kiedy go Bóg do sądu powoła? Pieniądz, jak najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód, i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy śmierci, i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej w życiu pamiętał, są jego dobre czyny. One tylko pójdą za nim do tronu sędziego — one mówić będą za nim, wyproszą mu litość i łaskę.

---

68. BRAT I SIOSTRA.

(*p. K. Brodzińskiego*).

Brat.

W kącie szkolna teka leży,
Tęskność już mnie z domu woła;
Czas niezwrotny prędko bieży,
Mnie zatrzymać nic nie zdoła.

Siostra.

Moje już lalki stargane,
Matce być mogę przy boku;
Raczej ja w domu zostanę,
Czekać mojego wyroku.

Brat.

Muszę widzieć Rzym wspaniały,
Gdzie ojczyzny życiem żyli;
Tam-to umiał syn dla chwały
Święcić życie krótkiej chwili.
Muszę przebyć skały, morze,
Mnie nauką wszystko będzie:
Dla człowieka jest przestworze,
Los potrzeba ścigać wszędzie.

Siostra.

Nigdy ja domu nie rzucę,
Miła mi grządka choć mała;
Tu niech się cieszę i smucę,
Kędym kwiateczki posiała.

Brat.

Mnie się co nocy śnią wojny,
Drży mi serce gdy je słyszę;
Dla honoru młodzian zbrojny
Mieczem swoją pamięć pisze.
Muszę wsławić plemię moje:
Wolę imię, niżli życie.

Siostra.

Matka i ojciec są starzy,
Tęskny im czas tego świata!
We dnie i w noc mi się marzy,
Jak im osładzać ich lata.
Cichym ja pracom i cnotom
Będę poświęcać się cała,
Szyła sukienki sierotom,
Chorych ubogich wspierała.

Brat.

Jeden Bóg jest ojcem świata;
Cała ludzkość jest rodzina,
W każdym stanie widzę brata,
W każdej wierze niebios syna.
W czasie żyję — chcę go użyć;
Niech do działu każdy stawa;
Mam-li władać, albo służyć,
Muszę słuchać, żądać prawa.

Siostra.

Dobrze mi z ojców mych Bogiem,
Tajne są moje życzenia;
Składać przed jego chcę progiem
Żale i tęskne marzenia.
Trzeba się poddać i znosić,
Bóg to w mądrości uznaje;
Trudno-li szczęście wyprosić,
Niechaj cierpliwość nam daje.

---

69. O NAUCE.

(p. Ignacego Krasickiego).

„Kochaj się w nauce, bo ta się w każdym czasie przyda a nigdy nie odstąpi —cokolwiek inne rzeczy użyteczności mają, w niej się to wszystko zamyka. Nauka matką jest wszelkiej pociechy, ale płodem cierpliwości i pracy. Jest szacowna, ale nie łatwa; w doskonałym zaś stopniu rzadka; im więcej ją poznasz,

tém więcej czuć będziesz, jak wiele ci jeszcze nie dostaje. I w naukach i w każdej porze życia bez pracy i cierpliwości nic się stać nie może: bez bicia w skrzydła ptak nie podleci; kruszce głęboko w ziemi, a perły w morzu są na dnie".

---

70. WIEŚNIAK.

(p. Stanisława Jachowicza).

Biedny wieśniak, rozliczne wytrwawszy przypadki,
Rzekł: „Jabym tylko pragnął lichej jakiej chatki,
Krowy, owieczki, i szkapy choć starej." —
Zyskał od Boga te dary.
Już więc szczęśliwy — któż bardziej być może? —
Wkrótce kradną mu owcę . . . „Wola twoja Boże!...
„Mam jeszcze, mówił, chatkę, źrebicę i krowę."
Alež nieszczęście spotyka go nowe:
Ginie krówka, i pada kobyłka znędzniała —
Lepianka tylko została!
Ten, co próżno za szczęściem od tak dawna gonił,
Łzy nie uronił.
Raz zrana, niespodzianie, wchodzi podstarości,
I w imieniu dziedzica żąda zaległości;
Jakieś wymienia długi i podatki —
A że nie miał pieniędzy, wypędza go z chatki.
Płaczą dobrzy sąsiedzi nad losem sąsiada.
„Nie — rzecze, ten nie zginął. kto zdrowie posiada;
„Bądźcie o mnie spokojni, mam jeszcze dość siły —
„Ot, pożyczcie mi tylko siekiery i piły."
Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski,
Pracował i oszczędzał. Przy pomocy Boskiej,
Niezadługo założył gospodarstwo nowe:
Znowu miał owcę, konia, chałupkę i krowę.

---

71. PRACA I NUDY.

(p. K. Brodzińskiego).

Bardzo się myli, kto sądzi, iż sobie sprawi ciągłą przyjemność, zmieniając swoje tylko zabawy i roztargnienia. Próżniak

i niewieściuch nazwałby to nudném udręczeniem, gdyby ciągle to chodził z strzelbą za zającem, to siadał do kart, to się po ulicach przechodził, to zabierał czas innemi odwiedzinami. Taka rozmaitość staje się nakoniec nudną jednostajnością. Próżniak szukający zatrudnienia zazdrości często temu, kto drzewo rąbie lub kopie w ogrodzie. Niemasz więcej udręczającej pracy, jak nudy; niemi udręczywszy się przez dzień, dręczymy się coraz więcej w spoczynku po pracy żadnej, że dzień z trudnością przebyty tylko nam wstyd wewnętrzny przyniósł w zarobku. Przeciwnie, dobroczynnie to urządziła Opatrzność, że każda praca, z powołania albo urzędu ludziom użyteczna, jakkolwiek długa, bez zniechęcenia odnawianą być może. Zatrudnienie i rzemiosło, które nas w młodości bawiło, przyjemne jest i na starość, nawet wtedy, gdy już możnaby tylko swobodnie ich owoców używać. Po pracy całodziennej rzeźwi wstajemy nazajutrz; gdy liczymy przeszły i przyszły pożytek, wszystko wkoło nas wesoło rośnie, i my ze wszystkiem. Powoli nie owoc pracy, ale praca sama staje nam się potrzebą i niejaką nagrodą. Nie masz do zabaw samych lepszej zaprawy, jak gdy po pracy do nich przychodzim. Kto tylko ciągle się bawi, ten i w zabawie pracuje; kto jedno z drugiém rządnie przeplata, ten sieje i zbiera, tego zabawa prawdziwie orzeźwia. Uczęstowanie przyjaciół nigdy nie jest milszém, jak gdy im stawisz owoc własnej twej pracy. To jest najgodziwsza wystawność i dom najszlachetniejszy.

Na smutek i pewną słabość duszy i ciała niemasz lepszego lekarstwa jak zatrudnienie. I najbogatszy przez pracę tylko szczęśliwym być może. Niemasz skarbów, któreby bez niej próżne godziny nieczynnego życia zapełnić zdołały.

---

72. POBOŻNOŚĆ.

(*p. St. Jachowicza*).

Był-to pustelnik — od dawnego czasu
Mieszkał samotnie w głębi ogromnego lasu;
Małą kapliczkę wykuł sobie w skale,
Ku Boskiej chwale.
Zaledwie zajaśniał dzionek,
Już brzmiał głośno jego dzwonek
Na wieżyczce zawieszony;

A te wdzięczne jego tony
Odbijały się o drzewa.
Klęka starzec, ręce wznosi,
Drżącym głosem pieśni śpiewa,
Szczęśliwość cnoty, chwałę Boga głosi.
Potém idzie do ogrodu,
I w czoła pracuje pocie,
Myśli zawsze przy Bogu, ręce przy robocie.
Aż o południu odpoczął wśród chłodu;
W szałasie ubogim dar Boży pożywa.
Surowe owoce, z ogrodu warzywa,
I czysta z krynicy woda.
Choć ubogi, on nieraz biednym rękę poda.
Nie jednemu pomoc niesie,
Co się w tym zabłąkał lesie.
Dzwonek mu go tam sprowadził —
On go przyjął uprzejmie, na darni posadził,
Uczęstował, pocieszył;
A podróżny odpoczął, i dalej pospieszył.
Poczciwy starzec, jak witał blask słońca,
Z sercem wesołém czekał i dnia końca.
Znowu się dzwonek odezwał z wieżyczki,
Znowu się starzec udał do kapliczki;
Ze świętą skruchą odmawiał pacierze. —
Powiedzcie mi dzieci szczerze,
Czy wy myślicie,
Że tak tylko możecie wieśdź pobożne życie?
O! błędne wasze mniemanie.
W każdym wieku, w każdym stanie,
Otwarte do tego wrota:
Lecz pierwszym warunkiem cnota.
Przy cnocie modlitwa, co z serca wypływa;
„Bez cnoty, Bóg mówi, i wiara nieżywa.“
Pobożnemi być mogą i maleńkie dziatki:
Niech słuchają ojca, matki,
Starszych i nauczycieli;
Niech się każde z biednym dzieli,
O Bogu zawsze pamięta;
Dobrem bliźnich niech będzie myśl jego zajęta.
Niech z wszystkiemi w zgodzie żyje:

A czy je chleb, wodę pije,
Niechaj Bogu niesie dzięki,
Bo to wszystko z jego ręki.
Gdy nieszczęście go dotyka,
Niech nie szemrze, nie narzeka,
Lecz się zgadza z wolą Pana —
To pobożność pożądana.

---

73. PROSTOTA I PROSTACTWO.

(*p. Klem. Tańską*).

Podobne w brzmieniu dwa te wyrazy, w znaczeniu swojém zupełnie są odmienne. Już półtora wieku temu, oznaczył ich różnicę Fredro, kiedy w wybornych Przysłowiach swoich napisał: „Bądź prostym, nie bądź prostakiem.“ Ale my, pomimo tej jego przestrogi, mieszamy je często i jeden w miejscu drugiego kładziemy.

Prostota jest miłym przymiotem, prostactwo wadą. Prostota obejmuje jednakowo zewnętrznego i wewnętrznego człowieka — prostactwo więcej powierzchowności się tyczy.

Nic milszego nad prostotę. Własność dziecięcia i niewinności, towarzyszka nieoddzielna szczerości, skromności i dobroci, ułożeniu, czynom, mowie, pismom niewysłowiony wdzięk nadaje. Nic przykrzejszego od prostactwa — cecha złego wychowania, szpeci piękność i cnotę samę.

Prostota każdemu wiekowi, największej godności przystoi, wszystkich bawi, zniewala, przywiązuje. Prostactwo nikomu nie jest do twarzy; wszystkich razi, odstręcza, odpycha.

Wymów otwarcie ale delikatnie przyjacielowi uchybienie jakie — wyda się serca twojego prostota: wyrzucaj mu je obrażającemi słowy, będzie to prostactwem.

W piśmie, w mowie, nie wyszukanych lecz szlachetnych używaj wyrazów, tłumacz się jasno, bez przesady — a twój sposób pisania i mówienia będzie prosty. Użyj gminnych, nieprzystojnych wyrażeń, a będziesz pisał i mówił jak prostak.

Niech twój ubiór będzie schludny, skromny, zgadzający się z twoim majątkiem, a nazwą go ubiorem prostym — nieporządną i nieprzyzwoitą odzieżą wydasz prostaka.

---

74. DZIADEK.

(p. K. Brodzińskiego).

MŁODZIENIEC. Dziadku! gdzież tu dostać chleba?
DZIADEK. O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa.
Najlepiej ująć się pługa!
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.
MŁODZIENIEC. Gdzież tu, dziadku, są zabawy?
DZIADEK. Sześć dni drogi do nich będzie —
Sześć dni obchodź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie:
Zysk obrachuj — potém śmiele
Baw się wesół przez niedzielę.
MŁODZIENIEC. A gdzie też tu szkoła będzie?
DZIADEK. Szkół i mędrców jest dokoła;
Lecz w kółko chodząc czas stracisz,
Zawrotem głowy przypłacisz.
Ale jest na niebie karta,
Dla człowieka wciąż otwarta.
Czule, czynnie puść się w drogę,
Ucz się własnemi błędami;
Nie leń się szukać, a znajdziesz;
Nie wiele pytaj, a zajdziesz.
MŁODZIENIEC. Gdzież tu znaleść przyjaciela?
DZIADEK. Tego tylko los udziela.
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Lecz kto sercem twém zawładnie,
Kto twój skryty smutek zgadnie,
Rad przysporzy ci wesela,
W tym znalazłeś przyjaciela.
MŁODZIENIEC. A gdzie też tu mieszka cnota?
DZIADEK. Skryła się za swoje wrota;
Oddawna samotnie żyje.
Obdarli ją ludzie podli;
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,

Spokojna czystém swém tchnieniem;
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkiém cierpi cierpieniem.

Młodzieniec. A gdzież tutaj szczęście będzie?

Dziadek. Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia;
Zresztą zapytaj sumienia —
Umié twój język, toć powie.

---

75. O ZDROWIU.

z dzieła „Pamiątka po dobrej matce“.

(*p. Klem. Tańska*).

Szczęśliwy człowiek, którego zdrowa dusza w zdrowém ciele mieszka. Nie zapominaj nigdy zdania tego, córko moja! Dusza nasza jak najściślej z ciałem jest złączona, i jak spokojność pierwszej skutecznie na drugiém działa, tak równie stan nasz cielesny wielki ma wpływ na umysłowy. Narzędziem duszy jest ciało: skoro to cierpi gwałtownie, umysł traci wiele z swej pogody i mocy. Największego muzyka granie czyż się wyda na fałszywym lub zepsutym instrumencie?

Słabe zdrowie ciągnie za sobą tysiączne dolegliwości: trzeba cnoty nadludzkiej, aby przy nich stale wesoły umysł zachować. Rzadko człowiek częstych lub ciągłych doznający cierpień posiada tyle stałości i taką moc duszy, jakiej po nas wymaga życie niekiedy pełne goryczy. Rzadko kto tak dalece o sobie zapomnieć może, aby pomimo przykrych boleści ściśle dopełniał powinności stanu swego, i drugim nie stał się uciążliwym. Nic więc szacowniejszego niema nad zdrowie. Samę tylko cnotę przekładać nad nie powinnaś, i wszelkiej użyć baczności, aby tak drogiego nie postradać skarbu. Ileżto kobiet przez płochość i nieuwagę rozłącza się ze zdrowiem na zawsze! Napróżno potém ofiarą połowy nędznego życia odzyskaćby chciały swobo-

dę drugiej połowy, i ów klejnot, który raz utracony, nigdy już więcej nie wraca.

Czuwaj zatém pilnie nad twojém zdrowiem; w młodości albo utrwalić je, albo osłabić na zawsze można. Wiesz, jaki ma związek stan nasz fizyczny z umysłowym; staraj się więc zawsze zachować spokojność duszy. Nie bierz za żywo przykrości, jakie się w życiu naszém zbyt często przytrafiają; bądź umiarkowana we wszystkiém; chroń się namiętności gwałtownych, a nadewszystko powściągaj w sobie czułość zbyteczną. Wierz mi, że nic bardziej sił i zdrowia nie niszczy. Wielkie tylko nieszczęścia na poddanie się niekiedy tej słabości duszy pozwalają.

Pewny porządek i prostota w życiu zasadą są zdrowia. W pracy, w zabawie, w poruszeniu ciała, w jedzeniu, piciu, spaniu, we wszystkiém zgoła trzeba być umiarkowaną i jednostajnych trzymać się prawideł. Ta jednostajność, nie będąc bynajmniej przykrą, zbawienny wywiera wpływ na ciało i duszę człowieka.

Przywykaj zatém do prostoty życia, prostej ale schludnej odzieży, prostego jadła i napoju; nie rozpieszczaj ciała zbytniemi wygodami, bo miękkość zbytnia przystępném je czyni wszelakim słabościom.

Potrzebném jest wreszcie, a nawet koniecznem do utrzymania zdrowia ochędostwo. Niema młodej osoby, którąby nie chciała wyglądać świeżo i czerstwo — otrzyma więc cel swoich życzeń, jeśli najpilniej starać się będzie o czystość ciała i ochędostwo. Częste używanie kąpieli, mycie się czystą wodą, wielce zdrowiu sprzyja — to ci więc szczególniej zalecam.

Kiedy zaś doznasz słabości jakiej, nie bądź zaraz niespokojną; znoś ją cierpliwie, abyś na większe dolegliwości, które niemal każdą kobietę czekają, miała dostateczne siły. W cięższych i niebezpieczeństwem grożących przypadłościach, nie odrzucaj rady starszych i doświadczonych osób; a zwłaszcza biegłego lekarza; miej w nim ufność, i słuchaj go we wszystkiém.

---

76. DO ZDROWIA.

(*p. Jana Kochanowskiego*).

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz:

Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie.

77. O POTRZEBIE KORZYSTANIA Z CZASU.

(p. Jana Śniadeckiego).

Próżniactwo jest nie tylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg, staje się na całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności i zbrodni w towarzystwie, czego dowodzą obyczaje żyjących i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym Stwórcy i przyrodzeniu, zakopując dary ciała i umysłu — wyrasta na nieużytecznego a częstokroć szkodliwego członka społeczności; przywyka do opuszczania i lekceważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może; gotuje sobie nudę, nieodstępną całego życia męczarnią i towarzyszkę, od której uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienia rujnujące jego zdrowie, majątek, a czasem uczciwość i dobrą sławę. Nie trzeba się więc dziwić, że pierwszy a surowy Ateńczyków prawodawca, Drako, położył próżniactwo w liczbie najszkaradniejszych występków, i na nie, jak na ojcobójstwo równe kary rozciągnął.

Człowiek z przepisu natury jest stworzeniem czynném; jego siły i władze raz odsklepione i wydobyte potrzebują ruchu i użycia. Niemasz zaś biedniejszego stworzenia, jak człowiek młody, do niczego nie przywiązany. Wszystko mu się wydaje obojętne i nudne — dorywcze zabawki są tylko dla niego przemijającém roztargnieniem na zgubę czasu. Dla niego świat cały trzeba żeby się ustawicznie odnawiał i przemieniał, iżby płoche jego żądze mógł rozerwać i zatrzymać. Do uniknienia tej przywary trzeba szanować czas, i być rządnym w jego użyciu.

78. PRACA.

(p. K. Brodzińskiego).

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży podle skroni:
Swobody bóstwo mu wszędzie
Dni złotych pasmo uprzędzie.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niech próżności hoid wypowie;
Śpiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody.

A gdziekolwiek losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie;
Bo praca skarbiec dziedziczy,
Którego nigdy nie zliczy.

---

79. ŚWIĘCI ROBOTNICY.

(*p. T. Lenartowicza*).

Do pracy wezwał Pan ludzi i twory,
Życie wlewając w swoje robotniki:
Połyskujące srebrnemi kolory
Jedwab snujące z siebie jedwabniki —
Pszczoły znoszące słodki miód z daleka,
I mrówki, które zawstydzają człeka.

I ten Przedwieczny, co niebo budował,
A pod niém pułap gwiazd rościągnął złoty,
O! przyjaciele, on rąk nie żałował
Do swojej wiecznej roboty.

On pracującym jasną wieczność dawa,
Swojego miasta otwiera im bramy,
Wielki Robotnik! który przed wiekami
Ustawił pracy nieśmiertelne prawa.

Niech kowal kuje młotem,
Cieśla drzewo niech trze piłą;
Lirnik wiejski niech pod płotem
Swą pokręca lutnię miłą.

Genowefa pasła trzodę
Piotr zapuszczał sieci w wodę,
A Izydor orał rolę,
Za wołami chodząc w pole —

Sługą była święta Cyta,
Jakób służył za paroba —
W pracy dla nas wieczność świta,
W pracy sobie Bóg podoba.

II.

80. WIDZENIE.

GAWĘDA Z KOŃCA XVIII WIEKU.

(z dzieła „Stare gawędy i obrazy")

(p. K. W. Wójcickiego).

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.

Za mej pamięci, dziatki moje (prawił dziadek, pan Stanisław z Wierzbowa, do wnuków swoich) nie było tylu mędrków co dzisiaj — modlono się szczerze, wierzono mocno w co ojcowie starzy wierzyli, i lepiej nam z tém było. Oj! tak, lepiej; bo w każdém utrapieniu, w każdej dolegliwości, człek miał pociechę i pomoc w tym miłosiernym Bogu, który prawdziwego sługi swego nigdy nie opuszcza. Dzisiaj żartują sobie z piorunów, i stawiają na domach jakieś tam żelazne pręty. Miły Boże! pewniejszy był Loretański dzwonek, albo rozpędzający chmury dzwon na wieży kościelnej, gdy gradowa zbliżała się nawałnica. O! święte czasy — nie sromano się wtedy pomodlić i czołem Bogu uderzyć. Każdy też przed ołtarzem padał ze skruchą na kolana: ale gdzieindziej, w potrzebie nie ugiął karku tak łatwo, stał silnie by dąb, i szanowano jego odwagę. A bywało w podróży, to śpiewa psalmy lub godzinki, to odmawia modlitwy i krzyżem żegna drogę — i nie raz wybawiło to z przygody. Ja sam pamiętam, kiedy byłem na Rusi, i przejeżdżałem przez jednę wioskę, wyszła ku mnie stara kobieta, i nuż prosić pokornie, abym z jej rąk wypił czarkę miodu. W dobrej wierze, (bo nie wiedziałem, że baba ta była czarownicą, a miała do mnie jakieś dawne urazy) biorę szklankę, ale według swego zwyczaju żegnam ją krzyżem świętym — aż tu brzdęk! i dno całe wyleciało — a owa niecnota ze strachu uciekła. Kto wie co tam było w tej szklance! We śnie też Pan Bóg przysyła czasem przestrogę, jak raz panu Wojewodzie, u któregom dworsko sługiwał. Jeszczem

był małym chłopcem, kiedyśmy się byli wybrali w podróż do jego dóbr na Ukrainie. Jedziem i jedziem — jakoś jednego dnia wjechaliśmy w długą i gęstą puszczę. Już noc za pasem, a tu ani dachu, ani żadnego schronienia — aż wreszcie nadybaliśmy karczemkę lichą i brudną. Nie było jednak w czém wybierać, tém bardziej, że zbierało się na burzę, czarne chmury okryły zewsząd niebo. Żyd już spał czy udawał śpiącego; ale jak go hajduk po swojemu poprosił, ustąpił zaraz miejsca podróżnym. Rozpalono ogień na kominie i powypędzano z izby bachorów, z któremi żyd gwarzył po stronie, jak widać było, z wielką ostrożnością. Ja patrząc z boku dostrzegłem, że zaszeptawszy coś do ucha małemu chłopcu, wsadził go na konia i posłał z jakiémś prędkiém zleceniem. Opowiedziałem to memu panu. Ale Wojewoda, ufny w opiekę Boską i liczbę swoich dworzan, spokojnie zjadłszy wieczerzę zasnął. Spocząłem i ja przy jego nogach na wiązce siana. O północy zerwał się pan Wojewoda, ukląkł, a pomodliwszy się nieco, znowu zasnął. Jam już oka nie zmrużył — jakiś strach mnie dziwny ogarnął. Kiedy kur pierwszy zapiał, zrywa się powtórnie Wojewoda, pada krzyżem i woła: „Niech się stanie twoja wola Panie! jeżeli mi przestrogę rzeczywistą przysyłasz.“ I zaraz kazał mi wstać, zbudzić ludzi jak najciszej, z zaleceniem, aby się mieli co rychlej do broni, bo hajdamacy nad karkiem. Sam co prędzej się ubrał, kazał wrota mocno obwarować, a do izby przywołał sześciu dworskich z nabitą strzelbą. Pacholik wysłany na zwiady, z dymnika ujrzał gromadę zbrojnych. „A więcto prawda (rzekł do siebie Wojewoda) com we śnie widział i słyszał. Święta twoja wola Panie niech się stanie!“ Niebawem nadciągnęła owa kupa łotrzyków, uzbrojonych w szable, siekiery, samopały. Po krótkiej naradzie, uderzyli jedni we wrota, drudzy przez okna do izby — ale gdy z obu stron niespodzianie dano do nich ognia z rusznic, pierzchnęli od razu, zostawiwszy kilku ranionych i zabitych. We dwa pacierze jużeśmy na bryczkach siedzieli, a każdy z gotową do obrony strzelbą. Woźnice zacięli konie — a ledwośmy ruszyli z miejsca, już dach cały na onej karczmie stanął w płomieniach.

---

81. DUCH SIEROTY.

(*p. T. Lenartowicza*).

Idzie sobie pachole, Przez zagony, przez pole.

Wielki wicher, ulewa,
A to idzie i śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy,
I rzecze temi słowy:
Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz nieboże?

— Oj długom ja płakała,
Gdy mnie nędza wygnała,
Gdy ja biedna sierota
Drżąca stałam u płota.
Aż raz w nocy niedzielnej,
Przy dzwonnicy kościelnej,
Śnieg użyczył pościeli,
Duszę wzięli anieli.
Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował;
On mnie ubrał w sukienki,
Do tej zimnej trumienki.
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba.

O! sieroto, o! dziecię,
Nic ci nie żal na świecie? —

— Żal mi jeno tej łąki,
Gdzie fijołki i dzwonki.
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie;
I fujarki wierzbowéj,
Z nad zielonej dąbrowy.

---

82. GAWĘDA STAREGO MARCINA.

(z Pamiętników Kwestarza)

(*p. Ign. Chodźkę*).

Gdzie pojedziem, Marcinie? zapytałem, wyjechawszy z miasteczka.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość.

— Tyś nie raz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak wiesz najlepiej.

— Już to, mój Jegomość, do bliskich tu dworów niéma po co zajeżdżać; nam potrzeba osadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zawiozę Jegomości do p. Jana Bielewicza, ztąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę.

— Dobrze, jedźmy do p. Bielewicza.

Wlekliśmy się noga za nogą, mówiąc po cichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, potrząsając tabakę z rożka i oglądając się na mnie z jakąś skrzywioną miną: ja wzajemnie rozważałem jego posturę. Stary ale czerstwy, miał na sobie habit przykrojony na kapotę; na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz sterczała wysoka czapka z czarnego barana. Po kilku po-

glądach na mnie, przerwał nakoniec długie nasze a widać uprzykrzone jemu milczenie:

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo widać miasteczko?

— To Mir, zdaje mi się.

— A tak, Mir. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomości powiem, bo o wszystkiém ja tu wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy a mowny, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy jest o czém. Otóż o tym dzwonie taka jest dykteryjka:

Nasz Książę Panie kochanku jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami. Więc tak z nim raz było kuso i niebezpieczno, że chcąc pewnej prawie ujść zguby, ślubował kościołowi Mirskiemu taki dzwon sprawić, aby, gdy w Mirze na rezurekcyą zadzwonią, aż w Nieświeżu było słychać, a to cztery mile, mój Jegomość. Więc jak tylko powrócił do Nieświeża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze. Wylali jeden — dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświeżu. Książę Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi większy. Znowu leją, i znowu dzwonią dzień cały — nie słychać! a tu trzeba koniecznie wypełnić votum. Leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, Książę w dobrym będąc humorze, prawił żarciki między swoimi i zmyślał na potęgę, bo to już jego taki zwyczaj. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Chodźko, który był pierwej koniuszym u Księcia, jak ja byłem masztalerzem, a potém on wyszedł na pana, a ja na furmana; powiedział więc: „Mości Książę, dzwon Mirski słychać!“ — Wszyscy nadstawili uszy; ale nikt nie słyszał; Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił: „A widzicie Waszeć, jaki głośny mój dzwon! dopełniłem votum regularnie.“ — „A jakże nie ma być głośny, pochwycił pan Chodźko, kiedy Książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?“

Bo musisz Jegomość wiedzieć, że kiedy leją dzwony, wtenczas trzeba gadać głośno i łgać różne nowiny, żeby się daleko rozchodziły, to i głos dzwonów tak się rozchodzić będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, ale owszem śmiejąc się powiedział do p. Chodźki: „Wasan sam taki Panie kochanku!“ Ale już dzwonu nie przelewał; ochrzczono go Karolem i za-

wieszono na dzwonnicy; a Książę zawsze powiada: „Słychać Karola w Nieświeżu!“ — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi: „Co ja winien Panie Kochanku, że Waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko?

II.

Czwarty już czy piąty był dzień po naszym wyjeździe z klasztoru, i trzodka się zwiększała. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem, w kaletce nawet mojej uzbierało się kilka talarów bitych i złotówek.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołém niebem, jeżeli nie we dworze jakim. „Poco nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny; i barany napasiemy i sami się posilim, a nic nie zapłacim.“

Mieliśmy więc podług zwyczaju mijać jednę karczmę przy drodze; ale postrzegłszy stojącą pod nią piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a zatém pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański stanął na popas, postanowiłem i tu pokorną moję odbyć żebraninę, na co i Marcin się zgodził. Stanęliśmy więc z naszemi kałamaszkami obok pańskiej karocy.

— Niech będzie pochwalony J. Chr., rzekłem kłaniając się pokornie.

— Na wieki wieków, odpowiedział podróżny, jak się później dowiedziałem, starosta. Zajęliśmy karczmę, rzekł, nie masz gdzie popasać księże kwestarzu.

— Nic to, dobrodzieju, ja też nie na popas tu przyjechałem; odpoczną trochę moje szkapy, i powlokę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Konie twoje mogą postać między mojemi i obrok mój zjedzą, zaś Waści na nasz podróżny obiadek prosimy.

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, bylem nie był mu uciążliwy.

A zatém zostałem, choć Marcin mój się krzywił z początku, ale później się udobruchał, gdy mu konie dobrze nakarmiono.

W karczmie już był stół nakryty — a nim dano, starosta zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: „A z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi?“ zadawał roz-

maite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama pani starościna. Nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księże kwestarzu! rzekł starosta; obiad podróżny, krótki, i porcyj bernardyńskich nie będzie — bodaj tylko polewka i pieczyste.

— Bogu dzięki! dobrodzieju, a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół — pani starościna po dwa razy mi nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga państwa i dwojga dziatek po jednym.

— Oto sęk! księże kwestarzu — jarząbków cztery, a nas pięcioro.

— Posiliwszy się z łaski państwa, rzekłem, tak wyśmienitą polewką, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, miły księże — jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz — musiałeś i szkoły odbyć.

— A jakże? JWpanie, aż do poetyki...

Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się co prawda, ale zostawszy kwestarzem, najwięcej mam do czynienia z dodawaniem i mnożeniem; dalsze zaś działania dla mnie mało potrzebne, a o ułamkach i słuchać nie chcę; nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziej teraz gdy o całe barany proszę.

Kontenci byli starostwo z konceptu.

— A więc daj dowód, rzekł starosta, swojej nauki: podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez ułamków, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez przekrawania, tak jednak, aby wszystkim się po równej części dostało. Jeśli tego dokażesz, powiem żeś gracz i kwestarz doskonały.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju, byleście się państwo na mój podział zgodzić raczyli.

— Przyrzekamy najuroczyściej, rzekł znowu starosta. Dziel, ale bez noża!

— Ani się dotknę nożem.

Posunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodziejka, i jarząbek, to troje — panicz, panienka i jarząbek, to także troje — kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

— Wolnyś, wolny księże! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie wraz z panią starościną.

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną dla państwa, a w indemnizacyi, jeżeli JW. starostwo pozwolą, wezmę tę bułkę piroga dla mnie; dla klasztoru zaś, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiaruję, mój miły księże, z warunkiem wszelako, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas.

Zgoda JWpanie, dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

---

83. POWRÓT TATY.

(p. A. Mickiewicza).

Pójdźcie o! dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tato nie wraca — ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozłały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze.

Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię — potém w imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potém Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówiły pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanią do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem,
Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad Tatem!

W tém słychać turkot — wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie —
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
Tato, ach! Tato nasz jedzie.

Obaczył kupiec — łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do Tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rozynki w koszyku —
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi —
Pełno radości i krzyku.

Ruszajcie! kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu,
Idzie... aż zbójcy obstąpią do koła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie —
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

„Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodej małżonki wdową! —

Nie słucha zgraja — ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
Pieniędzy! krzyczy i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém, stójcie! stójcie! krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandy precz z drogi;
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi. —

Kupiec dziękuje — a zbójca odpowie:
Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

Dziatki sprawiły że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku, u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga:
Słucham — z początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.

Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki:
Ach! ja mam żonę — a u mojej żony
Jest synek taki maleńki....

Kupcze, jedź w miasto — ja do lasu muszę —
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciorek.

---

84. BOCIAN.

(Podanie Cygańskie — z powieści „Chata za wsią").

(*p. J. I. Kraszewskiego*).

Bocian w podaniu cygańskiém jest przeklęty jak cyganie. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, a ile gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ziemi nieszczęście. Ludzie na ów czas jeszcze byli jedną wielką rodziną, ale ta już przechodziła w zgniliznę, już ją toczyły robaki.... i Bogu nie podobało się stworzenie jego — chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną swoją starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju. Starzec ten zwał się Noa-oro. I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemskie po parze, i kilkoro ludzi wybranych. Kiedy się niebieskie otworzyły upusty, i wody potokiem lać się poczęły na ziemię, wstępowało co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów, coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym — jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje.... Bóg co patrzał z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał na wieczną tęsknicę. Gdy potém wody opadły, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, żeby zawsze jednej żałował i po jednej płakał...

---

85. KRUK FUNDATOR OŁTARZA.

(z podania dziejowego)

(*p. Winc. Pola*).

. . . Żyję już lat tyle,
I wiele dziwnych rzeczy było w świecie;
Nie jeden widział kruka na mogile,
Ale o kruku z Mogiły nie wiecie! . . .
Jest tam Mogiła blisko od Krakowa,
Księży Cystersów opactwo to dawne —
I działy się tam rzeczy bardzo sławne,
Które dla świata ta kronika chowa.
Roku Pańskiego 1621.
Pod tym to rokiem stoi zapisane,

Jak na kronikę zabawne zdarzenie;
I swego czasu widać było w cenie,
Kiedy w annałach klasztoru podane.
Jak to na świecie, tak też i w klasztorze,
Różne chowają się stworzenia Boże.
Otóż tu piszą, co się rzadko zdarza,
Że kruk był kiedyś fundator ołtarza.“

— Jak to? kruk? pytam, a! to być nie może.
— „Tak jest w istocie. I oto tu stoi,
Że księża kruka chowali w klasztorze:
Ale kruk krukiem, zawsze swoje broi.
Otóż gdy zmądrzał, i już się ośmielił,
I gadać umiał, latał do Krakowa,
I bardzo ludzi po mieście weselił,
Bo dziwnie sprytnie mówił wszystkie słowa.
Mów Zdrowaś Marya! furtyan go naucza:
Ale kruk krukiem, i natura krucza
Ciągnie i kruka i wilka do lasu...
Otóż tak było i onego czasu.
Kruk po Krakowie i latał i gadał,
Lecz, jak mówiono, i ludzi okradał;
I choć na bruku z paupram się bratał,
Po cenne rzeczy aż przez okna wlatał.
I wiele było posądku i szkody
Po całém mieście. I gdy kruk już leci,
Wielka to radość bywała dla dzieci;
Lecz się po domach lękano przygody,
Bo siła rzeczy poginęło w mieście.
I kiedy kruka z Mogiły zobaczą,
Jak na raroga wszystkie sługi kraczą:
„Kruk, kruk z Mogiły!“ — I zginął kruk wreszcie.
I lat znów wiele po kruku ubiegło,
I wielu ludziom już się w grobie legło,
Którym kruk niegdyś pokradł był drogoście,
Gdy miastem latał w nieproszone goście.
Aż się przypadkiem skarb znalazł na wieży,
Co go różnemi czasy kruk poznosił...
Zeszli się księża — patrzą, a tu leży
Złoto i srebro i drogie klejnoty.

Więc i nie małe były ztąd kłopoty,
Coby z tém zrobić! — I przeor uprosił
Aż sąd duchowny o wyrok w tej sprawie:
A gdy nie było przejrzano w ustawie,
Jakby wyjść gładko z takiego wypadku;
Gdy nikt przed sądem nie stanął przy świadku,
Sąd o tym skarbie tak w końcu stanowi,
Że go na własność oddał klasztorowi.
I jest w Mogile ozdobnie wzniesiony,
Na cześć wielkiego patrona korony,
Ołtarz — a przy nim, co się rzadko zdarza,
Jest ów kruk złodziej gładko wyrobiony,
Jako fundator u wierzchu ołtarza.“

Kiedy ksiądz Dziekan kroniczkę odczytał:
„Czy nie zabawne?“ ze śmiechem zapytał.

— Bardzo zabawne i nikt nie zaprzeczy:
Więc niech to idzie do klasztornych rzeczy.

---

86. POWIETRZE.

(z powieści ludu)
(*p. Wł. K. Wójcickiego*).

Siedział Rusin pod modrzewiem — słońce piekło jakby ogień. Patrzy z dala, że coś idzie — patrzy, to niewiasta. Cała płachtą owiniona, na wysokich nogach chodzi. Zląkł się zrazu, chciał uciekać: ale widmo długą ręką zatrzymało zlęknionego.

„Znasz powietrze? ja to jestem. Weź-że mnie na barki swoje i obnoś po całej Rusi. Nie pomijaj wioski, miasta, bo wszędy zawitać muszę. Ty nie lękaj się niczego, zdrowy będziesz wśród umarłych.“

I długie ręce powiesza na szyję biednego kmiecia. — Szedł więc Rusin; lecz zdziwiony, że ciężaru nie czuje. Spojrzy za się, ale widzi, że na barkach siedzi widmo.

Przyszedł najprzód do miasteczka. Po gospodach tańcowano, wesołość na każdej twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą — wnet ustały rzeźwe tany, i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrzy — strach i zgroza! — niosą trumny, biją w dzwony, cały cmentarz zapełniony — niema już gdzie grzebać ludzi!

Poszedł dalej. Gdzie wieś przejdzie, tam zostają puste domy — z bladém licem, drżąc z bojaźni, uciekają zewsząd ludzie; a po drogach, lasach, polach, konający krzyczą w bolach.

Na wysokiém wzgórzu stała wioska, kędy mieszkał wieśniak co nosił powietrze — tam miał żonę, drobne dziatki i starych rodziców dwoje. Zakrwawiło mu się serce: więc okrąża wioskę swoją — silnie pochwycił niewiastę, by mu z barków nie uciekła. Spojrzy — widzi Prut niebieski; za nim coraz wyższe stoją góry zielone, dalej czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy prosto więc do rzeki — skacze, zanurza się cały, chcąc utopić i niewiastę, by ochronił od pomoru i od klęski Ruską ziemię.... Sam utonął — lecz powietrze, co niesione nie ciężyło, i utonąć też nie mogło: przestraszone wszelako, uciekło w góry i lasy.

Tak ocalił sielanin swoją wioskę, rodziców, żonę i dziatki, i resztę tej Ruskiej ziemi, do której nie poniósł złej niewiasty.

---

87. MOROWA DZIEWICA.

(z powieści ludu litewskiego)

(*p. A. Mickiewicza*).

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica:
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nie raz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach —
Czołem przenosi białowiezkie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie —
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

---

88. TWARDOWSKI.

(baśń ze zbioru *L. Siemieńskiego*).

Twardowski, co całe życie pracował nad tém, aby wynaleźć środek oparcia się śmierci, wynalazł wreszcie sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swojém, zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki, i przepisał mu, jak dalej miał postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego — jakoż znikł czarnoksiężnik, a uczeń tymczasem krajał jego ciało, siekał, gotował zioła i maści. Tak posiekawszy, maścią nasmarował, zlał sokami roślin, i złożył napowrot ciało jak należy. Nie pochowano go jednak na cmentarzu, ale pod murem otaczającym cmentarz do koła. Twardowski zalecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin leżało jego ciało nieodkrywane. Wierny uczeń dotrzymał święcie przepisu i czasu odkopania grobu.

W trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin, o północy, na pełni księżyca, sam z rydlem, zapaliwszy siedm świec z tłustości trupiej, wziął się do roboty, odkopał ziemię, i oderwał nadgniłe wieko. Jakiż podziw! zwłoki Twardowskiego znikły, a w miejscu wiór, na których leżały, kwitły wonne fiołki i macierzanka — na tej murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko, zachowawszy w zdrobniałych rysach oblicze Twardowskiego. Wyjął to dziecię, zaniósł do domu — a ono przez noc urosło jakby przez rok cały; po siedmiu dniach już mówiło tak o wszystkiém jak Twardowski w sprawach czarnoksięzkich. Wynagrodził potém sowicie wiernego ucznia; ale zaraz, żeby tajemnica odrodzenia nie wyszła na jaw, zaklął go w pająka, i trzymał w swojej komnacie, mając o nim czułe staranie.

---

89. BRZOZA GRYŻYŃSKA.

(Legenda)

(*p. Fr. Morawskiego*).

X

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi
Kościół Świętego Marcina;
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił do koła
Liczne kryje pokolenia;
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoję obudzi,
Zkąd polubiło ten pobyt żałosny?
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wić. lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię, i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swej mogiłce leżał
Antoś, matczyna nadzieja;
Kiedy wtém grabarz do księdza przybieżał,
I tak strwożył dobrodzieja:

„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
Próżno człek strzeże i czuwa:
Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“

Dziwi się pasterz — krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnej klęczy mogile:
Ale daremnie i błaga i prosi —
Widmo powraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczej siły,
Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonej wyrasta mogiły,
Bieluchna jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban — całą wioskę woła,
Młodzież, i starce i dziatki;

A kiedy wszyscy już staną dokoła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
Ja ludzką myślą nie schwycę;
Samej to tylko wiadomém jest tobie,
A więc wyjaw tajemnicę.“

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy —
Gdy wtém strasznemi zaklęta słowami,
Tak się wśród jęku tłumaczy:

„Kara to mojej matczynej ślepoty,
Bóg mi złem za złe odmierzył:
Synek ten, memi popsuty pieszczoty,
Raz mię w swym gniewie uderzył.“ —

„Bierz więc tę rózgę, i chłoszcz rękę syna.“
Tak pasterz na nią zakrzyknął —
Ziemskiej on kary tu się dopomina,
Aby wieczystej uniknął. —

„Uderz!“ zawoła — i silném ramieniém
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy, i z ciężkiém westchnieniem
Okropnej kary dokona...

I patrz — zaledwie różczkę puszcza z dłoni,
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkich serce zimny postrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz, na pamięć strasznego zjawiska,
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej prawie wiośnie,
Gęsty liść ją ozielenia;
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościołek i nie jedne czasy,
Nie jedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie,
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiej brzozie.

---

90. CHLEB KAMIENNY.

(Legenda)

(*p. L. Siemieńskiego*).

W przecudnej okolicy nadmorskiej, o milę od handlowego miasta Gdańska, stoi klasztor zakonu Cysterskiego, Oliwa zwany. Dawniej jeszcze, za polskich czasów, kiedy w klasztorze byli księża, a w kościele odbywała się służba Boża, widzieli ludzie po prawej stronie, wchodząc do kościoła, bułkę chleba w kamień zamienioną. Historya tego cudu jest następująca.

Dawno, bardzo dawno, bo przed sześciu set laty z górą, Pan Bóg nawiedził był wielkim głodem Gdańsk i całą okolicę. Ludzie padali jak muchy, bo i bogatsi nie mogli dawać, kiedy nieurodzaj był powszechny. Ale jako w owych czasach klasztory były bogate i zasobne, więc też i klasztor Oliwski miał pełne spichrze i piwnice. Opat Cystersów, człek miłosierny, wiedział dobrze, że najlepiej dostatków swoich użyje i najwięcej Panu Bogu się przypodoba, jeżeli je obróci na wyżywienie ludu: kazał zatém wystawić wielkie piece, namleć dużo mąki, i ustawicznie piec chleb, który zgłodniałym rzeszom rozdawano.

Trafiło się pewnego dnia, że jeden z ubogich dostawszy bułkę, odszedł niby, ale zaraz wrócił, wmieszał się między innych, którym chleb rozdawano, i udając że nic jeszcze nie dostał, drugą bułkę chleba wyzyskał. Uradowany ze swego podstępu, powraca drogą do Gdańska, rozmyślając, jakby tę drugą bułkę sprzedać za dobre pieniądze — a wtém zachodzi mu drogę jakaś niewiasta, niezmiernie blada i wynędzniała, trzymając u piersi dziecko, które żałośnie płakało, bo nie mogło znaleźć ani kropli pokarmu. Nieszczęśliwa wyciągnęła ku niemu rękę z proś-

bą, aby jej dał choć kawałek chleba, gdyż nawet nie miała dość siły, żeby dostać się do klasztoru. Na to ów człeczyna rzekł z oburzeniem: „Ja sam głodny i okruszyny chleba nie mam.“

— „Jak to? zapytała niewiasta — a przecież widzę u was całą bułkę w kobiałce.“

— „To kamień, nie chléb“ — odpowiedział nielitościwy, dotykając go palcem. Więc ona rzekła, przybierając na siebie postać jakby widocznie niebiańską i świętą: „Niech będzie kamień!“ I natychmiast zniknęła jak cień.

Zmieszał się ów kłamca niepomału — a uszedłszy jeszcze kawałek drogi, gdy widział że nikt na niego nie patrzy, wyjął onę bułkę z biesagi — obejrzy, chce ułamać, aż tu szczery kamień, a w nim znak jego palca! Dopieroż mu prawda zaświeciła w oczy, dopiero poznał jak ciężko zgrzeszył! Wszystek zatém struchlały i skruszony w sercu, wrócił czémprędzej do klasztoru Oliwskiego, wyspowiadał swą winę przed samym opatem, który ten chleb kamienny, jako dowód Boskiego cudu, kazał na wieczne czasy przechować, aby ludzie kajali się i uczyli, jak ostatnim kawałkiem chleba dzielić się powinni z biedniejszymi od siebie.

---

91. LASKA PROROKA

(p. K. Brodzińskiego).

Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizeja, by wskrzesił jej syna.
Lecz prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu;
Rzekł mu: „Opasz twe biodro, i pójdź do Sunemu,
Dotknićj ciała tą laską — a jeśliś szczęśliwy,
Jeśli czujesz i wierzysz, syn jej będzie żywy“.

Wnet Gehazy z radością w podróż się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wsławił.
Lud im drogę zachodzi, i pyta i bada —
„Zmarłego idę wskrzesić!“ dumnie odpowiada.
Wnet za nim z miast i włości lud ciśnie się w tłoku,
I woła: Będziem widzieć cud w nowym proroku!
Dumnie prorok przed niemi do Sunemu dążył:
A ujrzawszy zmarłego, w koło go okrążył,
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało;

Ale dziecię ni czucia ni głosu wydało.
Wnet więc przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewą, w prawą, od wierzchu, od dołu, —
Dziecię martwe i zimne. I tak miasto cudu,
Stał zawstydzony pośród szydzącego ludu.
Na to prorok Elizej przybył do Sunemu.
Najprzód rozejść się kazał ludowi wszystkiemu,
Potém kornie się modlił. Wziął dziecię na dłonie,
I w gorącém objęciu trzymał przy swém łonie;
Usta do ust, i piersi do piersi przyłożył,
I tak póty pozostał, aż w zmarłym duch ożył. —

Niczém sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie niema wewnątrz czucia i ducha pokory.
Bez nich wiara, ni cnota, ni sztuka nie będzie.
Naprożno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał, jeśli ogniem świętym
Jako on z woli nieba nie jesteś natchniętym.

---

92. O GNIEWIE I NOGACIE.

(Powieść gminna)

(*p. Fab. Seb. Klonowicza*).

Dwaj bracia z siostrą wybrali się w drogę: Niemen z Litwy, Bug z Wołynia, i siostra ich starsza Narew z Podlasia. Zgodna rodzina, w pokoju i cichości długo swobodną odbywała drogę — aż potém zachciało się użyć lepszego bytu i pójść w służbę królowej, której ze wszech stron płynące hołdują sarmackie rzeki. Zaczém puściwszy się dawnego toru, Narew wraz z bracią przystaje de Nowego dworu, w służbę Krakusowej Wandy. Wkrótce wkradła się na tym dworze zawiść i niezgoda. Czując Narew do siebie przyrodzoną gładkość i urodę, chciała być równą Wandalskiej rzece. Królowa z swej strony, nie rada widzieć się tańszą od panny służebnej, powołała ją do sądu. Zagaił ten sąd strumień dowolnie od obydwóch stron przyjęty. Długo myślał, ważąc na sprawiedliwej szali znane jednej i drugiej rzeki przymioty: aż w końcu wydał wyrok przyznający pierwszeństwo Wiśle, która jako bogini między ziemiankami celowała wspaniałością i urodą. Narew

obrażona, wezbrała gniewem, i wraz z bracią postanowiła rozłączyć się z nią, i osobną popłynąć drogą. Ztąd miejsce sądu na lewym brzegu Wisły nazwano Gniewem, a gdzie się Narew na prawo chynęła, podążywszy pod sławny Elbląg, nazwano flisowską mową Nogatem.

---

93. LEGENDA.

(*p. X. Ign. Hołowińskiego*).

W czasach grabieży i niepokoju,
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłém skonaniu
Ani przed żoną lub dzieckiem —
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny, zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni w pośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą:
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto...

Tak doświadczenie prawdy żywota
Złożyło w prostej legendzie:
Niech pyszny rozum szyderstwo miota,
Pokora prawdy dobędzie.

---

94. ŁOBZÓW.

(*z podania ludowego p. Henryka Rzewuskiego*).

Blisko Krakowa leży Łobzów — za Piastów wieś należąca do stołu królewskiego, a od czasu Zygmunta I. przynależność krakowskiego starostwa.

Była to kiedyś wioska ulubiona Kazimierza W., do której często lubił się wychylać, oddając się na osobności chwilowym rozrywkom. Stary zamek Łobzowski, sięgający najodleglejszych czasów Polski, któl ten odbudował, powiększył i ozdobił. Często, w nocnej porze, siadał na konia, i z jednym zaufanym giermkiem, okryty zbroją jak prosty rycerz, opuszczał zamek, i niepoznany udawał się do Łobzowa, zkąd równie tajemnieo przed świtem do komnat swoich powracał.

Podania i pieśni krakowskiego ludu zachowały dotąd różne ustępy epopei tego wielkiego króla, podbójcy Czerwonej Rusi, i twórcy już dokładnego prawodawstwa polskiego. Jak raz, przed samym zamkiem Łobzowskim, mocował się z olbrzymem, który mu drogę zastąpił, a który nie mogąc przemódz mężnego króla, zapowiedział mu, że ród Piastów panujący w Polsce na nim się skończy. Są jeszcze i inne podania.

Swietność Łobzowa wraz z Kazimierzem W. wstąpiła do grobu. Król Ludwik zniechęcił się do tego miejsca od pierwszego nań wejrzenia. Pobożna Jadwiga jeszcze większy powzięła wstręt do zamku. I odtąd zamek spustoszały zaczął się chylić ku upadkowi, tak dalece, że kiedy Zygmunt I. wcielił Łobzów do starostwa, już on był w ruinie zupełnej, że starostowie nie czuli się ani w możności ani w chęci, by go na nowo zrobić mieszkalnym.

Piotr Kmita, po którego śmierci Jan Zamojski otrzymał starostwo krakowskie, objąwszy i Łobzów w swój zarząd, ani pomyślał o naprawie zamku, który się już na wszystkie strony rozpadał; ale wystawił nowy zameczek, a raczej dom wiejski, jak na owe czasy obszerny, bo dziesięć izb a między niemi obszerną salę zawierał.

Dom opierał się o ogród w smaku włoskim, z ulicami strzyżonemi, z fontanną, która za poruszeniem sprężyny całą godzinę igrała między kamiennemi Nimfami. Do ogrodu przytykał las gęsty, od stworzenia swego nie znający siekiery — ojczyzna sarn i jeleni. Na pograniczu lasu z ogrodem wznosił się wysoki pałacyk budowy florenckiej, z którego widok rościągał się na

całą okolicę, a któremu ruiny zamku Łobzowskiego służyły za największą ozdobę. Ku tym ruinom kiedy niekiedy zbliżali się pasterze, których trzody pasły się po dolinach; ale jak tylko słońce schodzić zaczynało z widnokręgu, pastuchy uciekały od zaklętego zamku. Wśród dnia nawet niktby się nie był odważył do tych ruin dostąpić, bo krążyły wieści, powtarzane u prostego ludu, że Esterka żydówka za pomocą szatana tak namiętnie przywiązała była do siebie króla Kazimierza, że jako za jej życia djabli odbywali sejmiki w Łobzowskim zamku, tak i ją z sobą zabrawszy do piekła, nie mniej jednak co sobota zbierali się w jego ruinach, i że biada byłaby temu, któryby ich podszedł.

Na dziedzińcu nowego dworca widzieć się dawał naprzeciwko obszerniejszy dom drugi — koszara dla straży narodowej i kruków starościńskich. A z boku stała oficyna kuchenna, a w niej kilka izb dla dworzan.

Jednak ręka założyciela starościńskiego zamku w Łobzowie, jakkolwiek silna, w potędze swojej daleka była od ręki królów. W Łobzowie śladu nie pozostało dawnego siedliska ulubionego kilku znakomitym mężom. Wieśniacy zapomnieli, na którém miejscu on się wznosił. Nawet ten las, gdzie nie jeden jeleń padł pod ręką Jagiellończyków, zamienił się w chleborodne niwy. Niszcząca ręka czasu w Łobzowie tylko zamek królewski cokolwiek dłużej zdawała się szanować, bo jego wspaniałe ruiny dotąd się dają widzieć i przywabiają wędrowców *).

---

95. BIEDNA SIEROTA.

(*p. Fr. Morawskiego*).

Czarném wśród nocy nękana marzeniem,
Przed snami nawet zmuszona uciekać,
Wstała Marynia, i z ciężkiém westchnieniem
Poszła na górę wschodu słońca czekać.

Na pierwsze całej przyrody ocknienie,
Tkliwie się w gniaździe ozwał ptaszek mały;

---

*) Dziś na ruinach tych powstał nowy gmach rządowy, a dawnego zamku żaden już ślad nie istnieje.

Matka mu słodkie niosła pożywienie —
Oczy Maryni łzami się zalały.

„O! jakże, rzekła, szczęśliwie żyjecie!
Czemuż ją nigdy matki mej nie znałam!
Nic nie mam mego na tym wielkim świecie;
Kolebki nawet nie miałam!

Na tym kamieniu, u drzwi tej kaplicy,
Tu mnie znaleźli porzuconą srodze:
Tu ja z tej wioski do Boga-Rodzicy
Po łzy pociechy przychodzę.

Nikt mnie tam w swojej nie chce znać rodzinie,
Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie;
I żadne dziecię w tej całej dziedzinie
Siostrą mnie swoją nie zowie!

Widzę ich z dala wieczorne uciechy,
Patrzę na ojców i matek pieszczoty;
Ale nikt do swej nie zawoła strzechy
Biednej, nieszczęsnej sieroty!

Ileż ja razy nad tym głazem płaczę,
Tu, gdziem przez matkę porzuconą była;
Patrzę, czy śladu łez tych nie zobaczę,
Które tu może roniła.

Nie raz ten cmentarz błędną zwiedzam nogą,
Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych:
Ale cóż groby obchodzić mnie mogą?
Ja i w grobach nie mam krewnych!

Ach! połóż koniec mojemu cierpieniu...
Nigdyż cię, nigdy nie ujrzę w mém życiu?
Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
Gdzieś mnie rzuciła w powiciu!“ —

Na tém ucichły jej skargi i żale,
I wszystkie razem cierpienia i troski —
I już jej odtąd nie widziano wcale,
Ani na górze, ani pośród wioski.

I mówią tylko, że po kilku latach,
Jakaś nikomu nieznana niewiasta,
Z zakrytą twarzą i w żałobnych szatach,
Przybyła do niej z dalekiego miasta.

Z płaczem o cmentarz pytała wieśniaków:
Poszli z nią, pełni uczynnej ochoty;
Lecz już nie mogli pośród traw i krzaków
Rozpoznać grobu sieroty. —

---

96. BEKWARK LUTNISTA.

(*z Starych Gawęd K. W. Wójcickiego*).

Do ozdoby dworu Zygmunta Starego należał Bekwark, sławny lutnista, podziw spółczesnych. Dostąpił on też nie małego zaszczytu, bo imię jego poszło u ludzi w przysłowie:

„Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię.“

Miał on taki obyczaj, że kiedy go proszono aby zagrał i swoim cudownym kunsztem ludzi rozweselił, nigdy nie dał się użyć, i upornie odmawiał prośbom. Ale wynaleziono nań skuteczny środek: brał kto lutnię do ręki, i swém ladajakiém graniem drażnił ucho Bekwarka — a wtedy on, znieść go nie mogąc, i jakoby zagładzić chcąc w sobie niemiłe wrażenie, najwdzięczniejsze z strun swoich wydobywał tony.

On rozweselał smętne godziny Zygmunta starego, a Bona nazywała go swoim Amfionem. Z lutnią też w ręku umarł. Znaleziono go dnia jednego bez duszy w komnacie, gdzie przed chwilą najcudniej grał i śpiewał.

---

97. PACHOLĘ NA GRZYBACH.

(*p. Winc. Pola*).

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby —
Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony:
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przede mną bardzo zatrwożony.

„Nie bój się, dziecię; co tu robisz w lesie?“

— „Zbieram co znajdę“ — chłopak mi powiada;
„Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.
Przednowek ciężki, to i to pomoże.
Matka tam z dziećmi czeka na mnie doma;
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.“

Miły chłopczyna! znał kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą, znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać, i o którym czasie.
Z kolei przyszło na jaja słowicze;
Rzekł mi chłopczyna: „Ja jemu nie szkodzę.
Ja mu tak dobrze jak skowronkom życzę;
Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?“

Zdziwiony pytam: „To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz? — „A brońże mnie Boże!
Dobry chłopczyna na to mi odpowie —
„Taką się krzywdą człowiek nie wspomoże.
Skowronek, panie, to ptaszyna wczesna;
I Matka Boska, do tego Bolesna,
Wszystkie skowronki w swej opiece trzyma.“
— „Jak-to? spytałem — „Alboż wy nie wiecie,
Że tu Zbawiciel chodził po tym świecie?
A kiedy Piłat umył z winy ręce,
I Pan na krzyżu oddał ducha w męce;
Stała pod krzyżem Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął...
I zaśpiewała w niebiosach ptaszyna;
Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął,
I tak nad Panem zabolał niezmiernie,
Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie:
Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony najświętszej oskubał.
Błogosławiła Marya skowronkowi,
Podniósłszy w niebo swe oczy żałosne;
I rzekła w łasce: „Będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!“
A jako rzekła mu Matka Bolesna,

Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna,
Nim śniegi zginą, już w niebo się wznosi,
I rzewnie chwałę Matki Bożej głosi.

Więc ktoby gniazdko skowronkowi psował,
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem się chować, jako Bóg nas chował;
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę."

To rzekłszy, chłopczyk wesoło się skłonił,
I ku domowi z koszykiem pogonił.

A jam pomyślał: po co tu legendy?
Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy.

98. STAŃCZYK.

(Podanie dziejowe).

(*p. L. Siemicńskiego*).

Opowiem wam jednę przygodę. w której król dostaje naukę od swego błazna. (Dawniej, tazeba wam wiedzieć, że królowie i panowie chowali sobie błaznów, czyli takich, co ich w smutku żarcikami rozweselali, a nawet prawdę żartem mówili). Raz wyjechał był z Krakowa cały dwór królewski do Niepołomic, gdzie są wielkie bory i zwierza w nich huk. Tam tedy miano dla zabawy króla Zygmunta i królowej Bony polować na wielkiego niedźwiedzia, przywiezionego z Litwy. Wypuszczonego z klatki poszczwano psami — ale niedźwiedź psy poszarpał i rzucił się na chłopów, co byli z oszczepami, potém na panów dworskich — nie jednego przewrócił i podrapał, a nawet skoczył tam, gdzie Bona stała — co ona widząc, dalejże w nogi; ale koń pod nią padł, i królowa ciężko się stłukła. Rozżarte niedźwiedzisko rzuciło się także i na błazna królewskiego Stańczyka, ale go chłopi uratowali. Ten tedy Stańczyk, po polowaniu, kiedy król śmiał się z niego, że uciekł przed niedźwiedziem nie jak rycerz, ale jak błazen, odpowiedział: „Aza to nie większe błazeństwo, mając niedźwiedzia w skrzyni*), puszczać go na swoją szkodę?"

Wiele jest o nim dowcipnych powiastek, jak n. p. i ta:

*) t. j. w klatce.

Raz szedł sobie Stańczyk po Krakowie, ubrany po błazeńsku w różne pstre płatki; co widząc chłopcy uliczne, zaczęli go gonić, aż suknie z niego zdarli. Skarżył się Stańczyk przed królem — a kiedy ten począł go żałować, odpowiedział: „Nie żałuj mnie, królu, ciebie bardziej obdzierają niż mnie; wszak niedawno wydarto ci tak znaczną posiadłość, a przecież nie skarżysz się na to wcale.“ Kto inny nie byłby śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była prawda.

Raz znowu była między panami o tém mowa, jakich też rzemieślników najwięcej? Gdy różni różnie utrzymywali, przytomny tej rozmowie Stańczyk rzekł, że doktorów. A gdy temu nikt wierzyć nie chciał, wyszedł Stańczyk nazajutrz na rynek krakowski, podwiązawszy sobie chustką zęby. Jaki taki z panów, spotkawszy znajomego Stańczyka, zaczyna mu doradzać najlepsze lekarstwo, jakie wiedział na zęby. Natenczas Stańczyk, dobywszy tabliczki, niby dla zapisania owego lekarstwa, zapisywał nazwisko każdego takiego nieproszonego lekarza: a ponieważ znany był w całym Krakowie, w kilku godzinach zebrał łokciowy spis owych doktorów i wygrał zakład.

---

99. CYGANKA.

(*z poezyj T. Lenartowicza*).

W młodości mej raz w cudny maj,
Pomnę, jednego ranka
Wołając wciąż: rękę mi daj,
Kłaniała się cyganka.

Dajże mi dłoń chłopczyku hej!
Powróżę c, coś powiem;
A Bóg-że cię w swej łasce miej,
A darz cię Boże zdrowiem.

Z zczerniałych bark opadał szmat,
Ręce się trzęsły staréj —
Spojrzałem nań posłuchać rad,
Choćby i niedać wiary.

Wśród gaju drzew cyganów lik
Po drodze mknął z pośpiechem,

I w cieniach drzew powoli nikł,
A gaj rozbrzmiewał echem.

Otwarłem dłoń: Ha! patrz gdy chcesz —
— Ach! złoto, srebro moje,
Szczęśliwyś ty, o! wierz mi wierz,
Szszęśliwe życie twoje.

Jak dąbek zdrów przeżyjesz wiek,
Nie znając co choroby;
Przez żywot twój ni żadnych lek,
Ni żadnej ciężkiej proby.

Dla ciebie kraj, dla ciebie świat,
W szczęśliwej wiosce błogo,
Każdy ci druh, każdy ci brat,
A z wrogów ach! nikogo. —

I nigdyż z tąd, od gajów, wód —
Nicże mnie nie odgoni? —
Toż stara wnet bystro jak wprzód
Spojrzała po mej dłoni. —

Patrzała wciąż, myślała wciąż,
Na czoło palec kładła: —
Przygotuj kij, a torbę zwiąż...
To jedno stara zgadła.

III.

100. PIĘKNOŚCI HISTORYI POLSKIEJ.

(*p. J. P. Woronicza*).

Znacie zapewne i cenicie te szanowne piętna ojców naszych, które ich od innych ludów wyosobniały, i nawet domowe ich obyczaje w oddzielnym jakimsiś stroju i postaci malowały. Owa szlachetność i wyniosłość duszy w każdym kroku i postępku, wielkości promieniem oznaczona; owo danego słowa najświętsze dotrzymanie; owa gościnność wspaniała i wylana ludzkość — i tyle innych przymiotów, które ze pnia Sarmatów pokoleniami w gałązkę się Słowian przelały.

Któżby nie chciał widzieć ożyłej w pieśniach lub historyi owej Rzepichy, Piastów naszych starożytnej prababki, z jaką się ona uwinnością po wszystkich domu kątach krzątała, aby dwóch nieznajomych pielgrzymów do swej chatki przybyłych nakarmiła i uczciła? kiedy tymczasem jej mąż ostatnią kadzią miodu zgłodniałych rycerzów naszych uraczał. Ktoby się nie rozrzewił pamiętną walką Orestowej *) przyjaźni między Leszkiem Białym a Goworkiem, z których jeden nędzę i wygnanie obierał, aby pana ocalił, drugi państwa się wyrzekał, aby przyjaciela nie stracił? Kogoby nie nauczył zgodę sąsiedzką miłować ów Saryusz **), przodek sławnego rodu Zamojskich, który na placu bitwy pod Płowcami, ranami okryty, ciosami przywalony, trzewa wydarte niezwalczoną ręką w siebie tłoczący, litującemu się Łokietkowi odpowiada: „To nic, królu, wszystko dobre i znośne dla ojczyzny, gorszy zły sąsiad.“ Ktoby się słusznie nie nadął ową szlachetną wspaniałością Jana Habdanka, po naszemu Skarbka, który imieniem Bolesława Krzywoustego układając pokój z Henrykiem cesarzem, kiedy ten chcąc więcej wytargować, długo się komosił, i wskazując skarby wiekami zbierane, dumnie potrząsał: „tém ukrócę Polaków!“ — Skarbek na to, zrzuciwszy z ręki kosztowny pierścień, odpowiedział: „Masz złoto do

---

*) Słynna była u starożytnych przyjaźń Oresta z Piladem.

**) Floryan Szary.

złota.“ Postrzegł się cesarz i staniał, widząc że z drngimi Rzymianami miał do czynienia, którzy woleli rozkazywać narodom w złoto bogatym, niż dla złota onym się uniżać. Niemniej w podobném nieco zdarzeniu pokazał się Polakiem prawdziwym ów Krzysztof Zbaraski, który godząc się z Turkami*) o wykupno z niewoli Polaków, kiedy za tak drogi towar hojnie szafował szkatułą, chciał go Wezyr w tém przynajmniej upokorzyć, aby z odkrytą głową sułtana uszanował: „Głowę mi wprzód zdejmiesz niż czapkę!“ odpowiedział Zbaraski. Nie o czapkę zapewne chodziło, ale że Polak dawny karku podle nachylać nie umiał.

Jest-że które imię między nami, żeby się jakim szlachetnym czynem, posługą, ofiarą, talentem nie uwieczniło? Wieleż-to dzieł heroicznych i wysiłków duszy polskiej w zapomnieniu i zagrzebaniu zostaje, któremiby Grecy i Rzymianie dzieła poetów swoich zbogacili! Kto się nie zadziwi nad owymi dwoma Zawiszami, którzy na dworze Zygmunta cesarza, w powagę, w znaczenie i bogate dzierżawy zamożni, dowiedziawszy się o zamachach przeciw swojej ojczyznie, wojną krzyżacką**) zagrożonej, w okamgnieniu obcą ziemię opuścili, a dniem i nocą z drugimi Polakami do obozu królewskiego pod Grunwaldem***) przylecieli. Cenności, bogactwa, hojne obietnice cesarskie, byłyby dla innych łańcuchem i okową, a dla Polaków stały się siecią pajęczą, skoro chodziło o ratunek ojczyzny. Któżby się nie rozrzewnił nad owym Kowalskim Korabczykiem, który w bitwie sztandar ratując, gdy jednę utracił rękę, bronił się drugą; a gdy i ta była mu odciętą, owinął się jak mógł tym świętym znakiem ojczyzny, rzucił się z nim na ziemię, i wolał w sztuki dać się rozsiekać, niż być pierwszym Polakiem w oddaniu żywcem chorągwi nieprzyjacielowi!

Ale czyż tylko na placu bitwy można być wielkim? Dusza człowieka jest wiecznym obrazem Bóstwa, więc gdzie się tylko obróci, wielkość, godność i dostojność jej towarzyszą. A następnie i ten ma przywilej, że jednym rzutem przeszłość i wszystkie wieki ogarnia. Spytajmy więc ostatnich nawet czasów, czy

*) w poselstwie od Zygmunta III r. 1621.

**) w r. 1410.

***) miejsce sławne stoczoną przez Władysława Jagiełłę bitwą z Krzyżakami.

zawsze i wszędzie takimi byli Polacy? Pamiętny traktat Karłowicki*) trudem i znojem Małachowskiego dokończony, wracał Polakom Kamieniec z Podolem. Kątski Marcin, jako na ów czas jenerał artyleryi, miał obowiązek odebrać tę warownię i zbrojownię. Oddawał mu ją ze strony Turków jeden aga: a wprowadziwszy Kątskiego między lochy prochami napełnione, rozjadowiony wściekłością z utraty takiej zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby i siebie i Kątskiego i cały Kamieniec w gruzach zagrzebał. Kątski nie zmieszany, porwał ten zarodek tysiącami śmierci i rozwalin iskrzący się, i dał mu spokojnie na ręce swojej dogorzeć. Osłupiał barbarzyniec; bóstwem w oczach jego zdawał się Kątski, — a on tylko był Polakiem, który swoją wspaniałą wytrwałością i miasto i krocie ludzi od zguby uratował.

101. PIEŚŃ ŚWIĘTOJAŃSKA O SOBÓTCE.

(*p. Jana Kochanowskiego*).

Siostry! ogień zapalono,
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
I społem nie zaśpiewamy?

Zaczém dziś ten wieczór sławny
Święćmy, jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

Piękna nocy! życz pogody,
Broń ognia i nagłej wody:
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Czekać mamy rannej zorze.

Za mną, za mną piękne koło,
Opiewając mi wesoło!
Weźmiéj gęślę jakoć miła,
Skrzypku graj, nie myśląc siła.

Takto matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień Świętego Jana
Zawdy Sobótka palana.

Skokiem taniec najsnadniejszy,
A tém jeszcze pochodniejszy,
Kiedy w bęben przybijają,
Same nogi więc pląsają.

112. RĘKAWKA

(z powieści historycznej p. n. Szamotulski)

(*p. Fr. Wężyka*).

Jest za Krakowem wzgórze, składające część Krzemionek, nazwane górą Lasota. Na wydatniejszém wzniesieniu spoczywa

*) Za Augusta II. r. 1699 z sułtanem Mustafą II.

wyniosła mogiła, którą mogiłą Krakusa mianują. Twierdzą powszechnie, że po zgonie założyciela dawnej Chrobatów stolicy, lud pogrążony w żałobie zebrał się w licznych tłumach, dla wyrządzenia czci ostatecznej zmarłemu panu. Żal powszechny i tkliwość natchnęły myśl piękną, ażeby w miejscu, gdzie miały spoczywać reszty dzielnego Książęcia, wznieść tak wyniosłą mogiłę, którąby się i zawistnemu czasowi i siłom ludzkim oparła. Z takim zapałem wzięto się natychmiast do dzieła, że po spaleniu zwyczajem pogan zwłok uwielbionego Książęcia, lud wdzięczny i pomny długich rządów Krakusa, znosząc ziemię rękami własnemi, wystawił ten tkliwy pomnik, na który do dziś dnia bez wzruszenia patrzeć nie można. Następnie jeden z wodzów wezwał lud cały, ażeby corocznie zgromadzając się przy mogile Krakusa, przez ofiary bogom krajowym, równie jak wiejskie i rycerskie igrzyska, dzień ten smutny lecz nieprzepomny uwiecznić. Okrzyk powszechny powszechną zgodę oznaczył. Tłumy różnego ludu zgromadzały się corocznie: za czasów dawnych palono ognie na szczycie mogiły, i składano bogom ofiary. Następowały gry i rozmaite gonitwy; rodacy i obcy szli na wyścigi w okazywaniu dowodów zręczności i siły. Panujący na Krakowie książęta i królowie dzielili z ludem doroczne uciechy. Gdy naród poobalał ciosane z drzewa i kamienia bałwany, a światło łagodnej Chrystusa nauki roztaczać poczęło nad tym krajem swe dobroczynne promienie, wzniesiono szczupły kościołek na górze Lasoty, który przed rozpoczęciem zwykłych rozrywek przyjmował modły i śluby zgromadzonego ludu. Trzeci dzień wielkanocnego święta postanowionym został na uroczystość Rękawki. W niej dochowano przez tyle odmian i wieków pamiątkę wzniesienia mogiły Krakusa, bez innych środków, krom rąk skwapliwych wdzięcznego i przychylnego ludu. Pomnik tkliwy i droższy nad dźwignięte gdzieindziej z marmurów i kruszców drogich grobowce, w których pycha wznoszących zrównać się usiłuje z samym czci ludu przedmiotem.

---

103. NA LIPĘ SŁOWIAŃSKĄ.

(z poezyj p. t. „Polska ziemia w obrazach“)

(*p. T. Lenartowicza*).

Lipo zielona! drzewo ojczyste,
Co na mnie kwiaty strząsasz złociste,

I cień daleki rzucasz do koła,
Drzewo rodzinne, ozdobo sioła!

Twoich gałęzi mnogie ramiona,
Jako słowiańskie nasze plemiona,
W jednym pniu silnym w ziemi się łączą,
Jeden kwiat sypią i miody sączą.

Choć obcy z ciebie skórę obdziera,
Choć cię najezdcy rąbie siekiera;
Ty jednak silna w następném lecie
Znowu toż samo rozrzucasz kwiecie.

Ludy słowiańskie! toż my podobnie
Jak nasza lipa rosnąc nadobnie,
Przetrwali długie dziejowe burze,
Pioruny, grady i wichry duże.

Z gałęzi naszych cóż nie zrobiono!
Spojrzcie na Polskę na grób schyloną:
A tożto z onej, o! bracia wierni,
Krzyż się ogromny na ziemi czerni.

Z krainy Serbskiej, z tej ziemi bolu,
Sterczą mogiły w Kosowêm polu.
Z Czech światosławnych, z Wielkiej Morawy,
Krew płynie w srebrnych nurtach Wełtawy.

Lipo słowiańska! gdzie twoja chwała?
Czyś ty już nasza lipo spróchniała?...

„Oj! cicho pisklę — ucisz swe płacze:
Z mojego drzewa skrzypki prostacze
Nastrój na nutę wielką, podniosłą,
Żeby w tym ludu serce urosło“...

---

104. GNIEZNO.

(z Podróży po Ziemiach polskich)

(*p. Jul. Niemcewicza*).

Nie można bez żywego uczucia zbliżyć się do tej stolicy

pierwszych królów naszych. Leży ona w dolinie nad jeziorem Jelonek zwaném. Oczy moje zwracały się raz na wieżę katedry, znów w górze szukały po powietrzu orłów białych — lecz napróżno! kruki tylko krążyły. Wjeżdża się do Gniezna przez liche, nieludne i opuszczone ulice — ulice te są wązkie, krzywe, domy po większej części drewniane — rzadki na ulicach przechodzień. Świątynia równie wspaniała jest z wierzchu, jak wewnątrz w najlepszym utrzymana stanie. Cały gmach ogromny pokryty jest miedzią; wspaniałe wieże, boki murów wysadzane gdzieniegdzie ułamkami pięknej bardzo rzeźby. Wchodzi się przez pyszne śpiżowe podwoje, w Kijowie przez Bolesława Chrobrego zdobyte: są one gładko ulane, z rzeźbą wypukłą w małych czworogranach; każdy czworogran czyn inny życia jakiegoś świętego wyraża. Robota piękna, greckiego niższego wieku. Kościół jest ogromny, większy nierównie od kościoła katedralnego w Krakowie; jak on, po obydwóch stronach liczne mający kaplice, po większej części z grobami arcybiskupów Gnieźnieńskich. Świątynia ta, na dawność swoję, wygląda zbyt odświeżoną; nie ma tej posępnej powłoki wieków, która wzbudza uszanowanie i w świętém dumaniu pogrąża. Cztery ogromne pozłacane słupy z nakryciem wznoszą się nad ołtarzem i nad trumną srebrną, zawierającą zwłoki św. Wojciecha. Zgiąłem kolano przed tym pierwszym narodu naszego i apostołem i piewcą. Lecz jakie były uczucia moje, gdy kilkunastu kapłanów stanęło przed grobem jego, i jęło śpiewać przed chórem pieśń starożytną B o g a r o d z i c ę! Pienie tej prostej lecz tkliwej melodyi, przy zwołkach św. Wojciecha, który je przed blisko dziewięciu wiekami złożył, obok drzwi wielkich Chrobrego, gotyckich napisów, posągów, leżących już tylko na prochach tych, którzy tu niegdyś żyli, głęboko serce moje przejęły. Skończyły się pienia, a smutny dźwięk i zamyślenie moje trwały jeszcze. Weszliśmy potém do kapitularza: są tu wizerunki arcybiskupów Gembickiego, Macieja Łubieńskiego i innych. Piękny obraz męczeństwa św. Stanisława ozdabia salę. Tu złożona jest także głowa św. Wojciecha, w zamknięciu złotém, ozdobioném rzeźbą i dwudziestu kilku szafirami, wielkości kurzego jaja. Wierzch tylko zczerniałej czaszki św. Wojciecha widać przez kryształ.

Przed kilkunasty laty zapadła się była w kościele tym posadzka przed wielkim ołtarzem: gdy ją przyszło naprawiać, odkryto pod sklepieniem dwie trumny drewniane na dwa i pół

łokcia długie — jednę z nich z kościami żeńskiemi; domyślano się natychmiast, że to były kości królowej Dąbrówki, żony Mieczysława.

Na cmentarzu kościelnym spoczywa arcybiskup Łaski: ten ziemią przywiezioną z Palestyny*) kazał go cały posypać, i sam się tu pogrzebać kazał. W małej odległości stoi kościół św. Jerzego, z prostego lecz ociosanego kamienia zbudowany. Jest to jeszcze dawna świątynia pogańska, w której Mieczysław i jego poprzednicy czcili fałszywe bogi, a zkąd po przyjęciu wiary chrześcijańskiej powyrzucano bałwany i postrącano w rozlewające się tu jezioro. Cała obszerna przestrzeń, która otacza tę świątynię, nosi jeszcze nazwę Podzamcza: świadczą prócz tego o obronności miejsca sypane ręką ludzką wały. Tutaj się wznosił zamek Chrobrego — na tém właśnie miejscu król ten, dokonawszy swoich podbojów, i utkwiwszy żelazne słupy w Dnieprze, Odrze i Sali, przybył do stolicy przyjmować cesarza Ottona. Dziś, prócz wspomnienia tylu wielkości, żadnej przytomnej nie ma pamiątki. Długosz w dziejach swoich wspomina, że za jego czasów Gniezno lichém już było miastem. Mieszkańcy tylko tameczni pokazują spadzistość góry, zkąd bałwany pogańskie strącane były i topione w jeziorze, wnosząc prawie z pewnością, że tam być muszą jeszcze.

Acz dawne, z późniejszych jednak pochodzą czasów inne kościoły w Gnieźnie: Franciszkański, Farny, i Stróżów Grobu Chrystusowego; ten ostatni pięknej budowy, ma zwieszające się z łuków sklepienia korony misternej gotyckiej roboty.

---

105. DO GOPŁA.

(z poezyj Wincentego Pola).

Ziemicą Piasta szeroko rozlane,
Witaj nam, witaj Gopło**) Kujawiane!
Jak tło przeszłości fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu głębie twe tajemne...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?

---

*) t. j. Ziemi świętej.

**) Gopło, jezioro w Poznańskiem.

Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży? —

— „Dawno już, dawno po mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej te ładowne łodzie;
Nie słyszę modłów, nie widzę żórawi,
Ani się orzeł po powietrzu pławi:
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda po niej się przewali.

---

106. WANDA KRÓLOWA.

(z Dziejów polskich Długosza).

Gdy dwaj synowie Kraka zeszli bezpotomnie, za powszechną Polaków zgodą córce jego jedynaczce, zwanej Wandą, rządy państwa przyznano. Tkwiło bowiem w sercach Polaków wielkie przywiązanie do Kraka, świeża była pamięć cnót jego i dzielności w rozszerzeniu granic i obronie ojczyzny. Nie mało przyczyniła się do tego i urodna postać dziewicy, wdzięczne i krasą ujmujące lica powaby, tak iż samym widokiem zniewalała umysły, i przynęcała chęci pięknemi darami przyrody, któremi hojnie była uposażona. Dla tego właśnie ponętnego kształtu otrzymała imię Wandy, gdy urokiem swych wdzięków jakoby wędą przyciągała ku sobie, obudzając miłość i podziwienie. Łagodna z wejrzenia, skromna z postawy, wymowna i chwytająca za serca uprzejmemi słowy, wszelakich zalet jaśniała zbiorem. Wszyscy też panowie Polscy tuszyli niewątpliwie, że książęcia jakiego, znakomitego rozumem i bogactwy, któryby Polsce przyczynił wzrostu przez skojarzenie się przyjaźnią z sąsiady i pany, zaślubią Wandzie dziewicy, aż do tej chwili wszystkie odrzucającej związki. I zdawało się, że większa teraz liczba posiągnie się do jej ręki dla samej wielkości państwa, niż wprzódy dla zachwycającej urody. Ale Wanda, odziedziczywszy królestwo ojcowskie, wzniosła w uczuciach i wielkich przymiotów niewiasta, z dumą poczuwając swoję wolność i swobodę, wszystkim zgłaszającym się o nię współzawodnikom odmawiała małżeństwa. Tak zaś szczęśliwie, roztropnie i sprawiedliwie władała krajami rzeczypospolitej, że wszystkich zdumiewała swoią czynną radą i obrotnością:

i głos był powszechny między ludźmi, że prawdziwie męzka w tém ciele zamieszkała dusza, gdy najpoważniejsi światłem i sędziwi mężowie postanowienia jej wielkiemi wynosili pochwałami, a nieprzyjazne nawet umysły w jej obliczu składały zawiść i niechęci. Gdy więc pod rządem i zwierzchnictwem Wandy kraj Polski zakwitał w dostatki i potęgę, Rytygier, pod ów czas książę Niemiecki, znakomity rodem i bogactwy, a siedzący z Polską o granicę, posłyszawszy o przymiotach Wandy dziewicy, której sława rozeszła się była wszędy po świecie, w nadziei, że z jej urodą pozyska razem królestwo, wyprawił do niej dziewosłębów, mających prosić o jej rękę, a w razie odmowy pogrozić wojną. Ale gdy Wanda, która w dziewiczym stanie pozostać ślubowała, wysłuchawszy kilkokrotne obietnice i prośby, odprawiła posłów bez skutku; Rytygier widząc, że ani prośbami ani podarkami skłonić jej do małżeńskich związków nie zdoła, w bolesném uczuciu wzgardy i upokarzającej dla siebie odmowy, zebrał wojsko ogromne i wkroczył z niém do Polski, aby wycisnąć przemocą to, czego nie mógł prośbami. Wanda królowa, nieulękniona wojennemi groźby, kazawszy ściągnąć jak najśpieszniej hufce Polskie, zastępuje drogę Niemcom i wydaje pole do bitwy. Ochłonął nieco Rytygier ze swego szału, a udawszy się na nowo w prośby, wolał doświadczyć jeszcze namowy niż broni. Śle zatém kilku z starszyzny swojej do Wandy czekającej w gotowości na spotkanie; bogactwa swoje wylicza, ukazuje potęgę, dokłada i pogróżki, nie tracąc jeszcze otuchy, że umysł kobiecy jakiemikolwiek środkami, czy-to prośbą czy groźbą, potrafi złamać, albo ubłagać. „Przyszliśmy, rzekli, do ciebie Wando królowo, prosząc w imieniu książęcia naszego Rytygiera, abyś zezwoliła na połączenie się z nim małżeńskiemi śluby. Pozyskasz męża kwitnącego młodością, zamożnego w skarby i potęgę, który w ofierze złoży ci najświetniejsze upominki, jeśli mu swojej nie odmówisz ręki: w przeciwnym razie, zmusi cię do tego orężem.“ Ona, niewiasta na schwał mężna i w stałości swej nieporuszona, odpowiedziała posłom: „Czy wasz Książę uważa mnie za kobietę tak dalece nikczemną i związku małżeńskiego niegodną, że śmie żądać, abym wzgardziwszy królestwa mego sławą i potęgą, niepomna krzywd, które narodowi memu wyrządził i obecnie wyrządza, zezwoliła na poddanie się jemu wraz z królestwem, i ubliżyła godności mego władztwa? Odpowiedzcie Książęciu, że brzydzę się jego ofiarą, jak każdym innym związkiem.

Przystoi mnie bardziej zwać się panią, niż panującego małżonką. Wojnę mi zapowiedział — niech więc gotuje się do wojny, a przytém zważy, jaka sromota dla książęcia i męża, w obec sprawionych do boju szyków, odbieżawszy walki i zaniechawszy oręża, układać małżeńskie śluby.“ Dawszy taką odpowiedź, kazała trąbić do boju i uderzyć na nieprzyjaciela, aby dumne poselstwo, opowiedziane jej przez posłanników Rytygiera, zwycięzkim upokorzyć orężem. Lecz gdy celniejsi z rycerzy Niemieckich ciekawością zdjęci, azali prawdą było, co wieść głosiła o nadzwyczajnej piękności Wandy, przypatrzyli się z bliska jej urodzie, nagłą uczuć przemianą, jakby czarodziejsko zrządzoną, i ci, którzy ją widzieli, i drudzy którym tylko o niej powiadano, tak zmiękli i na sercach upadli, że wszyscy jednomyślnie oświadczyli się przeciw prowadzeniu zaczętej wojny, w sprawie niesłusznej i z wojskiem liczniejszém, przekładając, że ich nie bojaźń odwodziła od bitwy, ale wstręt od prawdziwej niezbożności, i że nie chcieli w złej sprawie narażać się na jawne niebezpieczeństwo. Zaczém opuściwszy pole walki, wrócili do swych namiotów, i nie dali się skłonić żadnym rozkazem ani namową do podniesienia oręża przeciw Wandzie. Rytygier więc, książę Niemiecki, w bolesném uczuciu wzgardy i zawiedzionej nadziei, gdy nad jego spodziewanie wszystko gorzej się powiodło, nie chcąc wracać do domu z niesławą i wystawić się na szyderstwo sąsiadów, którzy mówiliby, że wejrzeniem samém niewiasty zachwiany i pokonany uległ — postanowił śmierć sobie zadać. Zwoławszy zatém wojsko, tak do niego przemówił: „Zdradziliście mnie i opuścili — krzywda ta stała się dla mnie nad wszelką śmierć straszniejszą. Ja, który sam wojnę wydałem, bez wojny pokonany ulegam! Wanda morzu, Wanda powietrzu, Wanda ziemi rozkazująca, z woli bogów nieśmiertelnych uczyniła was trwożliwemi niewieściuchami, gdy serca wasze sam widok jej zczarował i przemienił, na wieczną dla was wszystkich sromotę. Ja za was, o! dostojni mężowie i współtowarzysze moi, poświęcam siebie na uroczystą ofiarę bóstwom podziemnym, ale w prośbie do bogów ślę razem to przekleństwo, aby potomstwo waszych synów i wnuków, za zbrodnią przeciw mnie popełnioną, pod rządem niewieścim wiecznie gnuśniało!“ To rzekłszy, obnażoną piersią rzucił się na miecz, który ostrzem ku sobie zwróconém trzymał, i odebrał sobie życie. Wanda zaś, zawarłszy z panami Niemieckimi przymierze, po zakończeniu osobliwszém

wojny tak wielkiej i niebezpiecznej dobrowolną śmiercią jednego, prowadziła z powrotem wojsko nietknięte w uroczystym pochodzie do Krakowa, gdzie ją z wielką czcią i radością przyjmowano. Za tak świetne i znakomite zwycięztwo, pasmo oraz szczęśliwego powodzenia, które jej w całém życiu więcej niż komukolwiek ze śmiertelnych sprzyjało, naprzód bogom ojczystym po wszystkich świątyniach przez dni trzydzieści składać kazała dzięki; czego pobożnie dokonawszy, postanowiła dobrowolnym ślubem siebie samą poświęcić bogom na ofiarę, uwiedziona przesądem pogańskim swego wieku, w którym uważano to za sprawę bogom miłą, czyn wzniosły i bohaterski; a podobno i dlatego, żeby świetny i nieprzerwany bieg jej powodzeń jakim smutnym wypadkiem nie został przyćmiony. Zwoławszy więc panów Polskich, pobiwszy na ołtarz bogów obietne bydlęta, i odprawiwszy zwyczajem ówczesnym uroczystą ofiarę, przy której dziękczyniono za wyświadczone jej łaski, a dokładano modły o szczęśliwy pobyt w państwie podziemném — wskoczyła z mostu do rzeki Wisły i pogrążyła się w jej falach. Czyn to zaprawdę więcej podziwienia godny, niż podobny do wiary! Zwłoki królowej pochowano nad rzeczką Dłubnią, o milę od Krakowa, w otwartém polu, a grób jej uczczono podobnym pomnikiem jak ojcowski. Z ziemi bowiem usypano kurhan potężny, który po dziś dzień wskazuje mogiłę Wandy, i od niego też miejsce to nazwane jest Mogiłą. Że taka czci oznaka słusznie Krakowi i Wandzie przynależała, nikt z Polaków nie wątpi; w ten spsób bowiem postanowili pamięć ich potomnym przekazać wiekom. A nadto Wisła od Wandy królowej przezwaną została Wandalem, i pokolenia Polskie u większej części dziejopisów Wandalami się zowią, acz stare zwisko Wisły dla nowej nazwy nie poszło bynajmniej w niepamięć — jak owej Albuli płynącej wedle Rzymu, którą od zatonienia w niej Tyberyusza nazywają teraz Tybrem.

---

107. STÓŁ KRÓLEWSKI.

(powieść czeska).

(*p. Kazimierza Brodzińskiego*).

Co za dziewica na krasnej dąbrowie
Siedzi i myśli? wkoło niej Czechowie
W liczbie dwunastu o wyrokach radzą.

Mądra to córka po mądrym jest Kroku;
— Ona kraj Czeski trzyma dziś pod władzą,
I sądzi wszystkich. Lecz w ostrym wyroku
Ciężko skazała możnego Rożana.
On się rozgniewał, i szablą trzy razy
W ziemię trąciwszy, rzekł takie wyrazy:

„Klęska nam, Czesi, klęska zgotowana!
Jedna kobieta wszystkich jarzmem gniecie;
Krótki jej rozum, chociaż długie włosy;
Lepiejby zginąć, niż służyć kobiecie!“ —

Smutna Libusza na takie odgłosy
Zgryzła w milczeniu skargę obelżywą,
Choć była dobrą, była sprawiedliwą,
I matką wszyscy zwali ją Czechowie.
„Krzywdaż wam, Czechy? tak ze łzami powie,
Że was kobieta i kocha i sądzi?
Niechajże teraz król już wami rządzi,
Miejcie jastrzębia zamiast gołębicy.“

Cichy gniew oblał jagody dziewicy —
Wstała i rzekła: „Tak, jutro o świcie
Będziecie mieli jak sobie życzycie.“

Kamieniem wszyscy zawstydzeni stali;
Uczuli wszyscy, jak źle nagradzali
Wierność i miłość. W obawie do rana
Czekają wszyscy żądanego pana.
Długi czas możni czynili zachody
O tron Libuszy, o przecudne wdzięki;
Dawali złoto, klejnoty i trzody:
Nie chciała przedać tronu ani ręki.
Kogóż obierze? czekają ciekawi,
Dzień bowiem przyszły króla im objawi.

Nadszedł poranek — ale prorokini
Libusza jeszcze nie zmrużyła oka;
Lecz do bogini Klimby modły czyni,
Która nakoniec tak rzekła z wysoka:

„Powstań Libuszo, wyrok się przychyla,

Słuchaj, a uczyń co każe bogini:
Tam za górami, kędy płynie Bila,
Niech biały koń twój szuka króla wszędzie,
Który ci mężem, ojcem królów będzie;
Dwa białe wołki pogania przez pole,
W ręku ma rózgę swcgo pokolenia,
A na żelaznym posila się stole.
Spiesz córko! przyszła chwila przeznaczenia."

Spieszy Libusza, staje w Czechów radzie,
Zdjęła koronę i na ziemi kładzie,
I wolę bogów w tej ogłasza mowie:
„Spieszcie więc Czechy! waleczni mężowie;
Tam za górami, kędy płynie Bila,
Niech biały koń mój szuka króla wszędzie,
Który mi mężem, ojcem królów będzie:
Dwa białe wołki pogania przcz pole,
W ręku ma rózgę swego pokolenia,
A na żelaznym posila się stole.
Spieszcie, bo przyszła chwila przeznaczenia."

Spieszą, płaszcz niosą, niosą i koronę:
Tętni koń przodem kopyty rączemi,
I biały orzeł szybuje nad niemi.
A gdy przybyli w nakazaną stronę,
Nad Bili brzegiem koń za górą staje,
I rży przed mężem który skiby kraje.
Zdziwieni stoją. Oracz zadumany,
Białemi wołki pilnie orze łany,
I suchą rózgę trzyma w prawej dłoni.

Głośno go zdala wszyscy pozdrowili —
Lecz on têm silniej białe wołki goni,
I nic nie słucha. „Witaj w szczęsnej chwili,
Bogów kochanku, cudzoziemcze błogi!
Tyś królem naszym." Na barki płaszcz drogi,
Na głowę złotą koronę mu wdziali. —

„Obyście, mówi, na zawsze mi dali
Kończyć to pole — dobrzeby wam było,
Lecz przeznaczenie prędko się zbliżyło."

I zatknął zaraz suchą rózgę w ziemi:
I białe wołki od pługa odprzęga:
„Idźcie, zkądeście! już wy nie mojemi.“

Wnet para wołków obłoków dosięga.
Aż wewnątrz bliskiej spuściła się góry,
Z której otworu trysnął zdrój ponury,
Co dotąd płynie. Nagle rózga w ziemi
Trzema zakwitła gałązki świeżemi.

Zamilkli wszyscy i stoją zdumieni.
Mądry Przemysław (to on imię nosi)
Chleba i sera dobywa z kieszeni,
I gości siedzieć na murawę prosi,
Na pługu obiad kładzie, miasto stołu.
— „Z Książęciem waszym chciejcie jeść pospołu.“

Dziwią się wszyscy istocie wyroku —
Jest stół żelazny, trzy rózgi zielone
Kwitną przed nimi. Lecz, dziwny widoku!
Wnet dwie gałązki pod trzecią schylone
Uschły zupełnie. Dziwią się posłowie;
Aż oracz w takiej odezwał się mowie:

„Niechaj was rózga cudowna nie dziwi:
Jest-to ród książąt — wiele krwi wyleją,
Aby panować, a przecię zwiędnieją,
A jeden tylko kraj swój uszczęśliwi.

„Lecz cóż żelazny ten stół zapowiada? —

— „Czyż wy ubodzy poddani nie wiécie,
Przy jakim stole zawsze król zasiada?
Król jest żelazo, a wy jego woły,
Co ujarzmione na chleb mu robicie.“ —

— „Powiedz nam, panie! czemu nie wesoły
I gniewny byłeś, żeś nie zorał pola?“ —

— „Obym go skończył! gdyby chciała dola,
Żeby Libusza później was przysłała;
Nigdyby, nigdy, wróży bóstwo święte,
Kraina wasza nędzy nie doznała:

Lecz woły moje już w górach zamknięte!“

To mówiąc, powstał, — siada na koń biały.
Rżał rumak, z nozdrzy piany mu pryskały.
Król korą z lipy obwite miał nogi,
I to obówie sam zszywał ubogi —
A kiedy ciżmy kładli mu książęce,
Z białego konia ujął ich za ręce:
— „W lipowej korze zostawcie mi nogi,
Którą sam sobie zszywałem ubogi,
By ślad był synom i wnukom podany,
Jak niegdyś ojciec królów był ubrany.“

Jechali za nim — a król tak łaskawie,
Tak mądrze mówił, że wszyscy mniemali
Boga oglądać w królewskiej postawie.

Gdy do Libuszy dworu przyjechali,
Ta ich przyjęła w licznych dziewic gronie.
Wnet go za pana i męża przyjęła,
A lud z radością sadza ich na tronie.

Rząd ich był błogi, długi i łaskawy;
Nadali piękne prawa i ustawy.
Obówie stało jak pamiątka święta,
Wzniosły się włości i rózga kwitnęła.
Błoga rolnikom Czeska ziemia była,
Póki Libusza z Przemysławem żyła.

Z lipy obówia nikt więcej nie cenił,
I stół żelazny w złoty się zamienił.

---

106. UBIEGANIE SIĘ DO METY O KORONĘ.

(z *Długosza*).

Leszek czyli Przemysław panował szczęśliwie lat kilka i skończył rządy z pomyślnością: nikt bowiem temi czasy nie odważył się na ziemie Polskie jawniej wymierzać napaści, odkąd Węgrom i Morawcom tak ciężką zadał był klęskę. Ale z śmier-

cią jego, przy wyborze następcy, nowa między Polakami powstała niezgoda, nowe i rozliczne zabiegi o godność książęcą. Przemysław albowiem czyli Leszek żadnego ani mezkiej ani żeńskiej płci nie zostawił potomka. To spowodowało wielu różnemi nęconych widokami do ubiegania się o władzę. Jeden brał z rodu otuchę, drugi z zamożności, ten przeciwnie w swoję ufał obrotność, inny w pomoc licznego krewieństwa, inny w szereg długi przodków sławnych. Zaczém gdy czas naznaczony do wyboru książęcia nadszedł, wyjawiły się rozmaite zabiegi, żądze i usposobienia współzawodników, z których każdy według możności garnął do siebie rządy. Kilka dni upłynęło bez skutku, a chciwość panowania raczej wzrastała niż ostygała w sercach; i w takim głosów nieładzie nie można było spodziewać się ostatecznej zgody, gdy każdy z wyborców, podzielonych na różne stronnictwa, usiłował wynieść jednego; ztąd wrzały poswarki podżegane zazdrością i prowadzące do jawnych nieprzyjaźni, zmów i sprzysiężeń, które kończyły się nie raz na krwi rozlewie. Aby więc pożar tak wielkiego niebezpieczeństwa nie ogarnął całej rzeczypospolitej, po długich sporach zgodzono się dla skrócenia rozruchów na taki środek, aby obrano słup za metę, do którejby wszyscy ubiegający się o panowanie w oznaczonym czasie, na koniach różnej maści i różne mających odmiany, ścigali się rączym pędem w zawody; a ktoby w tym wyścigu pierwszy stanął u słupca, temu, bez względu na stan, lecz wskutek szybszego biegu, przyznać miano godność książęcą. Do wybrania przeto w ten sposób, który zdawało się że nie dopuszczał żadnego wybiegu ani podstępu, i do pozyskania przyszłego władzcy, męża dziarskiego i sposobnego, wybierają blisko miasta Krakowa nad rzeczką Prądnikiem równinę, ścielącą się rozłogiem wszędy jednostajnym, miękką i pozielenioną darniem. Wstawiają potem słup, i oznaczają przestrzeń zawodu pewnemi z obu stron krańcami, uprzątnąwszy z drogi wszelkie przeszkody i zawady. Nakoniec wybierają starców i sędziwszych z grona panów, którzyby ścigających się ochotników pilnie uważali, a potém rozsądzili między nimi: tym poruczono zaszczytny udział przyznania rządów królestwa spółzawodnikowi-zwycięzcy. Lecz jako przezorność ludzka nie ma nigdy dość środków do obwarowania się z każdej strony, łatwy znalazł się sposób, za pomocą którego zdrada zdołała podejść obmyśloną tak mądrze radę i wydanie słusznego wyroku. Pewien albowiem młodzieniec imieniem Leszek, dowcipny i przebiegły, a między ubiegającymi

się o panowanie najzapaleńszy i najchciwszy władzy, kryjomo całą drogę, którą do mety bieżeć miano, w noc późną i bez świadka, aby go kto nie wydał i zdrady nie ogłosił, żelaznemi ponatykał kolcami, które dla niepoznaki piaskiem z wierzchu przysypał, zostawiwszy dla siebie z boku jednę tylko ścieszkę wolną, oznaczoną pewnemi a jemu tylko wiadomemi wskazówkami. To uczyniwszy, czekał z radością w sercu dnia przeznaczonego na zjazd wyborczy, nie wątpiąc bynajmniej, że książęcą uzyska godność. Ale zdradę jego dowcipną wykrył traf niespodziany: dwaj bowiem młodzieńcy, prostego i ubogiego stanu, przyszedłszy dla rozrywki na miejsce gonitwy, ułożyli się żartem pójść pieszo na wyścigi, a to pod takim zakładem, iżby zwyciężony zwycięzcę zawsze królem nazywał i witał. Postanowionego atoli zakładu wykonać nie mogli, zaraz bowiem na początku drogi kolce żelazne poczęły im kaleczyć nogi. Stanęli zatém i dostrzegają, że cała przestrzeń podobnemi kolcami była zasłana. Sądząc jednak, że nie należało rozpowiadać tego, o czém się przypadkiem dowiedzieli, rzecz całą zachowali w milczeniu. Gdy nadszedł dzień wyborczy, a wielu mężów i młodzieńców na koniach odmiennej maści przybyło, ci, którym ten urząd powierzono, poprowadzili ochotników chcących doświadczać szczęścia na miejsce gonitwy; a że wszystka szlachta i lud polski, zgromadziwszy się licznie na tak niezwykłe i wielkiej wagi widowisko, chcieli być świadkami ostatecznego wypadku, dzień przeto wyścigów, naznaczony na piętnasty października, ciekawy ze wszech miar przedstawiał widok: pole piaskiem wysypane, urządzone dla panów na podniesieniu ławice, lud zewsząd zgromadzony, jego twarze, uwagę i oczy na ubiegających się zwrócone, a jak to zwykle bywa, wieloraką obawę, życzliwość, współczucie lub względność, według rozmaitego widzów usposobienia. A gdy wraz wszyscy współzawodnicy szybkim puścili się wyścigiem, konie ich kaleczone tkwiącemi po drodze ostrokolcami, których żaden uniknąć nie mógł, poczęły najprzód utykać i postawać, a potém padać z jeźdźcami; inne bardziej naglone, zrzucały ich z siebie, opóźniały, lub waliły z sobą o ziemię. Sam tylko Leszek, chytry sprawca podstępu, który nadto kopyta swemu koniowi żelaznemi opatrzył podkowami, aby go ochronić od wszelakiego obrażenia, gdyby przypadkiem na jaki kolec natrafił, pędząc ścieżką wiadomą, nie bez podziwu współzawodników i widzów, pierwszy stanął u mety, i jak zwycięzca za słup uchwy-

cił. Aleć tuż za nim jeden z młodzieńców, o których się wyżej mówiło, że dla zabawy biegali na wyścigi, ten który był mniej od ostrokolców ucierpiał, i już się po te czasy wygoił, nie chciał zaniechać gonitwy; w czasie więc naznaczonym wyścigom konnym goniąc pieszo ścieszką boczną, przy śmiechach powszechnych i wołaniach do kresu przybywa. Aczkolwiek Leszek na swym jabłkowitym koniu według umówionego warunku najpierwej stanął u słupca, i od wszstkich władcą i książęciem okrzykniony został, zaraz przecież wyjawiła się zdrada; o którą od współzawodników oskarżony, musiał sprawić się przed sędziami ustanowionymi do orzeczenia pierwszeństwa w tej gonitwie. Na dowód użytego podstępu, ukazano nieuszkodzone kopyta u jego konia i żelazem starannie podkute; a ztąd jawnie przekonano się, że on nie kto inny ponarzucał owych kolców i zdradził sprawę publiczną. Zdaniem więc powszechném, jako winny podstępu przeniewierca i zdrajca, zasłużył na karę. Zaczém, po wydanym nań wyroku, od współzawodników swoich, których tak chytrze podszedł, oburzonych jego zdradą, na sztuki końmi rozszarpany, kaźń zasłużoną i śmierć poniósł sromotną. Ów zaś młodzieniec, który dla żartu pieszo był zdążył do mety, za zgodną wszystkich wolą i okrzykiem, godnym uznany książęcej dostojności i na stolicę państwa wyniesionym został. A ponieważ, jak wyżej namieniliśmy, rodu był pospolitego, jednomyślném także postanowieniem nadano mu godność książęcą; wszyscy bowiem najchętniej uznali i orzekli, że według prawa wydanego na panowanie zasłużył. Aby wreszcie dawne imię nie wadziło mężowi wziętemu z poziomego stanu, zarzucono jego nazwisko i mianowano go Leszkiem; imię to bowiem u Polaków było w owym czasie powszechne i nadawano je książętom wysadzonym do rządów, jakby miano godności. A tak, ów święty majestat królewski, odmówiony chytremu i chciwemu panowania podstępcy, który swą zdradę śmiercią przypłacił, przyznano skromnemu i prostemu młodzieńcowi z największą jego chwałą — i sprawdził się wyrok Pisma św. które mówi: „Wielu usiadło na stolicy, a ten, o którym nie myślano, weźmie koronę.“

---

107. DO MORZA CZARNEGO.

(*p. W. Pola*).

Powiedz mi proszę — za co cię tak rano
Morzem gościnném po świecie nazwano?
Czyś to tak wiernie niosło twoich gości?
Czy na dnie twojém nie leżą ich kości?
Czyliś darzyło tak drogiemi dary,
Że we czci miewał ciebie świat już stary?

— Nie o mnie człeku dobra wieść tu chodzi —
Na dnie bez liku i kości i łodzi.
Ja tylko biorę — tylko burze daję —
Lecz po mych brzegach są tam piękne kraje.
Hen tam na północ, i tam od zachodu,
Tam w czarnej ziemi zasiedli gazdowie,
Wielkiego szczepu, sławnego narodu,
A Dniepr i Dunaj z dawna ich posłowie.
Oni to, oni gościli przybyszy,
Że świat dziś jeszcze o gościnie słyszy.

---

108. ŚMIERĆ MĘCZEŃSKA PUSTELNIKÓW KAZIMIERSKICH.

(*z Długosza*).

Onego czasu słynęło w królestwie Polskiém sześciu mężów odznaczających się pobożnością i życiem świątobliwém: Benedykt, Mateusz, Jan, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Bolesław bowiem król Polski, posłyszawszy o głośnych zaletach Św. Romualda, posłał do niego z usilną prośbą, aby mu kilku braci*) z klasztoru swego przysłał do Polski, którzyby przykładem swoim i nauką budowali lud świeżo z łaski Bożej do wiary nawrócony. Tę prośbę Bolesława króla Henryk cesarz osobistém poparł wstawieniem się do męża Bożego Romualda, na ów czas przebywającego w Pero. Ale Romuald nie chciał w tej mierze nakazywać samą przełożeństwa swego powagą swoim braciom zakonnym, lecz zostawił wolność każdemu udania się do Polski,

---

*) zakonników Kamedułami zwanych.

albo pozostania w klasztorze. Nie wiedział, jaka w tém święciła się wola Boża; zaczém zdał to na wolą braci. Gdy Henryk nie przestał wolą swoją nalegać, znalazło się dwóch tylko z całego zgromadzenia, którzy oświadczyli dobrowolnie, iż gotowi byli udać się do Polski: jeden z nich Jan, a drugi Benedykt. Tych gdy sprowadzili wysłańcy króla Bolesława, król przyjął ich z wielką radością jakby aniołów Bożych, i z innymi czterema, Mateuszem, Izaakiem, Krystynem i Barnabaszem, rodem Polakami, którzy się do nich przyłączyli, i podjęli się nauczyć ich miejscowego języka, w ziemi Wielkopolskiej wyznaczył im miejsce, gdzie teraz leży miasteczko Kazimierz, pod ów czas lasami i borami wielkiemi otoczone. Tu nowi przychodnie pobudowali sobie grodziska odpowiednie liczbie osób, i w ślubach najściślejszej wstrzemięźliwości prowadząc życie pustelnicze, utrzymywani szczodrotą króla, nauczali lud opowiadaniem słowa Bożego i wzorami cnót świątobliwych, przez co wiele przyłożyli się do podniesienia w narodzie światła i poprawy obyczajów. Z wziętości powszechnej i z rzeczywistej załugi stali się oni nader głośnymi. Nie mieli żadnej własności ani osobistej ani wspólnej, żadnego nawet kącika własnego; żyli jedynie z jałmużny wiernych. Ubiór ich gruby i szorstki, strawa licha, najprostsza, służąca jedynie dla zaspokojenia głodu, zatrudnienie codzienne modlitwa połączona z postem. Nie samą wreszcie martwili ciało wstrzemięźliwością, ale nadto chłostą wzajemną i innemi ćwiczeniami, skracając je i karcąc, aby podlegało rozumowi. Uczęszczali do nich nie tylko mężowie znakomitsi duchowni i świeccy i lud pospolity, lecz sam najdostojniejszy ze wszystkich mężów Bolesław król Polski, który ich lepianki i pustelnie odwiedzał; a z ich rozmów, życia, nauki i przykładu wielkie dla Polaków rosło zbudowanie. Bóg też najwyższy, wynagradzając ich prace i zasługi, użyczył im palmy męczeńskiej, za którą się ubiegali. Pewnego bowiem czasu, król Bolesław, zwykłym sobie obyczajem pobożnym, udał się był w towarzystwie dworu królewskiego do tych mężów świętych, a zatrzymawszy się nieco w ich pustyni, i odprawiwszy swoje modlitwy, przy odejściu złożył im w podarku bryłę złota, dla ulżenia ich ubóstwu i nędzy, a to w przytomności swojej dworskiej drużyny. A lubo mężowie Boży oświadczyli, iż złoto wcale im nie było potrzebne, i prosili króla, aby to bogactwo im odebrał, a na inny użytek obrócił, król Bolesław jednak odpowiedział: „że nie godziło się złota raz już

Bogu ofiarowanego na inne ludzkie przeznaczać cele, byłoby to bowiem świętokradztwem.“ Zostawiwszy je zatém, i poleciwszy siebie i królestwo Polskie modlitwom mężów świętych, odjechał. Pustelnicy przejęci wstrętem na widok złota, którego nigdy nie posiadali, wielce zmieszali się i zasmucili, zważywszy, jaką dla nich byłoby to sromotą i Boga obrazą, gdyby zwolennicy ubóstwa, którzy z dawna pogardzili światem i jego próżnościami, i aż dotąd zgubne chciwości odmiatali żądze, w sędziwym i zgrzybiałym wieku skalać mieli ręce złotem. „I jakże (mówili) obciążeni tak wielkim skarbem naśladować zdołamy Chrystusa? Czy pod pozorem jałmużny używać go będziem, sobie na potępienie, innym ku zgorszeniu i grzesznemu upadkowi?“ Naradziwszy się przeto między sobą, i rozważywszy coby uczynić wypadało, Benedykt, który starszym był w gronie, i inni bracia wraz z Benedyktem, postanowili spiesznie i bez żadnej zwłoki zwrócić je Bolesławowi królowi Polskiemu i samemu oddać do ręki. Za zgodą więc wszystkich, Barnabie, jako wiekiem i powołaniem najmłodszemu, który uboczne zwykle podejmował sprawy, zlecają tę powinność. Posłuszny rozkazowi braci Barnaba, wziąwszy ono brzemionko złota, pospieszył do dworu, aby je oddać królowi Bolesławowi. Aliści ledwo połowę uszedł drogi, pierwszej zaraz nocy po wyjściu z pustyni, niektórzy z Polaków, plemię Beliala, podrażnieni złota chciwością, które widzieli jak król dawał pustelnikom, zmówiwszy sobie wspólników, kryjomo i w noc ciemną przebierają się na puszczę, aby im wydrzeć to królewskie złoto. Szałem występnym zaślepieni, napadają na schronienie mężów świętych przed północą dnia dwunastego listopada, właśnie gdy ci zajęci byli wyśpiewywaniem psalmów i chwały Bożej — i rozkazują wydać sobie skarb dniem wprzódy ofiarowany im przez króla Bolesława, grożąc śmiercią wszystkim, jeśliby go oddać nie chcieli; nie przestają wreszcie na słowach, ale wszystkie kąty i zachyłki w mieszkaniach sług Bożych z chciwością przetrząsają. A gdy im pustelnicy szczerze i sumiennie wyznali, że złota nie potrzebują, i już je odesłali królowi, tém większą zapaleni wściekłością, sądząc, że się pustelnicy zapierają i kłamią, a złoto kędyś w piasku mają ukryte, wywierają na nich całą srogość swoję, już nie łajaniem i obelgą, ale nawet razami. Zaczém porwawszy każdego z osobna i skrępowawszy, odłączają ich od siebie, w spodziewaniu, że użyciem kaźni wielorakiej wymuszą na nich wyznanie, gdzie

złoto przechowali. Ale Pan użyczył błogosławionym sługom swoim tyle mocy duszy i wytrwałości w cierpieniach, że wszyscy zarówno i prawie jednogłośnie zeznawali: że złoto dane im od króla odesłali w całości, i że ani doznane, ani zagrożone im męki nie zdołają na nich tego wycisnąć, iżby z obrazą Boga usta swoje pokalać mieli kłamstwem. „Boga (mówili) wzywamy na świadka, że nie dla tego się przemy, aby zatrzymać przy sobie złoto, któregośmy nigdy nie pragnęli, ale żeby fałszywém i kłamliwém zeznaniem nie ściągnąć na siebie rzeczywistej winy.“ Hultaje zaś bezbożni rozumiejąc, że pustelnicy na jedno się zmówili, powtórnie i z większą jeszcze zajadłością rzucili się na mężów świętych, i póty ich męczyli i katowali, pokąd wśród bicia i skwarzenia ogniem nie postradali żywota, oddawszy Chrystusowi Panu dusze uwolnione z męki, aby je chóry anielskie odniosły do przybytków niebieskich i królestwa wiekuistej chwały, męczennikom, którzy cierpieli dla Chrystusa, od wieków zgotowanej. Poczém rozbójnicy znowu zajęli się wyszukiwaniem skarbu, i wszystko, cokolwiek mieściła w sobie mężów świętych pustelnia, sprzewracali. Ale gdy ich tak wielkie zachody i zbrodnicze usiłowania omyliły, dla zasłonienia swojej winy postanowili ogniem zniszczyć mieszkania świętych, a nawet ciała ich popalić, aby ludzie mniemali, że to nie zbrodnią czyją lecz przypadkowo się stało. Wszelako ognie podłożone straciwszy przyrodzoną siłę, ani ich mieszkań, ani ciał żadną miarą nie chciały się imać; a ściany, chociaż drewniane, tak je od siebie odpychały, jakby z najtwardszej uciosane były opoki. Tym cudem przerażeni zbójcy pouciekali.

O popełnioném morderstwie na świętych męczennikach zaraz nazajutrz uwiadomiony król Bolesław, i tknięty boleśnie śmiercią tak okrutną mężów Bożych, natychmiast, jak tylko mógł najspieszniej, z całém rycerstwem i drużyną dworską siadłszy na koń, i z okolicy przyległej ściągnąwszy znaczną liczbę pieszego ludu, idzie obławą i ze wszystkich stron otacza las, w którym mężowie Boży mieli swoje mieszkania, domyślając się, że one łotry po spełnieniu zbrodni utaiły się kędyś w puszczy. A lubo puszcza wielce była obszerna, a ztąd nie mała trudność w schwytaniu zbrodniarzy, przecież król tak się wziął gorliwie do sprawy, że śledzcy postępując rotami i docierając do każdego z osobna miejsca, z łatwością natrafili na ich kryjówki. Ci całą noc nachodziwszy się po gęstwach lasu, próżno szukali

ścieszki, której zbłąkaną od strachu stopą znaleźć nie mogli; nawet mieczów dobytych na zagładę męczenników do pochew nie pokładli, albowiem ręce im wszystkim pomartwiały. W miejscu zaś tém, gdzie leżały ciała świętych, widziano świecącą jasność, i śpiewy anielskie całą noc rozlegały się na świadectwo uwielbienia sług Bożych. Wyśledzeni zbrodniarze poczuwając się do winy, ani śmieli nawet stawić oporu, i poddali się zaraz rycerstwu. Król Bolesław pohamował wprawdzie żal swój nad męczeńskim zgonem mężów świętych, ale stała mu w oczach zbrodnia tak straszliwa, lękał się więc puścić złoczyńców bez jawnego ukarania; nie mógł się przecież namyślić, jaka na nich miała być wymierzona kara. Postanowił wreszcie, aby nie temi, na jakie zasłużyli, tracić ich kaźniami, ale żeby skutych w kajdany postawić u grobu mężów świętych, i tam w zatrzymaniu głodem i pragnieniem umorzyć, albo zdać na łaskę Opatrzności i świętych męczenników, aza chcieliby nad nimi zlitować się i z katuszy ich wybawić. Jakoż gdy z rozkazu królewskiego przyprowadzono ich do grobu świętych, natychmiast niewymowną mocą Opatrzności pęta ich skruszone opadły, a oni wolność uzyskali. Świętych zaś Bożych ciała, ku większemu poszanowaniu, kazał król przenieść do kościoła Gnieźnieńskiego, i wszystkie pięć w jednym grobie, umyślnie na to sporządzonym, pochować. Pozostały zaś przy życiu szósty pustelnik Barnabasz posłyszawszy, że braci jego tak okrutnie pomordowano, trapił zię żalem wielkim, iż nie zasłużył u Boga na podzielenie z nimi tego męczeństwa. Potém, wróciwszy do tego samego ustronia, i wystawiwszy na nowo pustelnię, zajęty dobremi uczynkami, na ścisłych postach i modlitwach skończył życie, i z rozkazu króla Bolesława pochowany został przy swoich braciach i towarzyszach. Stoi dotąd pięć kościołów na tém miejscu, gdzie były ich domki i modlnice, ku czci i pamięci mężów świętych, zbudowane przez pobożnych wyznawców. Pokazują jeszcze, gdzie który z pustelników miał za życia swoje grodzisko i zacisze poświęcone modlitwie.

---

109. Z PUSTYŃKI ŚW. JANA Z DUKLI.

(Podanie)

(*p. Winc. Pola*).

Ostatni pański dworzec pod górami

Bieli się Dukli*) staremi murami,
I parę świątyń śród gór tu się chowa;
A ponad niemi już we mgłach Cergowa**),
I stary zegar wybija godziny —
Jako przed wieki stare dzwony biją...
I przeszły sławne i możne rodziny,
A pańskie trumny w kościołach się kryją.

Po sławnych niegdyś przebrzmiała już sława,
Po sprawiedliwych pozostały prawa,
Po możnych pamięć pozostała zbytku,
Po dumnych tylko wzgarda bez pożytku.
Ale jak bije na Cergowej zródło,
Co było w Bożej miłości poczęte,
To dzisiaj jeszcze w sercach nie wychłódło,
I wiecznie żywe, jest w pamięci święte!
O! i nie do tych duch się w dziejach garnie,
Co żyli w złocie, a dziś śpią w marmurze,
Ale co żyli dla świata nie marnie,
A dziś czuwają jak Anieli-Stróże
Nad ową ziemią, co im rodzicielką,
Którą miłością kochali tak wielką,
Że na jej skrzydłach i za jej przyczyną
I dziś ku niebu jeszcze serca płyną.

Błogosławiony żył tu sługa Boży,
Niegdyś Jan z Dukli — i wierna Cergowa
W świętej pustyńce ślady jego chowa,
Gdzie obok źródła sypiał na rogoży.
I święte źródło bije tam wieczyście,
I w mroku starych buków uroczyście...
I wiecznie żywa tam serca prostota
Odnawia pamięć świętego żywota.

* *
*

Kiedy Jan z Dukli po tej ziemi chodził,
I świętobliwym żywotem zasłynął,

---

*) Dukla w Sandomiérskiem.
**) Cergowa, najwyższy szczyt gór Bieszczad (w Karpatach).

Bóg takiém światłem duszę mu nawodził,
Że naród za nim jak za świętym płynął.

Więc ksiądz Prowincyał zjechał do klasztoru —
A chcąc doświadczyć jeszcze jego cnoty,
Z cichej pustyni wezwał go do choru,
I coraz cięższe zadawał roboty.

I już nie wolno mu było ni siedzieć,
Ni spać, ni modlić, ni wziąć pożywienia,
Ale się wprzódy musiał opowiedzieć,
I u starszego prosić pozwolenia.

Czém większa była zakonna surowość,
I czém trwardszego żądano posłuchu,
Tém i pokora większa i gotowość,
Tém więcej Święty weselił się w duchu.

Kiedy raz z rana zapytał nieśmiele,
„Gdzie mszę mieć będzie?“
— Ksiądz prowincyał powie:
„Taka ma wola, że w naszym kościele,
Ale przed wielkim ołtarzem we Lwowie.“

Mąż święty na to nie rzekł ani słowa,
A wzniosłszy oczy z radosnym uśmiéchem,
Jak gdyby ze mszą, w ornacie, z kielichem,
Prosto z zakrystyi wyruszył do Lwowa.

Z książką i dzwonkiem szło przed nim pacholę,
I nie stawając szli i dniem i nocą;
A Pan obudwu trzymał na swym stole,
I krzepił łaską i nadziemską mocą.

Już z Dukli ludzi wyruszyło wiele:
A gdy mąż święty przy każdym kościele
Na drodze swojej uczył i pocieszał,
Z wsi i miasteczek tłum za nim pospieszał.

I kiedy przybył nareszcie do Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:

„Tego kapłana Bóg w swej łasce chowa,
Gdy taka rzesza przy nim Boga chwali.“

A więc we wszystkie uderzono dzwony,
I wielka jasność świeciła mu z czoła,
Kiedy zawołał wszedłszy do kościoła:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Kiedy mszę świętą następnie odprawił,
Wielką nauką całą rzeszę skruszył...
A kiedy skończył — już więcej nie bawił,
Ale napowrót do Dukli wyruszył.

I ruszył za nim cały tłum narodu —
I wychodziły z procesją gromady,
I od wsi do wsi, od grodu do grodu
Stąpała rzesza w jego święte ślady.

A gdy do Dukli przybył już ze Lwowa,
Mówili sobie i wielcy i mali:
„Oto mąż Boży i święta to głowa,
Gdy taka rzesza za nim Pana chwali!“

I sam Prowincyał poczcił sądy Boże,
I podał wodę święconą u progu,
I rzekł w miłości ducha i pokorze:
„Wracaj na puszczę, boś ty miły Bogu!“

---

110. SZCZODROBLIWOŚĆ BOLESŁAWA CHROBREGO.

(Opowiadanie historyczne)

(*p. K. Szajnochę*).

Tyle prawie za czasów Bolesława rycerzy w Polsce było, ile za naszych czasów jest w niej obojej płci narodu. Część rycerstwa rozsiadała się po grodach, główny tabor otaczał Bolesława; sam zaś Bolesław rozsypywał z nawiezionych bogactw hojne po kraju datki w szatach tudzież innych darach królewskich, wyprawiał ludowi świetne biesiady, skarbiąc sobie tém przychylność reszty nierycerskiego, częstokroć przeciwnego sobie narodu. Ta hojność królewska, to rozdawnictwo szat i różnych

darów królewskich, te po całym kraju wyprawiane uczty, należały do walnych w dawnym czasie obowiązków królewskich. Im nawet surowszą była władza królewska, im bardziej wojennemi władze książęce, tém hojniejszą szczodrobliwością musiał panujący głaskać ogół swojego ludu. Jakoż i lud ten nawzajem o tyle okazywał cześć i przywiązanie do swego książęcia, o ile, jak nagrobna pochwała Bolesława opiewa, widział go w bogactwa obfitującym i szczodrym rzeczypospolitej szafarzem. Ztąd posuwano tę hojność pospolitą do ledwie pojętego dziś stopnia. Każdy, kto się tylko zbliżał do króla, odchodził bogatemi obdarzony szatami, które jeszcze po kilku wiekach w nawróceniu Litwy tak ważną grały rolę, a zapewne i teraz nie mało do rozpowszechnienia chrześcijaństwa w Polsce przyczyniły się. Każdy świąteczny dla chrześcijan dzień obchodzili królowie szumnemi po całym kraju swym wiernym, to jest chrześcijanom, wyprawianemi godami, stosownie do ich ważnego przeznaczenia ogromnemi Kilkaset beczek miodu, tysiące gości, ośm dni przeciągu, były zwykłemi okolicznościami królewskiej uczty. Aby podobne biesiady jak najczęściej powtarzać się mogły, ustanawiano na chwałę Bożą, to jest dla zachęcania ludu do wiary Bożej, jak najwięcej uroczystości świątecznych w roku, a po każdej biesiadzie rozdawano jeszcze kilkaset grzywien ubogim. Co więcej, chcąc nawet tych, którzy chodzić nie mogli, albo u dworu i w obec namiestników królewskich stanąć nie śmieli, do udziału powszechnej wesołości przypuścić, urządzano niejako ruchome uczty, to jest ładowano na wozy chleb, mięsiwa, ryby, tudzież mnogo jarzyn i owoców, dodawano do tego beczki miodu i kwasu; poczém obładowane tak wozy przejeżdżały po miastach, pod przewodnictwem ludzi w głos wołających: „Gdzie są chorzy, ubodzy i wszyscy, którzy chodzić nie mogą? I natychmiast udzielano im wszystkiego. I raczono w ten sposób lud co tygodnia. Nadto stały w dworcu książęcym stoły, u których zasiadali bojarowie, setnicy, dziesiętnicy, tudzież inne znakomite osoby, bez względu na obecność czy nieobecność Książęcia. A na tych stołach było wszystkiego podostatkiem, mięsiwa zwyczajnego, jako też wszelkiej zwierzyny. Działo się to na dworze Włodzimierza Kijowskiego. Dwór Bolesławowski nie ustępował mu bynajmniej w hojności i gościnności; gdyż za szczególną zaletę Chrobrego uchodziło, iż utrzymywał wielkie i mnogie stoły, że nie tylko w stolicy uczty wyprawiał, ale nawet osobnych po grodach i miastach

wysadzał namiestników, którzy te grody i miasta biesiadami raczyli, tudzież zwykłemi królewskiemi darami obdarzali; a dla dostarczania samej zwierzyny służyły u dworu roje z różnych narodów nagromadzonej służby ptaszników i myśliwych, którzy przemysłem swoim łowili wszelki rodzaj skrzydlatego i czworonożnego zwierza.

Po takiej ogółowi ludu świadczonej szczodrobliwości można wnosić o wylaniu się Bolesława dla rycerstwa, towarzyszów broni i trudów, głównych wykonawców jego wielkich zamysłów. Tu każdy gość rycerski był nie gościem Bolesławowi, ale synem; prócz równego udziału zdobyczy, czekają każdego sowite wynagrodzenia królewskie w zbroi i koniach, jeśli poniósł w czém szkodę; każdego rycerza zna król i wzywa do boju po imieniu: ówczesne dowództwo wymagało spółuczestnictwa króla we wszystkich trudach szeregowego żołnierstwa, natchnięcia każdej szczególnej sprawy duchem jego obecności. A jeźli każdy o krzywdę oskarżony przed sądem przez dni kilka u stołu królewskiego raczony bywał, o ileż serdeczniej podejmował król zasłużone, zwycięzkie rycerstwo swoje!

Czterdzieści większych, niezliczona ilość pomniejszych stołów stoi w obozowej stolicy Bolesława. Przy nich ćma gości i towarzyszy różnych narodów, różnego języka i stroju. Przy głównym stole sam Chrobry z dobraném gronem przyjaciół i doradców. Jest ich, jak kronikarz, zapewne przez wspomnienie sławnej pod ów czas wieści o biesiadném gronie paladynów króla Artusa opowiada, dwunastu. Pomiędzy tymi ulubiony opat Tuni, chytry orędownik Stojgniew, ten i ów biskup uczony, znakomici przybysze, jak n. p. rycerski brat Ś. Wojciecha Sobiebór, później może także ów z Kijowa przywiedziony Atanaz Chersończyk, tudzież nie jeden graf niemiecki. Wraz z nimi siedzą za stołem żony świeckich urzędników, panie dworskie. Na ich czele cna i roztropna Królowa, której bezimienna pamięć długo w narodzie słynęła, a którą niewątpliwie była sławiona przez Thietmara, a najdłużej przez Bolesława zatrzymana Konilda, wierna służka Chrystusa, do wszystkiego dobrego niestały umysł swego małżonka nakłaniająca. A wszystkie pany i panie w bogatych szatach — bo za czasów Bolesławowych każdy rycerz i każda białogłowa bławatów zamiast płóciennych albo wełnianych szat używali, ani też futer, jakkolwiek kosztownych, nie noszono u dworu inaczej jak z bławatem i złotogłowiem. Oso-

bliwie panie dworskie uginały się pod ciężarem kosztownych przyborów i i wytworności, jako to: nagłówków złotych, łańcuchów, opon, naramienników, złotogłowiów i klejnotów; co wszystko tak im ciężyło, że będąc w całej gali, nie byłyby w stanie chodzić, gdyby przyboczna służba tego brzemienia kruszców nie podtrzymywała.

O ileż jednak droższe dla nas bogactwo wspomnień całego tak wspaniale spędzonego życia Bolesławowego zawierały rozmowy, toczone w tém przyjacielskiém gronie królewskiém! Jak w owych kosztownych przyborach nie było misternego wykwintu, owszem wszystkie prawie dolatujące nas słowa Bolesława Chrobrego są grubo rubasznemi żartami lub klątwami; wszak ileż równie grubej było w nich treści, ile cięższej nad owe kosztowności niewieście i zbroje męzkie było historycznej wagi w całym żywocie Bolesławowym! Jakby z dziwną artystycznością zaokrąglony poemat żywy, gdy piśmiennych poematów zmyślać jeszcze nie umiano, leżało to życie przed wspomnieniem biesiadującego pomazańca pierwszego Polski.

---

111. DO DNIEPRU.

(p. Win. Pola).

Dnieprze! co płyniesz Ukrainą żyzną,
Starą rycerzy i mogił ojczyzną,
Powiedz, kto tobie tyle wody dawa?
I czemu w świecie ogłuchła twa sława?
Czemu tak z góry poszło tobie Dnieprze,
Że świat o tobie zabył co najlepsze?
Czy złota Ławra już nie błogosławi,
Że cię mogiła tylko jeszcze sławi?

— Od ujścia mego aż do wierzchowiny.
Siedmset i cztery rzek z kolei padło,
I Niż, porohów kozackie dziedziny,
I siedemdziesiąt ostrowów usiadło —
Siekierka znaczy i siekierka ścina,
I rozproszyła się moja drużyna;
Choć miała wiarę, nie miała miłości,
I pozostały po niej tylko kości!

---

112. BŁOGOSŁAWIONA BRONISŁAWA.

(z Obrazów życia świątobliwych Polaków i Polek).

W trzynastém stuleciu, tak obfitém w świątobliwe postacie, szczególniej od Boga błogosławiony był w Polsce szlachetny dom Odrowążów. Prawie jednocześnie dał on ojczyznie w biskupie Iwonie mądrego i gorliwego o dobro kościoła pasterza — w synowcach jego Jacku i Czesławie wielkich patronów — a wreszcie w krewnej ich Bronisławie błogosławioną w niebie orędowniczkę. Bronisława przyszła na świat w Krakowie około r. 1205. Ojcem jej był Stanisław Prandota, a matką Anna z domu Gryfów. Młodziuchna Bronisława garnęła się ku Bogu od lat pacholęcych, a im była starszą, tém widoczniejszą się stawała rzadka jej doskonałość. W szesnastym roku życia, piękna równie duchem jak ciałem, wzgardziwszy uciechami świata, oddała się służbie Chrystusa. Przyjąwszy zakon Norbertanek, osiadła w ich klasztorze na Zwierzyńcu pod Krakowem, i wiodła tam żywot pełen świątobliwości. Miłość bliźniego była w niej bardzo gorąca, bo oparta na miłości Boga, wypływającej z silnej wiary; nie raz też pracując około dobra drugich, podołała czynnościom, które przewyższały słabe jej siły niewieście.

Jacek święty nawiedzał często klasztor Zwierzyniecki*). Z każdych takich odwiedzin Bronisława wielką odnosiła pociechę: miłowała bowiem Jacka, jako rodzonego brata, a czciła w nim zarazem świątobliwą doskonałość. Wdzięczne bardzo były dla słuchających rozmowy ich o życiu mającém się zacząć w chwili śmierci ciała, o tym dniu bez końca, światłości której nigdy nie zakryją chmury, mroczące ziemski żywot ludzkości.

Zdarzało się niekiedy, że Bronisława bawiąc długo na modlitwie wpadała w zachwycenie, w którém dusza jej czuwała, a ciało bywało uśpione. Razu jednego, gdy dłużej w tym stanie pozostawała jak zazwyczaj, i nic nie wiedziała ani czuła około siebie, zatrwożyły się siostry i zaczęły ją przywoływać do życia.

— Powiedz nam miła córko, pytała jej przełożona, skoro przyszła do przytomności, czy nie czujesz się chorą, bo lice twoje zbladły?

— O! nic mi nie jest, wielebna matko, odpowiedziała Bro-

---

*) Zwierzyniec, przedmieście Krakowskie.

nisława. Miałam widzenie tak słodkie i miłe, że dotąd czuję się radośnie wzruszoną.

— Opowiedzże nam, coś widziała — prosiły siostry.

— Nie wiem czy potrafię opowiedzieć, bo nie łatwo wyrazić martwemi słowy zachwycenie ducha, ale uczynię zadość waszemu żądaniu. Otóż najpierwej ujrzałam jasność wielką ponad rozwartém niby sklepieniem mojej celi, a wśród tej jasności snuły się chóry Aniołów i śpiewały tak cudnie, że podobnych dźwięków nie zazna żadne ucho na ziemi, i wiecznie za niemi tęskno będzie temu, kto je raz słyszał... Nagle ucichły wszystkich niebiańskich głosów pienia, i czoła wszystkich duchów schyliły się w pokorze — a ja w błogim zachwycie ujrzałam zstępującą wśród nich Najmiłosierniejszą i Niepokalaną Bogarodzicę. Wyciągnęła ramiona ku ziemi, zkąd płynęła w górę na falach obłoków biała jakaś postać. Jakiż był mój podziw, i jaka radość, gdy w tej postaci poznałam brata mego Jacka! Królowa niebios ujęła go za rękę, i w jasnej przestrzeni zabrzmiały cicho lecz dźwięczniej niż muzyka Aniołów te słowa: „Pójdź sługo mój wierny odebrać zgotowaną dla ciebie nagrodę.“ W tej chwili widzenie moje znikło, i zostałam pod wpływem radosnego wzruszenia. —

Zadumały się głęboko siostry nad tém opowiadaniem. Zbudził je jakiś niezwykły rozruch w klasztorze. Jedna z nich pobiegła dowiedzieć się, co go spowodowało. Wkrótce powróciła zalana łzami, przynosząc wieść żałosną, że miły Bogu i ludziom Jacek Odrowąż zakończył życie doczesne. Wszystkie siostry zakonne głośnym wybuchły płaczem — jedna tylko Bronisława, lubo najboleśniej dotknięta taką stratą, uśmiechała się błogo do swego widzenia, zamienionego nagle w rzeczywistość. „O! bracie mój, rzekła z cicha, więc już jesteś szczęśliwym wiecznie! — widzisz już wiekuistą prawdę w całym jej blasku i chwale! O! módl się za nami, abyśmy słabi pielgrzymi stanęli wraz z tobą u kresu naszej podróży.“

Niedługo potém, Bronisława, pełna lat i zasługi, połączyła się z bratem i gronem Aniołów, których jeszcze żyjąc na ziemi słyszała śpiewy.

Podanie ludowe mówi, że zasnęła w Bogu modląc się na górze, która po dziś dzień nosi jej nazwisko. Ciało jej przeniesiono do Zwierzynieckiego klasztoru, gdzie dotąd spoczywa przy ołtarzu św. Anny — na górze zaś wybudowano kapliczkę, gdzie

wzywający pomocy błogosławionej Bronisławy zawsze doznawali cudów.

---

113. GÓRA Ś. BRONISŁAWY.

(*p. Fr. Wężyka*).

Wy! których bystre czucia wyższy zapał nieci,
Schodźcie się tu malarze! schodźcie się poeci!
Tu wschodzącego słońca czekajcie promieni,
Tu na jego zgon teskny patrzcie rozrzewnieni —
Tu, jeśli gasnąć poczną pędzlów waszych farby,
Zbiegajcie się po nowe wyobrażeń skarby:
A czy kreślić zechcecie, jak ciężarne burzą
Siwe szczyty swe Tatry w samych niebach nurzą,
Czy włości okolicznych roskoszne posady,
Czy krążącej z daleka połysk Wisły blady,
Czy deszczem i gromami ziewającą chmurę,
Błagajcie Bronisławy o wstęp na tę górę.
Lecz zkąd poszło to imię? kto śmiałemi kroki
Pierwszy z ludzi tej góry zmierzył szczyt wysoki?

Jest pogłos, że dziewica przecudnej urody,
Świata tego łudzące zmierziwszy swobody,
Rzuciła Bronisława ojcowskie podwoje,
I w tém miejscu na modłach dni skończyła swoje.
Zgon jej pięknego życia piękną był koroną,
A duch zdobi od wieków święte Niebian grono.

---

114. ŁYSA GÓRA czyli OPACTWO Ś. KRZYŻA.

(z Podróży po ziemiach polskich *p. Juliana Niemcewicza*).

Ze świtem puściłem się drogą do opactwa św. Krzyża*). Widok niezmiernych gór przede mną przypomniał mi choć drobno Apenniny we Włoszech i Apalachy w Ameryce. Przykrą kamienistą drogą przez mil dwie przebywa się do wsi Słupca. Tam kościół, podług pozoru, niezmiernej musi być starożytno-

---

*) Łysa góra, opactwo Benedyktynów, w Sandomierskiem.

ści, lecz niema wyrytego roku, ni żadnego podania. Za tą górą wznosi się najwyższa w Polsce (jeżeli Karpaty wyminiemy) i najsławniejsza w początkowych dziejach naszych Góra łysa, na której wierzchołku stoi wspaniały klasztor i kościół Benedyktynów. Góra ta otoczona zewsząd pasmami gór równie prawie wyniosłych, okrążona i okryta jest całkiem niezmiernemi drzewy jodeł, buków, modrzewi i grabów. Cała jest granitowa, mająca wszystkie charaktery gór pierwiastkowych. Jest ona do wdarcia się przykra — u spodu widać posąg S. Benedykta, niezgrabnie uciosany z kamienia, w klęczącej postawie. Jeżeli nie Mieczysława, musi on przynajmniej Chrobrego pamiętać. Wyraża fundatora w błagającej postawie, wstawiającego się do niebios za domem Bożym i służącymi w nim zakonnikami. Po niezmiernej pracy wdarłem się na szczyt piechotą, pełen żywego uczucia, żem stąpał po ziemi, po której pierwsi z Piastów chodzili nie raz. Początek opactwa ma wszystkich dziejopisów świadectwa. Na górze, gdzie dziś jest świątynia, stały trzy pogańskie przodków naszych zbory, każdy osobnym kamiennym przedzielony wałem. Ostatki tych wałów jeszcze rozeznać można. Bogowie ci byli: Pogwizd, bóg wiatrów; Lada, bóg wojny; bogi przyjaźni Leli-Poleli. Wysokość miejsca, ciężki przystęp do niego, świst wiatrów, posępność czarnych otaczających je borów, właściwém zdawały się miejscem do przerażania religijną trwogą. Gdy przed kilkudziesiąt laty, przy założeniu tutejszego kościoła, kopano na fundamenta nowego, znaleziono w ziemi posąg pogańskiego bożyszcza, okryty węglami, może jeszcze z dawnych pozostałemi ofiar. Długo po przyjęciu wiary świętej zostały w Polsce pamiątki bałwochwalstwa. Między innemi świadczy to Miechowita, który przy końcu wieku XV. pisał swoję kronikę. „Po dziś dzień (mówi on) słyszeć można pospólstwo nasze śpiewające najdawniejsze pogańskie pieśni: Lada, lada, Leli, Poleli, z wykrzykami i rąk klaskaniem.“ Co za szkoda, że Miechowita, słysząc te pieśni, nie umieścił ich w kronice swojej! Byłby zachował najdawniejszy i najdroższy zabytek języka przodków naszych.

Mieczysław I z namowy Dąbrówki, żony swojej a córki Bolesława książęcia Czeskiego, w roku 966 przyjął chrzest, bałwany pokruszył, Bogu prawdziwemu wzniósł świątynię, i księży Benedyktynów z Włoch sprowadził. Jakkolwiek bądź, pierwsi z Włoch sprowadzeni zakonnicy wśród głuchej puszczy mieli

osobne małe mieszkania. Czegoż nie dokaże prawdziwa o wiarę gorliwość! nadzieja wiekuistej nagrody! Zakonnicy ci porzucili ziemię ojczystą, słodkie pogodne Auzonii nieba, drogie związki przyjaźni, pokrewieństwa, aby otoczeni ludem dzikim, żyli wśród szronów i wichrów. Nie długo jednak doczesne ponosili trudy — wkrótce wieniec męczeństwa otoczył ich skronie. Polacy poganie, lud dziki, zuchwały, pełen zemsty za obalone ojców swych bogi, napadli na bezbronnych kapłanów, i w pień wszystkich wycięli. Sprowadzeni na ich miejsce Benedyktyni Czesi, dla podobieństwa języka szczęśliwszymi się ujrzeli w naukach swoich i ułagodzeniu burzliwych umysłów. Niema przynajmniej śladu w dziejach, by zakonnicy ci przez pogan napastowanymi byli. Trwa dotąd podanie, że kościół modrzewiowy, który dopiero niedawno rozebrano, był zbudowany przez Bolesława Chrobrego, a to z namowy Emeryka, syna świętego Stefana króla Węgierskiego, który w tych lasach z Bolesławem łowami się bawiąc, darował klasztorowi tutejszemu cząstkę drzewa Krzyża świętego. Ten drogi zabytek dotychczas w największej czci zachowuje się. Dawny kościół zniszczony był pożarem, oprócz pierwszego piętra klasztoru — świadczą to orły białe zachowane w wiązaniach sklepień gotyckich.

Poniósł klasztor tutejszy klęski rozliczne, mianowicie podczas wtargnienia Tatarów za Bolesława Wstydliwego (w r. 1258). W tej napaści wyrznęli Tatarzy całe zgromadzenie z 82 zakonników składające się.

Napróżno szukałem nadań Bolesławów. Na oglądaniu klasztoru, dopytywaniu się o wszystko i pisaniu strawiłem dzień cały. Gdy dzień pogodny i zupełnie od mgły wolny, widzieć można ztąd wkoło niezmierną rozległość kraju, Bielany za Krakowem o 19 mil ztąd leżące, góry Tatry i inne odległe miejsca.

---

115. BŁOGOSŁAWIONY SADOCH.

(Legenda krajowa)

(*p. Władysława Syrokomlę*).

Nad Polską słońce poranne płynie —
Nie nad żyznemi pola rozłogi,
Bo same pustki, trupy, pożogi,

W błogosławionej Piastów krainie.
Kędy przeleci Tatarzyn dziki,*)
Szlak swój naznacza krwi polskiej falą;
Co noc to szerzej łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki...

Nad Sandomierzem poranek płynie —
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całém mieście, w całej krainie
Z żadnej się piersi głos nie dobędzie;
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi.
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Zakonni bracia, Pańscy kapłani,
Tłumiąc odważnie postrach powszedni,
Co się w około rozchodził wszędy,
W bezludném mieście zostali jedni,
I w swoich celach modłom oddani,
Sprawują śmiało święte obrzędy;
Dzwonią na jutrznią i całą rzeszą
Na ranne modły do chóru spieszą.
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,
Z okiem pobożnie utkwioném w ziemi;
Młodzi na przedzie, starsi za niemi,
A dalej starzec, ich przełożony.
Imię ma Sadoch — i lat już wiele,
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do niebios tronu,
I ostrą włosień nosi na ciele.
Z młodu wiódł żywot niemniej surowy;
Bo dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy,
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły brodę, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło
Ogłaszać wiarę na końcu świata.

---

*) Sandomierz złupiony i splądrowany przez Tatarów pierwszy raz w r. 1240.

Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyleż w nich braci — w ustawach ściśli,
Może ni jednej światowej myśli,
Może jednego grzechu nie mieli:
Bo pod świętego starca rozkazem,
Zajęci pracą swojego stanu,
W postach, modlitwie, ostrej pokucie,
Tłumili każde ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

I otóż wszyscy z świętym wyrazem
Zasiedli w chóru ciemnem ościeniu;
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:
„Boże! pospiesz się ku wspomożeniu,
„Panie! ratunku twego nam trzeba!“
I dalej modły wyznawców Pańskich
W jedno donośne spłynęły brzmienie:
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,
Jak gdyby jednej piersi westchnienie;
Bo ich uczucia w jedno się zlały,
Jedna w nich żądza — niebieskiej chwały.

Zmilkła na chwilę cała gromada,
I wedle ustaw, najmłodszy z grona
Czyta tych świętych Pańskich imiona,
Których pamiątka dzisiaj przypada.
Miał już zakończyć — cóż to? błąd oka?
Zdjęła go trwoga — przytomność traci —
Widzi w swym ręku cud oczywisty —
W księdze gdzie czytał, napis ognisty:
„Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
„A z nim czterdziestu dziewięciu braci.“
Przeczytał słowa... Cóż to on gada?
Woła z podziwem cała gromada —
I wszyscy spieszą oglądać głoski,
I wszyscy widzą wielki cud Boski...

Wtém znikły z karty wyrazy wieszcze,

Jak sługi Boże poniknąć miały —
I znowu w chórze modły zabrzmiały
Jeszcze gorętsze i szczersze jeszcze.

Po modłach Sadoch z twarzą radośną
Do najmłodszego poszedł kapłana,
I pełen skruchy padł na kolana,
I świętą spowiedź odprawił głośno.
Potém każdemu z braci koleją
Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją,
I świętym chlebem Pańskiej biesiady.

I otóż wieczór — już po nieszporze,
Sadoch ze swemi w środku kościoła
Klęczy na ziemi, do Maryi woła,
I pieśń Maryi nóci w pokorze.

Wtém z trzaskiem wrota kościelne pękły —
Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
Wyrznąwszy w zamku naród przelękły,
Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
Jedni już łupią ołtarze Boże,
Drugich zbójecka wściekłość rozżarza,
I utłuszczone krwią polską noże
Wpychają w piersi sługom ołtarza.
Tryskają z piersi krwawe fontanny,
I białe szaty szkarłatem broczą:
Święci pod noże idą ochoczo,
I kończą pieśnią Maryi Panny.

---

116. Ś. KUNEGUNDA KRÓLOWA POLSKA.

(z Obrazków życia świątobliwych Polaków i Polek).

Dopiero ośmnaście lat liczył Bolesław V, kiedy po śmierci jego opiekuna Henryka Brodatego najmożniejsi panowie wyjechali w poselstwie do Węgier, prosząc o najstarszą córkę Beli,

Kunegundę czyli Kingę, dla swego Księcia za małżonkę. Wkrótce wrócili z za gór, wioząc dziewicę piętnastoletnią, smukłą, wdzięku pełną; a zewsząd zbiegali się do Krakowa ciekawi, aby podziwiać jej niezwykłą urodę. Lecz skromne wejrzenie księżniczki już zapowiadało jej przyszły żywot świątobliwy i jednało jej serca wszystkich bogobojnych ludzi. Posag zaś, jak na owe czasy wielki, bo dochodzący prawie do czterech milionów złotych, bardzo się przydał Książęciu, nad częścią kraju panującemu.

Podania dochowane o Ś. Kunegundzie głoszą, że jej zaraz po chrzcie Przenajświętszy Sakrament podano, zanim jeszcze skosztowała mleka macierzyńskiego. Pierwej więc boskim niż ludzkim żyła pokarmem, i okazywała też od najpierwszych lat życia pobożność zadziwiającą. We własnej rodzinie karmiona przykładami niewiast nadziemskiej cnoty, jak Ś. Salomea, Ś. Elżbieta, Ś. Jadwiga, Kunegunda wcześnie zaczęła wstępować w ich ślady. Małém jeszcze będąc dzieckiem, miała upodobanie szczególniejsze w nabożeństwach kościelnych; a nauki słyszane na kazaniach, które pamiętała prawie dosłownie, stosowała do postępków swoich. Nie dziw więc, że przybycie tej Królewny było ubłogosławieniem dla Polski, nad którą właśnie zawisła była nieszczęść burza. Od wschodu w Azyi poruszała się dzicz Tatarska, i już od lat kilku krążyły pogłoski o zbliżaniu się, o srogości i okrucieństwach tych pogan straszliwych, zwanych Tatarami i Mongołami, których nawet miano za ludożerców; lecz wieści te, niby bajki o szatanach, obiegały tylko wśród ludu, nie przychodząc długo do rzeczywistości. Aż nareszcie ujrzano pod Kijowem te hordy dzikich wojowników, o śniadych twarzach, z kołpakami na głowie, wywróconemi kożuchami okrytych. Od rżenia rumaków, ryku wielbłądów, skrzypu teleg tatarskich, nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego, powiada kronika ruska.

Wtedy za posag Kingi, pilnie dotąd strzeżony w zamku krakowskim, zebrano roty najemnego żołnierza. Rycerstwo polskie pospieszyło także do walki — i choć od Tatarów zwyciężone, zostawiło im przecież wspomnienia dzielności swojej. Książę Bolesław wraz z matką i młodą małżonką uchodzić musiał przed plagą Tatarską, co jak powódź niepowstrzymana szeroko rozlała się po Rusi, Polsce i Węgrzech, póki nareszcie sami owi Mongołowie, nasyceni łupem i krwią przelaną, nie cofnęli się w stepy Azyi. Wówczas Bolesław, zawdzięczając żonie utratę

sum posagowych, zapisał jej osobném pismem ziemię Sądecką. W tymże samym czasie Kinga odwiedziła ojca swego Belę w Węgrzech, i wtedy nastąpiło wydarzenie, które do tylu powieści nastręczyło wątek. Król Bela obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa. Między innemi zwrócił podróż ku otworom gór Karpackich, w krainę Małoruską, rozciągającą sie wzdłuż południowych granic Pokucia. Ojciec Księżny krakowskiej chciał ucieszyć miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach soli pracy górniczej. Zatrzymał się dwór królewski w jednej z żup tamtejszych, otwierających się kilkoma szybami w solną głąb ziemi. Niezwyczajny obraz podziemnego trudu górników zabawił wielce Księżnę młodziuchną. Żywe atoli przywiązanie do ziem po tamtej stronie gór i do narodu nadwiślańskiego zasępiło zabawę tą myślą, czemu i kraina krakowska nie osiągnęła tak pożądanego błogosławieństwa niebios. Wtedy to miała prosić ojca i otrzymać w darze jeden z szybów widzianych, i biorąc go w posiadanie, obyczajem tamtych czasów młoda Księżna zdjęła z palca złotą obrączkę, i w otwór szybu pomiędzy górników wrzuciła. Zabrała potém liczne wozy solą ładowne do Polski, gdzie dotąd prawie samą tylko warzoną sól znano; zabrała także biegłych z Węgier górników. A gdy po kilkoletnich poszukiwaniach dokopano się w Bochni twardych pokładów soli, potworzyły się różne powieści, które zostawiły wielką zasługę Księżny w podniesieniu starań około wydobywania soli, tak potrzebnej do utrzymania życia ludzkiego.

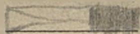
Czterdzieści lat przeżyła z mężem swoim ta święta niewiasta, nie ustając w nabożeństwie i dobrych uczynkach, prowadząc żywot nadzwyczaj ostry i lekceważąc dostojność swoją i urodę. Szpeciła sobie umyślnie i brukała twarz, żeby nie wzbudzać ku sobie upodobania, płochych myśli i próżnych pochwał. Szyła całemi dniami własną ręką dla ubogich i kościołów różne ozdoby. Wiele się przyczyniła do kanonizacyi Ś. Stanisława. Przy wyjęciu jego kości z grobu sama je obmywała całując pokornie. Wraz z mężem uczyniła ślub wystawienia klasztoru zakonnicom reguły Ś. Klary, który dopiero w czasie wdowieństwa swego dopełnić mogła, obracając na ten cel wszystkie dochody swoje, i zapisując klasztorowi znaczną część posiadłości swoich.

Leszek Czarny, następca Bolesława, zaprzeczał jakiś czas Kunegundzie prawa rozrządzania ziemią Sądecką, aż wreszcie bogobojna niewiasta pokonała wszystkie trudności i wzniosła

wspaniałą warownię przez wzgląd na niepokoje owych czasów— budowę, która do dziś dnia zbliżających się do Starego Sącza wyniosłą wieżą i starożytnością swoją zachwyca. W tym klasztorze Kinga życia dokonała, otoczona siedmdziesięcią siostrami zakonnemi, pełniąc najlichsze usługi, i pomywając naczynia brudne dla ćwiczenia się w pokorze. Z jej pobytem w tych stronach tysiączne spłynęły pociechy na lud dzikiej dotychczas okolicy. Na każdém też miejscu żyją jej wspomnienia, barwą poetycznej cudowności odziane. Tu ślady jej stóp wyryte na skale wśród drogi, którą uciekała wraz siostrami, chroniąc się przed napaścią Tatarów z nieukończonego jeszcze klasztoru w góry Pioniny. Tam, powiadają, zaszczepiła swoją rószczkę lipową w grunt jałowy, a wnet wyrosły gaje napełnione pszczołami. W inném miejscu sprowadziła cudownym sposobem strumień zwany Przesiecznicą, w okolicę zupełnie wody pozbawioną.

Po jej śmierci, przypadłej w r. 1292, liczne zapisano cuda za jej sprawą doznane. Ośmdziesięciu umarłych ożyło, sześćdziesięciu ślepych wzrok odzyskało, siedmnastu z niewoli pogańskiej powróciło do domu, a siedmset chorych od różnych słabości zostało uwolnionych.

Nad grobem Świętej, w kaplicy jej poświęconej, wystawił kardynał Radziwiłł ołtarz wspaniały, w którym po dziś dzień pokazują za szkłem jej relikwije. Widzieć także można w klasztorze celę przez nią zamieszkałą, oraz kubek i inne naczynia, których używała za życia. Przechowują również rękopism Długosza z jego podpisem, opowiadający żywot Ś. Kingi.



117. TRZY PIERŚCIENIE.

(*ze* Złotych Zbroic *p. Teofila Lenartowicza*).

W multanki grają starcy przychodni,
Od ich oblicza sercu pogodniéj.
Jeden z litewska, drugi z mazurska,
Trzeciego postać wysoko górska.
    Przed nimi kołem bliżej to daléj,
Starzy dziadkowie skroń zadumali;
Przed nimi kołem śmiélej nie śmiéléj,
Dzieciątko wzdycha, dziewczę się bieli;

A dalej młodzież łączy ramiona,
Pawie pióreczko, czapka czerwona.

Jakąż wam powieść ludzie powiemy,
Na ten kraj głośny, na ten czas niemy?..
Powieść powiemy ku pocieszeniu,
O trzech księżniczkach i trójpierścieniu.

— O trójpierścieniu prosimy radzi! —
Litwin multanki ręką pogładzi,
A mazur biały, on lirnik wtory,
Pocznie na lasy śpiewać a bory.

„Z węgierskiej strony w złotej kolebie
Przynieśli pannę,*) słońce na niebie.
Słonko na niebie, na ziemi róża,
Róży i słonku cieszą się wzgórza.
Jaskółki lecą rozciekawione,
Jaskółki lecą nieprzegonione.
Na powitanie cudnej urody -
Krakowskie książę**) jedzie pan młody.
Jak się ujrzeli aż zachorzeli,
W niebo spojrzeli jako anieli.
Prawi rycerze poklękli w koło;
Aż panna Kinga zasroma czoło,
I do narodu wielce wstydliwa
Wdzięcznemi słowy tak się odzywa:
Cóż ja wam niosę? pierścień wam niosę,
Siostrzyczki moje wy złotokose;
Dobrzy rycerze, a i wam i wam
Pierścionek ślubny z paluszka dam.
Aż głosik pójdzie ludu od roli:
Dajcie go ziemi, ziemia da soli...
Spojrzy się Kinga na młode panię:
Zostać mnie księżną w panieńskim stanie;
Co Bóg naznaczył, człek nie odmieni,
Dwóch ja nie mogę dawać pierścieni.
Książę mój młody, gdy cię wybiorę,

---

*) Kingę czyli Kunegundę, córkę Beli króla węgierskiego.
**) Bolesław V Wstydliwy.

Smutek zabieży w każdą komorę.
Dla ciebie Książę siostra, siostrzyczka,
Dla tego ludu Bochnia, Wieliczka;
Więc się ze ziemią złączą pierścieniem,
Z miłą ojczyzną słodkiém wspomnieniem.
I jak wyrzekła tak wnet uczyni,
Ziemia się w rozcież roztwarła przy niéj,
Miłości Kingi wielce spragniona,
Sól łzę radości wydała z łona.“

* * *

Skończył — drużyna wiejska zebrana
Wnet mu naleje z pełnego dzbana,
Gdy lirnik wtóry od szałamai
Śpiewa dla ludzi, śpiewa dla gai:

„Wielką nam biedę Litwiny niosły;
Codzień po Bugu pluskały wiosły.
Wiosła pluskały, łodzie szumiały,
Cierpieli wielcy, biadał lud mały.
Co ona Litwa nabrała branek,
Co nadwiślanek, co nadbużanek!
Porwie przed siebie i dalej w bory,
Jak orzeł dziki, jak wicher skory.
Radzą panowie, rycerze siwi,
Lecz boskiej mocy któż się sprzeciwi?
Hej! hej! Polacy, otrzéjcież lica,
Cudnego lica owóż dziewica*);
Takiej urody Litwa nie znała;
Jak zorza cicha, jako mgła biała.
Co jeno Polska w sobie ma krasy,
Co blasku wody, co cieniów lasy,
To się na licu odbiło onéj,
I blask wiślany i gaj cieniony.
Taką to sobie księżniczkę młodą
Starzy Polacy na panią wiodą.

Jednego razu wpośród weseli

---

*) Jadwiga, królowa polska.

Smutkiem się lice dziewy zabieli.
Z lesistej strony od lasów Buga
Po niebie łuna zaciągnie długa.
Na łunę krwawą, co w nocnej porze
Jak pożar lasu stoi na borze,
Nasza dziewica rzuci oczyma,
A w białej piersi płaczu nie wstrzyma.
I k' ubogiemu ludowi rzeka,
Co księżny złotej pod wroty czeka:
I cóż ja mogę? weźcie te szaty,
Niech przyodzieją spalone chaty,
Niech się w nie ludzka nędza otuli,
A mnie zostawcie w jednej koszuli.
I swe bieluchne wyciągnie ręce:
Bierzcie sukienki, złote pierścieńce. —
Ażci rycerze i lud ze sioła
Jednemi słowy ku niej zawoła,
Jak sznur żórawi na wietrze loty:
Książęciu Litwy*) daj pierścień złoty;
Niech nam ta Litwa krzywdy nie czyni,
Pod ciebie wszyscy pójdą Litwini.
Ciężko jej było z onej przygody,
Że serce w piersi skakało młodéj.**)
Ciężko jej było; przecie się skłoni,
Łzę zostawiając na białej dłoni.
Z paluszka ściągnie pierścionek blada,
Oczy ociera, sobą nie włada.
Lecz gdy rzuciła okiem raz wtóry,
Na oną łunę, na one bory,
W sercu jej, w wodzie litości źródła,
Ona się pierwsza miłość rozwiodła." —

* * *

Zdało się ludziom drugie zagranie,
Toż i srebrniaczek w rękę ukanie,
I biały kołacz pod pachę kładą,
Radujący się całą gromadą.
Po twarzach krasnych i łezka lśni się;

---

*) Władysławowi Jagielle.

**) Była wprzód zaręczoną Wilhelmowi książęciu austr.

W kółku wieśniaczém aż trzy Jadwisie;
Kingi nie było, jako to imię
Rzadko się słyszy w wieśniaczym dymie.

* * *

Przepili k' sobie lirnicy radzi,
Jeden przy drugim szczęśnie się sadzi;
Ten z szałamają, ze skrzypką owy,
A mgła zaciąga dęby, dąbrowy;
I miesiąc wschodzi złoty, czerwony,
Jakby kalina zarumieniony,
Oświeca sady, lasy i krzyże,
I dziady co im grają na lirze.
Miesiąc nasz polski cichy, cichutki,
Co zna radości nasze i smutki;
Czasem okrągły pogląda w chatę,
Jako pacholę nasze pyzate;
Czasem pobladły, drobny, niebogi,
Czasem się złemu nastawia rogi;
A zawsze miły wieśnej ustroni,
Mił słowikowi w cieniach jabłoni,
Polskiej dzieweńce, rusińskiej doni.
Kiedy pocichły krzyki i gwary,
Ze ziemi kobziarz ruszył się stary;
Zaciągnął wiatru od Karpat strony,
Za plecy zwiesił fagot kręcony,
I w kraj daleki rozpuścił beki,
Na kraj górzysty, w ślad czystej rzeki.
Zadął na kobzie jeden raz, drugi,
Pobudził śpiące łąki a smugi.
Drzymiąca sosna przetarła skronie,
Chłodnemi usty odwrzasło błonie,
A Krakowiacy, ludek ciekawy,
Jak poroszone wyprościał trawy,
Gdy wszelkie serce, młode czy stare,
Kocha na prawdę, słucha na wiarę.
Opuścił kobzę góral z Bieskidu,
Górskiej powieści nie zada wstydu.
Odgarnął włosy od mokrej rosy,
Siwe te włosy, góralskie włosy,
I począł: „Kiedyś dawnemi łaty

Był jeden książę zwany brodaty,
Zwany brodaty przez tę przygodę,
Że sobie z młoda zapuścił brodę,
Kiedy go z żoną cudną a młodą
Święci anieli sami rozwiodą.
Jedno jak drugie złości nie znało,
Jedno się w drugiem wielce kochało.
Gdy matka dziecię w kolebkę kładła,
Na kolebeczkę jasność upadła...
Strachnie się matka, oczy zasłoni,
Aż tu się cała ziemia rozdzwoni.
Więc się przez palce choć kęs oświeci,
A tu moc dzieci, niebieskich dzieci;
Wszystkie pobite tatarskim nożem,
Nad kolebeczką wiszą nad łożem;
I ocierają skrzydłami oczy,
Co je żal chmurzy, co je łza moczy;
Kiedy przy dziecku śliczna postawa,
We złotej zbroi duch Bolesława,
Stoi a w wietrze miecz dzierży długi,
Jak od tej sosny do tej tam drugiéj.

Wejrzy matuchna, ażci jej malec
Przysięgę składa palec na palec,
Że jak urośnie, miecza przypasze,
Za tę krew naszą, za dzieci nasze,
Jeśli matuchna zrobi ofiarę,
Klasztor wystawi na lata stare,
I z panem Bogiem zwiąże się śluby,
I habit na się nawdzieje gruby.
Jak to usłyszy godna niewiastka,
Myśl jej zaświeci niebieska gwiazdka;
I z myślą oną gwiazdeczką białą
Do męża bieży czekając mało...

A kiedy mężu jak co opowie,
Jak sobie kiedyś dali po słowie,
Tak kiedy dobra myśl je owienie,
Oddali sobie złote pierścienie:
I ony książę i ona księżna,

Już nie żonaty i nie zamężna.
Onemu w ziemię urośnie broda,
Białym się kwefem okryje młoda;
A pacholątko wieczorną ciszą
Pobite polskie dziatki kołyszą.

Jedne po drugich mijają laty,
Umarł pan ojciec Henryk brodaty;
Matka się w głuchą zamknęła wieżę,
A młodzieniaszka sam Pan Bóg strzeże.

Na polską ziemię naszły Tatary,
Ludzie się garną pod klasztor stary,
Kędy ofiarę pobożna Ksienia
Ongi czyniła z swego pierścienia.
Syn jej we zbroi jechał u wieży,
K'miłemu synu matka nie zbieży,
Jeno mu wyda miecz poświęcony,
Jeno mu każe dzwonić we dzwony,
I odnieść każe takowe słowa:
Bacz, coć powiada mać Henrykowa:
Synu mój miły, idź na te boje,
Życie bo twoje, twoje nie twoje.
Najcięższa burza przegrzmi nad tobą,
Najcięższą kraj się skryje żałobą;
Lecz moc największą Tatar przełamie
Twoje pobożne rycerskie ramię.
A jak wyrzekła tak się i stało,
Krew się polała, lecz złe przewiało.
I było szczęście w błogiém wytchnieniu —
Tyle o trzecim złotym pierścieniu.

---

118. KRAKÓW.

(p. Józefa Bohdana Zaleskiego).

Kraków — stolica pyszna co się zowie!
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkiemi:
I jest-że taki, co nie był w Krakowie?

A nie od razu Kraków zbudowany —
Swoi i cudzy prawią o nim wiele:
Dworzec przy dworcu, kościół przy kościele,
A kamienice kamienne — a ściany,
Nawet i dachy z pozłocistej miedzi . . .

Toż młódź tam ogień podkówkami krzesze,
Byle gdzie spojrzeć w ulice, na błonia,
To krasne czapki, brzękadła u pasa,
A kto żyw jeno, a zdrowy, to hasa.

---

119. KRAKÓW.

(z dzieła „Podróże historyczne po ziemiach polskich“).

(p. Jul. Niemcewicza).

Kraj, którym się zbliża do Krakowa od bramy Sławkowskiej, jest piaszczysty i mniej żyzny. Zapomina o tém podróżny, gdy wjechawszy na wzgórek odkrywa starożytną królestwa Polskiego stolicę. Na widok ten tysiączne rzewne uczucia budzą się w sercu Polaka. W tym-to grodzie wszystkie nasze wielkie wspomnienia dawności, wielkości, świetnych tryumfów, a nawet klęsk smutnych! Te starożytne mury, te baszty z strzałami wież wybiegających w lazur powietrza, ten zamek na Wawelu, pyszne niegdyś mieszkanie Piastów i Jagiellonów, dziś tylko popioły ich kryjące, ta wieża P. Maryi z zawieszonemi wokoło małemi gotyckiemi wieżyczkami, tysiąc innych starożytnością pamiętnych gmachów, cofając pamięć naszą w świetne wieki, tém boleśniejszą czynią chwilę przytomną, i by ją osłodzić, wzywają szczęśliwszej przyszłości nadziei...

Takiém napełniony wzruszeniem, przybyłem do Krakowa wieczorem 11 Lipca, w dzień, kiedy miasto obchodzące przybycie wojewody Potockiego, prezesa Rady stanu i ministrów, dawało dla niego wieczór w Sukiennicach rzęsisto oświeconych. Jest-to gmach ogromny i wspaniały; kilka tysięcy ludzi wygodnie w nim mieścić się może. Jakkolwiek bądź, dobrane liczne towarzystwo, blask gorejących świateł, cała miejsca tego wspaniałość, uderzyły mnie; nic jednak nie wzruszało mnie bardziej jak myśl, że ogromna ta budowa wzniesioną była ręką najwięk-

szego z królów naszych Kazimierza W. Jaka zamożność, jaki handel, jakie rękodzieła musiały być na ów czas w mieście Krakowie i w całém państwie, gdy cała budowa złożona z sklepów samemi sukiennikami była napełnioną!

Nazajutrz poszedłem na górę Wawel do kościoła św. Wacława na zamku. Ileż miejsce to jest ważném dla serca Polaka! Mijam bajecznego założyciela Krakusa, w jaskiniach tej skały zabitego smoka; pewniejsze, świetniejsze zajmowały mnie pamiątki — pobyt w tych gmachach tylu królów i książąt z pokolenia Piastów i Jagiellonów. Tu przywiedziona córka Gedymina z książąt Litewskich za żonę Kazimierzowi W., dziwiła się przepychowi polskiemu. Tu Kazimierz W. wjeżdżał w tryumfie podbiwszy Ruś Czerwoną, i wioząc za sobą niezmierne skarby. Tu Jagiełło, Ziemowit książę Siedmiogrodzki, Wilhelm Rakuski, miotani nadzieją, bojaźnią, miłością, stawili się przed piękną Jadwigą. Tu mieszkał Kazimierz Jagiellończyk z siedmiu synami i tyluż córkami. Ztąd Zygmunt Stary wychodził na powitanie Tarnowskiego, gdy ten po Obertyńskiém zwycięztwie wracał z tryumfem, wiodąc z sobą tysiące więźniów, działa, chorągwie, zatracone niegdyś przez Jana Olbrachta na Bukowinie. Tu Zygmunt August na łonie pokoju oddawał się powabom nauk, rozmowom Myszkowskiego, Tomickiego i innych. Tu później Czarniecki z garstką ludzi wytrzymał dzielnie szturmy licznych wojsk Szwedzkich. Ten zamek, szanowny wiekami, wojną i pokojem, smutnej w zeszłych latach doczekał się zmiany. Zaginęły wszystkie pamiątki. Przed dwudziestu jeszcze laty pokazywano pokoje królów, królowych, królewien. Tu mieszkał Jagiełło, tu się Kazimierz Jagiellończyk urodził, tu przebywała królowa Anna...

Uszedł jeszcze przed podobném zamku samego zatraceniem kościół św. Wacława, najszanowniejsza, najpiękniejsza w Królestwie Polskiem pamiątka. Założył go Mieczysław I, rozprzestrzenił Bolesław Krzywousty; naostatek, gdy w roku 1320 ogniem spłonął, Nankier biskup krakowski wybudował ten kościół kształtem takim, w jakim go dziś widzimy. Zygmunt I. przydał do niego kaplicę dla rodu swojego. Biskupi Maciejowski, Tylicki, Szyszkowski, Gamrat, Gembicki, powiększyli go i ozdobili. W nim, prócz ostatniego Stanisława Augusta, wszyscy królowie Polscy koronowali się — w nim grzebano ich zwłoki. W nim przecho-

wywano korony, berła i wszystkie znamiona dostojności królewskiej.

Wspaniałość kościoła, ozdoba ołtarzy, skarb kościelny, grobowce królów i bohaterów, odpowiadają wielkości przeznaczenia.

---

120. GROBY PRZODKÓW.

(*z Powieści z czasów Piastowych p. Wł. Syrokomlę*).

Cóż nam, spytacie, z onemi książęty,
Co siedem wieków jak próchnieją w grobie?
Pargaminowy, na klamry zamknięty
Wolumen dziejów niech spoczywa sobie.
Szanując przodków relikwiarz święty,
Oczy ku przyszłej wytężamy dobie; —
Cóż mamy cenić, zapaśnicy młodzi,
Wczorajszy zachód? czy jutrznię co wschodzi?

O! nie bluźnijcie, a uchylcie głowy!
Bo z piersi ojców i na ich kurhanie
Rośnie kłos żytni i konar dębowy,
Chléb i osłona i czoła ubranie.
Tu w szumie liści tajemnemi słowy
Szepcą ojcowie wnukom przykazanie;
Tu przeszłość siwa, zakopcona, śniada,
Młodej przyszłości rzewnie się spowiada.

Czerwona cegła lub piaskowiec szary,
Strzaskana baszta, lub ściana w ruinie,
To życia ojców zagrobowe mary —
Tu były twierdze, tu były świątynie...
Dziś te wieżyce i ciemne pieczary
Jękliwy puchacz zamieszkał jedynie;
A nikt z prawnuków wsłuchać się nie raczy
W jęk tajemniczy piosenki puchaczy.

W dębowych deskach foliant zbutwiały
Uszedł przed czasu zagładą zdradziecką;
W blade zygzaki pokreślony cały
Trudno wyczytać ręką staroświecką —

Ztąd dusza ojców do dziatwy skarlałéj
Zdaje się wołać: Bohaterskie dziecko!
Przyjdź tutaj zgłębiać upłynione dzieje,
Pogwarzyć z duchem co z tej karty wieje!..

---

121. ZAMEK KRAKOWSKI.

(*z dzieła „Kraków i jego okolice" p. Amb. Grabowskiego*).

Z doliny, którą wzgórza wieńcem opasały,
Wznosi szczyty ku niebu Kraków okazały;
A jak Tatry nad ziemie leżące w około,
Tak Wawel nad wież dwieście harde dźwiga czoło.
Tu gród pierwszych monarchów powstał niewysoki,
Później go wielkość Polski wzbiła pod obłoki.
(*Franciszek Wężyk*).

Wielu władzców europejskich mogło w świetniejszych przemieszkiwać gmachach, a przepychem dworu, wytworem sprzętów, zbytkiem stołu, górować nad skromném życiem królów naszych, którzy w czasie wojen trudom obozowym nawykli, w chwilach pokoju wzorem życia obywatelskiego stawali się: lecz pewno żadnego panującego mieszkanie piękniejszém nie odznaczyło się położeniem, jak zamek Krakowski. Wzniesiony nad stołeczne miasto, które zaległo u stóp skalistego Wawelu, oblany spławną rzeką, okrążony dokoła roskoszną płaszczyzną, cudnemi widokami na dalekie okolice, na olbrzymie Tatry, na żyzną, biegiem Wisły przerzniętą i sielskiemi osadami okrytą przestrzeń, uderza, zajmuje i zadziwia — i miło pomyśleć, że każdy rzut oka na tak malowną krainę oczy i serca królów naszych zachwycać musiał.

Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek Krakowski, i z rozległości swej raczej do miasta niż do zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest dawny pałac królewski i kościół katedralny. Mur otaczający go od strony południa i zachodu już nie istnieje, tylko stoją baszty i wieże zadziwiającej wysokości, a na które patrząc od przyznania wyższości starożytnemu budowaniu nad teraźniejszém wstrzymać się nie podobna.

Właściwy pałac królewski, zajmujący blisko trzecią część

powierzchni Wawelu, stanowią gmachy o dwu piętrach, krużgankami opasanych, stojące w czworobok około dziedzińca znacznej obszerności, a gmachy te, chociaż im czas dawną świetność wydarł, jeszcze wymownie świadczą, że były królów siedliskiem.

Wszedłszy na zamek Krakowski, niepodobna jest patrzeć na te szanowne obaliny, aby się nie przenieść myślą do dawnej świetności, i nie doznać trudnego do opisu wzruszenia... Upłynione wieki otaczają tu przychodnia bolesnemi wpomnieniami, a zgasła chwała zdaje się, że połyska jeszcze bladym promieniem na tych upadających pomnikach wielkości. Mury tego gmachu świadkami były niemal wszystkich przeważnych dzieł królów naszych. Tu stanowiono prawa, tu się odbywały sejmy narodowe, koronacye, obrzędy zaślubin i pogrzeby królewskie. Tu przyjmowani byli w gościnę obcy monarchowie, słuchane były ich poselstwa, zawierane sojusze, wyprawiane wspaniałe uczty i igrzyska. Tu aż do ostatniego rozbioru kraju był skład klejnotów koronnych.

Z całego przepychu dawnego zamku Krakowskiego utrzymał się tylko w całości sam kościół katedralny, przez czas i niszczącą rękę dotąd omijany.

---

122. SMOK WAWELSKI.

(*z poematu „Okolice Krakowa p. Fr. Wężyka*).

Kiedy z grzbietu twardego Wawelskiej opoki
Chciano zamek monarszy wynieść pod obłoki,
Znagła w gruncie zachwiane rozpękły się skały:
Wyszła na jaw potwora — i ludy zadrżały.
Nic groza srogich niebios w swym gniewie zaciekła,
Nic równie okropnego nie wydały piekła:
Syk padalca, złość żmii, krwią nadęte oczy,
Paszczę lwa, kadłub wilka, ogień miała smoczy;
A buchający z nozdrzy oddech zaraźliwy
Przeistaczał w pustynie najżyzniejsze niwy.
Codzień, gdy wyszła z pieczar głodem przyciśnięta,
Ginęli w ciężkich mękach ludzie i zwierzęta;
Codzień, piekące w gardle chcąc zalać pragnienie,
Krwi hojnie przetoczonej chłonęła strumienie.

Już lud przez nieustanne nękany rozboje,
Drogim z bydła okupem dni ocalał swoje;
Już z trzód nieprzeliczonych padał wół po wole,
Już leżały odłogiem bezprawne role:
Wtém Krakus, gdy kres nadszedł opłakanej chwili,
W której haracz potworze ziemianie znosili,
Kazał rzucić przed jamę bydlęta udane,
Węglem, siarką i smołą obficie wypchane.
Smok, którym sprosność głodu pomiatała dzika,
Mniemane ciała zwierząt z chciwością połyka.
Wnet poczuł zgubny podstęp — wściekłość go ogarnia,
Ryk okropny straszliwa wyciska męczarnia;
Nadaremnie chcąc ogień w swém ugasić łonie,
Paszczą żarem zionącą nurty Wisły chłonie,
Napróżno blady postrach rozsiewa dokoła:
Wre siarka, płoną węgle, roztapia się smoła.

Wtenczas wyszedł mąż dzielny, na dni swe niepomny:
Dłoń jego pewną dziryt uzbroił niezłomny,
Pierś obcą wszelkiej trwodze pancerz okrył twardy —
Na ten widok smok wściekły cofa się ze wzgardy.
Już miotając ogniami, co w nim wiecznie płoną,
Roztworzył krwawej paszczy otchłań niezgłębioną;
Już okiem roziskrzoném lekką zdobycz tropił:
Wtém Krakus ostry dziryt w gardle mu utopił.
Ryknął z gniewu, z wściekłości, wszystkie zebrał siły;
Leci — wtém nowe ciosy w piersiach mu utkwiły.
A gdy go dzielność męża, gdy boleść zajątrza,
Roztlony sztucznie pożar przenika mu wnątrza.
Jeszcze resztę sił zbiera potwora obrzydła,
Lecz ją ciężkie bez ruchu powściągają skrzydła —
Martwieje długi ogon, zatacza się szyja —
Tak osłabioną Krakus żelazem dobija.
Zaczerniła się ziemia od brudnej posoki,
A całą milę sprosne przywaliły zwłoki.

Nadaw

arodu

123. WEWNĘTRZNY STAN ZAMKU KRAKOWSKIEGO.

(z dzieła „Grody polskie").

Początkowo zamek krakowski, jak całe miasto, był z drzewa zbudowany. Po wiele kroć nawiedzany klęskami w wojnach, co nieustannie szarpały Polskę aż do czasów Władysława Łokietka, uległ całkowitemu zniszczeniu w pożarze r. 1306. Dopiero Łokietek odbudował go na nowo i otoczył warownemi mury, a Kazimierz W. wymurował właściwy pałac królewski i wieże. Następcy Kazimierza różnemi czasy rozszerzali go, zwiększali i zdobili, jak to znać po rozmaitym stylu budownictwa w różnych częściach miasta. Władysław Jagiełło wymurował od strony wschodniej wieżycę, wspartą na arkadach mających kształt kurzej stopy, zkąd tę część zamku kurzą stopą nazwano. Wielokrotne pożary zniszczyły ten zamek. Gdy Zygmunt Stary wstąpił na tron po swoim bracie Aleksandrze, zastał go tak opustoszałym, że na mieszkanie królewskie nie był przydatnym. Sprowadził więc budowniczych z Włoch, dawne mury podźwignął, jednę część zamku całkiem na nowo wymurował, pokrył dachówką, przyozdobił; od strony dziedzińca zbudował wspaniałe, na smukłych, pięknej budowy słupach oparte, trzypiętrowe krużganki i wieżę senatorską. Po wiele razy jeszcze potém stawał się on pastwą płomieni; zawsze kosztem skarbu publicznego i królów polskich dźwigany, z ruin podnosił się coraz okazalej.

Nad bramą wstępną do pałacu królewskiego pozostał jeszcze napis łaciński wykowany w murze: „Jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?"

Wspaniałemi marmurowemi wschodami wstępowło się na przedsienia i krużganki, które prowadziły do sal zamkowych. Każdy z królów miał ulubione sobie komnaty, w których przemieszkiwał. Wszędzie nade drzwiami były napisy, rozmaite godła i herby. Posadzki krużganków ułożone były z białego i czarnego marmuru w najrozmaitsze wzory — komnaty ozdobione w posągi i malowidła, a na sufitach widziałeś rzeźbione złociste róże i floresy. Okna w komnatach olbrzymiej wielkości, osadzone w ramach ozdobnych z grubego ołowiu, miały rozmaitej wielkości szyby, najczęściej ze szkła kolorowego, które przedstawiały rozmaite obrazy treści religijnej, albo herby i inne go-

dła, tak, że do wnętrza komnat przyćmione wdzięczném malowaniem światło przepuszczały.

Daremnie byłoby dzisiaj kusić się o dokładny opis owych sal ogromnych, w których odbywały się niegdyś obrady sejmowe, zjazdy i uczty królewskie. Ani śladu już owych komnat, przystrojonych tak wspaniale i pięknie, z takim przepychem a smakiem, że je podziwiali i zachwycali się niemi cudzoziemcy. Dziś nie rozpoznasz już nawet dobrze rozkładu dawniejszego tych komnat i wielkości. Tak wszystko zmieniono do niepoznania! Z sal wielkich porobiono kuchnie, sionki, izdebki, przeznaczone na składy i szpitale lub pomieszkania dla żołnierzy. Kurz i pajęczyna, miasto dawnych ozdób, rozsiadły się po ścianach, a łóżka i tapczany żołnierskie w miejsce dawnych sprzętów królewskich, zapełniają cały zamek! Gdzieniegdzie tylko jeszcze herb z kamienia lab marmuru kowany nade drzwiami lub na stropie — orzeł lub pogoń, snop Wazów, marmurowe odrzwia lub komin przepyszny, pozostałe z dawnych ozdób, świadczą o znikłej wielkości, i przechowują pamięć króla, którego zdobiły mieszkanie.

Gdzież są owe sufity pyszniące się niegdyś najpiękniejszemi rzeźbami, w złociste róże i arabeski? owe aksamitne i złote obicia na ścianach, włoskie malowidła najprzedniejszego pędzla a wielkiego rozmiaru? — owe na przykład szpalery, do których wzory wykonywał sam Rafael Sanzio, a któremi okryte były ściany komnat przeznaczonych dla Konstancyi, arcyksiężniczki Rakuskiej, małżonki Zygmunta Augusta? Przedstawiały one najpiękniejszemi kolorami szytą historyą świata, od stworzenia pierwszego człowieka aż do potopu i wypłynięcia arki Noego. Opisane szczegółowo przez Orzechowskiego, zdobiły ściany sześciu komnat młodej pary królewskiej. Wielkością i przepychem odznaczała się między innemi izba senatorska. W niej dawano świetną ucztę w czasie zaślubin Zygmunta III z Katarzyną Austryacką — powleczono wtedy jej ściany zielonėm obiciem aksamitném, z haftami złotemi do koła. Na dwóch przeciwległych ścianach wisiały dwa olbrzymiego rozmiaru obrazy — jeden z nich przedstawiał koronacyą Zygmunta, drugi pojmanie Maksymiliana arcyksięcia pod Byczyną.

W jednej z komnat królewskich, przyozdobionej w rozmaite rzeźby, złocenia, trofea i malowidła, zwieszony był u stropu orzeł złocisty, poruszający się za najmniejszém powianiem, tak, że wszyscy obcy z podziwieniem na to arcydzieło sztuki jak

na żywego ptaka spoglądali. Był także jeden pokoik zwany ptasim, dlatego, iż w nim sufit cały przedstawiał rzeźbione rozmaitego rodzaju ptaszki, z dziwną naturalnością i żywością kolorów. Uderzała ogromem swoim sala poselska, w której podczas sejmowych obrad zgromadzali się posłowie spólnie z senatem. Miała niegdyś ta sala sześć okien; ściany jej były ozdobione malowidłami; lecz najpiękniejszą jej ozdobą był strop misternie z drzewa rzeźbiony, w łokciowe, głęboko drążone czworograny — z głębi każdego czworościanu, mającego brzegi cudnie wyrabiane, wychylały się męzkie i niewieście głowy naturalnej wielkości, a każda odmienna i w odmiennym stroju. W środku pułapu umieszczony był orzeł polski, pogoń i wąż (herb rodziny Bony, żony Zygmunta Starego).

W kaplicy zamkowej, do której się wchodziło pysznemi drzwiami, wyłożonemi kością słoniową i perłową macicą, wznosił się ołtarz na czterech marmurowych filarach. Posadzka była marmurowa, ściany ozdobione złocistemi rzeźbami, a na gzemsach herby Wazów, które dotychczas jeszcze widzieć można.

Lecz któżby zdołał opisać wszystkie owe komnaty w liczbie kilkudziesięciu? owe ozdoby pełne przepychu, z których ani śladu dziś nie zestało? Z jakiémże rozrzewnieniem wstępuje się do tej, którą wedle podania zamieszkiwała królowa Jadwiga lub Barbara, żona Zygmunta Augusta! lub do tych, w których mieszkał i umarł Kazimierz W. — Godną uwagi jest także sklepiona gotycka sala, wsparta na jednym filarze, zwana kuchnią królewską, w której Zygmunt III alchemią się trudniący smażył w tyglach płyny rozmaite. Ciągnęły się rzędem komnaty przeznaczone dla małżonek królewskich, dalej fraucymeru czyli dworu żeńskiego, sale jadalne, a między niemi sala srebrną zwana, służąca za kredens. Tam w szafach, dokoła ścian aż stropu sięgających, w słupiastych piramidach stały ustawione srebra stołowe królewskie, mnogością swoją i pięknością roboty przewyższające wystawę domową dworów zagranicznych.

Pod galeryą, w stronie południowej, znajdował się w trzech sklepach umieszczony skarbiec koronny. W nim złożone były korony i godła koronacyjne, od czasu Władysława Łokietka tu sprowadzone, tudzież inne kosztowności i klejnoty. Pomiędzy znajdującemi się tu dyamentami był jeden ceniony na pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych — a miał być jeszcze drugi większy i kosztowniejszy. Skarbiec koronny zostawał pod naj-

wyższym dozorem podskarbiego koronnego i kustosza, który tu zamieszkiwał dwie obok położone izby, zwane kustodyą. Drzwi do skarbca opatrzone były pieczęciami i siedmioma zamkami, od których klucze oprócz podskarbiego utrzymywali kasztelan krakowski, tudzież wojewodowie Sandomierski, Poznański, Wileński i Trocki. Z innemi kosztownościami przechowywano w skarbcu siedm koron, miecz przez cesarza Ottona wraz z koroną ofiarowany Bolesławowi Chrobremu, szczerbcem zwany, i t. p. klejnoty.

Gdy wejdziesz w dziedziniec zamkowy, każda stopa ziemi przywiedzie ci na pamięć liczne zdarzenia dziejowe. Tam widzisz furtkę, przez którą chciała wyjść Jadwiga, gdy naglona do oddania ręki Władysławowi Jagielle, pragnęła widzieć się jeszcze z upodobanym sobie od dzieciństwa Wilhelmem. Tu plac, na którym świetne wyprawiał turnieje Henryk Walezy, przyjechawszy z Francyi na tron Polski. Tu znów porywczy i hardy Zborowski czekanem zabił Wapowskiego — a obok wyjście, którém wspomniony król Henryk wymknał się potajemnie z zamku i uciekł do Francyi.

A kiedy przejdziesz już dziedzińce i staniesz na krańcu góry, chcąc się przypatrzyć okolicy rościągającej się u stóp Wawelu, jakże piękny i wspaniały roztoczy się przed tobą widok onej Krakusowej dziedziny! Z jednej strony sięga jej obszar do podnóża Tatrów; bliżej rozlegają się do koła szerokie równiny, w szachownicę pól i łąk ustrojone, a na nich malowniczo posiane wioski. Wisła poważném tocząca się korytem, obmywa stopy Wawelu; po obu jej brzegach szumią wyniosłe topole, a dalej z stron obu gąszcze nadbrzeżne i wzgórza, cudne swojém położeniem Bielany, Łobzów, Wola Justowska i trzy ponad miastem tęskno dumające mogiły.

---

124. UKRAINA.

(p. J. B. Zaleskiego).

Tyś nam Panie na dziedzinę
Błogosławił Ukrainę,
Umalował w blask i kwiecie,
Że jest jako jedna w świecie.

Samorodne, plenne zboże,
Buja w łanach jako morze;
Sine wody, rdzawe lasy,
Jak chorągwie dziwnej krasy!

Wieczną pieśnią step świegoce:
Ptastwo, ryby, miód, owoce,
Wszelkie dobro w Ukrainie,
Że po świecie całym słynie!

Dałeś, Panie! kraj nam bujny,
By lud w łasce rozmnożony
Chwalił cię, żył bogobojny,
I. pożywał ziemi plony.

125. OPISANIE UKRAINY.

(z „*Obrazów życia i natury*“ p. *Wincentego Pola.*)

Na całej Ukrainie jest ziemia bardzo urodzajna, a właściwie można powiedzieć, iż po egipskiej do najlepszych ziem należy. Czarnoziem wydaje tu niesłychane plony, nawet przy mniej starannej uprawie. Jeden zasiew ozimy daje częstokroć dwa zbiory rok po roku. Miejscami przerzuca się także po wyższych obszarach Ukrainy urodzajna glinka, tak zwany grunt pszeniczny.

Strefa jest na Ukrainie prawie dwojaka. Na wysokości pól i stepów, kędy zwaliste śniegi ziemię pokrywają, i gdzie kraj jest wystawiony na grę wiatrów, powietrze bywa niestałe, zmienne i zimne: na południu zaś i ku zachodowi, kędy ciepłe wiatry od morza wieją, i podniesienie płyty granitowej kraj od północy i wschodu zasłania, jest powietrze łagodne i stałe — tu też dojrzewają i południowe szlachetne owoce, a szczególniej jest to kraina roślin tykwowych, żyjących więcej powietrzem i oddechem liści rozłożystych, niż biorących pokarm za pomocą korzeni — te melony i kawony są to roślinne źródła stepów, które na upałach letnich brak wody poniekąd zastępują.

Do charakterystyki tamecznych okolic należą także f u t o r y. Futory są-to małe zagrody, czasami wśród lasów sady, czasami pasieki, a niekiedy i basztany, w zaciszu uroczysk, padołów lub jarów leżące, które po ustroniach zdala występują, przerywając jednostajność stepów. Co to za widok, kiedy wiosną zakwitną futory! Jak mlekiem oblane, bielą się całe padoły — krajem rozrasta się krzewina czeremcha, najwyżej wystrzela czereśnia, najpotężniej grusza. Białą patokę, miód bodiakowy składa pszczoła w małych ulach; basztan porasta rozłożystym liściem i okrywa się złotym kwiatem — a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny z małego ogniska, nad którém się stary zadumał pasiecznik. Bywa tu zwy-

kle woda i chata, i zacisze i chłód. Czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem, i stogi z sianem, i koszary z bydłem pod gołém niebem. Czasem leży kilka a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie, pomiędzy rozłożystemi jarami, a przy każdym są sady; a kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne płaty z pomiędzy majowej zieloności lasów, i już z daleka wtenczas widać futory.

Co zaś do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Niby-to biała karta w dziejach przyrodzenia czy wielkie pobojowisko tumanów. Świat otworem leżący, wietrzny, ruchomy i nieustalony. Myśl zdaje się tutaj tęsknić za rozleglejszym widokiem — a oko nie zdoła objąć tego, co widzi. Ztąd-to owa rzewna tęsknota krainy, która się w ludzie i dziejach jego i w jego pieśniach rozlała. Nigdzie nie ujrzeć drzewa na właściwym stepie, i tylko szumną trawą porasta odłóg wieczysty. Jedyne wynioślejsze miejsca są liczne mogiły. Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są-to albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora b a ł k a m i zwane, czasem rzędem obok siebie rozlane, czasem z osobna, bez własnej wody i widocznego odpływu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzciną, osoką i tatarskiém zielem porosłe, lub ogromnemi kępami skrzypin najeżone, a śniegi i deszcze zalewają je wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale pospolicie suchsze i płytsze, ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów, i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to tak zwane o c z e r e t y, po których jak po kniejach całemi dniami polują i błądzą myśliwi. Szelest tych oczeretów wichrem zamąconych wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nie mogący się porównać — ostry, szorstki, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie z widokiem tej ziemi i ojczyzną mogił zgodny.... U dna, na wycięciu lub wklęsłości jarów, bije zwykle krynica i sączy się zwykle ruczaj, a okrywające je porosty dębów i brzóz, jaworów, jesionów, lip i klonów czarnych, lud nazywa c z a c h a r a m i i b a j r a k a m i. Drzewa te są bujniejsze i większe niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnej jesieni.

Piękną jest roślinność stepów na wiosnę. Dziki szparag, sen i tulipan polny wykłówa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry. Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro sadzi się oset; a gdy później trawa huknie, to trawy w pas,

burzan wyżej głowy, a w bodiakach schowa się chłop na koniu z dzidą, i jest do czego konia uwiązać. — W tej puszczy bodiaków, w tém morzu traw niezbrodzonych przeżywia się mnóstwo niespłoszonego zwierza i dzikiego ptastwa wszelkiego rodzaju. Jak nad morzem, przeciągają ponad stepem łańcuchy żórawi. Tabun dzikich koni przegania pustopasz. W trawach leżą woły stadami. Dropie gnieżdżą się w zbożach — po jeziorkach i halawach tłucze się dzikie ptastwo — lis przemyka komesze. Wilk obywa w oczeretach. Na wznak przewrócone, z zamrużonemi oczkami, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry. Susły i homiaki ryją grunt odłogi. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka, i zginie w bodiakach. Z wierzchu stoga klekoce na żer mały orlik. Po zaciszonych uroczyskach stacza dzikie ptastwo boje. W stadach zbierają się kuliki i ciągną pustkowiem. Pod tarninką siedzi gracz zając, a w wielkich kołach okrąża sfery orzeł zaporozki.

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek. Dziwne zjawiska wyprawują tu te wiatry. Kiedy wałami z kurzawą lub śnieżnicą idą, zwane są tumanami; lecz kiedy się młyńcem kręcą, nazywa je lud złemi wichrami. Nieraz zdarzy się widzieć, że się takie trąby wietrzne całemi godzinami ze stepu na step przenoszą, i całe pokosy trawy lub zboża z sobą w górę porywają.

Piękną jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry, i tak spokojnie jest w powietrzu, że nawet gwarliwe milkną oczerety; a jak wednie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy.

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy — nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej — a na krótkiej świętojańskiej nocy, zaledwo zgasła na zachodzie, już-ci świta od wschodu, i zda się, że jej jasność tylko się po krańcach ziemi przesunęła.

---

126. KIJÓW.

(z Pamiętników Niemcewicza).

W czasach wiekami oddalonych, handlujący na Czarném morzu Grecy pierwszymi byli założycielami Kijowa. Osiedli w nim potém Słowianie, rządzeni od książąt swego rodu.

Dla bogactw, handlu, ludności i przemysłu, niektórzy z dziejopisów równali Kijów z Carogrodem. Pierwszy Bolesław Chrobry zagarnął Kijów pod berło swoje. Miasto położone między dwiema potężnemi rzekami, przez rzekę Dziesnę sięgało wewnętrznych krain Moskiewskich, Dnieprem morza Czarnego i Azyi. Tak obszerny handel, pogodne i umiarkowane niebo, żyzna ziemia w płody rolnicze i najwyborniejsze owoce, łagodność rządu, bliskość Carogrodu, stolicy państwa i handlu wschodniego, łatwo Kijów uczynić mogły tak zamożnym, jakim go wystawiają dziejopisowie dawni. Łatwo uwierzym tej wielkiej liczbie świątyń, lśnących się złocistemi wieżami, tej złotej bramie, tym gmachom, tym warownym basztom, temu nakoniec mnóstwu przemyślnego ludu, który napełniał cały obszerny obwód tak zamożnego grodu. Dawną wielkość i świetność poświadczają dzisiejsze zwaliska, wysokie naokoło wały, potężna brama z ostatkiem dawnej jeszcze pozłoty, tak wyniosła, że najtężej wypuszczona strzała dosięgnąć jej szczytu nie mogła; wszędzie sterczące świątyń zabytki, między temi kościół św. Zofii, budowany niegdyś sposobem greckim, z wielkim nakładem i pracą; pomost w nim z mozaiki, lazur i złoto lśnią się jeszcze w sklepieniach, w przysionkach, w gmachu samym; kolumny z porfiru, alabastru, marmuru. Zostały ostatki wspaniałości w kościele św. Michała, z złocistą wieżą i chórem wysadzonym mozaiką. Ponad grodem wznosi się zamek, niegdyś wspaniały, dziś ledwo godzien zamku imienia. Dzisiejszy gród w innem jest miejscu, poniżej nad Dnieprem, i żadnego śladu dawnej wielkości nie okazuje. Zniknęła ona pod orężem Połowców, Chrobrego, Gedymina i sąsiadujących z bliska najezdniczych narodów.

Kijów zostawał pod berłem polskiém aż do roku 1686, to jest do czasów Jana III.

---

127. KIJÓW I KAMIENIEC.

(z Roxolanii Fab. Seb. Klonowicza)

(*tłum. Wład. Syrokomli.*)

Stary Kijowie! starych kniaziów dworze!
Co masz pamiątek z upłynionej chwili!

Wieśniak je chyba na stepie wyorze,
Lub ktoś wykopie z gruzów i badyli.

Mówią o szczątkach starożytnej Troi,
Gdzie źródła Idy albo Symoenty:
Powiedz mi grodzie o przeszłości twojéj,
Stary Kijowie! ja czczę twoje szczęty.

A ty Kamieńcu! słynny znakomicie,
Kto godnie twoją wyśpiewa pochwałę?
Kto cię osadził na twardym granicie?
Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę.
Bóg a nie człowiek wykował cię z głazu —
Bóg lecz nie człowiek zdobędzie cię siłą:
Człek jest zrodzony — tyś stworzon do razu,
A stworzon pierwej, gdy człeka nie było.

Gdy przyjdzie skonać zestarzałej ziemi,
Ty musisz skonać, jej urodzin świadku;
Lecz jakoś stanął przed miasty inszemi,
Tak i zaginiesz chyba na ostatku.
Nie bój się człeka, bo cię niebo trzyma:
Lecz gdy powstaniesz na Ojca, co w niebie,
Znajdzie się mściciel na miasto-olbrzyma;
Ten, co cię stworzył, w prochu cię zagrzebie.

---

128. WINCENTY Z SZAMOTUŁ
I KLĘSKA KRZYŻAKÓW POD PŁOWCAMI.

(z *Hist. pol. A. Naruszewicza*).

Król*) złożył ze starostwa czyli hetmaństwa Wincentego Szamotulskiego**), a syna swego Kazimierza na tém miejscu postanowił: o co ten rozgniewany, zbiegł do Ludera, mistrza Krzyżackiego, i namówił go, aby wojował i pustoszył polskie

*) Władysław Łokietek.

**) W roku 1331.

krainy, chcąc mu w tej sprawie osobiście usłużyć. Wielkie klęski i bezprawia wyniknęły z tej zdrady... Łokietek, nie wiedząc, jak sobie w takim wypadku najlepiej zaradzić, posłał tajemnie do Wincentego z upomnieniem, aby bacząc na gniazdo swoje, w którém się urodził i wychował, nad strapioną ojczyzną miał zmiłowanie, a zwrócił na to uwagę, że królowi wolno było dać dostojeństwo, komu chciał. Gdy posłowie Wincentemu to oświadczyli, i przebaczenie królewskie obiecali, westchnął i zapłakał, mówiąc: „o! słodko każdemu mieć ojczyznę“ — i przyrzekł odstąpić nieprzyjaciół.

Po takich ułożeniach wrócił Szamotulski do. Krzyżaków, zapewniając ich, że król świadomy dobrze ich większości, myślał tylko o porządném cofaniu się, aby z tak niebezpiecznego położenia swoich wyprowadził. Krzyżacy, ufając powieści Wojewody, jako mającego u nich wiarę, zaniechali gotowości do boju; a w przedsięwzięciu uprowadzenia tylko za Wisłę niezmiernych plonów z Kujaw, Sieradza i Wielkiej Polski zebranych, poczęli ruszać się z wolna, ile przy nadchodzących już jesiennych niepogodach, do Prus. Otto, wielki komtur, z niejakim Reus de Plauen, wyszli przodem z częścią wojska, dla opanowania Brześcia Kujawskiego. Druga część, obciążona zdobyczą, ciągnąc na Radziejów, zbliżała się ku wsi Płowcom czyli Blewu, i tam na noc obozem stanęła. Równiny okoliczne, sposobne do wysworu i bitwy jezdnej, w którą najbardziej król ufał, natchnęły mu tę myśl, aby nie czekając dłużej, w tém miejscu spotkał się z Krzyżakami, już zwłaszcza rozdzielonymi na dwa zastępy. Dnia 27 Września (1331 r.) ze wschodem słońca zbliżył się Łokietek pod obóz nieprzyjacielski, gdy Krzyżacy jeszcze spokojnie zasypiali, pijaństwem całonocném rozmarzeni. Za ostrzeżeniem setników powstała w ich obozie trwoga, tém większa, że na słowa Wojewody Wincentego nikt się nie spodziewał, aby Polacy tak prędko nastąpić mieli. Mgła straszna nie pozwoliła królowi korzystać z rozruchu nieprzyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słychać było z stron obu, lecz obie strony się nie widziały. Nieprzyjaciel odzyskał czas do szyku; a król też, nim przyszło do rozprawy, wymowniejszy wiekiem i pracami podjętemi, niżeli sławą, po krótkiém swoich upomnieniu, na czele wojska oczekiwał spotkania. Wszelako, sam w bojach wzrosły i osiwiały, niosąc szczątek życia na ofiarę krajowi, uchylił acz poniewolnie Kazimierza, oddając go pod straż szlachcicowi Nekandzie, herbu

Topor, aby w razie śmierci ojcowskiej miał w nim naród mściciela i obrońcę.

Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów i oręż i losy ich z pomroki wynurzył, ukazał się Krzyżacki zastęp, straszny i ścisły; albowiem wodzowie i waleczniejsi wojownicy, żeby się w szykach i związku nie odstępując do upadłej bronili, łańcuchami przez pasy przepuszczonemi samych siebie powiązali. Z pięciu królewskich hufców poskoczył pierwszy, złożony z nadwornego ludu i wybrańszego rycerstwa; za nim inne kolejno, ze szlachty i różnych księstw zebrane. A gdy się zamieszały oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy, choć od przewyższającej liczby wojska ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku, dobywali. Wstąpiła w skrzepłe siedmdziesiątletniego starca członki młodociana pierwszych lat jędrność. Biegał pomiędzy nieprzyjacielskiemi szykami król waleczny, zasłaniając się puklerzem od ciosów, a mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając razy. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy Wojewoda obiecanej nie dawał pomocy, i wątpić poczęto o jego wierze, ukazał się nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Świeża na zmordowanych i niespodziewana napaść wprawiła Krzyżaków w większą niemoc, za którą poszła utrata serca, zamieszanie i rozsypka. Cisnęli ich tém dzielniej nasi, i byłaby już wtedy zupełna wygrana, gdyby Otto z Plauenem, uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętej bitwie, uciekających nie byli wstrzymali. Za ich nadbieżeniem odnowiła się walka, lecz nie na długo. Zwycięzcy nie chcieli dać sobie wydrzeć wygranej; Krzyżacy też znużeni drogą, i niezdolni już przyjść do ładu, podali tył sromotny. Nie była-to już potém walka, ale rzeź okropna, mianowicie gdy Teodoryk marszałek Krzyżacki, w głowę cięty, dostał się w niewolą z hrabiami de Plauen i Honstein. Do samego wieczora ścigany nieprzyjaciel zasłał szeroko trupami pola. Liczba wszystkiej straty wynosiła do dwudziestu tysięcy. Z naszych zabito kilkaset.

---

129. DUMA O LESZKU BIAŁYM.

(*p. Jul. Niemcewicza*).

Od dworaków opuszczona
Helena, w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,

Co go zwano Leszkiem Białym,
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:

„Ty się śmiejesz dziecię lube,
Bo nie znasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę:
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota!

Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał;
Tułasz się biedna dziecino!
Ja cię przytulę do łona,
Lecz zkądże inna obrona?“

— „Powściągniéj łzy twe królowo,
Zawołał Goworek stary: *)
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary —
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie padnie.“ —

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem.
Był sprawiedliwy i śmiały,
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków;
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
Oddal Goworka, korona
Znowu ci będzie zwrócona.

---

*) Goworek wojewoda Sandomierski.

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze,
Nie miała złota na szacie.
Przy niej, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm Książę ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa;
Niech kraj na tém nie szkoduje,
Że mnie zawiść prześladuje.

„Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnej ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy —
Ty długie uśmierz niezgody;
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

„Jeśli za to, żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi,
Nie umrę w cieniu mej strzechy
Bez słodkiej w sercu pociechy.“

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi.

„Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał —
Nie chcę państwa, ni korony —
Nad blask, co berło udziela,
Wyżej cenię przyjaciela.“ —

Nagrodziły nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męztwa:
Leszek, zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa.
Stary Gowork przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

---

130. WŁADYSŁAW ŁOKIETEK I KAZIMIERZ W.

(*ze* Starych Zbroic *T. Lenartowicza*).

Kędy po Polsce oko zwrócę,
Gdzie się po dziejach myślą rzucę,
Tam w lasach wnet się z okiem zetka
Ony maluchny cień Łokietka.
Miecz jeno krótki mu po stronie,
Po ziemi własnej tułacz prawy,
Za nim po lasach mkną pogonie
I jak na dziki zwierz obławy.
Dziedzictwo jego wróg obsiada,
Koronę jego wróg wykrada;
I tylko kmieć co sprawia rolą,
I tylko ptak co gniazdo ścieli,
Co się z tym małym królem dzieli,
Ten chatą, skałą ów sokolą.
Z jakich ten wież po węzłach sznurów,
Z jakich nie zbiegał starych murów,
A Polski dzierżał się macierzy;
Głód a chłód króla zczernił lica,
A chaty ojców nie odbieży,
I dzierży się jej jak łasica.
Już tu, już owdzie, wszędy ścigan,
Jakoby dusza nieschwycony,
Rycerski niesie wciąż buzdygan,
Ładysław nasz, Łokietek ony.
Już mocnym mieczem z pod swej strzechy
One zdradliwe pędza Czechy;
Już mu się mocne zamki zdadzą,
Już cała Polska mu pod władzą;

Rozdarta wrogiem a niezgodą;
A on granice onej ściąga,
Aż się te srebrne rzeki zwiodą,
Aż się ten łańcuch gór posprząga.
I król maluchny w błogą porę,
Jak dziad Bolesław w szczęsne laty,
Na progu stanie polskiej chaty,
I sam założy jej zaworę.
A kto w dziedzinę przyjdzie z Bogiem,
Tego chleb czeka przed tym progiem;
A kto tu zbrojną gawiedź zwleka,
Tego od króla i śmierć czeka.

Grody pobierze i oprawi,
I z pól a z murów sam się stawi.
I pójdą podeń Lesie kraje;
Kmiecie do jego przyjdą znaków,
Jemu się Prusy, Mazowsz zdaje;
A na smierć Pan ten zjedzie w Kraków,
I tam na zamku czystym grodzie
Pielgrzym odpocznie w grobów chłodzie.

Hej ty Kazimierzu, kmieciu wdały,
Pomiędzy ludem posiwiały,
Czemuś ty wielki, czem nie inny,
Królu ty kmieci, królu gminny!
Aniś ty świata nie opłynął,
Ani ty mieczem nie zasłynął,
I żyłeś jeno jak kmieć prawy,
Wciąż dobrotliwy, wciąż łaskawy.
Ot cała twoja wielkość na tém,
Żeś był ubogich ludzi bratem.
Oj! ty nie Nemrod zwierząt łowca,
Lecz patryarcha w swoim rodzie;
Okrycie tobie daje owca,
A gród, to namiot gdzieś przy wodzie.
I ty nie ziemi pan zdobycznych,
Lecz król rolników i trzód licznych.
I w całem życiu twojém długiém,
Tyś nie rad ściągał miecza k'biodry,
Tylkoś się chylił ponad pługiem,

I łaskaw byłeś nam i szczodry.
Kto inny mieczem ziemię sprawiał,
A tyś ją sądził po zakonie,
I mury wznosił, wieże stawiał,
I jak kmieć w pracę włożył dłonie.
Toż i korona, coć przez wieki
W królewskiej trumnie czoła strzeże,
To niby w koło srebrne rzeki,
A nad rzekami srebrne wieże.
I nie w pancerzu w ogniu kutym,
Lecz pod swych leżysz praw statutem,
Co na twej piersi rozpostarty
Złotemi je otacza karty.

Z twojego pługa, z twego prawa,
Ponoć nic Ojcze nie zostawa
Krom sławy, której czas nie szkodzi,
A ta by kwiat co wiosna wschodzi;
Chłopek ubogi tam chudzina
Dobrego króla przypomina.

Coś nam zostawił, coś zbudował,
To czas zepsował, wróg zepsował,
Który z wichrami w Polsce wichrzy;
Z Kazimierzowego niegdyś grodu,
U onej modrej Wisły brodu,
Gruz jeno z białych został spichrzy.
A wieża co tam dniem a nocą
Strzegła żeglarskie zbóż komiegi,
Dziś nad samotne sterczy brzegi,
Wrzkomo badając się: a po co?

---

131. KAZIMIERZ WIELKI.

(*z Hist. pol. Naruszewicza*).

Kazimierz W. był wzrostu wysokiego i otyły, włósów gęstych i kędzierzawych, brody długiej. Mówił głośno lecz nieco zająkliwie. Wsławiły go bardziej dzieła w pokoju znakomite, ni-

żeli wojenne sprawy: a przeto z tamtych zasłużył sobie bardziej na imię Wielkiego, to jest z budowy wspaniałych i pożytecznych gmachów, wznoszenia zamków i miast, opasywania ich murami, prowadzenia wewnętrznego w kraju gospodarstwa, i innych przezornego i rządnego króla czynów. Zjednał sobie prócz tego miłość powszechną we wszystkich stanach hojnością, sprawiedliwością, łaskawością, łatwym dla każdego przystępem, a bogatém i wspaniałém, jak na króla przystało, w domu i podróżach obejściem. Inni mniemają, że z postaci i wzrostu nadane mu było imię Wielkiego, przeciwnym ojcu Łokietkowi sposobem; ale mylą się na źle zrozumianych wyrazach łaciny. Dzieła tego króla, których szacowne ślady dotąd widzimy, sprawiedliwiej to imię do zasług jego i przymiotów wielkich stosować każą, niżeli do wzrostu, bez wielkości duszy nie mającego znaczenia. Albowiem ten monarcha, potargawszy ową zgubną dla drobniejszych obywateli dawnych zwyczajów i szkodliwego prawodawstwa matnię, prawa jasne, czyste, do wszystkich stanów stosowne, albo poprawione zachował, albo nowe utworzył. Skarg i próśb uboższych ludzi nie tylko cierpliwie słuchał, ale im dzielnie zaradzał. Nie zbytkowali za jego panowania dziedzice dóbr, ani się pastwili nad pracowitém wieśniactwem. Znał dobrze kmieć, do roli zrodzony, powinność poddanego i stan swój; lecz nie czuł się bydlęciem. Dla tej przyczyny nazwano tego pana królem chłopków, że ich ciemiężyć nie dopuszczał. Zabranych w czasie wojny lub napadów nieprzyjacielskich w niewolę ludzi swoich własnym kosztem wykupował. Surowości w karaniu winowajców rzadko używał, lecz publiczne występki i łotrowstwo ostro karcił. Polskie królestwo, dawniejszemi wojnami i klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone, uczynił ludniejszém, przez osadzanie na prawie niemieckiém wsi i miasteczek, do których w znacznej liczbie obcy się garnęli, łagodnością praw i nadzieją własności dla siebie i potomków swoich przynęcani. Całe Podgórze Ruskie i Małopolskie, tudzież inne miejsca pograniczne, różnych teraz rzemieślników pełne, są-to osady pierwiastkowe tego dobroczynnego króla.

Nigdy Polska tyle zamków i miast murowanych nie widziała, jak za Kazimierza W. On zamek krakowski przyozdobił i wzmocnił, który potém następni królowie na inny kształt, wiekom późniejszym właściwszy, przemienili. On w mieście Krakowie, w rynku, sklepy różne dla kupców zbudował, a za mia-

stem Zwierzyniec założył. Długosz powiada, że ten król zastawszy Polskę ukleconą z lepianek i drzewa, kamienną i ceglaną zostawił, i że od tego dopiero króla zaczęli Polacy nabierać upodobania do gmachów i mieszkań murowanych.

---

132. LWÓW.

(z Roxolanii Fab. Seb. Klonowicza)

(*tłum. Wład. Syrokomli*).

Zwiedzając twoje świątynie i bramy,
Lwowie! my ciebie ze czcią pozdrawiamy!
Inny kraj dary pojedyncze liczy,
Tu wszystkie dary skarbami ciężarne;
Bo tu jest ziemia, którędy graniczy
Lodowa północ i południe skwarne.
Nad temi dachy złoty obłok płynie,
Wieżyce w mglistą owionione szatę;
Zda się w niebiosach te wszystkie świątynie,
Co tak ozdobne, świetne i bogate!

---

133. LWÓW.

(*z dzieła „Grody polskie“ p. Wł. Zawadzkiego*).

Lwów, stolica Rusi Halickiej, leży w głębokiej kotlinie, ze wszech stron otoczonej górami, nad małą rzeczką Pełtwią. Założycielem jego był Lew, książę Halicki, od którego też imienia miasto Lwowem nazwano. Zbudowawszy tu dwa zamki, jeden na szczycie wysokiej góry, wówczas łysą a dziś zamkową zwanej, drugi u stóp jej, w dolinie gęstym zarosłej borem, oba drewniane, książę Lew tutaj stolicę swoją przeniósł z Halicza. Wzrastała nowa stolica i zaludniała się szybko, a mieszkańcy otrzymywali od książęcia liczne przywileje.

Kazimierz W. prawem dziedzictwa objąwszy Lwów wraz z ziemią Halicką i przyłączywszy do Polski, zburzył oba zamki drewniane, górny i dolny, a w miejsce ich postawił murowane, warowne. Szczątek tego Kazimierzowskiego muru pozostał je-

szcze do dziś dnia na szczycie góry zamkowej. Obdarzył ten król miasto nowemi łaskami i przywilejami, tak, iż wkrótce wzrastając w ludność i zamożność, stało się ogniskiem handlu rościągającego się aż do krańców wschodu.

Po śmierci Kazimierza W., następca jego Ludwik, król Węgierski, zagarnął był chwilowo Ruś Halicką i do Węgierskiéj korony przyłączył; ale córka jego Jadwiga, już jako królowa Polska, pod niebytność Jagiełły, zajętego nawracaniem pogańskiej Litwy, wyprawiwszy się zbrojno na Ruś, odzyskała ją wraz z stolicą ziemi Halickiej Lwowem, który już odtąd nieprzerwanie do Polski należał.

Królowie polscy przyczyniali się kolejno do jego wzrostu przez różne nadania i przywileje. Wszelako Lwów dawny nie wiele był do dzisiejszego podobny. Było to miasto małe, ujęte w ramy podwójnego muru, zamykającego czworobok dosyć foremny, oddzielony od przedmieść rościągających się za murem, wałami i fosą. Kiedy w nowszych już czasach zburzono warownie, na miejcu wałów miejskich zasadzono drzewa i urządzono przechadzki, dotąd jeszcze wałami zwane. Cztery bramy większe a dwie mniejsze prowadziły do miasta. Ponad murem miejskim wznosiło się siedmnaście baszt warownych, a każda powierzona była obronie jednego z cechów rzemieślniczych. Za miastem, na szczycie góry zamkowej wznosił się poważny i wspaniały zamek, który z daleka o mil dziesięć widny był w około. Gdy królowie zjeżdżali do Lwowa, tam miewali swoje mieszkanie. Wspaniałe krużganki obiegały dokoła wnętrze zamku; ponad nim obronne jeżyły się baszty. U podnóża góry był drugi zamek dolny. Ten, oprócz pomieszkań dla dworu królewskiego i różnych urzędów, zawierał archiwa grodzkie i zbrojownię. Oba zamki były warowne, a zwłaszcza górny, który z samego już położenia swego nieprzystępny był i trudny do zdobycia. Podczas napadów nieprzyjacielskich i oblężeń, na które Lwów po wielekroć bywał narażony, bronili miasta zazwyczaj mieszczanie. Złożona z nich załoga miejska nie raz dzielnie zadania swego dopełniała. Dawnemi czasy niemal corocznie zapędzały się na Ruś hordy Tatarów, często aż pod sam Lwów zapuszczając swoje zagony. Później Turcy, Kozacy, Szwedzi po wiele razy Lwów oblegali, palili i niszczyli. Pamiętne są w jego obronie zwycięztwa Jana Sobieskiego i Stanisława Jabłonowskiego. Pokazują dotąd jeszcze na wzgórzach pod ogrodem Jabłonowskich tak zwane szańce tureckie.

Pod wodzą Karola XII Szwedzi opanowawszy miasto, zrabowali je do szczętu — był-to cios dla Lwowa największy, po którym nie mógł już wrócić do dawnej świetności. W ostatniém stuleciu wojny i nieszczęścia krajowe dokonały jego upadku.

Było niegdyś czterdzieści kościołów we Lwowie. Najdawniejszym z nich i najokazalszym jest katedra obrządku łacińskiego, której budowę rozpoczął był jeszcze Kazimierz W. a dokończył Władysław Jagiełło. Wspaniała ta świątynia jest w stylu gotyckim. Wysmukłe i lekkie wybiegają w górę filary, splatając się ostrołukami gotyckiego sklepienia. Po bokach kościoła sześć kaplic do głównej nawy przypiera, jakoto: kaplica Zamojskich, Buczackich, itd. Z pomiędzy pomników zwracają szczególniej uwagę grobowce: Michała Buczackiego, w spiżowej płaskorzeźbie przedstawiający rycerza w pełnej zbroi — Stanisława Żółkiewskiego, ojca sławnego hetmana, poległego pod Cecorą — Jana Zamojskiego i Tarnowskiego, arcybiskupów lwowskich. Obok katedry stoi przytykająca do ulicy Halickiej kaplica Ogrojcową zwana, prześlicznej budowy, w stylu odrodzenia — rzeźby jej wykonał Mina Krakowianin.

Po kościele katedralnym najpiękniejszy jest kościół OO. Bernardynów, w którym spoczywają zwłoki błogosławionego Jana z Dukli. Jest do tego przywiązana legenda, odnosząca się do czasów najazdu Chmielnickiego. Kościół Jezuicki, fundowany przez Jabłonowskich, zawiera groby tej rodziny. Najnowszy wreszcie z kościołów lwowskich Dominikański, zbudowany jest na wzór kościoła Ś. Piotra w Rzymie; cerkiew Wołoska, z ciosowego kamienia, w stylu bizantyńskim, z trzema pozłocistemi kopułami i piękną wieżą, zwraca na siebie uwagę wspaniałością budowy, aczkolwiek wewnątrz potraciła już dawne rzeźby i ołtarze. Metropolitalna cerkiew Ś. Jerzego, jest-to przepyszna budowa w smaku włoskim; wnętrze jednak kościoła nie odpowiada jego piękności zewnętrznej, nie będąc po dziś dzień według pierwotnego zamiaru wykończoném.

Lwów może się tém pochlubić, że liczy stosunkowo więcej zakładów dobroczynnych niż inne wielkie nawet miasta; ma nadto Uniwersytet, bibliotekę zakładu Ossolińskich, liczne i piękne ogrody.

---

134. PASIEKI ZIEMI RUSKIEJ.

(z Roxolanii Fab. Seb. Klonowicza)

(tłum. Wład. Syrokomli).

Były tu lasy od najrańszej chwili,
Nim imię Rusi dano okolicy;
Później do lasów mieszkańcy przybyli,
Wnuki Japeta, mężowie wpół-dzicy.

Tu w każdym dźwięku, i po każdém słowie,
Wtór płynie lasem od drzewa do drzewa:
Bo huknićj w lesie — las hukiem odpowie;
Poszepnićj śpiewkę — las cicho odśpiewa.

Szczęsny Rusinie! od niebios masz wsparcie,
Krople jutrzenki i wieczornej tęczy —
Szczęsna twa ziemia, obfite twe barcie,
Starowna pszczółka wesoło ci brzęczy.

Rosa niebieska upada na kwiatek,
Ztamtąd ją pszczoła pracowicie zgarnie;
W spróchniałych drzewach zamożny dostatek
Drobne owady lepią gospodarnie.

Bo żniwem niebian są górne obłoki;
Człek żyje z tego, co ziemia przysporzy:
Niech insi w winie piją ziemne soki,
My Haliczanie mamy nektar boży.

---

135. ELŻBIETA,

KRÓLOWA POLSKA I WĘGIERSKA. *)

(z dzieła *„Jadwiga i Jagiełło“* p. *K. Szajnochę*).

Głośno było po układzie koszyckim w Krakowie i w całej Polsce. Królowa Elżbieta wróciwszy do nadwiślańskiej sto-

*) żona Ludwika króla Węgierskiego i Polskiego, matka Jadwigi.

licy, ucztowała szumniej niż kiedykolwiek. Biesiadnemu gwarowi zamku Krakowskiego wtórzyła tłumna uciecha tryumfujących Różyców i przyjaciół. Z odgłosem radości dworu i możnowładztwa Małopolskiego mieszał się okrzyk wojenny Władysława Białego w Kujawach, i szczęk zbrojnych najazdów Wielkopolan na sąsiednie ziemie Niemieckie, a sąsiednich panów Niemieckich na Wielkopolskę. Temu wszystkiemu towarzyszył jeszcze łoskot pogańskiego z Litwy napadu na pogranicze Nadwiślańskie.

Rażącém zjawiskiem były tańce ustawne na dworze królowej Elżbiety. Nie pląsała ona sama — dla niej inne były zabawy. Założycielka wielu klasztorów w Węgrzech, zajmowała się w Polsce również pobożnemi dziełami. Myśląc raczej o śmierci przykładnej niż o pląsach, przybrała pobożna Elżbieta trzeci stopień reguły św. Franciszka, z przywiązanym do tego strojem i obyczajem. Niepodobna przeto wierzyć oszczerstwom, które w niewieście życia takiego wystawiały dziecinnie-płochą staruszkę. Tak jednakże namiętnie wesołym i zabaw chciwym był świat ówczesny, że sama królewska tercyarka św. Franciszka nie mogła przenieść na sobie, aby jej dwór liczny i świetny odmawiał sobie dla niej rozrywek. Idąc więc za przykładem całej pląsającej pod ów czas Europy, dozwalała królowa młodzieży dworskiej bawić się i tańczyć w swojej obecności. Po tańcach następowała codziennie najprzykładniejsza pobożność. A pozostawało wtedy jeszcze dość czasu dla niej, gdyż owe pląsy i krotofile odbywały się pospolitym w całej Europie zwyczajem między porannym obiadem a wczesną wieczerzą. Tylko przy wyjątkowych uroczystościach tańcowano nie długo po wieczerzy. Zazwyczaj udawała się natenczas stara królowa do samotnej komnaty — otwierała jeden z swoich mnogich brewiarzów i modliła się z niego.

Z resztą jakże często, jak srodze bywały te uciechy na zamku Krakowskim przerywane!

Owo zanosi się na szumny festyn. Z różnych stron zjeżdżają panowie, panie i panny. Owdowiała po Rafale z Tarnowa pani Wiślicka przybywa z tłumnym dworem służby, wozów i koni w odwiedziny do królowej Elżbiety. Wtém gwałt nad Wisłą! Kiejstut Trocki z bratem Lubartem Łuckim i synowcem Jerzym Bełzkim przemknęli z cicha przez Wisłę pod Zawichostem i aż pod Tarnów pożogę i mordy niosą. W Baranowie nad Wisłą zaskoczony od najezdców dziedzic, brat arcybiskupa Janusza, Cztan Grzymalita, miał ledwie tyle czasu, aby żonę słabą i małe

niemowlę porwać na koń i rzucić się wpław w jezioro przyległe Wiśle. Gdy Litwa nadbiegła, dzielny Cztan brnął już daleko przez fale Wisły. Z tysięcy wypuszczonych za nim strzał żadna nie uraziła ojca z dziecięciem. Z tysiąca przypatrujących się zdala pogan, żaden nie śmiał puścić się wpław za Lachem. Tylko jakąś towarzyszkę pani Cztanowej, spodziewającą się przebrodzić przez jezioro, ubito strzałami i pogrążono na dno. Na odgłos takich-to wieści podróżna pani Wiślicka porzuca wpół drogi swoje cugi i służbę, i z garstką towarzyszów ucieka w łódce za Wisłę. Na niczém spełzły odwiedziny i krotofile. Skończyło się na powszechnych skargach przeciw królowej Elżbiecie, że ona winna tej klęsce — jakby jej winą było, że Sandomierzanie granic nie strzegli.

Uspokoiła się trwoga. Wróciły na zamek Krakowski dawne zabawy i pląsy. Kilka dni świąt podwoiły ochotę. Nazajutrz po św. Mikołaju, w dzień niedzielny, kazała królowa wyprawiać przed sobą tańce, śpiewy z muzyką, i tym podobne uciechy światowe. Wtém rozruch w mieście! Około bramy Bocheńskiej napadli służalcy bawiących z Elżbietą panów Węgierskich na wóz siana, prowadzony ze wsi Brzezia dla mieszkającego w Krakowie szlachcica Przedbora. Wszczęła się zatarga. Na obustronny okrzyk nadbiegli Węgry Węgrom, Polacy w pomoc Polakom. Co gdy do zamku się doniosło, wyprawiła królowa czémprędzej starostę grodzkiego Jaśka Kmitę, jako też innych panów, dla poskromienia rozterku. Przeciw nadjeżdżającym konno panom zamkowym wypuścił jeden z Węgrzynów strzałę z cięciwy i ugodził śmiertelnie samegoż Jaśka. Widok spadającego z siodła starosty rozjuszył wszystkich krewnych i rodaków. Zemsta krwi była obowiązkiem rodzinnym, prawym. Dzikość ówczesnych Węgrów podżegała rozjątrzonych Krakowian do okrucieństwa. Rzucono się do wymordowania wszystkich przybyszów. Wszczęta rzeź nie przebaczała ani płci ani wiekowi. Nawet nie węgierscy towarzysze dworu padali ofiarą wściekłości. Słowacki szlachcic Michał, przezwiskiem Pogan, wywleczony z piwnicznej kryjówki na ulicę, został ścięty. Napróżno panowie polscy silili się powstrzymać mordy, ratować Węgrów. Wśród najsroższej rzezi, schrania się do Przedborowego domu dwoje szlachetnych pacholąt Węgierskich, dzieci dostojnego rodu, ulubieńców starej królowej, wychowujących się na jej dworze. Przedbor ukrywa je w ciemnej komorze i zakazuje służbie wyjawiać ich przytułek. Wiedząc zaś

o przywiązaniu królowej do tych pacholąt, spieszy na zamek aby ją uspokoić. Tam dziwny widok! Tłumy niedognanych jeszcze od ludu Węgrów cisną się w śmiertelnej trwodze na zamek. Z obawy jednak, aby lud nie przedarł się do środka, i nie wymordował mieszkających tam cudzoziemców, nie śmiano otworzyć bram zamkowych. W tém straszném położeniu znaleźli rozpaczający jedyną pomoc w Polkach. Bawiące na zamku panie i panny Krakowskie pospuszczały drabiny z okien zamkowych, po których zagrożeni Węgrzy leźli śród gradu strzał padających za nimi do zamku. Wpuszczony do królowej Przedbor pocieszył ją — omylnie. Wracając bowiem, z powodu strzeżonych ściśle bram zamkowych, dopiero nazajutrz rano do domu, ujrzał przed progiem nagle trupy ulubieńców królowej. Sami służalcy Przedborowi wyłamali drzwi do komory, i zamordowawszy dzieci, złupili je z kosztownej odzieży, a odarte wyrzucili przez okno na ulicę. Przeszło sto sześćdziesiąt ofiar Węgierskich pomściło zabicie Kmity.

Takie były gody królowej Elżbiety. Przerażona niemi ujechała z resztą Węgrów za Tatry. Po jej oddaleniu, rzuciły się tłumnie przeciw niej mnogie oszczerstwa, za ohydę rządów niewieścich, za niedbałość syna Ludwika, zapominającego o obowiązkach króla i wysiadującego w Węgrzech, i za dzikość dworzan Węgierskich. Kronikarz Wielkopolski prawi o jej wyklęciu z ambony, i maluje ją jako jędzę. Naigrawając się z kalectwa jej prawej ręki, zwano ją pospolicie królową Kikutą. Krzywdzono ją w najboleśniejszy dla próżności kobiecej sposób, przyczyniając jej lat. Mówiono o niej (jak w Bielskim czytamy), że tańce stroiła i dokazywała, chociaż babie już było przez 80 lat. Niezwykła czerstwość jej zdrowia pochodzić miała, według krążących o niej pogłosek, od jakichś czarodziejskich léków, jakiejś wody odmładzającej, środków piekielnych — tymczasem była to wódka rozmarynowa, zaprawna wyskokiem winnym, wynalazku samej Elżbiety, i ztąd znana pod nazwą larendogry (la reine d'Hongrie), którą cierpiąca na reumatyzm królowa skutecznie bardzo nacierała ciało, a któréj starożytna recepta, własnoręcznie przez Elżbietę napisana, ma się dotąd znajdować w bibliotece cesarskiej w Wiedniu. Krążyły wreszcie złośliwe powieści o jej złém życiu w Węgrzech. Nas one, jako fałszywe, do tém żywszej wzbudzają czci. Im więcej spotwarzoną widzim siostrę Kazimierza W., tém wyżej cenimy jej rzeczywistą za-

cność. Dopiero po ustąpieniu Elżbiety z Polski poczuł naród całą gorycz rządów Ludwika.

Wróciwszy do Węgier, nie długo tam już żyła babka Jadwigi. Dnia 6 kwietnia 1380 roku kazała szeroki spisać testament, w którym piękne rysy jej charakteru w całym jeszcze zajaśniały blasku.

---

136. DO DNIESTRU.

(*p. Winc. Pola*).

Podniósł się orzeł w stepach Akermanu,
I pyta Dniestru: „Co to niesiesz panu?
I coś to widział Dniestrze w twoim biegu?
I co się dzieje po oboim brzegu?“

— „Górskie potoki szumią w górach wiosną,
I stare buki nad przepaścią rosną;
Dalej się pasą w błoniach siwe stada,
I w jar skalisty Podole opada;
I nagle ścianki świecą z poza sadu,
I pnie się w słońcu rószczka winogradu,
I stare grody świadczą starej sławie.

Lecz kiedym znalazł w nurtach stare znaki,
Kości rycerzy i z krzyżem szyszaki,
I białe orły ujrzał przy Ladawie, *)
Tom się tak bardzo w mym biegu zasmucił,
Żem się na przepaść na Porohach rzucił,
I nie pocieszon nawet ziemią żyzną,
Ślęczę ku morzu i konam mielizną“.

---

137. KORONACYA KRÓLOWEJ JADWIGI W KRAKOWIE.

(*z dzieła „Jadwiga i Jagiełło“ p. K. Szajnochę*).

Zaledwie Jadwiga wypoczęła z podróży, przystąpiono do koronacyi. Nie było już żadnej wątpliwości co do miejsca tego

*) Ladawa, rzeka wpadająca do Dniestru na Podolu przy wsi Ladawie.

obrzędu. Po upadku Wielkopolszczyzny zniknęła dla Gniezna wszelka nadzieja koronacyjnego przed Krakowem pierwszeństwa. Koronowany w Krakowie król nie potrzebował już lękać się, aby jak niegdyś Kazimierza W., tylko Krakowskim nazwano go królem. Jakoż odraczając na później sprawę zaślubienia Jadwigi, postanowiono ją przedewszystkiém ukoronować w Krakowie, i podobnie jak się stało z jej siostrą na Węgrzech, koronować ją pod męzkiém mianem króla Polskiego. Brakowało wprawdzie męzkiej ku temu korony Bolesławów, którą król Ludwik po koronacyi uwiózł z sobą do Węgier, a której Jadwiga nie przywiozła do Polski; lecz gorąca chęć panów Polskich uzupełniła wszelki niedostatek obrządkowy. Uznano dawną koronę żeńską, służącą do koronowania małżonek królewskich, a przeto bez obawy pozostawioną niegdyś przez Ludwika w skarbcu królewskim, za dostateczną do koronacyi króla Polskiego. Temci mniej chciano czekać, aż niedawne uszczerbki państwa, osobliwie zaś opanowane przez Ziemowita zamki Kujawskie, powrócą się Koronie. Odbył się teraźniejszy obrzęd koronacyjny w kilka dni po przybyciu młodej królowej, podobno w sam dzień Ś. Jadwigi *).

Zgromadzili się dnia tego zrana w zamku krakowskim wszyscy dostojniejsi koronni, przedniejsi panowie krajowi i obcy, tak świeccy jak duchowni. W nie małej ich liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradzca Jadwigi, arcybiskup Strygoński i legat papieski, tudzież kardynał Dymitr, mający w swém towarzystwie Czanadzkiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodkowali arbybiskup Gnieźnieński Bodzanta i tak zwany mały biskup Krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu modlitwy wstępnej i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku pobliskiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka — za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami i w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup Polski z arcybiskupem kardynałem Węgierskim. Po nich postępowali dostojnicy koronni z oznakami władzy królewskiej. Koronę niósł kasztelan, berło wojewoda krakowski, jabłko i szczerbiec inni wojewodowie. Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników niesionym, szła czternastoletnia królowa w stroju koronacyjnym, t. j. w kapłańskiej albie, tunice, dalma-

---

*) r. 1386.

tyce, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonemi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna z ksień i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go grono trębaczy i fletnistów, przygrywających wesoło pochodowi. Za wnijściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono godła królewskie na ołtarzu. Królowa otoczona orszakiem dworskim pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem Ewangelii przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu? Odpowiedziała królowa: „Chcę, tak mi Boże dopomóż;“ — Poczém uklękła Jadwiga, a arcybiskup w oleju św. umaczał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do tego suknia koronacyjna odchylała się z łatwością dokoła ramion. Skończywszy ten obrządek, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie — wzniósł się stugłośny okrzyk na cześć nowej królowej. — Po odczytaniu Ewangelii odprowadzono królowę do tronu, usłanego z kosztownych złotogłowiów, na którym Jadwiga zasiadała. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzona korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze, i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową Jadwigi.

Jak pod ów czas w kościele katedralnym, tak dziś przed oczyma naszemi siedzi Jadwiga w okazałości królewskiej na rzeźbie wielkich pieczęci majestatycznych. Widzimy tam w bardzo misternej robocie, na tronie w kształcie gotycko rzeźbionego ołtarza, o dwóch szeroko rozwartych podwojach, młodocianą, wyniosłą postać dziewiczą. Pod rozsłonionym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obcisłym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobliwszym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzanej obręczki, z ktorej wysokiemi rąbkami strzelają dokoła lilie rozkwitłe. Pomiędzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liliowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilij unoszą się nad niemi wieńcem u góry. Było-to może owo liliami ozdobne ubranie głowy, które babka Elżbieta zapisała była testamentem Jadwidze. Z pod korony spływają dokoła według

francuskiej owego czasu mody, długie i szerokie wstęgi. Prawa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitające podobnież liliowym w górze kielichem. W niżach z prawej i lewej strony stoją dwaj aniołowie. Obocza i podnóża tronu ozdobione są herbami głównych ziem polskich.

W dalszym ciągu mszy świętej przy offertorium zstąpiła królowa z tronu, i w szczerozłotém naczyniu złożyła chleb i wino w ofiarze na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował co łaska. Poczém wróciwszy na tron, pozostała tam królowa aż do komunii kapłańskiej — a wtedy udała się raz jeszcze do ołtarza, i klęknąwszy w pokorze, przyjęła ciało i krew Pańską. Był-to ostatni akt ceremonii kościelnej. — Na zakończenie ozwał się gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem jak wprzódy w bramy zamkowe. Czekała tam wszystkich w obecności królowej uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nadewszystko obfitość wina i ryb.

Nazajutrz, w okazałym pochodzie, w stroju królewskim, objechawszy główny plac miasta, zasiadła młoda królowa na tronie przed ratuszem, gdzie uderzyli przed nią czołem burmistrz, dwudziestu czterej rajcowie miasta, apostolskie grono jedenastu sędziów, ławników z wójtem na czele i wszystko pospólstwo miejskie. Jadwidze nastręczała ta scena hołdu pierwszy widok właściwego wnętrza stolicy, tak odmiennym od reszty Polski napełnionej życiem, tak różnego od niej swoim gwarem, strojem i obyczajem.

---

138. MIASTO KRAKÓW ZA ZYGMUNTÓW.

(*Gawęda historyczna p. Wł. Syrokomlę*).

I.

Król w mieście — więc Krakowskie otworzyste wrota
Pilnuje z halabardą Węgierska piechota;
A nudząc się na warcie o porannej dobie,
Piosenki naddunajskie wyśpiewuje sobie.

W miarę dnia coraz gwarniej i ludność urasta;

Piesi, konni, wozowi, do miasta i z miasta,
A każdy spieszno dąży, a cała gromada
Po łacinie, po polsku, po niemiecku gada,
Jak niegdyś robotniki przy wieży Babelu.
A strojów ani zliczyć w przemianach tak wielu:
Hatłas, szkarłat, żelazo, migają co chwila,
Jak ubarwione pręgi na skrzydłach motyla;
Złoto iskrzy jak słońce na szlachcie i panach,
Żydowie w żółtych czapkach i czarnych żupanach;
Rycerstwo po hiszpańsku, lub tatarską modą,
Tamten z sowitym wąsem, ten z trefioną brodą;
Owo pałasze brzęczą po bruku kamiennym,
Grzmią wozy — miasto kipi swoim ruchem dziennym.

Patrzaj jeno po murach: oto wzrok uderza
Łazarzowa drukarnia, dalej kram płatnerza,*)
Dalej w pielgrzymim płaszczu przedaje dziad stary
Częstochowskie obrazki — tam włoskie towary —
Owdzie żaki uliczne i szkolne studenty
Klecą szopkę tarciczną na dyalog święty.

II.

A owo ponad wroty, na bielonej ścianie,
W allegorycznej myśli jakieś malowanie:
Sowita gałąź chmielu wyrasta od ziemi,
Z pokręconemi wąsy, z liśćmi olbrzymiemi;
A na szerokich liściach, jak to bywa w sadzie,
Przyczepił się rój pszczelny w niemałej gromadzie.
Pięknież to mieć naukę! — ot naród prostaczy
Patrzy, a nie rozumie co ten obraz znaczy;
Ale szlachta uczona toć łatwo zgadywa,
Że tutaj można dostać i miodu i piwa;
Pułtuskie nieposlednie, hańbie się nie poda,
A Rzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
I Sądeckie zaprawdę wyśmienite bywa,
Ale u Piotra Czopka to piwo nad piwa!

*) płatnerz, wyrabiający zbroje rycerskie.

Cóż za dziw, że pod chmielem pełno na gawędzie?
Muzyka w dzień i w nocy na piszczałkach gędzie,
Dodaje dobrej myśli, rozwesela gości,
A świat ten, prawdę mówiąc, to próżność próżności!

W dzień jeszcze mało szlachty, lecz gdy noc się zczerni,
Tam panowie ussarzy, i młodzi pancerni,
Uwijają się gwarno brząkając pałaszem;
Nawet Jan z Czarnolasu z Górnickim Łukaszem,
Niekiedy tu zachodzą osłodzić swe losy;
A wesół starzec Gąska, Ślasa wielkonosy,
I wąsaty Mateusz i Jost ryżobrody,*)
Na dzień dwakroć i trzykroć zajrzą do gospody.

---

139. ZYGMUNT STARY.

(z pism Stan. Orzechowskiego)

(*tłumaczenie J. M. Ossolińskiego*).

Czterdzieści i jeden lat Zygmunt naszemu królestwu panował, a w czémże nie zostawił po sobie przykładu umiarkowania, powolnej i zawsze słusznością kierowanej władzy? Albo jakąż nas łaskawości, szczodrobliwości, ludzkości pamiątką nie obdarzył? Spojrzyjmyż na kościoły? podźwignął, utrzymał, zachował wiarę świętą przodków naszych. Spojrzyjmy na ojczyznę? on ją ojcowską miłością pielęgnował, tulił do łona, zewnętrzną i wewnętrzną pomyślnością uszczęśliwiał; ozdobił w pokoju, i wsławił orężem; rozszerzył, zaszczycił swoją mądrością i walecznością. Byłto król, jakiego upłynione wieki nie widziały, potomne się nie doczekają. Cyrusa, Agezylaja, i jeżeli co jeszcze doskonalszego świat oglądał, albo czyje biegłe pióro utworzyło, przewyższył — lepiej żył, lepiej królował, niż którykolwiek najzawołańszy mędrzec nauczał. Nie wymyślam ja tu kunsztownego wzoru: opatrzne Niebo w Zygmuncie wszystkie najcelniejsze przymioty z najwyższemi cnotami zjednoczywszy, żywy i jasny tym, którym losy rodzaju ludzkiego powierza, przykład przed oczy wystawił, jak państwami rządzić, prawa, obyczaje, porządek, zgodę w na-

---

*) z Fraszek Jana Kochanowskiego.

rodach szczepić i żywić; wśród srogich burz nędzne plemię mieszkańców świata od zagłady i klęsk opieką swoją ochraniać mają. Lecz ten król nie tylko monarchom, ale i najniższym z swoich poddanych chwalebny zostawił przykład. Czyli bowiem zastanowimy się nad jego pobożnością, pewnie go najbogomyślniejszy pustelnik w niej nie przewyższył; czy spytamy o cnoty domowego życia, o wstrzemięźliwość, skromność, cierpliwość, nie wielu mu z tych nawet ludzi, których namiętnościom żądne ubóstwo tamę zakłada, wyrównało; a prawdę-li mam powiedzieć, nie wiem, kogobym śmiało obok niego postawił. Na ustroniu, jak na tronie, najwyższą osiągnął zaletę.

Nie chciwy samowolnej władzy, dzielił ją z przybraną radą; owszem z dostojeństwa królewskiego nic dla siebie nie zatrzymywał krom tytułu, a i tego wyniosłość miarkował poważaniem senatorskiego stanu. Wtenczas dopiero znał się być monarchą, czuł się samą rzeczą królem, kiedy zasiadał na jego czele. W przezacném tém zgromadzeniu nie było słychać sporów, nie widywano rozpisów, nie stawały przeciwko sobie różnie myślące strony: tchnęli wszyscy spólnym duchem miłości publicznego dobra. W przygodzie nagle zrywającej się burzy, król natychmiast brał się do stéru: toż jaki taki już-to chwytał za wiosło, już krzątał się około żaglu; owi ostrzegali o utajonych prądach, ci o zbliżającej się nawałności, inni nalegali na burty — każdy pełnił swoję powinność, jeden drugiemu nie przeszkadzał, wszystko szło szykownie. Wtenczas-to było oglądać Zygmunta! Nieporuszony na swojém miejscu, spokojną myślą niebezpieczeństwa ważył, upatrował szlaków, kierował trwałém ramieniem za najprzychylniejszą zorzą korab nadziei publicznej. Czemużby więc losowi albo luźnemu zdarzeniu przypisywać, że gwałtowne nawałności, które tyle królestw pochłonęły, tego okrętu nie nadwerężyły, ani skołatały, ani na ubocz nie uniosły? Nie włada, wierzcie mi, tym światem traf ślepy, ani mus nieodpartej konieczności. Rozum nad wszystkiem panuje: gdzie rzeczy na wstecz idą, albo nieswornym mieszają się niełądem, nie żadne to przeznaczenie sprawuje, ani przypadek zdarza; brak tam prawdziwego rozumu. Płoną niemal wszystkie państwa, to od domowych to od postronnych pożarów: jedna Polska (niech za to Najwyższemu będą dzięki!) nie dosięgniona, nie nadwątlona żadną złą przygodą, winna mądrego króla i jednomyślnego z nim senatu przewadze, całość swoję i nieprzyćmioną świetność. Z Zy-

gmuntem zwyciężaliśmy narody wprzódy przez nas niepokonane; z Zygmuntem mocarstwa najzawistniejsze ściśleni związaliśmy sojuszami; z Zygmuntem wygórowaliśmy do szczytu najwyższego znaczenia. Te zaś tak liczne, tak znakomite pomyślności, nie kosztowały nas najdrobniejszego okrucha naszych swobód, i owszem, Zygmunt już-to stężonym między nami braterskiej zgody węzłem, już drogim syna następcy po sobie zakładem, na wieczne je czasy zawarował.

Nie pytano się u trybunału Zygmuntowego, kto był obżałowany, arcybiskup-li, czy biskup, wojewoda, kasztelan, szlachic, chłop, cudzoziemiec, rodak? Ale minąwszy urząd i stan, przestępstwo rozeznawano; nie sędzia dawał wyrok, lecz samo prawo, które uwalniało niewinnych, skazywało na karę winowajców. Przypomnijmy sobie postać Zygmunta, kiedy na czele zgromadzenia spory nasze rozstrzygać mającego krzesło zasiadał: jaka w nim jaśniała powaga, jaka dostojność! W całej jego osobie wspaniały wynurzał się umysł — w wzroku czytać było sprawiedliwość — oblicze majestat Rzeczypospolitej wyrażało. Patrząc na ów wzrost wyniosły, tęgie ramiona, rozłożyste barki, twarz pełną i okrągłą, rumieniec lica, oczy duże nieporuszone, groźne brwi, nos orli i wypukły, któżby nie był rzekł, że to mąż zrodzony do berła? Cała postawa, każde mgnienie oka. spojrzenie, ruch, nawet samo milczenie jasno to pokazywało. Słuchał bez najmniejszego przerywania. Trzebali było myśl swoję wyjawić, oszczędny słów, więcej się znakami wyrażał. Język tak zawsze na wodzy trzymał, tak nim ściśle władał, że przez ciąg długiego panowania nikogo nigdy nie obraził: dlaczego i ci co wygrywali, i ci co tracili sprawę, odchodzili od jego trybunału bez zajątrzonego serca, równie uszanowaniem przejęci i jednakowo mu wdzięczni, że w szafunku bezstronnej sprawiedliwości nikomu nie świadczył łaski; jednoczył zaś łaskawość i surowość, miarkując je nawzajem, że ta nie srożała, owa w pogardę nie szła. Pobudzeni sławą tej sprawiedliwości najprzód Czesi, toż Węgrzy, po śmierci pod Mochaczem Ludwika, ofiarowali mu swoją koronę. Odmówił obydwóch, świadomy z doświadczenia, że ciężko było i jednej dosyć uczynić: tych zaś samych, którzy się o nie dobijali, pozyskał ufność, że go nie raz brali za sędziego i rozjemcę.

Zawsze mając w pamięci, jakiemu narodowi panował, obchodził się z nami nie jak z poddanemi, sługami, niewolnikami, ale jak z swemi dziećmi, przyjaciołmi i spólnikami władzy. Rad

z nami rozmawiał, rad nas słuchiwał, rad był i od nas być słuchany. Nie tylko każdemu łaskawego pozwalał ucha, stały otworem wszystkie jego gmachy, pokoje, najtajemniejsze przybytki — zgoła wszystek dom swój przez cały bieg życia wynurzył na publiczny widok. Nie ślęczeliśmy w przysionkach, ani czekaliśmy przed zamkniętemi bramami. Nigdy przystępu nie broniono, chyba że sama pora dnia nie dopuszczała. Przychodził kto chciał, bawił się, przysłuchiwał, przekładał swoje skargi lub żądania. Żyliśmy, przestawaliśmy, przebywaliśmy z nim prawie ustawicznie. Nie trzeba było spraw jego podglądać, albo się o nie wybadywać: mieliśmy wszystkie przed oczami. Ażaliż postrzegł kto kiedy jakie knowanie na nasze swobody? czyli poszlakował jaką sprosność, jaką zakałę? Wszystko w pomieszkaniu, w sprawach i postępkach jego tchnęło dostojną uczciwością; wszystko oznaczało króla, naczelnika wielkiego narodu, głowę Rzeczypospolitej. Wychodził-li z ustępowej izby w tłok publicznego zgromadzenia, przypomnijcie sobie, jaka otaczała go powaga; jaki w postawie, kroku, chodzie, w każdém ruszeniu, w całej osobie jego jaśniał majestat — jak wspaniały. skromny, dobrany towarzyszył mu orszak! Cała ta pompa godna była wielkiego króla. Wszystko nęciło ku niemu serca, wiązało poszanowaniem umysły. Nie warował się też tłuszczami jurgieltowych zbirów, nie zabezpieczał ordami zaciężnych janczarów: krom straży, która należała do urzędu, nie było żadnej innej, coby osoby jego strzegła. Za ostatnią miałby był sobie sromotę, w pośrodku swojego narodu stawić się na widok między oszczepami i bronią. Miłośnik swojego ludu, nawzajem od niego kochany, w nas wszystkich równą ufność pokładał, na naszej nigdy nieomylnej ku królom swoim wierności polegał, naszém doświadczoném zabezpieczał się przywiązaniem.

---

140. RUINY PIOTRKOWSKIEGO ZAMKU.

(z *„Wrażeń pielgrzyma“ Wł. Syrokomli*).

Na tém starém zamczysku, gdzie dzisiaj pustkowie,
Czterej na tron wezwani Sarmaccy królowie.
Postrzegasz ich postaci wychodzące z grobu:
Kazimierza, Olbrachta i Zygmuntów obu.
I słyszę wśród tych zgliszczy, jak w hałaśnym gwarze

Sejm imienia królowej zaprzecza Barbarze;
Jak o swe bezpieczeństwo drży Rzeczpospolita,
Jak klęka Boratyński, jak się złości Kmita.
„Ja, mówi Zygmunt August, ja znam prawa Boże;
Nie złamię wiary żonie, raczej berło złożę.“
Reszta mowy królewskiej niesłyszana ginie,
Wiatr przez okna szczerbate rozwiał je w ruinie.....

Ucichnął — lecz skończona sejmowa obrada,
I koronny trybunał na sądy zasiada;
I na świętych synodach obradują księża,
I słychać szczęk dwukrotny Szwedzkiego oręża —
A nad temi głosami słychać jęk puchacza,
A nad temi basztami kruk skrzydła roztacza....

---

141. ZAŚLUBINY KRÓLA ZYGMUNTA I Z BONĄ W KRAKOWIE 1518 r.

(z dzieła „Jagiellonki polskie“ p. Aleksandra Przezdzieckiego).

Szóstego dnia Grudnia (1517 r.), w dzień Ś. Mikołaja, patrona Baru, dziedzicznego miasta Bony, odprawiły się w zamku wspaniałe zrękowiny. Ostroróg oddał księżniczce od króla Zygmunta pierścień przez Bonera kupiony: był w nim osadzony wielki dyament spiczasty, a w pośrodku obręczy wyryte słowa z Pisma Ś., wyrażające błogosławieństwo Boskie. Od papieża Leona X przyszło błogosławieństwo Apostolskie z wielkiemi dla króla Zygmunta pochwałami. — Z powodu srogiego zimna i czasu niesposobnego do żeglugi, księżna Izabella (matka ks. Bony) odłożyła do początku następnego roku odjazd córki. Tymczasem naznaczony był ochmistrzem dworu Bony Prosper Colonna, z orszakiem kilkunastu dworzan, a z fraucymeru sześć panien i dwie starsze panie. Wyprawę młodej królowej polskiej wystawiono na widok publiczny.

Otworzono umyślnie owe skrzynie pozłociste na mułach wiezione, dla pokazania ciekawemu zawsze i dziwiącemu się gminowi sprzętów do Polski zgotowanych. Rzecz prawdziwa, że wielość szat i rozliczność, tudzież innych do służby stołowej, do go-

towalni i do ozdób pokojowych rzeczy przynależnych, taka była i tak misternie sporządzona, iż jej żadna księżna europejska wieku tego z zamęściem nie wniosła; ale tam złota i srebra nie wiele widziano, wszystko lekko popstrzone i dla pozoru. Kredens nie nader bogaty, pasy złote ale nie ważne, obicia, szpalery, makaty włoskiej i flamandzkiej roboty, jedwabne karmazynowe, złotem przetykane, jakie Włosi brocato ricco nazywają. Wiele pawilonów i kotar łóżkowych ze złotogłowiu. Bielizna przednia złotem haftowana. Co wszystko bawiło ciekawych przez całe dwa dni, a Polacy cieszyli się najwięcej, że im skrzynię naładowaną sumą 60,000 złotych pokazano.

Dla pociechy Zygmunta, Ostroróg donosząc mu o opóźnieniu przybycia młodej małżonki, przysłał królowi miarę w jej pasie i bucik jedwabny po kolana wysoki, a mistrzowskim pędzlem opisywał pełną urcku jej postać: „Co do piękności, w niczem nie różni się od wizerunku, który przywiózł pan Chryzostom. Włosy ma śliczne jasnozłote, kiedy (rzecz dziwna) rzęsy i brwi są całkiem czarne. Oczy raczej anielskie niż ludzkie. Czoło promienne i pogodne — nos prosty, bez żadnego garbu ani zakrzywienia — lica rumiane, jakby wrodzoną wstydliwością ozdobne — usta jak koral najczerwieńszy — zęby równe i nadzwyczaj białe — szyja prosta i okrągła — pierś śnieżnej białości — ramiona najudatniejsze, rączki piękniejszej widzieć nie można. A wszystko razem wzięte, czy cała postawa, czy każdy członek z osobna, tworzą najpowabniejszą całość. Wdzięk w całym ruchu wydatny, a najbardziej w mowie. Nauka i wymowa nie taka, jaka jej płci właściwa, ale prawdziwie zadziwiająca. Słyszeliśmy ją mówiącą po łacinie, nie nauczoną, ale bez przygotowania, a wyznać musimy, iż w każdym okresie błyszczała najwykwintniejsza ozdobność stylu. Od wielu lat znaliśmy Włoską krainę, ale piękniej tańcującej kobiety nie zdarzyło się nam widzieć."

Bona urodzona w r. 1494, kończyła pod ów czas rok dwudziesty czwarty.

Posłowie poprzedzili przyszłą królowę swoją do Willaku, a powitali ją w Cylli i towarzyszyli jej do Wiednia, a następnie do Ołomuńca, gdzie królowa przepędzić miała święta Wielkanocne. Wcale nie znużona podróżą Bona, prowadziła z biskupem Ołomunieckim, mężem uczonym, rozmowy po łacinie, z wielkiém zadziwieniem obecnych. — Na spotkanie małżonki wysłał król do Ołomuńca czterech dostojników państwa: Jana Lubrańca, biskupa

Poznańskiego, Erazma Ciołka, biskupa Płockiego, Krzysztofa Szydłowieckiego, kanclerza koronnego i wojewodę krakowskiego, i Łukasza z Górki, kasztelana poznańskiego. Posłowie przywitawszy królowę mowami, ofiarowali jej w imieniu króla dwa łańcuchy złote, bogato ozdobne w perły i drogie kamienie, i wygodny powóz kryty szkarłatami, a podbity adamaszkiem zielonym. Powozem tym wygodnie przyjechała Bona dnia 13 Kwietnia do Morawicy, wsi o dwie mile od Krakowa. Tam witali ją w imieniu króla Piotr Tomicki, biskup przemyski, książę Konstantyn Ostrogski, i Jan Zaręba, wojewoda kaliski.

Dwa dni później król Zygmunt wyjechał z Krakowa z orszakiem biskupów i senatorów, i stanął na miejscu upatrzoném na spotkanie z małżonką, a wysłaném suknem szkarłatném. Tam stały rozbite namioty.

Najpierwej przybył do króla kardynał Esteński. Następnie przy odgłosie dział nadjechała królowa Bona konno, w towarzystwie siostrzeńca królewskiego Kazimierza, margrabi Brandeburskiego, otoczona orszakiem posłów polskich i dworzan swoich włoskich, i zsiadła z konia na miejscu suknem wysłaném. Król Zygmunt z namiotu swego wyszedł pieszo na jej spotkanie — z wesołém obliczem podał ręce nadobnej małżonce, i głęboko schylającą się przed nim czule uścisnął. Obecni byli temu spotkaniu książęta Stanisław i Janusz Mazowieccy, młodzieńcy mający jeden lat 18 a drugi 16, matka ich księżna Anna z Radziwiłłów, i siostra księżniczka Anna Mazowiecka, książęta Kazimierz i Władysław Cieszyńscy, i posłowie zagraniczni. Następnie powitał królowę ksiądz Jan Łaski, arcybiskup Gnieźnieński, pięknie ułożoną mową, na którą w imieniu królowej odpowiedział sekretarz jej Ludowik.

Potém cały ten orszak wspaniały przy odgłosie dział wyruszył ku stolicy: król i królowa konno, mając przy sobie margrabię Kazimierza Brandeburskiego i kardynała Esteńskiego — za nimi w ośmiokonnym powozie, pokrytym czarnym aksamitem, księżna Anna Mazowiecka z córką; następnie książęta, dostojnicy i rycerze.

W Krakowie wszystkie domy przystrojone były w bogate kobierce, ulice napełnione ludem w świetnych strojach, a cudzoziemcy uderzeni byli pięknością kobiet polskich. W katedrze na Wawelu przyjął królewską parę biskup Konarski, a biskup Tomicki uczoną mową przywitał.

Dnia 18 kwietnia odbył się ślub kościelny i koronacya królowej. Bona miała na sobie cudownie piękną suknię z atłasu gładkiego turkusowej barwy, powleczoną złotemi blaszkami misternej roboty, a wartości kilka tysięcy czerwonych złotych. Po dokonanym obrzędzie nastąpiła wystawna uczta, do której zasiedli także nowo przybyli goście, książęta: Fryderyk Lignicki, Jerzy Brzegski i Karol Ziembicki (Münsterberg). Nadzwyczajne było bogactwo naczyń i sprzętów srebrnych i złotych, których do półtora tysiąca naliczono — szczególniej zwracała uwagę czara z szafiru bez skazy, ważąca uncyj sześć, osadzona na szczerozłotej nóżce.

Po bankiecie składano królowej bogate dary w klejnotach od cesarza, od Ludwika króla Węgierskiego (synowca Zygmunta) i od książąt, a od miast srebrne puhary i rostruchany misternej roboty. Tego dnia wstrzymano się od tańców z powodu świętego obrzędu koronacyi: ale nazajutrz, po wystawnej uczcie, w innej sali najwspanialej urządzonego zamku rozpoczęły się tańce.

Najprzód królowa z jedną ze szlachetnych panien swoich taniec włoski przetańczyła — potém Kazimierz margrabia z Anną księżniczką Mazowiecką taniec polski, a Bracisław Świechowski Czech i Wawrzyniec Sauer, wielkorządca Austryi, taniec niemiecki — po nich książęta Mazowieccy i Szlązcy — i tak przeplatano tańce polskie, niemieckie i włoskie, aż do późnej pory.

Nazajutrz król złożył w ofierze młodej małżonce wspaniałe dary w łańcuchach, dyamentach, naszyjnikach z drogich kamieni i szatach ze złotogłowiu. Po obiedzie nastąpiły turnieje, na których margrabia Kazimierz Brandeburski palmę zwycięzką odniósł, i w nagrodę za to od księżny Anny Mazowieckiej, której obyczajem rycerskim służbę był przyjął, bogaty wieniec dostał. Turnieje powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, równie jak i tańce włoskie, niemieckie i ruskie. Królowa przystroila córeczki królewskie po swojemu jak najpiękniej, i starszą Jadwigę ciągle przy boku trzymała, obejmując ją po macierzyńsku.

Dnia 29 Kwietnia rozjechali się nareszcie bogato udarowani goście, i skończyła się wspaniała uroczystość bez najmniejszego zgiełku, chociaż w zebraniu złożoném z tylu różnorodnych żywiołów, z Włochów, Niemców, Węgrów, Czechów, Polaków, Litwinów, Rusinów, Wołochów i Tatarów.

---

142. WESELE.

(Podanie dziejowe)

(*z powieści „Jan Bielecki“ p. Jul. Słowackiego*).

Pan Brzeżan*) w cudnej mieszka okolicy:
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady:
Oto go łatwo rozeznać za stołem,
W złocistej szacie — ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzoném czołem;
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

„Bracia! na chwilę uciszcie te gwary.
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkiém słowie
Wyjawię żal mój, wyłożę zamiary,
A potém każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły:
Szedłem do króla — nie błagałem łaski —
Wnet sprawę długie indukta wywiodły,
I jam był winien! winien był Sieniawski!“

Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jakby król dzielny w darowanej grzędzie;
A kiedy zamki walą się pod gromem,

---

*) Brzeżany w Galicyi, dawne siedlisko rodziny Sieniawskich, nad rzeką Złotą Lipą.

On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojnie między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.

Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem — iskrami płomieni —
Bracia! noc widna — niedaleka jazda —
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni:
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę"!...

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem;
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wahały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę;
Gdy się zmieszają wszystkie barwy borów,
Liście i kwiaty płyną jak potoki;
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki!

Pali się szlachta — już dosiadła koni.
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni —
Dalej na pola przez ubite szlaki!
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi —
Już pojechali.... Niech ich Bóg prowadzi!

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary,
Jaśnieje ołtarz. Potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.

Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty;
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem Jan Bielecki, zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza:
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męzkiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami; tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.

A dalej swaty za młodym rycerzem,
A dalej bracia, husarze, pancerni;
A dalej służba w wielkiém stoi kole,
Zbroją od prostej wyróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem!

Lecz panna młoda jakże wystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mieniącym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiém piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O! jakże cudna, gdy się wstydem płoni;
Widne łzy w oku, widne drżenie w dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.

Dlaczegóż smutna?.... Patrz na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale;

Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilia wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki —
Zagrali grajki, grzmią huczne wystrzały;
I pochodniami świecili kozaki —
Noc księżycowa widna jak dzień biały.

„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat — „przede mną
Nie widzę domu.... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? Ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa“....
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi;
Patrzą — nie wierzą; sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko, jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady —
Na jego szatach widać krwawe ślady....
„Anno, rzekł, Anno! wracaj — niéma domu!
Nie wrócę z tobą — obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami —
Wracaj o! Anno, ty będziesz szczęśliwa:
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.
Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy;
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek

Wzleciał nad skiby pooranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

---

144. OPIS PODOLA.

(*p. Winc. Pola.*)

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyń morze,
Nie ma kraju nad Podole!

Tu kraj cały jednym łanem,
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem,
A lud wszystek wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne;
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!

Kilkoletnie stérty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Nie strzeżone na obszarze;
I na polu skót w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.

Kłosy płyną w lekkiej fali;
A gdzieś widne w sinej dali,
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy starodrzewne.

A i ludu wdzięczne lica:
Boć to czysto, biało odzian,
Jak dąb, młody rzezki młodzian,
A dzieweczka jak pszenica!

---

145. HALSZKA JAGIELLONKA.

(Powiastka historyczna z początków XVI wieku)

(*przez Sewerynę Pruszakową.*)

I.

Głośno biły dzwony wszystkich kościołów krakowskich, a lud nakształt olbrzymiego mrowiska roił się po ulicach miasta: głęboka żałość odbijała na obliczach wszystkich. Dobry król Kazimierz Jagiellończyk umarł w Grodnie przed miesiącem, i właśnie ciało jego prowadzono w mury stolicy, gdzie na Wawelu miało znaleźć wieczny spoczynek, obok rodzicielskich prochów.

Orszak pogrzebowy ciągnął pomału ulicą grodzką ku zamkowi. Pochód otwierały liczne wozy czyli mary, pokryte czarnym kirem; za niemi jechali konno rycerze, przybrani w królewskie herby: przodował im na białym rumaku chorąży nadworny, w jednej ręce trzymając tarczę z białym orłem, w drugiej miecz goły obrócony ostrzem do siebie. Dalej szli posłowie ziemscy z godłami województw swoich, tudzież dostojnicy koronni, piastujący w ręku znamiona królewskie: miecz, jabłko, berło i koronę; za posłami postępował na królewskim rumaku rycerz od stóp do głów w twardą okuty zbroję, z nagim mieczem w prawicy: wyobrażał on zmarłego króla. Dalej ciągnęło liczne duchowieństwo tak zakonne jak świeckie, któremu przewodniczył młody królewicz Fryderyk, niedawno wyniesiony na krakowskie biskupstwo; za konwentami, bractwami i cechami, dwunastu dworzan niosło mary żałobne, na których spoczywały zwłoki króla Kazimierza. Tuż za ciałem postępowała królewska wdowa, Elżbieta, córka niemieckiego cesarza, otoczona liczną rodziną; dwaj najstarsi królewicze, Jan Albrecht i Aleksander, prowadzili sędziwą matkę, obadwaj dobiegli już lat męzkich; po jednej stronie matki szły dwie dorodne dziewice, Anna i Barbara; po drugiej, młodszy od braci Zygmunt prowadził za rączkę bladą sześcioletnią dzieweczkę, która płacząc rzewnie tuliła się do niego. Tą dzieweczką była mała Halszka, najmłodsza z królewskiej rodziny: bieluchna twarzyczka dziewczęcia miała wyraz łagodny i smutny, wielkie błękitne oczy, otoczone długą ciemną rzęsą. zapadłe nieco w głąb', i w tej chwili zalane łzami, pełne były niepojętego uroku. Postać jej budziła też powszechne współczu-

cie; wszystkich oczy zwracały się na nią, a każdy widząc jej żal serdeczny, powtarzał sobie w duchu: „biedna, biedna sierotka!"

Orszak żałobny wszedł w podwoje katedralnego kościoła, trumnę królewską postawiono na wysokich marach otoczonych jarzącemi świecami. Biskup Fryderyk w licznej assystencyi jął odprawiać żałobne nabożeństwo; po ewangelii prymas*) Oleśnicki wstąpił na mownicę, i okrągłemi słowy opowiedział żywot królewski, a głośne łkanie obecnych przerywało mu słowa. Gdy skończył, powstał nagle zgiełk u drzwi kościelnych, zatętniały kopyta końskie o kamienne płyty, i wjechał między tłum ludu rycerz od stóp do głów uzbrojony, tenże sam, który przedstawiał w pochodzie osobę zmarłego monarchy. Wkoło zbroi jego i hełmu płonęły małe świeczki woskowe; przystanął za marami, wstrzymując silną ręką cugle dzielnego rumaka; wówczas trzej królewicze i książęta obecni przystąpili do mar królewskich: Jan-Albrecht podjął z nich hełm, Aleksander tarczę, Zygmunt miecz, Janusz Mazowiecki podniósł klęczącą dziewicę, i zbliżyli się do wielkiego ołtarza. Za nimi przystąpili panowie koronni, dzierżąc w ręku znaki dostojeństwa swego; kanclerz i podkanclerzy trzymali złote pieczęcie, cześnik z podczaszym wyzłacane puhary, chorążowie chorągwie z orłem i pogonią.

Gdy duchowieństwo zaśpiewało *Agnus Dei*, na to hasło Jan Albrecht roztrzaskał hełm królewski, Aleksander skruszył tarczę, Zygmunt rozłamał miecz na dwoje, i w tejże chwili zbrojny rycerz spadł z konia przy marach, kanclerze potłukli pieczęcie, chorążowie podruzgotali drzewce u swych chorągwi. Płacz i lament wszystkich odpowiedział na te wymowne oznaki żałoby, a po nad tysiącem stłumionych głosów zabrzmiał żałosny głos dziecka: byłto płacz sześcioletniej Halszki, małej królewskiej sierotki. Posłyszał go Zygmunt, rzucił na ziemię rękojeść skruszonego miecza, którą trzymał jeszcze w ręku, przybiegł do wielkiej ławy ustawionej w chórze, którą zajmowała królowa z rodziną, ujął na ręce małą Halszkę, i przecisnąwszy się przez licznie zebrany tłum, uniósł ją z pośpiechem na zamek.

Biedna, biedna sierotka! powtarzał lud, patrząc na dzieweczkę wspartą na ramieniu królewicza.

— Nie płacz, nie płacz, — mówił Zygmunt, tuląc jej jasną główkę do piersi, tyś nie sierota: ja ci będę ojcem i opiekunem!....

---

*) raczej biskup kardynał.

II.

Ubiegło lat dwanaście. W jednej z komnat królewskiego zamku w Krakowie siedziała poważna matrona, Elżbieta, wdowa po królu Kazimierzu, a matka panującego Aleksandra. Mnogie lata, a bardziej jeszcze zgryzoty przetrwane w ostatnich czasach, pochyliły ku ziemi wzniosłą jej postać, a na wysokiém czole głębokiemi wyryły się bruzdami. Oko królowej, niegdyś ciemne i pełne ognia, zapadło i przygasło, jak dogorywający kaganiec; lica jej pożółkły jak pargamin. Przybrana była w szaty zakonne reguły Św. Franciszka, których od śmierci ukochanego syna Albrechta nie opuszczała nigdy; drżącą ręką przesuwała ziarnka różańcowe, a po poruszeniu ust znać było, że się modliła.

Niedaleko królowej matki, pod oknem, siedziała za krosnami dorodna ośmnasto-letnia dziewuszka: byłato najmłodsza z dzieci Kazimierzowych, piękna królewna Halszka, którą widzieliśmy sześcioletniém dzieckiem na początku naszego obrazku. Rumieniec młodości kwitł na obliczu królewny, ale gładkie jej czoło zdawało się powleczone mgłą tęsknoty, podczas gdy wyszywała bogaty ornat złotem i jedwabiami.

Królowa skończyła modlitwę, skreśliła znak krzyża świętego na czole i ramionach, wypuściła z ręki długi różaniec przytwierdzony do franciszkańskiego paska, który otaczał ją wkoło, i patrząc w ogień płonący na szerokim kominie, głęboko się zadumała.

Nagle gwar powstał, na zamkowym dziedzińcu dał się słyszeć tentent licznych koni.

— Halszko, — wyrzekła królowa drżącym i złamanym głosem, — czy słyszysz tę wrzawę; i cóżby to być mogło?

Halszka powstała od krosien, przystąpiła do okna.

— Jakieś konne rycerstwo wjeżdża w bramę zamkową, — odrzekła z poszanowaniem, — kto wie, czy to nie będą owi posłowie wołoscy, o których król a brat nasz wspominał przed dwoma dniami.

— Być może, — odparła królowa, potrząsając głową na znak niechęci. — Jak słońce na niebie, chytry Wołoszyn układa nową zdradę, skoro śle posły na znak czci królowi polskiemu. Zawsze tak bywało, począwszy od Władysława Jagiełły dziada twego; po każdym nowym hołdzie, hospodar wnet przemyślał

o zrzuceniu polskiego jarzma, które zaprawdę nie bardzo ciężyło mu na barkach.

— Miłościwa pani a matko, — zagadnęła królewna, — prawdaż to, że teraźniejszy hospodar Jednooki Bogdan przechodzi jeszcze okrucieństwem ojca i poprzedników swoich?

— Tak mówią, — odrzekła królowa, — choć i ojciec jego Stefan okrutny był i chciwy krwi ludzkiej. Sławią go Wołochy że dzielnie bił Turków, i nie nagiął karku przed Korwinem węgierskim; alež co do mnie, nie przepomnę mu klęsk mego Albrechta. Oj ta nieszczęsna Wołoszczyzna! sprawiedliwie przezwano ją grobem Polaków; a ja dodam jeszcze, że stała się grobem królewskiej powagi w Polsce. Miły Boże! — dodała po chwili wzruszona, — jakże niewysłowioną radością rozpływało się serce moje, gdym widziała w Albrechcie wszystkie cnoty potrzebne majestatowi królewskiemu! Naród czcił go i kochał w pierwszych chwilach mądrych i sprawiedliwych rządów, aż owa klęska bukowińska położyła kres jego szczęśliwej doli. Szlachta polska powzięła nieufność tak przeciw niemu, jak i mądremu mistrzowi jego Kallimachowi, który dziś wraz z nim spoczywa w wiecznej chwale, i od tej smutnej chwili ograniczyła na sejmie prawa tronu, sama wzrosła w moc i potęgę dotąd niesłychaną. Bóg jeden wié, gdzie się zatrzyma ten rozhukany potok, i czyli w szalonym pędzie nie naruszy odwiecznych podwalin narodu.

Umilkła matka królów, podjęła krzyż z relikwiami świętych, który spuszczał się u jej boku zakończając długi różaniec, przycisnęła do piersi znak męki Syna Bożego, i wyrzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— O Panie! dozwól mi połączyć wszystkie boleści moje z tą męką, którąś wytrwał dla zbawienia świata. Ciężko o! Boże dotknąłeś me serce macierzyńskie, ale niech Cię chwalą moje łzy i cierpienia. Niegdyś najszczęśliwsza z małżonek i matron, siedząc na majestacie obok miłego męża a pana, widziałam się otoczoną gronem dwanaściorga dorodnych dziateczek — dziś w późnej starości, pozostałam niemal sama, z tém ostatniém pisklęciem z królewskiego gniazda mego. Pierworodny mój Władysław, daleko ztąd na czeskim i węgierskim tronie, stracony dla mnie na wieki; słodki Kazimierz służy Bogu wraz z czystemi aniołami, a świat chrześciański składa mu chwałę wiekuistą; lecz serce matki, czcząc nawet świętego, opłakuje w nim syna!.. Jan Albrecht spoczywa snem wiecznym w sklepieniach tej katedry, po

ciężkich utrapieniach żywota; Fryderyk legł przedwcześnie pod stopniami ołtarza, któremu posługiwał; moja pierworodna Jadwiga zakończyła niedawno w Bawaryi umęczone dni swoje, poznawszy grób za życia; Zygmunt przebywa daleko na głogowskiém księztwie; Anna w Brandeburgii; Barbara w pośród Sasów; Zofia na odległém Pomorzu; a biedny Aleksander, i tego dni Bóg już policzył w niezgłębionych wyrokach swoich!..

— Przestańcie się trapić, miłościwa pani i matko, — przerwała królewna, — król, brat nasz, powraca do zdrowia, już nawet nie żartem wybiera się na Litwę.

— Nie powróci on ztamtąd, — odrzekła królowa z przekonaniem, — szczęście moje, że Bóg pozwoli mi wprzód zamknąć oczy, i nie patrzeć już na tę nową boleść. Ty biedna Halszko będziesz razem płakać nad grobem matki i brata.

— O miłościwa pani! — zawołała Halszka stłumionym głosem, przystępując do matki i tuląc głowę do jej kolan, — nie mówcie tego: serce mi pęka od boleści! — Umilkła, a żałosne łkanie wybiegło z jej piersi i głucho rozległo się po komnacie.

— Taka to kolej w życiu, — rzekła z poddaniem się Elżbieta, kładąc wychudłą rękę na głowie pochylonej córki: — bądź silna, albowiem Bóg ciężkie gotuje ci próby: przeczucia matki nie mylą!.... Skoro ujrzałam blade oblicza Aleksandra, gdy go tu przywieziono z radomskiego sejmu, wnet dostrzegłam palec śmierci wyciśnięty na jego czole. I dziś, choć wiek krzepki walczy chwilowo z chorobą, nie pokona jej wszakże! Sam Bóg ażaliż nas nie ostrzega o nieszczęściu? A tenże grad, co na dzień przed królewskim powrotem potrzaskał wszystkie szyby w Krakowie, postrącał dachy i poobalał drzewa? a ów grom co zdruzgotał wieżę zamkową? nie sąż to widome zapowiednie ręki Bożej, gotowej spaść na plemię Jagiellonów? O! pomnę ja dobrze przed trzynastą laty śmierć króla Kazimierza, małżonka mego, a twego ojca, Halszko. Nim Bóg powołał go do siebie, wszystkie klęski spadły jak stado sępów na to biedne królestwo! Mór zdziesiątkował krakowską ludność, pożar obrócił w perzynę część miasta, a na pół roku przed królewskim zgonem, o samém południu, trzy słońca zaświeciły razem na niebie.

— Pamiętam to, — powtórzyła królewna, — choć małém jeszcze byłam dzieckiem; pomnę jak brat Zygmunt wziął mnie na ręce, i poniósł na Kurzą stopkę do komnaty królowej Jadwigi, zkąd najlepiej widać było to niesłychane zjawisko.

I Halszka westchnęła na wspomnienie Zygmunta, który lubo daleko mieszkał na Szlązku, bliskim był jednak jej serca, i zawsze przytomnym jej myśli.

W tej chwili dał się słyszeć głośny szmer w przyległych komnatach: drzwi się otworzyły, i jeden z dworzan królowej zapowiedział zbliżenie się Jego Królewskiej Mości.

— Cóż mu się stało o tak niezwykłej porze? — wyrzekła królowa, — znać jakaś ważna sprawa przywodzi go w moje progi.

Halszka pobladła i zadrżała, sama nie pojmując przyczyny mimowolnego wzruszenia swego.

Podwoje rozwarły się na oścież, i wszedł król Aleksander, wsparty na ramionach dwóch panów, najmilszych sercu swemu: Erazma Ciołka biskupa płockiego, i Wojciecha Brudzyńskiego herbu Prawdzic, męża olbrzymiej postaci i niepośledniej siły; za królem szedł liczny orszak dworzan. Oblicze króla blade było i zżółkłe; rysy podłużne z natury, skutkiem choroby bardziej wyciągnęły się jeszcze: długi ciemny włos spadał na wklęsłe skronie; w błękitném i napół zgasłém oku odbijała dobroć właściwa Jagiellonom. Szedł z trudnością, powłócząc prawą nogę tkniętą niedawno paraliżem; przystąpiwszy do matki, pocałował ją z poszanowaniem w rękę; dworzanie posadzili go w obszerném krześle obok królewskiej matrony.

— Cóż was tu, królu, przyprowadza o tej porze? — zagadnęła królowa Elżbieta.

— Ważna sprawa, miłościwa pani, — odparł król, — od której pomyślnego skutku zależy przyszły los naszego państwa. Niech Wasza królewska Mość łaskawie skłoni ucho na słowa płockiego biskupa.

Biskup Ciołek wystąpił naprzód, znać, że mu nie pierwszy raz mówić w obec majestatu, przemawiał on już bowiem i w Augsburgu na cesarskim dworze, w kole dostojnych książąt rzeszy, a nawet i w Rzymie przed apostolskim tronem Juliusza II. Postać jego dorodna i poważna; niktby się ani domyślił, że ojciec i dziad chodzili w siermiędze za pługiem, i że on pierwszy z rodu, dzięki własnej zdolności i zasłudze, a co więcej dzięki królewskim względom, przeszedłszy wszystkie szczeble hierarchii duchownej, oparł się o podnóże tronu.

— Miłościwa pani, — wyrzekł biskup dźwięcznym i pełnym głosem, — skoro Król jegomość stargany na siłach raczył mnie obrać za rzecznika swego, niechże mi wolno będzie przed-

stawić tę sprawę przed obliczem Waszej królewskiej Mości. Oto hospodar wołoski Bogdan przysłał poselstwo do Krakowa, domagając się trwałego z Polską sojuszu...

— Trwałego sojuszu! — przerwała z goryczą królowa, — małoż to razy chytry Wołoszyn zginał kark przed królem polskim, podczas gdy w duszy tajemną knował zdradę?

— Hospodar Bogdan, — odparł biskup, — czuje, że sprawa Polski ściśle zespolona jest z własną jego sprawą. Jeżeli Polskę świat nazwał słusznie przedmurzem Europy, to Wołoszczyznę nazwaćby można pierwszą basztą, zachodzącą w posiadłości ottomańskie. Owóż dla zapewnienia stałego pokoju chrześcijańskim państwom, nie należy gardzić tém przymierzem, lecz wypada zadość uczynić warunkom podanym przez hospodara.

— I jakież to owe warunki, — zagadnęła niecierpliwie królowa, podnosząc głowę.

— Hospodar Bogdan, — rzekł biskup, — żąda jedynie ręki królewny Halszki.

— Dość już tego! — przerwała z gniewem Elżbieta, — nie chcę słyszeć więcej o tym haniebnym sojuszu. Przysięgam na tego Zbawiciela! — to mówiąc, drżącą ręką ujęła krzyż zwieszony przy różańcu.

— Matko! świętą będzie dla mnie wola wasza, — zawołała Halszka, rzucając się do stóp królowej, i twarz bledziuchną, jakby kwiat lilii, ukryła na łonie macierzyńskiém.

— Przez chwilę głuche milczenie panowało wśród obszernej komnaty. Biskup płocki spojrzał na króla, dając mu znak, że w obec tak niezłomnej woli królowej daremneby były wszelkie dalsze przedstawienia.

— A zatem Miłościwa pani, — rzekł król z wyraźną niechęcią, — z niczém odprawię posłów hospodarowych. Jedno patrzeć jak zaświeci łuna pożaru od nieszczęsnego Pokucia. Niechże się spełni wola Boża nad nami.

— Bóg nie chce tych związków, miły synu, — rzekła królowa stanowczo. Powierzmy przyszłość Jego świętej Opatrzności.

Król Aleksander nie odrzekł ani słowa, powstał z krzesła wsparty na ramieniu biskupa płockiego: skutkiem głębokiego wzruszenia twarz jego bledszą była i krok bardziej chwiejący się niż przed chwilą. Spostrzegłszy to Wojciech Brudzyński, ujął go w silne objęcia: niczém mu był ten ciężar, nie raz bowiem popisując się dla igraszki, z nieporównaną siłą brał on na bary

sześciu rosłych mężów okutych w rycerskie zbroice. Poczciwszy matkę pokłonem, król rozkazał się zanieść do swych komnat: za królem wyszedł biskup płocki i cały orszak dworzan.

III.

Upłynęło pół roku — na zamku krakowskim ważne zaszły zmiany. Królowa matka spoczęła snem wiecznym w grobowych pieczarach na Wawelu, obok zgasłych Jagiellonów. Młoda sierota Halszka trawiła całe poranki w kościele na modlitwie, całe dnie na samotném dumaniu, a długie zimowe noce na łzach pełnych goryczy; jedyną jej pociechą były poufałe rozmowy z miłą jej sercu Barbarą Strósiowną, dzieweczką szlacheckiego rodu, niegdyś wychowanką królowej Elżbiety. Młoda królewska sierota, oprócz łez, które wyciskało z jej oczu wspomnienie dobrej matki, miała tysiączne powody trwogi i udręczenia: zaledwie, że królowa Elżbieta zamknęła oczy, ledwie że zwłoki jej złożono w grobie, nowe poselstwo wołoskie przybyło do Krakowa, domagając się znów ręki Halszki dla Bogdana Jednookiego. Król Aleksander odwołał się do woli królewny; a jednak gdy Halszka odmówiła wręcz hospodarowi, zasępiło się dziwnie królewskie oblicze, a po odejściu posłów, król rzekł do siostry z goryczą:

— Pamiętaj Halszko, że na głowę twoją spadną wszelkie klęski, spowodowane twym szalonym uporem; pamiętaj, że odpowiesz przed Bogiem za krew młodzi polskiej, która, tylko patrzeć, jak nowemi strugami zwilży niwy Pokucia!

Słowa te głęboko utkwiły w sercu biednej królewny. To też nieraz w poranku, sama jedna z wierną Barbarą, odziana w długą żałobną szatę, szła do katedry, i tam krzyżem leżąc przed cudownym obrazem ukrzyżowanego Chrystusa, przed którym królowa Jadwiga zwykła była się modlić, błagała Pana zastępów, aby odwrócił nowe klęski od miłej ojczyzny, a sercu jej oszczędził dręczącego wyrzutu.

Opatrzność jednak niezbadana w tajnych wyrokach, nowe pasmo niedoli gotowała Polsce. Łzy i modlitwy królewny nie zdołały przebłagać miłosierdzia Bożego. Wkrótce smutna wieść rozbiegła się po Krakowie, że Bogdan Jednooki, zagniewany na polskiego króla, natychmiast po powrocie posłów, otrzymawszy odmowną odpowiedź królewny, wyruszył zbrojno na Pokucie, zdobył po jednemu warowne zamki, wsie i miasta obrócił w zgli-

szcza i perzynę, a lud nieszczęśliwy wypłoszył z ubogich gniazd, i porozpędzał w lasy i niedostępne jary.

Król Aleksander otrzymawszy tę wieść, wybuchnął na królewnę srogim gniewem, składając na nią cały ciężar winy; a nazajutrz, lubo słaby, wyruszył na sejm do Lublina, aby wraz ze szlachtą złożyć radę nad obroną rzeczypospolitej. Jakoż sejm jednomyślnie uchwalił pospolite ruszenie, a duchowieństwo gorliwe jak zwykle o los kraju, znaczny grosz złożyło w ofierze na potrzeby wojska. Wojenne hasło rozbrzmiało od Karpat do Baltyku; rycerska młodzież garnęła się zewsząd pod chorągwie, i w mgnieniu oka czterotysięczny hufiec ochotników wyruszył na Wołochy.

Król z dworem bawił ciągle w Lublinie, gdzie sejm ciągnął dalsze obrady; królewna sama pozostała w stolicy w gronie kilku poważnych matron; młoda sierota, blada i milcząca, jakby zjawisko grobowe, snuła się po pustych komnatach krakowskiego zamku, lub pod gotyckiemi sklepieniami katedry. Niekiedy usiadła za krosnami, lecz zaledwie wyszyła drobny listek, igła sama wypadała z jej drżącej ręki; tylko w pobożnej księdze babki swojej Zofii czerpała jedyną pociechę; najmniejszy hałas na dziedzińcu przejmował ją dreszczem, a w każdém spojrzeniu otaczających osób, zdało jej się, że czyta gorzki wyrzut.

IV.

Na zamku krakowskim nic się z nowym rokiem nie zmieniło, a jednak w młodej królewnie niepojętą dostrzegano zmianę. Z niespokojnej i burzliwej stała się cicha i łagodna — anielska słodycz opromieniła jej blade oblicze; znać było, że się pogodziła z wolą Opatrzności, i silne w duszy uczyniła postanowienie. Wkrótce powrócił król z Lublina, z nad Dunaju szczęśliwe nadeszły też wieści. Rycerstwo polskie odbiło nadgraniczne zamki z rąk Jednookiego Bogdana, wygnało z Pokucia Wołochów, i ruszyło w pogoń za nimi w przesiąkłą krwią polską Bukowinę. We wszystkich kościołach krakowskich biły zwycięzkie dzwony, a gotyckie sklepienia przybytków bożych brzmiały dziękczynném *Te Deum*. Wprawdzie łzy wdów i sierot płynęły gorącym strumieniem, ale płynęły w ciszy, nie mąciły więc okrzyków tryumfu i wesela.

Minęły zapusty, nadszedł smutny Popielec; na krakowskim zamku panował ruch nie zwykły. Król Aleksander jakkolwiek

słaby, wybierał się do Wilna, gdzie go czekali posłowie hana z Perekopu.

Niebawem powstał zgiełk na dziedzińcu zamkowym, kopyta końskie zatętniały po bruku — królewna wyjrzała oknem i spostrzegła orszak panów wołoskich: byli to posłowie Jednookiego Bogdana.

„Boże!“ szepnęła cichym głosem, przycisnęła obie ręce do piersi, aby powstrzymać gwałtowne serca bicie, i w milczeniu usiadła za krosnami udając zajęcie się robotą.

W małą godzinkę potém wszedł biskup płocki, znany nam Erazm Ciołek, w towarzystwie kanclerza Łaskiego i kilku innych panów, i wezwał królewnę na posłuchanie do tronowej sali w imieniu króla Aleksandra. Królewna Halszka poszła bez oporu, nie wyrzekłszy ani słowa, otoczona orszakiem dworskich matron. Biskup płocki nie mógł dość nadziwić się jej powolności. Głęboki spokój panował na czole Jagiellonki; tylko bladość nadzwyczajna, tém wydatniejsza przy żałobnej szacie, nadawała jej obliczu jakiś nadziemski urok.

Król Aleksander zwiędły i pożółkły siedział na złotolitym tronie Jagiełłów, otaczali go wkoło poważni dostojnicy koronni. W obec majestatu stali wołoscy posłowie w aksamitnych deliach z dyamentowemi guzami, podbitych drogiém futrem; przy boku mieli krzywe szable o rękojeściach szczerozłotych: stali kornie z pochylonemi głowy, znać doznane klęski przełamały ich dumę.

— Siostro nasza, miła Halszko! — wyrzekł król Aleksander, wskazując wchodzącej królewnie krzesło nieco poniżej tronu — oto posłowie hospodara Bogdana po raz trzeci ponawiają pokorne prośby pana swego o rękę Waszej miłości. Dzięki najwyższemu Panu zastępów, dziś zmieniła się postać rzeczy, i z nowemi mamy prawo wystąpić warunkami: zrozumiał to hospodar, i przyrzeka nam uroczyście przez pełnomocników swoich, przyjąć wiarę rzymsko-katolicką wraz z narodem, tudzież hołdować wiernie królom polskim, dzierżąc miecz i władzę z ich ramienia. Cóż wy na to królewno?

Nagły cień przebiegł po gładkiém czole Halszki; lecz po chwili błękitne jej oko żywym zapłonęło blaskiem, a nawet leciuchny rumieniec wystąpił na jej lica.

— Żądanie hospodara, — wyrzekła słabym lecz pewnym głosem, — źle brzmi w obec tej żałobnej szaty; wszakże Miło-

ściwy królu a bracie, niech się spełni wola wasza; matka, jak mniemam, przebaczy mi w grobie tę zniewagę.

Szmer uwielbienia rozbiegł się po sali; posłowie wołoscy skłonili się głęboko przyszłej małżonce hospodara; król Aleksander wyschłą ręką ujął z współczuciem rękę siostry.

— Zaprawdę, to druga Jadwiga, — mówili panowie polscy, przejęci czcią serdeczną.

V.

W parę dni potém, król Aleksander odjechał na Litwę, gdzie go poprzedziła królowa Helena. W przeddzień odjazdu królewskiego stanęła ostateczna umowa z wołoskimi posłami, że skoro tylko król powróci do Polski, hospodar Bogdan przyjedzie sam do Krakowa, przyjmie rzymski obrządek, i po złożonym hołdzie otrzyma rękę królewny.

Król tknięty powtórnie paraliżem, coraz bardziej upadał na siłach; daremne były wszelkie starania lekarzy, śmierć krążyła już wkoło królewskiego wezgłowia. Lecz Opatrzność przeznaczyła umierającemu gorzką do spełnienia czarę: trzydzieści tysięcy Tatarów perekopskich wtargnęło do Litwy i rozpuściło zagony wzdłuż Niemna. Zwołano pospolite ruszenie, przewieziono króla na zamek lidzki; lecz i tam konający Jagiellończyk nie znalazł bezpiecznego przytułku: wnet szarańcza tatarska przyciągnęła pod Lidę; strwożeni panowie wraz z królową, rozkazali przenieść lektyką gasnącego monarchę do stołecznego Wilna. Gliński tymczasem spadł jak burza na Tatarów, okrążył kosz ich pod Kleckiem, a wypłoszywszy szarańczę z legowiska, część jej potopił w moczarach nadniemeńskich, resztę rozegnał na cztery wiatry, odbiwszy plony i niezliczonych jeńców.

Gdy się to działo na Litwie, w Krakowie panował głuchy spokój, zwyczajny zwiastun i poprzednik burzy. Dwór pozostały oczekiwał w trwodze wieści z Wilna, dręczony zabobonnym strachem na widok komety, która świecąc od północy, krwawą i olbrzymią rózgą zdawała się grozić biednej Polsce.

Byłoto w końcu sierpnia: królewna siedziała przy krosnach w towarzystwie Barbary i kilku sędziwych matron. Nagle rozwarły się podwoje, i mały paź oznajmił przybycie Wojciecha Brudzyńskiego, znanego nam dworzanina króla Aleksandra.

— Niech wnijdzie, — rzekła królewna zmienionym głosem,

drżąc jak listek osiny. Samo przybycie Brudzyńskiego zwiastowało jej nieszczęście; wiedziała bowiem, że król nie oddalał nigdy od boku ulubionego dworzanina swego.

Brudzyński wszedł cały okryty pyłem.

— Przebacz, Miłościwa pani, że tak się przedstawiam, — wyrzekł smutno, — ale okoliczność nagła. I zaciął się, nie śmiejąc mówić dalej.

— Przeczuwam nieszczęście, — rzekła królewna półgłosem, — mów Waszmość śmiało, jam na wszystko gotowa.

— Słuszne przeczucie Waszej królewskiej Mości, — odparł Brudzyński. — Król nasz miłościwy nie żyje!

Królewna przysłoniła oczy rękoma, i strumień łez spłynął po białém jej licu. Głośny płacz obecnych rozległ się po komnacie.

— Król nieboszczyk, — mówił dalej Brudzyński, — miał przynajmniej tę ostatnią pociechę, że na chwilę przed skonem dowiedział się o strasznej klęsce zadanej Tatarom przez Glińskiego, i odbiciu licznych jeńców litewskich.

— Chwała Ci Panie, za ten nowy dowód Twej łaski! — rzekła królewna. I kiedyż przywiozą zwłoki króla do grobu Jagiellonów?

— Król nieboszczyk pochowany już w Wilnie, — odparł Brudzyński.

— Dobrze mu tam zaprawdę, lecz ja nie doznam nawet tej pociechy, abym zapłakać mogła na braterskim grobie. Co czynić? niech się spełni wola Boża!

— Inną pociechę za to Bóg przeznacza Waszej królewskiej mości, — rzekł dworzanin, — książę Głogowski przybędzie niebawem do Krakowa.

— Zygmunt! drogi mój Zygmunt! i gdzież on jest? — zawołała żywo królewna.

— Pozostał w Wilnie, dokąd przybył w kilka godzin po skonie króla nieboszczyka.

Królewna długo milczała, sprzeczne myśli krążyły w jej głowie, sprzeczne uczucia walczyły w jej sercu; żal po zmarłym bracie łagodziła nadzieja powitania drogiego Zygmunta.

VI.

Pod szczęśliwszą wróżbą rozpoczął się dla Polski rok 1507. Zygmunt obrany królem na sejmie elekcyjnym w Piotrkowie,

przyjął już w Mielniku wodze państwa z rąk dostojnych posłów koronnych; niebawem też wyruszył w drogę, a w dniu dwudziestym stycznia przyciągał już pod Kraków. O milę od Krakowa przyjmował króla dwór cały, duchowieństwo, liczne poczty rycerstwa, mieszczan i ludu. Śnieg grubo zasłał ziemię, strojąc ją niby w białą szatę na weselne gody, a zachodzące słońce różowym promieniem ozłociło karpackie podgórza. Kilkadziesiąt sań pokrytych drogiemi makatami różnej barwy, uprzężonych w dzielne konie, sunęło lubelskim gościńcem na spotkanie króla. W pierwszych jechała królewna Halszka, w szubie szafirowej z gronostajami i amarantowym kołpaczku na głowie; ostry powiew styczniowy wycisnął hoży rumieniec na jej licach, a nadzieja powitania ukochanego brata zapaliła jej oko dawnym blaskiem: piękna też była królewna, i wszyscy z upodobaniem poglądali na nią, jako na córę i siostrę drogich narodowi Jagiellonów. Obok królewnej siedziała młoda Barbara Strósiówna, nie utulona dotąd w żalu po skonie bohaterskich braci.

W innych saniach jechały matrony dworskie, oraz dostojnicy koronni tak duchowni jak świeccy. Arcybiskup gnieźnieński Andrzej Roża z kanclerzem Łaskim, Lubrański biskup poznański z Erazmem Ciołkiem, dążyli na powitanie nowego monarchy; za nimi jechali wszyscy pasterze polskiego kościoła, oprócz krakowskiego, który z miejscowém duchowieństwem czekał w progach katedry na przyszłego pomazańca. Młodzi panowie świeccy jechali konno, strojni w aksamitne delie i pyszne sobolowe kołpaki. Z obcych książąt zwracał na siebie powszechną uwagę, tak rycerską postawą jak dorodném obliczem, Fryderyk na Lignicy, z rodu szlązkich Piastów; ciemno-zielony aksamitny płaszczyk, bogato haftowany złotem i perłami, podbity gronostajem, spływał w szerokich fałdach z ramion młodego księcia; kryza koronkowa zdobiła kształtną szyję, a czarny kapelusik z pióropuszem, przytwierdzonym drogą spinką brylantową, ślicznie odbijał obok jasnych włosów, spadających w bujnych pierścieniach na ramiona i skronie młodziana; koń książęcy, z prawdziwej krwi arabskiej, przybrany był zarówno w bogaty rzęd, wysadzany drogiemi kamieniami. Piękny książę Lignicki nie uszedł oka młodej królewny Halszki.

Nagłe okrzyki przerwały dumanie królewny: „Król jedzie! król jedzie!“ wołano z serdecznym zapałem. Halszka wytężyła wzrok, i dostrzegła orszak królewski. Promienie zachodzącego

słońca jasno odbłyskały na stalowych zbrojach rycerstwa i pysznych rzędach dostojników litewskich. Niebawem nadjechał król Zygmunt na wielkich saniach, pokrytych złotolitym kobiercem. Obok króla siedział Michał Gliński, dumny zwycięzca Tatarów; Jerzy Radziwiłł, Chodkiewicz i Zabrzeziński, jechali konno tuż obok majestatu.

Wszyscy obecni w mgnieniu oka pozsiadali z sanek i koni, i stanęli w półkole, pragnąc co rychlej powitać młodego monarchę. Zygmunt ze łzą radości w oku, a uśmiechem na ustach, przystąpił do zgromadzonych: wzrok jego spotkał nasamprzód ukochaną siostrę, wyciągnął ku niej ręce, i z niewymownem uczuciem przycisnął ją do piersi. Łzy szczęścia dawno zapomniane wytrysły z oczu królewny, serce jej biło z podwojoną siłą.

Po pierwszych powitaniach i krótkiej przemowie prymasa, zabrano się w drogę. Król zasiadł w sankach siostry w miejscu Barbary Strósiowny, sanie pomknęły się ku Krakowu.

— Halszko! — rzekł Zygmunt, — odtąd już nie będziesz sierotą, znajdziesz we mnie ojca i opiekuna, jak to przyrzekłem niegdyś.

— Nie długo bracie, nie długo, skończy się błogosławiona twa opieka, — odrzekła zapłoniona królewna. — Jedno patrzeć, jak przybędzie tu hospodar wołoski, Jednooki Bogdan.

— Jednooki Bogdan? bądź spokojna Halszko, nie oddam ja gołąbki mojej w szpony drapieżnego sępa.

— Ty mnie ocalisz, — zawołała Halszka, — a strumienie krwi polskiej spłyną znów po nieszczęśliwém Pokuciu. O mój bracie! jam spełniła w duchu ofiarę, dozwól mi jej w czynie dokonać!

Zygmunt spojrzał ze czcią na siostrę, i spotkał wzrok jej szlachetnym rozpromieniony zapałem.

— Spełniłaś ofiarę w duchu, — powtórzył stanowczo, — i Bóg ci ją policzy; ale ja pozwolić nie mogę na ten ohydny związek. Natychmiast po koronacyi, poseł brata naszego Władysława wyjeżdża ztąd do Wołoch: w imieniu naszém zawrze on traktat z Bogdanem.

W tej chwili przemknął w pląsach koło sanek książę Lignicki; wiatr rozwiał malowniczo krótki hiszpański płaszczyk spływający mu z ramion, i zachwiał białym jak śnieg pióropuszem. Oko królewny spotkało się z okiem Piasta; spostrzegł to Zygmunt, ujął rękę siostry z uczuciem.

Huk moździerzy przerwał słowa królewskie, sanki zatrzymały się przed gotycką bramą miasta, najeżoną basztami: wójt krakowski, na czele cechów, przystąpił do króla, i na aksamitnej poduszce podał mu złote klucze, przemawiając stosownie do okoliczności. Król Zygmunt odpowiedział łaskawie w kilku słowach. Rozwarto bramy. Tłum ludu z okrzykiem wesela prowadził króla na odwieczny Wawel, przy odgłosie wszystkich dzwonów.

*
* *

W rok potém, na zamku lignickim odbyły się huczne weselne gody. Jan Turza, biskup wrocławski, zawiózł młodą Halszkę do domu szczęśliwego oblubieńca. Oboje małżonkowie zaprzysięgli sobie przed ołtarzem wieczną wiarę, błogosławiąc króla Zygmunta, który słodkie pasmo rządów swoich rozpoczął pięknym czynem braterskiej miłości.

---

146. DO WISŁY.

(*p. Winc. Pola*).

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił, kreśląc o Flisie piosenki:
„By to być mogło, radbym złotem pisał
„Twoje pożytki, porty a i wstręty.“
A ile razy patrzę na twe wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stają przed duszą starzy gospodarze,
Wielcy dziedzice twojego porzecza;
I z Klonowiczem o tym flisie marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza.

Miło spoglądać Wisło na twe nurty,
Na te ładowne złotym darem burty —
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię Wisełką góral zwie w miłości;
To też mi smutną wydaje się Wisła,
Że dźwigać każą jej takie ciężkości;
Iż jej tak poszło na tym biednym świecie,

Że nieczystego tyle po niej brodzi,
I tyle mętów, tyle różnych łodzi
Musi oczyszczać i dźwigać na grzbiecie...

Kiedym u źródła tej Wisełki marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył —
I rzekł mi góral: „W naszej tutaj stronie
Zwią ją Wisełką, bo wesoła, młoda;
I jest Wisełką, nim minie Ustronie;
A już najpierwszą, co jej wody poda,
Dał Bóg Wisełce prawie jak na wiano...
— „Jakże ją zwiecie?“
— „Wolną ją nazwano.“

---

147. WARSZAWA.

(*z dzieła „Grody polskie“ p. Wład. Zawadzkiego*).

Jak posępny a wspaniały Kraków przemawia do nas starożytnością swoją, i przejmuje poszanowaniem jako skarbnica najdroższych dla Polaka pamiątek, tak znowu Warszawa, nosząca na sobie znamię nowszych czasów, jest najrozleglejszym i najpiękniejszym z grodów polskich. Przez trzy ostatnie wieki, będąc stolicą Polski, wzrastała szybko w ludność i zamożność. Jest-to jakby miasto pałaców, które przesadzają się wzajemnie przepychem i wytwornością budowy. Położona nad Wisłą, rozciąga się wzdłuż jej lewego brzegu, wśród szerokich a piaszczystych równin Mazowieckich.

Początek Warszawy, jak wszystkich większych grodów naszych, gubi się w odległej przeszłości. W roku 1207 młodszy brat Leszka Białego otrzymał Mazowsze jako swą dzielnicę wraz z innemi ziemiami. Po nim objął Mazowsze syn jego Ziemowit, i dał początek rodowi książąt Mazowieckich, którzy dzierżyli je przez lat przeszło trzysta. Konrad książę Mazowiecki upodobał sobie położenie wioski jednej na wzgórzu nad Wisłą, i postawił w niej zameczek drewniany wraz z kościołkiem. Taki był początek Warszawy. Następca Konrada, Janusz starszy, przeniósł tu stałą siedzibę swoją, a w miejscu drewnianego kościoła wymurował pierwszy kościół Warszawski, dzisiejszą katedrę św. Jana, który odnawiany, zdobiony i uposażony kolejno przez królów na-

szych, stał się wspaniałą w stylu gotyckim świątynią. Książęta Mazowieccy opasali miasto wałami i murem podwójnym dla obrony od nieprzyjaciół.

Co do rozległości, nie wielki-to jeszcze był w owe czasy gród. Prowadziło do niego pięć bram z basztami i wieżyczkami. Później rozszerzać się poczęła Warszawa poza ten obręb, i z czasem powstało jakby drugie miasto, które w połączeniu ze starem i innemi pobliskiemi osadami, tworzy dzisiejszą rozległą i piękną Warszawę. Książęta Mazowieccy, wielce dbając o wzrost i pomyślność miasta, nadawali mu rozmaite łaski i przywileje. Od czasu połączenia się Litwy z Polską ustały zbrojne napady, odetchnęło Mazowsze, i swobodniej mogła wzrastać jego stolica. W roku 1403 jeden z książąt, Janusz, wymurował główne skrzydło zamku dotąd drewnianego, a pobożne małżonki książąt fundowały w mieście różne zakłady dobroczynne.

Po śmierci książąt Janusza i Stanisława, Zygmunt I król Polski przyłączył Mazowsze do korony, i potwierdził mieszkańcom Warszawy wszystkie ich dawne przywileje. Królowa Bona otrzymawszy Mazowsze za wiano, często przemieszkiwała w Warszawie z córkami, z dala od syna, którego nie lubiła; nic jednak dla niej nie uczyniła dobrego, i nie pozostawiła tu nawet żadnych śladów swego pobytu. Po wyjeździe Bony do Włoch obrała sobie Warszawę za stałe mieszkanie Anna Jagiellonka. Piękne to już i bogate było w ów czas miasto. Miało dwa obszerne rynki na starém i nowém mieście, ulice dobrze zabudowane, kilka kościołów, a przy nich szkoły dla dzieci mieszczańskich; piękne ogrody i sady, wiele składów i fabryk. Zygmunt August kazał zbudować wspaniały most na Wiśle, który ukończono dopiero za czasów Stefana Batorego, a potém zniosła go powódź gwałtowna.

Od czasów Zygmunta Augusta zaczęła Warszawa coraz to spieszniej i widoczniej podnosić się i kwitnąć. Gdy wreszcie przeznaczono ją na miejsce wspólnych sejmów, zbliżyła się epoka największego jej wzrostu i powodzenia, a przeniesienie do niej stolicy z Krakowa w r. 1596 uwieńczyło ją trwałą pomyślnością.

Zygmunt III wzniósł murowany zamek, tworzący czworobok z wspaniałą wieżą, jak go dzisiaj widzimy. Od strony Wisły ubezpieczono go szerokiemi zasiekami, na których powstały rozległe ogrody i sady. W zamku odbywały się obrady senato-

rów, przechowywały archiwa krajowe. Komnaty królewskie ozdobione były obrazami sławnego w owe czasy malarza Dolabelli.

Warszawa stawszy się stolicą potężnego państwa, urastała nieustannie w zamożność i wspaniałość, dorównywając innym najznakomitszym stolicom europejskim. Ściągali tu na mieszkanie pierwsi kraju dostojnicy, wznosiły się pałace i kościoły, powstawały różnego rodzaju zakłady. Za Władysława IV dosięgła Warszawa szczytu swej świetności i pomyślności. W niej odbyła się, przeciw zwyczajowi odwiecznemu, koronacya Cecylii Renaty, pierwszej małżonki Władysława. Poźniej dwóch jeszcze królów, Stanisław Leszczyński i Stanisław August Poniatowski, koronowali się w Warszawie. Ale z końcem panowania Władysława IV skończyła się i dla Warszawy epoka pomyślności. Długie wojny, które za Jana Kazimierza niszczyły Polskę, były i dla jej stolicy zgubnemi. Od napadu Szwedów pod Karolem Gustawem poczyna się upadek miasta. Złupione i z ozdób odarte, nie mogło już dawnej odzyskać świetności. Wojny Karola XII za rządów Augusta II nowe klęski zadały Warszawie. Nawiedzały ją kolejno przechody wojsk obcych, towarzyszące im gwałty i wydzierstwa, i kilkakrotnie pojawiające się w kraju zarazy. W r. 1712 pustkowiem prawie stanęło miasto — trawą poczęły zarastać ulice, po których nikt nie chodził oprócz zakonników, co spieszyli odwiedzać umierających, i służby cmentarnej, co trupy grzebać przybiegała.

Wszelako w ciągu panowania obu Augustów Sasów powstało w Warszawie kilka zakładów pożytecznych, jako to: szpital Dzieciątka Jezus, biblioteka Załuskich, konwikt szlachecki u XX. Pijarów, itd. Warszawa znowu się podniosła. Za Stanisława Augusta Poniatowskiego przybyło wiele pałaców zachwycających swą pięknością i wspaniałością. Komnaty zamku przyozdobił król obrazami i malowidłami, do których użył pęzla najbieglejszych artystów. Zbudował na letnie dla siebie mieszkanie pałac Łazienkowski w smaku włoskim, nad jeziorem, które przejrzystém zwierciadłem roztacza się pomiędzy drzewami i ciennikami ogrodu, a na wyspie unosi letni i przenośny teatr.

Ma Warszawa, prócz grobowców kościelnych, kilka pomników godnych uwagi, jako to: kolumnę Zygmunta III na placu zamkowym, posąg Jana Sobieskiego podle Łazienek królewskich, i statuę Mikołaja Kopernika na Nowym świecie.

Z ostatnim rozbiorem kraju skończyły się świetne i dla

Warszawy czasy. Nie przestała przecież być ogniskiem skupiającém w sobie siły umysłowe kraju.

W okolicach Warszawy słyną także bądź pięknością położenia swego, bądź historycznością miejsca: Mokotów, Wilanów, Bielany, Marymont i Wola.

---

148. WIDOK WARSZAWY.

(*z poczyi „Wrażenia Pielgrzyma“ p. Wł. Syrokomlę*).

Warszawa, niby piękność w pełni swej rozwita,
Co zna swoją potęgę, i hołdu nie syta,
Starsza między siostrami, pewna królowania,
Tryumfujące wdzięki swobodnie odsłania.
Miłego ci uśmiechu nie posyła w darze,
Ale dumném spojrzeniem uwielbiać się każe.
Patrzaj, z jakim wyrazem chlubnego wesela
Wieżycami swych świątyń pod niebo wystrzela;
Zamkiem królów i możnych gmachami bogata,
Rozwija je na pokaz zdumionego świata!
Z jaką pewnością siebie, z jakim blaskiem oka
W zwierciadło swojej Wisły pogląda z wysoka!

---

149. WYJAZD KRÓLOWEJ BONY DO WŁOCH.

(*z „dzieła Jagiellonki Polskie“ p. Aleksandra Przezdzieckiego*).

W kilka dni po odjeździe królewny Zofii do Brunświku, udało się matce (Bonie) przezwyciężyć upór Rad koronnych i wolę syna. Napróżno podkanclerzy koronny ksiądz Przerębski wymownie wykazywał szkodę, jaką odjazd królowej Bony całemu państwu czynił, i prosił, aby nie raczyła odjeżdżać od Jego król. M. syna swego, od królewien córek, i z tej ziemi, w której Pan Bóg przez tak długi czas w dobrém zdrowiu zachować ją raczył. Ksiądz Zebrzydowski biskup Krakowski, na którego przed laty królowa łaskawą była, dołączał namowy ze swojej

strony, aby zamiast jechania do Włoch, raczej Włochy sobie poniekąd sprowadziła. „Dajesz to (mówił) W. K. M. znać, iż dla lekarstwa, dla cieplic do Włoch jechać chcesz. Jesteś W. K. M. tak wielką panią, tak możną królową, iż i lekarze, gdy W. K. M. zechcesz, tu przyjadą, i cieplice gdy rozkażesz, tu się znajdą.“ A dalej mówił: „Nie mniemaj W. K. M., żeby Włoska ziemia miała się teraz W. K. M. tak podobać, jak się w on czas podobąła, gdyś jeszcze W. K. M. panienką była. Podobanie ono z młodych lat rosło, i teraz nie ziemiać to Włoska smakuje, gdy o niej myślisz, ale smakują owe lata młodzieńcze, jak to wszyscy ludzie bardziej miłują wiosnę niż zimę. Zaraz tam na miejsce przyjechawszy, westchnęłabyś W. K. M. po dziatkach swoich, a wnetby uprzykrzyło się to, dla czegoś się W. K. M. tak bardzo kwapiła.“

Daremne były i Zebrzydowskiego namowy — ba owszem sama królowa Bona puściła się na biskupa, mówiąc do niego po łacinie, „Ty, ty! któryś biskupstwo kupił“ — (na co biskup: „kupiłem, bo było do sprzedania“) — „nie przewiedziesz tego, ani ci, którzy cię posłali, iżbym ja jechać nie miała. Pojadę, pojadę, a rada ujrzę, kto mię wstrzymywać będzie.“

Jakoż gdy ogłoszono na rynku, że nikomu nie wolno z królową jechać; królowa Bona wysłała córkę swoją Izabellę, królową Węgierską, do Zygmunta Augusta z narzekaniem, iż się jej wielki gwałt dzieje. Król odprawił siostrę z dobrém słowem, oświadczając, że gotów wszystko zrobić dla matki, ale że to nie od niego zależy, ale od panów Rad koronnych. Królowa Bona do każdego z nich z osobna posyłała, do pięknych słów przydając dla niektórych i piękne upominki.

Znaleźli się jednakże wyżsi nad takiego rodzaju pokusy mężowie. Podkanclerzy Przerębski powiedział: „żeby mu zaraz pieczęć z głową odjęto, jeźliby jego pieczęcią listy przejezdne (t. j. paszport) dla królowej pieczętować miano;“ a hetman Tarnowski, przeciwny także zamiarowi Bony, wrócił jej dziesięć tysięcy czerwonych złotych, które mu była dawniej pożyczyła, aby w zdaniu swojém nie był niczém krępowany. Nie mniej śmiało wystąpił hetman z zdaniem swojém w liście do króla Zygmunta pisanym: Odjechania Królowej Jej M. dawno wszyscy ludzie w obec, a nie tylko obywatele korony tej, lecz i postronni nawet, jako słyszymy, bardzo nie chwalą, widząc, iż Jej K. M. koronę tę nie tylko wielkich majętności pozbawiła, ale też, póki

ją Pan Bóg przy życiu zachowa, szkodzić zawsze Rzeczypospolitej będzie, gdy to, coby tu jeszcze zostało, słudzy jej do Włoch wynosić będą.“ Radził dalej hetman, aby przynajmniej na przyszłość się zabezpieczyć. — Pomimo tych rad, król odwołał edykt zakazujący każdemu jechać z królową Boną — a Bona wysłała zaraz ku Szlązkowi 24 wozy ładowane srebrem, złotem i klejnotami, pod strażą Wilgi, starosty Ostrołęckiego. W górach Styryjskich, po za Wiedniem, drogę tym wozom w skałach kowano, aby wygodnie do Wenecyi przejść mogły.

Zygmunt August żądał jednak, aby przed odjazdem swoim matka okazała wyznaczonym od króla osobom listy nadawcze i przywileje, które spisane być miały i zostawione pod pieczęciami w schowaniu. Ciekawy jest opis tej czynności, zachowany w liście kanclerza do Zygmunta Augusta:

„Gdyśmy przyszli do odbierania listów, ten początek był słów Jej kr. M.: „Chwała Bogu, że wszyscy mają wiedzieć o moich sprawach. Za czasów pana mojego (Zygmunta starego) nikt nie wiedział, com ja w skrzynce mojej miała: dziś muszę ją otworzyć. Ala zaprawdę rada jestem temu, i chętnie to czynię. Makowiecki, pokaż wszystkie listy. Niech zobaczą je nie tylko panowie wyznaczeni, ale nawet wszyscy, którzy znajdują się tu w pokoju; bo chcę, żebyście mnie mieli za uniewinnioną.

Kanclerz Ocieski wziął do serca żegnanie królowej Bony, bo tegoż samego dnia co do króla, pisał także do podkanclerzego Przęrębskiego: „Przy oddawaniu listów zostawiła nam królowa J. M. to błogosławieństwo, aby nam i potomkom naszym taka sprawiedliwość była, jakiej ona doznawała, wywodząc złamanie praw swoich.

W przeddzień swego wyjazdu, królowa Bona wzięła z sobą Rafała Wargawskiego, pisarza skarbowego, idąc do sklepu po pieniądze. Wargawski donosił o tém nazajutrz królowi w tych słowach: Wczora o drugiej godzinie Królowa J. M. wodziła mnie do sklepu, gdzie pieniądze swoje chowała, które z sobą miała wziąć na drogę. Ukazała mi tam, że zostawia dwie skrzynki mniejsze, a dwie większe: o większych powiadała, że w nich są klejnoty, perły, łańcuchy, ubiory królewien, a w dwóch większych kubki i inne srebro, które ma być królewnom J. M. oddane. Ukazywała mi także kolebkę srebrną i nogi do niej, i niecki

srebrne, i powiedziała: „to mogłabym wziąć, bo to jest moje: ale gdy będzie potrzeba Królowi J. M. kolebki, wtedy ją dopiero dam; a Królewne gdy za mąż pójdą, przyślę im do tych rzeczy klucze, aby wiedziały, że to odemnie mają, a nie od Króla.“

W sam dzień wyjazdu, z rana, królowa Bona posłała po panów Radnych, i pokazała im sklep pieczęciami swojemi i królewskiemi obwarowany, mówiąc: „Oświadczam wam, abym to tak w całości potém zastała, gdyż ja o wiele rzeczy zwykłam być obwiniana.“ Na to odpowiedział jej Piotr Boratyński, starosta Samborski, że żaden z nich przy kładzeniu listów i czego innego nie był, i że chyba miejscowy starosta, pan kasztelan Jeżowski, przyjmował do swej straży, jeśli co było.

Poczém Królowa poszła do kościoła z wesołą twarzą, a za nią Królewna, bardzo rzewliwie płacząc. Po mszy udała się do pałacu, już z obicia odartego. Tam Królewne zastawszy, pożegnała dwie panienki gorzkiemi łzami się zalewające, nie dawszy im nic więcej tylko po jednym pierścieniu, i łzy nie wypuściwszy sama z oczu. Szła nakoniec wsiadać, oddawszy córki swe panu Jerzemu Jeżowskiemu, ochmistrzowi ich naznaczonemu, na co było bardzo żałośnie patrzeć... Wszyscy w różne się strony porozjeżdżali: matka na południe, syn na północ, wnuk z matką na wschód, i Zofia zaślubiona książęciu Brunświckiewu na zachód. Osierociałe panny same tylko zostały.

Do kolebki*) przyszedłszy, wsiadła Bona z samą królową Węgierską Izabellą, żadnej innej pani nie wziąwszy z sobą, chociaż ją wyprowadzały pani wojewodzina Wileńska, księżna Zasławska, wdowa Chlebowiczowa i inne.

W sam dzień wyjazdu królowej, Rafał Wargawski pisarz skarbowy pisał do króla: “Oznajmuję W. K. M., iż dnia dzisiejszego Królowa J. M. o godzinie ósmej na półzegarzu, mszy śpiewanej wysłuchawszy, raczyła wyjechać. Posyłam W. K. M. spisek co Królowa J. M. Królewnom zostawić raczyła, jako korzenie, wina, i insze rzeczy. Pieniędzy na opatrzenie Królewien nie zostawiła nic. A tak K. W. M. racz nas nauczyć, zkąd mają mieć te panny opatrzenie“...

Do granic królestwa odprowadzać mieli królową Bonę:

---

*) do pojazdu.

Walenty Dembiński kasztelan Sądecki, Jan Boner kasztelan Biecki i wielkorządca Krakowski, i Piotr Boratyński starosta Samborski. Aż na miejsce zaś towarzyszyć mieli królowej: Gulczewski wojewoda Rawski, Stanisław Maciejowski wojewoda Sandomierski, marszałek nadworny koronny, i Franciszek Rusocki kasztelan Lwowski, ochmistrz królowej.

W drodze przywołała królowa Bona do swojej kolebki Boratyńskiego, i pytała go po włosku (a królowa Węgierska tłumaczyła): co ludzie mówią o sklepach zapieczętowanych z listami i skarbami, które przed wyjazdem z Warszawy pokazywała? Odpowiedział Boratyński, że tego nie chwalą, iż klucze z sobą bierze, a w sklepie nikt nie wie co jest. Mówiła potém: „Skarżą na mnie, jakobym ja córkom swoim pannom pobrała com im kiedy była dała; a jam wczoraj księdzu Wargawskiemu okazała, co im zostawuję: kubki, po szacie perłowej i niektóre klejnoty; królowi też kolebkę srebrną, którą miałam z Węgier. — Ja daleko więcej niż król co roku na stroje dla córek wydawałam, a do posagów ich miałam rzeczywiście zamiar przydawać tysiące, gdyby mi nie naprzykrzali się byli król i senat polski.

Z pierwszego noclegu powróciła do Warszawy królowa Izabella Węgierska, o czém zaraz tego samego dnia dał wiedzieć Zygmuntowi Augustowi Jeżowski kasztelan Warszawski, załączając przytém dalsze szczegóły o wyjeździe królowej Bony, która (mówi) jawnie się z tém wyrażała: „ż e i n o g ę b y j e d n ę d a ł a, a d r u g ą b y u c i e k ł a z P o l s k i.“ To też W. K. M. racz wiedzieć, że ostatek poczciwy wszystkiego Jej M. z sobą wywiozła, a i jednej łyżki podłej nie zostawiła; by nie srebro W. K. M., przyszłoby Królewnym J. M. na cynie jadać.

W ciągu drogi doszły do królowej Bony wieści, że na Szlązku zebrało się ze stu pięćdziesięciu konnych, aby ją zatrzymać. Zatrwożona, czekała tydzień cały, dopóki jej nie upewniono o rozjechaniu się tej zgrai.

W Wiedniu przyjmował ją wspaniale król Ferdynand. Ztamtąd udała się królowa Bona do Padwy, gdzie czekało na nię również okazałe przyjęcie. Wjechała do miasta przez urządzoną przepysznie bramę tryumfalną, z orszakiem własnym z ośmnastu panien włoskich i polskich, oraz przybyłych na jej spotkanie pań i kawalerów z Wenecyi i Neapolu, w kosztownych, perłami i klejnotami ozdobnych strojach. Podobała się królowa Polska z postawy, z układu i uprzejmej grzeczności. Doskonale

władając językami włoskim i łacińskim, jednym i drugim mówiła z takim doborem słów, że ją podziwiali nawet uczeni.

Z Padwy udała się Królowa do Wenecyi, zkąd odesłała swój dwór i służbę, ze szlachcianek polskich złożoną, do Polski. Sama zaś dnia 12 maja przybyła do księstwa Barskiego.

---

150. PRZYGODA TĘCZYŃSKIEGO.

(Ustęp z poematu „Okolice Krakowa“ p. Fr. Wężyka, na obraz Tęczyńskiego).

Cóż to jest za młodzieniec powabnej urody,
Któremu tęskność blade pokrywa jagody?
Na to z ciężkiém westchnieniem rzecze głos nieznany:
Zacóż krwawe w mém sercu chcesz odnawiać rany?
Jak pod gradem upada kłos ledwo poczęty,
Jak liść ostrzem zabójczém przed czasem ucięty,
Tak zginął ten młodzieniec, mnogich łez przyczyna,
A z nim dawna Tęczyńskich wygasła rodzina.

Już był doszedł tej pory, w której młódź zuchwała
Nienasyconą żądzą do myślistwa pała;
Już tej chuci zgubliwej niepozbędna siła
W piersiach jego młodzieńczych w pożar się zmieniła —
Na głos trąby przed świtem rzucał próg domowy,
Zaledwie z ciemną nocą kończyły się łowy.
Gdy jesień hojnych łupów przyniosła nadzieję,
Bezustannym psów dźwiękiem wszystkie brzmiały knieje.
Na łowy, które szybka rozgłaszała sława,
Z odległych krain młodzież zbiegała się żwawa:
Tęczyński był jej wodzem — a czy zwierza ślady
Tropić przyszło, czy sypać ołowiane grady,
Czy ścigać w rączym biegu posuwiste łanie,
Nikt go nie śmiał uprzedzić, nikt iść w porównanie,

Raz więc dali znać panu myśliwcy struchleli,
Że niezmiernej wielkości odyńca ujrzeli,
Który mordy licznemi srodze rozbestwiony,
Krwią i trwogą napełniał okoliczne strony.

Zawrzał na to młodzieniec złej chęci pożogą:
Wypada — zbledli słudzy powściągnąć nie mogą.
Rzucają mocne sieci — do walk wprawne sfory
Zapuszczono w las gęsty — i zadrżały bory!

Poczuł dzik srogi zamach. Zrywa się z łożyska,
Leci — gniew nim pomiata, ogień z nozdrza pryska.
Już go zmyślnych ogarów zwietrzyła gromada,
Już sfor pierwszych dziesiątek pod kłem jego pada:
Wtém z Cerbera plemienia spuszczono brytany —
Stanął — z krwią pomieszane zalały go piany...

Przypada mężny młodzian i silnie uderza:
Utkwił strzał w ślizkim grzbiecie ogromnego zwierza —
Ryknął — z rany głębokiej czarna krew wytryska:
Wnet się oślep na łowca wściekły z bólu ciska.
Nie odbiegło go męztwo — dobywa oręża,
I przeciw paszczy dzika ostry miecz natęża —
Już się nań cała zwierza zaciętość wywarła,
Już miał oręż utopić w samej głębi garła...
Wtém zwodzi śmiałą rękę cios za nadto skory —
Pada... a jęk ostatni powtórzyły bory.

---

151. JAN ZAMOYSKI *)

(według spółczesnego opisu)

(*z Pamiętników pol. Niemcewicza*).

Pan Kanclerz jest-to mąż roztropny, rozważny i światły. Mówi z wielką uwagą, i znać, że się zastanawia nad tém, co mówi, a przeto z wolna odpowiada; lecz można widzieć w nim poruszenie, gdy wpadnie w rzecz mniej dla siebie przyjemną. Zwykle z cudzoziemcami rozmawia po łacinie, lubo z łatwością tłumaczy się pięciu czy sześciu językami. Bardzo lubi naród włoski, i zwykł mawiać, że go Padwa człowiekiem zrobiła, dlatego że się uczył w Padwie i był tamecznej akademii rektorem. Dość chętnie słyszy swe pochwały, lecz je przyjmuje

*) Kanclerz i hetman wielki koronny.

z skromnością — słowem, zawsze postępuje sobie z powagą prawdziwie senatorską. Wrost jego jest wyższy nad mierny, postać piękna i rzezka; twarz okrągła, rumiana, wesoła, przytém bardzo poważna; i lubo powiada, że nie ma więcej jak lat pięćdziesiąt, jednakowoż włosy i broda, którą goli, zupełnie są siwe. Ubiera się z ruska; płaszcz jego czyli ferezya z szkarłatu, długa po kostki; żupan z damaszku karmazynowego. Ten ubiór odmienia tylko co do materyi, podług pory roku, lecz zawsze jeden zachowuje. Bóty nosi podkute po polsku; zawsze szablę ma przy boku, a kandziar (nóż turecki) za pasem.

Powaga i nadzwyczajna władza Kanclerza ztąd pochodzi, że oprócz dostojności kanclerskiej sprawuje razem urząd hetmana i najwyższego wojsk wodza. Połączył te dwa urzędy w jednej osobie król Stefan Batory, znając doskonale wysokie przymioty Zamojskiego, i zaślubił go z synowicą swoją. Lecz zapewniają, że po zgonie jego te dostojności rozłączone zostaną, ze względu na ważność i niebezpieczeństwo z połączenia w jednych rękach władz tak wysokich. Tylko ma jednego syna, i ten będzie bardzo majętny. Mówią, że Kanclerz w samej gotowiźnie rachuje do miliona czerwonych złotych. Żyje okazale, nie tylko po pańsku, lecz prawie po królewsku. Utrzymuje dwoistą gwardyą nadworną. Ma kapelę złożoną z dobranych muzykantów i śpiewaków; ta zawsze grywa przy stole. Na dworze swoim utrzymuje wiele szlachty.

---

152. ZARĘCZYNY JANA ZAMOYSKIEGO Z GRYZELDĄ BATORÓWNĄ.

(*Opowiadanie, z dzieła „Zamek Krakowski“ p. H. Rzewuskiego*).

Była wielka uczta na zamku krakowskim, na której się znajdowało mnóstwo panów i szlachty. Albowiem w dniu tym odbywały się zaręczyny Jana Zamoyskiego, kanclerza koronnego, z księżniczką Gryzeldą*).

Przed samą ucztą książę biskup Krakowski w uroczystym stroju błogosławił zamianę pierścionków, i przyjął obietnice Państwa młodych.

---

*) synowicą króla Stefana.

Król, kiedy Kanclerz upadł mu do nóg, powiedział znajdującym się na tej uroczystości:

„Odmówiliśmy naszą synowicę książętom udzielnym, starającym się o jej rękę. Bo chcieliśmy was przekonać, że ani pragniemy, ani potrzebujemy innej dla nas podpory, tylko takiej, którą w ojczyźnie naszej znaleźć możemy. Powierzamy ją śmiało temu, któremuśmy powierzyli pieczęć koronną, a którego zasługi i prawość są tak wielkie, że tylko połączenie się jego z krwią naszą mogły być dostatecznie nagrodzone.“

Uważano, że Księżniczka była blada i widocznie pomięszana, co przypisywano skromności przyrodzonej w szlachetnej dziewicy, zmuszonej poniekąd wystąpić na publiczne widowisko, i to w przytomności zebrania, jakie było najświetniejsze w narodzie, a nakoniec obawie, jaką wzniecić może bliska odmiana stanu.

A bladość jej lica okryła się gorącą barwą wstydu, kiedy Humiecki, już wojewoda Podolski, i Sebastyan Rzewuski, podkomorzy Bełzki, sędziwy jak i tamten starzec, oba po odbytych zaręczynach uklękli przed nią, by podziękowali, pierwszy w imieniu szlachty całej Polski, za zaszczyt jej przyniesiony tém, że krew królów raczyła połączyć dożywotnie z jej bratem; a drugi w imieniu województwa Bełzkiego, że odtąd ją będzie liczyć między swojemi obywatelkami.

Król drżącą jak listek Gryzeldę w pierwszej parze prowadził do stołu, a królowa Anna Jagiellonka podała rękę Zamoyskiemu.

Więcej dwóchset osób siedziało za stołem królewskim.

Na twarzach kilku panów można było uważać znaki, iż starali się wykłamać na nich pozór życzliwości dla pana Zamoyskiego. Ale między magnatami nawet znajdowali się tacy, którzy to jego wywyższenie uważali za pożyteczne dla kraju. A co się tyczy szlachty, ona nie posiadała się z radości, rokując dla siebie z tego, na co patrzała, najpowabniejsze nadzieje. Bo chociaż bez jakichś niezaprzeczonych zasług nikt w owych czasach nie dostępował krzeseł i dostojeństw, a jeszcze tak ważnego jak kanclerstwo koronne; wszelako i to pewna, że największe zasługi osobiste w szlachectwie świeckiém nie były zdolne doprowadzić do tych wysokich godności, jeżeli ich nie popierały krew świetna, nazwisko powtarzane w dziejach narodu i pokrewień-

stwo z temi kilku domami, które nawykły patrzeć na te dostojeństwa jak na swoją własność.

Szlachta umiała ocenić wyższość Zamoyskiego, bo w tej wyższości widziała urzeczywistniony swój ideał. A ta popularność, którą posiadał w narodzie, spływała na króla umiejącego ją ocenić, gdyż odważył się go podnosić nad równość szlachecką, żeby tém gruntowniej ją zabezpieczyć.

Przy obiedzie rzęsiste kielichy spełniały się za zdrowie Państwa młodych, i sam Król uczestnictwo brał w tej rubasznej zabawie szlacheckiej. Wesołość była wielka i głośna; a poufałość Króla z poddanymi, nie tylko ziomków, ale nawet znajdujących się tu posłów dworów zagranicznych rozrzewniała.

Uczta przedłużyła się aż do zachodu słońca, którego blaski zastąpione zostały przez tłumy jarzących świateł.

Całe zgromadzenie powstało nakoniec, by za przewodem Króla pójść do sali zamkowej, gdzie mnóstwo szlachty, po większej części z żonami i córkami, już się zebrało, zaproszone na tańce, które zakończyć miały uroczystość, a do których rozpoczęcia dał hasło Król, otwierając bal tańcem z Panną młodą.

. . . Zabawy trwały do późna. Uważano, że Król był nadzwyczajnie wesoły, że z wielu gośćmi poufale rozmawiał. Uważano i to, że Księżniczka, która w czasie uczty była ciągle zamyśloną, na zabawie wieczornej stopniami się wypogadzała.

---

153. ŻYWOT JANA KOCHANOWSKIEGO.

(wyśpiewany w pieśni: „Do gór i lasów“).

Wysokie góry i odziane lasy!
Jako rad na was patrzę, a swe czasy
Młodsze wspominam, które tu zostały,
Kiedy na statek mało człek był dbały!

Gdziem potém nie był? czegom nie kosztował?
Jażem przez morze Auzońskie*) żeglował,
Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,
Jażem nawiedził Sybilline lochy**).

---

*) t. j. włoskie.
**) pieczary w pobliżu Neapolu.

Dziś żak spokojny — jutro przypasany
Do miecza rycerz — dziś między dworzany
W pańskim pałacu — jutro zasię cichy
Ksiądz w kapitule, tylko że nie z mnichy.

Taki był Proteus*), mieniąc się to w smoka,
To w deszcz, to w ogień, to w barwę obłoka.
Dalej co będzie? srebrne w głowie nici:
A ja z tym trzymam, kto co wczas uchwyci.

---

154. KAROL CHODKIEWICZ**).

(*z mowy pogrzeb. X. Fab. Birkowskiego*).

Co to był za Hetman, niechaj o tém świadczą wojny jego Inflantskie — wiele zamków ledwie zoczył, zaraz brał małą garstką ludzi, a wielką mądrością hetmańską często bronił. Przed oczyma jego nie tylko ziemia ale i morze drżało, gdy na niém okręty Szwedzkie palił. Pogrom, którym gromiony był od niego Karol książę Sudermański, więcej zarobił u obcych ludzi na dziwy, niż na wiarę: wspominają po dziś dzień niesłychane jego szczęście i męztwo.

Pójdźmy do obozów naszych pod Chocim — tam wojnę obaczymy nową, niesłychaną, jakiej przodkowie nasi nie widywali, jakiej kroniki polskie nie słychały. Tam obaczymy butnego Osmana, a on konie swe nad Eufratem i Nilem rzekami wychowane poi w Dniestrowej wodzie. Tam obaczymy Dziambergeja chana Tatarskiego, a ten wszystkie swoje Tatary wygnał z Krymu, i stanął nad Chocimem, i gotów na każdą godzinę w obozy polskie wpadać na rozkazanie sułtana Tureckiego. Tam obaczymy Kantymira z pięciu tysięcy żołnierza, a on się lasami pod obóz nasz przekrada, aby go jako ubiegł, i tuż pod bramę Lubomirską przypada, i fortele swoje traci. Zdziwiły się rzeki nasze, Dniestr, Prut, i od tych niedaleki Dunaj, gdy tak wielka moc koni, bawołów, mułów, wielbłądów, przyszła na ich brzegi. Góry Chocimskie zdumiały się bardzo, gdy po grzbietach

---

*) bożek u pogan starożytnych.

**) Hetman wielki koronny, zmarły r. 1621 przy oblężeniu Chocimia.

ich tak wiele gości nigdy przedtém niewidanych deptać poczęło. Zadrżały pod tak wielą dział burzących, które kule ogromne z siebie wyrzucały. A te potworne słonie co tu miały czynić nad Dniestrem? Sułtanowi kwoli przyszły, aby pompie jego dogodę czyniły, bębny jego i namioty nosiły, nasze też konie widokiem swym straszyły. Niegdy Antyoch król grecki krwią morwy jagody zajuszał słonie swoje przeciwko Żydom: a Osman krwią kozacką i siebie i słonie swoje przeciwko Polakom zaprawiał.

A to co za śnieg nowy w te gorące dni przykrył góry Chocimskie? Z podjazdu moich halierów widzę namioty tureckie nad śnieg bielsze, które na trojgu gór stanęły, rozbite tak prędko, jakoby nie namiotami ale śniegiem były — tak prędko góry przykryły. Ci obozy zataczają, a drudzy z wielkiemi hufcami następują. Gęste chorągwie widzę, na pozór straszne; śmiało się biorą pod szańce — potrzeba*) pewna. Co na ten czas Chodkiewicz nasz? czy przeląkł się tak wielkiej ćmy, która z Azyi, z Afryki i z Europy po części wypadała? Bynajmniej: ale uszykowawszy wojsko swoje, według zwyczaju hetmanów dawnych przemowę do rycerstwa uczynił.

Podobnym był lwu w dziełach swoich. Czy nie lwie serce było w Hetmanie naszym? Byłże który nieprzyjaciel tak srogi Koronie i W. Ks. Litewskiemu, któryby miał strach uczynić w oczach lwa tego? — „O Judzie Machabejskim napisano: „I gonił niezbożnych, szukając ich: i którzy mieszali ludem jego, tych płomieniami spalił: i odpędzeni są nieprzyjaciele jego dla strachu, który od niego był: i wszyscy robotnicy nieprawości potrwożeni są, i wykierowane jest zdrowie w ręku jego. I gromił wiele królów, i cieszył Jakóbowe plemię w dziełach swoich, i na wieki pamięć jego w błogosławieństwie.“ Dajmy te wszystkie słowa Hetmanowi naszemu, bo mu bardzo dobrze służą.

---

*) t. j. bitwa.

155. OPIS BITWY Z TATARAMI.

(p. Ant. Malczewskiego).

Cóż-to widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu;
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione rozchodzą się chmury.

Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianej dziedzinie;
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.

„Baczność! do broni wiara! — chorągiew rozwinąć —
Tatarzy wieś rabują — zwyciężyć lub zginąć!“ —
— Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem;
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i zemsta i chwała.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar — stepy w około — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.

Pędem burzy lecieli — lecz gdy przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali wsławionem prawidłem,
Skrzydło Tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem.
„Alla hu!“ wrzasły hordy — i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty.

„Hura!“ krzyknęła wiara — i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą — już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,

Z lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem —
Szczęk i krzyk, łoskot, wrzawa — powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.

---

156. WYSWOBODZENIE SIĘ STEFANA CZARNIECKIEGO Z NIEWOLI TATARSKIEJ.

(p. Kajetana Koźmiana, w wyjątku).

Islam Gierej, chcąc wsławić córki zaślubiny,
Hordy na Oczakowskie powołał równiny;
Obwieścił w koczowiskach, koszach i obozach,
Zapasy i gonitwy konno i na wozach.

Wyszedł przed namiot Gierej i spojrzał na tłumy;
A w uczuciu potęgi i zapale dumy
Rzekł: „Niech tu jeńców wszystkich przywiodą narodów,
Niech ujrzę mą potęgę i wspaniałość godów.“

W liczbie więźniów strzeżonych przez dzikie Tatary,
Stały smutne Korsunia, Żółtych wód ofiary:
Na czele bez buławy stał hetman sędziwy,
Potocki, równie ojciec jak wódz nieszczęśliwy;
Kalinowski, na ciosy zachowany krwawe,
(Bogdajby był nie sięgnął nigdy po buławę!)
Stał Stemberg i Sapieha, dwa zaszczyty Litwy;
Sieniawski, co go wprawiał Chodkiewicz do bitwy;
Kazanowski, zapaśnik dzikich hord od młodu,
I Sobieski, groźnego Bisurmanów rodu.
W tym tak świetnym orszaku Czarniecki za niemi:
Piersi jego żal wzdyma, wzrok wryty ku ziemi;
Nie tyle mu dolega niewola i rana,
Ile klęski ojczyzny i ta duma chana.

Był murza przy Giereju, Achmeta miał imię,
Postać jego olbrzymia i siły olbrzymie —
Wzrok pełen groźby czarna brew zachmurza włosem.
Ten, gdy trąby zagrzmiały, strasznym krzyknął głosem:
„Kto jest co śmierci szuka, niech się ze mną zmierzy!“
I kręcąc ostrą włócznią wyzywa rycerzy.

Z uśmiechem rzekł szyderczym: „Może który z Lachów
Zechce teraz doświadczyć mej broni zamachów?

— „Wroć broń i wolność“ krzyknął Czarniecki w zapale,
A może jednym ciosem z konia cię powalę.“
Zaledwie to wyzwanie powtórzyły straże,
Gierej śmiałego jeńca przed siebie wieśdź każe,
Mówiąc: „Nazbyt ci ciążą tatarskie okowy,
Kiedy pod cios niechybny chcesz nadstawić głowy.“

— „Hanie, rzekł Stefan, konia niech twego dosiędę,
Lecz tylko własną bronią w szrankach walczyć będę.“
Więc zaraz niewolnicy przed chana oblicze
Znoszą ze świeżych bitew orężne zdobycze.
Poznał swój pałasz Stefan i z radością chwyta:
Rękojeść jego z pereł jaszczurem pokryta;
Na ostrzu ryte w złocie Przenajświętszej imię,
Sam ojciec chrześcijaństwa poświęcał go w Rzymie.

Chwyciwszy go Czarniecki, zaraz ostrzem błysnął,
A widząc święte godła, do ust je przycisnął,
I rzekł: „Królowo niebios! błogosław żelazu!
„Daj zwyciężyć pohańca, lub zginąć od razu!“
A wtém proporzec polski u Tatara zoczył:
Wyrwał go, i tak szybko z nim na konia wskoczył,
I tak go silnie ujął pomiędzy golenie,
Że koń stanął jak wryty, bo utracił tchnienie.

Więc obaj zapaśnicy spotkania nie zwłoczą —
Mierzą się groźnym wzrokiem, końmi na się toczą —

Wtém Achmet spuścił włócznię: lecz nim cios wymierzył,
Już go Stefan proporcem nad żebra uderzył —
Chwieje się Achmet . . . spada jak kłoda powałem —
Czarniecki już nań miecza dobywa z zapałem;
Zawyła dzicz z przestrachu — Gierej woła z tronu...
„Wstrzymaj cios! zwalczonemu nie zadawaj zgonu —
Twoje jest to bogate na koniu ubranie,
Oręż twój — a mój rumak przy mnie pozostanie.
W pierwszym poznałem czary, drugiego zbyt ważę
Za oręż sto kies złota wypłacić ci każę;

Za konia stu Tatarów wybierz z moich szyków,
I jedź powiększyć liczbę waszych wojowników."
— „Hanie! rzekł Stefan, Polska złota ma do woli;
Nie oręż nam je daje, ale żyzność roli;
Na stopach naszych dzielne rumaki się rodzą,
A dzieci od kołyski już w pancerzach chodzą.
Przecież ojczyznę naszą srogie losy dręczą,
A młodzież jej i wodze w twoich więzach jęczą:
Zatrzymaj twoje dary, a wróć im swobodę;
Ja więzy, którem nosił, przyjmę za nagrodę."

— Gierej na to; „Wiem, w jakiej Polska jest potrzebie;
Wszystkiego więc chcesz dla niej, niczego dla siebie?
Jeszcze za ziomków więzy chcesz dźwigać z ochotą?
Znałem dotąd waleczność, tyś mię poznał z cnotą.
Wspaniałość wspaniałością wzajemną nagrodzę:
Wolni są wszyscy więźnie — wolni wszyscy wodze.
Jedź szczęśliwy! ta cnota niech w tobie nie stygnie:
Ty jeden dźwigniesz Polskę, lub jej nikt nie dźwignie."

157. X. SKARGA (PAWĘSKI).

(*z mowy pogrzebowej Fabiana Birkowskiego*).

Jako przed cesarzami niegdy pochodnie zapalone noszono, tak przed królem naszym nosił pochodnię słowa Bożego zapaloną X. Skarga*), lat dwadzieścia i cztery i kilka miesięcy. Mógł go nazwać król pochodnią z Dawidem królem. Ośmnaście sejmów walnych oświecał kazaniami swemi, które bogatej wymowy i gorącego dobra pospolitego pragnienia pełne bywały. Prawom niezbożnym, jako chorągwiom rozbójniczym szedł na czoło, ukazując, iż to nie prawa są ale rozboje, gdy przeciwko P. Bogu i rozumowi przyrodzonemu są uszykowane. — Nie rychło takiego kaznodzieję Polska nasza obaczy, który serca ludzkie trzymał w ręku swych, a obracał niemi kędy chciał, przez dziwną, a jemu tylko daną wymowę.

Gdy baczył koronę polską rożnowiercami napełnioną, ognistém kazaniem swém wypalał z nich kacerstwa — których po-

*) sławny kaznodzieja polski, za Zygmunta III.

tém do kościoła katolickiego prowadził, a między którymi było wielu wojewodów, kasztelanów, samych ministrów kilku, białychgłów znacznych rodzin wiele, szlachty innej nad zamiar.

Ile mu czasu zbywało od kazań i uczynków miłosiernych, gotowania się na kazanie, i z ludźmi około zbawienia ich rozmowy, obracał go na pisanie ksiąg łacińskich i polskich, aby tym, którzy go słuchać nie mogli, kazał w księgach, aby po śmierci kazania jego nie umierały, aby jak nowy Elizeusz umarły prorokował, jako Eliasz nie oliwę i mąkę rozmnażał, ale chwałę Pańską, wiarę świętą, obyczaje bogobojne.

Tak był wysoko położony przez łaskę możnych, sławę wymowy, ozdobę pióra swego; jednak niziuchno o sobie rozumiał; odmiany nie uczyniły w obyczajach zaszczyty — a kogoż one nie odmieniają? Takim był X. Skarga gdy kaznodzieją królewskim był, jaki gdy między Ojcy w zgromadzeniu mieszkał. Nie było tego człowieka, któregoby okiem miał przenieść; woźnicom, kucharzom dworskim, gdy się radzili o rzeczach do zbawienia wiecznego należytych, ucho łaskawe i poradę dawał.

Godzieneś był dłuższego wieku, Nestorze nasz polski! dla dziwnej i przyrodzonej tobie samemu wymowy. Pragnąłeś nieba i roskoszy niebieskich, podeptałeś ziemię i ziemskie dobre mienia.

Zgasła świeca słowa Bożego wpół kościoła zapalona. Umarł nie tylko słowy ale żywotem doskonały kaznodzieja. Odszedł od nas kapłan prześwietny, który czasów swoich podstawił mocne ramiona swoje pod te filary wielkiego kościoła Pańskiego. Zgasł przed oczyma naszemi wizerunek kaznodziejski, z którego wzór radzi brali ci, których Bóg na mownicę powoływał.

---

158. PSALM DAWIDA

w zaprowadzeniu Babilońskiém

(*tłum. Fr. Karpińskiego*).

Boże! tyleśmy się nasłuchali,
Co starzy ojce nam powiadali,
Jak w dniach ich wielkie czyniłeś dziwy,
W dniach ojców naszych, Boże prawdziwy!

* * *

Poganie ręką twoją zniszczeni,

A na ich miejscu my postawieni:
Tyś nas i cieszył i krzepił w trudzie,
Boś się w twym wiernym ukochał ludzie.

* * *

Zgrzeszylim tobie... Tyś twarz odwrócił,
I nieprzyjaciół na nas ocucił:
A lud twój, Panie, na różne strony,
Między narody lud rozproszony!..

* * *

Spójrz na łzy nasze! — czemuż, o! czemu
Bronisz przystępu ludowi twemu?
Może już dosyć upokorzenia —
Zbaw nas dla chwały twego imienia!

---

159. POWRÓT Z WYPRAWY POD WIEDEŃ.

(*z podania, p. W. Pola*).

Wkrótce po potrzebie Wiedeńskiej*) przybył król Jan z całą rodziną pod Lwów do Jaworowa, gdzie często zwykł był przesiadywać, bawiąc na Rusi. Po drodze w pochodzie swoim zajeżdżał król na zamki panów i odwiedzał dwory szlacheckie; a gdzie kościół lub klasztor napotkał, słuchał mszy świętej mówiąc: „Nie schodźcie Panu, dawcy zwycięztw, z drogi“ i czynił wota a ofiary na podziękowanie za zwycięztwo Matki Boskiej, którą za osobliwszą patronkę w pacholęcym jeszcze wieku był sobie obrał, i do której jako sodalis Marianus (t. j. należący do bractwa imienia N. Maryi) osobne odprawiał nabożeństwo. Z każdą chwilą zmniejszał się wojenny orszak króla w tej podróży, bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych, i jaki taki chciał się przed swoimi pochwalić, jako żyw, a dobrze kościołowi i ojczyźnie zasłużon powarca. Natomiast przybywała szlachta okoliczna, w czasie potrzeby w domach pozostała, powiększając codziennie orszak królewski. Błogo jak błogosławieństwo ojcowskie rozlewała się wieść zwycięztwa po kraju. Cała Polska spieszyła na powitanie zbawcy chrześcijaństwa — głośny był-to pochód i rzewne przyjęcie. Z chlebem i solą wi-

*) r. 1683.

tały gromady po gościnach pana, z kościelnemi chorągwiami i z święconą wodą wychodzili księża, bito też po kościołach w dzwony, a z wałów po zamkach z moździerzy na cześć królowi, którego berłem była po staremu buława hetmańska. Tak przybył król do Jaworowa, gdzie jeszcze dnia tego samego była gala u dworu. Pod wieczór po obiedzie przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem. Wójt Jaworowski miał oracyą do króla i ofiarował królowi pług i sześć siwych wołów, które na dziedzińcu stały. Kończąc mowę rzekł: „A żeście, Miłościwy Panie, pono potracili na wojnie, otóż bez urazy Waszej, daje tu Wam przeze mnie gromada w poczciwości statek kmiecy na zapomogę; bo za statkiem, Miłościwy Panie, idzie i dostatek." Król przyjął chleb i woły, a królowa kołacz i wieniec z laskowych orzechów — a potém rozpoczęto tany.

160. KRÓLEWSKIE DĘBY.

(*p. Winc. Pola*).

Krolewskie dęby! wy pomniki żywe
Ubiegłych czasów, dęby miłościwe!
Witam was, witam! czołem pochylonèm,
A sercem w górę ku wam podniesionèm,
Wonią łąk leśnych i cichém zaraniem,
I wszystkich czasów najszczerszém kochaniem!

Ileż to wieków na to się składało,
By was postawić w tych kształtach tak calo!
W jakie to myśli zuchwale świat wzrastał,
Gdy wam szło w górę — kiedy wiek wasz nastał!

Kogo głos dziejów z grobu nie dochodzi,
Niechaj się strzeże tych kształtów powodzi,
Tych żywych świadków potęgi niezmarłéj;
Bo takie drzewa — to postrach na karły!
I kiedy Pan Bóg tak dozwolił drzewu
Wyróść w ojczyźnie z dobrego posiewu,
I strzelić górą w niemego olbrzyma,
Choć się bez ducha z burzami szamoce;
Jakoż miał uróść ten, co go Pan trzyma,
Co z walki bierze i łaski i moce?..

IV.

---

161. SZWAJCARJA POLSKA.

pisanie Pieskowej Skały)

(*p. Mich. Balińskiego*).

. . . Zatrzymaliśmy się dla chwilowego spoczynku pod cieniem odwiecznej lipy we wsi zwanej Przeginia. Ztąd już niedaleko zaczynały się owe czarowne okolice strumienia Prądnik zwanego, do których dążyliśmy, i które słusznie mogą być nazwane Szwajcaryą Polską, jak skały Turyngii Szwajcaryą Saską. Jechaliśmy od jałowych i dzikich piasków Olkusza, kryjących zazdrośnie w głębi stepu swego srebro i inne kruszce; od zwalisk Rabsztynu, co to jeszcze z dzielnością opierają się coraz silniejszym działaniom powietrza i czasu. Ale tam wszędzie oko zmęczone i zasępione jednostajnym widokiem pustyni, tu miało spocząć na wspaniałym obrazie jaśniejącej wszystkiemi wdziękami natury! Drżeliśmy z niecierpliwości, bo cel naszych trudów podróżnych, nagroda tylu dni najnudniej w śród piasków i po karczmach przebytych — Pieskowa Skała, owa głośna Pieskowa Skała, była tuż, może nawet o pół mili. Przeginia jest już wsią należącą do tego zamku. Ale gdzież są skały, owe pożądane skały? pytali jedni drugich towarzysze wędrówki. Rozłożyste konary drzew ocieniających drogę wśród wsi, zasłaniały nam widok całej prawie okolicy. Lecz jakież było nas wszystkich zadziwienie, kiedy niespodzianie przed wzrokiem naszym rozwinął się w dali między czarnemi massami lasów, szereg wysokich i siwych murów, niby jakiegoś starożytnego miasta. Spółwędrownicy moi, wszyscy mieszkańcy polistych równin Lechii, lub napływowych gór Litwy, spoglądali po sobie z podziwieniem, nie mogąc przypomnieć, jakiby to gród dawny mógł leżeć w tej stronie. Przeszło jednak złudzenie za bliższém rozpatrzeniem się, i wkrótce radośny okrzyk wszystkich wędrowników powitał skały nie znane od nich, a ode mnie dawno już widziane, i to na obcej ziemi między obcego narodu ludźmi. Spiesznie opuściliśmy Przeginią, i w kwandrans może byliśmy już w śród najpiękniejszych młodych buków, które same prawie jedne, ze swo-

ją jasną korą i żywą a połyskującą zielonością swych liści, tworzyły obszerny i dziwnie wesoły las, dotąd od toporu nietknięty. Dobre pół godziny wystarczyło na przebycie go pieszo, ale niewiedzieć ile czasu potrzeba byłoby, żeby się dosyć nasycić pięknościami tak roskosznego gaju. Mały wąwoz w śród gąszczu kończył drogę wynurzającą się z lasu, która coraz to głębiej w dół się spuszczała. Nagle i ściana skalista, pod którą szemrzał strumień, i owa maczuga Herkulesa, słowem wszystkie dziwnej postaci głazy, stanęły razem przed zdumionemi oczyma. A nawet nieco opodal za niemi w lewo, sędziwy ów zamek *Pieskowa Skała,* wznosił niekształtne swe mury i wieże, na stromej wspierając się skale. Las bukowy, z któregośmy dopiero co wyszli, wieńczył w półkole z drugiej strony całą tę wązką dolinę. Pierwszy widok tego miejsca był zachwycający; a wpatrywanie się w szczegóły cudnego krajobrazu, jaki był przed nami, coraz większe odsłaniało piękności. Prądnik, ów jasny i żywy strumień, który i nazwisko swe wziął od prędkości swego biegu, płynie po zielonych łąkach od wsi Sułoszowy, dalej jeszcze za zamkiem położonej, gdzie się już kończą i skały i nadzwyczajne widoki. Poza mostkiem na Prądniku, droga lewym brzegiem jego wijąca się prowadziła nas długiém kołem w śród całej doliny na drugą stronę zamku, którego prześlicznemu położeniu nadziwować się nie można. Stała tuż przy drodze nad głowami podróżnych skała u spodu wązka, zaledwo kilka łokci obwodu mająca, ale na 60 stóp wysoka i buławą cztery kroć grubszą u wierzchu zakończona. Lud nazywa ten osobliwszy głaz *Skałą Sokolą.* Piękny Prądnik, ocieniony sadzonemi koło drogi po dwa jedno po drugiém drzewami, tworząc stawy, porusza młyny i obmywa opokę na której wznosi się zamek. Obok owej Skały Sokolej, wychodzi z boku stromej góry inny daleko mniejszy, ale niemniej spadzisty głaz, na którym myśl pobożna przedostatniej dziedziczki hrabiny Wielopolskiej zostawiła piękną chrześcijańską pamiątkę. Stoi tam krzyż z ciosu ze stosownym napisem, jakby świadek wśród tej dzikiej i samotnej doliny, dawnej wiary ich mieszkańców. Za tym głazem wązka i skalista ścieżka wspina się coraz śmielej na wierzchołek opoki, którą zamek w większej części zalega. Udałem się na nią, i ogarnąwszy wzrokiem ztamtąd nowe piękności otaczającej mię okolicy, stanąłem prędko przed pierwszą bramą tego warownego przed laty a dotąd ożywionego jeszcze gmachu. Cześć

imieniu Wielopolskich, dotychczasowych właścicieli tego miejsca, że dotąd pomimo niestosownej już do czasów i potrzeb obecnych rozległości, starożytny zamek Pieskowej Skały wytrzymuje natarczywość tylu wieków *), i wygodne swe komnaty otwiera gościnnie znużonym wędrownikom. Doznałem tego przyjemnego uczucia, wychodząc zaraz z pierwszej bramy na obszerny dziedziniec, otoczony późniejszemi już budowami, w głębi którego dopiero na urwiskach opok ukazywał się górujący nad to co go otaczało ponury i samotny zamek. Na samym wstępie spotkano mię z tém, że wszystko i zawsze z rozkazu pana stoi otworem dla przybywających, w celu podziwiania i nasycania się widokiem tak pięknej okolicy. I niedługo potém całe nasze towarzystwo rozkładało swoje tłomoki w kilku wielkich pokojach na drugiém piętrze, i z niecierpliwością rzucało się do okien, oglądać z takiej wysokości i widziany wprzód z głębi doliny podziwiać krajobraz. I w rzeczy samej nic wspanialszego być nie mogło, jak ujrzeć z pod szczytu prawie tego starożytnego gmachu, roztoczoną u stóp jego po nad strumieniem Prądnika, i najżywszą zielonością umajoną łąkę, którą obrzeżał z jednej strony wieniec bukowego lasu, a z drugiej zamykał rząd fantastycznych głazów. W głębi samej tuż pod murami zamku drobniały przedmioty dla oka z takiej wysokości, a patrzący cofał się nieraz mimowolnie na widok przepaści. Ale z innego znowu okna inny obraz zupełnie różne czynił wrażenie. Spojrzawszy od dziedzińca przed dawnym zamkiem w półkole szeroko budowlami obwiedzionego, widać było wielkie stajnie, do których przez drogę pod mostem prowadzącą wchodzono; nad niemi wznosiły się obszerne wozownie i składy, dalej mieszkania służby zamkowej i łowieckiej, aż do bramy, na której zieleniał się ogród dosyć wysokiemi drzewami porosły. Dalej w okrąg zamykały obwód dziedzińca jednopiętrowe oficyny, niegdyś zapewne dla licznych gości, dziś dla rządcy dóbr i wójta gminy przeznaczone. Inny wązki ogródek w wydrążeniu dawnej fossy, i most o którym mówiliśmy, kiedyś oczywiście zwodzony, oddzielał prawdziwy zamek od nowszych zabudowań. Przestronna i głęboko sklepiona brama

---

*) Opisujący oglądał ten zamek jeszcze przed ostatnią pogorzelą, która dawną jego budowę i wszystkie w nim pamiątki zniszczyła. Dziś inną już przedstawia postać.

wiodła na czworokątny nierównych boków dziedziniec, otoczony od samego dołu przez dwa piętra w górę krużgankami w mnogie arkady wiązanemi. Tu się znajduje owa nadzwyczaj głęboka studnia, wykuta do głębi samej opoki, zkąd długo, długo i cierpliwie trzeba ciągnąć wodę: gdzie rzucony kamień za kilkanaście minut ledwie daje znać, że się dotkął jej powierzchni. Na przeciw tak głębokiej studni, pod jedną z dolnych arkad, są drzwi do kuchni, jakiej już teraz w żadnym, choćby i najzamożniejszym domu niezobaczyć. Kuchnia ta, jak dobra stodoła; woły w niej całe pieczono, a roje strzelców i osoczników zebranych staroświeckim obyczajem około ogniska, przesadzonemi baśniami o swojém myślistwie osładzały kucharzom mozolną ich pracę. „Dawne to już czasy mój panie“ — odezwał się głos chrapliwy stojącej za mną zgrzybiałej już staruszki. „Było tu huczno i suto przed laty, za nieboszczyka pana Hieronima Wielopolskiego. O! pamiętam ja, co się tu działo — ja byłam młoda, a mąż mój służył za masztalerza. Kiedy pan tu na jesień z myślistwem przybywał, zbierało się tu ludzi jak maku, z rana i wieczór trąbki się odzywały, a ogary i charty ledwo na tym wielkim dziedzińcu zmieścić się mogły. A co państwa z różnych stron! jakie stoły później na pokojach! Bo też mówiąc prawdę i nieboszczyk pan był osobliwym człowiekiem. Zobaczycie na górze w pokojach, jak sztucznie wyrabiał stolarskie statki, i jaki piękny po nim pozostał stolik. Znał się on jeszcze i na czarach, latał szybko nie tylko po polach ale i po skałach, bo zawsze nosił z sobą mostek jakiś dróciany, który z jednego głazu na drugi zarzucał. Nie jeden to w owe czasy widział i mnie opowiadał. Ale to wszystko nic jeszcze, — odezwała się po chwili przestanku staruszka, — w porównaniu do tego, kiedy król Poniatowski był tu przyjmowany. O! to już bardzo dawno, ale ja ten dzień dobrze pamiętam, bo tego zapomnieć nie można kto raz widział. Już pan w ówczas nie żył, a pani nie wiem gdzie była. Jacyś inni państwo uproszeni od niej tu przybyli, a z niemi wiele pięknych pań i orderowych panów. Król konno przyjechał, a lud ze wsi i my ze dworu kwiaty mu na drogę rzucaliśmy. Bito z armat, wszyscy gospodarze z Wielmoży i Sułoszowy z żonami i dziećmi poszli wieczorem do tańca na tamtym dziedzińcu, a bramy zamkowe i obie drogi, co ztąd na dół pieszo i powozem prowadzą, jasne były jak słońce od kagańców i lamp rozmaitego koloru. Po tej uroczystości cicho być

u nas zaczęło; mały już potém był dwór, i ja się od niego oddaliłam — młodość przy kłopotach gospodarskich prędzej przeszła, i teraz gniotą mię późne już lata.“ Tu ciężko westchnęła staruszka, a ja powracałem na górę przypatrywać się bliżej wewnętrznym częściom gmachu. W całym zamku liczą sto pokojów, a z tych sześćdziesiąt znajduje się na obu piętrach pod krużgankami, to jest w tej części, która w XVI już wieku do pierwiastkowego zamku przydaną została. Na pierwszém piętrze zaraz od wnijścia jest nader wielka sala, gdzie wielkie stoły w czasie uczt zastawiano. Ściany jej ozdobione staroświeckiemi przodków Wielopolskich wizerunkami, obudzają w każdym przychodniu poważne wspomnienia czasów ubiegłych. Nie wiem, dlaczego nad kominem zawieszony portret Hektora, ulubionego psa Hieronima Wielopolskiego. Właściwsze byłoby dla niego miejsce w pokoju pana, do którego całe życie był przywiązany. Obok tej sali jest pokój bawialny, gdzie są portrety wielu pięknych kobiet, wielu zajmujących postaci mężczyzn z tego samego domu Wielopolskich; ale nazwiska ich i życie były dla nas zagadkami, których rozwiązać odźwierny nie umiał. Z jednym tylko portretem przedostatniej właścicielki tego miejsca poznaliśmy się bliżej. Była to żona Hieronima, koniuszyna koronna, z domu Potocka, starościanka Trembowelska, która w późnym wieku życie pamiętne dla mieszkańców Pieskowej Skały dobroczynnością zakończyła. Dalej idzie obszerny pokój sypialny, adamaszkiem wybity, z dwoma równoległemi gabinetami. Wszędzie sprzęty staroświeckie, porządnie utrzymane, a między niemi osobliwszy klawikord i misternej roboty biórka. Przeszedłszy potém wiele innych jeszcze komnat i korytarzy, wstąpiliśmy do kaplicy poświęconej św. Michałowi. Pięknie zachowana i ozdobna, tak się otwiera na przyległy jej krużganek, że cały dwór dawniejszego właściciela tak liczny mógł wygodnie mszy słuchać. Idąc w głąb gmachu znaleźliśmy się w najdawniejszej części zamku, która sięga jeszcze wieku możnej rodziny Szafrańców, co go pierwsza posiadała. Tu się znajduje nisko sklepiona komnata, gdzie było dawniejsze oratorium; dalej nieco więzienie, skarbiec, słowem wszystkie attrybucye feudalnego zamku i obronnej na dawną taktykę twierdzy. Co większa, pomiędzy tém wszystkiém, w zakącie dosyć ponurego kurytarza, ukazuje się otwór w skale stanowiącej posadę murów, do głębokiej pieczary zwanej *Dorotką.* Tu miano niegdyś wtrącać występnych, którzy na karę głodu

skazani, okropną ale w całej Europie do końca XIV wieku używaną śmierć ponieść musieli. Cóż takiego zawiniła owa Dorota z rodu Toporczyków? którą jej herbowi rycerze aż do śmierci w tej ciemnej jaskini przed światłem słoneczném ukrywali. Stare kroniki piszą, że sławni owi Toporczykowie tak miłowali dobrą sławą rodu swojego, że każdego do herbu swego należącego sami karali. Powiadano nam, że ta pieczara dzieli się na dwie części; do niższej w daleką głębię jest jeszcze węższy otwór, niż ten któryśmy widzieli. Lecz zapomnijmy o tak przerażających pamiątkach, oglądajmy weselsze, chociaż wcale nie dramatyczne. Ominąwszy wiele jeszcze komnat najstarszego zamku, gdzie opoka służy nieraz za ścianę, a na niej porosłe drzewa zwieszonemi konarami zakrywają przepaścisty wąwóz pod oknami: zwiedziliśmy jeszcze pokoje zwane chińskiemi, pracownią Hieronima Wielopolskiego, w której owe misterne sprzęty z drzewa wyrabiał. Tu zawieszone są portrety jego i Łowczego, który przy nim całe życie cudów myślistwa dokazywał. Są jeszcze i tureckie pokoje, dawnemi gobelinami pokryte; wszędzie krzesła i kanapy nie bogate, ale dawnością swą i kształtem szacowne.

Wróciwszy do gościnnych pokojów, gdzieśmy nocować mieli, znaleźliśmy odźwiernego i jego żonę urządzających nam łóżka; ale chociaż już wszystko było gotowe i znużeni po kilka razy dawaliśmy im dobranoc, poczciwi jednak ludzie ociągali się z wyjściem. Nakoniec sama odźwierna tajemniczą jakąś postawę przybrawszy, odważyła się szepnąć do ucha, żebyśmy byli ostrożni, bo w tych górnych pokojach bardzo często włóczą się mary, i niezwyczajnym szelestem i głuchym jękiem zakłócają sen spoczywających. — „Te osobliwie drzwi, wskazując na jedne rzekła ze wstrętem, są niebezpieczne, i te radzę stołem i krzesłami zastawić mocno.“ — Może to upior pokutującej Dorotki błąka się szukając ratunku? — „O nie, odpowiedziała skwapliwie bojaźliwa kobieta. Tam gdzie Dorota, i ci co po niej w tym lochu męczeni byli, chodzą po korytarzach o północy, w tamtej stronie zamku nikt się z nas po zmierzchu nie pokazuje. Na to już ani memu mężowi, ani staremu stolarzowi, który wszystko wié co tu się od wieków dzieje, odwagiby nie stało. Ale my mamy w podejrzeniu jeden straszny portret kobiety brzydkiej i niegodziwej, jak powiadają starzy ludzie tutejsi. Jeżeli się nie lękacie, przejdźcie ze świecą, mówiła coraz ciszej, za te drzwi które macie zastawić na noc, i spojrzyjcie tylko, byle ostrożnie, na

obraz co wisi tuż przy nich na lewo, a potém powiecie czy nasz domysł niema słuszności.“ Słuchając tej rady ruszyliśmy na obejrzenie sąsiedzkiego pokoju, i podejrzany ów portret zaraz się ukazał. Rzeczywiście trudno jest znaleść okropniejszy wyraz w obliczu kobiety. Z pod zakrytego do połowy czoła jakąś czarną osłoną, wyglądało dwoje oczu pełnych złości i krwią zabiegłych, twarz czterdziestoletni już wiek okazująca, czerwona i nabrzmiała, a cała fizyognomia szkaradna. Zapomniawszy o upiorach, żałowałem pięknych twarzy wieśniaczek na innych bliskich portretach będących, które niestety, jakem się potém dowiedział, pod jej srogim i niegodnym dozorem w tym zamku żyć musiały. Sen wkrótce skleił nasze powieki tak silnie, że pomimo wszelkich przepowiedni i przestróg odźwiernych, ani widzieć, ani słyszeć żadnych już strachów nie mogliśmy.

Nazajutrz, kiedym się jeszcze raz na pożegnanie przypatrywał zachwycającemu położeniu Pieskowej Skały, przesunęły mi się w pamięci dzieje tego starożytnego zamku, który jeżeli nie własném znaczeniem, to przynajmniej potęgą rodzin co go posiadały, zasłużył na wielokrotną wzmiankę u wielu naszych kronikarzy, Początki samego zamku sięgają może XII wieku, bo już zaraz na początku XIII, w jednym swoim przywileju wymienia go Władysław Łokietek. Była to wówczas własność królewska, i dopiero dla bojaźliwej polityki ostatniego z Piastów tron polski zasiadających, przyszła na dziedzictwo szlacheckie. Ludwik, ów znakomity dla Węgrów monarcha, a słaby i niedbały król dla Polaków, chcąc odebrać zamek Bełzki od Litwinów którzy go opanowali, obległ go na czele Węgrów i polskiego rycerstwa. Wśród zaszłej między wojskami obu niechętnych sobie narodów niezgody, rycerz jeden polski znakomitego rodu, a jeszcze znakomitszego męztwa i znaczenia między swoimi, Piotr Szafraniec z Łuczyc, uderzony został w twarz od pewnego Węgrzyna. Niewczesna owa przygoda wśród wojennej wyprawy zakłopociła mocno Ludwika, mało już i tak wpływu na umysły Polaków mającego. Ci byli daleko liczniejsi od Węgrów, oburzenie się było wielkie, domowa wojna we własnym obozie groziła zniweczeniem oblężenia. Sam więc król osobiście zajął się pogodzeniem Szafrańca z tymi co go obrazili, a na utwierdzenie zgody nadał mu prawem dziedziczném zamek zwany

*Pyeschowa Skała**); wszakże dar ten zasługami walecznych potomków rodu tego dostatecznie krajowi zapłacony został. Syn jego, Piotr z Pieskowej Skały Szafraniec, wojewoda krakowski, stawając dzielnie na czele własnej chorągwi w Grunwaldzkiej potrzebie, to karcąc dumę Krzyżacką pod Tucholą, to nakoniec zmuszając ich do traktatu, takiej wziętości nabył u Władysława Jagiełły, że mu i ziemię Podolską odjętą książęciu Swidrygajłowi w rząd oddał, i nowemi go dobrami Secemin w r. 1410 udarował. Jednakże obaj ci Szafrańcowie, mężowie rycerscy, ciągle zatrudnieni walką z nieprzyjacioły, większą połowę życia w obozach trawiąc, nie mieli czasu myśleć o wygodniejszém mieszkaniu w Pieskowej Skale, ani potrzeby utwierdzać jeszcze mocniej zamku przy rosnącém bezpieczeństwie wewnątrz kraju. Umieli oni przestawać na kilku sklepionych komnatach, przymknionych do skał i wieży, co samotnie wznosząc się na opoce dawała opiekę poziomym chałupom robotników wsi okolicznych. Tam złożywszy twardą przyłbicę, spoczywali po znojach wojennych, tam ochotnie czekali wezwania królewskiego do nowej wyprawy. Dotąd jeszcze pierwiastkowy ten zamek, tam gdzie jest wieża, a skała nie jednej izbie za ścianę służy, od strony drogi w wąwozie ku górze spinającej się, łatwo rozróżnić można od nowszej i obszerniejszej części ku Prądnikowi położonej. Ale nakoniec przyszedł czas, że następcy surowych XIV wieku wojowników, nie tracąc bynajmniej rycerskiego ducha, zapragnęli jednak większych wygód, i pod łagodném niebem włoskiej krainy nabrali gustu do wykwintniejszych budowli u siebie. Stanisław Szafraniec wojewoda Sandomierski, przystawiając w roku 1586 do starożytnego przodków zameczku nowe mury od strony strumienia, jest istotnym twórcą gmachu, jaki w dzisiejszej przestronności widzieć się daje. Tymczasem po dwuwieczném z górą panowaniu na Pieskowej Skale zamożnej i znakomitej rodziny Szafrańców, przyszedł jak na wszystko na świecie, i na nich koniec. Jędrzej Szafraniec, syn Stanisława, starosta Lelowski, a jak Niesiecki powiada, serdeczny junak na nieprzyjaciół za buławy Mieleckiego, żonaty z Barbarą Rzeszowską herbu Wąż, zszedł

---

*) Jest podanie, jakoby zamek ten dopiero od dziedzica jej Piotra Szafrańca, przez zdrobnienie Pieś zwanego, Piesiowej czyli Pieskowej Skały nazwanie otrzymał.

bezpotomnie, i dobra jego w ręce różnych krewnych poprzechodziły. Już nawet i on nie mieszkał ciągle w zamku od ojca wzniesionym, przekładając pobyt w Seceminie, gdzie także ojciec sławne szkoły dla młodzi wyznania kalwińskiego założył.

Po wygaśnieniu zasłużonego w Polsce imienia Szafrańców, obszerne ich dobra, jakeśmy wyżej namienili, weszły do różnych domów z niemi spokrewnionych. Do spadkobierców głównie należeli Wielopolscy, jednegoż rodu z Szafrańcami i tegoż samego herbu *Stary-koń* używający. Na ich dział przypadł właśnie zamek Pieskowa Skała ze wsiami które go otaczały. Za świadectwem Niesieckiego, już w. r. 1661 Jan Wielopolski kasztelan w ówczas Wojnicki, a potém wojewoda Krakowski, pisać się miał z Pieskowej Skały. Co większa, zasłużony ten w kraju, a dla rozumu i powagi bardzo wzięty mąż, sprawując od Jana Kazimierza poselstwo do Ferdynanda cesarza, w r. 1656 uczyniony został hrabią S. P. R. na Pieskowej skale. Tymczasem niewiedzieć z jakiego znowu powodu, zaraz po tej epoce liczne dowody przekonywają, że Michał Zebrzydowski wojewoda i starosta Krakowski był posiadaczem Pieskowej Skały, zamek wielkim nakładem zupełnie odnowił i powiększył, i sam wreście życie w nim roku 1667 zakończył. Nie można wątpić o prawdzie tego, bo wiadomość o tym dziedzicu zostawił nam jeden z celniejszych dziejopisów naszych siedmnastego wieku, Wespazyan Kochowski, który nawet w innych pismach swoich wierszem ozdobę i umocnienie zamku w Pieskowej Skale wysławiał. Prócz tego i sam Zebrzydowski nie zapomniał zostawić pamiątki, że był odnowicielem tego starożytnego gmachu, tak prawie jak go teraz widzimy. Herb Zebrzydowskiego Radwan i żony jego Maryi z Stadnickich Srzeniawa, wykute są w kamieniu tuż przy bramie zamkowej. W połowie XVII wieku Szwedzi podczas pierwszych swoich odwiedzin w Polsce, zawitali także do dziedzictwa Zebrzydowskiego, i zamek osadzili dla utrzymania w podległości okolic Krakowa. Może to od ich pobytu zostały otwory pod samym szczytem, gdzie jak dotąd podanie zostało, mieściły się warty, dla spostrzeżenia z daleka co się działo około zamku. W sto lat po Zebrzydowskim, pierwszy dopiéro Hieronim Wielopolski koniuszy koronny, o którym tyle już wyżej powiedzieliśmy, polubiwszy roskoszne mieszkanie w Pieskowej Skale, zaczął jej budowle rozszerzać. Do właściwego zamku zająwszy plac obszerny, nowe mury powznosił, stosownie do potrzeb licznego dworu i myślistwa.

W takiej już był postaci ten zamek, kiedy go Stanisław August zwiedził w r. 1787 w dniu 4 Lipca, i oglądając dalsze jego okolice dwa dni tam zabawił.

W XVI wieku, wtenczas kiedy Szafrańcowie liczyli do swych włości to zachwycające miejsce, mieszkała tu Zofia Oleśnicka, która wpływem wdzięcznych wrażeń pięknego przyrodzenia co ją otaczało, tém dzielniej umiała podnosić myśl swą do Boga. Tu składała rymy lubą natchnione prostotą, które naszych czasów doszły w książce mającej napis: *Pieśń nowa, w której jest dziękowanie Panu Bogu Wszechmogącemu, że malutkim a prostakom raczył objawić tajemnice królestwa swojego.* Pieśń ta podzielona na strofy, w naczelnych głoskach każdej zawiera litery nazwisko tkliwej i pobożnej rymotwórczyni: *Zofia Oleśnicka z Pyeskowey Skały.* Szkoda że nie mamy więcej szczegółów o niej! Za naszych czasów nie mieszkała wprawdzie, ale zwiedziła czarowne to ustronie inna kobieta, której dusza również była czułą na piękności tego miejsca, ale która siłą i wdziękiem swojego pióra dzielniej i pożyteczniej wpłynęła na żyjącą dziś społeczność! Zacna autorka Pamiątki po Dobrej Matce, zostawiła nam także w swoich nieoszacowanych pismach zajmującą wmiankę o Pieskowej Skale.

---

162. DZIECIĄTKO JEZUS W PODRÓŻY.

(z *poematu „Przenajświętsza Rodzina,“ p. Bohdana Zaleskiego*).

Cedron*) wężykiem błyska po murawie,
Staw się żwierciedli bliżej, a przy stawie
Trzódka becząca i niemniej wrzaskliwa.
Dziatwa baranki pławi i umywa;
Psotne dziewczęta i niewiastki młode
Kwiecie, to piosnki, puszczają na wodę;
I wszędy śmiechy, pustoty, ścigania.

Jezus wypocząć tu swoich naklania;
Bo już i w drogę potrzeba za chwilę,
A jakoś tutaj po wiejsku i mile.

---

*) strumień w Ziemi Świętej.

Ledwo na trawie zasiadła gromadka,
Jako wróbliki co śmielsze ze stadka
Owóż ztąd chłopczyk, ztąd dziewczynka leci...
— Więcej-no! więcej! — i jaka ćma dzieci,
Ćma w lot pierzchliwa — a dziś nieruchoma.
Jezus je ima i głaska rękoma;
A podziwienie w każdej świeci twarzy;
Jako znajomy Jezus im się marzy,
Gdzicś, kiedyś przy nim na kwieciach igrali...

Milcząc — za gońca wzrok posłał przed siebie —
Bujał dumaniem wysoko — po niebie;
Nagle, jakoby targniony za połę,
Zwrócił na prawo źrenice wesołe:
Cichy Ogrojec! — posępna Golgota!
Zkąd odkupienie ludzkiego żywota
Spłynie po krzyżu. — Na znak pewnie krzyża,
Przed wolą Ojca czołem się uniża,
I w ziemi łezki świecą się jak rosa.
Weselej znowu spogląda w niebiosa,
I na zwierciedle oczu myśli różne:
„Matko! źle ludzie pędzą dni podróżne.
U boku często niepokój, to nuda;
A po ich drodze naokoło cuda!
Ale nie patrzą ni w prawo ni w lewo;
Nie myślą, czemu zieleni się drzewo?
Kto umalował tę skrzydlatą dziatwę?
I kto jej daje pożywienic łatwe?
Przecież wietrzniki nie sieją i nie żną!
Patrzaj, Lilijo! na twą siostrę śnieżną;
Z lichego piasku jak strojnie wyrasta!
Zaprawdę ani królewska niewiasta,
Ani Salomon nawet w swojej chwale
Tak przyodziani nie byli wspaniale.
A wszakże kwiatek, źdźbło to marnej słomy,
Wszystko w około proch jego znikomy.
Człowiek, duch duszą, a ducha sam waży,
Chodzi w osobnej i łasce i straży:
A oto światło swe tłumi w iskierce,
Wolą zawichrza i rozum i serce —

I odtrącony od Ojca na wieki!
Są obietnice — są wszechmocne leki,
Krew Niewinnego!...“ Łkaniem uciął słowo.
Milczenie było długie — i na nowo:
„Matko! tyś gwiazda wśród wybrańców grona,
Dworem Aniołów moich otoczona;
Ponad tym światem rozlejesz oblaski,
Jako jedyna Pośredniczka łaski!“

---

163. LIRNIK WĘDROWNY.

(*Opowiadanie Winc. Pola*).

Dziad lirnik na tle mogiły stepowej, oto prawdziwa illustracya tamtych okolic.

Znałem w młodości mojej takiego lirnika. Chodził on od wsi do wsi, i był od wszystkich znany i lubiony, bo śpiewał pobożne pieśni, miał głos bardzo wyrobiony, i przygrywał po mistrzowsku na lirze. Głęboka czułość i dobór pieśni, które do każdej chwili dnia i nocy stosować umiał, skupiały koło niego gromady ludzi wszędzie, gdzie się tylko ozwało granie jego liry. Dziwnie też umiał obierać miejsca spoczynku i chwilę, w której przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł na okopie, tam około bramy, około cerkwi lub kościoła, pod krzyżem wiejskiej drogi, lub na mogile. A kiedy się lira jego ozwała w krótkich żałosnych przygrywkach, biegły niewiasty i dzieci ku niemu, a ze dworu wychodziła cała drużyna, aby się przysłuchać graniu liry i pieśniom starego Pańka. Wszyscy znali go i witali jak znajomego. Wiekowym ludziom przypomniał on ich dzieciństwo, a kilka pokoleń przeszło w jego pamięci. Nie żebrał też Pańko nigdy, nie zachodził do chat i dworów po jałmużnie — dość było, gdy się lira jego ozwała, a już wszyscy pospieszali z datkiem, pokarmili i odziali starca, przytrzymali go we wsi; poczém znowu dalej odchodził, żegnając starych przyjaciół.

Pamięć miał szczególną; choć od lat wielu zupełnie był ciemny, poznawał po głosie ludzi w każdej wsi, i nie tylko starszych ale nawet dzieci, dla których w torbie zawsze jabłka nosił, równie jak dla niewiast szkaplerze i koronki, po które rok rocznie do Podkamienia i Poczajowa chodził.

W okolicach Szczerca i Komarna przebywał zwykle przez

zimę, ale już z wiosną wyprawiał się w drogę na Podole i Pokucie, zwiedzając miejsca odpustów, a powracał zazwyczaj jesienią po zbiorach w okolice Komarna, gdzie w małym przysiołku zimował. Pazia, gospodyni domu, dbała o lirnika, jak gdyby był jej bliskim krewnym — miała bowiem to sobie polecone od matki, z obietnicą, że za to będzie się błogosławieństwo trzymać jej chaty. Rzeczywiście trzymał się jej dostatek, a Pańko był zawsze stosownie do pory roku ubrany, ubogo ale czysto.

Pańko był niegdyś teorbanistą u starosty Szczerzyckiego. Gdy ociemniał, zarzucił lirę na siebie i poszedł w świat. Ale w chacie Pazi wisiał zawsze nad jego łożem teorban — i tu gdy jesienią powrócił, można było z ust jego usłyszeć przy teorbanie dawno przebrzmiałe pieśni.

Wiem te szczegóły bardzo dobrze, bo my wszyscy, cośmy zbierali gminne pieśni w młodości, znaliśmy go zbliska, i pieśni, które Pańko śpiewał, były dla nas starożytnym wzorem poezyi, i weszły dziś do zbiorów znanych już w literaturze gminnych pieśni.

Pańko był ślepy. Przewodnikiem w pielgrzymkach jego była koza, — trzymając się jedną ręką obłącznej witki, którą nosiła na szyi, szedł od wsi do wsi, znając drogę tak dobrze, że przy pomocy kozy nigdy nie zbłądził. Była to mądra koza. Kiedy sobie usiadł, legała przy jego boku; nieraz się i zdrzymał oparłszy na niej głowę; kiedy szedł, koza szła powoli przy jego nodze; i lubo powolna jego ręce, ostrzegała go o wszystkiém, zatrzymując się przed każdym mostkiem, przed każdą lasą i każdym kołowrotem wioski; nie dopuściła, aby zeszedł ze szlaku, albo wpadł do rowu lub wody. Kiedy psów się szczekanie ozwało, warował się Pańko puszczając po za sobą po ziemi drewnianą kulę na sznurze, a koza stawiła się psom tak zuchwale, że po chwili oszczekując dziada, z daleka wracały na obejścia. W ów czas oznajmiał Pańko krótką przegrywką na lirze, że przybywa do wsi, a na głos ten wybiegały z chat naprzód dzieci i sadowiły go na bezpieczném miejscu.

Patrząc nieraz na życie i losy tego lirnika, myślałem sobie o dziwném zrządzeniu Opatrzności, która przez usta ciemnego przymnaża chwały Bożej, i podaje tradycye w pieśni niespisanej od wieków ubiegłych żyjącemu pokoleniu.

Ostatnich trzy lat nie chodził już po świecie; siadywał

tylko na okopie cmentarza, przygrywał na lirze, i śpiewał prosząc Boga o śmierć szczęśliwą...

Pochowano go uczciwie. W wigilią śmierci przekazał Pazi grosz jaki taki, uzbierany przez całe życie i zachowany w starej gruszy blisko zagrody. Na kamieniu, który grób jego pokrywał, znalazłem wyryty niewprawną ręką jakiegoś wiejskiego kamieniarza u góry krzyż, pod nim wyobrażenie liry, nazwisko Pańka, a niżej nieco leżącą kozę z obłączną witką na szyi.

Jak żywot, tak zgon lirnika i nagrobek jego wydał mi się prawdziwie romantyczny.

---

164. POŻEGNANIE CZAJD-HAROLDA.

(*z poematu Bajrona, tłum. Ad. Mickiewicza*).

Bywaj mi zdrowy kraju kochany!
Już w mglistej nikniesz powłoce:
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.

Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany —
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi,
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nie obaczę mej ziemi!
Zamek, na którym br[illegible]
Wieczna żałoba pokryje;
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

Pójdź tu mój paziu, paziu mój mały!
Co znaczą te łzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szały,
Czy morskie lękają fale!
Rozwesel oko, rozjaśniéj czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę,

Lotny nasz sokół nie tak wesolo,
Jak my polecim przez wodę.

Niech fala szumi, niech wicher głuszy,
Nie dbam, pogoda czy słota;
Te łzy wyciska z głębi mej duszy
Nie bojaźń, ale tęsknota.
Bo tam mój ojciec stary zostanie,
Tam matka zostanie droga —
Tam wszyscy moi, prócz ciebie panie,
Prócz ciebie tylko — i Boga.

Pójdź tu mój giermku, giermku mój młody —
Zkąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanej lękasz się wody?
Czyli francuskich korsarzy?

— O! nie Haroldzie, nie dbam o życie,
Nie dbam o lasów igrzyska;
Alem zostawił żonę i dziécię,
To mi łzy rzewne wyciska.

Żona na końcu twojego sioła
W zielonej mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła,
Cóż mu nieszczęsna odpowie?

— Dość, dość mój giermku, słuszna twa żałość—
Ja choć jej ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość,
Śmiejąc się, puszczam się w drogę.

Nie żal mi ziemi, gdziem młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne;
Ach! żal mi tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było łez godne!

Teraz po świecie błądzę szerokim,
I pędzę życie tułacze:
Czegóż mam płakać? za kim? i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze?

Pies chyba tylko zawyje zrana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

Już okręt piersią kryje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął;
Nie dbam, ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.

Gdy mnie twe jasne znudzą kryształy,
Ogromna, modra płaszczyzno!
Powitam lasy, powitam skały —
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

---

165. WYSPY PŁYWAJĄCE
czyli spławy na Rusi.

(*p. Winc. Pola*).

Do rozmaitości, która znamionuje roślinność krain stepowych, należy w głębi jarów roślinność wodna, na wysokości otwartych pól i stepów roślinność futorów, które są tém na stepie trawnym, czém oazy na pustyni, t. j. ogniskami skupionej roślinności wyniosłego pnia, znamionującej już w całej pełni naturę krain stepowych.

Po mili i więcej można nieraz czółnem lub saniami jechać wszerz i wzdłuż tych ogromnych stawów przerosłych oczeretami; a są stawy, które dwu i trzymilową przestrzeń zajmują od wierzchowiny do grobli. Osobny to tedy świat, co się tą roślinnością wolną okrył i na wpół z wód wychyla. Wieków potrzeba było na to, aby się z korzeni roślin wodnych utworzyły wyspy i ostrowy, osobne prądy rzek, wśród wód stojących, które nie porastają trzciną, ale się lasem niby tylko przewijają kręto, dzieląc wielkie oczerety na międzyrzecza i kępy, na las nieprzebyty, lub odlewając wielkie zatoki odkryte, które halawami nazywają. Do najosobliwszych zjawisk i widoków należą tak zwane spławy na tych stawach. Są-to pływające wyspy i ostrowy, które się już lasem rozrosłych dębów i olch pokryły, niekiedy tak wielkie, że na nich się stada bydła i koni pasą.

Widziałem, że na pomniejszych spławach przewożono jak na tratwach ludzi, bydło z jednego brzegu stawu na drugi, popychając się kulami po dnie stawu. Największe też ostrowy, a nawet takie co drzewami porosły, popędza wiatr po źwierciedle wód; i ztąd wróżą na pogodę lub na słotę. Kiedy pływająca wyspa od tego lub owego brzegu odbiła lub przybiła do grobli, odmienia to całą fizyognomią stawów i okolic, i takie pływające wyspy są-to rzeczy nigdzie w inszych stronach niewidziane.

Siadłszy w łódkę, można jak w wielkiej puszczy jeździć i błądzić po całych dniach w tym lesie oczeretów, w których swobodnie żyją i gnieżdżą się nieprzeliczone stada wodnego, błotnego i trzcinnego ptastwa. Na rzędy też tych stawów przypadają wielkie i małe ciągi ptastwa; a zachodni kraniec Podola i Wołynia jest wielkim pogranicznym szlakiem różnych dzielnic wędrownego ptastwa, które stadami w przelocie spuszcza się na zwierciadła wód, i w każdej prawie porze roku na tych stawach żér i bezpieczną znajduje gospodę. Pożary oczeretów na głuchej jesieni lub zimą należą do osobliwszych zjawisk tych krain. W lesie oczeretów, gdy je opuści ptastwo, snują się wilki i lisy, podchodząc nieraz ku wsiom i zagrodom, gdy się stawy lodem pokryją — i do osobnego rodzaju łowów należą polowania po trzcinach.

---

166. U NAS INACZEJ.

(*Dumka Bohdana Zaleskiego.*)

Smutnoż tu, smutno, bracia za Dunajem!
I w oczach mokro, bo sercami tajem —
Ludzie nas nudzą, i świat cały nudzi —
Cudzo, och! pusto śród świata i ludzi.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! I bujnie i miło —
Hej! nie zastępuj na drodze mogiło,
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko
Kąpię w burzanach lubo a szeroko!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! ponad Ukrainą,
Wskróś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze taki gwar zmącony.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! Co zaśpiewam w dumie,
Co w głowie knowam, brat koń mój rozumie;
Rży po swojemu — czy tabun pamięta?
Och! za swobodą tęsknimy bliźnięta.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! jakoś lżej, weselej,
Krew gra burzliwiej — o! wina mi nie lej —
Samem powietrzem po pjanemu żyję;
A kiedy hulam, to na łeb, na szyję.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

U nas inaczej! Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie.
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej, inaczej, inaczej!

---

167. OJCÓW.

(z dzieła „Kraków i jego okolice," p. Amb. Grabowskiego).

W odległości dwóch mil od Krakowa, w północnej stronie, leżą wdzięczne Ojcowa, Grodziska i Pieskowej Skały

okolice, słusznie Szwajcaryą polską zwane. Przyroda w cudach swoich niewyczerpana, miejscom tym hojnie udzieliła piękności, jakiemi słynie kraina Helwetów,*) ale łaskawsza na naszą ziemię, oszczędziła im okropności, przepraw niebezpiecznych i urwisk nad głową podróżnego wiszących. Tu wspaniała i miła wabi do siebie i przywiązuje tak silnie, że doliny te, choćby sto razy widziane, zawsze z upodobaniem i coraz nowszym ogląda się wdziękiem.

Minąwszy wieś Modlnicę,**) ku granicznemu lasowi, gdzie droga stopniami poczyna się zagłębiać, wchodzi się do wąwozu, pospolicie zwanego Ojcowem lub Prądnikiem Koszkiewskim, który wzgórza zielenią pokryte, lub wysokie grupami wznoszące się skały, z obu stron zamykają. Pionowa spadzistość ścian skalnych, acz roślinności nie sprzyja, przecież gdzie tylko bryłka ziemi utrzymać się zdoła, wnet ją bujne zioła i kwiaty wieńcami swemi okrywają — a na szczytach skał, rodzajną ziemią usłanych, krzewy i rozłożyste drzewa tém silniej rosną, im natarczywiej burza ich wierzchołkami miota.

Najlepiej uczyni, kto dolinę tę pieszo przebyć zechce, może bowiem podług woli zatrzymać się w miejscach ciekawszych i dziwić się nad wspaniałemi dziełami przyrodzenia. Gdziekolwiek wzrok się obróci, wszędzie cudne otwierają się widoki. Tu skały dziwacznych kształtów, piętrzące się w górę, naśladują wysmukłością swoją wieże — owdzie mur z litej opoki, pionowo ścięty, zdaje się być przedmurzem zamieszkałego przez olbrzymy pałacu. Tu na pochyłości góry zwalone w nieładzie odłamy głazów tworzą jakby ruiny dawnego amfiteatru. Zawieszone w powietrzu drzewa i krzewy kołyszą się nad przepaściami, z których łona skąpą żywność otrzymują. Do wyniosłej opoczystej ściany ujrzysz gdzieniegdzie przylepiony domek rolnika, lub przemyślnego ustroni tej mieszkańca. Jeżeli się oko widokiem skał utrudzi, przyjemny za to znajduje spoczynek na szmaragdowém dnie doliny, zasianej chatami i cienistém przyodzianej drzewem. Struga Prądnik, sącząca się łożem kamiennem, ożywia swym szelestem

---

*) Szwajcarya.

**) Modlnica, tak nazwana, że według podania Św. Wojciech, idąc od Krakowa, w tém miejscu pierwszy raz na modlitwie odpoczął. Dawniej zwała się Zagórze.

ten miły zakąt; a czyste jej wody, nakształt zwierciadła, odbijają bliższe przedmioty.

Największą osobliwością Ojcowa są dwie pieczary: jedna leżąca w pasmie skał na lewym brzegu Prądnika, zwana ciemną; druga królewska, przytułek niegdyś nieszczęśliwego króla Władysława Łokietka, który w roku 1300 chronił się tu przed Wacławem królem Czeskim, osiadającym tron polski.

W towarzystwie przewodnika przykrą wstępuje się ścieszką na górę do groty ciemnej. Wnijście szczupłe, w zaroślach pomiędzy skałami ukryte, prowadzi do jaskini długiej na łokci 140, szerokiej na 40 łokci; wysokość sklepienia w niektórych miejscach do trzydziestu łokci dochodzi. Wszedłszy do pieczary, podróżny na widok rozległej przestrzeni, wydrążonej w twardém łonie opoki, staje w zadumieniu, i zapytuje sam siebie, kto mógł być twórcą tak olbrzymiego dzieła? A gdy w poglądzie na ten ogrom niedołężność siły ludzkiej rozważy, ze czcią i upokorzonym umysłem poznaje tu rękę Wszechmocnego. Ciszę uroczystą w grocie przerywa tylko szelest kropel ściekających z sklepienia — szelest ten bynajmniej ucha nie rażąc, tworzy jakąś tajemniczą harmonią, która się nawet podobać może.

Sam przystęp do drugiej groty, królewską zwanej, tak jest piękny, iż zarówno uwagę malarza jak i miłośnika przyrody zająć zdoła. Leży ona na wysokiej górze, a ukryta w gęstwie lasu, mniej jeszcze od pierwszej jest dostępną i do znalezienia trudną. Przysionek do niej tworzy wązka rozpadlina w skale, przeźroczystém sklepieniem z gałęzi nakryta, długa łokci 40, której ściany osłaniaja zielone mchu kobierce. Jaskinia sama, znacznie dłuższa od ciemnej, rozchodzi się w różnych kierunkach i na różne rozdziela ustępy. Niezbędną jest tu pomoc światła: nigdy bowiem do tych tajników przyrody nie przedziera się promień dzienny. Ściany pieczary oblane są miazgą wapienną, a sklepienie okrywają nacieki podobne do soplów, zwane stalaktytami, które przyroda środkami sobie wiadomemi dziwnie kształtuje.

W innej stronie, na górze bielą się ruiny zamku Ojcowa, który niedyś wystawił był Kazimierz W. na pamiątkę ukrywania się w tych stronach ojca jego Łokietka, i w którym sam przemieszkiwać lubił. Zbudowany na niedostępnej skale, był zapewne znakomitą warownią w czasach, gdy samo przepaściste położenie stanowić mogło obronę. Dziś jedynie wysoka ośmiokątna wie-

życa, z ciosowego kamienia, najpodobniej jeszcze pierwotna, świadczy o przemożnym niegdyś zamku.

„Jeżeli w tej dziwnej krainie, olbrzymiej postaci skałami najeżonej, nie znajdzie wędrownik alpejskich lodów, zapadłych jezior, i odwiecznych pokładów śniegu; obaczy przecież wszystko to, co może wystawić w całej świetności przyrodę, wdzięcznemi i roskosznemi widokami zachwycającą, a zawsze zdolną podnieść umysł człowieka.“ (*M. Baliński*). na poniedziałek

---

168. GROTY OJCOWSKIE.

(*p. Fr. Wężyka*).

Gdzie widok szczytów zamku w ciemnych lasach ginie,
Są dwie czasu potęgą wykute jaskinie,
Hydnych potwór lub zwierząt drapieżnych siedlisko:
Pierwsza ma ciemnej, druga królewskiej nazwisko.
W nich cichość i noc wieczna rządzą samowładnie;
Nigdy się tam dnia gwiazdy promyk nie zakradnie,
Ani księżyc srebrnego światła nie przepuści.
Szarpią się wewnątrz wiatry z głębokich czeluści:
Słysząc ich świst okropny i ciągłe wydmuchy,
Mniemałbyś, że tam jęczą czarnych piekieł duchy.
Na te przez ciasny otwór ciągnące się głosy,
Drży ziemia, bledną ludzie, podnoszą się włosy....

W krwawych walkach Łokietek o prawa korony,
Tu się krył, z tronu Piastów po trzykroć strącony;
Ztąd po trzykroć, niezgięty najtwardszemi klęski,
Oręż w murach Krakowa zatykał zwycięzki.
Syn, pomny doli jego i losów przemiany,
Ku czci ojca drogiego wzniósł Ojcowskie ściany.

---

169. WIELICZKA.

(*p. Ambr. Grabowskiego.*)

„Żupy solne w Wieliczce nie mniej są znakomite jak piramidy egipskie, ale nierównie od nich użyteczniejsze.“

O milę od Krakowa, w stronie południowo-wschodniej, na podnóżu pierwszego pasma Karpatów, leży miasteczko Wieliczka,

głośne kopalnią soli. W całej Europie, a może i na całej kuli ziemskiej pierwsze ona zajmuje miejsce, tak przez swą rozległość, jak czystość i obfitość soli, i wspaniałość robót podziemnych.

Cudzoziemcy, których kopalnie tutejsze ciągle i w znacznej sprowadzają liczbie, wielokrotnie opisywali Wieliczkę. Mnóstwo osobliwości ręką ludzką w jej głębi dokonanych, podnosząc i zapalając wyobraźnię, było powodem dziwnych i przesadzonych opisów, tak dalece, że nie jeden z ich czytelników mniema, jakoby mowa w nich była o jakiémś miejscu zaczarowaném. Rzeczywiście niepodobna jest oprzeć się zachwyceniu, ani opisać wrażenia, jakie zdumiony umysł w tém miejscu odbiera. Trzeba samemu zbierać te uczucia, jakie tłumnie rodzą się na widok tych przerażających sklepień, tych bezdennych przepaści, tych zadziwiających dzieł wytrwałego przemysłu, do których utworzenia sztuka z naturą przyjazne podawały sobie ręce.

Zdarza się niekiedy, że osoby z rzędu panujących zwiedzają saliny, tę prawie nie należącą do naszego świata krainę — natenczas wszystkie galerye, sale, ogromne sklepienia i otchłanie, rzęsisto bywają oświecone, ognie sztuczne płoną, dźwięki muzyki rozlegają się po jaskiniach — a podróżnik od podziwienia do zachwytu przechodząc, wątpi nareszcie, czyli się jeszcze na tym świecie znajduje....

W kopalniach Wieliczki wszystko odmienne, a wszystko jednostajne. Natura wszędzie tak rozmaita, tu zawsze jest taż sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają. Czy na ziemi dzień jasny, czy noc ponura; czy wiosna swym świeżym tchem wieje, czy skwar słoneczny dopieka; czy dżdże jesieni wskróś przejmują, czy mróz ścina wszystko — tu zawsze jednako: głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozrzedzone; powietrze czyste, niezmienne, umiarkowane. Na ziemi tyle jest odmiennych przedmiotów — tu jeden, wiecznie jeden — wszystko co widzisz, czego się dotykasz, po czém stąpasz, jest solą; bo ściany ogromne tych ulic długich, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stosy bałwanów, góry obłamów i kruchów, wszystko z soli.

Sześć godzin zaledwo wystarcza do zwiedzenia części tylko znaczniejszej żup, gościom pokazywanej; a w przeciągu tego czasu w drobniejsze szczegóły wchodzić nie można, i tylko na powierzchownem obejrzeniu przestać należy. Gdy się wyjdzie z pieczar podziemnych, widok dziennego światła, owiew świeży po-

wietrzą, poją znowu człowieka nieznaną mu roskoszą. Znikły już grobowe ciemności, a nawet najciekawszy podróżnik uczuwa potrzebę rychłego obaczenia lazuru nieba.

Gdyby malarz i rytownik zdolności swoje kopalniom Wieliczki poświęcić chcieli, widoki jej, dotąd jeszcze mało znane, dostarczyłyby wzoru do podziemnych obrazów, z którémi nicby w tym rodzaju porównać się nie mogło. Co za pyszne obrazy do poematu Danta o piekle! Widoki, które poeta ten stwarzał w własnej wyobraźni, przyroda w Wieliczce hojną dłonią rozsiała.

Dwa są sposoby dostania się do kopalni. Można albo zejść po schodach o 470 stopniach, albo, co mniej jest utrudzającém, a żadném nie zagraża niebezpieczeństwem, spuścić się na linie. Podróżni, zazwyczaj ostatni sposób obierający, zapisują nazwiska swoje w księgę do tego przeznaczoną — przyczém rozdają im koszule białe, płócienne, które wdziewają się dla ochrony sukien od pyłu solnego i wilgoci w niektórych miejscach ciekącej. Przy grubej linie, na walcu znacznej objętości do kieratu należącym okręconej, który się za pomocą koła końmi obraca, znajdują się w niejakiej od siebie odległości węzły, do zaczepiania pewnego rodzaju szli, czyli pasów naramiennych, w których z zupełném siedzi się bezpieczeństwem, a oprócz tego trzyma się liny rękami. Chociażby liczba osób i większa była, wszyscy naraz się spuszczają. Dwóch lub trzech chłopców z kagańcami otwierają tę podróż podziemną, a przy nich górnik z laską w ręku, utrzymujący pionowy kierunek liny, aby spuszczający się nie uderzali o ściany otworu, który jest ubezpieczony cembrzyną z drzewa lub skalistością ziemi. Sposób ten zstępowania do salin trwa tu od niepamiętnych czasów, i tak jest dogodny, że mimo postępu mechaniki nic się w nim odmienić nie dało. Tym sposobem trzydzieści sążni głębokości przebywa się w parę minut, i staje się na pierwszém piętrze salin — na niższe zaś piętra zstępuje się po wygodnych schodach w masie solnej wykutych, które już do samego dna żupy sięgają.

Trzy piętra obecnej kopalni, których w potrzebie mogłoby być i więcej otworzonych, tak się uważają, że drugie jest pod pierwszém, a trzecie pod drugiém — te znowu dzielą się na przestronne galerye czyli ulice, w soli nakształt kamiennych wykute, z wydobywania jej powstałe, w różnym kierunku idące i przecinające się, tak, iż tworzą niejako labirynt, w którym łatwo obłąkaćby się można bez pomocy świadomego przewodnika.

Wydobywanie soli z kopalni jest-to rodzaj kamieniarskiej roboty. Sól albo odrywa się od calizny sztukami czyli ławami, za pomocą kilofów, drągów, klinów i innych narzędzi żelaznych; albo też wysadza się prochem strzelniczym. Łoskot, jaki z tego wysadzania powstaje, odbija się mnogiém echem po całém podziemnych sklepień przestworzu; poczém odrywa się od ścian solnych wielka bryła, do 40 centnarów ważąca, a przy świetle górników iskrząca się ogniem brylantowym. Ławy czyli kłapcie soli dzielą na sztuki, a z tych obrębują tak zwane bałwany, mające kształt beczek. Mniejsze bryły wyrabiają na kruchy, a drobne odpadające kawałki tłuką i pakują w beczki, solówkami lub półsolówkami zwane. Gdy w niższych piętrach znaczne zapasy soli są przygotowane, wyciąga się ją na wierzch za pomocą kieratów ogromnych obracanych końmi, które się i wewnątrz żupy znajdują. Pokłady soli rościągają się na wschód i zachód, nakłonione niemniej ku południu; tworzą jednak częste zboczenia tak w kierunku jak i w samym spadku.

Na pierwszém piętrze kopalni, w szybie zwanym Górsko, zastanawia uwagę kaplica pod wezwaniem św. Antoniego, w soli wykuta. W lustracyach żup Wielickich są nadto wzmianki o innych kaplicach dawnych, jako-to: św. Kunegundy, św. Anioła stróża, św. Klemensa, itd. Znajduje się tu wielkości naturalnej posąg króla Augusta II. z jednej bryły przeźroczystej soli wyrobiony; niegdyś jako osobliwość przewieziono go do Warszawy; lecz gdy z powodu odmiany powietrza psuć się i topić począł, odesłano go napowrót do Wieliczki. Na témże samém piętrze sala Łętów zwana, z galeryą dla muzyki, słupami krystalicznej soli ozdobiona, służy za miejsce wypoczynku gościom zwiedzającym saliny. Tu zwykle dawane bywają illuminacye z przeźroczami, tańce i różne zabawy.

Oprócz Bochni, nie masz miejsca na kuli ziemskiej, gdzieby się człowiek głębiej zakopał, jak w Wieliczce. Już on tu przeszło na tysiąc stóp głębokości wnętrze ziemi rozdziera; a pomimo tego kopalnie te są najsuchsze na świecie (dopiero niedawno źródło przypadkiem otworzone część dolną salin zalało). Przesączające się tu i owdzie poniki ściągane są w jedno miejsce kanałami, dla ochrony robót górniczych; zkąd tworzy się obszerne jezioro Przykos zwane, po którém podróżni dla zabawy na statku pływać mogą.

---

170. DWÓR SZLACHECKI.

(*z poematu „Pan Tadeusz“ p. Adama Mickiewicza*).

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy,
I w Ostrej świecisz bramie!*) Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki**) ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoję opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu;
Tak mię powrócisz cudem na ojczyste łono —
Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rościągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała;
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną; na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól, przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku nie wielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany.
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tém bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny, nie wielki, lecz zewsząd chędogi;
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może:
Widać, że okolica obfita we zboże;
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i w szerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,

---

*) Ostra brama w Wilnie, słynna cudownym obrazem Najświętszej Panny.

**) Nowogródek litewski, podobnież odpustami sławny, miejsce rodzinne Adama Mickiewicza.

Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek,
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

171. WIENIEC czyli OKRĘŻNE *).

(z dzieła „Pan Podstoli“ p. Ign. Krasickiego).

Widząc nadzwyczajne w domu przygotowania, pytałem się Pana Podstolego, czyli się znacznych jakich gości u siebie spodziewa? — „Najznaczniejszych, odpowiedział. Dziś zakończywszy żniwo, gromada z wieńcem do mnie przyjdzie; na jej więc przyjęcie wszystko teraz czeladź gotuje“. Około zachodu słońca usłyszeliśmy śpiewania żeńców. Wyszli na ganek gospodarstwo, oddano im wieniec z kłosów; a jeden z gromady, poważny starzec, uczynił do państwa rzecz, prostemi prawda słowy, ale znać było, iż odzywało się serce przez usta jego. Odpowiedział wszystkim w ogóle Pan Podstoli — wielbił najprzód Opatrzność Pana Boga, która pracującym dodaje żywności; dziękował gromadzie za gorliwą pracę, wsparcie ojcowskie w każdej okoliczności obiecywał; a na znak zawdzięczenia, wezwał do użycia skromnej zabawki, którą dla nich przygotował. Zaczęła więc młodzież tańce, przeplatając je rozmaitemi pieśniami. Te co do układu nie można mówić żeby były wyborne, wszelako w wdzięcznej prostocie swojej oznaczały niewinność wiejskiego życia.

Zastawiono na podwórzu stoły; a nim do nich wszyscy zasiedli, ksiądz pleban stanął w pośrodku, i uczynił do wszystkich rzecz, jak darów Bożych z wdzięcznością i przystojném weselem używać należy. Pobłogosławił jadło — poczém siadł pan Podstoli do osobnego stołu z samymi gospodarzami, gospodynie z panią Podstoliną, z pannami dziewki, a z panami parobcy. I trwała dosyć długo w noc uczta i zabawa wesoła.

Gdy się wszyscy rozeszli do domów, a myśmy się jeszcze z Panem Podstolim zatrzymali na podwórzu, rzekłem, iż zda-

*) w Krakowskiem wyżynek, zabawa wiejska przy zakończeniu żniwa.

wało mi się, że się wróciły owe czasy Rzymian, kiedy w uroczystość Saturnową, na pamiątkę złotego wieku, zasiadali na wspólne gody panowie ze sługami. „Świątobliwe wielce było to ustanowienie“, rzekł Pan Podstoli „wiodło bowiem do ludzkiego obejścia się z poddanymi. Zwyczaj ten, od czasów dawnych wniesiony, na wzór przodków zachowuję, i dzieciom zalecam, żeby go zachowywali. Nie upadla dobrego pana łaskawe z niższym przestawanie. Najsławniejszego z monarchów naszych Kazimierza, którego po śmierci nazwano Wielkim, za życia zwano królem chłopków, a to z tej przyczyny, że lud swój kochał, i bez względu na stan, dla każdego był przystępnym. Zbogaciła kraj jego dobroć, uczyniła go w życiu szczęśliwym, a po śmierci sławnym“.

---

172. PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

(p. K. Gaszyńskiego).

Jak las wysokie żyto się udało —
Oj! będzie za to pieniędzy nie mało!
 A pszenica na zagonie
 Złocistemi kłosy płonie.

Jęczmień i owies błyska barwą świetną —
Wszystko to wszystko sierpy nasze zetną;
 A pracowne nasze woły
 Wszystko zwiozą do stodoły.

Potém wymłócim, a czeladka pańska
W galerach szyprem powiezie do Gdańska.
 Pięknie zboże się udało,
 Będzie pieniędzy nie mało!

Więc chłopcy, dziewki, żywo z sierpem, żywo!
Skończmy co prędzej rozpoczęte żniwo.
 Gdy skończymy raźni, żwawi,
 Pan dożynki nam wyprawi.

Dziewica, która przodkowała w żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,
 I wianek z kłosów pleciony,
 Wstążeczkami ukraszony,

Strojny kaliną i polnemi głogi,
Złoży podarkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywo.

Dana, dana, dana, dana,
Będziemy hulać do samego rana.

---

173. PRZYJĘCIE W GOŚCINIE U P. WOJSKIEGO*).

(z powieści p. t. „Jan Kochanowski w Czarnymlesie).

(*p. Klem. z Tańskich Hofmanową*).

(Obraz z XVI wieku).

W dzień naznaczony, o umówionej godzinie, zjechali do pana Wojskiego w dwóch sześciokonnych kolebkach spodziewani goście. W jednej aksamitem żółtym wybitej, w piękne kwiaty malowanej, rozpierał się pan Mikołaj Rej z Nagłowic, czerwony na twarzy i otyły, w żupanie karmazynowym, spiętym na wielkie bursztynowe żołędzie, rzędem od szyi aż do nóg się spuszczające. Chociaż na takiémże siedzeniu na przodzie trzy osoby mieściły się wygodnie, koło Reja ledwo się wcisnął jeden Łukasz Górnicki, także nie szczupły i latami poważny, ale jako dworak i bywalec umiejący zajmować mało miejsca w potrzebie. Naprzeciwko siedział Bielski, Paprocki i Stryjkowski. W drugiej kolebce, nierównie mniejszej i skromniejszej, także pięciu mieściło się mężczyn (Klonowicz, Grochowski, Rybiński, Szymonowicz i Niegoszowski), wszyscy znajomi i przyjaciele dobrzy Kochanowskiego, okrom pana Stanisława z Niegoszowic, świeżo z Włoch przybyłego, ale z wierszy łacińskich głośnego już młodzieńca.

„Wejdźcież do komnaty, panowie bracia — rzekł gospodarz, skończywszy w ganku powitania — niechże was równie powitają żona moja i starsze córki“.

— „To pani i paniątka w komnacie? — przerwał Rej — tam do licha bracie!

„Kiedy Jejmość w izbie bawi,
„Gość się czystą ślinką dławi“.

---

*) Jana Kochanowskiego, poety, zamieszkałego w Sandomierskiem, w ojczystej wsi Czarnymlesie.

„A człek w podróży (dodał głaszcząc się po brzuchu) już od dwóch godzin nie jadł.“ — „Bo Wasza Miłość (powiedział jeszcze wchodząc do pokoju, w którym u drzwi stała pani Kochanowska z starszemi córkami), Wasza Miłość może nie wiesz, że stary Rej nie umie nic, jeno czapkę zdjąć, pokornie powitać, i o jadło pytać.“

— „Godziż się tak obmawiać samego siebie? — odpowiedziała z uśmiechem gospodyni. W Żywocie poczciwego człowieka*) poznałam innego wcale Reja, i za takiego tylko uważać go pragnę.“ A skłoniwszy mu się uprzejmie, witała kolejno innych gości, jednych już sobie znanych, a drugich przez męża zalecanych.

W małą chwilkę Kochanowski obnaszał się już ze srebrnym kubkiem, zachęcając do różnych przekąsek, które przygotowane na farfurkach w drugiej izbie leżały — a Rej zajadając i zapijając smaczno, powtarzał, że przegłodzenie jest najlepszą dla żołądka przyprawą.

Rozmowa z początku szła dość obojętnie, jak-to zwykle na wstępie, nim się rozpozna usposobienie i humor gospodarza. Wysunęła się też i gospodyni z córkami, aby zarządzić co było potrzeba — a niezadługo ukazawszy się, już tylko z jedną Ewą, wezwała gości grzecznie i z nadobném przymileniem na skromny obiadek, i podała rękę panu Rejowi. Pan starosta**) poprowadził pannę Ewę — inni szli za nimi parami do izby, gdzie stało czterech pachołków w porządnej barwie: Janek, z wielką gałęzią lipową do oganiania much, Szymek przy kredensie do podawania mis i talerzy; dwaj drudzy z starym piwnicznym pilnowali napojów, mając przykaz, aby żadna szklanica na stole próżna nie stała. Umywszy ręce i otarłszy je pięknie haftowanemi ręcznikami, zasiedli goście do stołu, bez drożenia się i wahania, bo gospodarz sam naznaczył każdemu miejsce. Rej tylko dopytywał się usilnie, gdzie będzie misa i tam chciał siedzieć mówiąc:

Zawdy ci więcej jedzą,
Co bliżej misy siedzą.

Były-to żarty jego zwyczajne. Ale mis jeszcze na stole nie

*) tytuł dzieła napisanego przez Mikołaja Reja.

**) Górnicki, który był Tykocińskim i Wasilkowskim starostą.

było. Kurzyły się w głębokich naczyniach z uszami, z pięknej gliny Iłżeckiej, korzenne i treściwe polewki, do wyboru podawane; lecz wszyscy za przykładem pana z Nagłowic*) zgodzili się na barszcz zawiesisty i złotą polewkę.

„Barszcz ojciec, a polewka matka — mój żołądek zaś dobry syn, oboje miłuje zarówno“ — tak się tłumaczył pan Rej z swego apetytu.

Po zdjęciu pierwszego obrusa, pachołki zastawiały drugie danie.

„Kapusta i flaki,

„Dobry obiad taki“ — powiedział Rej, podsuwając swój talerz pani Kochanowskiej. A smaczna potrawa, uprzedzam, zawsze mnie do powtórzenia wzywa. Ależ pani Wojska, u was widzę nie obiadek, jakeście mówili, ale w całém znaczeniu obiad — każdy wstawszy będzie mógł śmiało powiedzieć, że się objadł.

— „Wasza Miłość, odpowiedziała z uśmiechem gospodyni, zaraz z jednego słowa dwa uczynić umiesz.“

— „Ba! rzecze Rej, może tam z młodu było kęs dowcipu w tej głowie, ale dziś są nierówno lepsi ode mnie — na przykład pan Smolik**). Wiécie, co powiedział niedawno? wszyscy się uśmieli. Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł żebrak, i mówi do niego: „Proszę waszej Miłości na chleb!“ A on mu na to: Jedz go bracie sam; ja wolę iść do księdza biskupa, bo ten mię prosił na coś lepszego. A kiedy go się pytano, także nie dawnym czasem, jak sobie uważa świętych? odpowiedział: „U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Ja-dam.“

— „Wybornie! — zawołali śmiejąc się wszyscy. Niech żyje Smolik i Rej!“ —

„Lepszego pono od nas obydwóch spotkałem nie dawno chłopa, jadąc z kasztelanem Międzyrzeckim w gościnę, dokąd ten mnie wziął z sobą za towarzysza. Przyjechawszy rano do Łęk, pięknej wsi pod Krosnem, pytam się jednego chłopa, bo lubię z nimi rozmawiać:

A kto tę wieś trzyma?

— Ziemia a płoty — odpowie.

---

*) Reja.

**) poeta humorystyczny z owych czasów.

— A któż tu panem?

— Ten co się nikogo o nic nie prosi.

— No to któż tu starszy?

— A jest tu baba, co jej już przeszło sto lat.

— Więc któż najwyższy?

— Lipa nad kościołem, co ją oto widać.

Zmiarkowawszy, że się już o wieś nie dopytam, chciałem znowu dowiedzieć się, jaka była pora? A więc mówię:

— A dalekoż południe?

— O! któż wie jak daleko? nie szło tędy, miły panie.

— Ej! widzi mi się chłopie, że dostaniesz...

— A on nadstawia łapę: i dalibóg dałem mu złoty, bo mnie chudzina rozumu nauczył. —

Teraz znowu będąc w Żarkach pytam gospodyni: „A bije tu zegar?“

— Zegaru tu niema, odpowie, ale pan tutejszy tęgo bije.

„Nasz lud ma swój nieuczony ale wielki rozum“ przemówił pan Górnicki.

— „Tak, zwłaszcza kmiecie i pasterze sielankowi pana Szymona“ *) — dodał Klonowicz.

Trwała potém żywsza rozmowa. Muzyka brzmiała za oknem, wzywając do pieśni. Ukazało się trzecie danie na stole, pieczyste i trawy.

Skoro zdejmą trzeci obrus, rzekł gospodarz już nieco podochocony, i słodycze nam postawią, podacie nam kolejne puhary. A niech tu Nastka, rzekł obracając się do pachołka, przyprowadzi naszą Safonę, Orszulkę.“

Orszulkę! o! tak, tak, tę roskoszną dziecinkę — ozwali się wszyscy, co już w Czarnymlesie bywali i ją znali.

Niebawem wpuściła stara piastunka śliczne dziecię, które prosto z otwartemi rączkami do szyi ojca pobiegło. A gdy ją Kochanowski postawił na swych kolanach, wszystkim obecnym wdzięczne oddała ukłony, przykładając różane swoje paluszki do ust koralowych.

— „Słuchaj, rzekł do niej ojciec, ci panowie umieją pięknie składać rymy; może który z nich powie nam co swego, a może i ty także; pomyślno moje złotko.“

---

*) Szymona Szymonowicza, słynnego pisarza sielanek.

— „Zgoda, odpowiedziała głaszcząc ojca po wąsach, jeno pozwólcie, niechaj pierwej trochę posłucham i na tych panów popatrzę.

— „Będzie mówił kto zechce, rzekł gospodarz. Kielich obejdzie kolej, a wszak-to na dnie bywało czasem natchnienie. Nie prawdaż, panie Mikołaju?“

— „Wiecie, odpowiedział Rej, że ja nie poeta, jedno ladajaki wierszopis:

Jam prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając,
Tum się pasł na dziedzinie jako lecie zając;
Z granicy miłej Polski nigdziem nie wyjechał,
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał.“ —

— Z Waszą Miłością sprawa nie trudna — mamy gotowy wierszyk. Ale spełnijcie puhar do kogo wola.

Rej równie do wiersza jak do kielicha ochoczy, poniósł do ust złote naczynie, mówiąc do Klonowicza:

W ręce wasze, panie Sebastyanie,
Wiersze u nas latoś bardzo tanie —
Powiesz byle co: ita, fita, mita,
I jużci kwita.

— „Témci lepiej, przebąknął Klonowicz:

Trunek, kto zbytnie pije, rozum w nim wygasza;
A kto bardzo dolewa, i duszę wystrasza.“

— „Dajcież sobie święty pokój z podobnemi zasadami, zawołał Kochanowski. Komu głowa cięży, wziąć go pod kurek i oblać zimną wodą.“ I dał znak Szymkowi i Jurkowi, którzy zaprowadzili pana Klonowicza do fontanny, zkąd niebawem wrócił żwawy i przytomny.

„Ja tam wcale inaczej trzymam o trunku“ — rzekł odpowiadając na dwuwiersz pana Sebastyana:

Nie dbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przede mną,
A przyjaciel pijał ze mną,
A tymczasem robotnicy
Pieczą mieli o winnicy.

To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto, i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,*)
Trzymając się mocno dzbana.

— „Oto wierszyk gładki i uczony (przemówił półgłosem Rybiński); prawdziwy mistrz nasz pan Wojski.“

Tu pani Kochanowska spojrzała nieznacznie na męża, pytając go oczyma, czy jużby nie wypadało jej i córce wstać od stołu? Ale on trząsnął głową. „Orszulka, mówi, jeszcze się z niczém nie popisała.“

„Słowiczku mój, odezwiej-że się nam — powiedział Kochanowski, całując ją w głowę. Cóż dziś tak usta twoje zamknione? nigdy tego nie bywało.“

A ona na to:

„Myślę ojcze: gości wiele —
Zda się kwitnie nam wesele:
A tu może już gdzie z boku
Łza jest w sercu, łza jest w oku.
Kto wie, czy za tą pogodą
Chmur czarnych wiatry nie wiodą?..

Zdumieli się wszyscy, może nie tyle nad tym wierszykiem, bo wiedzieli, że dziewczę rymowało z taką łatwością jak ptaszki śpiewają, ale nad myślą smętną, która się w nim zawierała. Nie w porę zdawał się ojcu, i nie przypadł do smaku przy wesołej biesiadzie...

Niestety! ostatni był to dzień wesoły dla Kochanowskiego...

---

174. GOŚCINNOŚĆ.

(*p. W. Pola*).

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno choć nie ludno:
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.

---

*) t. j. godność kasztelańską.

Ledwie człekby czasem wierzył:
Dom nie wielki — wtém gość wchodzi —
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu;
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył;
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego, i dla swego;
I od Boga, aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban nie pusty.

Jest czém serce rozweselić,
Jest się wszystkim czém obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla zagórskich panów *).
Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,

---

*) dla niespodziewanych gości.

Ściany jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne.
Przed Świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tém światłem czasem płonie
Ponad łożem karabela.
Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjasza przy kominku.
I Jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu Jejmość zdaje.

Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą.

Bo i cóż-to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i szczerocie,
W wiejskim domu uchowane,
Wypieszczone, wymuskane —
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka;
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!
Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje.
Gdy wesołe, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
W ów czas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie.

Choć człek duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak roskosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.

---

175. ZAPUSTY.

(*z „Pamiątek starego szlachcica“ p. H. Rzewuskiego*).

Nigdy bez łez nie mogę sobie wspomnieć o ś. p. Ignacym Rewieńskim, co za jednomyślną wolą całej szlachty księstwa Nowogrodzkiego otrzymał sęstwo ziemskie i był wzorem dobrych urzędników. On przy pewnej oszczędności żył ledwo nie po pańsku. Wystarczyły mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otoż sędzia przy końcu swych czynności na Trzy króle powiedział mi: „Panie Sewerynie, proszę WPana na zapusty do Omniewicz, ale przywieź nam i żonkę.“

Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu, iż raczy o nas pamiętać. Tedy z moją Magdusią, bryczką krytą (którą mi był Pan Wojski Jabłoński dał za odbytą czynność), puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale gdy mnie bryczkę dano, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziśby tego nikt umieścić nie potrafił. A jaka uprzejmość, jaka szczérość, jaka wesołość! — Ja z żoną stałem na folwarku u tak zwanego dyspozytora.

Około dziewiątej z rana, wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już sędzina i sędzianka poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach, i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieliśmy czcić powagę urzędu, wszelako znaliśmy dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko małym urzędnikiem (susceptantem) byłem, to kiedy mnie p. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał, i ni-

sko się kłaniał i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzecznoćć, i w kolanom go pocałował: a przecie gdyby mnie inaczej był przyjął, poczytałbym się za wielce skrzywdzonego. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich dam, poczynając od gospodyni aż do córek. Sędzia odezwał się: „Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć!“ — i odpasał szablę; a my wszyscy poszliśmy za jego przykładem, i w kąty nasze szable postawili, ale tak, żeby każdy o swojej wiedział; bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szable przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa, i wprowadzić go do pokoju, a dopiero wtedy odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dignitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. — Potém zaczynały się zabawy przedobiedne. J. W. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do maryasza w pulę z gospodarzem i W. Rdułtowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać, nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nie osiadły, złoto na karty sypie. Więc panowie maryaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowaliśmy się. Zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscyśmy chwalili jej prace: a ojciec gwardyan z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się: Chwała ci Boże! żeś mnie do Omniewicz sprowadził. Właśnie nasza zakrystya obdarła się, w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi; a tu tak piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła, i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca.“ A sędzina mu na to: „Weź ile chcesz sobie, ojcze gwardyanie, masz do tego prawo: wszak ja wasza dłużnica za cebulki tulipanowe, coś mi dał w jesieni.“ Pan sędzia odezwał się: „Ale wybierzcie ze wszystkich półsetków najcieńsze, bo jak mi się nie popiszesz, to będę się skarżył kapitule, że nam takich gwardyanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają.“ Wtém Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach, i coś

sędziemu szepnął; a sędzia wstawszy powiedział żonie: „Kochanko, proś J. W. kasztelana do stołu.“ Za przykładem pierwszej pary, my wszyscy wziąwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego około stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmieniłem o Wawrzyńcu kredensarzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a nieboszczyka Wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdżaczem; potém lat kilka furmanem, i woził do Warszawy syna. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, zaraz całą rodzinę Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z woźnicy na kredensarza podniósł. Co przyszła na sędziego kolej urzędowania, Wawrzyniec z panem swoim przejeżdżał do Nowogródka. A my co dzień bywało w odwiedziny do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich przyjmował. Lubił on o starych rzeczach gadać, osobliwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do rozmowy mieszał się, ile razy o nieboszczyku mówiono, bo sędzia jemu wielkiej do siebie poufałości pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany, i dobrze znał służbę. Do tego psy na nosaciznę, a konie na robaki umiał dziwnie leczyć, czego sam kilka razy byłem świadkiem. Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich nie wielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili. Po obiedzie zaczęły się pląsy, tańce różne i mazur na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się. Zabawy były niewinne, szczere, każdy serce na ustach nosił.

---

176. WESELE KRAKOWSKIE.

(z sielanki p. t. „Wiesław,“ p. Kazimierza Brodzińskiego).

Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie;
Parskają konie, bieżąc po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu;
Biją drużbowie w podkówki ze stali —

A gdy Wiesława mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela;
„Witajcież do nas wy z Proszowskiej ziemi!
„Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi;
„Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
„Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
„Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
„Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom;
„Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi,
„Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.“

Na to Halina przystąpiła młoda,
W całém weselu najpierwsza uroda:
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta i owoc z koszyka podaje:
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
„Naszych owoców i naszego chleba.“

Wchodzi do izby na wesołe tany
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany.
Potém starosta, zarządca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
„Niech idzie w tany, niech też po swojemu
„Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze:
„Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.

Wziął sobie druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy:
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje;
Halina w pląsach rękę mu podaje.
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.

Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
I pląsa lekko przed Haliną żwawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie;
Tupnął i głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:

„Czemuż ja w Proszowskiej ziemi
„Małe zaznał dziecię!
„Byłbym między krakowskiemi
„Najszczęśliwszy w świecie.“

Bierze Halinę i tak w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło —
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

„Krew nie woda ludźmi włada,
„Bo któż sercem rządzi?
„Człowiek myśli i układa,
„A wszystko Bóg sądzi.“

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce bijąc goni z daleka;
A gdy dogoni, znowu z nią wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

„Krąży ptaszek w ciemnym lesie,
„Gałązek się czepia;
„Aż dognany piórka niesie,
„Gniazdeczko ulepia.“

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim wesoło goni:
Dłoń mu podała i znowu w koło
Przodkując drużbom tańczy wesoło; —
A gdy do nowej piosneczki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Długo gościnnie Wiesław się weselił —
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie.

---

177. KULIG.

(opowiadanie szlachcica z ziemi Sanockiej)

(z powieści „Ostatni z Nieczujów“ p. Zygm. Kaczkowskiego).

My tu, w Sanockiém około roku 1794 byliśmy oko w oko tacy sami, jak nasi ojcowie i pradziadowie. U nas po staremu szlachcic mieszkał jeszcze w tym samym dworku, z jodły wybudowanym albo z modrzewia; po staremu w żupanie i kontuszu, w ganku przyjmował gości; po staremu pradziadowskim językiem z sąsiadami gawędził i swojskiemi myślami uosabiał sobie przyszłość, której nigdy już nie miał oglądać w swojém życiu. — Wesoły odprawialiśmy zapust. A był zwyczaj od dawna w ziemi Sanockiej jeździć od domu do domu kuligiem, i dobry był to zwyczaj! Ze trzydzieści sani napełnionych wesołém towarzystwem sunie po gładko ujeżdżonej drodze — konie parskają na mrozie i suną rączego — wstążki i różnokolorowe płaty u chomąt pozawieszane igrają z wiatrem, dzwonią dzwonki i kółka; futra rysie i niedźwiedzie wyłażąc łapami z sani, wloką się szybko po śniegu — trzaskają z biczów woźnice, a przodem jadąca kapela rznie różne tańce: chwilami wiwaty, chociaż nikt tam nie pije, ale już taki zwyczaj. Krzyk to był wielki i hałas zawsze przy takiej kuligowej wyprawie.

Takim kuligiem właśnie dnia jednego ruszyła się szlachta od Krywego, Zawoja i Tarki. Wstępując wszędzie po dworach, hulając w każdym, i zabierając gospodarstwo za sobą, przyjechali także do mnie do Bóbrki. Byłem już wprawdzie wdowcem na ów czas, ale prowadziłem dom z łaski Boga dosyć obszerny i dostatni. Bawiono u mnie dwie doby, a liczba gości powiększyła się we dwoje; bo myśląc sobie, mam już nie spad i piwnicą szafować, to niechże już będzie dla kogo — dałem znać wszystkim sąsiadom. Przyjechali więc Przeczkowscy, Urbańscy, Grabowscy, Gumowscy, Żurowscy i inni, bo byli na mnie łaskawi. Jak już wszystko wyjedli, co miała spiżarnia, i wypili co wydałem z piwnicy, zabrali mię z sobą — i dalej.

Wtém kiedy jedziemy, pomiędzy Uhercami a Olszanicą, słyszymy za sobą trąbkę pocztarską — już bowiem poczty owego czasu pozaprowadzano po wszystkich stacyach. „Nie ustępuj tam z drogi!“ wołamy wszyscy na ostatnie sanie — bo już to był zwyczaj taki, że kulig nie dał się nikomu wyprzedzać. Naj-

pierwej, że mógł to być ksiądz jaki, co było złą wróżbą, a powtóre, zacóż mieliśmy komukolwiek dać sobie jeździć przed sobą, zwłaszcza, żeśmy sami dość pospieszali? choćby więc pędziła i sztafeta, to dosyć dla niej pośpiechu, gdyby równo z nami jechała. Ale ten trąbi a trąbi. „Trąb sobie! trąb — mówimy do siebie — choćby ci i gardło pękło, nie dokażesz swego.“ Wszelako poczta miała jakieś nie złe szkapięta, a woźnica jak począł trąbić i smagać konie, niebawem troje sani wyminął i jedzie.

„A zajedź-no mu wężyka — mówię do swego woźnicy — zjé licha, czy się ztąd wydobędzie! Albo niech jedzie z nami kuligiem do Olszanicy, albo do rowu.“ I nie patrzyliśmy wcale, kto jedzie, bo zamieć była straszliwa, i jaki taki zawinąwszy się w futro, ani nosa na wiatr nie wystawiał. Aż kiedy mój Bartek zajedzie mu pod sam dyszel, zawoła ktoś z sani pocztowych:

„Panowie bracia! raczcie przepuścić — bardzo nam pilno do domu.“

— „A któż Wacpanowie jesteście?“ zapytałem.

— „A cóż Waści do tego?“ ozwie się głos mnie znajomy. „Tyle krajów przewędrowałem spokojnie, aż mnie na swojej ziemi sami swoi pytają o paszport.“

— „Hej! — ozwie się siedzący koło mnie Cieszanowski — czy nie pan Kasztelanic?“

— „A jużci, odpowie Krzysztof: Kasper jedzie też ze mną.“

— Wiwat! krzyknie Cieszanowski, i z sani wyskoczył. Niebawem też cały kulig zatrzymał się na drodze.

„Z nami już pojedziecie! z nami kuligiem! wołali wszyscy od serca — nie puścimy was!“ I ruszyliśmy dalej wszyscy. A pierwszy to może był kulig polski, co jechał cesarską pocztą.

W Olszanicy gospodarz, pomimo wielkiego zimna, z gołą głową wyszedł na ganek, niosąc chleb i sól na farfurce. Był-to już siwy bo gołąbkowaty staruszek, zgarbiony i pokaszlujący. Witaliśmy go koleją. Podano wnet kielich, i puszczono go kołem. Poczęła się gawędka — przypominano sobie dawne czasy i wnoszono zdrowia.

„Będzie-li lepiej kiedy? wrócą się dawne lata? Nie wrócą.“ Wylotami ocierając sobie zmaczane wąsy, całowali się bracia nawzajem.

Szlachta smutku nie lubi, i stworzona jest do towarzyskiej ochoty. Ani serce zmartwieje, ani gęba nie ustanie na długo. Widziałem ich po bitwie przegranej, widziałem w niewoli — za-

wsze tak było: chwila smutku na razie, a potém hoc! chociaż bieda.

Kielich chodził, ba! latał jak na skrzydłach — muzyka grała. Kiedy dzień zaczął się nieco przebijać przez szpary okiennic, przyniesiono barszcz, suszone śliwki, starkę i bigos odgrzewany na nowo.

---

178. ŚNIADANIE W DOMU SĘDZIEGO.

(*wyjątek z „Pana Tadeusza“ p. Adama Mickiewicza*).

Wszczął się najprzód szmer, potém gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania,
I krzątała się służba około śniadania.
Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,
Roznoszono potrawy, sztućce i butelki.
Mężczyzni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
Z talerzami, szklankami chodząc po pokojach,
Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach.
Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
I z porcelany saskiej złote filiżanki,
Przy każdej garnuszeczek mały do śmietanki.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka z rana
Przystawiwszy imbryki odwiedza mleczarnie,
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę;
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którém twaróg gruzłami posiekany pływa.
Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgąski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru —
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym

Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.
W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie.
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

179. MYŚLISTWO.

(Opowiadanie Jana Chryzostoma Paska).

Myślistwo moje, jako to zwierzyniec ptaszy, miałem osobno zbudowany, kratami drótowemi nakryty, a w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, jakie tylko mogło się znajdować w Polsce, gniazda robiło, i lęgło się na drzewkach tam posadzonych. A nie tylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale miałem i insze cudzoziemskie, cokolwiek mogłem przybrać i zkądkolwiek zaciągnąć. Straszowski był też natenczas, kiedy ptaszki na gniazdkach — widział wszystko, że mnie ptastwo słucha; widział, że się na gnieździe da pogłaskać; widział kuropatwy tam wylężone i stadami swoje potomstwa wodzące, i na zawołanie tak jak kurczęta do sypania ziarn idące.

Bywało też to u mnie myślistwo z podziwieniem ludzkiém. Począwszy od ptaków, zawsze miewałem bardzo dobre sokoły, jastrzęby, drzemliki, kobuzy, kruki, co do berła chodziły, i kuropatwy pod nimi olegały, zająca zlatywały jako raróg — wszystko to ptastwo praktykowało swoją powinność. Jastrzębia raz miałem takiego, który był zbyt rosły, a tak rączy, że każdego ptaka uganiał, i do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okraczywszy go owemi srogiemi szponami, i zawszem żywiusieńkiego odebrał. Rzuciłeś go też do największego ptaka, i tego się nie wstydził; gęsi, kurki, czaple, kanie, kruki, uganiał tak jak przepiórki, bo ich i kilka na dzień ugonił; a tak był mocny, że z zającem starym związawszy się i udusiwszy go, to czasem poprawił się, i na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosił go od ziemie jako kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł. Do myślistwa zaś z charty rozmnożyłem sobie gniazdo od brata mego, pana Stanisława Paska z ziemi Sochaczewskiej, które charty były i rosłe i piękne, a przytém tak rącze, że nie trzeba było nigdy zmykać do zająca i do liszki, tylko jedno któregokolwiek na przemian, jednak do każdego zająca insze, a nigdy zając nie uciekł. Do wilka zaś to już pospolitém ruszeniem — i takie bywało przysłowie u myśliwych sąsiadów moich, że to nieszczęśliwy zwierz,

który się z panem Paskiem spotka, bo mu się już nie dostanie uciec. W tém zaś osobliwe miałem upodobanie, żem zawsze dzikich zwierzów tak ćwiczył, że to i łaskawe było, i ze psy przestawało, i równo swego dzikiego brata goniło. Przyjechał kto do mnie, to liszka po podwórzu z hartami igra — wnijdzie do izby, to szyc pod stołem leży, a zając na nim — spotkał-li mię też kto nieznajomy na polowanie jadącego, obaczył a tu idzie kilkoro chartów pięknych, wyżłów kilka, a tu liszka między nimi, kuna, jaźwiec, wydra, zając też z dzwonkami za koniem podskakuje, jastrząb u myśliwca na ręce, kruk nade psy lata, czasem też padnie na charcie i tak się powozi. To się ów tylko żegnał: „Dla Boga! czarnoksiężnik to! zwierz wszelaki między psy chodzi! Czego szuka? czemu tych nie szczuje, co za nim chodzą?“ Porwałli się też zając, to wszyscy za nim, nawet i ten chowany, kiedy widział że psy skoczyły, to też i on za nimi poskoczył; ale jak się tam już zając począł modlić, to wychowaniec uciekał nazad do konia, jakby mu oczy wybrał. To ludzie rozsławili to moje myślistwo na całą Polskę, jeszcze i więcej rzeczy przykładając.

---

180. RANEK W PUSZCZY.

(*p. Winc. Pola*).

Co za chłód miły! jak bogata rosa!
Jak lazur czyste i jasne niebiosa —
I woń konwalii błąka się po łące,
A tuż przy oknie pachną bzy kwitnące.

I jakiś ptaszek wśród liści ukryty,
I niepłoszony widać w tej ustroni,
Półsenną piosnką pozdrawia te świty,
Kąpiąc się w rosie i w porannej woni.

Pojmuję, jako w raju człeku było,
Gdy niepłoszone oglądał zwierzęta;
Kiedy bez grzechu wszystko społem żyło,
Niewinność wszystko owiewała święta....

Cyt! wszak-to słowik? z zielonych krużganków
Ostatnie może już pieśni wywodzi.

Iluż-to takich świat mnie zbawił ranków!
A czém tę stratę sercu wynagrodzi?

Za jeden oddech rannego powiewu,
Za jednę zwrotkę słowiczego śpiewu,
Za jeden promień wschodzącego słońca,
Oddałbym wszystko z początku do końca.

Wszystko, co tylko świat dawać przyrzeka,
Co tylko swoim wybranym zgotował;
Byle choć czasem obaczyć z daleka,
Co Bóg w szczęśliwém ukryciu zachował.

---

181. CHÓW SOKOŁÓW.

(*p. Kazimierza Władysława Wójcickiego*).

Sposoby, któremi sokolnicy ułaskawiali dawniej sokoły, godne są uwagi. Ażeby usposobić sokoła do nauki, trzeba mu było odjąć wrodzoną dzikość, do czego przerywanie snu było jedynym środkiem. Sadzono go zwykle na obręczy wiszącej z powały na sznurze, a przeto mogącej się poruszać. Jeśli sokół choć cokolwiek ukazywał chęci zasypiania, trącano i rozkołysowano obręcz, przez co zagrożony spadnięciem nie mógł usnąć. Tym sposobem męczono go przez trzy lub cztery dni, a myśliwi mieniali się w czuwaniu, by się i chwili nie zdrzymał. Przez ciągły i tak długi niewczas wpadał sokół w rodzaj odurzenia, zapominał dawnego stanu, i zwolna przyzwyczajał się do otaczających go osób i swojej niewoli, a oraz stawał się pojętniejszym i sposobniejszym do mającej nastąpić nauki. Głód znowu w tej nauce był jedynym środkiem, a sokół musiał sobie najmniejszy kęs chleba lub mięsa dobrém sprawowaniem zasługiwać. Nogi objęto mu w skórzane kajdany, a metalowa obrączka w około tychże nosiła napis, wyrażający nazwę i godność właściciela. Wieszano mu dzwonek u szyi, by dosłyszeć, gdzie się znajduje. jeśli się zadaleko zapędził na polowaniu; lubo najczęściej sznur długi, którego koniec spoczywał w ręku myśliwego, utrzymywał na wodzy lot i zapał sokoła. Częste niewczasy coraz bardziej dzikość jego poskramiać musiały; a jeśli jeszcze niekiedy uporczywym się okazywał, za karę go głową w zimną wodę wtrącano. Z początku

szczwano go na nieżywe lub wypchane ptastwo, a gdy już usposobił się do tego, na prawdziwe brano go łowy. Wtedy myśliwy niósł na ręce swego sokoła, który kapturem miał zakryte oczy: gdy ukazało się co z ptastwa, zdejmował nagle kaptur i puszczał sokoła, który w jednym pędzie dościgał zdobycz i w ostrych szponach niósł ją złożyć u stóp swego pana.

Przywiązanie myśliwca do swego sokoła często do pieszczot przychodziło. Dawał mu pochlebne nazwy, szyję zdobił kosztowną obrączką; przyczém sokół codziennie był kąpany, by utrzymał lśniące pierze.

W Polsce chwytano sokoły na wabia. Myśliwy wychodził z siecią mocną i zapasem gołębi białych albo czarnych, świeżo wziętych z gołębnika; sieć obciążał funtem ołowiu, przymocowywał kordem do ziemi, kiedy miał nadzieję bystrego ćwika ułowić. W on czas sokoła, rzucającego się na zdobycz, siecią chwytano.

Był między używanemi do łowów sokołami rodzaj zwany dziwoki, który potrzebował więcej niż zwyczajny sokół baczności, przy puszczaniu go na ptaki, gdyż nie można mu było chociaż swojemu zupełnie ufać.

Chowano młode sokoły, tak zwane gnieźniki, na wieży albo na poddaszu i w izbie, byle nie ciepłej; chowano je na drzewie, a gdy karmiono, kołatano silnie. Młode sokoły wylatywały swobodnie, same łowiły ptaki, przez co stawały się górniejsze i łowniejsze; a gdy chciano je uczyć, w zastawioną siatkę złapane szły na naukę. Dziwokich, jako lżejszych, szlachta częściej do łowów niemal codziennych używała.

Nie małego baczenia wymagał chów sokołów przez zimę. Gdy w jesieni nastały dni chłodne, dżdżyste, już łowy ustawały, a przy coraz zimniejszym czasie opatrywano komorę ciemną, a czystą, gdzie je osadzano. Kto nie miał oddzielnej komory, robił osobną przegrodę w izbie, albo chował sokoły w skrzynię wielką, mając szczególną na to uwagę, aby ich przy zamiataniu pył i kurz nie dochodził. Dawano im jeść na chędogiej desce, a częściej i z ręki, żeby nie dziczały. Dziwoka przywiązywał myśliwy u klocka na czystej ziemi w oddzielnej, cichej i ciemnéj komnacie, kędyby nie przechadzano się często; po trosze nosił go na ręku, i starał się usilnie, aby go ptak poznawał zawsze, to przez pieszczoty, to przez noszenie i karmienie z ręki. Tak sokołów jak i dziwoków nie prędzej używano do łowów aż około

Zwiastowania P. Maryi w marcu. Sokoły zwykle puszczano na zające i dzikie kaczki.

---

182. GRZYBOBRANIE.

(*z powieści „Pan Tadeusz“ p. A. Mickiewicza*).

Był gaj z rzadka zarosły, wysłany murawą;
Po jej kobiercach, na wskróś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubiór — istne duchy,
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową — inni jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi;
Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny, kroczy
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy;
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony,
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni;
Właśnie widzieć w nich obraz Elizejskich cieni,
Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojnie, ciche, lecz posępne.

Któżby zagadnął, że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi?
Sędziowscy towarzysze — z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrząd grzybo-brania.
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
Dla tego, nim ruszyli za sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,

Służące do przechadzki opończe płócienne,
Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomiane wdziali kapelusze:
Ztąd biali wyglądają jak czyscowe dusze....

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice;
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy,
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku,
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
Lecz nie są bez użytku; one zwierza pasą,
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie;
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona,
Purchawka, jak pieprzniczka — zaś innych imiona,
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone — a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy;
A kto się schyla ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Rozgniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Telimena ni wilczych ni ludzkich nie zbiera,
Roztargniona, znudzona, dokoła spoziera
Z głową w górę zadartą: więc pan Rejent w gniewie
Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie:

Naokoło puszczami ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem;
Leszczyna, jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna czarne usta tuląca do malin;
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce.

Wtém dzwon zadzwonił. Echem z głębi cichych lasów
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów —
Odgłos to był szukania i nawoływania,
Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania.

---

183. POLESKIE PUSZCZE.

(z dzieła „Wspomnienia Wołynia i Litwy“)

(p. J. I. Kraszewskiego).

Gdzież dzisiaj one puszcze nasze, szumiące wśród uroczystej ciszy wieczora? Teraz odkryte bagniska i trzęsawy, które porasta szorstki wiszar i bobownik, gołe, smutne, obrosłe po brzegach choiną niską i krzywą, zdają się placem potyczek duchów, które zbiegły z przerzedłych puszcz w gęste, wysokie trawy i osoki. Gdzieniegdzie kępina gnidnikiem i mchem pokryta zdaje się wyzywać nogi myśliwca, by je zdradliwie osuwając się w niezgruntowane trzęsawiska pogrążyć. Owdzie woda na pozór czysta dłoń twą nęci; lecz po jej brzegach poznasz, że rudą przesiąkła, a barwa i woń do ust donieść jej nie pozwolą. U zgniłych palów, które starych łąk granice znaczyły, znajdziesz w próchnie wylęgającego się węża; na każdej kałużce żabę z otwartemi oczyma, wpatrującą się w ciebie; na każdém źdźble trawki uwieszonego komara, który cię nudzi piosnką huczącą wedle ucha, i otacza chmurą żądeł nieodegnaną. Dziwnego kształtu muchy, koniki i jak pył drobne stworzenia, które na wiosnę wciągnione z tchnieniem zabijają bydło, unoszą się tu gromadami, to pojedynczo, to w słupach ogromnych wirując w górę, kołysane wiatrem wieczornym.

Ale wróćmy do lasów. Tu niemniej dziś smutno i ciężko spojrzeć dokoła. Żadna sosna wyniosła, żaden dąb stary, zielonej głowy nie podnoszą w górę. Na pobojowisku zostały tylko młode brzezinki, żółta, wypalona i nieżywa sośnina, łoza, trzmielina, krzak olszyny z pniem czerwonym w pośrodku, białe trzaski osiczyny i sokoru, lub skrzywiona, wychylona, poopalana zewsząd, na nic już nie przydatna, a na tym cmentarzu leśnym sama jedna, dogorywająca choina. Poniżej łoże liści przegniłych przebijają pokorni lasów mieszkańcy, najdłużej pozostali, bo najmniej potrzebni: krzaczki, bagna, wrzosy, czernice i kruszyny, wyglądające bojaźliwie i tulące się do pogniłych pni dawnych swoich opiekunów. Natomiast bujnie strzeliły roczne kwiaty, które zleciały się na żyzną ziemię jak na pastwę — ich krasne główki kołyszą się wesoło, jaśniejąc mnóstwem barw, z tą żałobą lasu dziwnie sprzecznych. Lecz gdzież upadek jednych nie jest powstaniem drugich?

Zgniłe kłody, obsypane trzaskami doły, z których pnie smolne wyjęto, ogniska stare popiołami użyznione, już zarasta zieloność nowa, już pokrywa życie młode. Szybko puściły się smukłe białe brzezinki na wyższych miejscach; gdzieniegdzie krzaczysto i karłowato próbuje dąb sił swoich, męcząc się, aby z niewłaściwej gleby wydobyć się do żywota. Sosny podeptane, poobjadane i pokoszlawione, skarlałe wielkich dziedziców potomki, wygrzebały się także na piaskowych wydmach, gdzie bydło mniej chodzi. Ale to już nie owa stara, nie wiekowa puszcza, która tu wprzódy rosła!

Przechodząc te zgliszcza i rumowiska, nie spłoszysz zwierza, nie zaszlepie ci ptak nad głową, nie posłyszysz głosu dawnych mieszkańców lasu, którzy daleko gdzieś polecieli słać nowe gniazda — tylko kaczka wędrowna kwaka z żéru wracając, tylko czarny bocian leśny zaszumi skrzydły, lub czajka swą żałosną wyśpiewa piosnkę. Zarosłe jamy wilcze, rozwalone stare szałase myśliwych, zgliszcza uciekłych chałup, spotykasz tylko po drodze.

Taki często obraz wyniszczonych lasów Polesia, chociaż nie wszystkie do tego stopnia zgładzone zostały. Lecz nie daj tam Boże budnika! Wkrótce przetrzebią się ostepy, spadną bez użytku najpiękniejsze drzewa, powypalają się gąszcze i zapusty — bo niema dla lasu nic szkodliwszego nad Mazura.

184. BARTNIK POLESKI.

(*z Gawędy Wład. Syrokomli*).

O! państwo nie znacie Poleskiego rodu —
U nas pszczoła to roskosz, to bogactwo człeka.
I mój dziad i mój ojciec, i ja sam za młodu
Znałem się na pszczelnictwie — Ot będzie pasieka!
Ujrzałem rój — skoczyłem żwawo i radośnie,
Zebrałem go do czapki, jak powiedzieć słowo —
I wydrążywszy kłodę w niedalekiej sośnie,
Wpuściłem moje pszczółki na sadzibę nową.
I począłem rozmyślać: kiedy Bóg pozwoli,
Może się więcej rojów nadybać gdzie zdarzy,
Zaprowadzę pasiekę i w mojej niedoli
Będę leśny gospodarz, cudo gospodarzy!

Nasze bo lasy, to jak koniec świata!
Ciemna, wysoka i rozległa puszcza;
Tam nie objechać przez całe trzy lata,
A tam zabłądzić niech Bóg nie dopuszcza!
Nie zhukasz ludzi, nie trafisz do domu.
Echo zamiera, choć puka i stuka;
Tam całe życie przesiedzisz kryjomo,
A nikt i z psiarnią ciebie nie odszuka.
Nikt nie zagości — chyba czasem w lecie
Syknie gadzina w mokrym oczerecie;
Chyba przy zdroju u mokrych wybrzeży
Niedźwiedź zamruczy, albo lis przebieży;
A zresztą cicho — sam jeno bór stary
Szumi odwiecznie i chwieje konary.

O! w takich borach urodzaj bogaty
Na wonne zioła i miodowe kwiaty!
W spróchniałych drzewach, bez ludzkiej opieki,
Pszczół co niemiara lęgnie się i roi:
Więc by je zebrać do przyszłej pasieki,
Chodzę uważnie od chwoi do chwoi,
I tuż przy pierwszym dalsze ule żłobię,
I tam osadzam me jeńce skrzydlate,

I sam jak pszczoła na zimę już sobie
W ogromnym dębie wydrążyłem chatę.
Przy niej zrąbawszy jodłowe polana,
Krzyż postawiłem — tarczę od szatana.
Ej! wierzcie państwo, gdzie modły i praca,
Z złemi myślami szatan nie powraca.

Nadeszła zima — mój leśny zakątek
W pośrodku mszarów zakwitnął jak wianek:
Zliczyłem ule, było ich dziesiątek —
Tu nowa praca: jak przyjdzie poranek,
Tam się oczyszcza, owdzie brzęku bada,
Czy silne pszczółki, czy karmi nie mało?
Czy się gdzie żółna lub szczur nie zakrada?
Czy się otulić od zimna udało?

Czasem zapłaczę, widząc jak przy matce
Tulą się pszczółki w wesołej gromadce —
Bo moja chata w pamięci mi stoi,
Mój ojciec, żona, sąsiedzi wioskowi —
Jakbym ich witał: o! serdeczni moi,
Jak się mewacie? czy żywi? czy zdrowi?
O! z jakiém szczęściem, o! z jaką pociechą
Gwarzyłbym, gwarzył, gdzie ludzi gromada!
A tutaj gwarzysz, to zamruczy echo;
Hukniesz — odhuknie, samo nie zagada.
Czy jęczysz we łzach, czy pracujesz w pocie,
Mógłbyś tu przebyć od wieku do wieku,
Echo nie przyjdzie osłodzić w robocie,
Nie powie tobie: pomagaj-Bóg człeku!

Lecz poco żądać, co stać się nie może?
Płakałem długo — w końcu... mniejsza o to:
Człek się odziczył borową głuchotą,
Jakby się w wilczej wychodował norze.

Tak przeżyłem na puszczy całe lat trzydzieści.
Prędko w myśli podumać, wygwarzyć w powieści,
Ale przeżyć nie prędko! — na głodzie i zimnie,
Kiedy wszystko starzało, umierało przy mnie,
Gdy dęby, które pomnę, z zieleniuchném czołem,

Poschły i poginęły — a ja nie zginąłem.
Cóż począć? — nie rzucę cię mój dobry pszczelniku?
Siekiera się jakkolwiek zostrzy na kamyku;
A podarty mój łachman niech już w kącie leży,
Bo mi kudłacz zabity dostarczy odzieży.

Co rok, gdy śnieg wypadnie w jednostajnej porze,
Kréskę na moim dębie wyciosam na korze —
Czas płynie — a ja ufny w Najwyższej opiece,
Modlę się, zbieram roje, albo barci klecę. —

W lat dwadzieścia i kilka, ach! w długim zakresie,
Trzy kopy moich barci naliczyłem w lesie.

---

185. GÓRY TATRY.

(z „*Dziennika* Podróży do Tatrów," 1853)

(*p. Sewer. Goszczyńskiego*).

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiém powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziej, swobodniejsza, udziela swojego przyjęcia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłém zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się, a wtenczas powitała nas z boku jakaś roskoszna dolina, jakaś góra naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu, czasem błysnęła Białka, rzeczułka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Minęliśmy Niebieską dolinę, polany Głudową i Klinkowę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzeliśmy się na polanie zwanej Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne plączącém się kosodrzewiem, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem! Nagi Wołoszyn, zaledwie nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Pojrzałem do koła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości. Z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie, obiecując przewodniczyć do tajemnic, których wiadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, aby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie, przez samego Boga zbudowany!

Od Łysej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż popod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilku latami było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, ktory jest jednym z wód zwanych Cieplicami, że w czasie najtęższej zimy nie zamarza. Za Białką, na uboczu góry leżała polana Białowoda; na południe szła droga ku Morskiemu oku — od zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu stawów i wpada do Białki. On właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wązka i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem; ścieszka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra — bo aniśmy spostrzegli, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kosodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się na górę, wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków przy ogromie mas dokoła siedzących. Cała jej powierznia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek. Między szczelinami kamieni przyjmowały się gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy weszli, pokazano nam w niezmiernej wysokości dwie dzikie kozy; gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki; dopiero przy pomocy szkła przybliżającego rozpoznaliśmy, że jedna się pasła a druga leżała. Nasz przewodnik opowiadał nam polowanie na to zwierzę: w tém n. p. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach u podnóża góry lub na jej uboczu; jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie — kamień nie zatrzymany niczem dla nadzwyczajnej gór spadzistości, stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców.

Patrząc na te góry, ledwo wierzyć można, iżby kiedy ludz-

ka stopa dotknęła; strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali. Zdarza się, że upragniona zdobycz będzie gdzieś tam w przepaści pod strzelca nogami: wtedy kładzie się on na kamienie, połową ciała nachylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy.

Odpocząwszy, spuściliśmy się z góry ku wodom Rostoka, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głazy i drzewa postrącane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernemi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkaset sążni owe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitszych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kosodrzewia, ujrzeliśmy nakoniec Siklawą wodę: jest-to wodospad utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum dolatywał, i rwał oczy długi kipiący bałwan, biały jak śnieg. Prześliśmy po głazach huczącego i zapienionego Rostoku, aby odtąd iść prawym jego brzegiem — przedarliśmy się przez gęstwy kosodrzewia, odpoczywając po każdych kilkudziesięciu krokach, tak przykro szła droga wciąż pod górę — już sądzimy, że jesteśmy u kresu... złudzenie! Do spodu Siklawej wody niepodobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczerych prostopadłych opok — musimy piąć się wyżej. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej jeszcze nie było dotąd, bo po uboczach to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, doścignęliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Siklawa woda. O sto może kroków od nas huczał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Od spodu do wierzchu tego wodospadu można liczyć pięćdziesiąt sążni. Lecąca woda połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa w pobliższe miejsca. W niektórych położeniach słońca

zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze. Dziwniejsze zjawisko ma wydawać zima. Niepodobna wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności i ozdób pod tysiącznemi kształtami.

---

186. DO TATRÓW.

(p. W. Pola).

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i żrenica wiecznie tutaj gością;
Z wami bo nigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.
Bo nie wziąć myślą, co oko zakréśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli.
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić.
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą.
I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści opłatał ścieszkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami —
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie —
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie.
A wy strażnice śniegami świecące,
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo.

---

187. MORSKIE OKO W TATRACH.

(p. Sewer. Goszczyńskiego).

Morskie oko, dla swojej przystępności, jest jedném z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a nie

jeden opisuje. Ma ono swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest-to wielka massa wody, zamknięta w jeziorze okrągłém, którego powierzchnia zajmuje siedmdziesiąt morgów; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym zaledwo dojrzeć można — tak zmniejszoném wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, wsiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy — w pół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli. Później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego oka jest niezmierzona. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi. Bądź co bądź, głębokość jego w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona. Na środku Morskiego oka jest wir wielki. Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał nam człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kociej podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba nieznana im porywała pijące owce, a szczególniej czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Dwoma głównie przedmiotami, godnemi widzenia, odznacza się okolica Morskiego oka. Pierwszym jest jezioro zwane Czarny staw. Leży ono we wschodniej stronie Morskiego oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższém mniej więcej o sto sążni. Jest-to jakby ustęp w skałach Morskiego oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się potokiem nakształt wodospadu, i spływa do kotliny Morskiego oka. — Od południa znowu stoi góra skalista, Mnichem zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego mnicha z odrzuconym kapturem; a dłuższe wpatrzenie się daje nawet rozpoznać twarz, brodę, i inne części ludzkiej postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie oko. Oprócz wodospadu z Czarnego stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegliśmy wcale. Zdaje się, że główny zapas wody tego je-

ziora na dnie jego być musi. gdyż odchód wody tworzącej rzekę Białkę każe się domyślać obfitego jej przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo z wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro, i w chwili kiedy głuchnie na jednym punkcie, odzywa się w drugim z tém większą siłą.

---

188. SOBÓTKI (GÓRALSKIE).

(p. Sewer. Goszczyńskiego).

Zachód mniej coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;
Ale na wyżni rośnie gwar i praca:
Pnie się ku górze święty stos, wspaniały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy;
Czterej górale głownie rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnemi podmuchy.

Grają płomyki jak żądła wężowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki:
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki;
Na niższych z razu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem —
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały,
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu przesunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
I już panuje całej okolicy.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.

Na bór daleko spadła ćmy zasłona —
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoi już w koło tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
Wszystko tu naraz uderzyło głosem,
I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.

W osobnym tłumie zebrali się starce.
Oczy ich żywsze przy brzęczącej czarce;
Z nimi niewiasty i dzieci zasiadły,
I czujne kundle przy nich się układły.

Do koła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala;
Półwidne kształty za kształtami lecą,
To ćmą, to blaskiem, jak płynąca fala.
Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika,
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

A wtém od starców głos o posłuchanie —
Kiczora mówi — głowa dawno siwa,
Zamożny gazda na wielkiej polanie,
Co ku wschodowi w piękne niwy spływa
Z góry przezwanej mianem jego rodu;
We czci on wielkiej u swego narodu.
Na jego okrzyk błyśnie, mówią ludzie,
Więcej watażek*), niż ma owiec w trzódzie.

„Dzieci! — zawoła — taniec ja wasz chwalę,
Chwalę te pieśni: alcż wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,
Wstyd zapominać swej ziemi w zabawie.
Znam wiele świata, widział ja za młodu
Nie mało ludzi, nie jednę epokę,
Kiedym przemierzał ślad do Carogrodu,

*) watażka, siekierka góralska.

Gdzie się już morze zaczyna głębokie:
Lecz nie ma nigdzie gór jak nasze hale.
Ani góralów jak nasi górale!
Owóż o halach zaśpiewajcie dzieci,
Na nutę, co to od skał nazad leci;
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie."

Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie.
I chętnie skłonni ku cichszej zabawie.
I ci i owi zbiegli się w gromadę,
I coby śpiewać, złożyli naradę.
Po krótkim gwarze rozwarło się koło:
Wyszły trzy dziewki ze wstydu rumieńcem,
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło;
A gdy skończyli niedługą przegrywkę,
Dziewki z kolei zawiodły tę śpiéwkę:

„Strzeżcie się, o! matki,
Tulcie wasze dziatki:
Pod okienkiem mara
O zdobycz się stara:
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona.

„Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziécię,
I zniknie zdradziecko.
O! matko, strzeż dziecko!

„Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna,
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca,
Jako Dziwo-żona!

„Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie;
Tańczą z tobą mary;
Twe hale, pieczary;
Jak Krywan wysoki,
Tak twój świat głęboki.
Skoroś Dziwo-żoną!“

Ucichły kobzy, ucichły i dudki,
A ledwo skonał dźwięk ostatniej wrótki,
Około stosu powstał okrzyk „Salka!
Salka nam teraz zaśpiewać powinna.“

Na to wołanie wybiegła góralka,
Smukła jak jodła, niby sarna zwinna;
Żywe jej oko gra światłem płomienia,
Śpiew jej słowiczy dzwoni od niechcenia;
A jednak skały zdaje się przeszywać,
A jednak światło zdaje się rozlewać:
Cóż, gdy dla śpiewów strun gęśli poruszy?
Wtenczas myśl pieśni, smutna czy wesoła,
Wylata kształtem czarta lub anioła,
Porywa serce i tańczy po duszy.
Salka gęśl wzięła — przegrywek jej krótki —
Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:
„Cóż wam zaśpiewam? — o chmurnej dolinie.
I tak zaczęła bez kobzy i dudki:

„Roskoszna, jedyna,
Pochmurna dolina!
Dla całych Tatrów ponęta!
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

„Roskoszna, jedyna,
Pochmurna dolina.
Od całych Tatrów kochana!
Lecz na niej mgły gęste,
I deszcze w niej częste;
Dolina często spłakana.

„Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajca kolébie,
Panuje straszny duch — potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

„Siedziba szatana,
Skarbami zapchana;
W niej srebro, złoto jak śmiecie.
Nie złota duch patrzy:
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

„Kto dosyć wytrwały
Aż w głębią pójść skały,
I na strach mocną ma głowę;
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność,
I bierze skarbów połowę.

„Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy urywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe!“

Ogień Sobótki jak południe pała —
Na szczycie nieba wczesna świta zorza —
Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź choża,
Poważnych starców rozmowa ustała,
I było chwilę jakby śmierć powiała...

---

189. GÓRY MOSZNIAŃSKIE*).

(*p. Michała Grabowskiego*).

Klucz Moszniański leży cały prawie w lasach. Widzieć tam rękawy trzęsawisk czyli Irdyniów, rzeczkę Mosznę, miasteczko Moszny, i pamiątkę z historyi zaburzeń kozackich Kumejki. Wzgórza okoliczne piętrzą się jedne nad drugiemi dosyć wysoko — okryte są gęstym lasem, w większej części dębowym — odsłaniają ze swych wierzchołków rozległe i błękitniejące widoki na dziką, leśną, ale malowną okolicę. Przeznaczone są wszystkie te leśne góry na zwierzyniec. Na pochyłości ich, położonej naprzeciw miasteczka i Dniepru, postawiono wygodny dom wiejski, u spodu wzniesiono domy i budowy różne dla pomieszczenia rządu całego klucza; i odtąd w miejscu niedostępnej głuszy stanęła nowa ozdobna osada, która nosi nazwisko Gór mosznia ńskich. Park ma w długości swojej przeszło milę.

Ustronne położenie tej okolicy, drogi leśne i piaszczyste, sprawiają, że żadna tędy wielka droga nie idzie. Mogę sobie przyznać, ze pierwszy podobno, z powodu samej ciekawości i miłośnictwa ogrodów, odwiedziłem park tutejszy. Kto nie był w Anglii, a chce mieć wyobrażenie prawdziwego angielskiego parku, niechaj przyjedzie do Moszen.

Ze wszystkich prawie stron dojeżdża się tutaj lasami. W tak zacienionej drodze trudnoby postrzedz, kiedy się podjedzie pod góry, gdyby na przemian ukazująca się i chowająca biała budowa, wieża Światosława, nie ostrzegała podróżnych, że zrównali się z początkiem a raczej z końcem zwierzyńca, w którym, na ostatnim wzgórku leśnego łańcucha, wzniesiono ten pomnik.

Podróżny nie opuszcza podnóża gór. Z lewej strony panują nad nim prześliczne ale strome wzgórza, najpiękniejszym lasem porosłe — po prawej ciągnie się rozległa łąka, na niej wioska — dalej, naprzeciw środka ogrodu, na drugiej stronie łąk, miasteczko Moszny. Z tamtąd bieli się nowa cerkiew z wysoką wieżą i kopułą, która wyglądając z pomiędzy cienkich bizantyńskich wieżyczek, ma kształt srebrnego wazonu na podsta-

*) Zwierzyniec nakształt parku ogromnego, na Ukrainie, w pobliżu miasteczka Moszen.

wie. Wszystko to miga wśród drzew rozsianych gęsto po łące, już-to dzikich olsz i dębów, już ogrodzonych klombów topoli.

Źródło wychodzące z góry, kształtnie obmurowane, obsadzone wijącemi się krzewy, zapowiada zbliżenie się do miejsc, które ręka ludzka staranniej ozdobiła. Zaraz też dalej pokazują się budowy należące do parku — wszystko po wiejsku, ale kształtnym, nie krajowym wzorem stawiane, z ładnemi gankami, z wystawkami, oknami w poddaszach, ocienione drzewami i powojami. Coraz gęściejsze domki tworzą nakoniec ulicę, i tu się zwyczajnie powozy przyjezdnych zatrzymują. Przed przybyłemi otwierają zaraz uprzejmie nie tylko ogród, lecz i dom, i spotyka się zazwyczaj zaproszenie, aby go zająć na czas pobytu. Z przewodnictwem dodanego sługi, albo czasem w towarzystwie samego zawiadowcy gór, udają się powozy przybyłych ku pałacowi. Przez lekką bramę wjeżdża się do właściwego parku. Droga wjazdowa daje już okazałe wyobrażenie o miejscu, które przyjeżdżamy zwiedzać. Od razu spostrzegamy, że to nie ogród o zwykłych wymiarach. ale cały kraj jest przed nami. Góry lasem okryte wyzierają ku nam jedne z za drugich. Droga jedna tylko, ale szeroka i najpoprawniejsza w rysunku, snuje się śmiało między górami i wądołami. Tutaj drzewa gęste tworzą ciernistą ulicę — przejeżdżamy mostem nad głębokim parowem — na stronie ładny domek z dziedzińcem miga przez drzewa — znowu jedziemy ciemną ulicą, podnóżem góry okrzesanej zapewne wielkim kosztem, nim ją tak pięknie okrążyły bluszcze i czerwieniące się kaliny. Stajemy nakoniec przed domem. Jest-to dom tylko tymczasowy, na krótki pobyt wystarczający, prosty, drewniany — jedna sień jego daje wejście do głównych pokojów i na krużganek, z którego drzwi po drzwiach otwierają się do tyluż osobnych izdebek, ze wszelkiemi wygodami dla przyjezdnych gości. Dom otaczają zewsząd ganki, osadzone pnącemi się różami; samych ścian domu wcale nie znać za rozpiętą na kratach białą akacyą; dla drzwi jedynie i okien wystrzyżono miejsca. Lekkie ogrodzenie naokoło domu zakryły zupełnie nawisłe krzewy; ścieszek nie zostawiono więcej, tylko tyle, ile wymagała konieczna potrzeba - a na samej murawie, pod ogromnemi drzewami, umieszczono ławki do spoczynku.

Położenie nie zostawiło miejsca na rozległe trawniki — tém też wygląda ustronniej.

Najpiękniejszy obraz, jaki leży przed oknami gościnnego

pokoju, jest-to widok na zielone, kępami drzew ubrane łąki; potém miasteczko Moszny, po stronach lasy i wioski, dalej Dniepr, dalej jeszcze Zadnieprzańska okolica, nizka, z pól, lasów i piasków złożona, coraz błękitniejsza, coraz mglistsza w oddaleniu. Pośród miasteczka Moszen bieleje nowa cerkiew, a wieża jej wysoka, czworograniasta, tak niepodobnej budowy do zwyczajnych. w naszym kraju dzwonnic, daje szczególny wyraz całemu widokowi. Ciekawość ciągnie czémprędzej do zwiedzenia parku, co jednak nie łatwo byłoby uskutecznić bez uprzejmej pomocy osób miejscowych. Miejsca bowiem takiej rozległości schodzić niepodobna, a jeździć ciężkiemi podróżnemi powozami po tutejszych górach i niewygodnie i niebezpieczno. W tej samej chwili, kiedy podróżni żądają udać się w zwierzyniec na przechadzkę, zachodzą umyślnie sprawione do tego powózki, małe poczwórne kabryolety, dla lekkości oplatane siatką z drótu; każdy w zaprzęgu mający cztery kucyki z wystrzyżonemi po angielsku grzywami, od dwóch małych żokejów tak zręcznie prowadzone, że doróżki toczą się z prędkością wiatru. Przyznać należy, że jest coś czarodziejskiego w pierwszém wrażeniu, którego się doznaje, czując się unoszonym tak bystro po malowniczych ogrodowych drogach, między licznemi widokami wypieszczonych trawników, klombami drzew, bukietami najpiękniejszych kwiatów, a nawet po dzikszych ustroniach zwierzyńca. Miłośnicy konnej jazdy mogą wybierać między powózkami a wierzchowemi końmi.

Zaraz za domem przejeżdża się most na głębokim parowie. Stoją w tém miejscu na pewnym rodzaju szańca ustawione działa, w ostatniej wojnie tureckiej wzięte w Warnie, i darowane ich zdobywcy właścicielowi ogrodu. Dalej nieco zastanawia uwagę tak zwana rotunda, na szczycie wzgórka uwieńczonego półkolem kolumn jońskich — schody kamienne wiodą do tej nieskończonej czy zrujnowanej świątyni. Ztamtąd widać okólne lasy, a u podnóża gór zabudowania gospodarskie, domki, studnie, składające nader ożywioną i malowną fermę.

Jedziemy w las. W pewnej odległości ogrodzenie, i strzyżone wrota ostrzegają, żeśmy wjechali we właściwy zwierzyniec, mieszkanie zwierząt. Pokazują się tu niebawem pasące się swobodnie trzody sarn i danieli; bliższe drogi, patrzą ciekawie ale bez bojaźni na człowieka. Zwierzyniec jest rozległy. W głębokości jaru nad wodą widać zagrodę, gdzie dają paszę zwierzętom

zimową porą. W środku lasu jest chata prosta, ale zamknięta ogrodzeniem z żelaza i drótu — to bażantarnia i mieszkanie lam. Lamy są to maleńkie wielbłądy; na nich wszystkie ciężary w Andach przewożą.

Jedziemy znowu — i po chwili zatrzymuje nas śliczny, dwupiętrowy domek gotycki. Z każdej z czterech stron inaczej on wygląda: zewsząd słupy gotyckie, wschody i galerye tak są bluszczem obrosłe, że trochę tylko ścian, drzwi i okien ustronnych widać. W środku mieści się całe gospodarstwo, jakby do stałego zamieszkania. Małe tu pokoiki, są jednak nazwyczaj miłe, posadzki z tafli dębowych, odrzwia dębowe, ściany do połowy także dębowe; stoły wreszcie, stoliki, ławki, krzesła, łóżka, wszystko dębowe, gotyckiego kształtu. Na ścianach dobre malowidła hollenderskiej szkoły. Z okien widoki na las i rozstęp szeroki między górami, gdzie w odległości znacznej oko ginie.

O ćwierć mili dalej spotyka się wysoką mogiłę w lesie. Powiadają nam, że ten kurchan nazywa się Didową horą, to jest górą starca, który kiedyś tutaj ostatnie chwile zgrzybiałości przepędził: lecz dopiero na szczycie mogiły poznajemy, dlaczego sobie to miejsce wybrał. Jest to odludna pustynia, ale tuż w dole leży klasztor, monaster mosznogórski, słynny na Ukrainie i niegdyś nadaniami wielu hetmanów uposażony. Patrząc z mogiły starca, klasztor widzi się prawie pod nogami jak w studni.

Najdalsza i poniekąd najważniejsza przejażdżka jest do wieży Światosława. Można tam jechać kilku drogami i dołem, na górę Zofii i Jar pokuty.

Jar pokajania czyli pokuty, jest to głęboka kotlina między górami. Kilkanaście oddzielnych wzgórków kąpie swoje stopy i przeziera w wodzie, która głąb doliny zajmuje. Jest to jedyna woda w parku Moszniańskim, i szkoda że tak mała, bo zaledwie wystarcza do napojenia trzód leśnych tutejszego zwierzyńca. Z wyższych pagórków widać wprawdzie Dniepr, ale jest on w takiém ztąd oddaleniu, że wydaje się tylko jak wstęga błękitna; nie ochładza miejsca ani ustraja widoku. Obszerny nad tą wodą rozdół między górami nosi nazwę jaru pokuty, od pokutowania w nim jakiegoś przed laty hajdamaka. Czasy wielkich zbrodni bywają razem czasami pokutniczej skruchy. Może to był wreszcie starzec, który bez ciężaru na własném sumieniu, pokutował za złości i przestępstwa nazbyt w jego czasach roz-

powszechnione. Do niego-to mógłby się stosować ten piękny obraz poety:

Z początkiem postu, z murów klasztoru
Idzie pustelnik Maxym do boru,
I jak powietrzny ptak, polne zwierzę,
Z rąk Opatrzności swoję karm bierze:
Tu plaster miodu, tu pozostałe
Po jeżu leśne jabłka dojrzałe,
Tu orzech pełny. Stanie nad rzeką,
Do rąk mu same ryby przycieką;
Grzyb coraz nowy rośnie po lesie —
A Maxym oczy do nieba wzniesie,
Do ziemi ugnie korne kolana,
I jak bóbr płacze każdego rana.

Gdy mu wiatr odgłos dzwonu przyniesie,
On na najwyższe drzewo wstępuje,
I patrzy — patrzy — gwiazdą w obłoku
Peczerskiej Ławry szczyt się maluje.
Tam tysiąc czerńców hymny odśpiewa,
Tysiąc kadzideł wonie rozlewa;
I niebo zda się nad Ławry szczytem
Lżejszym, jaśniejszym świecić błękitem,
Jak namiot, w którym sam Pan Bóg żyje.
Maxym się modli, a serce bije
Tak nagle w piersiach... a w jego skroni
Taki się żywy ogień rozpłoni,
Że wnetby zgorzał, gdyby ochłody
Czystej krynicy nie dały wody.

Na noc sosnową kłodę zażega;
Słup gorejący nad las wybiega —
Maxym uklęka i głośno czyta
Święte pisanie — Wszelki twór chwyta
Niebieskie słowo — Patrzaj, o! dziwy...
Siadł przy ognisku, i dzik straszliwy
I żubr, i niedźwiedź, i gad wszelaki,
Nawet powietrzne zbiegły się ptaki —
Milcząc słuchają — a Maxym czyta...

Ale gdy ranna jutrznia rozkwita,
Gdy dzwon doleci, gdy amen rzeknie,
I zwierz, i ptastwo, i gad ucieknie.

Góra Zofii jest-to jeden z tych wierzchołków gór, z których się składa cały łańcuch. W tém miejscu osiągnęliśmy szczyt tamecznych wyżyn — i na obie strony zasiniał nam rozległy, bezbrzeżny prawie widok. To panorama było zachwycające i niespodziewane. Widok w głębszej części granatowy i siny — w bliższych oko widzi same schody gór i prawdziwe morza lasów.

Na wierzchu ostatniego wzgórza od wschodu stoi wieża Światosława. Jest-to wielki słup gotycki z latarnią na szczycie. Podstawa jego trójkątna, dwupiętrowa, gdzie są sklepione sienie, wejścia i schody, a zewnątrz blanki trzech narożnych wieżyczek. Ze środka wznosi się sam słup, wewnątrz którego jest sto kilkadziesiąt stopni prowadzących do szczytu i jeszcze kilkanaście od blanków szczytu do latarni. Którego-to Światosława nosi ta wieża imię, nie można się było dowiedzieć: najpodobniej że syna Olgi, który jest jakby paladynem starożytności ruskich. Ogień palący się po nocach w latarni wieży Światosława, jest wybornym symbolem poezyi, błyszczącej w zmierzchach historyi kijowskiej, którą słusznie założyciel tego parku pożądał ozłocić swoje romantyczne lasy i góry. Sama wieża ze wszystkich stron wygląda malowniczo. Wysokie dęby u spodu wydają się jak karłowate krzewy — w niedojrzanych opodal lasach leżą wioski, cerkwie, klasztory. Na prawo rościąga się dolina rzeki Moszny, a na lewo bagna Irdynia. Te ostatnie błyszczą znacznie i w wielu miejscach wodą — i wątpić nie można, że w czasie rozlewów wiośnianych, a nawet w lato dżdżyste, jest dostatkiem zwierciadeł wody wśród nieprzebytych lasów. Wtedy nic już nie brakuje widokowi.

Wspaniały park i zwierzyniec Moszniański zasługuje ze wszech miar na to, aby był zwiedzany od ciekawych miłośników ogrodów i przyrody. Bo chociaż co do upiększnień, jako ogród, ustępuje wielu innym, ale jako zwierzyniec, z położenia swego i rozległości jest najpierwszym niewątpliwie w naszym kraju, a może i jedynym w całej Europie.

190. BURZA.

(z poematu „Pan Tadeusz" Ad. Mickiewicza).

Owe obłoki ranne, z razu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały; ledwo słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej;
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej;
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy — i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi,
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale — teraz stoją nieruchome,
I poglądają w górę najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sybilskiej Nioby*),
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powraca leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając trawę do domu ucieka.
Buchaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.
Krowa coraz ku ziemi wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.

---

*) Niobe, postać mitologiczna matki, która z boleści po stracie swoich dzieci skamieniała.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy:
Tylko wrony stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli,
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;
Lecz i te przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała,
Jaskółka, czarny obłok przeszywa jak strzała.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.

Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem;
Jeden za drugim lecą niosąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po polach, mącą do dna wody w stawach;
Wpadły na łąki, gwiżdżą po łozach i trawach; —
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów — wiatry wyją,
Upadają na role, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu;
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy;
Co krok w szerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie
A już deszcz wciąż pluszczy,

Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtém rykły pioruny —
Krople zlały się razem: to jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.

Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy ciemniejszą zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy, na kształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo, i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.

Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie...

Aż się uspokoiło wszystko — tylko drzewa
Szumią około domu, i szemrze ulewa.

---

191. OPISANIE ŚNIEŻNEJ ZAMIECI.

(*z powieści p. t. „Wnuczęta“ p. Zyg. Kaczkowskiego*).

Kto nie był nigdy na Podolu wśród tęgiej zimy, i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się z ziemi, i potém pędzą z całą wściekłością dzikiego żywiołu przez step rozległy, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie zdoła wyobrazić, co to jest burza dla wędrującego stepem podróżnika.

Taka burza zdybała w drodze Racibora, na szerokiej wydmie, miotając całemi płachtami śniegu, tak iż nie widać było naokoło ani wsi, ani lasu, ani drzewka nawet żadnego, tylko morze śniegu bez granic, i całe chmury takiegoż śniegu, to ciągnące w górze stronami, to przewalające się z sobą po ziemi, to przelatujące z szumem i świstem przeraźliwym ponad głowami podróżnych.

Było-to coś takiego, przy czém wszystkie burze i najwściekiejsze zawieruchy innych okolic zaledwie się mogą nazwać za-

bawką rozdrażnionej przyrody. Tam ze wszystkich stron od razu zerwały się najgwałtowniejsze orkany, i od razu zaczęły grę piekielną na stepie. Patrząc na to, nie można było poznać, co to się dzieje: w okamgnieniu bowiem zrobiło się ciemno dokoła — ziemia zdawała się drżeć i trząść z przestrachu — szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową — a zdala dochodziły uszu jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy niesłychanych harmonij, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebo, pękała ziemia, i otwierały się paszcze otchłani podziemnych. Tymczasem tutaj wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą — gdzieindziej stawały słupy śnieżne, kręcące się wkoło jak trąby morskie i sięgające do nieba — a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupą, i z zamarzłemi gródkami piasku niósł go ku światowi.

W tej też chwili było tak, że woźnica Ostafi nie widział koni przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy. Czasem cała zaspa śniegu wpadła pomiędzy obydwóch do sani — czasem cała góra biała, jakby upiór powstający z pod ziemi, stanął nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiej siły — rysak pruł śnieg przed sobą i łbem i piersiami, i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu; siwy w ciągłych szczupakach, to wskakiwał w głąb tej drogi puchowej, to wyskakiwał znów na wierzch, a sanie rączo pomykały się naprzód. Wszelako, ledwie może z ćwierć mili ujechali wśród tych wściekających się wichrów i zamieci, obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie, nie dobrze. Kto wie, co tu będzie? —

Przerażony tą uwagą Racibor, podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie — ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwém wyciem, padła prosto na nich i na konie. Nie widząc tedy nic prawie Rabor, spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniej gdzie jesteś? —

— Powinniśmy być teraz, odpowiedział, na Grafowskiej granicy, bo oto dopiero co błysnęła po prawej stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami.

— To przeżegnaj się mój Ostafi, i ruszaj! —

Ostafi też ruszył lejcami, zagadał po swojemu do koni, i znowu parł naprzód — a burza wyła coraz wścieklej i groźniej, i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło

się tak ciemno jak wśród nocy, i nie widać było nawet ręki trzymanej przed sobą. Ujechawszy znowu jakąś przestrzeń nie wielką, jeszcze się raz obejrzał Ostafi, i rzekł:

— Panie, źle!

— Cóż znowu? zapytał Racibor głosem słabym i zachrypłym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg walił coraz suchszy, a słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co tylko nie ustanie, odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i dalej! krzyknął z przerażeniem Racibor. Nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie...

— W imię Ojca i Syna! — zaszeptał Ostafi, i kuląc się coraz niżej w siedzeniu, popędzał co miał siły. A orkany miotały się jeszcze groźniej, bałwany śniegu marznącego w powietrzu z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu, podczas kiedy w górze słychać było piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących z szumem i gwizdem jakby jakieś ziemie nadpowietrzne — dołem mróz chwytał ognisty, oddech zapierał w piersiach, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor wiedział że źle, i czuł że sanie ciągnęły się coraz wolniej, i zdawało się że nawet ustawały chwilami. Chciał pomyśleć o tém, coby tu zrobić; ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do warg, oczy nie mogły się otwierać, a coraz mocniejsza senność ogarniała zmysły. Od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami łeb siwego konia i zdawało mu się słyszeć jego parskanie. Aż w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan śniegów z gwałtownością uderzył w sanie, iż zdawało się że konie stanęły. Racibor podniósł się, i wytężywszy wzrok, ujrzał rysaka leżącego przed saniami, i już przez połowę zasypanego śniegiem — koń siwy rwał się jeszcze z całém wysileniem i stawał dęba naprzeciw wichrom — a Ostafi brnął po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiej rysakiem, i szklannemi oczyma patrzał z przerażeniem na straconą ostatnią nadzieję... Na ten widok reszta krwi niezastygłej zbiegła mu się do serca — wściekła rozpacz ogarnęła go i wysadziła z sani — podsunąwszy się do woźnicy, zawołał:

— Ostafi! co to jest?

— To śmierć, panie! — wybełkotał zamarzniętym głosem, a wtém wicher wionął mu w same oczy, i przejął całe jego

ciało do kości. Ostafi zakrzepł tak stojąc po pas w śniegu. Dobił się Racibor bliżej do niego, wołał nań i trącał go ręką; ale Ostafi już nic nie odpowiadał — był-to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz, i zimny jak bryła lodu...

„Rozpacz jeszcze większa ogarnęła Racibora — podniósł oczy w górę i westchnął do Boga — a potém padłszy na sanie, puścił lejce siwemu, który z dziką prawie wściekłością rozbijał przed sobą śniegi i darł się w zmienionym nieco kierunku. Była-to chwila ostatniego zwątpienia dla Racibora. Aliści nagle rozdarły się czarne chmury nad jego głową, przerzedniała pomroka, i nie o podal minęło słabe światełko... promień Boskiego zmiłowania! Za powtórzoném migotaniem światła poznał, że miał tuż przed sobą dwór wiejski. Siwy koń dociągnął Racibora do wioski."

---

192. DROGA ŻELAZNA.

(*p. Fr. Morawskiego*).

Szerszego życia żądzą naprzód gnany,
Człowiek z powietrznej wróciwszy żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany,
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie dróty narzucił tej ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił się niemi.

Od pierwszej chwili stworzenia natury,
Brzemienne kruszcem piętrzyły się góry;
Jak stare skarbce wieki wieków stały,
I na wszelką myśl czekały.

I myśl ta błysła — zajaśniala słońcem,
Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą;
Rydwan gromem — droga strzałą.
Leci — życie, czas potraja;
Grody, rzeki, morza spaja;
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje;
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje.

Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata:
Dziś się rozdwajał żelazem,
I dziś żelazem się brata.

Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniej w świetnêm wieku dziele!
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmierzonêm świata ciele.
W każdej z żył tych nurtem wrzącym
Ogień się życia przelewa;
Na każdym wozie lecącym
Sztandar wolności powiewa.

Pędzi, pędzi, jak grom fali —
Uciekają lasy — góry —
Gdzieś tam za nim w ciemnej dali
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słonią;
Gonią za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonią!

Pędzi, pędzi w lotnym biegu,
W wielką otchłań niezmierności,
Jak lawina, piorun śniegu,
Wieść tryumfu, duch wolności.
Radość jego ogniem płonie,
Radby objąć ziemię całą;
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą!

Leć, leć — wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów,
Co nad całą massą czasów
Lotnym meteorem świeci.

Wszystkich wieków myśli śmiałe
W jego myśl się zestrzeliły;

Wszystkie chwały w jego chwałę,
W siłę wszystkie jego siły.
On już mężem był z dziecięcia,
Krwią go ochrzcił Cezar nowy,
I ten ogień przedsięwzięcia
Wlał mu swemi czyny, słowy.
Wiek ten, stary świat pokona.
Góry przeszkód w proch rozdrobi;
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy, ludy,
Rozwinął skrzydła olbrzymie —
Leci — wielkie sypie cudy —
Naprzód mu imię.

193. ŻEGLUGA NA OKRĘCIE PAROWYM

(*z „Podróży po Anglii i Szkocyi" przez Lacha Szyrmę*).

Trzy razy odbywałem podróż z Edynburga do Londynu, a zawsze morzem. Jest-to sposób podróżowania najtańszy, a nawet najprzyjemniejszy. Używają go równie oszczędni i wyrachowani w swoich wydatkach, jako i najmajętniejsi podróżnicy. Co do mnie, zawsze znajdowałem większą przyjemność na morzu. Ile razy przeto miałem odbyć jaką podróż, puszczałem się w nię zawsze okrętem. Jest jakaś niewymowna przyjemność w kołysaniu się nad odmętem otchłani, gubieniu się wzrokiem i umysłem w nieskończoności. Kto nie był na otwartém przestworzu oceanu, gdzie się traci wszystko z przed oczu, prócz nieba i wody, ten nie może mieć żadnego wyobrażenia o nieskończoności. Rzeczywiste w nieograniczonych jej przestrzeniach przebywanie ma niewysłowioną, zachwycającą ponętę.

Nie szedłem w tym razie za zdaniem Katona Cenzora *), który trzech rzeczy nie mógł sobie przebaczyć: kiedy dzień stracił na niczém, kiedy kobiecie powierzył jaką tajemnicę, i kiedy mogąc jechać lądem, puszczał się morzem. Co do ostatniego

*) Kato, filozof rzymski.

zdania, nie byłby ten cenzor na siebie tak surowym, gdyby, jak my, żyjąc w dzisiejszym wieku, widział nasze statki przewozowe na morzu, przy których okrzyczane rzymskie trzywiosłowe i czterowiosłowe okręty nosiłyby postać dziecinnych wynalazków. Nie dziw przeto, że Kato przewożenie się na nich poczytał za nierozsądek; i nie jednemu z nas, który doświadczył skutków morskiej żeglugi, na samo o nich wspomnienie ckliwo się robi. Były to liche łódki, któremi wiatry, dokąd im się podobało, miotały. W porównaniu z naszemi parowemi okrętami, są one niczém. Temi nie rządzi słabość wiosła, zmienność żagli: tchnie w nich potężna para, córa ognia i wody, które według Talesa*), miały cały świat z chaosu wyprowadzić, wszystkiemu co istnieje nadać rozmaitość kształtów, wielowładnego ducha i życie. Okręt teraz zdaje się być istotą ożywioną. Siła pary przepływa jego żyły, i nadaje mu ruch: przodem rozgramia nieprzyjazne wiatry, bokami roztrąca bałwany wściekłe. Jednej mowy mu nie dostaje, a podobnym byłby bajecznemu okrętowi Argonautów**), który jak poeci w nas wmawiają, miał przemawiać, a nawet prorokować. Kato, przewożąc się dzisiaj na parowym statku, nie dostałby kolki w boku, owszem siedziałby jak w swoim pałacu w Rzymie, i nie postrzegając że coraz dalej się posuwa, stanąłby jak cudem u zamierzonego kresu. Przytém jadłby i pił jak Lukullus***), a muzyka przygrywałaby do stołu. Płynąć teraz po morzu jest toż samo, co być w zaczarowanym zamku. Dawni nie znali tej roskoszy. Jest-to tryumf, który nasza żegluga nad dawniejszą odniosła. W odbywanych po tym wodnym gościńcu podróżach, znajdujemy w Angli zaspokojenie najwyszukańszych potrzeb i wygód do zbytku. Do zaprawy łączy się wytworność umysłowa, ucząca rozmowa z ludźmi różnych stanów i narodów, przyjemność w obcowaniu, usłużność, grzeczność w pożyciu. Kto się kocha w poważnej zabawie, zasiada w wielkim salonie okrętowym do mądrej gry szachów Kto poezyą przenosi, ulatuje

---

*) Tales, sławny mędrzec grecki.

**) Na tym okręcie, według podań mitologicznych, Argonauci pod przewództwem Jazona płynęli po odzyskanie złotego runa do Kolchidy.

***) Lukullus Rzymianin, sławny bogactwy i zbytkownêm życiem.

z Walterem Skotem w romantyczne wieki rycerstwa, lub z Irlandzkim Anakreonem Moorem w krainy tęsknej miłości i wesołych biesiad. Dzieł ich dostarczy mu biblioteka okrętowa. Kogo myśl własna a nie cudza bawi, kto goni za myślami, albo za kim myśli gonią, cokolwiek mu się nawinie, ołówkiem kreśli w pugilaresie; co później ma być ogłoszone w litewskich pamiętnikach, lub z czego mają być ułożone karty do wielkiego dzieła. Komu milsze nad wszystko próżnowanie, patrzy na wznoszący się z masztu dym, jakby chciał zbadać, w którą stronę wiatr go popędzi, lub ściga wzrokiem spłoszone z nadbrzeżnych skał morskie ptastwo, krążące na około z jękliwym krzykiem. Kto nosi troskę w sercu, pogląda, jak fala goni za falą i znika, lub w nocnej bez świadka porze patrzy srebrnym po morzu gościńcem na bladą twarz księżyca. Tęskne wspomnienia przeszłości zwracają myśl żeglarza do miejsc, od których się oddalił, a nadzieja zdążenia do kresu żeglugi podnosi jego ducha. Lubo w każdém miejscu czynny umysł znajduje dla siebie zatrudnienie, nigdzie jednak nie ma on tyle pobudek, i nigdzie nie chwyta tak żywo wrażeń od przedmiotów, jak na morzu. Przestwór bez granic nie kładzie także dla myśli kresu. Pośród ogromu natury, materyalność znika, a myśl tylko występuje i działa. Cała istność ludzka przybiera na siebie pewną powagę — bo przed obliczem wielkości przyrody nie przystoi czcza próżność i lekkomyślność. Rozmyślającemu o tém, nie raz przychodziło mi na myśl, że powaga w charakterze Anglików, równie jak głębokość pomysłów w ich pismach, jest w wielkiej części skutkiem częstego ich obcowania z morzem. Podwójnie oni się zbogacają: ziemia i morze zawarły z sobą niby przymierze, dla nastręczania im żywiołów do rozmyślania, jakich lud opodal od morza mieszkający musi być pozbawionym. Gdzie oko nie ma przed sobą rozmaitości i ogromu przyrodzenia, tam i umysłowi nie łatwo się wznieść do śmiałych wyobrażeń. Z tej-to przyczyny ludy nadmorskie i w górach siedziby mające, więcej oświatą i potęgą polityczną słynęły, niż ludy w równinach osiadłe. Przykładem tego Tyr, Kartagina, Grecya, Rzym, Anglia, Szwajcary.

---

194. KOZAK NA STEPIE.

(Z poematu „Marya“ p. Antoniego Malczewskiego).

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Bo i czapkęś nasunął i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze.
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;
Gdy koń, co jak ty dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.

Pędzi — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobny do jakiego od niebianów gońca.
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie —
Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy,
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa:
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nurzy?

Minął już kozak bezdnię i głębokie jary,
Gzie się lubią ukrywać wilki i Tatary.
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już oddawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rzeżki żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny konik kozaka rozumie —

I przez kwieciste łąki, przez ostre bodziaki,
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała, schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza,
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.

O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

195. OKOLICE NEAPOLU.

(z „Podróży do Włoch“ M. Wiszniewskiego).

Okolice Neapolu są cudownie piękne — to miasto leży jak w koszyku kwiatów. Tu, jeśli przyroda mocno oko pociąga, rozmaite wspomnienia historyczne nie mniej zajmują umysł. Pod ognistą górą leży odkopane miasto*), okrążone wałami i płaczącemi wierzbami obsadzone, z którego mieszkańcy tylko co wyszli, zostawiwszy cudne utwory kunsztu greckiego. W rozkosznem znowu Puzzuoli, gdzie Rzymianie wylewali się na zbytki, teraz nad gruzami pałaców wznosi się twierdza hiszpańska; z drugiej strony Sorrento, gdzie przy woni pomarańcz Tasso**) oddawał się swoim marzeniom — a nad zatoką Salerno widać Amalfi, średniowieczne Ateny, które nam księgę praw rzymskich dochowały. Taka okolica otacza zatokę Neapolitańską! to prawdziwe pieścidełko (jak mówią Włosi) spuszczone z nieba na ziemię. Geologowie atoli w najczarniejszych ją malują kolorach, powiadając, że jest kraterem ogromnego wulkanu, dawniejszego niż wszelkie na świecie podania, który woda zalała w ów czas, gdy ocean tworzył Śródziemne morze. Wulkaniczne spadziste brzegi i piasek z lawy naokoło tu rozsypujący się, są mocnym ich domysłu dowodem — a wyspy czyliż nie mogą być stérczącemi krańcami tego ogromnego krateru? Wezuwiusz ciągle chociaż częściami wybucha, Solfatara tylko że przycichła,

*) Pompeja, w pierwszym wieku ery chrześciańskiej zasypana popiołami i zalana lawą Wezuwiusza.

**) Tasso, jeden z największych poetów włoskich, śpiewak Jerozolimy Wyzwolonej.

a Montenuovo spokojne wprawdzie, ależ niegdyś takim był i Wezuwiusz.

Jaki los czeka Neapol? tego nikt przewidzieć nie może. Przeraża trzęsienie ziemi, które poprzedza zawsze wybuch Wezuwiusza, nim lawa uwolni się od zawalających krater żużlów i zaspów, co się w przeszłym wieku zdarzyło. Kto może zapewnić, czy wtedy brzeg się nie zapadnie i nie pochłonie Neapolu? To też w czasie trzęsienia ziemi Neapolitanie przestraszeni oblegają kościoły, wydobyty z szafy posąg św. Januarego obnoszą z płaczem po ulicach; a mieszkańcy Reziny, Portici i Torre del Greco z krzykiem opuszczają domy, które ogień wulkanu ma otoczyć.

---

196. JESIEŃ.

(*p. Winc. Pola*).

Coraz ciszej — Wrzesień! Wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa;
Ha! i jesień, polska jesień!

O! jesieni złota nasza,
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna części.
I kojącej pełna treści.

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą.
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.

Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory;
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk odsłonić na raz oku,
To się wznosi, to opada —
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy;
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku,
Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane.

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyśle gońce;
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą;
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarzębatą płyną falą,
W blasku słońca perli rosa;
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota,
Nigdzie głosu, nikt nie śpiewa;
A po duszy się rozlewa
Jakiś smutek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żóraw rzuca straże,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona,
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone, całe staje;
A ta srebrna poł tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani,

Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku.
Gdy liść zwiędły się przegania,
Ziemia, zda się, w ów czas marzy
Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze,
I żywotem swoim waży
Wielkie myśli zmartwychwstania.

Jest we Włoszech piękna wiosna,
Włoskich wieszczów ukochanie,
I czarowna i radosna,
Że słów ledwo dla niej stanie!
I jest starych bogów lato
Gdzieś tam greckie, co bogato
I roskosznie duszę poi:

Lecz jest także w ziemi twojej
Starych bogów upominek;
Miasto mirtu, jest barwinek;
Miasto lauru, dąb w jesieni!

Jesień, jako święta księni,
W ziemi Piastów gospodarzy;
I jak pani miłościwa,
Tak łaskawą, szczodrą bywa,
Że już tylko wszystkich darzy.

197. GROTA BŁĘKITNA NA WYSPIE KAPREI.

(z „*Podróży do Włoch*“ *Michała Wiszniewskiego*).

Przejechawszy przez środek miasteczka Kapri*), skalistą drogą wśród fig indyjskich, dostaliśmy się do gruzów pałacu niegdy Tyberyusza, które jednakże lepiej się zachowały niż wiele naszych spustoszałych zamków. Jeszcze tu widzieć można rozkład pokojów, na posadzkach tych samych, które deptał rozwiązły starzec Tyberyusz**). Zachowała się mozaika, a po ścianach skamieniałe czerwone malowidła. Obok pokojów jest, dający się dosyć dobrze rozeznać, teatrzyk w półkole — dalej parę kolumn świątyni, i wodociąg, którego Rzymianie nigdzie budować nie omieszkali. Tak więc Tyberyusz tu sobie małą Romę zbudował, i zostawiwszy wodze rządu Sejanowi***) bez przeszkody na zbytki się wylewał. Teraz tylko jeden pustelnik w chałupce do tych ruin przyczepionej mieszka — tak mija wielkość świata!

Wróciwszy z zamku Tyberyusza, popłynęliśmy do groty błękitnej, leżącej pod górą Anacapri, skałą ze wszystkich stron prostopadłemi otoczonej ścianami. Dopiero niedawno, jak mówią, dwóch ciekawych Anglików opływając tę wyspę, i do każdej zaglądając dziury, natrafili na tę osobliwszą grotę. Lecz ktokolwiek ją odkrył, zawsze należy mu się wdzięczność za jeden z najcudniejszych widoków. Cała morzem zalana, ma ciasny i niski, tylko półtrzecia łokcia wynoszący otwór, tak iż ledwo schyliwszy głowę wpłynąć wewnątrz można. Przy wstępie czekają lekkie barki do tego umyślnie sporządzone, które zręcznie podpływają pod ciasne wejście, w czasie burzy często wodą zamknięte. Zobaczywszy tę niebieską wodę, od kryształu przeźroczystszą, od turkusu piękniejszą, przez odbicie swego blasku pokrywającą całe sklepienie i boki, wiosła i twarze prześliczną srebrzysto-błękitną barwą, długo z podziwienia i uniesienia wyjść nie można. Mając wewnątrz tylko krótką chwilę zatrzymać się, z obawy, aby nas tu morze nie zamknęło, zapomnieliśmy o niebezpieczeństwie — tak to jest niespodziane, nowe i cudnie piękne widowisko, nale-

---

*) Kaprea (Capri) wyspa w zatoce Neapolitańskiej, z miastem t. n.

**) cesarz rzymski.

***) Sejan ulubieniec Tyberyusza.

żące do tych dziwów, które gdyby się przyśniły komu, dziwiłby się, że miał sen tak osobliwszy! Przewodnik nasz obiecał nam jeszcze za piastra pokazać w tém miejscu posąg srebrny; czemu, przy cudowném wrażeniu, jakie ta grota na nas uczyniła, łatwo uwierzyliśmy. Włoch zalazł za skałę, z której wnet lekko ubrany wypłynął; lecz zamiast posągu, ukazał w sobie raczej postać żaby, tak ciało jego w tej wodzie fosforycznej zmalało i skróciło się.

To w tej grocie najbardziej zadziwia, iż gdy wszędzie na świecie światło pada z góry, tu przeciwnie, błękitne światło idzie z dołu, jakby słońce było na dnie, i wszystko zwłaszcza gdy wejście jest zasłonięte, żeby światło dzienne nie wchodziło, mocnym ciemno-błękitnym pokrywa kolorem, jak światło palącego się wyskoku winnego. Uderzona wiosłem, wydaje kolor rubinowy. Zdaje się, że ta grota była dobrze starożytnym znana, pod nazwiskiem groty Nimf, albo groty Tyberyusza, ale później poczytano ją za bajeczną.

---

198. DO ** RODAKA PODRÓŻUJĄCEGO ZA GRANICĄ.

(*p. Wł. Syrokomle*).

Ptaku przelotny! co w wiośnie żywota
Pod obce niebo poleciałeś w gości,
Spytaj jaskółki, co w oknie szczebiota,
Czemu kolibrom szczęścia nie zazdrości?
Czemu u obcych pogościwszy zimą,
Wraca na lato pod strzechę rodzimą? —
Zapytaj potém ranionego ptaka,
Co nie mógł z braćmi powrócić na Litwę,
I zapytaj się w obczyznie biedaka
O jego dumkę, o jego modlitwę —
Spytaj się, czemu zesmutnieli oba?
Jak się im piękny Neapol podoba?
Od błoń Auzońskich, gdzie lasy mirtowe,
Czemu do sosen wyrywa się dusza?
Tam to powietrze i lekkie i zdrowe
Czemu im piersi pali i osusza?
Nie jeden może z nieszczęsnych tułaczy
Przyganiał wprzódy rodzinnej zagrodzie;
Dzisiaj poznawszy, co dym swojski znaczy,

Czuje zgryzotę co mu serce bodzie;
Zna, że bluźnierstwem znieważył niebiosy,
I wziąwszy sakwę pielgrzymską na ramię,
Szedłby do swoich odarty i bosy,
Przebłagać Matkę Bożą w Ostrej-bramie,
Przebłagać góry i rodzinne bory,
Którym się niegdyś tak srodze zawinia;
Zdrowie swej duszy odzyskałby chory
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.

---

199. POMPEJA.

(z „Podróży do Włoch“ Mich. Wiszniewskiego).

Gdyby człowiekowi oswojonemu z literaturą Greków i Rzymian kto obiecał, że czarnoksiężką rószczką wywoła z zapadłych wieków jakie starożytne grecko-rzymskie miasto, że mu pokaże jego świątynie, ulice, pałace, oprowadzi po domach bogatych i ubogich, po łaźniach, sklepach i gospodach, do izby rzeźbiarzów i malarzy, nie posiadałby się z radości! — otóż taki cud można tu widzieć, w tym kraju pełnym osobliwości.

Za starożytnych Greków i Rzymian, i w wieku Chrystusa, Wezuwiusz był wygasłym od niepamiętnych czasów wulkanem. Dopiero w 79 lat po narodzeniu Chr., za panowania Tytusa Wespazyana, dnia 23 Sierpnia, gdy Pompejanie byli w teatrze, niespodzianie i gwałtownie roztworzył się, i całą okolicę, morze i dwa pobliskie miasta, Herkulanum i Pompeję, lawą, popiołami i kamieniem zasypał, Z obu miast ludzie uciekli, bo nie wiele kości ludzkich odkryto. W samém Pompejum tylko znaleziono matkę z dzieckiem przy piersiach, która ogarnęła sobą dwoje dzieci starszych, i kapłana świątyni Izys, który miał przy sobie klucz i pieniądze; a na przedmieściu kilkanaście osób w domu Dyomedesa. Kapłan głównej świątyni chciał uciekać, ale popiół już wyjście zasypał — porwał więc drąg okuty żelazem, i już był dwie ściany murowane przebił — znaleziono go przy trzeciej z tym drągiem w ręku.

Lawa otoczyła najprzód, a potém zalała Herkulanum — zagrzebała to miasto na trzydzieści prawie łokci głęboko. Tam wszystko przepadło, cokolwiek spaleniu podlegało. Lecz ku odleglejszej nieco Pompei nie płynęła lawa, tylko popiół i drobne

kamyki sypały, i jakby całunem pokryły całe miasto, wszystkie sprzęty, posągi, nawet bardzo ciekawe malowidła dla potomności zachowując, tak iż Pompeja jest teraz kopalnią archeologii greckiej i rzymskiej, z której codziennie wydobywane rzeczy oswajają nas coraz bardziej z życiem religijném i domowém tych dwóch starożytnych narodów. Odkryły się tu niespodzianie największe tajemnice życia domowego i zwyczaje, o których pismo zamilczało. Dotąd znaliśmy Greków i Rzymian tylko jakby jakich bogów Olimpu, tylko z głośnych czynów w Tukidydesie i Tacycie*) dochowanych, tylko z wielkich trajedyj i dramatów. Teraz pokazało się, że nie mniej od nas lubili oni wygody i wykwinty, w drobnych nawet sprzętach okazując ślady tego samego smaku i wytworności, co w rzeczach wielkich, świątyniach i teatrach.

Nie można dociec z historyi, dla czego zaraz po zasypaniu Herkulanum i Pompei nie wzięto się do odkopywania tych miast, mianowicie Pompei, póki jeszcze kapitele świątyń stérczały nad ziemią. Dopiero za panowania Karola VII zaczęto je wydobywać. Pompeję odkryto przypadkiem. Już w roku 1689 chłop wyorał był posąg bronzowy; później kopiąc studnie i rowy znajdowano marmury i piękne rzeźby. Natrafiono potém na piwnice, które w początkach poczytywano za groty, lecz później się pokazało, że to rynki, świątynie, teatra. Znaleziono wreszcie kopiąc tu i owdzie tyle posągów, numizmatów, naczyń i innych szacownych sprzętów i kosztowności, iż z tego utworzyło się Muzeum Burbońskie, jedyne i najbogatsze na świecie, z którém ledwo Watykańskie porównać się może. Szkoda, że to miasto na kilkadziesiąt lat przed zasypaniem trzęsienie ziemi znacznie zniszczyło, dla tego zmniejszyła się w nim mnogość zabytków, już pod ów czas straconych. Wreszcie wyznać muszę, iż prawie żałowałem, że mieszkańcy uciekając, nie mało z sobą zabrać musieli rzeczy, które dla nas na zawsze przepadły. Herkulanum było całkiem zalane lawą, która się w twardy bazalt zamieniła, i oprócz kamienia, żelaza, bronzu i złota, wszystko ogień pochłonął. Na wierzchu zaś powstało miasteczko Resina: chcąc odkopać miasto starożytne, trzebaby zburzyć dzisiejsze. Pompeję zasypaną popiołami i drobnemi kamykami, na których były i są

*) Tucydydes u Greków, Tacyt u Rzymian, dziejopisowie sławni.

dotąd jeszcze ogrody, łatwiej odkopać przyszło; lecz dotychczas ledwo piątą część odgrzebano. Znaleziono tu jeszcze świeże ślady mieszkańców, koleje wybite kołami wozów, wielką liczbę starożytności, które świadczą o udoskonaleniu sztuk pięknych w owych czasach; dają poznać z bliska i prawie naocznie domowe starożytnych życie, bo tu tylko ich samych w togach brakuje. Rzekłbyś, że mieszkańcy dopiero wczoraj ztąd wynieśli się....

Oto znak sklepu, gdzie niedawno zda się tynk na murze poprawiono. — W pośrodku ulicy stoi studnia, a przy niej rowek, którym woda do morza upływa. Tu znowu wystawiono na przedaż ołtarz, na którym jest wyryty orzeł Jowisza. Tu mieszkanie urzędnika przy wadze — tam sklep, gdzie się przedawały bronzowe naszyjniki (fallusy), któremi się zdobiły Greczynki i Rzymianki. Widziałem tu jeszcze szczątki niedojedzonego obiadu, ryby pieczone, i szczypczyki (cigula), których starożytni zamiast grabek używali.

Po wszystkich ulicach, na ścianach i murach, są bardzo czytelne napisy, szczególniej koło sklepów, pismem, które nosi nazwisko m e r o w i n g s k i e g o. Oto naprzykład jeden ogłaszający polowanie rzymskie. Rzymianie bowiem nie polowali w borach, jak nasi przodkowie, ani w parkach, jak panowie możni, ale zasadziwszy amfiteatr drzewami, w taki tymczasowy i udany las wpuszczali lwy, tygrysy, słonie, nosorożce, czasem nawet krokodyle; do czego gdy z dziesiątek wysiekaczy przybyło, rozpoczynało się okropne polowanie, dla zabawy siedzących na ławach barbarzyńców. Takie polowanie bywało i w Pompei, jak świadczy pozostały w niej na murze afisz: malowano podobne afisze czarną, a najczęściej czerwoną farbą.

Przypatrując się rozłożonym w Muzeum Burbońskiém zabytkom starożytności Pompejańskich, postrzegliśmy z zadziwieniem, że starożytni mieli już wszystkie narzędzia i sprzęty domowe, które dzisiaj niezbędną potrzebą się stały. Dzwonki np. które zawieszano na szyi krów, były zupełnie takie same, jakich dziś w Neapolu używają. Dzwonów naszym podobnych nie znano, bo te dopiero z Indyj do nas przyszły; ale w ich miejsce służyła tarcza okrągła z miedzi, w którą młotkiem uderzano. Samowary do grzania wody zupełnie takie były jak nasze, tylko piękniejszego kształtu; musieli ich starożytni często używać, bo ich tu wiele znaleziono. Zapasy żywności składały się z chleba, na którym bywało wyciśnięte nazwisko piekarza, z suchych winogron,

fig, kasztanów, pinoli, daktylów, orzechów, prosa, jęczmienia, żołędzi, fasoli, ryżu, pszenicy, soczewicy, migdałów i t. p. Wszystko poznajdowano zachowane w naczyniach, i tak oliwa jeszcze stoi w amforach. Po dwudziestu wiekach, rzecz dziwna! jeszcze to wszystko dosyć świeże; pszenica posiana nawet zeszła, oliwa tylko trochę nadpsuta. Zachowały się dobrze farby malarskie i wiele innych rzeczy. W świątyni Izydy leżały jeszcze rozłożone narzędzia do ofiar potrzebne. Na szkieletach kapłanów, których Wezuwiusz przydybał zajętych obrządkami, znaleziono szaty kapłańskie. Na ołtarzu leżały węgle, stały w około świecznika czary do tak zwanych libacyj tejże bogini.

Wykopane w Pompei zwierciadła są metalowe, okrągłe, zwykle z rączką w kształcie wygiętej szyi łabędziej, dla powieszenia na ścianie. Lecz w tém zwierciedle nie tylko Greczynka przeglądała się; każda bogini przy obrządkach miała swoje zwierciadło, które zwykle wraz z wiankiem, przepaskami, łańcuszkami, kolczykami, będącemi własnością bogini, w jej przybytku przechowywano. Znaleziono także wytworne słoiki, płaskorzeźbą amorków ozdobione, w których był róż, mydło, zwitek włosów, i całą gotowalnię kobiecą, na przekór dzisiejszemu Paryżowi, który się ma za wynalazcę tych sposobów upiękniania twarzyczek. Znaleziono grzebienie z mosiądzu, ale trochę do zgrzebła końskiego podobne — za to szpilki do włosów z kości słoniowej, główkami tak misternie rzeźbionemi ozdobne, tak piękne, że trudno dziś o co podobnego. Lecz ze wszystkich sprzętów najgodniejsze uwagi są lampy, których bardzo wiele znaleziono, różnego kształtu, z bronzu, a najwięcej z gliny. Na wierzchu bywa zazwyczaj w płaskorzeźbie sława, wóz czterokonny, jutrzenka i t. p. a zamiast rączki orzeł, hypogryf, głowa byka, lub inna ozdoba. Lampki kładziono na kandelabrach, które się składały z wysmukłej kolumny, na trzech łapach lwich stojącej, z kapitelem w fantastyczne płaskorzeźby przystrojonym, albo z podstawy na czterech nóżkach, z której wyrastało drzewko, a na gałęziach jego drobne lampki wisiały. Robione były w Tarencie, w Grecyi, w Eginie. Sfinxy były bardzo do ozdoby sprzętów i naczyń używane — znaleziono w Pompei dużo stoliczków i trójnogów z pięknemi u podstawy sfinxami. Na jednej lampie, obok smukłej kolumneczki, stoi drzewko ze skały wyrastające, na której opiera

się stary Sylenus, towarzysz Bachusa*) — Sylen wylewa resztę wina, tym sposobem zachęcać może gości do wesołej uczty. Robota tej lampy zadziwia doskonałością. Kandelabrów najwięcej używano, bo stoły rzadko gdzie były, i nawet do obiadu bardzo małe; nie pisano bowiem na stole, ale na kolanach. Takich lamp zawieszanych do dziś dnia używają w Rzymie i Neapolu. Czasem zamiast wysmukłej kolumny, mały posążek, zwykle geniusz, lampkę w ręku trzyma.

Sprzętów i naczyń różnego rodzaju nagromadzono już wielką ilość: piecyki, naczynia do grzania wody, w kształcie miasta z czterema basztami, w środku ognisko, a w basztach woda się grzała; rądli, wiader, szczypców do ognia i innych narzędzi pełno. Lecz z pomiędzy tych, wazy cudnemi kształtami i rozmaitością ozdób odznaczają się — najczęściej są miedziane lub srebrne; na pierwszych ozdoby ze srebra, a na drugich złote, co bardzo ładnie się wydaje. Pomimo wielkiej ilości, niemasz jednak dwóch naczyń całkiem do siebie podobnych, każde w innym kształcie, a zawsze pełno gustu, nowości i fantazyi w ozdobach i rysunku. Ucha tych waz i ich wierzchy ozdobione są albo tygrysem wspinającym się, albo faunem wygiętym, albo mocującemi się gladyatorami, lub głową Meduzy wśród liścia akantu wężami okręconą.

Znaleziono czary podłużne do ofiar i kadzielnice różnego kształtu, narzędzia chirurgiczne, stołek konsularny czworoboczny, zgrabnie z metalu odlany, zbroje, pieniądze i t. p. Znaleziono izbę rzeźbiarza, a w niej piękne marmury; sklep wyłożony marmurem, gdzie przedawano wino, i oliwę w ogromnych garncach marmurowych. Dom piekarza, z tak dobrze zachowanym piecem, iżby jeszcze dziś w nim bułki piec można.

Do Pompei wchodzi się ulicą grobową, w której obu stronach stoją grobowce bardzo dobrze zachowane; tylko czas pokrył je barwą ciemną, osłonił całunem starożytności, który jest największą ich ozdobą. Panujące tu naokoło głuche milczenie jeszcze większe wrażenie sprawuje. Nie mógł być właściwszy do miasta umarłego przedsionek.

Najprzód odkopano jedyny, ale duży dom, gdzie Wezuwiusz pogrzebał rodzinę wyzwoleńca Dyomedesa — dom z wielkim budowany wykwintem, w czasie złotym kunsztów rzymskich,

*) Bachus, bożek winnic.

za Augusta, o trzech piętrach, z których dwa tylko zostały. Małemi drzwiami wchodzi się na otoczony czternastu kolumnami dziedziniec. Na tych kolumnach wspierał się dach nachylony ku dziedzińcowi, do którego woda deszczowa spływała i zbierała się na środku w studnicy obszernej, wulkanicznym kamieniem ocembrowanej. Pod przykrytym w ten sposób chodnikiem, którego ściany były malowane al fresco (t. j. na wapnie), przechadzali się zwykle Rzymianie. Na dziedziniec wychodzą drzwi ze wszystkich pokoi. Pod portykiem nisza czyli framuga, w której stał mały posąg Minerwy*). Na prawo mieszkania niewolników — a ztamtąd małe wschody na pierwsze piętro. Na lewo były łazienki z kilku składające się pokoi — w pierwszym duża wanna na zimną wodę, otoczona portykiem z ośmiobocznych kolumn, w głębi których piec z kotłem, okopconym jeszcze od dymu, ruszt, kilka garnków i rynka. Drugi pokój do rozbierania się i ubierania; trzeci, z piecem długim, gdzie brano kąpiele ciepłe. W trzech naczyniach stała woda, a przechodziła do kąpieli rurami, w końcu których były kurki, podobne jak teraz. Na pierwszém piętrze, ponad łazienką, była łaźnia parowa; obok niej małe okienko dla odetchnienia w potrzebie świeżém powietrzem. Tam niewolnik trzymał w jednej ręce flaszeczkę z oliwą, a w drugiej rodzaj zgrzebła, zrobionego ze złota, srebra lub z kości słoniowej, którém natarłszy ciało, namaszczał je oliwą. Znaleziono tu krzesełka drewniane i dno od kosza. W spiżarni tego domu był stół marmurowy, oparty na posągu młodej kapłanki, i kilka naczyń kuchennych.

W izbach sypialnych, bez okien, zachowały się jeszcze świeże malowidła, mozaiki i marmury. W pośrodku jest izba jadalna, półkolista — jeszcze widać miejsce, gdzie był stół. Znaleziono tam naczynia gliniane i bronzowe, dwa małe trójnogi pod lampy, miedniczki, kandelabry. Z drugiej strony portyku był pokój bawialny, do którego wiele pokoików przytykało. W jednym z nich pozostał okrągły stół marmurowy, ozdobiony głowami tygrysiemi, którym woda z paszczy wytryskała; płaskorzeźby wystawiające Wulkana**) przy kowadle, Herkulesa***) w skórze

*) Minerwa, bogini mądrości.

**) Wulkan, bożek ognia i kowali.

***) Herkules, półbożek, wyobraziciel siły olbrzymiej.

lwiej, Fauny*) trzymające naczynie i laskę liściem winnym obwiniętą, i t. p. Przy drzwiach znaleziono szkielet człowieka i owieczki, która jeszcze miała dzwonek na szyi.

Prócz tego były pokoje letnie, sklepione, ozdobione freskami, z posadzką mozaikową, do których się zstępowało małemi schodami. W jednym znaleziono jeszcze kawałek dywana. Z tego pokoju przeszedłszy ogród, wchodzi się do podziemnej galeryi, do której się byli wszyscy mieszkańcy schronili. Znaleziono tu dwadzieścia szkieletów o mur opartych; z tych dwoje dzieci, i może panią domu, bo miała na sobie dwa naramienniki, i cztery pierścionki na palcach. Popiół, który ich przydusił, zmoczony wodą, otoczył ich ciała jakby jaką formą, i tak dobrze zachował, jakby były całkowite, ale za dotknięciem w proch się rozsypały. Na ziemi leżały dwa złote naszyjniki, ozdobione szmaragdami; przy jednym łańcuszek, na którym wisiały dwa listki winne i t. p.

Oprócz tego znaleziono w bramie do morza wychodzącej kości człowieka, który w jednej ręce trzymał klucz, w drugiej pierścień i zwitek dziesięciu złotych numizmatów. O kilka kroków leżały kości dwóch innych, a za bramą ku morzu, jeszcze kości dziesięciu ludzi, którzy zapewne do Dyomedesa domowników należeli.

Wyszedłszy z domu Dyomeda, weszliśmy na dosyć szeroką ulicę grobową. Widać tu jeszcze wybite koleje ciężkich wozów rzymskich. Ztamtąd udaliśmy się do miasta, z którego wieków ośmnaście temu wszyscy ludzie w jednej godzinie uciekli. Stanąwszy w bramie zdumiewa się patrzący na widok długich ulic, domów prawie całych, przecznie krzyżujących się w różne strony, gdzie ani jednego nie widać człowieka, a stąpanie nasze o głuche mury się odbijało.

Lecz ze wszystkich dotąd odkopanych domów najpiękniejszy jest dom Fauna, tak zwany od posągu tego półbożka, znalezionego w najcelniejszej ulicy miasta. Wstąpiwszy za próg sieni, żywemi kolorami malowanej, z posadzką mozaikowaną czerwonym jaspisem, wschodnim agatem i wzorzystym alabastrem, widzi się cały dom za jedném wejrzeniem. Z tyłu jest ogród, który musiał być zasadzony kwiatami — w środku fontanna, której wody wpadały w wannę marmurową. Na około idzie portyk wsparty na dwudziestu i czterech kolumnach, za któremi uka-

*) Fauny, bóstwa leśne.

zują się jeszcze inne kolumny i inny ogród, i dwie małe świątynie domowych bogów. Lubo z tego dziedzińca widać Wezuwiusz, jednakże wybuch spokojnej dotąd góry tak był gwałtowny i niespodziany, iż mieszkańcy tego domu zaledwo ucieczką ratować się mogli. Tu wszystko na swojém miejscu znaleziono: sprzęty gospodarskie, równie jak kosztowne ozdoby, złote urny, srebrne puhary, naczynia gliniane, jedne w szafach, drugie stojące na stołach. Tylko pani domu spóźniła się, chcąc zabrać i uratować nieco kosztowności; znaleziono ją bowiem w izbie gościnnej. O kilka kroków ztamtąd leżały dwa bardzo ciężkie naramienniki złote, kolczyki, pierścienie z pięknemi kamieniami, nareszcie kupa pieniędzy złotych, srebrnych, miedzianych. W salonie znaleziono ogromną mozaikę, największą ze wszystkich dotąd odkrytych, arcydzieło sztuki i przedmiot najciekawszy dla historyi.

Domki greckie zadziwiają małością. Rzadki w Pompei dom, któryby miał tak zwane u nas piętro, i to zwykle tym sposobem, że dół był budowany pod ziemią. Od ulicy rzadko jaka ozdobna facyata, jakiś fronton; co pokazuje, że (podobnie jak u Turków) o zewnętrzną postać domu nie dbano. Lecz za to przeszedłszy próg, nie po posadzce ani po dywanie się stąpa, ale po mozaice, na której jakby ręką malarza wyobrażone lwy, gołębie, bitwy i t. p. Tę gdy codzień zmyto, nie szukając wody daleko, bo zawsze fontanna na dziedzińcu z paszczy lwa lub sfinxa jakiego wytryskała, największa pani grecka nawet bez sandałów po niej przechadzać się mogła. Malowidła po ścianach wystawiały rozmaite sceny z historyi, z mitolologii, widoki powabniejszych okolic, zwierzęta, owoce, kwiaty, ubiory, ozdoby architektoniczne, arabeski (tak później nazwane), a nawet karykatury. Jest w nich wiele wdzięku, szczerości, prawdziwego i żywego wyrażenia, wreszcie więcej żywości kolorytu niż doskonałości w rysunku. Dno takich malowideł ściennych najczęściej bywa czerwone, czasem czarne lub żółte, a ozdoby zwykle mało odmiennym, tylko trochę ciemniejszym, osoby zaś i liście w właściwych sobie kolorach oddane. Często w tych malowidłach bardzo ciekawe rzeczy i szczegóły z życia domowego i religijnego Greków wyczytać można. Między malowanemi kobietami dużo jest dziewcząt niosących na ofiarę naczynie z owocami, w pięknej wygiętej postaci, z przeźroczystą jak szkło i fałdującą się u dołu tuniką, lub grających na cytrze. Jedném z ciekawszych malowideł jest wnętrze pokoiku malarki, która siedzi na stołku,

trzymając w jednej ręce pędzel, a w drugiej tabliczkę, na której maluje – pędzel macza w szkatułce z farbami, które oni z gummą rozpuszczoną mieszali. Piękne jej lica z zajęciem obrócone są na Bachusa brodatego, u stóp którego małe chłopiątko trzyma już skończony obraz, czerwono ubrany; osoby na tle niebieskiém; drugi na słupie zawieszony, przy którym dwie kobiety stoją, i z zajęciem na obraz malarki patrzą. Malowidła te otwierają nam każdy niemal zakątek najskrytszy Greczynki, nawet gdzie ją służebnice czeszą, i kalamistrem to jest żelazkiem do włosów zapiekają, a podzieliwszy loki, przepasują złotą opaską.

U Greków, tak jak u Egipcyan i Etrusków, obiad domowy za rzecz publiczną prawie uważano. Nawet Rzymianie przy otwartych drzwiach jadali, póki zbytek a za nim idące obyczajów zepsucie nie zamknęły stołów przed oczyma widzów. Mężczyzni przy obiedzie leżeli na pewnego rodzaju łóżkach czyli sofach, różniących się od łóżek do sypiania; a kobiety przy ich wezgłowiach siadały. Do jedzenia zwykle rozbierali się i zarzucali inny płaszcz, wygodniejszy. Na podłodze i na łóżkach pełno bywało kwiatów i wonności, bo goście czoło i szyję ubierali zwykle kwiatami.

Żałować przychodzi, że te wszystkie posągi, sprzęty, naczynia, a nawet malowania ścienne i mozaiki, przeniesiono do Neapolu, do muzeum Burbońskiego, gdzie się nie z takim już urokiem oglądają.

Na drugim końcu miasta znajduje się amfiteatr, mogący w sobie trzydzieści tysięcy ludzi pomieścić. Ten pyszny gmach doskonale jest zachowany — jeszcze widzieć można na murze doniesienie, zapowiadające na pewny dzień widowisko, którego może już Pompejanie nie doczekali się....

---

200. ZNIKOME WIELKOŚCI ŚWIATA.

(p. Ant. Goreckiego).

Ziomku! co się dziwujesz Watykanu szczytom,
Wznieś tylko oczy ku nieba błękitom;
Spojrzyj, czy widzisz jak w gmachu bez końca
Niezliczone błyszczą słońca?
Naucz mnie, przed kim mam zginać kolana,
Przed dziełem czleka, czy tych światów Pana?

Ludzie! o! ludzie, gdzież te wasze dziwy,
Palmiry gmachy, ogrody Niniwy?
Wszystko leży pod ruiną!
A rzeki płyną —
Gwiazdy świecą, ziemia rodzi —
Słońce wschodziło i wschodzi.

O! Ty, co istność mą od Ciebie wziąłem,
Boże wielki! przyjmiej pienie —
To lazurowe niebianów sklepienie
Jest Twoim wiecznym kościołem.

Niech duma człeka w przedsięwzięciach hardych,
Silne na brylantach twardych
Wyniesie wieże ze stali —
I te czas zwali.

A co moc Twoja stworzyła,
Nie skruszy gromów ani wieków siła;
Dopóki każesz, trwać będzie,
Bo ty jesteś wszystkiém wszędzie.

---

201. PLAC Ś. MARKA I GOŁĘBIE W WENECYI.

(z „Podróży do Włoch“ M. Wiszniewskiego).

Plac św. Marka (w Wenecyi), który w każdym przechodzącym pierwszy raz podziwienie wznieca, wygląda jak ogromny i najpiękniejszy na świecie salon, o którym Napoleon powiedział, że tylko niebo godne być jego sklepieniem. W rzeczy samej jest to coś niespodzianie pięknego, coś podobnego do sennego marzenia. Takiego rynku niema drugiego na świecie. Z trzech stron otaczają go Prokuracye nowe i stare, w łuki trzypiętrowe zbudowane, gdzie mieszkali prokuratorowie św. Marka, którzy po Radzie dziesięciu największą w Rzeczypospolitej piastowali władzę. Koło Prokuracyj starych wznosi się wieża zegarowa która swą oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. Piotr Lombard, po spaleniu drewnianej, zbudował teraźniejszą w r. 496. Front zdobi ogromne koło z zodyakiem, ze zmianami księżyca, tudzież koło podzielone na 24 godzin włoskim obycza-

jem. Nad tym stoi N. Panna pozłacana, a koło niej drzwiczki, z których co godzina wychodzą trzej królowie Maurowie, i przechodzą po półkolistym ganeczku, kłaniając się z uszanowaniem N. Pannie i podnosząc z głowy korony, a drugiemi drzwiczkami znikają. Nad tém wszystkiém znowu stoi lew św. Marka, na tle błękitném. Nad lwem jest dzwon w powietrzu zawieszony, o który dwóch murzynów z miedzi ulanych młotkiem godziny wybija.

Skoro druga z południa na tym zegarze uderzy, zlatują się z różnych stron tłumami gołębie i siadają na środku rynku, czekając na strawę, którą im pewna pani posyła. Tych gołębi nie chowają tu dla jedzenia, owszem nie wolno ich nikomu zabijać ani chwytać; są one w takiém poszanowaniu, jak w wielu krajach jaskółki i bociany. Jednego majtka, który zapłacony przez Anglika schwytał był parę tych szarych gołębi, lud rozjuszony o mało nie zabił.

Gdy admirał Trevisano na początku XII wieku oblegał Kandyą, postrzeżono wiele gołębi w jednym kierunku lecących na miejsce, gdzie Genueńska flota na kotwicy leżała. Zastrzeliwszy z nich kilka, znaleziono pod skrzydłami każdego liścik, w którym Kandyoci donosili Genueńczykom o wielkiém swojém niebezpieczeństwie, i prosili o odsiecz. Korzystając z tej wiadomości Trevisano, natychmiast wylądował i zdobył wyspę. W zamku gubernatora znaleziono wiele innych gołębi na posyłki chowanych, które Trevisano wraz z wiadomością o zdobyciu Kandyi posłał do Wenecyi, a które lud, jako największą odniesionego zwycięstwa pomoc, szanował i za nietykalne poczytał. Karmiono je kosztem skarbowym aż do upadku Rzeczypospolitej. I te więc gołębie są tu pamiątką historyczną, którą Wenecyanie szanować umieją.

---

202. TĘSKNOTA DO KRAJU.

(*p. J. B. Zaleskiego*).

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?
Wiecznież w jednę gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z gęślą moją podróżną

Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno!

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń, pamiątek!

Ach! przed mokrą powieką
Darmo dzień mi tu płonie —
Wzrok, jak pieśni daleko
Wiecznie w jednej tkwi stronie!

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!

203. OPISANIE DAMASZKU

(z dzieła „Pielgrzymka po Ziemi Świętej")
(*p. X. Ign. Hołowińskiego*).

Puściłem się w podróż przez puste i dzikie góry Antylibanu. Po dwóch godzinach drogi ukazała się piękna zielona wstęga drzew, snująca się między górami, nad brzegiem rzeki płynącej ożywić Damaszek. Nigdy tak mocno nie uderza ta zieleń świeża, jak obok tych pustych i trawą niepokrytych gór, tak że ogrody ponad Baradi zdają się mieć w sobie coś czarującego. Łatwo przeto pojąłem to unoszenie się Arabów, przywykłych tylko do piaszczystej i skwarnej pustyni, nad okolicą pełną zdrojów i gajów; bo wtedy z nimi trzymałem, że gdzie zieleń i woda, tam i raj być musi. Z góry na górę jechałem ustawnie, aż nareszcie, po przebyciu drogi wykutej w skale, na samym jej szczycie, nagle odsłonił się czarujący widok Damaszku. Zaraz u podnóża tych gór ściele się ogromna dolina, ledwo objęta okiem, przerżnięta tysiącznemi zdrojami, uzieleniona bujnym, gęstym a nieprzejrzanym lasem najpiękniejszych wschodu drzew i owoców. Ta cudowna dolina, którą wschodni nazywają r a j e m z i e m s k i m, i pierwszeństwo jej dają między czterema

rajskiemi dolinami, graniczy od wschodu z pustynią, a po innych stronach piętrzą się w oddaleniu góry. Ogrody ciągną się wkoło na jakie sześć mil ukraińskich, a nad ich przepyszną oazą często wyskakuje jakaś kopuła, wieżyczka albo kiosk roskoszny, albo przeglądają wioski, których najmniej trzydzieści ciśnie się koło Damaszku. Wśród tego wielkiego lasu rozkłada się święte Muśleminów miasto, długie a wązkie, z mnóstwem wież, kopuł i mineretów, pomieszanych z cyprysami i innemi drzewami — co wszystko w atmosferze czystej i blaskiem słonecznym dziwnie ozłoconej, przy błękicie bez chmurek, obok graniczących gór pożółkłych i spalonych, tak przecudownie się odbija, że można Arabom przebaczyć te przesadzone pochwały Damaszku, które się wykazują w dziwnie dobieranych nazwach: raju doskonałego, pola rajskich pawiów, różnobarwnej szyi gołębia, naszyjnego klejnotu przyrodzenia, miasta co pachnie rajem.

Na górze Kassyusz, jak muzułmańskie niesie podanie, czynili Bogu ofiarę Abel i Kain, i w tém miejscu miał Kain zabić Abla, którego kiedy niósł płacząc, bo nie wiedział co z nim począć, ujrzał kruka grzebiącego w ziemię drugiego nieżywego kruka, przeto i Kain podobnie postąpił z ciałem swego brata. Mieszkańcy tutejsi najmocniej są przekonani, że ta dolina, która się ciągnie od góry do miasta, nazywana pospolicie polem Damasceńskiém, była rajem, kędy żyli Adam i Ewa, i że właśnie w tém miejscu z czerwonawej gliny ulepiony został pierwszy człowiek. Prócz tego, jeszcze tu naznaczają miejsce urodzenia patryarchy Abrahama.

Spuściłem się później do przedmieścia Szaleje. Jest-to najroskoszniejsze miejsce rajskiej doliny, gdzie są najpiękniejsze ogrody i kioski. Co to za ładna droga wśród tego przedmieścia i roskosznych sadów gęsto i bujnie zarosłych, ogrodzonych murami z cegły ziemnej suszonej na słońcu, w cieniu drzew, ponad rowami, w których się żywe zdroje Baradi przemykają!

Parę razy wyjeżdżałem dla obejrzenia ogrodów i przedmieść — ale jak ci opisać te roskoszne i sławne sady Damaszku, kiedy ich urok nie zasadza się ani na ładném rozporządzeniu drzew, ani na rozmaitości położenia, ani na żadnych ozdobach sztuki, jak to bywa w naszych ogrodach; a jednak ich piękności zdają się utwierdzać podanie o raju. Ogromna ta dolina wiecznie się zieleni nieprzejrzanym lasem, kędy widzisz bez

ładu pomieszane drzewa, jako to: oliwy, jesiony, granaty, wierzby płaczące, orzechy włoskie, cytryny, pomarańcze, topole srebrne, mnóstwo różnego rodzaju fig, brzoskwinie, platany, morele, śliwki, jabłbka, wiśnie, i winną latorośl rosnącą wysoko jak drzewo, a wierzchnie swe wieńce, obciążone gronami, zarzucającą na sąsiednie klony i pomarańcze. W cieniu tych drzew, nie przenikłych promieniem słońca, rośnie mnóstwo różnego rodzaju róż albo wonnych i kwitnących krzewów, które osłonione od skwaru mocniejszy jak zwykle zapach wydają — co wszystko razem splecione przedstawia dziką i prawie nieprzebytą gęstwinę. Właśnie w tym czasie Pomona*) zarumieniła się dojrzałemi owocami, wśród których najcelniejsze morele, duże jak jabłka, a które swoją złotą barwą i przecudnym smakiem zdają się przypominać jabłko Edenu**), co tak niegdyś nęciło oczy Ewy. Sławne tu także śliwki, które w smaku nie ustępują morelom. W ogóle wszystkie owoce równiny Guta uważają się za najlepsze w świecie, co przypisują czerwonawej i nie tłustej ziemi, która ożywiona zdrojami dziwnie sprzyja owocowym drzewom.

Ale tej roskosznej gęstwy, na której gałęziach tłum skrzydlatych biesiadników świegocze wesoło, utrzymują zieloność wiosenną i rozlewają w powietrzu chłód i świeżość liczne strumienie, w różnych kierunkach przerzynające ten ziemski Eden.

Wśród gęstych sadów, przerywanych czasem wioskami, czasem małemi domkami, albo roskosznym kioskiem, wracałem po krętych uliczkach w cieniu drzew złocących się owocem, jakby Hesperyd ogrody, a nie tylko byłem zachwycony tą rajską doliną, lecz i wspomnieniami — bo co to za miła sercu rzecz, oglądać te miejsca, na których starożytne Biblii dzieje tak malowniczo się rozwijały!

---

204. CZATYRDACH.

(Sonet p. A. Mickiewicza).

Drżąc muślemin całuje stopy twej opoki,

---

*) mitologiczna bogini owoców, tu wzięta przenośnie za porę owocową czyli jesień.

**) t. j. raju ziemskiego.

Maszcie Krymskiego statku, wielki Czatyrdachu!*)
O minarecie świata! o! gór padyszachu!**)
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel pilnujący Edeńskiego gmachu.
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu
Twój tubran z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy;
Czatyrdachu! ty zawsze głuchy, nieruchomy.

Między światem i niebem, jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko co mówi Bóg do przyrodzenia.

---

205. OPOWIADANIE HRYĆKA KURENNEGO, Z CZASÓW KOLISZCZYZNY***).

(Ustęp z powieści historycznej Mich. Grabowskiego p. n. Koliszczyzna i stepy).

Rzeź była. Nie zobaczyłem nigdzie pana, ale dużo kobiet na kolanach modlących się i niemogących wymodlić życia. Śród nich, stała w samym węgle komnaty pani, blada, z rozpuszczonym włosem, kilka razy ranna śmiertelnie, bo krew po niej w kilka czerwonych pasów spływała — tuliła jeszcze do siebie i zakrywała sobą przelękłą swoję dziewczynkę, do której, robiąc sobie igraszkę, kilku kozaków strzelało z drugiego węgła jak do celu. Wpadłem szybko — porwałem dziecię z rąk konającej już matki. Ona krzyknęła jeszcze — spojrzała na mnie — może poznała, bo usta jej zaświeciły jak gdyby lekkim uśmiechem... Zatrzymała na mnie przez chwilę wzrok taki, że go aż w głębi duszy uczułem... i z głębokiém westchnieniem padła na ziemię. Musiała skonać! — Wynosiłem krzyczącą dziewczynkę z izby — ale kilkanaście głosów zakrzyczało: „Dokąd? dokąd,

---

*) góra najwyższa w Krymie.

**) padyszach, nazwa najwyższego sułtana u Mahometanów

*** Koliszczyzną zowią pamiętny bunt hajdamaków i rzeź na Ukrainie.

psi synu?“ Poznałem, że jestem pomiędzy życiem a śmiercią. Zebrałem ducha. „Panowie mołodcy, powiedziałem, ja cały rok to szczenię niańczyłem, pójdę teraz upiec na ratyszczu.“ — „Dobrześ wymyślił (powiedzieli); pozwólmy mu, niechaj pójdzie i ucieszy się.“ Wypadłem za drzwi, unosząc dziecko. Wyłgałem się przed nie jedną jeszcze kupą, co mnie zatrzymała na zamku, aż nareszcie obejrzałem się za wałami. — Stał czyjś wóz zaprzężony parą końmi i przywiązany do rozrąbanego ostrokołu — odwiązałem go czemprędzej, siadłem na wóz z dzieckiem, i zacząłem uciekać na oślep. Konie niosły mnie przez miasto. Po czarnej nocy (bo strasznie było ciemno) blaski palących się domów były jak wiechy, żeby od razu zgadnąć gdzie się krew leje. Po pustych ulicach, któremi przejeżdżałem, czasami ktoś się przemknął uciekając — czasami rozległy się tłumne kroki i głośne wrzaski pogoni — czasami jęk prędko stłumiony dał się słyszeć...

Dziecko wysilone płaczem usnęło na moich kolanach. Nie miałem przytomnej głowy, żeby cokolwiek postanowić z sobą — jechałem więc nie obrawszy drogi, dokąd same konie mnie wiozły.

Kiedy słońce zeszło, po widoku, po kierunku wijącej się przede mną drogi, po okolicznych mogiłach, poznałem, żem był na trakcie Szpolańskim. Ludzie, do których mówiłem o co, albo których po drodze spotykałem, spozierali na mnie dziwnemi oczyma — ci szeptali między sobą, ci palcem z daleka na mnie i na dziecko ukazywali. Kilka nawet kobiet, przechodząc koło mnie, i oglądając się, czy kto nie uważa, mówiło do mnie półgłosem; „Strzeż się! bo Lachy się zbierają.“ — Wyjechawszy z krótkiego popasu, zacząłem miarkować, że na coś nadzwyczajnego musiało się zanosić. Najdalej dokąd wzrok zasięgał, pokazywały się jakieś ruchome postacie — bliżej rozpoznać można było że to byli ludzie jezdni i uzbrojeni — dochodziło mnie rżenie koni i odgłos trąb. Później dowiedziałem się, że była to szlachta z całej okolicy, która łączyła się z żołnierzem, żeby się oprzeć hajdamaczyznie...

„Kto jesteś? zkąd jedziesz? gdzie to dziecię wziąłeś?“ rozległy się wkrótce koło mnie groźne zapytania. Przygotowałem się wyraźnie opowiedzieć wszystko co i jak było, jakem się oddzielił od hajdamaków, jakem ocalił to dziecko — ale słowa zamarły mi na ustach, gdym postrzegł tuż nad sobą bladą

i przerażoną twarz Smilańskiego gubernatora, pana Wejhera. Dziecko poznało ojca i krzyknęło do niego. Jam go poznał — zbladłem i zmieszałem się — on poznał i mnie i dziecko i osłupiał. Nie wziął rącząt, które mu podawała dziewczynka — z ust jego nie wyszło jedno słowo — oczy otwarte patrzały, ale duszy w nich widać nie było. Zobaczywszy krew, co broczyła sukienki jego dziecięcia, zobaczywszy je samo w moich ręku, domyślił się zapewnie, co się stać musiało. Ta krew przemówiła głośno do niego. Jakiś czas stał nieruchomy, ale jak tylko koń się poruszył, upadł jak bryła kamienia na ziemię. Rzucono się go trzeźwić — wyniesiono dalej z tłumu. Widziałem jak przyszedł po długiem omdleniu do siebie, jak tarzając się po ziemi słuchał co mu opowiadano. Potém dał się wsadzić na konia, i nie obzierając się nawet na swoję dziewczynkę, pojechał z wojskiem, które w tej chwili ruszyło.

Mnie zatrzymano. Przerażenie moje wzięto za potwierdzedzenie wszystkich podejrzeń. Daremnie przyszedłszy do siebie rozpowiadałem czystą prawdę, jak było. Dziewczynkę wzięto do dworu — mnie osadzono w turmie. Siedząc w więzieniu szpolańskiém, myślałem z początku że prawda wyjdzie na jaw, i że wkrótce oswobodzony zostanę. Zamiast tego, pozory gorzej mnie obwiniły...

Człowiek w więzieniu tyle podobny do tego, jakim był na woli, jak jaskółka pod lodem do wijącej się w lecie pod strzechą gospodarza. Stérałem się więzieniem jak chorobą. Dnie mnie zestarzały jak lata. Ja co w początkach mego uwięzienia, śmiałem się z tych co okazywali żal niewieści, teraz po kilka razy na dzień płakałem. Narzekałem rozmyślając, że ginąłem z tych ręku właśnie, którym wyrządziłem przysługę; żałowałem prawie, żem nie zasłużył lepiej na ponoszoną karę...

Kiedy raz płakałem tak nad sobą w noc późną, musiałem zasnąć, bo marzyło mi się, że w głuchém polu szukamy pieniędzy z panem Wejherem. Pasowałem się z podmuchem gwałtownego wiatru, który ciągle gasił latarnię, przy której rozkopywaliśmy mogiłę, aż nareszcie światło zajaśniało i oświeciło aż do głębi grób rozkopany. Nagle zmieniło się moje marzenie, bo zdało mi się, że to moje ręce obwinięte w słomę gorzały, a mnie wodzono wśród tłumu ludzi po jakiémś nieznajomém mieście. Krzyknąłem z bólu i przestrachu i obudziłem się... Patrzę, moje więzienie doprawdy jak gdyby złotym ogniem zalane.

Porwałem się z podziwienia — ale nogi ugięły się pode mną, kiedym postrzegł wśród tego blasku wyraźnie osobę mojej pani Smilańskiej, matki dziecka, które wyratowałem. O kilka kroków ode mnie stała w powietrzu wśród jasności; trzy czerwone pasy od piersi do stóp schodziły; zatrzymała na mnie wzrok tak jasny, że z początku pół umarły z przestrachu, zacząłem przychodzić do przytomności, poznałem że jestem w obecności duszy szczęśliwej i zacząłem się modlić. Wyraźnie dały mi się słyszeć słowa: „Dam świadectwo za tobą.“ — To objawienie trwało może tyle czasu, ile go zabiera czytanie Ewangielii podczas mszy świętej. Potém światłość zaczęła gasnąć, jak gdyby się oddalać. Promienie miesiąca przejrzały znowu przez pobladłą jasność, dotknęły samej podłogi i po nich jak po schodach srebrnych wyszła postać błogosławiona z mego więzienia. Kiedy się skończyło objawienie, dopiero strach na mnie powiał jak wiatr grudniowy; serce młotem bić poczęło w piersiach. Zamknąłem oczy, bo czułem, że za drugiém widzeniem byłbym umarł.

Taki cud dopuścił Bóg, świadek mojej niewinności. Może myślisz, że zwodzę ciebie lub siebie? Nie — Bóg, który wkrótce powoła mnie do siebie, święci którzy stać będą po jego prawicy, w strasznej chwili, kiedy dusza stanie przed moim Stworzycielem, wiedzą że nie igram imieniem Boskiém, że nie szczycę się przed ludźmi łaską świętych, którejbym nie doznał. Takie, jak mówiłem, miałem widzenie w więzieniu, w nocy; nie we śnie ale na jawie — zresztą skutki jego były zbyt dla mnie widoczne i pamiętne.

Trudno jest żyjącemu człowiekowi wytrzymać obecność bezcielesnego ducha. Póki była noc ciemna, zasnąć od bojaźni nie mogłem — dopiero, kiedy zaczęło się rozwidniać w mojem więzieniu, znużone powieki skleiły się. Rozbudziło mnie wkrótce rozmykanie się drzwi i głośne kroki wchodzących. Myślałem, że mnie na śmierć idą prowadzić. Przeciwną mi wieść przyniesiono. Rozkuto moje kajdany, i powiedziano mi, że trzeba abym szedł do pana — nadto, że pani miała w nocy objawienie: pokazała się jej nieboszczka siostra; upewniła, że ja wybawiłem z rąk hajdamackich jej dziecię; kazała żeby mnie uwolniono, i dobrze się obchodzono ze mną. Pani tak długo dzisiaj rano leżała u nóg pańskich, aż wymodliła że mnie wypuści.

Podziękowałem Bogu i świętej duszy, co się za mną wstawiła, i poszedłem za prowadzącymi mnie do dworu. Pani z dziew-

czynką swej siostry zaszła mi drogę i rzekła: „Daruj dobry człowieku, żeśmy cię niesprawiedliwie posądzili. Weź to (dodała, dając mi jakąś paczkę) ażebyś miał żyć o czém, bo ci w tym kraju zostawać nie będzie wolno. Weź i ten znak, krzyżyk złoty z szyi dziecka, po którym kiedyś poznanemu, ja lub ona, będziemy się mogły lepiej wywdzięczyć.“

Dwóch żołnierzy z milicyi pańskiej weszło natychmiast do komnaty. Wyprowadzili mnie na dziedziniec, gdzie stały posiodłane konie dla mnie i dla nich, i wiąwszy mię pomiędzy siebie, puścili się ze mną w drogę. Kazano im wyprowadzić mnie przez Bałtę za granicę. Dzień i noc szliśmy, póki mnie jak śmierć za próg nie wymietli.

---

206. POKUTUJĄCY.

(z księgi Joba p. Stef. Witwickiego).

Depczą mnie nieprzyjaciele,
Ale się duch moj nie żali:
Pan zmieni płacz mój w wesele,
Pan mię ocali.

Od niego patrzę ochłody,
Boskiemi zajęty dzieły;
Łzy moje wspomnę, jak wody
Które minęły.

Choć żywot w smutku dziś trawię,
Święta podźwignie mię ręka:
Pod wieczór wznijdę w mej sławie,
Jako jutrzenka.

Bo wieczna pokornym chwała —
A nim przy ojcach się złożę,
Wprzód jako palma wspaniała
Dni me rozmnożę.

V.

207. MŁODE LATA PANA RYSIA.

(z „Pamiątek Soplicy“ p. Henryka Rzewuskiego).

Moi rówiennicy, których już nie wiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu *) sławnego organistę Rysia — ba! po dziś dzień w kościele św. Krzyża co niedziela i święto dają się tam słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem Nieświezkim, bo on był już piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki wydawali podobnież za ich synów. Byli Rysiowie z dobrego rodu, nawet tym samym herbem się pieczętowali co i Pocieje. Że o tém wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgoła, czy w axamicie, czy w szaraczku, zawsze tak się nosił, by choć trochę przynajmniej widzieć na nim było karmazynu. Ale proszę było popatrzyć na jego suknię galową, kiedy na szarym końcu za stołem księcia zasiadał, ile razy wypadała jaka uroczystość, czy kościelna czy familijna. Kontusz z axamitu czarnego, żupan atłasowy tejże barwy, pas sakiewny srebrny, a na tém wszystkiém z czarnej krepy krótki płaszczyk nakształt paliuszu, i doktoratka; bo gdy organiści jako ludzie kościelni nie nosili szabli, płaszcz krepowy i doktoratka była dla nich oznaką godności. Książę hetman go lubił, a szczególniej brat jego książę Chorąży, który sam niezgorzej grywał na organach, przeto żartując nazywał Rysia swoim kolegą.

Kiedy mu się urodził syn, książę Chorąży, co go do chrztu trzymał, słusznie powiedział: „Ten chłopczyk kantyczkową nutą płakać będzie, bo i po mieczu i po kądzieli samych organistów w rodzie swoim liczy.“ Ale ten żart w sprawiedliwą wróżbę nie został obrócony. Wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomo-

*) Nieśwież, miasto w gub. Mińskiej, dawniej do ordynacyi Radziwiłłów należące.

cnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały. Ani jednej nuty chłopiec nauczyć się nie mógł.

Gdy Karolkowi siódmy rok się kończył, Ryś sporządziwszy pozytywek dla księcia Chorążego, któremu także na imię było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień św. Karola, aby chłopczyna wręczył go ojcu chrzestnemu, jakoby na wiązanie. Ale że księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swojemi imieninami w Starczycy, gdzie miał domek wiejski, pojechał więc Ryś do Starczycy, zawsze z synkiem sam w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywkiem w ręku i z pałasikiem u boku. Zajechawszy przed wrota, wysiedli obaj z wózka i szli ku dworkowi. Książę siedział za oknem i patrzał się na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zbliżał się do ganku, żóraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi — a wtém Karolek, rzuciwszy pozytywek, dobył szabelki, i jak palnie żórawia po szyi, powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po kościach — i nie dziw, bo jeszcze na Litwie taki się nie był urodził, coby nie drżał przed księciem Chorążym, nie wyjmując księcia hetmana; cóż dopiero miał czynić chudy pachołek! Ale książę wyszedł na ganek, za boki się trzymając od śmiechu:

„A! zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego. Dziękuję za pozytywek, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawi. Ja go umieszczę między moimi paziami i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabraknie. Sam widzisz, że on nie do klawiszów stworzony.“

I tak stary odjechał sam jeden do Nieświeża, a Karolek został na dworze książęcym.

Książę miał czterech paziów, synów majętnych obywateli, ubogie Rysiątko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty grosz, Karolek ani szeląga przy duszy, tylko ubiór z łaski księcia. Ale wkrótce dał sobie radę. Książę Chorąży po obiedzie miał zwyczaj przesypiać się parę godzin, a paziowie w przedpokoju pilnując go, grywali sobie dla zabicia czasu w karty. Jakże Karolkowi było z nimi grać bez pieniędzy? Otóż pustaki tak się między sobą ułożyli: paź stawi przeciw niemu pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów — kiedy Karolek wygra, pieniądze jego; a kiedy skrewi, musi księcia śpiącego czy pijanego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów szło na kartę. Czas nie-

jaki udawało mu się; ale jednego razu, gdy książę uderzony przebudził się, sądny dzień zrobił się dla psotników!

„Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? — zapytał książę surowo.

— „Ja sam siebie namówiłem“ odpowiedział chłopiec, nie zmieszawszy się wiele.

— „A z jakiego powodu łotrze śmiałeś twojego pana znieważyć?“

Ten mu na to: „Cóż miałem robić z biedy? wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja będąc chrzestnym synem księcia pana, od czterech lat jak mu służę, jeszcze szeląga nie dostałem.“

Książę się z wolna udobruchał, a potém wyznaczył mu trzysta tynfów rocznej płacy, by swój nos nadal od szczutków pazia ochronić.

Gdy wyrósł Ryś, został dworzaninem, i coraz więcej wzmagał się w łaski swojego pana, dla wierności, odwagi, a osobliwie siły nadzwyczajnej; bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak dzielnie robił, że chyba pod ten czas jeden Wołodkowicz mógłby mu placu dotrzymać. Pojedynki miewał częste, bo był zuchwały. „Panie kochanku, powiedział mu raz książę Karol Radziwiłł przy kielichu — pókiś siedział przy ojcu, nazywano cię rysiem, ale odkąd przyłaskawiono cię na dworze mojego stryja, powinieneś się nazywać kotem, bo kot jest-to ryś swojski.“

---

208. ROZMOWA Z MICHAŁEM.

(*p. Stef. Witwickiego*).

„Cóż Michale tam na dworze?“
— „Deszcz, że człowiek wyjść nie może;
Brzydko, panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny — niech pan słucha,
Aż strach jaka wciąż ulewa.“

— „Więc przyłóż na komin drzewa.“
— „Mam też suche. Niech pan siada.“
— „Daj-no książkę, tę ze stołu.“
— „Tę co z wierzchu, czy tę z dołu?“
— „Tę, którąś rościnał z rana.

Ta, ta — daj ją.“ — „Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać?
Jako o tych książkach słyszę,
Proszę pana, co w nich pisze?
Pan musi znać doskonale.“

— „Różne rzeczy, mój Michale.
Historye, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje,
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzódy;
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje;
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle, gdzie rządzili,
Co, dla czego tak się stało...“

— „Na co to się panie zdało?
Dość kłopotu na tym świecie,
Myśleć by człek wyżył przecie,
Bo to teraz zewsząd bieda:
A to, na co to się przyda,
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy na przykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty!
Było, panie, to już było —
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.“

— „Popraw ogień.“ — „Pan się śmieje,
A to prawda. Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy. To tak właśnie,
Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzódy:
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam mospanie,
O trzech braciach, o sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek:
Jakiż panie w tém pożytek?

Dziecko, to tam się i bawi;
Matka głupia, to mu prawi.“

— „Jak to? stary, ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładziesz w równi?“ — „Nie to, panie;
Cóż tam moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi;
Pan czyta to wie najlepiej.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi.
(Jeśli pan ma wolną chwilę)
Bo to, panie, ksiąg jest tyle,
Że liczba niezrachowana,
Różnej formy, proszę pana.“

— „W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie;
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota:
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą.“

— „Proszę pana, to to samo,
Bylę na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz, człowiek też nie lada,
Różnych nauk dość posiada;
Nie jednego, kto zbrodniczy,
Złaje, nawet i wykrzyczy.
Lecz cóż? panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi proszę pana —
Gdy w kościele, to to słyszą;
A z kościoła, to znów grzeszą.“

— „Więc źle robią, mój Michale.“
— „Bardzo źle — ja też nie chwalę.

Powiedz mi pan z łaski swojej,

Jak w tych różnych pismach stoi?
Co się też na przyszłość stanie?"

— „Śmieszne czynisz zapytanie."

— „Bo to, panie, najciekawsze,
Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd? czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?"

— „A polepszy w jakiejś porze."
— „Kiedyż, panie, to być może?"

— „Wtedy, gdy tak jak należy,
Rozum światło swe rozszerzy;
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
Gdy ksiąg jeszcze więcej będzie,
Kiedy nauk skarb otwarty..."

— „Proszę pana, wolne żarty!
Odkąd-to już w takim trudzie
Tych się nauk uczą ludzie!
Odkąd-to już księgi piszą.
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym panie tam języku,
To już właśnie że bez liku!
Według tego, w każdym kraju
Jużby było dziś jak w raju;
A tu, panie, zawsze bieda!
Co grosz przyjdzie, to się wyda,
Wciąż drożyzna niesłychana.
To nie warto, proszę pana;
Cośby to się ludziom snuło..."

— „No, idź sobie już gaduło!"

---

209. KLASZTOR BERNARDYŃSKI
POD ZNAKIEM OPATRZNOŚCI ŚWIĘTEJ.

(z *„Pamiętników kwestarza,“ Ignacego Chodźki*).

Któryś król przejeżdzając mimo jednego z naszych bernardyńskich klasztorów, postrzegł napis na facyacie: *„Providentia Dei“* t. j. Opatrzność Boska; zawołał zatém gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu — odpowiedział on, rozumiemy to, że żyjemy z Opatrzności Boskiej, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem.

Zakon nasz nie może posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc ani siejąc, z łaski dobrodziejów żyjem.

— Dobrze, — rzekł król, — obaczymy jak żyjecie, — i wszedł do klasztoru w gościnę, z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa ks. Gwardyan nie żałował co miał najlepszego; a że dyspensa i sklep uprowidowane były porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny ale dobry i smaczny; skosztował zapewna bernardyńskiego trójniaku: ale po traktamencie rzekł do gwardyana, i do assystujących mu ojców.

— No, widzę że Opatrzność Boska opatruje was hojnie: teraz więc musicie mi dowieść żeście jej godni, to jest żeście mądrzy i pobożni, i że taż sama Opatrzność, nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania.

Primo — Ilem ja wart?

Secundo — Jak daleko z ziemi do nieba?

Tertio — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których jeżeli mi na każdą kwestyę przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę że Opatrzność Boska was wspiera, i żeście godni tej opieki; owszem będę sam dla was jej narzędziem: ale jeżeli pytań tych nierozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską Opatrzności, której nie są godnemi.

Trudno opisać jakie zamieszanie stało się w klasztorze, po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definitory, najtęższe teologi suszyli sobie głowy, i nieschodzili z konsyliów, na któ-

rych od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli: a tu *tempis tempi*, czas się skępi, i trzeci ostatni dzień nadszedł, a odpowiedzi jak niema tak niema — było ich może ze sto; ale żadnej takiej którąby króla skonwinkować mogła.

Wtém wszedł na walną radę w refektarzu zebraną brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cożeście ojcowie uradzili? czy macie responsa dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich, poznawszy on że sprawa idzie jak z kamienia.

— No *reverendissimi* — rzekł — kiedy mądrość wasza tak faluje, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuję.

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław, i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzie ma dać królowi? — a niektórzy kiwając wątpliwie głową odzywali się:

— My nic nie wymyślili, a waszeć masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich, — rzekł kwestarz, — wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne skoncypujecie: ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam posyłajcie mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tém że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem. A król postrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę, i rzekł: — przychodzisz zapewna księżulu z responsami na moje kwestye.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, — odpowiedział z nizkim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie, i włożył koronę, zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż w oczach kwestarzowi zaćmiło się; jednak nie tracił fantazyi.

— No, — rzekł król — *Ilem ja wart?*

— Szacujemy waszą królewską mość *dwadzieścia dziewięc srebrników* — odpowiedział kwestarz. — Zdaje się że bez krzywdy, kiedy jednym tylko srebrnikiem mniej od naszego Zbawiciela.

Król spojrzał po dworzanach — nie było co odpowiedzieć.

— *Jak daleko z ziemi do nieba?* — zapytał znowu król.

— Moment drogi, miłościwy królu — *skonanie!* — odpowiedział kwestarz — idzie tylko oto, aby nie zbłądzić, i nie trafić do piekła; od czego aby Bóg ustrzegł waszą królewską mość, my niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, ostatnie pytanie — *co ja myślę?*

— Wasza królewska mość myślisz — mówił kwestarz, — że kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja prosty brat — kwestarz do usług waszej królewskiej mości.

— *Bravo!* — zawołał król, — i wszyscy za nim: *bravo!* wygrałeś sprawę: widać że Opatrzność Boska opiekuje się wami, i nie opuszcza was w każdym kłopocie — potém zaprosił go wzajemnie na obiadek, i nakoniec sowicie obdarzonego odesłał.

---

210. A R A B.

(*p. Juliusza Słowackiego*),

(w wyjątku).

Klęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu —
Jukami garby ładują do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

Puścił się wielbłąd na stepów zacisza;
Z pod racic ogień wytryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze.
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

Dalej wielbłądzie! poco zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho — pusto — i tylko z obłoku
Księżyc posępne czoło rozpromienia.

Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce, jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem życie zamknie w sobie;
Cicha — lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie:
Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmieszanym rozpowiada szumem.

Dalej wielbłądzie! tak pusto do koła —
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie z pustyni nie woła;
Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
I głośno bije skrzydłami czarnemi —
Szczęśliwszych niema ode mnie na ziemi!

— Nie! nie chcę raju — lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca —
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka —
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.
Niech, dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły.
Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia. —

O takiém szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży.

---

211. JARMARK BERDYCZOWSKI.

(z powieści J. Korzeniowskiego).

Na równinach od Podola i Ukrainy bielały ogromne trzo-

dy bydła — a wśród tej massy rogatej czerniały tu i owdzie baranie czapki, zasmarowane dziegciem koszule i brudne twarze zgońszczyków. Tam także jak półkownicy przed piechotą, uwijali się szlachta i różni spekulanci na koniach. Podjeżdżały to ztąd to z owąd bryczki, wózki, a nawet i kocze, w których siedzieli żydzi, szlachta i panowie. W innem miejscu beczała armia owiec hiszpańskich, saskich i mieszanych polskich. Z tym głosem przeraźliwym, przechodzącym po kudłatych szeregach jak plutonowy ogień, mieszały się krzyki właścicieli, łajania pastuchów, szczekanie psów, i harhotanie żydów, którzy jak powietrze obejmowali wszystko i byli wszędzie. Bliżej miasta w zagrodach stały tabuny tatarskich koni. Wśród nich i w około uwijali się wierzchem Tatarowie, tłukli się na twardych siodłach żydzi w trzewikach i pończochach podziurawionych: harcowali panicze w czamarkach, z wąsami, z brodami, a często z gołą twarzą i kieszenią, ale każdy z batożkiem w ręku, z uśmiechem na ustach, z okiem zapaloném równie chęcią posiadania, i padającém kolejno to na szkapę, którą pokazywano, to na jaką panią, która w eleganckim koczyku sama się pokazywała. We środku, w zagrodzie, uwijał się arkan, który zarzucano na szyję biednemu koniowi; a we wrotach zagrody stali kupujący, szlachta, żydzi i panowie; wśród powszechnego gwaru, wśród trzaskania batożkami, wśród krzyku Tatarów, podnosiły się huczne śmiechy ekonomów, często powtarzane żydowskie zaklęcia, i głośniejsze jeszcze zarzekania się panów, towarzyszące zwykle jakiemuś kłamstwu, i na honor, na poczciwość, jak żonę kocham i dzieci!

W mieście był taki sam ruch i krzyk jeszcze większy. Ulice wązkie i brudne zawalone były podwodami chłopów. Powózki ruskie zwoszczyków wyładowane ciężko i sztucznie ciągnęły się rzędem. Tu i owdzie toczyły się krakowskie bryki, pełne żydów, żydówek i dzieci, które z tamtąd, jak wróble z gniazda, wyciągały kudłate główki, i patrzały, czy nie padnie zkąd półrubelek. Trachtowe bryki szły także w różnych kierunkach, z wystającemi bokami, z wysokim płóciennym dachem, pokrywającym olbrzymi ładunek. Na ich kozłach żydzi w zabłoconych pończochach, chociaż błota nie było, w kapeluszach z owisłami skrzydły, poświstywali długiemi biczami, raz krzycząc na konie, to znowu gwarząc z oskakującemi ich zewsząd faktorami, których poły były naturalnie podkasane. Przez ciasne miejsca, któ-

re zostawiały podwody, bryki i powózki, przesuwała się to karéta, z której wyglądały śliczne i ciekawe twarzyczki, to kocz, w którym jechał obywatel, poglądający na okna ratusza, gdzie go zielony stół oczekiwał, to luźne konie panów, które furmani prowadzili od wody — a w tym labiryncie wozów i powozów, jak woda bystrej rzeki szumiąca i ogarniająca porozrzucane kamienie, krążyli wszędzie żydzi, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, to z towarami, to bez towarów, to wadząc się, to zmawiając; a wszyscy razem gadali, wszyscy krzyczeli; wszystkim szło o jedno, o ten talizman, który daje ruch i życie każdemu jarmarkowi — o pieniądz.

---

212. PROSTAK WIEJSKI.

(*p. Stef. Witwickiego*).

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdyć panem swojej woli:
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.

Nie ciekawym, co tam poda
Zagraniczna miastom moda;
Sieję sobie swe zagony,
Niech będzie Bóg pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozyły
Myśli że świat przeinaczy;
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.

Wolę ja w staroświeczczyźnie
Własnej wiernym być ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony,
Niech będzie Bóg pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, bogactw, i tak dałej —
Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mnie w wiosce kmieć pochwali,

Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi,
Tom już szczęśliw z każdej strony,
Niech będzie Bóg pochwalony!

213. KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ PANIE KOCHANKU w gościnie.

(z *Obrazów litewskich Ignacego Chodźki*).

Podczas bytności króla Stanisława Augusta w Nieświeżu, gdy się cała rozjechała szlachta, gromadnie jakby na wybór nowego pana, przez Radziwiłła zgromadzona i hojnie podejmowana, pozostały ze znakomitszemi gośćmi Sulistrowski, pod którego wspólném z Michałem Chodźką wojskim oszmiańskim przewodnictwem, szedł powiat oszmiański do Nieświeża; przyjaciel domu Radziwiłłów, a szacowany szczególniej dla swych przymiotów i rozumu od księcia Karola, umyślił zaprosić go do Szemiotowszczyzny i wyprawić mu przyjęcie wspaniałe, w którémby Radziwiłł króla, a Sulistrowski Radziwiłła mógł powtórzyć.

Jednego więc ranku, gdy książę otoczony przyjaciołmi, w najlepszym będąc humorze, prowadził rozmowę, niełatwo wyczerpnąć się mogącą, o festynach, oracyach, illuminacyach; o sławnym fajerwerku na stawach Nieświeżskich, przedstawującym attak Gibraltaru; o polowaniu, na którém, nadzwyczajny osiłek pan generał Judycki stojąc blizko altany, na której był król, biegącego niedźwiedzia przebił oszczepem*), osiadł na ziemi i krzyknął: „Strzelaj królu!“ Dowód takiej siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelał jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do zwierza pasującego się z Judyckim; dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Czechowicz, a król ranił innego niedźwiedzia, drugą linią napędzonego na altanę.

Każdy z obecnych przyrzucał to uwagi, to anegdoty do powszechnej rozmowy. Lecz gdy która z nich zakrawała wprost lub ubocznie na ubliżenie królowi, gdy się wymknął komu z ust

*) Prawdziwe.

Pan Stolnik)*, książę spozierał z nieukontentowaniem i niewczesne żarty karcił, mówiąc z niejaką nadzwyczajną powagą: „Panie Kochanku! Radziwiłł przyjmował Króla Polskiego!.. trzeba to wiedzieć i znać panie kochanku!“

— Tak, mości książę rzekł Sulistrowski, i przyjęcie to godném było i gościa i gospodarza, i Radziwiłła i Króla!.. Lecz czy nie raczyłbyś W. K. Mość doświadczyć i widzieć, jak szlachcic przyjmuje ukochanego od wszystkich obywatela?

— Co to ma znaczyć, panie Alojzy?

— To się ma znaczyć, Mości Książę, że umyśliłem prosić W. K. Mości, abyś mnie raczył uszczęśliwić bytnością swoją u mnie w Szemiotowszczyznie, wybrawszy na to podług swej woli czas; ale jednak niedaleki, aby się nam na pańskiej obietnicy nie skończyło. Powiadam, Mości Książę, *nam*, bo prośbę tę wnoszę nie tylko od siebie, ale i od całego powiatu oszmiańskiego, który w sowitym poczecie stawił się na rozkaz W. K. Mości w gościnę do Nieświeża. Raczże W. K. Mość być u nich wzajemnie gościom, na dowód, że jak powiadasz książę, kochasz Oszmiańczuków.

— Panie kochanku, rzekł pomyśliwszy nieco i pokręcając wąsa książe; radbym to z duszy uczynił i tobie, panie Alojzy i braciom Oszmiańczukom złożył moje homagium... ale... ale jesień...

— I polowanie, Mości Książę, przerwał Sulistrowski. A długoż to będą niedźwiedzie i łosie w puszczy Żuprańskiej czekać na swego pana?

— A wielkaż to puszcza panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza Żupráńska? — Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jej to wychowańce dostarczają uczniów do sławnej akademii Smurgońskiej. Prócz tego obejrzysz jeszcze Książę, obszerne swoje dobra tamtejsze: Żuprany, Nowosiołki, Smurgonie, których nawet w tytułach W. K. Mość nie ma, a które niemniej warte są oblicza i oka pańskiego.

— Dobrze to bardzo i wdzięczném sercem przyjmuję nareszcie obligacyę twoję, kochany panie Alojzy. Wiém, żeś mój

---

*) Tak tytułowali Stanisława Augusta, niechętni jemu, gdyż przed wstąpieniem na tron miał tytuł stolnika litewskiego.

i domu mojego przyjaciel; wiém, że i substancya twoja, chwała Bogu nie uboga. Ale pomiarkuj się: mnie przyjęcie króla, kosztowało więcej miliona i król podarował mi *janczarkę;* więc cóż ja ci dać mogę? chyba *kasselkę* *) jaką, panie kochanku **).

— Podarujesz mi W. K. Mość więcej aniżeli warte są wszystkie dary królewskie, odrzekł Sulistrowski, łącząc w swej mowie i układność dworską i szczérą przychylność dla Księcia, wdziękiem głosu i całego oblicza wydającą się: podarujesz mi W. K. Mość najdroższe i najchlubniejsze wspomnienie, które do najdalszych moich przejdzie potomków: wspomnienie bytności Radziwiłła w moim domu.

— Panie Alojzy, rzekł wzruszony Książę, ściskając rękę Sulistrowskiego; będę, będę w Szemiotowszczyznie i to nie dalej, jak za kilka tygodni. *Verbum nobile!* panie kochanku.

In gratiam tej solennej obietnicy, wesołość i księcia i całej kompanii się podwoiła. Uderzono zatém w kielichy i dzień zakończył się staroświeckiém, *kochajmy się.*

Powiadają, że Książę hiszpański *di Medina Celi*, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy ani na cudzej ziemi, ani w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwille podróżującym po Litwie. Mnogie i obszerne dobra jego, w największej dziś części przeszły w różne szlacheckie imiona; a prawie na każdej takiej części, wzrósł dostatni pan i siedzi wygodnie, zbudowawszy sobie jakby dom porządny z ruin potęgnego gmachu. Książę Karol, lubo pozbawiony już wielkiej części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze jak ów Grand hiszpański na swojej ziemi. Podróże jego, gdy jeszcze do nich i myślistwo się łączyło, szły obozowym taborem.

Najprzód z każdego noclegu, z kilkunastu konnymi wy-

---

*) Prawdziwe.

**) Stanisław August opatrując skarbiec i zbrojownię Nieświeżską bogatą natenczas w oręże starożytne, darował do tego zbioru janczarkę Jana III. Jaka szkoda, że dziejopis tej bytności króla w Nieświeżu, nie opisał tego zbioru, przedstawionego natenczas w całém swem bogactwie, a który potém roztyrał się marnie.

prawowali się stanowniczy, marszałek i łowczy. Pierwszy znacząc za sobą wiązkami słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła, obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. Marszałek przyspasabiał żywność i wszelkie wygody dla księcia i całej jego kalwakaty. Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałązkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

I takim właśnie obyczajem wyprawił się Książę do Szemiotowszczyzny. Sulistrowski odjeżdżając z Nieświeża zamówił w miasteczku żyda, który poleciał doń dniem i nocą dając znać o wyjeździe Księcia z miejsca. A że podróż trzydziestu z górą milowa, polującemu i liczném, a po drodze pomnażającem się codzień gronem przyjaciół, powoli posuwającemu się taborowi, dni z dziesiątek trwać mogła: przeto Sulistrowski miał czasu dosyć dla zaproszenia licznej kompanii i przygotowania się do przyjęcia tak dostojnego gościa.

Przybył nakoniec Książę do Żupran i sam się zadziwił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną nie była i myśliwską jego nie zagrzmiała trąbką, a w której ośmiu niedźwiedzi, prócz innej grubej zwierzyny, na jego przyjazd osaczono.

— „Panie kochanku! — rzekł on, każę aby niedźwiedzie Żuprańskie, odtąd na zimowe leże do Albeńskiego zwierzyńca przychodziły, bo żadnej o sobie wiadomości memu panu generalnemu łowczemu nie dają.“

— A kto im da charcz na tak daleką wędrówkę? zapytał śmiejąc się pan Ważyński, podkomorzy oszmiański, zawołany myśliwy, który zajechał Księciu drogę, około Holszan w dobrach swoich, i jako zaproszony do Szemiotowszczyzny, przyłączył się do książęcego orszaku.

— „A ci, paniekochanku, którzy dotąd skóry ich kradli i łapy ich jedli“, odpowiedział Książę, prowadząc okiem z ukosa po swém zawstydzonem myślistwie.

Przez kilka więc dni huczne i wesołe polowanie trwało po głębokich lasach Żuprańskich od rzeki Oszmiany, szeroko aż ku Wilii rozciągających się. Głuche dotąd ostępy, rozlegały się hałasem psów, myśliwych, dojeżdżaczów, ludu spędzonego na obławy, gęstemi strzałami i tryumfalnemi rogów i trąb rozgłosy,

które echa okoliczne, po suchém i pięknéni powietrzu, daleko roznosząc, płoszyły strwożonego zwierza i napędzały go na siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków, lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szałasze i budy z gałęzi okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed któremi wieczerzę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Książę otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwóch ogromnych niedźwiedzi własną ręką ubił, a dwóch drugich ranił mocno i rzucających się na strzał, stojący zawsze obok niego oszczepnicy, chłopi silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatém fatygach, używał Książę ochoczo i traktował hojnie brację szlachtę oszmiańską, nie rozróżniając prawie wielmożnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło. Ogromne misy hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów, roznoszono po szałaszach; a po nich na potuszenie, krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego, a zaprawnego imbierem i gwoździkami miodu, dzielny naprzeciw jesiennym nocnym wilgociom i przymrozkom specyał, którego i Książę dając przykład gościom nieskąpe wychylał kufle i którego skutkiem, były najprzód szumne gwary i wrzaski, a potém twarde całego obozu chrapanie... Poglądając wtenczas na ten fantastyczny obraz pola zasłanego zbrojnym ludem, wśród dogorywających ognisk, wśród wozów i szałaszów, cofnąłbyś się myślą o kilka wieków i zdałoby ci się widzieć w pół barbarzyńskie hordy dawnych Litwinów, w lasach niedostępnych, pod wodzą jakiego Witenesa czy Olgierda, zebrane do niespodzianego napadu, na jaką nieprzyjacielską krainę, i splądrowania jej ze szczętem.

Tak cały tydzień przebywszy Książę pod gołém niebem, pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszem przyjaciół gronie wybrał się do Szemiotowszczyzny.

Jechał on długim drabiastym wozem saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty; krytych pojazdów, a szczególniej karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże.

W kilku lub kilkunastu wygodniejszych pojazdach jechali za nim asystujący mu zwykle z interesu, lub dla przyjemnóści tylko przyjaciele; ale gdyby którykolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet łaskę u Księcia i służbę. Na wozach podobnych starsi, z konia młodzi, służyć w podróżach byli powinni.

Taka zatém kalwakata od Żupran ku Smurgoniom, oszmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark Żuprański, gdy wielka gromada włościan na drodze zebrana, upadła przed zbliżającym się Księciem na kolana, a najstarszy wiekiem, papier jakiś nad głowę podniósł.

— Stój, panie kochanku! zawołał Książę i wysiadł z wozu.

— Co to jest dziatki?

— Suplika Książę panie do was, od biednych waszych poddanych! odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniej od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany W. K. Mości: służyłem pajukiem u ś. p. Księcia hetmana, ojca waszego, a teraz od jego śmierci, miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządca.

Książę czytał pilnie suplikę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

— A gdzież ten infamis? zapytał Książę, zaczerwieniony od gniewu.

Tu oto w tym folwarku, odpowiedział stary. Wskoczył na wóz Książę, i — zwracaj do dworu! wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim; bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności Księcia, zwłaszcza dworzanie i blizcy domownicy Nieświeżcy, poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie*).

Jakoż wpadł Książę na ganek i spotkał tam właśnie ekonoma, niejakiego pana Pryżmonta.

— A, tyś to! wrzasnął Książę, ekonom tutejszy, Pryżmont?

— Ja, odpowiedział przelękniony i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał tej wizyty, a widział Księcia na obławach, a zatem go poznał.

---

*) Prawdziwe.

— A, to ty, poganinie obdzierasz, uciemiężasz i katujesz moich chłopów, krzyczał Książę trzęsący się od złości.

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku, złodzieju, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz.

— Ale Mości Książę, rzekł Hutorowicz pisarz ziemski oszmiański, czytając podaną sobie przez Księcia suplikę — któż wie czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jak to, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznychby nie przynosił.

— Mikuć, zapytał Książę, kto posesorem Żupran?

— Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewna nie wie o tym ekscesancie. Więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz ztąd wypędzam. U mnie tak, panie kochanku: poczciwa szlachta to moi bracia, a chłopi to moje dzieci!

— Takim sposobem, Mości Książę, odezwał się Kossowski*), nieodstępujący nigdy dworu Księcia i chcący wprowadzić go w dobry humor swym dowcipem, jak się mu to nieraz udawało: takim sposobem, każdy chłop W. K. Mości byłby naszym synowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopi pochodzą od Chama, a my szlachta od Jafeta.

— Od Chama pochodzą *kpy*, panie kochanku i waść do tej prozapii należysz**), odrzekł Książę siadając zły i zasępiony na wóz swój, a śmiech powszechny skonfundował niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do Smurgoń, a Książę nieustawał we wnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobre i chrześciańskie jego serce prawdziwym ozwało się wyrazem, gdy powiedział, że chłopi są jego dziećmi, a ztąd trapiła go myśl, teraźniejszém zdarzeniem może raz pierwszy żywiej obudzona, że pan mnogich włości i pod-

---

*) Znajomy z 3-ciej Seryi Obrazów trefniś.

**) Ta odpowiedź prawdziwa Księcia, dała materyał potém Kossowskiemu do wielu anegdot. Długo bowiem przyjmował on na dworze Nieświeżskim rozmaite figury do swojej prozapii, i wielką onej sformował listę motywowaną rozmaitemi przyczynami.

danych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi równych jemu, a powierzonych mu w pieczę od Boga. Że za ich pracę należy im się czuła opieka; że może równegoż uciemiężenia od nieludzkich rządców, doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego.

Przerwał te obsydye i rozmysły księcia spotykający karawanę konno pokojowiec.

— Pan marszałek Fryczyński, rzekł on, zatrzymując konia, kazał mi spotkać W. K. Mość, i raportować, że pan Przeciszewski, zastawnik Smurgońszczyzny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią, i czeka na obiad W. K. Mości z całą kompanią.

— Niechże Fryczyński sam zje ten obiad pana Przeciszewskiego — mijać Smurgonie!

— Kahał, Mości Książę, czeka z dziesięcioro na wjeździe do miasteczka, a Rabin ma mieć mowę po hebrajsku do W. K. Mości.

Książę spojrzał surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył —- mijać! jedź!

— Akademia smurgońska, Mości Książę. — mówił jeszcze pokojowiec, nie postrzegłszy zapewna wzroku Księcia, — przyprowadziła czterech niedźwiedzi na dziedziniec do dworu, i mają tańczyć balet przed W. K. Mością.

— Mianuję cię, — odpowiedział żwawo Książę, — rektorem tej akademii, a Fryczyński przyłoży ci patent na kobiercu. Ja z niedźwiedziami w lesie tylko mam do czynienia. Jedź krzyknął na stangreta, — i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru godnością i obietnicą Księcia, jechał za nim spuściwszy głowę młodzieniec: został się potém w tyle za całą kalwakatą, w nadziei, że nie nawijając się Księciu na oczy, uniknie humoru i patentu.

Wszystkie zatém solenności przygotowane na przyjęcie Księcia dziedzica w Smurgoniach, spełzły na niczém: bo on przejechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku Wilii, którą o pół mili przebyć trzeba było. Lecz gdy się zbliżał do jej brzegów, dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego. Postrzegłszy on namioty i liczne około towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna... a na przeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski spotykający

tu Księcia na przeprawie. Muzyka brzmiała bez pauzy: okrzyki radośne i powitania nie ustawały; więcej półtarasta znakomitszych obywateli litewskich, z różnych okolic zebranych, mieszało się wzajem w powitaniu miłego gościa.

Twarz tylko jednego młodzieńca w żałobie, skromna i spokojna, jeżeli nie ćmiła powszechnej radości, nie zwiększała jej także. A młodzieńcem tym był nasz pan Ludwik Dowiat, towarzyszący stryjowi swemu panu Skarbnikowi, wezwanemu przez pana Sulistrowskiego do Szemiotowszczyzny. Nie życzył sobie on tej podróży; lecz w liście pana Pisarza znalazło się *postscriptum* własnoręczne jego, obligujące i pana Ludwika, aby ze stryjem przybył.

Swieżą a bolesną stratą ojca dotknięty; on jakby obcy przybysz, przypatrywał się temu wesołemu zbiorowi, aż go stryj wziął za rękę i zaprezentował Księciu, sam mu oddawna znajomy.

Pod namiotami rozstawione stoły, okryte były rozmaitą, a obfitą, przekąską, która zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego; po której, gdy jedno tylko dostojnego gościa spełniono zdrowie, muzyka odezwała się na promie wzywając do podróży, której pan Sulistrowski był przewodnikiem. Mil sześć jeszcze z tego miejsca do Szemiotowszczyzny; w nocy więc ledwo przybyć tam można było. Lecz pan Sulistrowski rozstawił po drodze przeprzęgi, manowce poreperował, a wjazd Księcia w nocy, należał właśnie do pogrammatu okazałego przyjęcia jego.

Późnym wieczorem przybył Książę do miasteczka Szemiotowszczyzny, i tam z podróżnego ubioru w oszmiański mundur się przestroił. Od miasteczka do dworu prowadzi grobla długa na ćwierć blizko mili, a po obu jej stronach ciągną się równejże długości szerokie i czyste kanały. Na sute jej oświecenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nieprzerwaną illuminacyę około grobli zapalił, którą w oddali zamykał front pałacu, rzęsiście światłem osypany i na szczycie cyfrą Księcia jaśniejący.

Wspaniały ten i samą długością zachwycający widok światła rozlewającego się i podwajanego na kanałach, zadziwił i oćmił

Księcia i wszystkich jadących za nim. Krzyczano z pojazdów vivat! bravo! podniecane nieustanną salwą kilkunastu moździerzów, we dworze brzmiących, a Książę kręcił głową i mruczał sobie! „Dalibóg! to lepiej i piękniej niż moje dobycie Gibraltaru, na które tylko wiele prochu spalono, i nic osobliwego nie było.“

Wybite z głowy nad przewozem na Wilii, ponure myśli i humory Księciu, tu do reszty znikły, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkanym i otoczonym piękném i świetném gronem płci obojej: a na twarzach i ustach wszystkich, radość i ukontentowanie z przybycia jego.

Książę zasiadł do wieczerzy, między gospodynią domu i panią starościną. Obie w grzecznościach i komplementach przesadzały się nawzajem: jedna z dworną i wyższą wielkiego świata delikatnością, jedwabne mu, że tak powiem i wonne sypała słówka: druga poczciwa, staroświeckich obyczajów matrona, za każdą potrawą do uprzykrzenia prosiła Księcia o apetyt, i dokładała gwałtem na talerz jego wyborniejsze przysmaki.

Ale Książę nie podobał sobie ani w komplementach, ani w delikatnych frykasach: na pierwsze prawie nie odpowiadał, i darmo je tracąc starościna, myślała sobie: „Oj, słusznie cię zowią niedźwiedziem litewskim“ a za drugie dziękując gospodyni jak mógł najgrzeczniej, odsuwał jednak talerze, aż w trzeciém daniu, które na stole rozstawiono, postrzegłszy na przeciwnym końcu kapłuna — za pozwoleniem pisarzowej dobrodziki rzekł, „życzyłbym aby ten jak mi się zdaje, kapłun, który oto tam stoi na półmisku, naprzeciw księdza kanonika Brzostowskiego, i na który jego przewielebność z pożądaniem pogląda, przeszedł tu ku mnie; a zachęcać mnie do smacznego apetytu nie będzie potrzeba.

Postawiono więc wnet przed Księciem żądany półmisek.

— I parę jarząbków przy nim, dodała uprzejma gospodyni.

— Ptaszki, to fraszki, rzekł Książę zatopiwszy się w kapłunie: a gdy go zmógł całego i dokończył z nim wieczerzę, dano hasło z moździerza...

Wnet odemknęły się drzwi i okna przywarte dotąd okienicami od ogrodu: zabrzmiała muzyka w szpalerach, i okazał się cały ogród wspaniale oświecony, do którego kompania od wszystkich stołów powstawszy, zeszła. Na środkowej zaś szérokiej równinie zażegły się ognie sztuczne, i tysiące rakiet strze-

liło razem w niebiosa, brylantowym deszczem napełniając horyzont i spadając na ziemię.

Vivat! w tej samej chwili rozległ się w ogrodzie, i jakby echem stokrotném powtórzony za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu, kilkanaście beczek miodu roztaczało. Vivat! Książę, vivat! Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły się na to hasło w górę i spełniono zdrowie Księcia z uniesiesieniem!

Ksiażę rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego: panie Alojzy! panie kochanku! rzekł, — deklarowałeś mi w Nieświeżu, że mnie po szlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz! Panie! dajże kielicha!

Podano na srebrnej tacy, wielki kryształowy kielich i starym węgierskim maślaczem napełniony po brzegi; wziął go Książę w rękę, wychylił duszkiem — a szał objął zgromadzenie.

Pan Oskierka kasztelan, gdy mu się on w ręce dostał wycisnął się z tłumu przed Księcia, i poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie, spełnił i siwego otarł wąsa.

Książę wzruszony i serdecznością braci i starym węgrzynem, płakał ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie — panie kochanku! Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Szlachecka krew, panie kochanku!

Damy i dziewice przechadzały się tymczasem po ogrodzie, i te gromady białych i lekkich postaci to w jasnem okazujące się świetle, to niknące w półcieniach gęstszych szpalerów, ogarniały czarownym urokiem ten fantastyczny obraz, ten tłum szalejącej zgrai!..

Ochota przedłużała się jeszcze, nim węgrzyn zaczął ćmić oczy i trudnić język wylewający się serdecznym oświadczeniom, przywiązania do Księcia i między sobą wzajemnym. Jedni siedzieli na murawie i próżno się mocowali do powstania, inni stali wprawdzie jeszcze i bełkotali jakieś staroświeckie, a niewyrozumiane oracye; inni nieprzestając powtarzać hasła pana Oskierki, ściskali bez ustanku księcia siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie: „Ja wasz brat! Ja wasz sługa!

Gospodarz tylko sam jeden się oszczędzał, a za danym przez niego znakiem, znowu mnóstwo rac wzniosło się w górę, muzyka zabrzmiała marsz — *Vivat!* odezwało się na wszystkie strony... i tak się zakończyła owa noc, jakby z *Tysiąca nocy*

naśladowana; może ostatnia w Litwie łączącą potężnego magnata, a duszą i sercem szlachcica, braterstwem uczuć i obyczajów, z ziomkami bracią jego.

214. DWAJ BRACIA ODMIENNI.

(z powieści Zygm. Kaczkowskiego p. t. „Kasztelanice Lubaczewscy).“

Niedaleko miasteczka Ustrzyk w ziemi Sanockiej leży wieś Ustyanowa — wieś dosyć duża, na dwie części podzielona, w bardzo piękném położeniu, ale w ziemi tak nieurodzajnej, że niech się jeszcze przed nią schowa Buk i Jaworzec. Bo i jakżeż zresztą ma być urodzajną, kiedy leży na takiém wzniesieniu, że jak piszą starzy jeografowie, a naoczni świadkowie potwierdzają, właśnie na jej gruntach wody się dzielą, płynąc jedne z Dniestrem do Czarnego, a drugie z Sanem i Wisłą do Baltyckiego morza. Od niepamiętnych czasów Ustyanowa była w posiadaniu Brześciańskich, starożytnej w Polsce rodziny. Siedzieli w niej (około r. 1780) dwaj bracia rodzeni, kasztelana Lubaczewskiego synowie, niepodobni do siebie jak ogień i woda. Starszy, imieniem Krzysztof, był wzrostu małego, krępej i zażywnej budowy ciała, jasnych kręconych włosów, oczu siwych, a tak szeroko od siebie rozstawionych, że jak mówiono, możnaby mu było czterema końmi i kolasą pomiędzy nie przejechać. Był on bardzo wesołego humoru, lubił dużo mówić, a i nie źle czasami mówił; bo chociaż nie był z książek uczony i na filozofach się nie rozumiał, tak wszelako zdrowy i bystry miał rozum, że nie tylko na polowawaniach i w gospodarstwie jego rady wysoko ceniono, ale nawet i na zebraniach szlacheckich, kiedy głos zabrał pan Krzysztof, to bywało jakby mak siał — a to tém bardziej, że bez żadnych dodatków i przysad, szedł prosto do rzeczy, mówił krótko i węzłowato, a takie dowody wymyślał, że je Herkulesowemi pałkami nazywano. Tylko mu jeden pan Edmund Hojnacki ze Strwiążyka wyrównywał, i to nie we wszystkich sztukach, bo każdy miał swoje — więc on np. beczkę wina porwawszy za brzegi, jakby konewkę z piwnicy wynosił — dwóch chłopów naładowawszy na siebie, z innymi luźnymi o kilkadziesiąt kroków do mety biegał i wygrywał — a kiedy schwycił konia za ogon i grzywę, i tak parę minut tylko potrzymał, to zwierzę czując moc jego nadzwyczajną takim się potem oblało, jakbyś je z wody był wy-

prowadził. Lubił on przytém myśliwstwo, i sute w Ustyanowy łowy wyprawiał, dbając nie tylko o to, ażeby goście jego dobrze się zabawili w kniei, ale także, aby na jego kuchnię i piwnicę nie narzekali. Brał też zawsze kucharzy nauczonych na wielkich dworach, a brzęczącą monetą płacił Węgrom za wino, nie tak jak inni, którzy je wymieniali za gonty, deski lub drzewo. Dlatego też pan wojewoda Wołyński, kiedy był w Ustyanowy na obiedzie lub tylko na śniadaniu, nie raz, chociaż żartem, powtarzał: „Jak mi Bóg miły, niemasz w Polsce różnicy pomiędzy bracią szlachtą“. Pan Krzysztof się na to uśmiechał, rad tak dostojnemu gościowi.

Drugi brat jego już całkiem był inny, a Kasper było mu na imię. Kasper był trochę smaglejszy, nawet dość duży wzrostem, twarzy ściągłej i bladej, włosów ciemnych. Oczy miał czarne, chociaż podobnie rozsadzone od siebie — bo już to te oczy, to Brześciańskich znamie rodowe. Słabej budowy ciała i miękkich obyczajów nie pochwalił się żadną siłą męzką, a o jego duszy przymiotach różni różne mieli zdania; dziwnemi bowiem sposobami się objawiając, nie zawsze jednakowe dawał o sobie świadectwo. Nie raz długie godziny w samotności trawił, i lubił ją bardzo. Zapamiętale przywiązany do muzyki, grywał sam na angielskiej gitarze i na klawicymbale, a nawet jakby drugi książę Ogiński, jakieś własne tworzył melodye, dopisując sam do nich piosneczki i śpiewając je zimą w swojej sypialni, a latem w ogrodzie pod jakąś chińską, przez siebie samego zbudowaną altaną. Dla tego do muzyki upodobania, pan Kasper, wyjeżdżając czasami z domu, Włochów muzykantów ze sobą przywoził; a później, kiedy wśród rozruchów krajowych i w czasie zaboru, wrota otwarte zostały różnego rodzaju przybyszom, a Czesi z harfami, skrzypcami i różnemi dudami pojawiać się poczęli, to Czechów sprowadzał do siebie, wożąc ich swemi fornalkami, a nawet cugowemi końmi, i trzymywał nieraz po dwa i trzy tygodnie u siebie, ucząc ich nibyto-to narodowej muzyki, a właściwie tylko dla miękkości charakteru, łechcąc swoje ucho łaskotliwą melodyą. Najczęściej jednak Cyganów, którzy szczególny posiadają dar muzyki, po karczmach i gościńcach zbierał, i sprowadzając jedno od sasa drugie od lasa, a wszystko do Ustyanowy, nie raz się długo namozolił, nim ich tony jako tako w jednę harmonią zespolił. Ale co się łyse urodziło, to łyse zginie: wyuczeni Cyganie zawsze po cygańsku grywali, i po cygańsku się potém po

świecie rozłazili. Przy muzyce lubił też pan Kasper i książki, i nie raz długie noce nad niemi wysiadywał, a zawsze jakoś umiał w nich coś takiego wyczytać, czego przedtém nikt inny nie dostrzegał. Posiadając języki, bo pobierał był nauki u OO. Jezuitów w Warszawie, z łatwością czytywał francuzkie i niemieckie książki, a i tam zapewne podkładając swoje bziki pod cudzą literę, albo zagraniczne dowcipy przerabiając na polskie kopyto, takie nie raz wytwarzał dziwadła, że trudno było uwierzyć, aby się w zdrowej głowie co podobnego urodzić· mogło. Na sejmikach i zebraniach szlacheckich, albo i na przypadkowych zjazdach bywając, i nie raz całemi godzinami prawiąc, najczęściej tylko wszystkę szlachtę do śmiechu pobudzał. Nie raz, jak jął prawić o polityce, o jakichsiś duchach narodów, o nowym nastąpić mającym porządku świata, to tak wszystkich bywało rozgniewa, że aż się poczerwienią od złości. Z tém wszystkiém, kasztelanic młodszy, był łagodnego charakteru, w obcowaniu dość gładki, a nawet o wiele gładszy od innych, osobliwie kiedy się w towarzystwie kobiet znajdował. Pięknie mówił, i wysoko się w mowach unosił; a wiele wiedząc, wiele też umiał powiedzieć; tylko że wszystkie rzeczy dziwacznie wykręcał, zawsze się przytém powołując na jakichsiś filozofów francuzkich albo niemieckich, którzy jednak dla nas żadną wcale powagą nie byli, bo i nie znaliśmy ich, więc i ich wartości nie mogliśmy ocenić — i dla czegóż wreszcie mielibyśmy, jeżeli już koniecznie po rozum do ksiąg trzeba sięgać, obcych a nie własnych radzić się historyków, filozofów i innych uczonych? Przy charakterze łagodnym miewał jednak pan Kasper swoje napady, i przy książkowym rozumie tak nierozumne wybryki, iż to dało powód ludziom do okrzyczenia go maniakiem, i powtarzano o nim często, że miewał zajączki.

---

215. DWORZEC MEGO DZIADKA.

(*p. Franciszka Morawskiego*).

Szczęśliwy, kto pamięta, jak w dziecinnych latach
Igrał jeszcze po cichych dziadunia komnatach;
Kto pomni, jak tam skakał, nad książeczką ślęczał,
Gonił się z starym sługą, przy paciorku klęczał;
Jak przysmaczki babuni wyjadał ukradkiem,
Łacińskie lokucye*) wertował przed dziadkiem;

*) t. j. zdania.

Dziwił się owoczesnym mężom, ucztom, strojom,
Wąsatych się wojaków przysłuchiwał bojom;
I sam pewien, że z wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.
Ileż kroć on dumając nad sobą, nad braćmi,
Gdy mu łza tak bolesna świat i przyszłość zaćmi,
Zwraca się rzewną myślą w ową lat swych zorzę,
Calą duszą, pamięcią w starym błąka dworze;
I tak dziecinne serca powtarzając bicia,
Słońcem ranku rozjaśnia chmurny wieczór życia.

Niepoczesnym był z kształtu dworzec mego dziadka,
W którym niegdyś się zrodził, dożył dni ostatka;
A który, jak to z jego słyszałem rozmowy,
Stawiał jego pradziadek, sędzia kapturowy**).
Dworzec ten stał na wzgórku, skromny i drewniany,
Dach wielki, okna wązkie, zaszłe w ziemię ściany.
Dzielił się na dwie części ciągiem sieni długiej:
Z jednej strony mieszkanie, czeladnica z drugiej,
Nigdy tam ni przed domem, ni w skromnych komnatach,
Rojna służba w barwistych nie snuła się szatach:
Jeden sługa na wszystko — Stach zwinny, przezorny,
Hajduk, strzelec, ogrodnik i kucharz nadworny.

Na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni,
Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni.
Z wszystkich on miejsc najlepiej lubił to ustronie,
Ztamtąd widział swe łany, lasy, łąki, błonie;
Tam go zawsze z południa sen ujmował słodki,
Wieczorem mu dzwoniące przeciągały trzodki;
Tam się z wieńca lip bielił ów kościół daleki,
Gdzie po znojach doczesnych miał spocząć na wieki.

Lecz niemniej i wnątrz domu był dla niego drogi —
Pobożność zacne jego otaczała progi:
Stały na drzwiach skreślone Trzech królów imiona,
Przy wejściu w drobnej czarce woda poświęcona,

**) Sądami *kapturowemi* zwano te, które się w czasie bezkrólewia odbywały.

W której zawsze dziadunio swój paluszek maczał.
I jak dobry katolik krzyżem się oznaczał.
Miała przecież i ziemskość tam ozdoby swoje,
Zwykłe sień staropolskich zaszczyty i stroje:
Ciągnęły się ordynkiem po ścianach wiszące
Cietrzewie, kuropatwy, dubelty, zające,
I te lisy licznemi powalone łowy.
Przyszłe kurty, bekiesze, i kaptur zimowy,
Najwyżej jednak wisiał ów wieniec żniwiarzy,
Którym lud nasz corocznie panów swoich darzy.

Całą izbę zajmował stół wielki, dębowy,
Pięć się kloców do jego składało budowy —
Ileż on uczt podźwigał, ile straw, gąsiorów!
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów!
Trzeźwo się tam i w sposób zmawiano uprzejmy,
O sądy, o wybory, projekta na sejmy:
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie.
Gospodarz wznosił owo sławne kochajmy się!

Patrzyły na te uczty i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyzłacanych dziarskie antenaty*):
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs, groźnym ciskał wzrokiem.
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się starej ojczyzny wyobrażać zdrowie,
I być jeszcze z tych dębów, o których rdzeń twardy
Szwedzkiego się Gustawa łamał oręż hardy.
Wisiały tuż przy przodkach i zacne matrony,
Pozgonną nawet wiarą nieodstępne żony:
Tamta w lśniących bławatach jak Juno dostojna,
Ta zaś czepcem i drogim naszyjnikiem strojna;
Każda tkliwą do męża zwrócona twarzyczką,
Jedna z wonną balsamką, a druga z różyczką.

Ile kroć mój dziadunio wzrok wiodąc po ścianie,
Patrzył się na te przodki, wzdychał patrząc na nie —

*) przodkowie rodziny.

Czasem łza mu wytrysła, i znów w krótkiej dobie
Śmiał się, pana Rafała przypomniawszy sobie,
Co gdy pierwszy raz swoje przodki porozwieszał,
Wszystkie nazwy, urzędy i herby pomieszał,
I pożenił jakimsiś pogrobowym ślubem
Piotra z żoną Jakóba, a tamtę z Jakóbem;
Nie mógł on tak grubego darować mu grzechu,
I zawsze mówiąc o tém, spłakał się od śmiechu.

---

216. WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI.

(Autobiografia Kazim. Brodzińskiego).

„Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat pięć, gdy mię odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. W późniejszych czasach, służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci mej matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubiłem, i im jedynie winienem to przywiązanie do niej, z którą zdaje mi się że dotąd żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej, zawsze się do niej jak do patronki modliłem. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegią do cieniów mojej matki; wiem że ją płacząc pisałem, i w nocy, na oknie, przy świetle księżyca. Brat mój Andrzej zawsze mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nade mnie, co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém. Widok moich rówienników i innych młodzieńców przy matkach napełniał mnie rzewném uczuciem. Nie mogłem się utulić w smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał dowody troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale i młodzieńców, których obok matek widziałem, dziwny jakowyś miałem rodzaj poszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych ode mnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia przeznaczone od nieba istoty. Kochałem ich więcej dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki pieszczone. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzalszych doszedłszy, nie zna, co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze, i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość

u kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, jest-to owo czucie w sobie samém się trawiące, którego skutkiem nieśmiałość do ludzi, i niebaczność na swoje postępowanie, od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie; i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że powierzałbym jej wszystko jak dziecię, i we wszystkiém byłbym jej posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnej męzkiej wyższości i dojrzałego wieku. Każda kobieta tytułem matki ozdobna ma ode mnie jakąś część miłości synowskiej. Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jej nie ma, upatruje jej wszędzie, i we wszystkiém chce ją sobie nagradzać. Do znanej matki tęsknimy w całém życiu, jak do ziemi, w której się nasze życie rozwijać zaczęło — o nieznanej marzymy jak o raju lub o świecie obiecanym, i nagradzamy ją sobie, tworząc o niej jak najdoskonalsze wyobrażenia.“

„Nie miałem matki.... W szczupłém mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, i gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pisać lub czytać. Tam między innemi rzeczami postrzegłem wór papierów po ojcu moim zebranych. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach mów sejmu czteroletniego, wierszy najwięcej na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zazwyczaj, iż podobne rzeczy osobno drukowane, po wszystkich się domach rozchodziły prędzej, niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojej lektury od papierów na nic nie przydatnych; a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno to mowy, to wiersze. Wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo, powinszowań Naruszewicza, ks. Żukowskiego; lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mię na poznanie zewnętrznego składu wiersza. Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole, i ukryty w gęstwinach, skła-

dałem w rymy co mi do głowy przyszło, jak pisklę w gnieździe, które instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje.... Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Zajmowało mnie wielce nabożeństwo wielkotygodniowe, a przez znajomość z organistą należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególniej śpiewane przez niego psalmy przy grobie Pańskim. Śpiewałem je z nim samym później kolejno; nazajutrz całe rano i po południu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dawał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida. — Po skończonej uroczystości Wielkanocnej, potrafiłem uprosić od organisty książkę, której używał, i z niej czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdalej, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą grammatyką łacińską, i czułem słodycz łacińskiego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyczne, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiej wesołości i nadziei mych marzeń doszedłem."

„W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który był z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajbrodu. Co to była za radość moja, czytać list cały o poezyi, której się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał! i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całej trajedyi przez niego napisanej pod tytułem L u d g a r d a. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, i odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiej i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata i do jego książek".

„W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednej istoty, którąby moje usposobienia dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę nie tak wspólnych rozmów o poezyi, jak przyjaźni, które-to uczucie w młodym wieku tak bywa żywe i zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń raz związana trwać powinna na zawsze i żyć poświęceniami. Młodzieniec jeden, Karpiński, samém nazwiskiem zwrócił na siebie moję uwagę, choć nie był krewnym poety i do poezyi najmniejszej nie miał skłonności. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce; zkąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem męczyłem, aby odpowiednio nazwisku był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła; jam zachęcał, poprawiał ale to nie szło. Nakoniec znalazłem

przyjaciela, jakiego sobie wygórowana moja wyobraźnia wystawiać mogła. Był-to syn profesora, Parczewski Karol, o parę i więcej lat młodszy ode mnie, pobożny, pracowity, w moich oczach piękny jak anioł, zawsze uniesiony i pełen zamiłowania w poezyi. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszej najgorętszej przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie współuczeń nasz Przygodziński daleko się od reszty odłączył i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilka dni dopiero znaleziono jego ciało, już okropnie zeszpecone, i przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem, i papier łzami polewając napisałem elegią na śmierć nieszczęśliwego. Jedyna to była moja poezya, którą towarzyszom moim przeczytałem, a która ich wszystkich zajęła, jako wynikła ze zdarzenia, które na wszystkich wrażenie uczyniło. Nawet profesorowie pochwalili tę pracę moję, a młody Parczewski rzucił się w moje objęcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, ze wsi przybyła. Rzewnie płacząc ściskała mię (według jej wyrażenia) jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim które ją doszły. Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierwszy uścisk kobiety i matki, że był on u mnie rzeczą nadzwyczajną, żem płakał jak małe dziécię, myśląc, iż nie mam matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą.“

---

217. DO SIÓSTR MOICH.

(*z poematu p. n. „Młodzieniec“ p. Dominika Magnuszewskiego*).

Z wami, z wami drogie siostry,
Spało moje szczęście młode;
Ale w domku żywot ostry,
Więcem zachciał na swobodę:
Zaleciałem w znoje, boje;
Samem został — a was dwoje.

Piasek, lasek, domek biały,
I ulica tuż lipowa,
Kiedyś trojgiem nas widziały;
Jedno się przed drugiém chowa,
Śmiech, uciechy — już nie moje!
Bom sam został, a was dwoje.

Nad wieczorem, tam za borem,
  Ryczą krówki, krzyk gawiedzi:
My do ganku, i przyborem
  Troje malców cicho siedzi —
    Wasze strachy już nie moje,
    Bom sam został, a was dwoje.

A malina, co się wspina
  Popod okna z swą jagódką —
A ten stawek, co w nim trzcina
  Chrobotała nam pod łódką —
    Wasze jazdy już nie moje!
    Bom sam został, a was dwoje.

Domek, ziomek w własnym kraju
  Wasze młode serca znęcił;
Jak dwie brzozy w jednym gaju
  Bluszcz weselny was okręcił —
    Wasze bluszcze, to nie moje;
    Bom sam został, a was dwoje.

Przepłacz, przepłacz człeku młody,
  Świetnych marzeń smutny zgon!
Gdzieś śnił gody, wstały szkody;
  To nie dziwny taki plon.
    Ha! zawody — o! to moje,
    Bom sam został, a was dwoje.

Cóż pomoże, wielki Boże!
  Kiedy komu idzie marno?
I najlepsze posiej zboże,
  Ma być czarno, będzie czarno.
    Takie siejby, o! to moje,
    Bom sam został, a was dwoje.

Jedna biedna tylko struna,
  Co nam spaja pieśń tułaczą,
Gdy gdzieś nieszczęść bije łuna,
  Grób — a przy nim dzieci płaczą...

Wtedy wasze łzy, to moje,
Bo do płaczu jest nas troje.

218. ŻYWOT I PRACE KLEMENTYNY TAŃSKIEJ.

(*z dziełka „Czytanie postępowe“ p. a. „Wieczorów pod lipą“*).

Pan Bóg przysyłając nas na ten świat ku nauce i wysłudze, naznacza nam pewien szczególny cel, który dla nas staje się powołaniem. Szczęśliwy, kto swoje powołanie odgadnie i należycie je spełni. Do tej liczby wybranych możemy policzyć Klementynę Tańską. Od młodych lat poczuła ona w sobie talent pisarski i zdolność wychowywania dziatek — i dopełniła powołania swego z największym pożytkiem dla kraju, bo dzisiaj prawie całe pokolenie dobrych obywatelek i matek winno jej swoje ukształcenie.

Urodziła się dnia 23 Listopada 1798 roku, właśnie z końcem ośmnastego wieku, który tyle zepsucia naniósł do Polski. Dziad jej i babka zginęli okrutną śmiercią w czasie rzezi na Pradze. Ojciec zaś, człowiek uczony, obywatel i urzędnik gorliwy, po stracie rodziców, urzędu i majątku, usunął się od świata publicznego, i osiadł w zaciszy wiejskiej. W skromnym domku, pod słomianą strzechą, przyszła na świat Klementyna — i tém lepiej. Przyzwyczajona za młodu do ubóstwa, nawykła zarazem do pracy, rządności i umiarkowania. Tu, pod okiem cnotliwych i starannych o jej dobro osób, rozwijały się jej uczucia i piękne przymioty łagodności, miłości ku bliźnim i pokory. Szczęśliwy, kto pierwsze lata spędzi na wsi — tam dusza nasza dotyka się Boga bliżej w dziełach jego, obejmujących nas zewsząd. Na wsi czujemy ciągłą potrzebę opieki i błogosławieństwa Bożego — w mieście przeciwnie, człowiek zdaje się sam sobie wystarczać. W mieście i zieloność jak sztuczny kobierzec, drzewo wymuszone, nędzne i okryte kurzem. W mieście choć i zwierzę, to na uwięzi; choć bydlę, to w zaprzęgu; choć ptak, to w klatce. Wszystko tam sztuczne, ciasne i prawie nie boskie. Żałujmy serdecznie tych dziatek, które się muszą wychowywać na bruku wielkich miast. Wiele najmilszych i najwznioślejszych wrażeń zostanie im zupełnie obcych, albo też później nie poruszą serca.

Wszelako i pobyt w wielkiem mieście potrzebny jest do rozwinięcia rozumu człowieka i nabycia wielu pożytecznych nauk.

Klementyna, która miała być nauczycielką dla drugich, i tę szkołę przejść musiała, choć nie dla nabycia zewnętrznej ogłady i wykwintnych obyczajów, gdyż tego nie potrzebowała, albowiem każda osoba skromna, niewinna, pobożna, już tém samém jest dobrze wychowana i pięknie ułożona. Wszedłszy w wyższe towarzystwo, gdzie zwykle panuje obłuda, udanie i przesada, umiała tego uniknąć, a tylko wciągała w siebie, co było prawdziwie pożyteczném i godném. Tak się kształcąc doszła do ośmnastego roku życia swego. Uczyła się najwięcej z francuzkich książek, bo takie było dawniej wychowanie u nas, że więcej dbano o obcy niźli ojczysty język. Szczęśliwy jednak dla niej przypadek zdarzył, że spotkała człowieka z duszą chrześciańską i polską, który jej nowy świat otworzył. Był to wieszcz narodowy, znany z cnót swoich i nauki, Kazimierz Brodziński. Klementyna odczytawszy jego wiersz smętny i palący, pod napisem: Żal za polskim językiem, uczuła w sobie żądzę obeznania się z językiem i dziełami polskiemi. Od razu więc wzięła się do czytania ksiąg Jana Kochanowskiego, Skargi, Reja, Górnickiego, Krasickiego, Trembeckiego, Woronicza i innych znakomitszych pisarzy — i niebawem do tej doskonałości przyszła, że mogła ich oceniać i pięknie o nich myśli swoje wylewać na papier.

Czując niedostatek książek naukowych i obyczajowych dla dzieci, zaczęła sama pisać w tym zawodzie. Zdawałoby się, że to mała rzecz uczyć dzieci i pisać dla nich, a tymczasem jest to jedna z prac najważniejszych, a podobno i najtrudniejszych. Celowała w tém Klementyna. Praktycznie zajmując się młodemi krewnemi, nabyła tej trudnej sztuki rozwijania stopniowo zdolności dziecięcych. Słusznie powiedziano, że ten dopiero prawdziwie jest uczony, który swej mądrości równie dziecku jak nieukowi udzielić potrafi. Wiązanie dla Helenki, Rozrywki dla dzieci, Powieści z Historyi świętej, są-to tytuły książek, które napisała, i za które dzieci polskie winny jej największą wdzięczność.

Zajmując się dziećmi, musiała pomyśleć także o matkach. Trzeba bowiem wiedzieć, że aby w narodzie kwitnęły cnoty, pobożność, dobre obyczaje i przykłady, niewiasta powinna być dobrze wychowaną, czyli dopełniać obowiązków obywatelki, matki i żony — przeciwnie, gdzie niewiasta jest zepsuta i bezbożna, rodzą się bezbożne syny, za czém i upadek narodu nastąpić musi. I ojczyzna nasza tylko przez zepsucie i bezbożność jej synów

rozsypała się w gruzy, jak dom który podwalin gruntownych nie ma. Tańska pojmowała głęboko te rzeczy, i starała się zapobiedz większym jeszcze nieszczęściom, zwracając myśl swą do matek, którym chciała wlać uczucia religii i powinności chrześciańskich. W tym celu ułożyła książkę pod napisem Pamiątka po dobrej matce, i drugą pod tytułem Amelia matką. Widać że trafiła w potrzebę czasu, że właśnie matki łaknęły tego pokarmu, kiedy pomienioną książkę Pamiątkę ośm razy przedrukowano. Nie spodziewała się wtenczas, że córy polskie, biorąc jej dzieło do ręki, wspominać ją będą jako dobrą i wspólną ich wszystkich matkę — nie spodziewała się podobnież, w ilu córkach polskich Żywoty polskich niewiast, przez nią napisane, obudzą wyższe duchowe życie i do wzniosłych poświęceń zapalą. Nie spodziewała się, ale pragnęła — pragnęła czysto, gorąco i dlatego Bóg jej pracom pobłogosławił. Wiele innych, równie pięknych jak pożytecznych dzieł napisała w swém życiu. Dziecko, doszedłszy lat, w których może już ocenić myśli piękne i wysokie, uczuć trafność obrazów, zająć się opowiadaniem szczegółów historyi narodowej, powinno wszelkiemi sposobami starać się o nabycie książki Klementyny Tańskiej, a przeczytawszy ją, dopiero uczuje wewnętrzną radość i nagrodę za poprzednie przykładanie się do nauk.

Tak wysokie cnoty Klementyny, jak jej talent i naukę, umiał rząd polski ocenić. W Warszawie, skoro tylko założoną została Szkoła nauczycielek, zaraz wezwano Tańską, aby wykładała w tej szkole naukę obyczajową; a jeszcze większy dano jej dowód zaufania, gdy ją zrobiono nadzorczynią wszystkich szkół żeńskich w Warszawie. Tak ważne jej zatrudnienie, obok imienia znanego w literaturze, uczyniły dom Klementyny ogniskiem najświatlejszych osób stolicy, a razem szkołą dla młodzieży wychodzącej na świat. Życie towarzyskie, wieczorne zgromadzenia, zabawy, nawet uczty, wielce mogą się przykładać do rozpowszechnienia światła i ukształcenia obyczajów, jeżeli niemi myśl wyższa kieruje. W rozmowie krótkiej i jasnej człowiek udziela odkrycia i postrzeżenia, nie raz długiemi laty prac, poszukiwań i natężenia umysłu nabyte; nareszcie w rozmowie łagodzą się przesadzone wyobrażenia, zuchwałe sądy, a natomiast nabywa się zdań gruntowniejszych. Tańska zgromadzając w stolicy takie towarzystwa naukowe, i sama drugim udzielała swojej nauki, i wynosiła z nich niepoślednią korzyść.

W roku 1829 połączyła się ślubem małżeńskim z Karolem Hofmanem, mężem znanym z prac naukowych, i znalazła w nim domowego, światłego, a bezstronnego doradcę. Jednakże wielkie wypadki krajowe wyrwały ją z zakresu życia literackiego i nauczycielskiego. Wyjechała za granicę, i tam przeniosła cnoty swoje domowe i publiczne. Dla wszystkich zawsze uprzejma, gościnna, przytém pobożna, cichym czynem raczej niż głośném słowem, jak na niewiastę przystoi, zyskała serca wszystkich. Zdrowie Klementyny zawsze słabe, chyliło się do upadku. Nie ustawała przecież w pracy. Kiedy pióra trzymać nie mogła, jeszcze czytała; kiedy i czytać trudno było, dyktowała. Podróż do Włoch i Rzymu odbyta, zamiast ją wzmocnić na zdrowiu, do reszty osłabiła ciało. Nagle i niepostrzeżenie zgasła w dniu 21 Września 1845 roku, jak gdyby i zgon chciała mieć cichy, i śmiercią samą nie chciała być głośna.

---

219. KŁOSEK.

(*przez Władysława Syrokomlę*).

HANNA.
Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
Że cię zeżniem z pola?
Pókiś jeszcze trawka młoda,
Póty życie i swoboda,
Póty lepsza dola.

W pośród listków i badyli
Rośnie kłos zielony;
To do kwiatka się przymili,
To wesołą głowę schyli,
W rozmaite strony.

CHÓR.
Deszcz dla niego to otucha,
Wicher to swawola;
Zda się żyje w pośród pola,
I skowronka słucha.

HANNA.
Przeszła wiosna, przeszła marno,
Nastał miesiąc nowy:
Kłos obciąża bujne ziarno,

Jako myśli co się garną
Do poważnej głowy.

On zesmutniał w suche lata,
Zżółkniał w czas dostania;
Przeszła młodość — cóż mu za to?
Głowę plonem choć bogatą
Ku ziemi nakłania.

CHÓR. Skwar i słota go przeraża,
Grad i wicher troska;
A wesoły śpiew żniwiarza
Śmierci dlań pogłoska.

HANNA. Ej! lepiej być trawką w wiośnie,
Pieszczotą motyli,
Niżli kłosem gdy wyrośnie,
Ociężeje i żałośnie
Ku ziemi się schyli.

Lepsza młodość i śmiech skory,
Choć niemasz w nim treści,
Niż późniejszej wieku pory
Mądre, suche rozhowory,
Z westchnieniem boleści.

CHÓR. Puśćmy ducha na swobodę,
Gońmy senne mary:
Lepiej nosić serce młode,
Niżli rozum stary.

---

220. ŻYCIE MOJEJ MATKI (w skróceniu).

(*z pism ks. biskupa Hołowińskiego*).

„Matka moja urodziła się w Międzyrzeczu Koreckim, i otrzymała na chrzcie imię Dominiki. Rodzice jej nie byli ani bogaci, ani ubodzy, mieli sześć córek i jednego syna.... ze wszystkich córek Dominika dla swej żywości zostawała w największej niełasce: ztąd co dzień strofowania i kary słuszne i niesłuszne sy-

pały się gradem na biedną Dominikę. W szesnastym roku życia uwolniła się od tego, gdy ojciec mój w dozgonne z nią wstąpił śluby. Z początku nie mogła się ona włożyć do gospodarstwa, lecz niezadługo stała się bardzo rządną i pracowitą gospodynią. Rok za rokiem pomnażała się familia w domu moich rodziców. Ojciec czując się coraz słabszym i sprzykrzywszy sobie stan służebny, był bowiem ekonomem, a mając maleńki fundusik, rzucił się do handlu drzewem, za poradą swego brata Ludwika. Przeniósł się przeto do wsi Dynesowicze, nie daleko od Czarnobyla, dla tego handlu, na którym choć sam się nie znał, ale ślepo ufał bratu. Matka od razu postrzegła zły koniec tego mniemanego handlu; przeto starała się, aby odwrócić męża od przedsięwzięcia, albo skłonić do większego wglądania w postępki brata. Lecz napróżno. Co dzień też szło gorzej a gorzej, aż wreszcie ojciec poznał się na nieszczerości brata, ale za późno: bo cały już fundusz stracił. Z tego powodu osiadł na bruku we wsi Wiacowe, gdzie cały rok ciężko ze zmartwienia chorował, aż wreszcie 1810 roku smutnego dokonał życia. Nieszczęśliwa matka, sama jedna, bez żadnej opieki, była rzucona na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biedne sieroty, które jedynie z jej rąk utrzymywania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myśleć o dzieciach. Opuściła tedy naprzód strony Owruckie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, a przeniosła się w strony Ostroga i Korca, kędy jej familii było gniazdo. Ale i tu kłopot. Któż bowiem przyjmie wdowę z ośmiu sierotami drobnemi? Ledwo jeden Mikołaj, brat najstarszy, mógł się pomieścić w palestrze Ostrogskiej. Trzeba tedy było dziatwę między ludzi rozdzielić. Był to czas dla niej najboleśniejszy i najcięższy.

Tak miłosierdziu ludzi powierzywszy starsze dzieci, osiadła sama z dzieckiem przy piersiach, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką Teklą, przy rodzonej siostrze, która we wsi Sadkach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie; ciotka bowiem nie była zbyt bogatą. Tymczasem jak na dobitkę spalił się jej dom i wszystkim trzeba było znowu szukać schronienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu, ja wraz z siostrą Krystyną dostaliśmy się niby na opiekę, a w rzeczy samej na służbę bez płaty do ciotecznej siostry mej matki. Lecz na nasze szczęście nie długośmy u niej bawili: gdy bowiem raz matka nasza oburzyła się na sposób, w jaki z nami się obchodzono, wygnała

nas złośliwa kobieta. Wziąwszy mię tedy matka, gorzko płacząc, szła szukać schronienia. Ludzie obcy, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największém współczuciem.

Zaczęliśmy tymczasem podrastać. Nowy kłopot dla biednej matki; postanowiła nas bowiem oddać do szkoły. Modliła się często we łzach do Boga, żeby ją natchnął myślą, jakby mogła swój zamiar przywieść do skutku. Wysłuchał ją wreszcie Bóg, bo jej podał myśl, żeby się przeniosła do Międzyrzecza, gdzie były szkoły, i gdzieby, trzymając na stancyi chłopców chodzących do szkoły, pracą mogła dzieci wyżywić i wychować. Ale strapiona nie miała pieniędzy, żeby mieszkanie nająć. Wtedy córka Tekla przyniosła jej 200 w służbie oszczędzonych złotych i została przy niej do pomocy.

Początek był bardzo trudny, nie znając nikogo, nie mogła sobie dać rady. Lecz wnet i pomyślniejsze zaczęły się czasy: dobra matka mogła już znów zebrać rozproszone dziatki. Za łaską Boga synowie, osobliwie starsi, najpiękniej się uczyli; i co to była za pociecha dla niej, kiedy przy końcu roku na publiczném zgromadzeniu dawano Antoniemu i Janowi nagrody.

Ale nagle wielki smutek spotkał niebogę wdowę. Szesnastoletnia córka Eleonora, zaręczona już z poczciwym i zamożnym dosyć młodzianem, umarła. Ileż ztąd strapienia! Synowie jeden po drugim kończyli szkoły i szli na akademią do Wilna. Pozostała tylko sama z Teklą, i chyba wtenczas radość była, kiedy które dziecko przyjechało. Był to prawdziwy gwałt wykrzyków radości!

Wkrótce Bóg postanowił ciężko doświadczyć ubogą wdowę: zabrał jej dwóch synów i córkę Teklę, prawą jej rękę. Okropnie było w ubogim domku! Najstarszy syn Mikołaj umarł w Kijowie, najmłodszy Gabryel zginął w rewolucyi w r. 1831, za nimi poszedł do Boga czysty duch Tekli. Ledwo wyrosły w górę piękne latorośle, a zaraz uschły. Jakaż to boleść dla matki!

Wreszcie pozostałym synom lepiej zaczęło się powodzić: sprowadzili do siebie matkę, już ją sami utrzymywali, o wszystkie jej wygody się starali. Cieszyła się cnotliwa staruszka, cieszyli się i synowie. Ale inaczej Bóg zrządził, zesłał bowiem na nią chorobę piersiową, by ją jeszcze doświadczyć jedném cierpieniem, by jeszcze więcej sobie na niebo zasłużyła. Cały rok najokropniej cierpiała, lekarze nic pomódz nie mogli. Widziała śmierć przed sobą, zdała się przeto na wolą Boga i mówiła:

„Dość żyłam z wami, muszę pójść do męża i do drugich dzieci moich, a potém połączymy się wszyscy“. W ostatniej chwili życia, przy wielkich cierpieniach, błogosławiła wszystkie swe dzieci nieobecne, a Jana, będącego przy niej, już zimnemi rękoma do siebie tuliła; potém zatopiła się w modlitwie do Boga i wymówiwszy wyraźnie! „Panie, oddaję w ręce Twoje ducha mego“, skończyła żywot ciężki, pracowity i cnotliwy.

Synowie położyli na grobie jej kamień z napisem: „Najlepszej matce wdzięczni synowie“.

---

221. NA BEZBOŻNEGO.

(p. Fr. Kniaźnina).

Niech się bezbożny nadyma,
Pajęcze snując nadzieje:
Ale kto z Bogiem nie trzyma,
Jak licha trawa zniszczeje.

On dom wystawił na piasku,
Zdobi go próżność błyszcząca,
Pełno w nim chluby, poklasku,
Ale go lada wiatr strąca —

Pełno w nim chluby.... Co słyszę?
Czarna chmura niesie gromy —
A gdzie gmach co służył pysze?
Wicher go porwał łakomy.

Chata zaś stoi u dołu
Pod starym dachem ze słomy:
Praca tu z Bogiem pospołu
Przetrwała burze i gromy.

---

222. ŚWIĘTA TERESA.

Autobiografia.

(z dzieła „Święte Niewiasty“ p. Klem. z Tańskich Hofmanową).

Święta Teresa, jedna z największych i najcudowniejszych sług Bożych, jakiemi kościół i płeć niewieścia się zaszczyca,

rodem z miasta Awili w Hiszpanii, przyszła na świat w roku 1515. Rodzice jej, oboje zacnego pochodzenia, cnotliwi i bogobojni, z młodu zaraz pobudzali córkę do pobożności.... Lecz podobno z większą korzyścią naszą będzie, kiedy własnemi słowami tej wielkiej Świętej (która podobnie jak św. Katarzyna z Sienny do znakomitych należy) lata jej dzieciństwa i pierwszej młodości opowiemy.

„Łaski przyrodzone, jakiemi mnie Bóg obdarzył (mówi św. Teresa w opisie życia swojego) i sposób w jaki mnie wychowywano, powinny były uczynić mię dobrą, gdyby złość moja nie była stanęła na przeszkodzie. Ojciec mój bardzo lubił czytanie ksiąg pobożnych, i miał ich kilka w hiszpańskim języku, abyśmy dzieci czytać je także i rozumieć mogły. Matka wtórowała dobrym jego chęciom dla nas, i troskliwość jej o to, żebyśmy codzień modliły się, sprawiła, że już od szóstego czy siódmego roku miałam w sobie uczucia pobożne, które tém chętniej w sercu żywiłam, żem w rodzicach cnót wszelkich miała przytomne przykłady. Ojciec był wielce miłosierny dla ubogich i chorych — rzetelny w słowach — przekleństwa ani obmowy nikt z ust jego nigdy nie usłyszał — w całém postępowaniu jego wszystko było uczciwe i chwalebne. Matka także była niewiastą cnót wielkich, ale skutkiem osłabienia zdrowia wpadła w przykre niedołęstwo. Chociaż niezwykłą miała urodę, tak mało przecież dbała o swoję piękność, że nie dożywszy nawet lat trzydziestu trzech, ubierała się zawsze jakby osoba najsędziwsza. Umysł jej był łagodny, dowcip bystry. Życie licznemi cierpieniami przeplatane skończyła po chrześciańsku.

Było nas dzieci kilkoro — wszystkie poszły w ślady rodziców, prócz mnie, chociaż ojciec z pomiędzy córek mnie kochał najbardziej. Nim zaczęłam obrażać Boga, zdawało się, że mam dużo dowcipu; i z boleścią wspomnieć mi przychodzi, jak źle użyłam danych mi od nieba zdolności. Lubo bardzo kochałam wszystkich moich braci, jeden jednak szczególniej serce moje pozyskał. Równego prawie byliśmy wieku, i czytywaliśmy razem żywoty Świętych. Przyszła nam ochota prowadzić życie pustelnicze, i zaczęliśmy robić sobie cele i komórki w ogrodzie — lecz cośmy trochę kamieni sklecili, to nam się rozwalały z wielkim naszym smutkiem. Dawałam jałmużnę ubogim, ale mogłam bardzo mało. Chodziłam na osobność dla odmawiania pacierzy, a mówiłam ich dosyć, bo matka nauczyła mnie różańca. Kiedym

się bawiła z dziewczętami mego wieku, za największą miałam uciechę przebierać się z niemi za zakonnicę, i jak sobie przypominam, czułam w sobie chęć do tego stanu.

Skończyłam lat dwanaście, kiedy mnie matka odumarła. Znając stratę, jaką poniosłam, rzuciłam się cała we łzach przed obraz N. Panny, i modliłam się do niej, aby mi odtąd była za matkę — i nie omyliłam się na tej prośbie w prostocie serca wyrzeczonej, gdyż zawsze, we wszystkich potrzebach doznawałam jej macierzyńskiej opieki, aż nareszcie powołać mię raczyła do służby swojej, lubom nie zawsze trwała w dobrych chęciach jakie okazywałam wtedy.

Muszę powiedzieć, co mi najwięcej zaszkodziło, a może to wyznanie moje będzie nauką dla ojców i matek, żeby dziatkom swoim nic nie podawali zdrożnego.

Matka moja byla najzacniejszą kobietą; przecież wszystkie jej dobre przymioty nie zrobily tyle zbawiennego wrażenia na mnie, ile mi szkody przyniosła jedna jej wada. Lubiła niezmiernie czytać romanse, ale bez wątpienia to jej czytanie nie było dla niej bardzo szkodliwe, gdyż mimo tego miała zawsze powinne staranie o domu i o dzieciach. Ja biorąc się do tych książek zapominałam o wszystkich moich obowiązkach. Ojciec był temu bardzo przeciwny, zatém trzeba było ukrywać się przed nim; a że z wielkim smakiem bawiłam się podobném czytaniem, wkrótce nabożeństwo moje znacznie ostygło. Sądziłam, że nie było nic złego spędzać kilka godzin dnia i nocy na tak próżnej zabawie, i nie było dla mnie większej uciechy, jak kiedym się dorwała jakiej jeszcze mi nieznanej powieści. — Zaczęłam wnet ubierać się z wielkiém upodobaniem i starać się o to, żeby się wydać jak najlepiej. Miałam troskliwe staranie o rękach i włosach, polubiłam pachnidła i tym podobne marności; a ponieważ byłam dość próżna i ciekawa, nie brakło mi na nich. Choć zaprawdę nie było we mnie żadnych złych chęci, wszelako kilka lat trwałam w tej płochości.

Ojciec, wielce roztropny człowiek, nie przyjmował w dom swój nikogo prócz synowców swoich, a moich bratanków — dałby Bóg, aby był i przed nimi drzwi zamknął. Bo teraz dopiero poznaję, z jaką to jest krzywdą naszą, (gdy zwłaszcza wstępujemy w wiek, w którym sposobić się mamy do cnoty, przestawać z osobami co nie tylko nie znają, ile próżności świeckie godne są pogardy, ale jeszcze zachęcają nas, żebyśmy się w tych pró-

żnościach kochały. Owi bratankowie mało co starsi byli ode mnie; byliśmy zawsze razem, lubili mnie bardzo, radzi podzielali ze mną rozmowy; opowiadali mi nieraz szaleństwa swoje, a ja słuchałam ich chętnie, i to było bardzo szkodliwe dla mnie.

Gdyby mnie ojcowie i matki o radę pytali, powiedziałabym im, żeby nie dopuszczali do swoich dzieci innych osób, prócz takich, z których obcowania skorzystać można; bo skłonność nasza od początku łatwiej do złego niźli do dobrego nas wiedzie. Wiem to z własnego doświadczenia. Miałam starszą siostrę bardzo cnotliwą i pobożną, przecież nie naśladowałam jej, a wiele złego przejęłam od jednej płochej krewnej, która często u nas bywała. Pokochałam ją mocno, nigdym dosyć nagadać się z nią nie mogła, ponieważ ona dostarczała mi najwięcej przedmiotów do rozrywek, i bawiła mnie zawsze opowiadaniem swoich zabaw, których duszą była próżność. Ojciec i starsza siostra niechętném okiem patrzali na przyjaźń moją ku owej krewnej, i przyganiali mi ją nie raz; ale uwagi ich były daremne, a trudno było przez wzgląd na pokrewieństwo zamknąć dom przed nią. Straciłam niemal zupełną bojaźń Boga, została mi tylko bojaźń świata, przeciw której nawet już wykraczać zaczęłam. To jedynie stało mi się obroną, iż z przyrodzenia nie byłam skłonną do złego, i brzydziłam się niém w duszy.

Ojciec mój zaczął domyślać się czegoś, a w tej niepewności oddał mnie do klasztoru, który był w naszém mieście. Chowano tam szlacheckie córki, ale nie lepsze ode mnie. Stało się to tak tajemnie, że nikt z rodziny o niczém wprzód nie wiedział — dano potém za powód zamężcie mojej starszej siostry, i że nie mając matki, sama w domu zostać nie mogłam. Pierwszy tydzień w klasztorze był mi niezmiernie przykry. Po tygodniu uczułam się już spokojniejszą; poznałam płochość mego postępowania, i było mi niemal lepiej jak w ojcowskim domu. Zakonnice upodobały mnie sobie. Bóg mi bowiem udzielił z młodu tej łaski, że gdziekolwiek byłam, lubiono mię zawsze. Nie czułam w sobie wprawdzie ochoty do duchownego stanu, ale patrzałam ze słodyczą na te zacne panny, gdyż wiele było w tém zgromadzeniu pobożności, cnoty i porządku. Jedna z zakonnic sypiała w tym samym pokoju, gdzie mnie umieszczono z innemi pannami. Była to osoba prawie święta. Mówiła pięknie i w budujący sposób o Bogu, a ja słuchałam jej z upodobaniem. Opowiadała mi, jak jedno to zdanie, wyczytane w Ewangelii: Wielu jest po-

wołanych, a mało wybranych, skłoniło ją do obleczenia sukni zakonnej. Wyliczała nagrody obiecane tym, co wszystko porzucą dla Boga. Owe zbawienne rozmowy zaczęły wyganiać złe nałogi z myśli i serca mojego, a zmniejszać wstręt do klasztornego życia.

Półtora roku bawiłam w tym klasztorze i skorzystałam nie mało. Powoli zaczęłam nabierać ochoty do zakonnej sukni, byle w innym klasztorze, gdzie miałam przyjaciółkę, i dokąd mnie większa skłonność ciągnęła. Atoli nic pewnego nie stanowiłam; w tém Bóg, który lepiej czuwał nade mną, zesłał mi ciężką chorobę — ta mnie zmusiła wrócić do ojca. Wyzdrowiawszy pojechałam do siostry — po drodze wstąpiłam do stryja; był-to człowiek wielce pobożny, starzec owdowiały; zatrzymał mnie u siebie dni kilka. Główném jego zatrudnieniem było czytanie ksiąg pobożnych, a najmilsza rozmowa o Bogu. Czytywałam z nim razem, a te rozmowy i czytania sprawiły, że znowu odezwał się we mnie duch pobożności, że równie silnie jak w dzieciństwie poczęłam nabierać chęci do klasztoru.

Przez całe jednak trzy miesiące miotana byłam ciągłą walką. Zły duch straszył mnie przykrościami zakonnego życia. Było wtedy, zda mi się, w duszy mojej więcej bojaźni Boga niżeli miłości. Nareszcie czytanie pobożnych książek, a osobliwie listów św. Hieronima, umocniły mnie w przedsięwzięciu. Wiele cierpiałam jeszcze, gdy mi przyszło wychodzić z ojcowskiego domu. Żal ciężki mnie rozbierał. Miłość Boga nie była jeszcze tyle mocna w duszy mojej, aby pokonać przywiązanie do ojca i do rodziny. Ale dał mi Zbawiciel moc zwyciężenia wreszcie samej siebie.

Wstępując do zakonu, oblekając suknią, uznałam pomoc, jakiej Bóg udziela tym, co gwałt sobie czynią, ażeby mu służyć. Nikt nie wiedział co w mojém sercu się dzieje, wszyscy myśleli, że wielka w niém radość. I prawda, skorom się już ujrzała w klasztornej odzieży, Bóg przemienił oschłość duszy w rzewność; uczułam słodkie wesele, które trwa aż dotąd. Z upodobaniem wzięłam się do spełniania wszelkich powinności zakonnych; wymiatałam krużganki i cele, o tych samych godzinach, które poświęcałam dawniej próżności i zabawie; a myśl, żem się pozbyła na zawsze owych zwodnych uciech, napełniała mnie radością. Wiem z doświadczenia, że Bóg ludziom przychodzić raczy w pomoc; i ktokolwiek ma chęć zrobienia coś dla niego, choć

walczyć mu trzeba z trudnościami, niech się nie waha i bierze mężnie do dzieła, bo skoro z miłości Boga podjęte, Bóg niezawodnie rękę mu swoją Wszechmocną poda".

---

223. Z GLOSSY Ś. TERESY.

(p. Zygmunta Krasińskiego).

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę:
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą,
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Jedynej ulgi na moje męczarnie
Pragnę — ta jedna śmiercią się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie:
Bardzom, o! Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia zamknąłeś mi drogę,
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Oh! Magdalena owa święta, miła,
Pod krzyżem twoim — to jam chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!

Nie — ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią twoją zroszona,
Raz jeden tylko — a ja razy tyle!

---

224. O DOMOWYCH I KOBIECYCH ZATRUDNIENIACH.

(z dzieła „Pamiątka po dobrej matce" p. Klementynę z Tańskich Hofmanową).

Kto chce być spokojnym, wesołym, szczęśliwym, kto chce uniknąć nudów, i zasłużyć na imie godnej szacunku i użytecznej istoty, ten niech zawsze będzie czynnym. Do ustawicznej pracy

przeznaczył nas Stwórca: powinniśmy więc zbierać wszystkie nasze siły, chwytać z ochotą wszelkie sposobności zatrudnienia się, i pracować ile tylko możemy. Ludzie nie dopełniający tego powołania, marnują życie i ciężarem są ziemi.

Szkodliwy ów przesąd, że praca dla niższych tylko jest stanów, i że hańbi tych, którzy bez niej obejść się mogą, już dawno ustał. Jak niegdyś nie tylko pierwsze rodem i zamożnością niewiasty, ale nawet księżne i królowe nie gardziły gospodarstwem i pospolitemi robotami, tak i teraz najbogatsze iść zaczynają za tym pięknym przykładem, i wkrótce zwyczaj ten chwalebny powszechnym się stanie.

Cóż więcej zachwyca w dobrze urządzonym domu, jak młoda i wesoła gospodyni, czynna bez ustanku? Z upodobaniem wielkiém patrzymy na nię. Nad wszystkiém czuwa jej baczne oko. Jest ona duszą całego domu, wzorem dla sąsiadów i służących, roskoszą męża, ozdobą rodziny swojej. Bogu i ludziom przyjemna.

Czynność jest prawdziwém życiem człowieka, i źródłem jego szczęścia. Nudy, ta najokropniejsza choroba w świecie, bo dręcząca duszę i ciało, opanuje cię, skoro tylko lenistwu i próżniactwu się poddasz. Nie poznasz jej zaś nigdy, jeśli zawsze zatrudnioną będziesz. Kiedy cię napadnie zły jaki humor, nieukontentowanie, przykrości nieochybne w tém życiu, zajmiéj się czém pilnie, a zatrudnienie wypędzi je od razu. Kiedy krew w twoich żyłach pomału płynąć zacznie, nadaj jej pracą ruch nowy. Chcesz zawsze być wesołą, zdrową? pracuj usilnie i z upodobaniem. Chceszli wtedy, gdy ostatnia nadejdzie godzina, ze spokojnością na niknące obejrzeć się życie? poświęć je już teraz użytecznej pracy. Przy końcu dni naszych żadna myśl nie jest tak miłą, tak pocieszającą, jak to wspomnienie: „Pracowałam, ile tylko w mocy mojej było — nie żyłam napróżno — żaden dzień, żadna godzina nie była zmarnowaną“.

Ale żeby czynne i użyteczne prowadzić życie, trzeba zawczasu nawykać do pracy, i umieć jej nadawać wdzięk nowości. Niesmak wkrótce tego opanuje, kto zna mało rodzajów zatrudnienia. Kobieta, która domowemi zatrudnieniami i igłą nigdy się nie zabawia, choćby wiele światła posiadała, nie dopełni przeznaczenia swego, i często nudna sobie, drugim nudna będzie. Im więcej w tej mierze zna i umie, tém godniejsza szacunku, tém jest szczęśliwsza. Inne zupełnie kobiet, inne mężczyzn po-

wołanie. Mężczyzna, bardziej zgłębiający rzecz każdą, w towarzystwie dostatecznie jest zajęty potoczną rozmową, albo myślami swojemi. Kiedy doznaje jakiego fizycznego lub moralnego cierpienia, wśród książek zapomina o niém. Nie potrafi tego kobieta. Same uwagi, spostrzeżenia, nie mogą zająć słabszego jej umysłu. Nie ma ona tej wyższości rozumu nad sercem, nie ma tyle mocy duszy, żeby była w stanie w zmartwieniu lub słabości myśleć z zastanowieniem o czém innéni. Cóż więc pocznie, jeśli nie lubi roboty? Oto w towarzystwie zbyt wiele mówić albo obmawiać będzie; a skoro cierpienie jakie lub troski odejmą jej zwyczajną swobodę, dozna melancholii, nudów i niesmaku, lub zatopi się w czytaniu niepożytecznych książek.

Najpierwej powiedzieć tu trzeba o wiadomościach i zatrudnieniach nieodzownie do każdej kobiety należących, które i w jej wychowaniu powinny być miane na pierwszym względzie.

Każda powinna posiadać dobrze rachunki, znać się na kuchni, na wszystkich szczegółach gospodarskich; umieć przykroić suknię, uszyć, zrobić rzecz każdą. Nie małej dozna radości, kiedy w potrzebie będzie mogła zrobić sobie samej to, co inne kobiety z przyczyny nieumiejętności lub dla lenistwa drugim powierzać muszą. Życie domowe jest to zawód cały, jaki Wszechmocny przeznaczył kobiecie. Szczęście ciche i spokojne, jedyny cel do którego dążyć powinna. Nie wypada jej oddawać się zupełnie światu albo naukom — u każdej igła pierwsze miejsce mieć powinna przed piórem lub pędzlem, rejestrowa książka przed nótami muzycznemi i dziełmi uczonemi. Nie zgadza się wcale z powołaniem i ułożeniem kobiety, żeby wiecznie siedziała nad książką, albo bezustannie zajmowała się przedmiotem jakowegoś talentu. Były czasy, i szczęśliwemi je dotąd zowią, kiedy niewiasty jedynie domowemi cnotami i pracą rąk słynęły. Poczciwe prababki nasze ledwie że czytać umiały; zajmowały się szczególniej robotą ręczną, a przecież kwitnęła przy nich pomyślność i szczęście domowe. Zapewnie, że w wieku tak oświeconym jak jest nasz, w którym i kobietom przyznają wyższe zdolności, smutnoby było zejść o kilka szczebli niżej, i wrócić do dawnej, niestosownej już może niewiadomości. Jednak i dzisiaj gdybym wiedziała, że ty dla tego, że umiesz kilka języków, grasz na fortepianie, śpiewasz, malujesz, miałabyś gardzić zatrudnieniami przyzwoitemi płci twojej, i jedynie książkom i kształceniu twoich talentów się oddawać, zezwoliłabym chętnie, abyś raczej zapomniała umiejętno-

ści, a nabrała ochoty do robót domowych i gospodarstwa. Mniej byłabym troskliwą o twoje postanowienie, mniej niespokojną o szczęście twoje. Z tym skarbem daleko łatwiejby ci było, niż z wielką nauką i świetnemi talentami, zostać podobną owej dzielnej niewieście, którą Pismo Święte chwali z tego najwięcej, że się zajmowała przemysłem rąk swoich.

Lecz rozsądek we wszystkiém miarę zachować umie. Na wszystko czas znaleść umie kobieta, która rano wstawszy, nie długo się ubiorem swoim zabawia, nie oddaje i nie przyjmuje niepotrzebnych odwiedzin, ani ubiega się za zabawami, i nie czyta próżniaczych książek. Chociaż trudnić się domem rodziców albo i własnym będziesz, możesz nie zaniedbywać przy tém swoich talentów, możesz pisać, grać, malować; uczynisz zadość wszystkiemu, jeśli unikać próżniactwa, a czasu dobrze używać zechcesz.

Żyjemy w czasach, gdzie największe odmiany nie wydają się nadzwyczajnemi — osoby wysokiego znaczenia i rodu, możne i bliskie tronu, widzieliśmy w nędzy i ubóstwie. Nikt na swój stan wysoki, urodzenie, majątek, spuszczać się zupełnie nie powinien; a w niedostatku, talenta mierniejsze i błahe kobiet umiejętności nie na wiele się przydadzą. Służyć się nie chce, kiedy kto rozkazywać przywykł. Z pracy rąk tylko przyzwoicie utrzymać się można, a wszędzie zwłaszcza u nas popłatniejsze są proste a potrzebne do życia powszedniego roboty, niż niedoskonałe rysunki, ladajakie granie lub śpiewanie.

Miej więc jak największe upodobanie w domowych i kobiecych zatrudnieniach. Twój ubiór schludny i gustowny mało kosztować będzie, jeśli sama go sobie zrobić potrafisz. Nie doznasz nigdy nudów, melancholii, nie będziesz przykrą nikomu, skoro polubisz ręczne roboty.

---

225. MATKA OBYWATELKA.

(p. Fr. Kniaźnina).

Śpij moje złoto! — śpiewała
Kołysząc matka swe dziecię —
Śpij moja nadziejo cała,
Moje ty życie!

Usnęło — słabe niebożę!
Dosyć się, dosyć spłakało —

Po płaczu lepiej też może
Będzie mi spało.

Dziecię! o ileż to biedy
Matczyna znieść musi głowa,
Nim się pociechy swej kiedy
Z ciebie dochowa!

Ileż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy w tobie uznam podporę
Mojej starości!

Kiedy i sercem i głową
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową
Dla twego domu.

Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać
Żeś moim synem!....

Któż wie, co jeszcze być może!
Ach! sztylet serce przenika —
Poczwara jakaś, o! Boże,
Staje mi dzika.

Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imie znieważyć,
I na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć.

Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,
Może krew braci rozleje —
Ach! serca mego nie godzien....
Cała truchleję!....

Tażby nagroda i ta mi
Pociecha z ciebie być miała!....

— Rzekła i oczy swe łzami
Gorzko zalała.

226. LIST FRANCISZKI KRASIŃSKIEJ
DO JANA ŚWIDZIŃSKIEGO.

(*z pism Klem. Tańskiej*).

Odebrałam list, w którym mi donosisz o śmierci kochanej matki. Nie chcę rozdzierać serca twego opisem mojej boleści. Straciłeś matkę, żyjącą jedynie dla szczęścia dzieci — ja siostrę ukochaną. Tém się tylko pocieszam, że jej cnoty i długie cierpienia otrzymały od Boga zasłużoną nagrodę. Przykład obojga Rodziców twoich, ich uczciwość, otwartość i cnoty, powinny być ci wzorem. Miej ich zawsze przytomnymi w pamięci, a będziesz żył szczęśliwy i od wszystkich szacowany. Nie wątpię, iż będziesz chciał kierować jak najlepiej sprawami rodzeństwa twego; ale młody jesteś, i z najlepszą chęcią w twoim wieku nie można mieć tego doświadczenia, którego położenie twoje wymaga. Proszę cię więc i zaklinam, abyś się radził w trudniejszych razach księżny Kasztelanowej i hrabiego Moszyńskiego: ich zdanie będzie pewne i skuteczne. Proszę cię raz jeszcze, kochany Siostrzeńcze, skoro czas pozwoli, jedź do księżny, postępuj z nią otwarcie, szczerze, z ufnością, a pozyskasz jej przyjaźń, która ci do szczęścia posłuży.

227. ŻAL MATKI.

(*przez Kazimierza Brodzińskiego*).

Wszystko burza niszczy w sadzie,
Kwiat i owoc razem kładzie —
O roznieście głośne dzwony
Smutek matki nieskończony!
Razem z nadziejami memi
Muszę dziecię oddać ziemi!
Pójdziesz niknąć w ciemnym grobie,
W łzach mych tylko ślad po tobie!

Nie użyłoś jeszcze świata,
Nie widziałoś jeszcze lata,

Anim tobie kolebeczki
Ustroić mogła w kwiateczki;
A już z tobą śmierć ubiega,
Jak od drzewa z ponad brzega
Niesie strumień niezbłagany
Wiatrem pączek oderwany...

Rachowałam ja na ciebie,
A dziś wszystko z tobą grzebię!
Nie dożyłam tej pociechy,
Widzieć wdzięczne twe uśmiechy;
Ani mi to przyszło biednej,
Dziś sierocie, samej jednej,
Byś się do mnie śmiejąc miło,
Słowem „matko!“ przemówiło!

Gdy przy mnie szczęśliwe matki
Piastowały hoże dziatki,
Lub z nich wdzięczny uśmiech ssały,
Albo słówka wywabiały:
Ból był twoich dni osnową,
Płacz jedynie twoją mową —
Ból twój dzieląc każdą dobą,
Płaczem rozmawiałem z tobą.

Księżyc z słońcem się mieniali,
By nad ziemią straż trzymali:
Dla mnie była radość cała,
Bym cię dzień, noc, pilnowała.
Ale co już głos Anioła
W swoje kraje ztąd wywoła,
Tego mury, ni żołnierze.
Nawet matka nie ustrzeże.

Już mi nadzieja niestała
Pieśń ostatnią odśpiewała!
Już cię więcej nie zobaczę,
Łzami ja cię niech opłaczę!
Nim ubrane będziesz w bieli
Wiecznej matce do pościeli,

Łzami ja cię niech opłaczę,
Już cię więcej nie zobaczę!

Blady piołun na twym grobie
Będzie rychło strojem tobie,
Nadzieje wszystkie pospołu
Zagrzebię w garstce popiołu!
Na toż tylko wziąłoś życie,
By przepłakać krótkie bycie?
Zabrać matce lube chwile,
I uśpić je w swej mogile!

Głucho będzie w moim domu,
Płakać muszę pokryjomu;
Służki, co się ze mną smucą,
Już ci do snu nie zanucą:
„Niech dziecina luba rośnie,
„Jak lilija w rannej wiośnie;
„Jak urośnie, obok matki
„Pójdzie w polu zbierać kwiatki.“

Już nie rośniesz! obok matki
Już nie pójdziesz zbierać kwiatki —
Już ci teraz w nocnej dobie
Śpiewać będzie duch na grobie:
„Za przybyłą na świat wiosną,
„Nad twym dołkiem kwiatki rosną,
„Ale twoje, synku mały,
„W proch się rączki rozsypały!“

---

228. LIST KRYSTYNY DO ANIELI.

(z pisma Klem. z Tańskich Hofmanowej).

Żwawo zaczynają się wymieniać nasze listy, kochana Anielo! aż miło. Ledwoś odebrała mój list, zaraz napisałaś mi odpowiedź. Widać, że masz czasu dosyć. Ale jaki mi twardy dałaś orzech do zgryzienia! Od piątku dumam nad twoim listem. Moja Anielko, ty o mnie trzymasz za wiele — takie zaś wymyślić mi zadanie! Że mieszkam w stolicy, że widuję kilku

ludzi światłych, że ich słucham pilnie i żywię się ich rozumem, już we mnie upatrujesz mistrzynią, i powiadasz, że obowiązkiem jest moim oświecać ciebie wieśniaczkę opuszczoną, nie tylko nauką ale radami. Moja droga, wszystkie twoje piękne słówka nie złudziłyby mnie, aleś rzekła, że przyłożyć się mogę do twego szczęścia. Na takie wezwanie, nie tylko wziąć się do pióra, ale wszystkom zrobić gotowa. Powiem ci więc, jak tylko potrafię najlepiej, co myślę o tobie, i co uważam dla ciebie za pożyteczne...

Wpojone mam głęboko to przekonanie i wpoićbym je rada w ciebie: że każda kobieta, która się czuje na umysłowych siłach, powinna dla własnego szczęścia, a może nawet dla cnoty, mieć obok zatrudnień domowych i robót kobiecych, jakiś cel umysłowy w życiu, jakąś wyższą, zajmującą a użyteczną pracę. Zawsze mój ojciec powtarzał: „Nie będzie dobrze dzisiejszym kobietom, dopokąd nie będzie uznaném za potrzebne rozwijać w wzrastającej panience jakowąś szczególną do czegoś zdatność, któraby pielęgnowana troskliwie mogła zostać w potrzebie jej wyłączną umiejętnością, czyli sposobem do życia, a tak zrobiła ją, w jakimkolwiek bądź rodziła się stanie, przyjemną i użyteczną sobie i drugim — któraby wykazała, że tak powiem, owoc staranniejszej uprawy, ulepszonej natury, osłoniła ją od nudów, i odwróciła jej umysł od tej chęci zabaw, strojów, i od tej nienasyconej próżności, co tyle płeć niewieścią krzywdzi i szpeci.“

Kiedy owa zdatność okaże się do muzyki albo rysunku, a jest sposobność do rozwijania tego talentu, to dobrze. Jednak, ponieważ w ogólności mało jest osób mających z natury prawdziwy talent bądź do muzyki, bądź do malarstwa; ponieważ najwięcej kobiet, nawet przy pracy, zostaje przy zupełnej mierności; ponieważ talenta wymagają koniecznie mieszkania w mieście albo znacznego nakładu, i mają wielkie swoje niedogodności; nierównie jest łatwiej, a nawet bezpieczniej, obrać sobie jaką naukową pracę. Takowa każdej z nas, młodej czy nie młodej, na wsi czy w mieście, majętnej czy ubogiej, powieśdź się może. A kiedy talenta, mianowicie śpiew, muzyka, starzeją się, a kto dwadzieścia lat temu grał lub śpiewał pięknie, dziś przez młodszych z politowaniem jest słuchany, — nauk staroświeckich niema; owszem, jak wino, z wiekiem nabierają ceny. Nie widzę nawet, coby młodej osobie przeszkadzać mogło do oddania się

szczególniej jakiej umiejętności, dla samej rozrywki, dla odmiany, dla wytchnienia i udoskonalenia swego — trzeba przecię mieć parę chwil w dniu całym dla samej siebie — przy dobrym rozkładzie godzin i rannem wstaniu czas się znajdzie. Znajdzie się czas i do czytania i do pisania — idzie tylko o to, żeby temu czytaniu i pisaniu nadać cel użyteczny, wyłączny, a przedewszystkiem, żeby sobie zabronić wszelkich dzieł próżnych i lekkich, z których nic dobrego wycisnąć się nie da. O! jak pięknie i prawdziwie nasz Skarga powiedział: „Gdy czas na próżném czytaniu trawisz, jakbyś motyle w powietrzu chwytał: złapawszy rzucić je musisz, bo ci jeszcze palce poplamią.“ — Czyż dzieje świata, dzieje przyrodzenia, te dwa wielkie i niewyczerpane źródła nauki, nie przedstawiają przygód i dziejów nierównie więcej zajmujących, niż owe fantazyjne powieści i romanse? Czyż nie jest grzechem zaprzątać młody umysł zmyśleniami, kiedy są prawdy tak wielkie i cudowne? Bardzo pojmuję, że gdy raz się smak zepsuje na owych literackich łakociach, proste i pożywniejsze pokarmy nie podobają się i ciężą. Jednak i żołądek naprawić i umysł wzmocnić można — doznasz tego sama, ale chciej używać szczerze i stale mego lekarstwa. Zarzuć, moja Anielko, wszelkie lekkie książki. Sama przyznajesz, że czytanie, jak dotąd czytałaś, nie zaspakaja cię i wcale ci nie służy. Wierzę temu — bo twoje romanse kłócą się z rzeczywistością. Czytaj więc tylko dobre, uczące książki. Poważne dzieło tak łatwo połknąć się nie da; trzeba je czytać pomału, zgłębiać i odczytywać, chcąc żeby się obróciło w pożytek. Nie zapomnisz się, upewniam, przy takiém czytaniu; owszem zatrudnienia domowe, roboty ręczne, przechadzka, będą ci odpoczynkiem po umysłowej pracy. Naznacz sobie w tem czytaniu jeden cel główny, według swego upodobania lub potrzeby, i powiedz sobie: Aby to jedno dobrze umieć muszę. Bo gdy która z nas nie naznaczy sobie pewnego celu, nie ograniczy swego naukowego zawodu, nic nigdy dobrze nie umie. Ileż to młodych kobiet, co jak ty mają wolny czas i prawie co dzień przez parę godzin niby umysłowo są zajęte; ale na cóż się zda ta ich praca, jeśli rozkładu i ciągu w niej niema?

Potrzebna jest dla rozumu, prawie jak chleb dla ciała, jakaś praca ciągła, ważna, którąby zatrzymywała myśl naszą, lekką i do bujania gotową, w podobieństwie, jak statek w miarę ładują, żeby go fale i wiatry nie unosiły — praca, dla którejby

ochota była wstać raniej, pokończyć jak najprędzej domowe roboty, być samą, choćby najdłużej; nad którą dzieńby zszedł prędko i mile, choćby też w tym dniu ani gości ani żadnych zabaw nie było. Jak mnie usłuchasz Anielko, i jak się zajmiesz podobnie, dopiero poznasz ile takie zatrudnienie ma wdzięku i korzyści. — Każda dobra książka, każda nowa wiadomość, każda poważniejsza rozmowa dorzuci coś do twoich skarbów — dzień każdy owoc swój przyniesie i pamiątkę zostawi. Będziesz miała zawsze jakąś myśl w głowie, jakieś żądanie, jakąś ciekawość — słowem, coś co cię zajmować będzie. A mieć szlachetne uczucie dla serca, mocne i użyteczne zajęcie dla umysłu, jużci potoczne szczęście gotowe...

Odczytałam całą tę moję ramotę, i doprawdy boję się teraz posłać ją tobie, czy się nie przelękniesz, — bo to z początku prawdy niemiłe, a potém zadanie tylu i takich prac! Ja też nie wymagam, abyś ty wszystko tak wypełniła jak ja mówię — obierz sobie choć małą cząsteczkę i wykonaj, a zobaczysz, że na tém wyjdziesz dobrze... Ty wiesz, kiedy z tobą rozmawiam, puszczam wodze myślom moim, a pióro wszystko pisze, tak jakby usta mówiły. Bądź zdrowa.

---

229. TRENY JANA KOCHANOWSKIEGO
NA ŚMIERĆ URSZULI.

I.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
I kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,
Bodajżebym był raczej kolebkę kołysał,
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
Któremiby dziecinki noworodne śpiły,
I swoich wychowańców lamenty tuliły!

Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
Niżli, w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło,
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dzieciny,
I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny!*)

---

*) Prozerpina, bóstwo śmierci u starożytnych pogan.

II.

Nieszczęsne ochędostwo, żałosne ubiory
Mojej najmilszej córy!
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie!
Żalu mi przydajecie.
Już ona swych członeczków wami nie odzieje,
Niemasz, niemasz nadzieje!
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany!
Już letniczek pisany,
I uploteczki wniwecz, i paski złocone,
Matczyne dary płone!
O! nie w taki dom kiedyś, moja dziewko droga,
Miała cię matka uboga
Zaprowadzić! nie taką dać obiecowała
Wyprawę, jaką dała:
Giezłeczko tylko dała, a lichą tkaneczkę;
Ojciec ziemi bryłeczkę
W główki włożył... Niestetyż! i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona!

III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ulubiona!
Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała-

To prawda, żeby była nigdy nie zrównała
Z rannym rozumem twoim, z pięknemi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O! słowa, o! zabawo, o! wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknicy ukrócisz!

IV.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo słowiańska!
Na którą nie tylko moja cząstka ziemiańska,
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaśdź miała;
Tęś nadzieję już po sobie ukazywała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień niemal śpiewając;

Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła! nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami;
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami!

V.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował:
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było.
Ochędożne, posłuszne, karne, niepieszczone;
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;
Zawdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi,
Zawdy się uradować i przywitać z drogi;
Każdej roboty pomódz, do każdej posługi
Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi —

Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść — upadła od swojej bujności,
Żniwa nie doczekawszy... Kłosie mój jedyny!
Jeszcześ mi był nie dojrzał, a ja twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję,
Ale pospolu z tobą grzebię i nadzieję!

---

230. LISTY ALOJZEGO FELIŃSKIEGO
DO MICHAŁA WYSZKOWSKIEGO.

I.

Kilka dni już temu, jak obadwa twoje listy razem odebrałem, alem się nie mógł odważyć na nie odpisywać, pókim nie przetrawił cokolwiek w sobie okropnej wiadomości, którą mi doniosły. Już go więc niema! niema naszego Tymienieckiego! Co za strata! ile słodkich i smutnych wspomnień! ile znikłych nadziei!.. Ach! czemuż z Warszawy nie pobiegłem do jego domu? je-

szczeby się były nasze dusze porozumiały... Nie! nie — on nie był stworzony na nasz wiek nieszczęść i otrętwienia — nadto był czuły, szlachetny i dumny. Jego pisma noszą na sobie tę cechę oryginalną. jak i jego dusza. Co za pisma! co za dusza! Niestety! żył i umarł nie dosyć znany, nie dosyć oceniony. Zachowaj, zachowaj przynajmniej jego pamięć, imie i sławę, lepszym daj Boże wiekom. Przedsięwzięcie wydania pism jego jest godne ciebie. Ale pomniej, że względem przyjaciela, którego dusza, leniwa może kiedy szło o siebie, zawsze ognista była kiedy szło o przyjaciół, najmniejsza oziębłość, opieszałość byłaby występkiem. Jeśli chcesz, wydziel mi jaką część pracy, która ci się zda najnudniejszą, i przyślej. Czemuż teraz nie jestem w Warszawie! czemuż nie jestem z tobą! — Zasmuciłeś mnie wiadomością o twojem podupadłem zdrowiu. Jedź do wód, lécz się, a nadewszystko mniej się troskaj. Trudna-to rada do wykonania, osobliwie teraz! wielka prawda. Ach! czyż i ja nie cierpię? Ale jest u mnie na to lekarstwo łatwe i skuteczne: ciągła praca, przyjemniejsza może od twojej, bo z własnego wyboru; ale też miasto dostarcza ci przyjemności i roztargnienia, których ja nie mam. Krzepmy się ile można, a może lepsza choć niespodziewana nastąpi chwila...

II.

Opuszczając Warszawę, zostawiam u naszego poczciwego Kopczyńskiego list ten do ciebie, i pierwszy tom moich ramot. Nasz staruszek długo był słaby na nogi: dowiesz się od niego, czym go nie dosyć często odwiedzał. Medal już się robi. Poczciwy Kopczyński będzie miał pociechę oglądać go, a ty patrzeć na jego radość. Obyśmy jeszcze mogli długo się nim cieszyć! Ja zagrzebię się na wsi, gdzie radbym dowiadywać się czasem, co się na świecie dzieje, przynajmniej w rzeczypospolitej literackiej. Muszę ci wyznać, że teraz dopiero, posiedziawszy czas jakiś w Warszawie, umiem cenić twoję dobroć w pisywaniu do mnie tak często. Chociaż nie siedziałem po kilka godzin co dzień w biórze, czułem to jednak zawsze, że mi brakuje czasu, albo raczej swobodnej chwili i spokojnej głowy. Trzeba pisać na wsi, a poprawiać w Warszawie, na krytykach tu nie zbywa.

231. WIECZNOŚĆ.

(p. K. Brodzińskiego).

Gdy jest cnota na tym świecie,
Gdy przyjmuje z nas ofiary,
To i wieczność będzie przecie,
Bo ją wszystkie głoszą wiary.

Nic nie idzie do zatraty,
Co przed naszém okiem ginie:
Z drzewa opadają kwiaty,
Z drzewa owoc się wywinie.

Więc kto ludzką godność ceni,
Z męztwem żal pojednać trzeba:
Do grobowca zasmuceni,
Lecz wesoło patrzmy w nieba.

---

232. LIST ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO DO PRZYJACIELA.

Wiedeń 1838 r.

Oh! to słowo „żegnam cię“ ma w sobie coś zatrutego... Byliśmy przedzieleni, teraz będziem odmurowani jeden od drugiego. Bądź co bądź, pamiętaj żem cię kochał szczerze i że nie powinieneś nigdy zapomnieć o pierwszym przyjacielu, którego miałeś na wstępie do życia. — Bóg świadkiem, że łzy mi gorzkie w oczach stoją — chciałbym przynajmniej rękę ci ścisnąć. — Bądź szczęśliwy, o ile ziemia obca szczęścia ci przynieść zdoła. Szukaj pociechy w świecie ducha, bo w innym prawdziwej nie znajdziesz. Serce własne jest czarą, z której pić możemy szczęście — szczęście wzniosłe, idealne, szczęście cnoty i piękności. Religijne uczucie pielęgnuj i karm w sobie; ufaj w Boga naddziadów, On cię nie opuści, On nigdy serc podobnych twemu nie opuszcza.

Weź błogosławieństwo przyjaciela — weź je. Każda dusza ma prawo drugą błogosławić w godzinie uroczystej rozstania.

Raz jeszcze żegnaj mi... albo raczej nie! — nie chcę tego słowa wymawać. Owszem — do widzenia! A gdybym umarł przed

obaczeniem ciebie, módl się za moję duszę i powtarzaj: do zobaczenia! ale na tamtej, lepszej stronie grobu.

Dusza twoja zapewnie uczuje uścisk, który na ciebie zarzucam w tej chwili!..

---

233. DUMA NAD GROBEM.

(*p. K. Brodzińskiego*).

Kogo nadzieja zwodziła,
Kto nie miał szczęścia do ludzi,
Kogo wyczerpana siła
Próżną już walką nie łudzi,
Ten wreszcie idzie ku tobie
Pod opiekę, cichy grobie!

Tobie znosi król korony,
Pęta więzień uwolniony,
Laskę żebraczą ubogi,
I skąpiec kruszec swój drogi.
Wszystko to złoży pospołu
Ręka grabarza do dołu.

Oczy, co ogniem się tliły,
Krew co burzyła człowiekiem,
I te uwodzące siły
Górą i morzem dalekiem,
Gdzie są teraz? w ciemnym lochu,
Uchowane w garstce prochu.

Liche namiętności szczątki,
Uwiędły nadziei kwiatek,
Samej próżności pamiątki,
Łez niedolanych ostatek:
Otóż całe nasze mienie,
Co przynosim w to schronienie!

Dzień przyszłości za wiek liczem,
Wiek przyszłości jest nam niczem;

Duch w tęsknocie i wspomnieniu
Żyje tylko w omamieniu:
Tak gdy próżne mary chwyta,
Niknie chwila nie użyta.

Ludzie! życie na twm świecie
Bezdenne jest-to naczynie:
Wy dzień i noc w nie lejecie,
A dzień i noc z niego płynie.

Wielkość kończym na pozorze,
Moc badania na pokorze:
Piękne czucie na marzeniu,
Siły tylko na walczeniu.
Na tośmy wszystko poznali,
Aby widzieć, jak my mali!

Kto chce czasu dobrze użyć,
Na dwoje go musi dzielić:
Przez swą wielkość światu służyć;
Przez swą płochość się weselić.
Wielkość nasza jest dla świata,
Płochość dla nas wieńce splata.

---

234. DZIENNICZEK PANNY KAROLINY.

(*z powieści Klem. z Tańskich Hofmanowej p. t. Karolina**).

Warszawa 13 Stycznia 1805.

Zabieram się pierwszy raz do pisania z głowy, dla samej siebie. Nie wiem, jak mi się uda — ale cóż to szkodzi? nikt tego pewnie czytać nie będzie. Żałuję, że mi ta myśl dawniej nie przyszła. W naszych stronach można było zebrać wiele ciekawych rzeczy — ani wątpić jednak, że i w Warszawie dużo rzeczy do zapisania się znajdzie, bylem potrafiła. Nie mam ża-

---

*) Autorka kreśli w tem piśmie obraz tak zwanego wielkiego świata w Warszawie, kiedy przy zwichnieniu obyczajów krajowych za nadto się bawiono i zbytkowano.

dnego planu do tych wspomnień czy notatek. Jak będzie czas i ochota, sięgę i napiszę co mi najpierwej na myśl przyjdzie....

Otóż wczora, a raczej dziś, bo tańcowaliśmy do białego dnia, byłam pierwszy raz w życiu na wielkim balu. Jest-to coś odurzającego, coś dziwnie miłego, pierwszy bal. Nigdy jeszcze tak się nie bawiłam, a nawet nie miałam wyobrażenia podobnej zabawy. Do tej pory tańcowałam zwykle z dziećmi, z panienkami, po klawikorcie, przy dwóch świecach, w codziennych sukniach, a przecież lubiłam tańcować. Cóż to za różnica, taniec z wybornymi i grzecznymi tancerzami, przy dobrej i hucznej muzyce, w sali rzęsisto oświeconej, pełnej osób, na posadce gładkiej jak szkło, i w nadobnym stroju! Miałam suknią krótką, z krótkiemi rękawkami, jak wszystkie kobiety noszą do tańca. Na włosach spadających w pierścienie i loki, a z tyłu zebranych nisko w warkocz, wieniec z zielonych liści z dyamentowemi łzami, takich gałązek kilka u boku, i sznur pereł u szyi. Strój ten tak się podobał, że kiedym weszła z Kasztelanową, już dosyć późno, szmer powstał w sali... a choć bardzo pomieszana i z spuszczonemi oczami, widziałam przecież, jak niektórzy wstępowali aż na wyższe miejsca, żeby nam się lepiej przypatrzyć. Dziwne to jest uczucie, wiedzieć że się wszyscy patrzą, a powiedzmy prawdę, że chwalą. Przybywa odwagi, jest się wdzięczną za tyle życzliwości, i jakoś bardzo wesoło i miło. Siedziałam jedynie przy kolacyi, nie opuściłam ani jednego tańca, jednak nie czuję się tak bardzo zmęczoną, i z niezmyśloną radością myślę już o jutrzejszym znowu balu... Będę i jutro dobrze ubrana, ale nie wiem czy mi tak będzie do twarzy jak wczora. Dziwno mi było, gdym wracała do domu — już słońce zeszło, przekupki rozkładały swoje stragany, tracze z piłami szli na robotę, a ja dopiero jechałam z zabawy.. Zawstydziłam się, sama teraz nie zgaduję dla czego, i zakryłam się futrem, jak gdybym się bała, żeby mnie kto nie zobaczył.. Spałam do pierwszej, ledwie sześć godzin, pewno mniej od tych traczów i przekupek. Ciągle mi się śniły mazurki i walce, ciągle kręciłam się po sali, latałam, bujałam, pływałam..

---

27 Stycznia.

Ani podobieństwa zapisywać każdą zabawę, każdy ubiór,

wszystkie zdarzenia i znajomości. Nie mam jednej chwili wolnej ani rano ani w wieczór — obejrzeć się nie mam czasu. Jakie wymówki, kiedy gdzie nie jestem! — cała, mówią, zabawa za nic. Wielki świat nie taki wcale, jak mi się wydawał z początku — śmiać mi się chce z siebie, kiedy sobie przypomnę, jak go sobie wyobrażałam w Modrogórze. Tu wszyscy dla mnie grzeczni, dobrzy, usłużni. Od jakiegoś czasu wszystko mi się udaje — szczególne mam szczęście...

---

8 Lutego.

Przeszło tydzień słowa nie dopisałam do tych notatek. Ale rzeczą jest niepodobną wystarczyć wszystkiemu. Wreszcie, choćbym upatrzyła wolną chwilę, nie mogę od razu zebrać myśli — nie takie mi przychodzą, którebym zapisać rada. — Na tyle obowiązków, zatrudnień, zabaw, dzień powinienby mieć ze czterdzieści godzin...

Mam momenta bardzo przyjemne, rzecz pewna, ale też są i drugie takie, że sobie rady dać nie mogę — sama nie wiem, co mi jest...

We Środę, w dzień Popielca.

Dwa tygodnie nic tu nie zapisałam — to rzecz niepojęta! kiedyż one minęły? Wczora karnawał się skończył... Jak teraz myślę, nie mogę sobie doprawdy zdać z tego sprawy, com robiła, com widziała przez ten czas — przecież jednej chwili nie miałam dla siebie — jedno za drugiem szło bez przestanku... Tyle wypadków, wrażeń, na każdy dzień! A i to co się czytało, co się na teatrze widziało, tak jakby za prawdę i rzeczywistość uchodzi. — Cóż dopiero mówić o tém, co się mogło widzieć i słyszeć, a widzieć, i słyszećby się nie chciało...

---

14 Marca.

Pamięci tych dni ostatnich odnawiać nie myślę — oby je raczej zapomnieć jak najprędzej, wraz z całą tą zimą, a lepiej jeszcze nagrodzić, gdyby można!.. O! ciężko mi bardzo... nigdy

jeszcze takiej boleści nie znałam... A przecież, prawdę mówiąc, wczora, onegdaj, tydzień temu, przez całą tę zimę smutną mi i nieszczęśliwą być należało, a dziś cieszyć się i dziękować Bogu. Dziś prawdę widzę koło siebie — dziś więc lepszą jestem niźli wczora, a przynajmniej prągnę gorąco być lepszą.

Ależ to tak okropnie tyle złego o sobie się dowiedzieć!... wstydzić się samej przed kim drugim... Mnie zwłaszcza, co tak ufałam sobie, tak byłam siebie pewną...

Radzić więc sobie trzeba — z całych sił wracać na dobrą drogę — być taką jaką byłam dawniej. Ponieważ najlepszy sposób poprawy wziąć w kluby nie tylko uczucia i myśli, ale wszystkie chwile swoje, postanowiłam czas spędzać użytecznie i regularnie. Próżnowanie i lekkomyślność zgubiły mnie. Praca, porządek, milczenie, to trzy skarby kobiety...

---

16 Marca.

Jakże miłe i uczące wieczory państwa Sołtyków! Serdecznie żałuję, żem nie wiedziała o nich dawniej. Już teraz żadnego nie opuszczę. Podobna zabawa wcale nie szkodliwa, owszem pożyteczna nad wszelki wyraz. Pani S. była dla mnie z nadzwyczajną dobrocią. Tu co tydzień bywają takie literackie zebrania, a ktokolwiek odznacza się nauką i talentem, bywa u państwa Sołtyków. U nich, jak sami mówią, powstała myśl założenia publicznego Towarzystwa przyjaciół nauk, które od roku 1800 zawiązało się w Warszawie, a do którego należą wszyscy znakomici uczeni. Po domu starego kanclerza Chreptowicza, który także bardzo słynie z opieki dawanej krajowym naukom, ich dom jest najpierwszy w tym względzie.

Zacznę od znakomitych ludzi, co byli na wieczorze — wymienię główniejszych, reszta na drugi raz.

Był naprzód ksiądz biskup Albertrandi, już bardzo stary, prezes Towarzystwa przyjaciół nauk, jeden z najuczeńszych i najpracowitszych ludzi w naszym kraju. Umie ośm języków, dzieje świata, osobliwie krajowe — wydał kilka dzieł historycznych. — Po księdzu biskupie, zajął mnie najwięcej starosta Nowogrodzki Czacki. Już ja od mego ojca nie raz słyszałam, że nikt dotąd nie zgłębił w taki sposób jak on rzeczy krajowych, zwłaszcza praw i skarbu, a na Podolu nasłuchałam się najwyż-

szych pochwał jego, z powodu szkół które zakłada w Krzemieńcu, i biblioteki własnej, którą dla wszystkich otwiera. Bardzo mi więc było miło widzieć go z bliska. Jest-to już człowiek nie młody, twarzy znaczącej, czoła wysokiego, na którem zdaje się że widać myśl głęboką. Ma on zupełnie odmienne od innych ułożenie, a taki dobry, że nawet śmiać się z siebie pozwala. Powodem tych śmiechów są niezliczone jego pomyłki, z roztarnienia i nader krótkiego wzroku pochodzące. Wczora byłam świadkiem kilku bardzo zabawnych, i pomimo całego poszanowania dla jego zasług i wysokiej nauki, śmiałam się na głos wraz z drugimi. Pani starościna Czacka, żona jego, rzadkiej piękności osoba, była także na tym wieczorze, i miała zawój biały na głowie, a suknię jedwabną fiołkową. Ksiądz biskup z białemi włosami był w swoich fioletach. Starosta więcej niż trzy razy przychodził do biskupa, brał go poufale za rękę i gadał do niego jak do żony — a do żony znowu przystępował z ukłonami i ceremoniami jakby do biskupa. Tysiączne powstawały z tych omyłek żarciki, zwłaszcza z ust pana Sołtyka, któremu na dowcipie i facecyach nie zbywa. Ale zabawniej jeszcze Starosta się zapomniał przy kolacyi. Nigdy on nie siada do jedzenia; niezmiernie bowiem jest żywy, kręcący się; nawet nad książkami dosiedzieć nie może, tak iż często leżąc na podłodze, gdzie miewa książki rozrzucone, czyta albo pisze. Otóż i wczoraj nie siedział, tylko chodził koło stołu, ale mimo tego jadł nie mniej od drugich — na końcu, wziąwszy sobie skrzydło tłustego kapłona i sałaty, upatrywał miejsca, gdzieby talerz postawić mógł do wygodnego jedzenia — wpada mu w oczy zawój żony, biały i okrągły: myśli że to stoliczek nakryty serwetą, i stawia kapłona na głowie starościny. Łatwo pojąć, jakie było zdziwienie i jego i żony, jaki śmiech w całem towarzystwie. Ale i śmiechy ustały przed wyższém uczuciem.

Po kolacyi p. Sołtykowa, która jak uważałam i tam i na powrót Pijarowi, księdzu Kopczyńskiemu, rękę podawała, wezwała obecnych do czytania. Zasiedliśmy wszyscy w milczeniu. Naprzód sama ze swojego zbioru przeczytała nową i nieznaną jeszcze, bo aż z nowego świata przysłaną, powieść Juliana Niemcewicza, którego dumy*) już nad kolebką śpiewała mi

---

*) t. j. Śpiewy historyczne.

matka. Oczy wszystkich nawet mężczyzn cicha łza zrosiła. Po tém przeczytaniu, szanowna gospodyni zaczęła usilnie prosić i namawiać jakiegoś księdza Proboszcza, żeby nam pracy swojej udzielił. Mało zważałam dotąd na niego, gdy siedział mało mówiący, jakby smutny czy słaby. Dał się nareszcie ubłagać, ale pod warunkiem, że pan Osiński jego klechdę przeczyta. Na to wezwanie wystąpił raźno młody człowiek, miernego wzrostu, nieco dzióbaty, który jest jakby domowym u państwa Sołtyków, i którego wyborne koncepta już uważałam w ciągu wieczora. Wziął papier z rąk księdza i zaczął czytać „Błogosławieństwo patryarchy Sarmatów*). Nic podobnego w życiu mojém nie słyszałam — byłam w zachwyceniu — zdawało mi się, że dusza uleci mi gdzieś wysoko, a radabym była polecić za nią. Wszyscy byli mocno wzruszeni, i po skończoném czytaniu każdy wyrażał jak mógł i jak umiał swoje uniesienie. Skromny wieszcz radby był, zdawało się, schować się pod ziemię przed temi pochwałami, bronił się od nich jak od napaści jakiej: „JMPanu Osińskiemu, nie mnie, (powtarzał płaczliwym głosem) całą chlubę przyznać trzeba — jego czytanie łudzi wasze uszy; jam tych oklasków nie godzien.“ I sądzić było można, że na dobre gniewać się zacznie; bo proboszcz Powsiński, Woronicz, ma być trochę dziwak. Zowią go prawie powszechnie Smętoszem, gdyż przy wielkich cnotach, poetycznym geniuszu i rzadkiej kaznodziejskiej wymowie, nieszczęśliwy jest i wszystko czarnowidzi. Słuszniejszy mi się przecież wydaje przydomek Jeremiasza, którym go czci pani Sołtykowa — słodycz jego mowy i całego ułożenia, smutek twarzy, słowa wieszcze jakiemi się odzywa, godne są proroka Pańskiego. — Po Assarmocie trzeba było odwagi żeby z czém wystąpić — przecież słuchaliśmy z wielkiém upodobaniem wyjątku z Iliady**), tłumaczenia p. Dmóchowskiego, jednego ze znakomitych pisarzy naszych. Kształcił on się pod okiem nieboszczyka księdza biskupa Warmińskiego, to dosyć powiedzieć. Pan Osiński także czytał ten wyjątek, ale p. Dmóchowski nie bronił się tak jak ksiądz Woronicz. Jeżeli cała Iliada tak piękna, jak to pożegnanie Hektora z Andromachą, nie dziwię się sławie starego Homera. Jak

*) poemat liryczny Woronicza p. t. Assarmot.

**) epopei Homera, największego z poetów greckich.

je czytał p. Osiński! takiego sposobu czarowania uszów jeszcze nie znałam — zdaje się, że to muzyka, tyle w jego głosie jest harmonii.

---

17 Marca.

Niema życia milszego jak ze swemi, w małém gronie szczerych przyjaciół — nie tak wspaniale, nie tak elegancko jak na wielkim świecie, ale jakaż to różnica! Dziś przypominam sobie z największą pociechą każdy moment dnia wczorajszego, zastanawiam się nad nim, jestem swobodna, spokojna, kontenta z siebie, sposobna do pracy — a po zabawach światowych to człowiek odurzony, do niczego, i znowu rad się bawić, żeby jak najprędzej o wszystkiém i o sobie zapomnieć. Wyrzekłabym się ich chętnie — ale mi powiedział ksiądz O n u f r y (Kopczyński): „Przeznaczenie twoje jest żyć w świecie. Żyj w nim, ale bacznie i przykładnie. Pracuj módl się i czuwaj nad sobą. Za pomocą tych trzech przepisów kościół i na tronach miewał wielkie święte...

---

235. N O C.

(z *poezyj T. Lenartowicza*).

Próżniaczy umysł spoczynku pożąda,
I na ten księżyc, co blademi oczy
Po falach wodnych rzuca cień uroczy,
Spogląda okiem — sercem nie spogląda.

Chwila marzenia, jeżeli się zowie
Szczęściem człowieka, to właśnie ta chwila
Gdy noc panuje. Patrz, księżyc w połowie
Z za chmur złocone promienie wychyla.

Spojrzyj w ten obraz nocnego tułacza:
Skryj się — znów światło na wodach roztacza
Jak wąż ognisty po bałwanach płonie,
I złoci kręgi i pod niemi tonie;
A fale niosą drobnych świateł szczątki,
Niby to człowiek cacka dla pamiątki.

---

236. LIST ELŻBIETY RZECZYCKIEJ.
DO PRZYJACIÓŁKI SWOJEJ URSZULI (r. 1754).

(z pism Klem. z Tańskich Hofmanowej).

Bóg widzi, kochana Urszulko! że jeszcze ani razu nie brałam się z taką skwapliwością do pióra, jak dzisiaj. Co ja też mam rzeczy napisać! a jak ciekawych! Czego ja przez jeden dzisiejszy poranek dowiedziałam się i nauczyła — podobno więcej niż przez całe życie. Jakem tylko przyszła według zwyczaju do księżny Pani, natychmiast mi powiedziała: „Pospiesz się z czytaniem, moja panno, bo wnet tu ma przyjść człowiek, którego ja uwielbiam, którego wszyscy uwielbiać powinni, prawdziwie wielki człowiek.“ — Wielki człowiek! pomyslałam w duchu, jakżem go ciekawa poznać! Widziałam już wielkich panów, widziałam kobiety piszące książki, Drużbacką, Niemierzycową, Radziwiłłową, widziałam króla, królową; ale wielkiego człowieka... Skłoniłam się więc Księżnie i spytałam, czy pozwoli mi zostać w pokoju, jak on przyjdzie?“ I owszem, odpowiedziała; zostań: Pan Bóg ci dał wcale dobrą główkę, możesz skorzystać z jego rozmowy.“ Podziękowałam za to pozwolenie, i poważyłam się zapytać, jak się ten znakomity człowiek nazywa? „Stanisław Konarski, odpowiedziała — jest-to ksiądz Pijar, mąż prawdziwie wielki, gdyż pomimo największych przeszkód wiele bardzo dobrego zrobił krajowi, i chce jeszcze zrobić. Napisał księgę o skutecznym rad sposobie, za którą szlachta wielce się na niego gniewa, pali na sejmikach to pismo — ale on się nie zraża, ciągle pracuje nad zwalczeniem przesądów, które kraj gubią. Wiele także zrobił dla lepszego wychowania młodzieży i dla poprawy mowy ojczystej. Urodził on się roku 1700, już ma teraz 54. Do trzydziestego roku życia, ksiądz lubiący nauki, umiejący dobrze po łacinie, pisał tak, jak wszyscy prawie dziś (za panowania Augusta III) piszą, nastrzępiając polszczyznę łaciną; ale wysłany do Włoch przez zgromadzenie Pijarów, w tym kraju, gdzie bardzo wiele jest uczonych, jak gdyby przejrzał. Wrócił do Polski innym człowiekiem, i w roku 1741 wydał dzieło o poprawie wad wymowy. Ta książka wiele także narobiła hałasu, wielu ściągnęła mu nieprzyjaciół; ale on nie zważając na nic, wydał drugą o sztuce dobrego myślenia, i zupełną wypowiedział wojnę teraźniejszemu sposobowi pisania, szpecącego mowę cudzoziemczyzną. Nie dosyć na tém; zostawszy

przełożonym Zgromadzenia Pijarów, urządził jak najrozsądniej ich szkoły, bo jak ci wiadomo, Pijarzy i Jezuici trudnią się wychowaniem najcelniejszej młodzieży. Otóż tego człowieka, który tyle rzeczy dobrych zrobił, a tak szlachetnie myśli, że wcale o pieniądze nie dba, a nawet od biskupstwa się wymówił, ja dziś poznałam. Jaki zapał w jego mowie! jak on kocha swój kraj, i pragnie przyłożyć się do pożytecznych w nim odmian! Zaczął wyliczać młodzieńców, w których pokłada nadzieję ustalenia porządku, poprawy wychowania, oświecenia narodu. Najprzód wymienił księcia Wojewodzica (Adama C.), wspomniał potém o młodych Poniatowskich; jeden z nich, Stanisław, ma mieć nadzwyczajne w naukach i sztukach pięknych upodobanie, jeśli ten kiedy możnym zostanie, powiedział, uczeni będą się mieli od niego dobrze. Wspomniał także z pochwałą o jednym młodym Pijarze, Onufrym Kopczyńskim, który ma dopiero lat dziewietnaście, a tak już wiele łacińskich pisarzy czytał, i nad językiem polskim tak usilnie pracuje, że ksiądz Konarski przepowiada w nim nowego ojca mowy ojczystej. Mówił potém o Jezuitach: ci, jako dawniejsi, więcej jeszcze mają od Pijarów ludzi zdatnych i wiele obiecujących. Między pierwszymi wymienił księdza Wyrwicza, który ma być tak uczony, jak mało kto w kraju, — księdza Naruszewicza, ten do wiersza wielką ma ochotę i w dziejach krajowych bardzo zagłębiać się lubi; — księdza Albertrandego; o tym długo mówił, bo Księżna nigdy jeszcze o nim nie słyszała; pamięć ma mieć nadzwyczajną, a pracowitość i objęcie niesłychane; — Ignacego Krasickiego, zdatności do wiersza wielkiej. „Ręczę, że ten będzie nad wszystkich pisarzy naszych sławą górował“ mówił o nim ks. Konarski. Wreszcie wymienił księdza Grzegorza Piramowicza, który rokiem od Krasickiego młodszy, rozsądkiem i postępowaniem nad innymi celuje, a do nauk wielką także okazuje skłonność.

---

237. WIOSNA.

(*przez Elżbietę Drużbacką*).

O! młody wieku w postaci dziecinnej,
Wiosno wesoła! jak się wdzięcznie śmiejesz!
Wszystko twej ujdzie płochości niewinnej,

Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolnoć jak dziecku dla swojej zabawki,
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.

Przecież, choć straszysz, nie uczynisz szkody
Ni skrzepłém zimnem, ni zbytniém gorącem:
Przyjemna pora, czas świeży, czas młody,
Ma swą zmowę z powietrzem i słońcem;
Wie kiedy zagrzać, wie kiedy ochłodzić,
Spragnioną ziemię ożywić, odmłodzić.

---

238. O POWIERZCHOWNOŚCI.

(p. Klem. z Tańskich Hofmanową).

Nie jestem z liczby tych osób, które powierzchowność nad wszystko ceniąc, więcej dbają o piękność ciała, niż o wdzięki serca i duszy. Ganię tych, co sądzą ludzi z powierzchowności, bo często bywają mylne. Nie chcę, żebyś i ty córko moja! do nich należała. Niech nigdy piękność lub nieudatność powierzchowna ani cię nęcą ani odstręczają. Nim dasz wyrok o osobie, którą pierwszy raz widzisz, zaczekaj, póki jej duszy nie poznasz.

Często ludzie szpetni z urodzenia, chcąc nagrodzić sobie tę krzywdę od losu doznaną, starają się o powaby, których im ani czas, ani choroby i przygody żadne odebrać nie mogą — zdobią umysł nauką, duszę cnotami pięknemi, bogactwem wewnętrznem osłaniają ubóstwo powierzchowności. Urodni zaś tak znowu bywają rozkochani w sobie, iż im się zdaje, że dosyć dla nich pokazać się, aby wszystkie pozyskać serca. Często się też zdarza, że najpiękniejsza postać próżną głowę, i próżne, albo co gorzej, złe ukrywa serce, a skład ciała niezdarny i ułomny najrzadsze mieści w sobie przymioty.

Najmędrszy z filozofów Sokrates cenił piękną i ujmującą powierzchowność, i twierdził, że piękna dusza w pięknem i zdrowém ciele największym jest przyrodzenia darem. Tegoż i ja zdania jestem, i życzę każdemu, aby pilnie starał się o jak najprzyjemniejszą powierzchowność. Ta ponęta szczególniej potrzebna jest kobiecie, której przeznaczeniem podobać się i wszelkiemi przymiotami serca ujmować.

Ale nie od woli to człowieka zależy, aby nadać sobie

kształtną i urodziwą postać. Godni więc pożałowania są ci, którzy rozpaczając nad szpetnością ciała swego, za nieszczęście ją wielkie uważają. Nie wiedzą zapewnie, że są pewnego rodzaju wdzięki, któremi każdy ozdobić się może, a za takie uważać należy: cnotę, rozum i piękne ułożenie. Kto je posiada, większe jeszcze nad piękność ma zalety; ujmuje niemi wszystkich dla siebie, szacunek powszechny sobie uzyskuje. Twarz najmniej ładna przyjemności od serca pięknego nabyć może — rozmowa dowcipna dodaje wdzięku osobie mówiącej, chociażby nieładnej; a niema tak ułomnego człowieka, któregoby piękne ułożenie ozdobić i przyjemnym uczynić nie zdołało. Każda więc kobieta, szpetna czy urodna, pilnie o te przymioty starać się powinna; bo przez nie albo nabyć wdzięków, których jej odmówiła przyroda, własną chęcią może, albo podwoić je i stokroć milszemi i szacowniejszemi uczynić.

Piękność zadziwia, wpada w oczy; lecz przyjemność, ten powab czarujący, słusznie pod nazwiskiem Gracyj czyli wdziękiń od dawnych ubóstwiany, trafia najpewniej do serca. Nie raz mi się zdarzyło widzieć dwie kobiety w jednakim występujące zawodzie: jednę zadziwiającej urody, drugą nieosobliwą i ledwo jak mówią przystojną. Z razu zdawało się, że piękna ją pokona, lecz w końcu zwycięztwo przy tej drugiej zostało. Jeżeli więc pragniesz podobać się powszechnie, staraj się nabyć uprzejmego i ujmującego sposobu obchodzenia się z każdym; czuwaj pilnie nad sobą, abyś nigdy nie przekroczyła granic przyzwoitości; niech każde twoje ruszenie będzie skromne a szlachetne; wszystko co czynisz, niech wydaje zręczność i układność. Stój i siedź zawsze prosto; nawykaj do lekkiego a nie wymuszonego chodu; pamiętaj o sobie w każdej chwili, i nigdy nie bądź zaniedbaną.

Często po wejściu młodej osoby do pokoju, po jej spojrzeniu i ukłonie, o całém jej wychowaniu, ledwie że nie o sposobie myślenia sądzą przytomni. Czy w małém, czy w liczném towarzystwie, staraj się zawsze być jednakową; jak w jedném, tak w drugiém zachowaj tęż samą prostotę, otwartość, wesołość, jaką masz w domu, lub w pośród dobrze ci znanych i zaufanych. Żywo i chętnie czyń każdemu przysługi, bo ile w tedy są przyjemne, tyle gniewają i obrażają, kiedy w nich widać opieszałość lub niechęć. Wszystkim bez różnicy, kobietom i mężczyznom, starym i młodym, niższym i wyższym w znaczeniu, staraj się podobać, tak, aby każdy mógł powiedzieć o tobie: „Jakaż to

przyjemna osoba!“ Odgłos ten zewsząd powtarzany więcej ci daleko serc zniewoli, więcej szczęścia zjedna, niż błahe pochwały dawane piękności, często nawet sądzonej według osobistej skłonności lub upodobania.

Staraj się także zachować zawsze miły na twarzy wyraz. Ten wdzięk w twojej jest mocy — słodkie tylko miej w sercu uczucia; niech gniew, zazdrość, nienawiść, nie mają w niém miejsca, a uśmiech miłej i niewinnej spokojności zawsze zdobić cię będzie.

Oko każdego człowieka spogląda z upodobaniem na osobę przyjemnej powierzchowności. Łatwy ma ona przystęp do najlepszych towarzystw, bywa nawet od nich poszukiwaną. Ale żeby nabyć tej zewnętrznej przykrasy, tego pięknego ułożenia, nie dosyć pamiętać o niém w domu i na osobności, trzeba jeszcze uczęszczać do ludzi dobrze wychowanych, i z takimi tylko łączyć się i przyjaźnić, z których przykładu i rozmowy w obcowaniu korzystać można.

Na jednę rzecz uważaj jeszcze pilnie, córko moja! na głos twój i mowę. Nie wiele zazwyczaj rodzice i nauczyciele zwracają na nie baczności, a wszelako wiele one w ukształceniu kobiety ważą. Głos i mowa tłamaczami są duszy — one wydają człowieka i wskazują, jakie odebrał wychowanie. Kiedy usłyszę głos przykry i wrzaskliwy, a do tego jeszcze sposób wyrażenia się gruby i nieczysty, najgorszego nabieram mniemania o osobie mówiącej. Przeciwnie, jakże mnie zachwyca głos czysty i wdzięczny! jak przyjemna uchu pięknie dobrana mowa! Mogę spostrzegłszy najurodziwszą osobę patrzeć na nię z zachwyceniem: niechże otworzy usta, a niemiło albo nieprzyzwoicie przemówi, znika od razu wrażenie, jakie jej wdzięki na pierwszy rzut oka sprawiły.

Niech więc mowa twoja zaprawiona będzie słodyczą, czystością i przyzwoitością. Strzeż się mówić zbyt głośno, bo to nie zgadza się z przymiotami skromnej i delikatnej dla drugich osoby. Chroń się również mieszania w jedej mowie dwóch razem języków, jak to u nas było długo w zwyczaju; przez taką bowiem mieszaninę czynisz krzywdę obu językom, a zdajesz się własnego wypierać. Nakoniec, niech całe ułożenie twoje szlachetne będzie i miłe. W ubraniu bądź jak najschludniejszą a skromną i niewytworną. Strój prosty, byle czysty i nie odstępujący daleko od powszechnego zwyczaju, może się bardzo podobać, bo najwłaściwiej przystoi skromnej i niewinnej osobie. Unikaj wszyst-

kiego, coby przesadném, uczoném i wymuszném, tak w obejściu się z drugimi jak i w ubiorze, wydawać się mogło. Wdzięk prawdziwy żadnej nie ma przysady, i wtedy tylko zachwyca, kiedy chociaż nabyty i starannie przyswojony, naturalnym się być zdaje.

---

239. PANNA GUZDRALSKA.

(p. J. Niemcewicza).

Kronika dawna, podarta i licha,
W której nie jednej kartki nie dostaje,
Za Kazimierza napisana Mnicha,
Następującą powieść nam podaje:

Pod Zieloną Dąbrową i blisko Łęczycy,
Mieszkał szlachcic w przyjemnej bardzo okolicy;
Byłto ziemianin bogaty,
Miał liczne włości i kosztowne szaty;
Lecz mniejsza o to, bo największą chlubą
Było dla niego że miał piękną córę,
Obdarzoną w to wszystko przez hojną naturę,
Co pannę czynni powabną i lubą.

Lecz choć rzadkiemi zbogacona dary,
Że niema pono człeka bez przywary,
Miała i ona błędzik tak nie duży,
Iż rzekłbyś, że to plamka jest na róży.
Mamże powiedzieć nawiasem,
Jaka to wada? Guzdrała się czasem.
Nie mogła pojąć, z jakiej to przyczyny
Były dnie, noce, i były godziny;
Owszem mniemała, że ów czas odwieczny,
Był tak dobry i tak grzeczny,
Iż przez wzgląd na nię, w dzień uczty lub rodzin,
Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin.
Choć ją wszędzie proszoną sadzono na przedzie,
Przybywała na obiad zwykle po obiedzie.
Na scenę i na sztukę, co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła kiedy zasłonę spuszczano.

Na mszą nawet (choć wiemy, że to grzech śmiertelny)
Szła, gdy zamykał wrota dziad kościelny.

Ale że ją rodzice niezmiernie kochali,
Więc pobłażali.

W domu, nad innych, większe miewał łaski
Pan Wojewodzic Podlaski:
Zamożny, miły, w niczém nienaganny,
Otrzymał słowo od panny.
Z pochwałą, tysiąc powtarzając razy:
Piękna jest, śliczna nad wszelkie wyrazy;
Szkoda przydawał z miną zasępioną,
Że czasem bywa trochę roztargnioną —
Ale by takiej ustrzedz się przywary,
Wszędy jej w domu postawiam zegary:
Nie sposób, żeby (choć się zapomina)
Nie miała wiedzieć, która jest godzina.

Nadszedł i czas wesela. Już para dobrana
Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana
Stanąć miała do ślubu przed ołtarze święte.
Słodkiem uczuciem rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,
Ławki zajęli w kościele.
Przybył i kapłan — zapalono świéce —
Czekają wszyscy na oblubienicę;
A gdy czekają już blisko godzinę,
Posyła ojciec o zwłoki przyczynę —
Dano odpowiedź, by zaczekać trochę,
Że panna jednę włożyła pończochę,
I jest nadzieja, że w chwilę niedługą
Włoży i drugą.

Tymczasem zegar już i trzecią głosi,
Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,
Że panna nie wie która jest godzina,
Ale że włosy już trefić zaczyna.

O piątej znowu zapewnienie dane,

Że tylko jeszcze ma przyszyć fałbanę,
I wraz przybędzie. Gdy latają gońce,
Już do zachodu schyliło się słońce.

Biegnie pan młody, pada na kolana,
Prosząc, by przyszła choć i nie ubrana.

— „Pozwól, odpowie, tylko dwa pacierze,
Niech jeszcze wstążek do sukni przymierzę —
Potém kwef ślubny i rąbek na czele,
A reszta, to już będą bagatele...“

Zniecierpliwiony, pannie wynurza swą żałość:
„Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,
Jakieżby było o domu staranie?
Jaki ład w gospodarstwie? rządu sprawowanie?
Niech cię inny posiada, gdyś mnie omieszkała:
Jabym się wprzód zestarzał, nimbyś się ubrała.“ —

Wsiadł więc w kolaskę — furman trzasnął biczem,
I wszystko spełzło na niczem, —

Tego pośpiechu, tej niecierpliwości
Nie można chwalić w młodym Jegomości;
Prędkość dobrze nie usłuży —
Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłużej,
Chwilę nie tak drogo cenił,
Byłby się może ożenił;
Gdyż o trzeciej nad ranem, z zasłoną gazową,
Panna do ślubu już była gotową.

---

240. O TAŃCACH.

(*p. Kazimierza Brodzińskiego*).

Jak taniec polski (polonez) może się zwać poważnym tańcem rycerskim, tak menuet albo kadryl francuzki jest tańcem wykwintnego dworu i wykształconej społeczności. Nie wyraża on żadnych uczuć; daleka od niego równie szczera wesołość, jak

prostota przyrodzona. Gracya w tym tańcu jest formalna i umówiona, każdy ruch najściślej wyrachowany — wszystko wydaje w nim tak zwaną etykietę. Godna rzecz uwagi, że naród francuzki, w Europie najżywszy i płochym okrzyczany, poddał się w tańcu formom najuciążliwszym, i w miejsce prostej wesołości przybrał wyuczoną powagę.

Naród niemiecki, tyle od francuzkiego odmienny, szczególniej w tańcu swoim narodowym tę różnicę objawia. Jak żywy Francuz poddał się w sztuce ścisłości formy, tak przeciwnie Niemiec, z natury powolny, dozwala sobie w tańcu, podobnie jak i w poezyi, więcej swobody. Jak Francuzi uważają taniec niemiecki walcem zwany za nieskromny, tak Niemcy przyznają tańcom francuzkim zimną reprezentacyą. Błogie jest atoli panowanie sztuki, przez które naród żywszy przyjmuje w uniesieniu swojem pewne obręby, i wzajem naród poważny dozwala wolniejszego objawienia się swoim uczuciom. Według charakteru narodowego Niemców, nie można utrzymywać, aby ich walc był tańcem nieskromnym: może on być tylko takim dla narodu w obyczajach zepsutego — jest on raczej swobodném poddaniem się uczuciu i wyobraźni, według smaku narodu lubiącego uniesienia duchowe, metafizyczne.

Polski taniec jest jeden ze wszystkich, który męzkiemu wiekowi przystoi, który powadze żadnego stanu nie ubliży: dlatego jest on tańcem jakby obrzędowym, tańcem monarchów, bohaterów, a nawet starców. Nie wyraża żadnego uczucia namiętności, ale zdaje się być tryumfalnym pochodem i wyrazem ułagodzonych uczuć rycerskich: przeto znamionuje go zawsze uroczysta powaga. Jest-to może jedyny taniec, który nie przypomina jak inne, ani uniesień ludu jeszcze surowego, ani płochości ludu przez cywilizacyą zniewieściałego. Prócz tego ogólnego charakteru, ma razem właściwą cechę zwyczajów i obyczajów narodowych. Za starodawnych czasów był polonez tańcem zupełnie obrzędowym. Król z najznakomitszą osobą płci męzkiej wiedli za sobą szereg par z samych mężczyzn złożony, i wtenczas taniec przy ubiorach rycerskich był tylko uroczystym pochodem. Gdy osoba płci żeńskiej była szczególnym przedmiotem uroczystości, zaczynała taniec w pierwszej parze z drugą kobietą, za tą zaś parą same postępowały damy, dopóki przodkująca nie podała ręki jednemu z mężczyzn w około stojących, którą potém wszystkie inne naśladowały.

Zwyczajny taniec polski rozpoczyna zwykle najpoważniejsza w towarzystwie osoba, która według upodobania może za sobą cały szereg prowadzić, lub go rozpuścić — i to się zowie rej wodzić. Mimo uległości przodkującym, którzy według woli, w tę lub ową stronę, z sali do sali, szereg za sobą prowadzić mogą, ma ten taniec dziwne przywileje, dla każdego w święte zamienione prawo. Każdy śmielszy z towarzystwa, według upodobania, z dumy, zazdrości, lub prostej ochoty, może odbić pierwszą parę, to jest wystąpić na rej wodzącego: a wtedy, albo prowadzi sam cały szereg bez zmiany, albo dawny przewódzca ustępuje w drugą parę, drugi w trzecią, i tak dalej, tak, że na tej zamianie tylko ostatni cierpi, wychodząc z szeregu tańczących. Za objawionèm życzeniem ustępują czasem wszyscy mężczyzni, damy jedynie w kole zostawując. Te, same dalej taniec prowadzą, potém czynią inny dowolny wybór między mężczyznami. Niemniej polonez maluje charakter narodowy. Muzyka jego, która więcej niż inne tańce sztuki dopuszcza, obok rytmu wojennego, ma w sobie słodycz przypominającą wiejskość i prostotę. Cudzoziemcy, mianowicie Włochy i Niemcy, zmienili jego charakter zupełnie, a bardziej jeszcze sami Polacy, gdy z tematów oper cudzoziemskich polonezy wyrabiać zaczęli. Dzisiejszy taniec polski jest tylko przechadzką i spoczynkiem, który dla młodzieży nie ma już jak dawniej powabu, dla starszych zaś bywa tylko obowiązkiem etykiety. Dawni Polacy tańcowali go z dziwną zręcznością obok szlachetnej powagi. Przy krokach posuwistych bez skoków, urozmaicał tańcujący swą postać poruszeniami szabli, czapki i rękawów, pokręcaniem wąsa, owemi oznakami rycerza, obywatela i męża. Kto widzi Polaka tańcującego po dawnemu w polskim stroju, przyzna, iż ten taniec jest tryumfem osób dobrze zbudowanych, umiejących swój chód powagą i szlachetnością, a rysy twarzy męzką wesołością ożywić. Przy zaczęciu tańca, Polak kładąc czapkę pod pachę, przy ukłonie przed damą pokręcając wąsa jedną ręką, drugą na szabli opierając, okazuje męzką grzeczność i dumną niejako wystawność. Prowadząc damę z uszanowaniem ręką nieco w łokciu zagiętą, w przyzwoitém oddaleniu, zdaje się z dumą wewnętrzną przedstawiać ją zgromadzeniu — kierując nią, nie według stałych przepisów w innych tańcach, lecz według własnej woli, łagodzonej powagą i uprzejmością. Dama nie ma tu pola do wystawnej zalotności, zachwycających przemian kibici; wyraża tylko skromną powagę; przy wspaniałym ubiorze

dla tego tańca przyzwoitym, przy wzroście i pięknej postawie, przy posuwistym pochodzie na czele milczącego grona, które za sobą prowadzi, wyobraża ideał jakowejś wyższej istoty.

Jak polski lud jedynie zachował jeszcze śpiewy przy tańcu, które mu tyle wesołości dodają, tak stan rycerski w Polsce miał jedyny w Europie taniec, do którego zachęty i okrasy służyła wymowa. Polonez był i jest polem do rozwinięcia wymowy, jaką uczucie lub sama uprzejmość jednej płci ku drugiej natchnąć jest w stanie. W czasach swobodniejszych, tańcowi polskiemu towarzyszyły śpiewy, które cały szereg tańczących z wesołością nócił. Ostatni taki polonez jest pamiątką czteroletniego czyli wielkiego sejmu.

Pod względem muzyki, najdawniejsze polonezy okazują najwięcej prostoty i ducha rycerskiego; z końca XVIIgo i pierwszéj połowy XVIIIgo wieku mają wiele okazałości, a wszystkie są huczne; z czasów zaś późniejszych, oryginalne polskie tańce znamionują się smutkiem do serca mówiącym.

Krakowiak oznacza lud jeszcze bliski natury i najżywszą wesołość; używany jest u ludu. Daleki od sztuki, połączony jest stale ze śpiewem (bo bez śpiewu niema krakowiaka), a tańczący wybijają takty mosiężnemi u pasa kółkami lub podkówkami. Krakowiak więcej okazuje uniesienia i siły, niżeli zręczności. Brzęczenie kółkami, których wiejscy junacy w Krakowskiém po kilkadziesiąt u pasa zawieszają, zawieszenie u tegoż pasa narzędzi potrzebniejszych, krzesanie ognia podkówkami, znamionują lud wesoły, pełen prostoty, i bliski jeszcze pierwotnego stanu społeczności. Poruszenia, strój i muzyka tego ludu są tak oryginalne, że pewno żadna sztuka tych wesołych taneczników naśladować nie zdoła. Piękny, chociaż pstry ubiór krakowiaków i krakowianek, szczególniej im do tego tańca przystoi. Długie krakowianek warkocze po dwa splatane unoszą się w powietrzu za tańczącą między kilkudziesiąt wstęgami różnego koloru.

Krakowiak w formie swojej jest-to uproszczony polonez, i w porównaniu z tymże przedstawia obraz pierwotnego stanu społeczeństwa. Jeden najśmielszy i najżwawszy rej wodzi między wszystkiemi; jemu wtórują inni, tak jak on śpiewa, i tańczą tak jak on prowadzi. Taniec ten jest jakby mały balet. Para młodzieży występuje na scenę, stając przed muzyką: młodzian okazuje się w postawie junackiej, nieukrócony jeszcze w młodzieńczej dzikości, napuszony swoją postacią i strojem — wnet staje zadu-

many, ze spuszczonemi oczyma, szuka natchnienia do śpiewu, do którego zachęca go okrzyk młodzieży za nim stojącej, i takt podkówkami wybijany; nakoniec dziewica ośmielająca go pląsami do śpiewu i tańca. Młodzieniec jednę kolej odbywszy, staje przed muzyką, śpiewa zwykle pieśń stosującą się do wybranej dziewicy, która w pląsach przed nim ucieka — on ją ściga, dając dowód zręczności w skokach rozmaitych i zawrotach. Za trzecią koleją, gdy z dognaną tanecznicą do śpiewu staje, sam znowu przed nią się usuwa, a za nim dziewica dąży, dopóki się ramienia jego nie uchwyci. Tak dopiero połączeni tańczą oboje, dopóki znużona muzyka pasma ich uciechy nie przetnie.

Mazur, w pierwotnym układzie swoim, jak go lud prosty dotąd tańcuje, podobny jest do krakowiaka; lecz jako tańcowany przez lud w równinach żyjący, nie ma tych skoków i żywości, które cechują tańce mieszkańców stron górzystych. Szybcy Krakowiacy i Górale tém tylko od krakowiaka go różnią, że go drobnym nazywają. — I ten taniec przez sąsiedztwo z Niemcami stracił poniekąd swój pierwotny charakter — przyswoiła go sobie wyższa warstwa towarzystwa; przecież, przy zachowaniu narodowości tyle zinąd dodała mu sztuki, że do najprzyjemniejszych tańców europejskich liczyć się może. Mazurek zdaje się być jedynym tańcem, w którym młodzieniec, a osobliwie krajowiec, najżywiej okazać może swoję rzeźkość, która jest duszą i ozdobą w tym tańcu. W nim ciało odmienia szybko rozmaite postacie, dozwala ramionom ruchów niewymuszonych i niejakiego zaniedbania się w postawie, które przy wesołości i tupaniu o ziemię jest samą gracyą. Zwinność i wylewające się w nim życie dodaje coś uroczego skinieniom głowy, która wnet do góry wzniesiona, wnet ku piersiom opadając, lub się łagodnie skłaniając ku ramionom, maluje aż do zazdrości pełność życia i uciechy, cieniowaną przez prostotę, lekkość i delikatność. Tanecznica lekko ubrana, która w powietrzu się unosząc, ziemię tylko dotknięciem drażnić się zdaje, jest w oczach widza istotą zajmującą, równie swojém uszczęśliwieniem, jak pływającemi ruchy i zręcznością.

Muzyka tego tańca jest niemniej narodową i oryginalną. Połączenie w niej melancholii pewnej z wesołością, zdaje się mieć za zasadę rzewną tęskność z chwilowém zadowoleniem.

Taniec kozak wyobraża lud wojenny, jeszcze surowy. Lud ten, w rzewnych tylko dumach przechowujący swe dzieje i tłumaczący uczucia, ma taniec, który bez żadnego poetycznego

układu, i prawie bez charakteru, popisem jest raczej zręczności i siły. Muzyka jego smętna, obok nieułagodzonej wesołości, znamionuje lud szukający w tej zabawie raczej chwilowej pociechy, aniżeli objawienia swobodnych uczuć.

---

241. KRAKOWIAKI.

(*Edm. Wasilewskiego*).

Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.

Oni światu przegrażali, i dziś, chociaż w trumnie,
Chociaż okiem marmurowém, poglądają dumnie;
A na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich wzdycha, drży nie jeden, uklęka wędrowiec.

Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
Siwą głowę schylił — z myślami się biedzi.
A wież jego siedem, jak siedem boleści,
Za dziećmi, co w świecie przepadli bez wieści.
A mur, co mu biodra w koło opasywał,
Jak suknią z rozpaczy, z bólu porozrywał.
I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
„Dzieci moje, dzieci! gdzieście polecieli?
„Gdzieście polecieli, czy szukać oczyma?“
I bez końca jęczy — a ich niéma — niéma!...

---

242. LIST ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO DO SYNÓW SWOICH.

Drodzy moi, wy dwaj! Dziękuję wam za listy wasze. Dziękuję Adziowi za opis posągów widzianych i za powieść o rzeźbiarzu, który się zabił z rozpaczy, gdy mu Włoch oświadczył, że posąg jego mniej piękny od posągu jego spółpracownika.

Cóż to za słabiuchna dusza tlała w piersiach tego nieszczęśliwego artysty, kiedy znieść nie zdołała obrazy zadanej jego

miłości własnej, i najszkaradniejszą popełniła zbrodnię, samobójstwa się dopuszczając! Biedny, lichy, nieszczęśliwy duch, bez wiary i godności! Ledwo trochę mu się nie powiodło w życiu, zaraz się odwrócił i uciekł z pola bitwy; a odbierając sobie życie, którego sobie nie dał, okradł Boga, pana wszechżycia. Patrzcie, do czego próżność doprowadzić może, i walczcie z nią, bo ona jak robak skryty siedzi w każdym człowieku. Niemieć jej nie można; ale mając ją, można i trzeba co chwila z nią walczyć: każdy bowiem człowiek próżny marnie żyje i licho kończy.

Rad też byłem drodzy moi, żeście uczuli co piękne, patrząc na rysy marmurowe tego Anioła. A wiecież wy, co to piękne? Uważajcie. Wszak kiedy myślicie o Aniele, nasuwa wam się na myśl, że to duch nadziemski, posłannik Boży, łączący w sobie zarazem moc i łagodność, słodycz i potęgę — niby lilia biała, śliczna, smukła, a upleciona piorunem. Otóż te myśli wasze o Aniele są prawdą istotną tego Anioła: ale dopóki tę prawdę myślicie, to jest, pojmujecie wewnątrz, w umyśle waszym, nie widzicie jej jeszcze przed oczyma. Dopiero kiedy np. staniecie przed rzeźbą marmurową i twarz anielską ujrzycie, której wszystkie rysy odpowiedzą waszym wyobrażeniom o anielskiej naturze, kiedy wzwyż wzmiankowane przymioty anielskie (to jest moc i dobroć, słodycz i potęga, posłannictwo Boże i nadziemska duchowość) na zewnątrz wypłyną ku wam w tychże rysach, tak, że rys każdy dłótem wyrobiony staje się od razu jakby słowem, mówiącém wam nie do uszu, lecz do oczu: „ja łagodny a silny, łaskawy a potężny, ja niebieski i Boży“ — to wy wtedy wołacie: piękny posąg!

A więc cóż to jest piękność? — czyż ona nie wyrazem prawdy? czyż nie oddaniem na zewnątrz najdokładniejszém prawdy pomyślanej wewnątrz, w umyśle? Tak, drodzy moi! Istotna piękność, czy na płótnie, czy w marmurze, czy w poezyi, niczém inném nie jest, jedno kształtem zewnętrznym prawdy. Jeśli zaś nie tém jest, to nie jest pięknością.

Ale może to wszystko na wasze główki jeszcze jest za ciężkie i zawiłe. Odpowiedzcie mi otwarcie i szczerze, czyście mnie zrozumieli. Jeśli nie, to schowajcie ten list; a gdy go odczytacie kiedyś później to obaczycie, że go rozumieć będziecie.

Skoro mi zdrowie pozwoli, przyjadę was uściskać. Ucałujcie ode mnie siostrzyczki, a słuchajcie Mamy we wszystkiém.

Błogosławię was i kocham, powierzając was łasce Chrystusa Pana i Panny Przenajświętszej.

---

243. Z PIEŚNI KAZIM. SARBIEWSKIEGO.

(*tłum. Wład. Syrokomli*).

Marzenia moje w dziecinnej postawie
Lubią pobiegać po trawie,
W letnim kwietniku poigrać z swobodą;
Lub pod chmurami sznurem lot swój wiodą —
Płyną jak łabędź — albo dniem i nocą
Jako ptaszkowie szczebiocą.

Zda się, że chmurę, co gromami dysze,
Miękkiem śpiewaniem uciszę;
Tęcza niebieska zda się moje czoło
Wstęgą opasuje wkoło.

Oto się budzę — i jeszcze na jawie
Wdzięcznemi snami się bawię;
I biorąc lirę w rozmarzone dłonie,
Po strunach brząkam i dzwonię.

A ufny mistrza śladom i opiece,
Na echu piosnki znów lecę —
Lecę pod niebo, gdzieś w krainy cudne,
Lub na ostrowy bezludne.

---

244. O POTRZEBIE ZNAJOMOŚCI OJCZYSTEGO JĘZYKA.

(*p. X. Onufrego Kopczyńskiego*).

W porządku nauk, umiejętność języka na ich czele stać powinna, jeżeli mają być przydatne narodowi. Wszystkie działania ludzkie, małe-li, wielkie-li, mają pewne prawa, bez zachowania których dobremi być nie mogą: a cóż sądzić o mowie, jako najpiękniejszej i najpospolitszej sprawie człowieka? Mając wrodzoną duszy wyniosłość, dążącą do działania coraz doskonalszego, wstydzilibyśmy się zostać na najniższym stopniu mowy.

pełnej grubych błędów, prostactwa, ciemności, do uprzykrzenia słuchaczom. Chcielibyśmy raczej piąć się do owego wymowy stopnia, na którym ludzie znający i zachowujący językowe prawa, tłumaczą się poprawnie, jasno i pięknie. Cóż jest za sposób pozbycia złych, a nabycia dobrych mówienia sposobów? Oto postrzeganie i naśladowanie tych, którzy lepiej mówią i piszą. Wszystkich postrzeżeń ani jeden, ani nikt razem uczynić nie może: jest-to lat długich i towarzystw dzieło, które w porządną naukę obrócone, i przed oczy naśladowców w krótkim wystawione zbiorze, daje poznać i wady i zalety języka — a wyciągnionemi z przykładów prawidłami uzbraja czytelnika do chronienia się złego, a do naśladowania dobrego.

---

245. ŚPIEW POETY.

(*p. Józefa Bohdana Zaleskiego*).

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę — gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę:
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwa spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niém roskosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie w niebo wznoszę.

. . . .

Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga:

I przyrodę wielbię w pieśni,
A w przyrodzie wielkość Boga.

Brzmią śpiewacy — i na przemian,
To na dole, to na górze,
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie — dla nich wtórzę.

Myśl mej pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna,
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza, i miłosna.

. . . .

Coraz w gaju śpiew ucicha —
Wolno bujam kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam jak motylek.

Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody:
Biorę miody, i jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym z nienacka
Coś mnie draśnie lub ukole;
Widzę w koło piękne cacka,
I jak dziecię koję bole.

Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie:
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.

Czara życia nie wciąż miodna:
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcianin, spełnię do dna,
I wesoło pojżrę w niebo.

Duch nie zgaśnie przez skonanie —
A dla ziemi, u mogiły,

Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie nosiły.

---

246. OBRAZ ZIEMI POLSKIEJ ZA PIASTÓW.

(z dzieła „Jadwiga i Jagiełło“ p. K. Szajnochę).

Świat zdawał się mniejszym. Strony Amerykańskiego zachodu, południowej Afryki, nie istniały jeszcze dla wiedzy ludzkiej. Wschód pogańskiej Azyi krył się we mgle bajek i zgrozy religijnej. Cały obszar znanej ziemi, cały świat cywilizowany, rościągał się od wybrzeży Atlantyckich po Wisłę. Nadwiślańska Polska leżała na krańcach chrześciaństwa, w obliczu pogan. Za Wisłą, ku północy, wyobrażano sobie krainę fizycznej i umysłowej dziczy. Były ziemie zawiślańskie dla reszty Europy przedmiotem podziwu i postrachu. Zamieszkiwali je poganie. Niekiedy przybywały ztamtąd nieznane w Europie potwory wschodu, jak lwy, wielbłądy. Ofiarowane przez Witołda Krzyżakom, przez Jagiełłę posiłkowemu żołnierstwu czeskiemu, zdumiewały one do tego stopnia pobożnych chrześcian zachodu, że wielbłąd jagielloński, dostawszy się mieszczanom czeskim Pilzna, na wieczną pamiątkę do herbu tego miasta przyjęty został. W wiekach rycerskich, śmiałek, który w te strony się przedarł, za bohatera uchodził. Ileż-to dziwów miał on za powrotem do opowiadania o tém pograniczu pogańskiem! Znalazłeś tam wszystkie cechy oryentalnego społeczeństwa. Wschód, któremu za dni naszych granice Azyi początkiem, rozpoczynał się w ów czas po prawej stronie Wisły. Leżąca po lewym brzegu Polska, była jak cały świat tamtowieczny wielce odmienną od późniejszej. Błąkając się okiem po ówczesnych śladach piśmiennych, napotykamy wszędy wielkie puszcze, bezludne puściny, tak zwane wsie puszczne. Całe Lubelskie, Sandomierskie, Łukowskie, całe Podgórze, do niedawna same bory i piaski, było jeszcze swobodną od czynszów i dziesięcin wolą, nowiną. Wędrującemu w bezludnych pustkach kupcowi otwierał się pomiędzy lasy i trzęsawiska wolny wszędzie manowiec. Napróżno ustawy królewskie napominały do trzymania się gościńców. Wozy kupieckie ciągnęły z upodobaniem po bezdrożach, kędy nie groziły ani cła, ani niebezpieczeństwa rozboju; bo nawet rozbójnik wolał czatować przy gościńcu, niż po leśnych manowcach, gdzie bujał tylko zwierz dziki.

Ta bezludność utrzymywała ziemię w stanie przyrody. Większa jej część szumiała lasem, albo trzęsła się moczarami i topieliskami. Lesistość przemagała w wyższej, górzystej Małopolsce; niższa, jeziorzysta Wielkopolska tonęła w wodach.

Tylko kilkanaście mil przedzielało Wielkopolskę od morza. Niegdyś miał Bałtyk jeszcze bliżej dosięgać jej granicy. Wiadome jest zdanie uczonych o ciągłém, widoczném zniżaniu się jego powierzchni. Otóż przed wiekami, przy najwyższym stanie zwierciadła morskiego, pokrywały te wody całą przyległą ziemię Pomorsko-pruską. Po dziś dzień zachowała się u ludu tradycya, jakoby niegdyś morze Bałtyckie rościągało się aż po Grudziądz. Zgodnie z tą wieścią nazywają dziejopisowie kraj Pruski jednym z najnowszych lądów ziemi. Wszakże i po swojem wystąpieniu z łona morskiego zachował on nazbyt jawne ślady pierwotnego stanu. Przeszło dwa tysiące jezior pokrywało przed niedawnym wiekiem szczupłą przestrzeń Prus Krzyżackich — pierwiastkowo zaś miały jeziora pruskie i wielkopolskie nierównie większą rozległość. I tak np. jezioro Gopło, które za czasów Jagiellońskich rościągało się wzdłuż na mil pięć, zmniejszyło się teraz o jednę, a według zdania niektórych, nawet o dwie mile długości. Szerzej rozlane, stykały się z sobą wody dalekie, tworzyły wielkie wyspy, spławiały duże statki z głębi kraju aż do morza. Cała okolica Kruszwicka była, jak znawcy sądzą, podobna do ogromnej wyspy, oblanej naokoło wodami, łączącemi Gopło z Wartą, Wisłą i Bałtykiem. Wtedy jezioro Gopło służyło za główny gościniec handlu i żeglugi do morza. Wszystkie statki z Warty, Prosny, Neru, Widawki, Izdwarty, Odry, chcąc płynąć do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Według mniemania niektórych, Mysza wieża przyświecała tym statkom, jako morska w długich i ciemnych nocach latarnia. Ztąd też starożytne pierwszeństwo handlowej i obronnej wodą Kruszwicy przed Gnieznem i Poznaniem. Gdy wody z czasem opadły, upadła i stołeczna wielkość Kruszwicy. A to zniżenie się wód nastąpiło skutkiem jakiejś powszechnej rewolucyi tego niestałego żywiołu. Wspominają o niej starodawne podania i pamiątki miejscowe, wskazując jeszcze ślady pochłonięte falami grodów i świątyń. Owa mnogość jezior i topielisk czyniła kraj cały nadzwyczaj bagnistym i grzęskim. W suchych dziś miejscach łamały się koła zagrzęzłych w bagnisku kolas królewskich wiozących oblubienice Jagiellońskie od ślubu. Król Olbracht kona, a spieszący do niego lekarz Maciej z Miechowa

więznie przy karczmie w Prądniku. tak nieszczęśliwie, że mimo przyprzężenia ośmiu koni, nie zdołano przeprawić się przez bagna, ani też ominąć go inną drogą poboczną — lekarz chcąc nie chcąc wrócił do domu, a król tymczasem umarł. Nie dziw więc, że sypanie grobel, budowanie mostów na bagnach, należało do najzwyczajniejszych obowiązków ludności. Oto wojenny Leszek czarny z rycerstwem na wiecu — i o czémże oni radzą? o naprawianiu mostów. Ciągnęły się one nie raz na kilka set, na kilka tysięcy sążni, na milę. Bagna wyschły, a ruiny pokrywających je niegdyś mostów budzą do tej chwili podziwienie. Z głębokich jezior wznosiły się gdzieniegdzie kamienne mosty, gdy niebo pogodne, a woda w jeziorze opadnie, widać dotąd ich szczątki na dnie jeziora. Do każdego miasta przystępowało się ze wszech stron na podścielisku podobnych budowli, istniejących już tylko w pamięci aktów miejscowych: czytając je, zdumiewa się dzisiejszy dziejopis na wzmiankę tylu mostów, grobel, jezior, bagien, których w tem miejscu i śladu niema. Najważniejsza twierdza Prus, w pobliżu morza błotnego leżący Malborg, cieszył się z swego przydomka błotny. Woda broniła, woda żywioła. Nowo osiedlający się osadnicy przyjmowali często jezioro zamiast gruntu ornego.

Taka wodnistość ziemi szła na równi z obfitością wód w rzekach. Wszystkie niemal rzeki wpadające do Baltyku były spławnemi. Oprócz Wisły i Dniepru, są w dawném prawodawstwie Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, Zbrucz, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida, Prosna, rzekami portowemi. Niektóre z nich, jak n. p. Wisła, o tyle niegdyś głębsza, zaczęły już bardzo wcześnie, bo za czasów Jagiełły, opadać i zasuwać się. Były nadzwyczaj szerokie wylewy. Po dłuższych deszczach stawały całe krainy pod wodami. Według dawnego przysłowia Woda bierze, woda daje, przenosiła fala wylewów niekiedy całe gmachy drewniane z jednego miejsca na drugie. Takim sposobem miał stary modrzewiowy kościołek na górze pod Tarnowem napłynąć z jakiejś nieznanej strony i zatrzymać się na grzbiecie swojej dzisiejszej posady. Gdy powódź opadła, okazywały się znowu utworzone przezeń nowe jeziora i rzeki.

Po tém morskiém zwierciedle wód wylewnych, po tych wielkich jeziorach i rzekach portowych wiły się we wszystkich kierunkach przeróżne statki i okręty. Mniejsze zawijały do licz-

nych jeziorowych i rzecznych przystani, zwanych w ów czas przewłoki — większe dążyły do morza i za morze. Przypomnijmy sobie, jakie mnóstwo najrozmaiciej nazwanych łodzi i łódek, pławiczek i pławic, obijaników, bark, bajdaków, o trzech a nawet o czterech masztach, wiosłuje na jeziorach Pińskich z nadejściem wiosny, a poweźmiem wyobrażenie o tłumie żagli na wodach ówczesnej Polski. Zabytkiem tej gęstej w Piastowskich wiekach żeglugi pozostało wielce bogate słownikarstwo żeglarskie. Według niego, starożytne herbowe Łodzie, Korabie, Nawy, tudzież znane od dawna szkuty, promy, komięgi, galary, statki, dubasy, oznaczały tyleż różnokształtnych i różne przeznaczenie mających statków wodnych. Z nich-to, opłatą ceł od towarów, od przewozu podróżnych, płynęły do skarbu znaczne dochody. Cóż dopiero mówić o nieskończonej mnogości rybitwów.

Rybołowstwo było pospolitem zatrudnieniem życia. Wodne, bezleśne okolice zawdzięczały mu swoje pożywienie — liczne a długie posty bez niego obejść się nie mogły. Zamożniejsze strumienie, oprócz znanych rodzajów ryb, wydawały jeszcze jakieś zapomniane w dzisiejszej mowie lipnie, berzany, ukleje, kleszcze, sielawy, i wiele innych. Napływające z morza łososie, jesiotry, czeczugi, przeskakiwały jazy i wpadały w matnie. Na wybrzeżach Gdańskich poławiano do czasów Łokietka śledzie. Na wielką stopę prowadzono łowiectwo rybne. Szerokie płoty o pozostawionej w pośrodku bramie dla przejścia czółen, żelazne haki, grodze, jazy, przegradzały koryta rzek. Żadna pora roku nie była przeszkodą rybakowi — im sroższa zima, tém dłużej trwała ulubiona łówka po lodzie. W ręku tkaczów rybackich, włoczków, wyrabiały się rozmaitego rodzaju sieci, jako to: włoki, wędy, więcierze, obierze, potrestnice, słabnice, wiersze, zabrodnie, niewody, żaki. Mnogie dzieła o rybołostwie poświadczają jego ważność w czasach dawniejszych.

Ale nie tylko dla ryb kwitnął wiek złoty. Roskoszowały w ówczesnych wodach i bagnach roje innych zwierzątek. Takiemi były naprzód bobry, których łowy na równi szły z rybołowstwem. Utrzymywano miejscami stada bobrowe, podzielone według rozmaitości kolorów. Wymienione w trzynastym wieku bobrowe gony i żeremie nad Obrą, nad jeziorem Łępnem, nad Wisłą, nie mogły tak rychło wyginąć.

Chmury niemniej stworzeń pierzastych zaludniały każde bagno, każdą dąbrowę. Orle gniazda bywały wskazówkami dróg

leśnych. Gdy wiosenne słońce zagrzało, rozbrzmiewały modrzewiowe gaje wybrzeża nadwiślańskiego gwarnym chórem ptasząt. Na zabój szła walka myśliwska z drapiestwem ptaszém. Jeden z najprzykrzejszych ciężarów starożytnego prawa był obowiązek żywienia sokołów.

Ile miodonośnego owadu! pszczół ile! Żaden kraj europejski nie dorównywał w tej mierze okolicom Nadbałtyckim. Kwitnęły tam jakieś szczególnie słodkie kwiaty, woniały ogromne lasy lipowe, roskosz pszczół, odwdzięczających się słynnym miodem lipcem. Lada wydrążony pień służył za ul, lada bór był pasieką. Całe osady gdzieniegdzie trudniły się wyłącznie pszczelnictwem. Uchodził miód, podobnie jak futra kosztowne, za rodzaj bieżącej monety — niektóre winy sądowe opłacano miodem; woskowe krążki i świece stanowiły także zwyczajne kary duchowne i ofiary kościelne. Wosk był głównym przedmiotem handlu. Odpowiednia temu mnogość bartników, bartodziejów, urządzała się w osobne towarzystwa. Każdy pan zamożniejszy trzymał w swych włościach przełożonego nad czeladzią bartniczą, zwanego starostą miodowym. Było i osobne prawo bartnicze.

Pszczoła wyprowadza nas wreszcie z stron bagnistych w kraj leśny. Jak Wielkopolska po większej części płynęła jeziorem lub tonęła w bagnie, tak Małopolska i Mazowsze szumiały lasem. Ale nie były-to przetrzebione, poprzecinane, widne lasy dzisiejsze. O pół tysiąca lat pierwiastkowej przyrodzie bliższa, niezmiernemi przestrzeniami aż po dalekie rozpościerające się góry, zawierała puszcza ówczesna albo zupełnie już nie znane, albo nadzwyczaj rzadkie u nas rodzaje drzew olbrzymich i szlachetnych. Gdzież dziś one starodawne lasy modrzewiów, gaje cisowe, ogromne lipowe bory? Nad dolną Wisłą zieleniały niegdyś drzewa, których dziś wcale niema. Dalej ku wschodowi podziwiano jakby ruiny odwieczne pni, których rodzaju już w ów czas nikt oznaczyć nie umiał. Bory Nadbużańskie zdumiewały skamieniałościami drzewnemi, których początek został zagadką. Do powszednich bardzo należały dęby, którym po półtysiąca i więcej lat rość było trzeba. Takie zwyczajne drzewa miały potworną objętość i rozłożystość. W ich wnętrzu wykruszoném mógł nie raz jeździec czynić wygodne obroty konne. Za swoich młodszych czasów dźwigały one niekiedy całe baszty z rycerstwem, zbudowane na ich konarach. Ów krzyżacki kasztel Vogelsang był właśnie taką twierdzą w ramionach dębu.

Użyte do kolosalnych machin wojennych, burzyły swoim ogromem olbrzymie mury grodów. Bliższe pożycie z przyrodą leśną uczyło w mowie powszedniej rozróżniać leśną roślinność. Las w ogóle znaczył mieszaninę drzew rozmaitych, rozpościerającą się po większej części na gruntach mokrych — obejmował pospołu dęby, jasiony, wiązy, buki, sosny, i t. p Czarnym lasem czyli borem nazywał się las szpilkowy. Właściwa puszcza zawierała zwyczajne barcie — pomniejsza zwała się smugiem. Las opieczysko zwany miewał piece do wyrabiania smoły, potażu, ważniejszych przedmiotów handlu. Wyrażano się niezrozumiałym dziś sposobem o gajach, gdzie mało jest lasów, tu szumiał świerkleniec, owdzie smoleń, tam gorzechowo. Pomiędzy młodszym porostem trupieszały gdzieniegdzie starce, pomne przechodu Gotów i Longobardów. Zapewne nie żyje już stary Cynoda, runął dąb nazwiskiem Płon, ale za Łokietka i Jagiełły oddawano im jako drzewom granicznym, nacechowanym zwykle ciosnami czyli znakami krzyża św., głęboką cześć. Śród Niepołomskiej puszczy pokazywano siwe dęby, pod któremi według podania jakiś król Polski, zapewnie Kazimierz W., sądy odprawiał. U stóp Bieskidu, w Dąbrowicy, wznosił się podziwu godny dąb, z pomiędzy którego korzeni wytryskały źródła trzech wielkich rzek, Dniestru, Sanu i Cisy.

Nie ludziom jednakże właściwą las dziedziną — to ojczyzna dzikiego zwierza. Nie było mu też liczby w puszczach ówczesnych. W cieniu onych olbrzymich drzew przechadzały się nieznane dziś albo już wymierające rodzaje zwierząt. Z surowszym dla mnogości lasów i jezior klimatem onego czasu, zgadzają się domysły o renach, są wzmianki urzędowe o sobolach, byt turów, żubrów, rysiów, koni dzikich, nie ulega wątpliwości. Słoniowego ogromu tur, pasł się spokojnie w lasach Mazowsza, polowali nań sami książęta. Najupodobańszą po nim zwierzyną był szerokołby, trzech ludzi pomiędzy swemi rogami pomieścić mogący żubr. Tygrysiej barwy, i w rzeczy tygrysem zwany ryś, nęcił drogiém, centkowaném futrem. Koń dziki, jeszcze w wieku XV pospolity litewskich lasów mieszkaniec, środkował między koniem a osłem. Całe stada łosiów ubijano i solono w czasie wyprawy myśliwskiej. Niedźwiedzie, oddane wraz z dzikami na wolną pastwę łowców, wyprowadzano żywcem w świat. W dobrach klasztornych trzymano je na stajni. Zdala od nich kąpały się w jeziorach leśnych niezliczone stada płochliwych sarn. Co

za roskosz dla wędrownego myśliwca, obaczyć niespodzianie taką kąpiel jelenią! Mnogość odyńców, wilków, lisów, kóz dzikich, zacieśniała sobie wzajem świat leśny.

Kto nie chciał, bywał wtedy myśliwym. Dorywcze polowania były zazwyczaj każdemu wolne; tylko gruby zwierz poczytywał się za wyłączną własność pańską albo królewską. Panowie i szlachta utrzymywali wojska myśliwych. Urząd łowczych wszedł później w liczbę dostojeństw ziemskich. Każda wieś polska miała obowiązek żywić psy, sokoły, podejmować wędrownych łowców. Całe osady szły z prawa na obławę czyli przełaję. Pomiędzy myśliwymi wykształcił się osobny język myśliwski, przekazywany pod tajemnicą młodszym wychowańcom zawodu. Po stosowném haśle, po trafnej odpowiedzi, rozeznawali się w zielonej pustyni borów rzetelni łowcy od frantów, przyjaciele od nieprzyjaciół. Było-to życie swobodne, pełne przygód i namiętnego powabu. Owoce trudów myśliwskich przynosiły wieloraki pożytek.

Łatwiej pojąć dalszą wynikłość ówczesnej lesistości kraju, obfitość łąk i pastwisk. Na niej polegał zamożniejszy chów bydła. W wiekach kwitnącego rybołowstwa i myśliwstwa kwitnęło także życie pasterskie. Łąka znaczyła więcej niż rola. Liczne nazwy Koninów, Koniusz, Koniuch, Koniuszek, Końskich, Końskich wól, są tylko zabytkiem osad oddanych pierwiastkowo wyłącznemu chodowaniu stadnin. Nie małém bogactwem były owce — materye wełniane powszechniejsze od płócien, szły w daleki handel za granicę.

O tyle odmienny kierunek nadawało pracy ludzkiej odmienne w ów czas oblicze ziemi. W ogólności miała ona dzikszą, surowszą postać. Dłuższe niż dziś pory zimowe srożyły się nadzwyczaj tęgiemi mrozy — cudzoziemcy zachodni opowiadali dziwy o baltyckiej zimie. Co żyło, chodziło zimą i latem w futrach najrozmaitszego rodzaju. Futra były potrzebą, były i przepychem. W porach letnich panowały wichry, wylewy i posuchy. Od suszy znikały wody w strumieniach, paliło się zboże na pniu. Powstawał z tąd często głód i mór.

Nie pojąć nam prawie ówczesnej pracowitości. Od najdawniejszych wieków słynęło nią plemie słowiańskie. Nigdy się Słowianin nie wykupował od pracy. Kupiectwo uważano za rodzaj włóczęgi i lenistwa: przeciwnie praca, zwłaszcza około ziemi, czyniła zaszczyt. Przy owczesnej dość rzadkiej ludności, nie-

zmierna ilość mostów, grobel, przekopów, wałów, stanie za olbrzymie ruiny pogańskiej starożytności. Porosłe dziś dzikim lasem wały i kopce niegdyś zamkowe, kościołki odwieczne z ciosanych twardych kamieni, ruiny zameczków w lesie, możnaby (opowiada mieszkaniec poniża Wisły) przyrównać do dzieł dawnych Cyklopów. Pod ziemią, owszem pod jeziorami, wśród których stały te zamki, ciągnęły się miejscami, według upewnienia dzisiejszych mieszkańców, długie kamienne sklepienia, prowadzące do gęstych zarośli i jarów za jeziorem. Rozległe przestrzenie umiano w krótkiej chwili utwierdzić kilkomilowym wałem i olbrzymim łańcuchem rowów, spajających jeziora odległe. Starodawnym łożyskom rzek nadawano dogodniejszy kierunek. Wszędy mocował się oręż rolniczy z ziemią leśną. Za czasów Króla Kazimierza (mówi świadek ówczesny) powstało w lasach, puszczach, dąbrowach i zagaiskach prawie drugie tyle wsi i miasteczek, ile ich przedtém było w całym kraju.

Pracując nad przerzedzeniem drzew leśnych, zaszczepiano troskliwie owocowe. Cała Małopolska napełniła się wonnemi sady, kędy kwitnęły wiśnie, śliwy, jabłonie. Samotnie rosnące grusze służyły zwykle za znaki graniczne. W tęż porę weszło w zwyczaj szczepienie winnic. We wszystkich zakątkach kraju, na Szląsku, około Pyzdr, Kalisza, Torunia, Uniejowa, Melsztyna, sadzono szczepy winne. Ślady Piastowskich i Jagiellońskich winnic dochowały się do naszych czasów. Kto uprawą wina zatrudniać się nie chciał, pracował w gęstych owego czasu chmielnikach. Przedzierano się i do wnętrza ziemi po zdobycz kruszcową — poszukiwano starannie wszelkiego rodzaju kruszców. Cała Małopolska mniemała, że stąpa po soli, srebrze i miedzi. Wydobywano nawet w górach małopolskich (około wsi Łącka) wielkie bryły złota. Handel solą, ołowiem, miedzią, był jeduém z walnych źródeł bogactwa.

Skutków tak wielorakiej skrzętności i pracowitości doznał jednocześnie charakter ludu roboczego i sama ziemia. Lud wykształcił w sobie dziwną rzeźkość, ruchliwość, przedsiębiorczość. Ziemia przybrała świetniejszą i powabniejszą postać — osobliwie Małopolska przeobraziła się w piękną, żyzną i zdrową krainę. W roskosznych sadach między Wisłą i Odrą kwitnęły róże po dwa razy do roku. Miłośnicy kwiatów upajali się na śmierć ich wonią. Miłośnikom brogów polnych uśmiechała się żyzna gleba. Zamożni i dobrze żywieni ziemianie dochodzili często lat stu

i więcej, nie znając choroby — plemie ówczesne było dziwnie czerstwe i zdrowe. Słuchanym w sporach sądowych świadkom przyznawano nie raz po 150 lat życia.

Wszechstronna warowność, jakby oczekująca wciąż napaści, dopełnia obrazu szorstkiej, prostaczej wiejskości, jaka się nam wydaje główną cechą ówczesnej Polski. Zanosiło się tu wprawdzie na murową budowność, ogrodową ozdobę i wytworność; lecz w ogóle, mimo wszelkie porządki wielkiego murarza Kazimierza, przeważał jeszcze charakter drewnianej, błotnej i niechludnej wsi. Wśród drewnianych ścian dworca o małych oknach, panował w chacie wieśniaczej mrok posępny — nie rozświecało go nawet wnijście gospodarza-rycerza w zbroi, gdyż jak dom tak i zbroja była pospolicie ciemna skórzana. Jeszcze rubaszniej wyglądał gospodarz, gdy zdjąwszy zbroję przywdział kożuch domowy, ściśnięty pasem rzemiennym. A wieśniaczemu strojowi odpowiadał wieśniaczy, pełen prostoty język, i zwyczajna zdrobniałość imion: Jaśka, Maćka, Semka i t. p.

A przecież w tej mrocznej, zamierzchłej staroświecczyznie było daleko więcej rodowości, więcej podobieństwa do dzisiejszego oblicza, niż zwykle wnosim. Okazuje się ono z bliska w czynach i wypadkach społecznych, które na skreśloném tu tle obrazu występują.

---

247. PRAGNIENIE SZCZĘŚCIA.

(z poezyj Edm. Wasilewskiego).

Szczęścia i szczęścia! — wszystko czeka, marzy,
Jak o słyszanej przy kolebce pieśni —
Jak o rumieńcu, kiedy spełznie z twarzy,
Lub o roskoszy, kiedy się już prześni.

Szczęścia i szczęścia! — gdzie ucho pochylić,
Na całej ziemi wszystko szczęścia żąda —
I w każdej myśli, co z czoła wygląda,
W każdem westchnieniu, co pierś mocniej wstrząsa
Ta mara ludziom pragnie się przymilić,
Gra w pulsów biciu, po źrenicy pląsa —

A przecież zawsze jednę myśl wybije,

Myśl, co w jej sercu krzewi się i żyje:
Żeby harmonią wszystkich wdzięków wionąć,
I w tej harmonii tysiąc serc zamącić,
Zapalić chęcią i szałem ochłonąć,
Upoić — uśpić — a potém w czczość strącić!

---

244. WIZERUNEK LUDÓW NIEMIECKICH.

(*p. Karola Libelta*).

W porannym, mglistym zamroku odległych wieków występują na scenę przodkowie dzisiejszych Niemców: dzikie, rosłe, pleczyste, półnagie Germany, z pałką krzemieniami nabijaną, w niedźwiedzich skórach i rysich kołpakach, straszni już światowładnym Rzymianom. Lasy przez nich zamieszkane, były zarówno bogów ich mieszkaniem. W lasach też zieleniła się ich sława, krwią legionów Warrusowych oblana. W lasach brzmiały ich pieśni, i wznosiły się dymy z ołtarzów ofiarnych, nie raz krwią wrogów zbryzganych.

Kiedy ewangielia zaświeciła już światłem swojém od Judei do Rzymu, tam gdzie ze stolicy Cezarów miała powstać stolica Piotra; ludy barbarzyńskie, jakby przeczuciem do szukania światła wiedzione, wyruszyły ze siedlisk swoich. W tej powodzi barbarzyństwa widać i Niemców, gromadami wielkiemi wysypujących się od północy. I wnet rozpołożyli się i rozsiedli na ruinach państwa Rzymskiego, od morza Czarnego aż do Atlantyku.

Pierwsi chrzczą się Gotowie. Włochy, Hiszpania i Gallia stają się naprzemian łupem ich zwycięzkiego oręża. Ale na południu wyradza się północna krew Germanów. Inny ród germański zbiera się u północy. To dzielny lud Franków, lud, co się ma stać przedewszystkiém chrześciańskim. Klodoweusz krzyż niosąc za godło, zwycięża Allemany pogańskie i sam chrzci się z całym narodem. Karol Martel w imie krzyża odpiera powódź Saracenów, zalewającą świat cały. Karol W. z mieczem w ręku niesie krzyż Sasom i Wendom, aż po Wisłę i Cisawę. Z głowy Childeryka zdjęta korona Merowingów przechodzi na głowę Pipina, a korona Cezarów w sam dzień Bożego Narodzenia roku 800 osiada na skroni Karola W.

Karol zakłada szkoły, sprowadza uczonych z Anglii, i sam ucząc się czytać i pisać, pracuje z Alkuinem nad językiem nie-

mieckim, każe zbierać pieśni ludowe i podania. Ale oświata była tylko w klasztorach, nie w narodzie. Silną wolą monarchy napędzana, zamarła po jego zgonie. Na trzy potężne łomy rozpadło się całe państwo — Niemcy były jednym takim łomem.

Następuje 150 lat ciemności. W nich wielcy Ottonowie i Henryki świecą blaskiem oręża. Toczy się walka papieży i królów Niemieckich — spór długi i zacięty, bo chodziło o berło świata. Ottonowie rozdają tyary, Grzegorze korony. Otto I. zsadza z stolicy Apostolskiej Jana XII; Henryk IV stoi boso pod oknami Grzegorza VII w Kanossie, wśród zimy, przez trzy dni i trzy nocy. Bój przeciąga się aż poza czasy Hohenstaufów, głośny w tych wiekach, jako bój Gwelfów i Gibelinów.

Wśród tych sporów, zapełniających dzieje średniowieczne kłótniami, wojnami, ohydą i zbrodnią, wśród tej trudnej prozy życia dziejowego narodów, wiją się jasnym szlakiem wojny krzyżowe, niby droga mleczna po niebie, od zachodu na wschód, i poświetlają wzniosłą poezyą czynów; silnego moralnego wpływu, jak każda poezya, ale bez rzeczywistych korzyści. Gród święty został w mocy pohańców — Europa wycieńczona z ludzi i dostatków. Ileż ich słano na zdobycie ziemi świętej! Owa powódź pierwsza, co się była z Azyi wylała na Europę, teraz po sześciu wiekach odpływa nazad, jakby dziejowe wezbranie i opadanie ludności. Z tych to olbrzymich postaci, co jak Tytany z onych wieków występują w obec naszych czasów skarłowaciałych, mógł Tasso ułożyć wielką swoją Jerozolimę wyzwoloną, i unieśmiertelnić imie swoje.

W pół wieku dopiero po Gotfrydzie de Boulion budzą się i Niemcy, podniesione ognistemi słowy Bernarda z Clervaux. Zapał późny, ale tak wielki, że i kobiety biorą krzyż i włócznię, i obok mężów idą do Palestyny. Atoli Konrad III z niedobitkami wraca z Konstantynopola, a Fryderyk Rudobrody śmierć znajduje w rzece Salep. Fryderyk II, naglony klątwą, idzie raz jeszcze na wojnę krzyżową, koronuje się na króla Jerozolimskiego, ale własną koronę utraca.

Odłamki tych dwóch wieków wzniosłych i poetycznych ukazały się jeszcze w bractwach Templaryuszów, kawalerów św. Jana Jerozolimskiego, później rycerzy Maltańskich, i pamiętném Polsce bractwie Krzyżaków.

Wiek wielki w dzieła stworzył wielkie narodowe epos. Tymczasem rodzina Hohenstaufów w nieustannych sporach z pa-

pieżami słabieje. Nadaremnie błysnął miecz zemsty, i potoczyły się z rusztowania głowy dwóch przyjaciół rycerzy, Konradyna i Fryderyka. Z nimi skonało rycerstwo średniowieczne. Tylko jeden Robert z Flandryi rozsiekał głowę sędziemu, co niesprawiedliwy wyrok wygłosił.

Powaga cesarska tak spłowiała, że w Utrechcie mieszczanin rzuca kamieniami na Wilhelma z Holandyi, a drugi żonę jego publicznie odziera. Obnoszą koronę, i żaden z książąt niemieckich jąć się jej nie chce. Dopiero Karol IV, syn króla Czeskiego, wraca dawny blask koronie.

Ostatnie stulecie średnich wieków widzi trzech naraz papieży — widzi we Francyi dziewicę Orleańską, prowadzącą Karola VII na tron Kapetów. Na Wschodzie walą się mury Konstantynopola, a Muhamed II wjeżdża konno do kościoła św. Zofii. Czech Gutenberg wynajduje drukarnią, a Krzysztof Kolumb wyjeżdża z Palos, portu małego w Andaluzyi, na trzech lichych statkach, na odkrycie Nowego świata. W Niemczech odbywa się sobór najświetniejszy w Konstancyi — 115,000 głów celniejszych świata składa to zgromadzenie. Wśród takiego blasku i zgiełku wiją się ponure kłęby dymu i swędzą ciałem ludzkiém, bo palą się na stosie kacerze, Jan Hus i Hieronim z Pragi. Z ich popiołów powstaje fenix historyi nowej: reformacya i wojna trzydziestoletnia.

W całym tym średniowiecznym okresie dziejów niemieckich najrozmaitsza przedstawia się obrazowość. Taka jest pełność życia, że tryska i przebiera wszystkiemi stronami. Po burgach grają, hulają i gwarzą rycerze, układają bunty przeciw cesarzom, albo knują napady na sąsiedzkie zamki. W podziemnych pieczarach odprawia się straszliwy sąd fehmy, hamulec na rozpasaną wolność i zbrodnię, przy bezsilności praw krajowych. W turniejach strojne zasiadają białogłowy: a rycerze od stóp do głów uzbrojeni kruszą na ich cześć kopije i odbierają z rąk pięknych upominki w nagrodę. Od środy do poniedziałku trwa zawieszenie oręża; nie wolno w tych dniach rozbojów wyprawiać — ale za to w poniedziałki i wtorki najeżdżają, palą, rabują bez upamiętania. Sądy boże, z których nam się jeszcze zachował pojedynek w spuściźnie, oczyszczają albo potępiają ludzi podejrzanych o zbrodnię lub niewiarę. Nie tylko w Polsce, ale i tu palą czarownice.

Po burgach chodzą minnesengery i śpiewają dzieje ryce-

rzy, którzy walczą pod godłami dam swoich. Inni rozbijają po drogach. Tymczasem kupcy zawiązani w hanzę, prowadzą towary od kraju do kraju, bogacą się, podnoszą miasta i stan średni. W Norymberdze wspanialej mieszkają kupcy, niżli królowie w Szkocyi, a jeden burmistrz Gdański wypowiada wojnę królowi Duńskiemu.

Powstają akademie, mnożą się klasztory, olbrzymie wznoszą się budowy kościołów katedralnych w gotyckim stylu.

Wśród takiego życia nie może się wznieść proza, bo wszystko jest poezyą. Nauki wykładają po łacinie tylko dla księży. Za to kwitnie, różna od starożytnej, poezya romantyczna, dająca żywy obraz swojego wieku.

---

249. Z PIEŚNI ŁAC. JANA KOCHANOWSKIEGO.

(DO MIKOŁAJA FIRLEJA).

(tłum. Wład. Syrokomli).

„Poznaj sam siebie“ do dawnego Greka
Czyż to źle rzekli delficcy*) wróżbici?
Poznaj Firleju, przyrodę człowieka,
A dość twój umysł zajmie się, nasyci.
Patrzaj na ludzi, na ich twarz namiętną;
Tego gniew burzy, tego próżność bodzie —
Gdzie tu rozwaga? gdzie rozumu piętno?
W żądzy porywczej niebaczni a dzicy
Pamięć na siebie zatracamy w gniewie;
Jak koń szalony, zerwan z uździenicy,
Leci, ucieka, choć sam drogi nie wie.

Nie ci są męże, co ciałem odziani,
A ducha swego podlą w ślepej dumie:
Mąż jest, kto idzie, gdzie rozum hetmani,
Kto fałsz i prawdę rozpoznawać umie;
Kto z dróg występków dróg cnoty dochodzi,
Kto w tej nauce ustawnie się ćwiczy,

---

*) w Delfach była sławna wyrocznia Apollina.

I kto następność z początków obliczy,
Takiego człeka mężem zwać się godzi.

Ziemia jest Bożą i ku Bożej chwale,
Jeno z niej zażyć na pożytek dano:
Wzięliśmy od niej rozliczne metale,
Na których służby nasze wypisano.

Chyba pjanemu śni się niedorzeczy,
Że świat na jego stworzony wesele;
Kiedy sam rozum i natura przeczy,
I świat wskazuje, że wyższe ma cele.

Chciwiec ojczyznie blasku nie przymnoży;
Jako trzmiel w pszczołach, pospolitej rzeczy
Będzie szkodnikiem — cały wiek przejęczy,
A w jego trupie ropucha zaskrzeczy,
A jego duszę furyja udręczy.

---

250. BÓG WSZYSTKO DOBRZE URZĄDZIŁ NA ŚWIECIE.

(*z powieści „Dwa Światy“ p. J. I. Kraszewskiego*).

Są posłannictwa różne na świecie, ale Bóg dzieci swoje starsze i młodsze jednakowo obdzielił; nie pokrzywdził on żadnego. W naturze, jaką ich obdarzył, leży prawo niezłamane, mocą którego, po obrachunku tego co mamy, czego doznajemy, co cierpimy, okaże się zawsze jednakowa suma boleści i szczęścia. Na pozór jest-to sofizmat, w rzeczy najświętsza prawda. Bez niej świat byłby niepojęty, a ziemia wszakże jest widocznym obrazem sprawiedliwości Bożej w niebiesiech. Na ziemi wszystko jest jak być powinno, zasłużenie i koniecznie, nic w ogólnych losach niema do poprawy. Bogatsi, możniejsi, choć na pozór daleko więcej używają tego co ich otacza, przez użycie samo tracą smak i doznają mniej, niżeli się w inném położeniu na nich patrzącym zdawać może. Na umysłowe i cielesne przyjemności nie mają już w końcu otwartych zmysłów; używanie prowadzi za sobą zużycie. W dodatku rozważmy, czy chłód i głód, na który cierpią nędzarze, przykrzejsze są do znie-

sienia od chorób, od boleści nieuchronionych, na jakie narażeni są wypieszczeni bogatsi? Tém one owszem sroższe są dla nich, bo do cierpienia nie przywykli. Wszystko, czego ubogi zazdrości bogatemu, zastępują dla niego w innej formie inne, lecz ten sam na nim skutek sprawujące rzeczy. Głodnemu chleba kawałek jest najwytworniejszą ucztą — zużytemu największy przysmak staje się pospolitym i niesmakownym. Jeżeli są cierpienia, których bogaty unika, są inne, od których go nic nie zasłoni. Zatém wypada, że suma szczęścia w obu razach jest taż sama, i najuboższy niema czego najbogatszemu zazdrościć...

---

251. ALPUHARA.

(Ballada)

(*z poematu „Konrad Wallenrod" p. Adama Mickiewicza*).

Już w gruzach leżą Maurów*) posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary**)
Almanzor z garstką rycerzy:
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże —
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł, i zmylił pogonie.

---

*) Maurowie, dawni (aż do końca XV wieku) posiadacze Hiszpanii.

**) Alpuhara (Alpuxarras) w prowincyi W. Grenady.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor, król Muzułmanów.
Rzucił bezpieczne ukrycie;
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie! (woła) na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozsławi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wazalem obcej korony.“

Hiszpanie męztwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął;
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął — padł na kolana —
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał do koła — wszystkich zadziwił;
Zbladłe, zsiniałe miał lice;
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

„Patrzcie o! giaury*) — jam siny, blady:
Zgadnięjcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał — wracam z Grenady:
Ja wam zarazę przyniosłem.“

„Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożerać.
Pójdźcie i patrzcie na me katusze:
Wy tak musicie umierać!“

Rzuca się — krzyczy — ściąga ramiona —
Chciałby uściśnieniem wieczném
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona —
Śmieje się, śmiechem serdecznym.

Śmiał się — i skonał. Jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły —
I śmiech piekielny został na wieki,
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli —
Dżuma**) za nimi wślad biegła —
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

---

*) giaurami Muzułmanie nazywają cudzoziemców obcego wyznania, a zwłaszcza chrześcian.

**) dżuma, zaraza gwałtowna pochodząca ze Wschodu.

252. KRÓL STANISŁAW AUGUST.

(z powieści p. n. „Noc królewska“)
(*p. Jana Zachariasiewicza*).

Nad zamkiem królewskim świeciło od rana pogodne majowe słońce. Z roskosznie oświeconych ścian i gzemsów, niktby się wcale nie domyślił, jakie burzliwe uczucia miotają tymi, co tam w tych szarych ścianach mieszkają!..

Już pierwsze promienie słońca, które w okna zamkowe od Wisły uderzyły, były dzisiaj tak wyjątkowo ciepłe i roskoszne, jakby znękanym nocnemi marami ludziom chciały wlać w serce nowe siły i zdrowie.

Wraz z pierwszym, drżącym promieniem jutrzenki przyleciało stado małych ptasząt, a obsiadłszy okna zamkowe i wystające grzemsy długim szeregiem, ćwierkały ochoczo, ożywiając cichy jeszcze obraz wielkiego świata...

Jedno z tych okien otworzyło się wcześniej niżeli kiedyindziej. Człowiek, który je otworzył, patrzał czas niejaki przez to okno na kąpiące się w Wiśle promienie słońca, słuchał świegotania małych wróbli, a po chwili z westchnieniem w piersi cofnął się napowrót do komnaty.

Komnata ta była z wyszukaną prostotą, lecz nader gustownie urządzoną. Szare obicia pokrywały ściany; na pułapie malowane były różne sceny mitologiczne. Pomiędzy oknami stał mały sekretarzyk nader kunsztownie á la rococo z korzeni drzewa orzechowego rzeźbiony. Na sekretarzyku stała porcelanowa lampa z umbrelką, a rozłożone przed nią papiery i pióra z zaschniętym inkaustem okazywały, że mieszkaniec tej komnaty długo w noc pisaniem był zajęty.

Przy ścianie po prawej stronie stało łóżko, okryte rzeźbą z drzewa mahoniowego. Nad łóżkiem rozpinał się wysoki ż czerwonego adamaszku baldachin ze srebrnymi orłami po bokach. Na ścianie, tuż po nad łóżkiem, wisiał okazały obraz olejny, przedstawiający pokutującą Magdalenę. Była to kopia znakomita znanego obrazu Battoniego.

Człowiek, który przed chwilą okno w tej komnacie otworzył, przechadzał się teraz zamyślony.

Mógł on liczyć lat sześćdziesiąt, mimo to trzymał się nadzwyczaj prosto i twarz miał pełną bez żadnych zmarszczków. Cera tylko żółtawa tej twarzy obrzękłej mogła ten widok oka-

zywać, bo duże, świecące oko miało wszelkie cechy młodości. Przybierało ono najrozmaitsze odcienia światła i koloru stosownie do myśli, które przez głowę przebiegały. Najmniej jednak wyrazu charakterystycznego miały usta. Wzrost średni, dobrze rozwinięty okazywał zdrowy organizm ciała. Ręka i noga były nadzwyczaj drobnych rozmiarów, i widać było, że są pielęgnowane z pewną wyróżniającą się starannością.

Ubiór chodzącego po tej komnacie mężczyzny składał się z rannego, jedwabnego szlafroka w duże liliowe pasy na tle szamowem, i z pończoch z białej tkaniny.

Był to Stanisław August.

Długi czas chodził po sypialnej swojej komnacie. W oczach i na twarzy malował się jakiś niepokój, jakby noc niespokojnie przespał.

Po chwili, jakby się z zamyślenia ocknął, zatrzymał się przed łóżkiem, a patrząc czas niejaki w czarny z hebanowego drzewa krucyfiks, na którym wisiał Chrystus misternie z kości słoniowej wyrzeźbiony, powoli ugiął kolana i w modlącej postawie przed łóżkiem uklęknął.

Ktoby był wczoraj króla w wesołém towarzystwie widział, ten nigdyby może nie pomyślał, że tenże sam król rano i wieczór modli się na kolanach, a modli się szczerze i serdecznie.

A tak było w istocie. Król Stanisław August odznaczał się przedewszystkiem pewną wyrozumiałością dla tych, z którymi rozmawiał. Wiedząc dobrze, że wiek jego goni za libertynizmem w rzeczach wiary, czynił w rozmowach niejakie koncesye tegoż zasadom; ale gdy w czterech ścianach mógł być samym sobą, wtedy wracał czemprędzej do obowiązków najgorliwszego katolika.

I nie była to wcale komedya, bo jej dla nikogo nigdy nie odgrywał, a sam dla siebie grać jej nie potrzebował. Ale było to poprostu potrzebą religijnego jego uczucia, w jakiem wzrósł i wychował się mimo pozorów cudzoziemszczyzny.

Długi czas modlił się Stanisław August przed ukrzyżowanym Chrystusem, a wiszący nad nim wspaniały obraz pięknej pokutnicy dodawał mu może śród tych modłów pewnej otuchy, że religia Chrystusa jest religią miłosierdzia i pobłażania za grzechy, pochodzące z własnej natury ludzkości....

Wstawszy od rannej modlitwy, wziął król stojący na kantorku mały, srebrny dzwonek i lekko dwa razy zadzwonił.

Do komnaty wszedł ubrany już starannie Ryx, ulubiony króla kamerdyner. Król chciał się ubierać.

Ubieranie króla zajmowało zwykle dwie godziny małe. I wcale się temu dziwić nie można. Król był lubiony przez wszystkich, co go bliżej otaczali. Miał on nadzwyczajny dar ujmowania sobie ludzi. Wszystkie kobiety w nim się kochały z powodu pewnej wyszukanej grzeczności i rycerskiej kurtoazyi, z jaką je traktował. Mężczyzni brali go sobie poprostu za model, a począwszy od fryzury aż do pończoch i trzewików we wszystkiem jego postawę naśladowali.

Stanisław August wiedział o tem, że dla jednych i drugich ma być niejako modelem. Dla tego z jak największą starannością uzupełniał według ówczesnych wymagań udatną swoję postać, a wzgląd na mniejszej nawet wagi akcesorya miał tak wielki, że w nakreślonym przez siebie własnym konterfekcie ubolewa, iż ma nieco zanadto wystające błędy, co estetycznym jego wyobrażeniom sprzeciwiało się.

Ze wszystkich akcesoryów najwięcej staranności poświęcał włosom, które już teraz sporo siwieć zaczynały. Okrywał je starannie oczesaną peruką à la Pius XIV, i z nadzwyczajną symetrycznością rozdzielał loki wiszące po obu stronach twarzy.

Gdy już w ten sposób głowa była należycie ubrana, wtedy brał zazwyczaj na siebie mundur niebieski z czerwonymi wyłogami. Czasem ubierał się w zielony, ale zaniechał go, gdyż nie było mu do twarzy, jak utrzymywała generałowa Grabowska i inne jego przyjaciółki.

Do wielkiej, dworskiej parady używał munduru białego z pąsowymi wyłogami, ale zdarzało się to nader rzadko.

Cały strój jego był tak staranny, jakby przed zwierciadłem wystudyowany. Wszystko było tam w harmonii, każda drobnostka zostawała z całością w pewnej zgodzie i należytej harmonii.

Do ubioru tego zastosowane były wszystkie ruchy, gest, modulacya głosu i mimika z taką trafnością, jakiej mógłby królowi pozazdrościć niejeden wykwintny dworzanin króla Ludwika XIV. Zdaje się, że pod tym względem wiele studyował Stanisław August, skorzystawszy z pobytu za granicą.

I dziwna rzecz, najlepszy Polak sercem i przekonaniem, w pewnych nawet chwilach najpierwszy patryota w kraju, odwołujący się w swoich przemowach i listach często do miłości

rzeczy ojczystych — Stanisław August stworzył wkoło siebie atmosferę zupełnie cudzoziemską, zacząwszy od języka konwersacyi, a skończywszy na kuchni.

Jakkolwiek po polsku bardzo poprawnie pisał i wiele urzędowych dokumentów własnoręcznych w tym języku zostawił, używał jednak czasem i innych języków, którymi władał jak ojczystym. Mówił i pisał po francuzku, po włosku, po angielsku i po niemiecku.

A pisał też bardzo wiele. Żaden z królów europejskich nie prowadził kancelaryi swojej z taką akuratnością jak Stanisław August. Wszystkie listy do posłów Rzeczypospolitej pisywał najczęściej sam własnoręcznie, jako też i z adherentami swymi porozumiewał się co do spraw publicznych nader długiemi pismami. Znaczną część takich listów otrzymał od niego starosta bełzki, następnie wojewodą ruskim mianowany, a później generałem artyleryi nazwany Szczęsny Potocki.

Jakkolwiek twarz króla miała dzisiaj wyraźne ślady niespokojnie przebytej nocy; jakkolwiek na wspaniałem czole zarysowało się kilka zmarszczków, świadczących, że jakieś nader ważne myśli niepokoją go nawet w tej chwili jeszcze; z niemniejszą jednak starannością przystąpił do ubierania się, i każdą czynność pokojowca i kamerdynera kontrolował z jak największą uwagą.

W tem tylko folgę sobie uczynił, że zamiast opiętego fraka wziął dzisiaj na siebie krótką, niebieską sukmankę z czerwonymi wyłogami, i z taką podszewką wyłożoną po połach.

Ryx zauważał, że król dzisiaj był małomówiący, a nawet przy ubieraniu niecierpliwił się, co mu się nigdy nie zdarzało. Z tego wnosił zaufany sługa królewski, że król będzie dzisiaj w złym humorze, i pospieszył do tych, którzy już na niego w sprawach prywatnych czekali, aby ich od dzisiejszych solicytacyj powstrzymać.

Gdy Stanisław August sam był w komnacie, nie poszedł jak zawsze zwykł był czynić, do pobocznego swego gabinetu, w którym przy pracy godzin kilka spędzał, ale został w sypialnej komnacie i zbliżył się do kantorka, na którym widać późno w noc pracował.

Na kantorku leżały stosy różnych papierów. Były tam listy do Wiednia, Londynu i Paryża, były raptularze różnych refe-

ratów służbowych, które najczęściej sam odczytywał, a nawet czasem co do stylu niektóre w nich poprawki robił.

Król brał jeden papier po drugim i starannie go przeglądał. Czasami tylko oparł na ręku głowę, i zdawało się, że wtedy oczy jego nie były na papierze, ale gdzieś daleko, przy jakiejś myśli nienader przyjemnej, bo na twarzy malował się smutek.

Od takiego zamyślenia wracał napowrót do czytania, i z przebytej dystrakcyi swojej widocznie był niekontent.

Tak trwało kilka godzin. Potem zjadł w przyległym pokoju małe śniadanie à la fourchette, po którém wszedł do właściwego swego gabinetu, gdzie zwykł był dygnitarzy i gości swoich przyjmować.

Czekał już tam na niego szambelan Trembecki, którego lubił król nietylko dla jego składnych rymów, ale też i dla tego, że poeta-szambelan, znając nawyżki i upodobania Stanisława Augusta, miał zawsze dla niego w zapasie najświeższe nowinki budoarów warszawskich, które umiał dowcipnie chociaż nie bez pewnej złośliwości opowiadać.

— Cóż tam waszmość nowego mi zwiastujesz? — zapytał król szambelana pobieżnie, zdążając odmierzonym krokiem do stolika.

Szambelan zmierzył badawczém okiem kroki króla Stanisława, które mu wcale nie wróżyły dzisiaj wesołej zabawy, i odparł:

— Nowiny, mości królu, są dzisiaj nader dyskretnej natury!

Król zatrzymał się wpół drogi do stolika, spojrzał z wyzem ciekawości na twarzy.

— Jużciż dyskretnej natury są moje nowiny, jeźli je przynoszę wprost z garderoby czy raczej od gotowalni...

Król rozweselił nieco twarz, bo taka rozmowa wpływała zawsze na jego humor, choćby był zajęty najważniejszemi sprawami. W prywatnej rozmowie nawet z tymi, co mu usługiwali, był on zawsze tak poufały, że znikała z przed niego przestrzeń, która zazwyczaj przedziela króla od jego poddanych. Zachował on w tym względzie stosunek patryarchalny, a jeźli usłyszał jakie światłe zdanie lub dowcip zręczny, wtedy królewską powagę swoję składał przed tym, z którym rozmawiał.

Stanisław August przyjmował każdego szlachcica i tak

samo rozmawiał z nim, jak i z każdym dygnitarzem, zapominając nawet czasami, że jest królem.

Przy wielkich tylko uroczystościach umiał wybornie pozować na króla, i rzeczywiście każdy artysta sceniczny mógłby mu pozazdrościć tej sztuki!

W prywatnej zaś rozmowie lubił nadzwyczaj słuchać o naukach i sztuce i zniżał się wtedy od króla aż do skromnego ucznia, który radby się czegoś pożytecznego nauczyć. Wtedy zazwyczaj przestawał być królem...

Również miłośnikiem był łagodnego dowcipu, a kiedy rozmowa skierowała się do kobiet, wtedy również nie było już u niego płaszcza królewskiego.

Gdy więc Trembecki coś o garderobie i gotowalni w sposób tajemniczy mówić zaczął, król był tego zdania, że pod temi słowami ukrywa szambelan jakąś ciekawą historyjkę z budoarów warszawskich, dla których zawsze było gotowe ucho królewskie.

Z widocznym uśmiechem zadowolenia rzekł do szambelana:

— Czy to tylko nie własny twój koncept do rymów? Garderoba i gotowalnia, to brzmi jak na wstęp dosyć ciekawie.

— Ciekawie i prawdziwie, mości królu! — odparł z uroczystym wyrazem na twarzy poeta-szambelan.

— Cóż tam widziałeś przy gotowalni?

— Idę prosto z miasta, gdzie widziałem właśnie przy gowalni — Warszawę!

— Cóż waszmość chcesz przez to powiedzieć? — nieco zdziwiony zapytał król.

— Jużciż przy gotowalni widziałem Warszawę, która ubiera się właśnie na jutrzejszy festyn.

Król rozśmiał się z dowcipu szambelana i zapytał:

— I jakże wygląda przy gotowalni ta... syrena.

Stanisław August chciał w dowcipie iść o lepsze z swoim szambelanem, dla tego zamiast Warszawy użył jej herbu.

— Czy waszmość słyszałeś co w mieście? — zapytał skwapliwie.

— Nietylko słyszałem ale widziałem na własne oczy — odparł spokojnie szambelan — że syrena nasza nie jest tak wcale zimną i złowrogą, jak ją poeci przedstawiają, ale pełną

ognia i gorąca, aby ukochanego króla swego do serca przycisnąć!

Stanisław August westchnął lekko i zadumał się.

— Wiem, że mnie ludzie kochają — rzekł po chwili niby do własnych myśli swoich — wiem, że mnie kochają, bo usilnie o to staram się; ale wiem także... że mam nieprzyjaciół!

— Mości królu, ja gdybym nie miał żadnego nieprzyjaciela, to byłbym człowiekiem najnieszczęśliwszym!

— Sylogizm, sylogizm, mój przyjacielu!... I cóż tam więcej na mieście widziałeś?

— Całe miasto przystraja się w szaty świąteczne; każde okno coś mówi, im wyżej, tem więcej i serdeczniej mówi, za to niektóre balkony pierwszopiątrowe pałaców milczą ponuro...

— Widzisz, widzisz, mój bracie, czy to nie boli taka nieprzyjaźń?

— Za to u mieszczan i u szlachty zapał niewypowiedziany.

— Zapał mówisz? Cieszą się z jutrzejszego obchodu?... z widoczną radością zapytał król i wyprostował się z pewną dumą, jakby pozował malarzowi do konterfektu.

— To trzeba samemu widzieć i słyszeć, bo słowa tego nie oddadzą. Ludzie nieznani całują się na ulicy i ściskają; widziałem starców płaczących.. słyszałem nawet proroków, którzy z natchnionem okiem czytali w przyszłości szczęśliwe losy ojczyzny!..

Twarz króla ożywiła się szlachetném wzruszeniem.

— Warszawa w przededniu wielkiej rocznicy jest cała upojona i pisze wszędzie: Król z narodem, naród z królem!

Królowi zwilżyły się oczy. Spuścił je ku ziemi i odparł:

— Miłość narodu budzi we mnie równąż miłość; i widzę teraz, że nie ma nic na świecie, czegobym dla niego nie poświęcił!

Takie momenty w życiu króla świecą jak perły w koronie, która zazwyczaj bywa cierniową!..

W tem roskosznem rozrzewnieniu chciał król pozostać, dla tego dał znak szambelanowi ręką, że chce pracować.

Nowy jednak gość wszedł do króla.

---

253. GWARINO.

(z starej hiszpańskiej ballady)
(*p. Wład. Syrokomlę*).

Król*) Marlotes siadł w purpurze,
I zabawą lud weseli:
Kazał tarczę przybić w górze,
Rzucać kopije do celi.

Kilka godzin już igrzyska,
Nikt nie trafił w celi**) oko:
Każdy Arab włocznię ciska,
Ale meta za wysoko.

Gniew na króla osiadł czole,
Ogień w oku, groźba w mowie,
I straszliwą jego wolę
Ogłaszają heroldowie:

„Ssać nie mogą niemowlęta,
Jeść i pić usta niczyje,
Póki cel nie będzie tknięta,
Póki tarczy kto nie zbije.“

Powstał w mieście okrzyk dziki,
Aż pod ziemię jęki płyną —
„Ach! co znaczą te okrzyki?“
Sam w więzieniu rzekł Gwarino.

„Czy to radość jakaś żywa?
Czy się żeni kto z królewną?
Albo trąba lud przyzywa,
I mnie tracić będą pewno!“

Maur, podziemnych stróż sklepieni,
Rzekł mu na to: „Jesteś w błędzie;

---

*) Maurytański.

**) na Litwie wyraz cel używany jest w rodzaju męzkim lub żeńskim; u nas tylko w męzkim.

Nikt z królewną się nie żeni,
Ciebie tracić nikt nie będzie.

Dzisiaj wielkie Jana święto,
Ciska włocznie młodzież nasza;
Dotąd celu nie draśnięto,
A król gniewny tak ogłasza:

„Niech nikt nie jé ani pije,
Ani starzy ani mali,
Póki mety kto nie zbije,
Póki tarczy nie powali.“

Więc Gwarino drży tajemno:
„Ej! strażniku, gdyby zbroja!
Gdyby śnieżny koń mój ze mną,
I stalowa włocznia moja!

Włocznia, co służyła godnie
W Karlomana świętej sprawie!
W zakład głowę moją stawię,
Zbiłbym tarczę niezawodnie.“

— „Jak to? ufasz twojej ręce?
Twojej sile? twemu oku?
W tej katuszy inni jeńce
Nie przeżyli ani roku.

Twoją szyję w ciężkiej sforze
Siedem lat jak łańcuch mula*) —
Chcesz? pobiegę wraz do króla,
I żądanie twe przełożę.“

Stróż zatrzasnął stalne wrota,
Aż zawyła podziem głucha,
I pospiesza do Marlota,
I tak szepce mu do ucha:

---

*) rdzawi.

„Ten Gwarinos, co w sklepisku
Siódmy rok w kajdany dzwoni,
Chce zbić tarczę na igrzysku,
Prosi konia i swej broni.“

Król wykrzyknął: „On? w tej chwili?
Jeszcze w lochu nie zgnił marnie?
Chyba żeście mu szczędzili
Głodu, więzów, i męczarnie?

„Niech tu przyjdzie — hola straże!
Dać mu jego strój orężny —
Gdy go dźwignie, cud pokaże,
Jeden więzień niedołężny!“

Zbroję więźnia rdza przejadła,
Koń lat siedem piasek woził.
On, podobny do widziadła,
Szedł przed króla — okiem groził —

I uzbroił się z pośpiechem —
Dosiadł konia... przejrzał broni...
A Marlotes parskał śmiechem:
„No! obaczym cud twej broni.“

Twarz wybladła i znędzniała
Wnet się płoni i rozchmurza —
Więzień ożył... męztwem pała...
Ruszył w harce jako burza —

Rumak zarżał, bo widocznie
Wspomniał bitwy, poznał pana...
Więzień silnie cisnął włocznię,
I spadła tarcz potrzaskana.

Powstał gwar, zazdrosne wrzawy,
W górę mieczów błysło wiele;
Ale miecz Gwarina rdzawy
Naokoło trupy ściele —

Silnie konia spiął ostrogą...
Stary koń w podkowę dzwoni —
Maury w pogoń lecą drogą...
Lecz on uniknął od pogoni.

Dobiegł Francyi — tam go szczerze
Spotkał wiernych tłum wazali;
Tam go damy i rycerze
Z uwielbieniem powitali.

254. POTĘGA POEZYI.

(z rozprawy o pieśniach narodowych)

(p. Jana Pawła Woronicza).

Zwrócić należy baczenie na tę znakomitą gałąź literatury, która wszystkie języki z pierwotnej niezgrabności pierwsza okrzesała i stopniami wydoskonaliła, wszystkich ludów obyczaje i czyny w ustach następnych pokoleń uwieczniła, wszystkie wieki, przemiany i zaburzenia świata przetrwała, a w sercu i uczuciu człowieka nieprzeżyte panowanie założyła.

Rozumié tu zapewne każdy, że mówię o poezyi. Ale któż o tem wyższém i niewysłowionėm natchnieniu mówić zdoła, które jak ogień w gromach i błyskawicy przelotny, wszystko trawiąc i pożerając, czuć siebie i szanować, ale nie pojmować zdumionemu stworzeniu pozwala? Nie próżno zapewnie najodleglejsza starożytność ten niepojęty polor i wygórowanie duszy człowieka imionami bóstw rozmaitych upoważniła, i dla nich sławne, a nie wszystkim dostępne góry laurami zaszczepione poświęciła. Nie próżno owe cudotworne lutnie Lina, Orfeusza i Amfiona*), sława bajecznych dziejów po świecie rozniosła; nie próżno owi nawet, w zapale i szczęku oręża niezbłagani zwycięzcy, domy, rodziny i mogiły same tych wychowańców Apollina ze czcią poważali. Nie próżno późniejszych wieków narody sławnych swych Skaldów, Bardów, Druidów, i tysiącami imion oznaczonych wieszczków, jako z nieba natchnionych, i do

*) Lutnie oznaczały poezyą, która pierwotnie połączona była z muzyką.

uczestnictwa tajemnic jego pożądanych, wyższości stopniem nad pospolitą sferę upoważniały. Wszystkie te wyobrażenia poszanowaniem i podziwieniem ludu nawet do ubóstwienia posunione, dowodzą zapewne, ile mocy, wrażenia i dzielności miała zawsze poezya, i pochodztwo jej od samej kolebki świata wyprowadzają.

Jakoż pierwszy zapewne człowiek, ten twór najszlachetniejszy odwiecznej wszechmocności, duchem nieśmiertelnym natchniony, na łonie niewinności, szczęścia i swobody osadzony, ogromem i niepojętym szykiem tylu istot koło siebie krążących uderzony, wdziękami śmiejącej się przyrody rozradowany, nie mógł nie uczuć wyższości rodu swojego; a wzniosłszy się nad to wszystko, nad czém panować miał, w przepełnioném wdzięcznością sercu zawołać musiał: Niebo i ziemio! słuchajcie głosu mojego. A ten głos odpowiadać musiał wielkości przedmiotów, które go uderzyły, i zgoła musiał być głosem i jękiem godnym słuchania od nieba i ziemi. Mało miał na tém ten jednowładca uklękłych przed sobą stworzeń; czuł on w sobie coś twórczego i Bożego; a kiedy sam będąc stworzeniem, nowych istot stworzyć i wyprowadzać nie mógł, usiłował przynajmniej naśladować tego nienaślednego mistrza, który mu rzemiosła swojego dociekać pozwalał; a następnie gromadząc i znosząc wszystkie widoki natury, porównywając jedne z drugiemi, co widział i ogarniał, to wszystko twórczym wyobraźni pęzlem malował, ożywiał; martwe i nieczułe istoty duchem, czuciem i językiem obdarzał; ich myśl zgłębiał i przenikał; słowem, nieprzerodną płodnością dowcipu przeradzał niejako całą naturę, jak była w ręku pierwszego wskrzeszcy.

Oto są dwa pierwsze nasiona, które zrodziły poezyą: serce czułe, szlachetne i wyniesione — imaginacya żywa, przenikła, obejmująca. Człowiek istoty swojej w żadnym stanie i położeniu przerodzić nie mógł; a następnie, gdzie tylko znalazł się człowiek, tam smak i znajomość poezyi. A kiedy te dwie własności uczucia i pojęcia, nierozdzielne od istności człowieka, ograniczone jednak mniejszą lub większą sprężystością żywych poruszeń nie jednakowo w każdym rzecz jednę malowały i wyrażały, z pilnej rozwagi i porównania jednej piękności z drugą zrodziły się przepisy.

Stosunek przepisów, zgodny ze stanem i położeniem rzeczy, przybrał to słodkie i dobroczynne natchnienie w tysiącu odmiennych postaci. I tak, inaczej nieścigłym wzniesiony lotem uw

wierzchołek Syonu, dziwy niepojęte Stwórcy wdzięczną arfą Dawida wysławia, rzeki i morza w swym biegu wstrzymuje, wiatry ucisza, góry rozmiata, niedostępną zasłonę przyszłości rozdziera, a obecnym i następnym pokoleniom w głębi tajemnic ukryte wyroki ogłasza. Inaczej znowu, na poziome niziny spuściwszy się, potężne narody i króle do przeważnych czynów trąbą Homera*) zwołuje, posadę światowładnego Rzymu na brzegach Tybru zakłada z Maronem**). Inaczej okropnością zbrodni przestrasza, i cudze nieszczęścia łzami szanować uczy z Sofoklesem***). Inaczej w uściech Tyrteusza****) rozpierzchnione Spartanów szeregi do szyku zwraca, oręż zalęknionym narzuca, męztwem zapala, i wygraną z rąk nieprzyjacielowi wydziera. Inaczej znowu, dalekie od wrzawy i turniejów wojennych życie swobodne wieśniaka fletnią Teokryta†) opiewa. Inaczej z Pindarem, Anakreonem i Horacym††), rozmaite duszy uczucia porywczym pędzlem maluje, a wdziękiem lutni do uszu i serca przenosi. Inaczej smutki i żale nad zatoką Euxynu z Nazonem†††) rozwodzi — inaczej trafnym i niewinnym żartem zdrożne obyczaje prostuje. A wreszcie nie chcąc pominąć żadnego stworzenia, czuć i myśleć zdolnego, samym nawet dzieciom i gminowi twarde mędrców wyroki zrozumiałe, w pociesznych bajkach opowiada z Ezopem††††).

A kiedy tyle dzielnych, rozmaitych, nieograniczonych użytków ten wysiłek duszy człowieka rodzajowi ludzkiemu przynosi, możeż nie być każdego języka pierwszą i celniejszą ozdobą? Próżno surowy Plato†††††), acz sam miłośnik i rozmyślacz

---

*) Homer, Grek, śpiewak wojny Trojańskiej i przygód Odysseusza.

**) t. j. Wirgilim, poetą rzymskim, który w swej Eneidzie wyśpiewał początkowe dzieje Rzymian.

***) Sofokles, sławny poeta tragiczny u Greków.

****) Tyrteusz, Ateńczyk, sławny rycerskiemi pieśniami, któremi Lacedemończyków zagrzewał do boju.

†) Teokryt, najcelniejszy z greckich pisarzy sielanek.

††) Pindar i Anakreon u Greków, Horacy u Rzymian, znakomici poeci liryczni,

†††) t. j. Owidym, poetą rzymskim, który na wygnaniu smutne pisał wiersze.

††††) Ezop, bajkopis grecki.

†††††) Plato, sławny filozof u Greków.

Homera, zamykał przed poezyą bramy w swojej idealnej rzeczypospolitej. Przekonanie wieków dowiodło, i dowodzić będzie tej prawdy, że póki śmiejąca się wiosna, w pierwsze wdzięki i bogactwa piękności rozkwitniona, jest wieńcem i ozdobą natury; póki młodość ogniem i żywością wrząca, nad skrzepłym i ostygłym wiekiem powabami swemi przeważać będzie, póty poezya serca ludzkiego żywiołem, roskoszą i zabawą być nie przestanie.

---

255. OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

(*p. Juliusza Słowackiego*).

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona;
Prócz tego dziecka. trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła zemną. Dziewięć dromaderów
Schodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A w wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem.
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali,
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem;
Synowie moi ogień rozkładali.
Żona z dziecięciem przy piersiach warzyła —
Wszystko to dzisiaj tam... gdzie ta mogiła! —
A ja samotny wracam — o! boleści —
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł Anioł pomoru!
O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojém sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mnie będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione

Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha! —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą — cóż ja im odpowiem?...

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły.
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia, i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci:
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie,
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się wnet jak palma złamana!
Przybiegłem — nie czas już było ratować!
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam gdzie grzebią zarażonych grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie!
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem jak obie umarły.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu —
I porzuciły nas! — i bez powrotu!
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowém?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce, słońcu nierówne złotemu,
I już nie takie jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.
I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze;
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać.
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina,
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem! — Ach! ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł — ja ojciec spostrzegłem.
On do tamtego zdawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony,
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! na twarzy plam żelaznych krocie —
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzała matka.
Oby nie umarł, lub się był nie rodził!
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził,
I patrzał — tego z pamięci nie zatrzeć!

I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć!
Od tego zgonu i od tej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

. . . .

Powrócil! anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni,
I pod oczyma konał mi syn średni...

Skona? myślałem, wtenczas — o! rozpaczy,
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyśle po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę, a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę...
Córka! — ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mnie żadna —
Ach! ona była młoda i tak ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do liliowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek —
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie,
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na różę przeze łzy i słońce —
Ach! ona była domu mego panią.
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.

Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić.
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.

. . . .

Alec nazajutrz grom przyszedł uderzyć,
Córka! lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!..

Z założonemi na piersiach rękoma,
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W końcu namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.

. . . .

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie z daleka —
Zarazę było znać na mym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie:
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku;
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać...

Po córce w pięć dni — o! Boże mój, Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury —
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rościąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze,
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem.

Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho —
Więc natężałem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie:
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?..

I nagle czemuż ta śmierć tak zdradziecko
Weszła! — w kołysce zapłakało dziecko...
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem;
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy;
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty i taki żałośny,
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei i bez pamięci!
I nie zawiodło przeczucie żałoby —
Umarło! z takiej jak tamte choroby,
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!...

. . . .

W namiocie pustym ja zostałem z żoną:
Boleść obojgu rozdzierała łono —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa;
Chyba mysz jaka po nocy przebiegła.
Zgoła żadnego jęku ni szelestu —
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał,
Bo nachyliłem się był i posiwiał;
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski.
Na głowie miała z włosów siwych wienice,
Jakiś okropny ceglany rumieniec...

Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć —
Zdrów byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy —

Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem, i upadła!
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zniósłem w namiot — i rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię;

I obudziłem się na dni czterdzieści;
Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłém pamiątka,
Patrzaj — obrazek, ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte,

(Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze niezepsutém wcale,
Pocałowała w usteczek korale..)

Te upominki z ziemi ukradzione
Zabiły matkę i wzięły mi żonę!..

Wróciłem zatém do płóciennej nory
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień,
Stałem się silny i twardy jak kamień.
I raz — ach! Boska nade mną opieka!
Patrzę — ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno!

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści —
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.

O! gorzka wolność i chwila powrotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu...
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy...
Co dnia na dzieci patrząc konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące:
Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj! osiem juków próżnych —
I nie zostało mi nic, oprócz Boga,
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!...

---

256. POTĘGA MUZYKI.

(p. Karola Libelta).

Strome stérczą Apeninu skały — na skręcie gościńca gromada łotrów jakiegoś otacza młodego podróżnika. Wymierzone już nań sztylety — z ogorzałych twarzy krwawa chęć mordu wyziera — a on z narzędziem muzycznèm w ręku, z wyrazem gorącej prośby w oczach, na kolanach ich błaga. I snadź usłuchali prośby jego, bo ręka grożąca śmiercią ściąga się zwolna do boku, postawy i twarze nabierają wyrazu spokojności i oczekiwania. Młodzieniec się podnosi, palcami po strunach przeciąga, i wnet pieśń od serca zawiedzie. Płyną tony z duszy śpiewaka, jak głos łabędzia przed zgonem. Wszystkie uczucia, co wtedy pierś jego przepełniają, unoszą się po brzmieniach lutni. To zrazu brzmi jakby radość z uratowanej chwili życia, którą mu wolno było pieśni poświęcić — to znów rościągłe płyną żale, że tak młodo ma schodzić z tego świata — wszystkie wspomnienia przeszłości stawają mu na myśli, i biją to w silne, to w słabsze akordy. Już żegna świat ten miły i uroczy, żegna przyjaciół, rodzinę — ale kiedy żegna się z lutnią swoją, taki z niej leje się głos bolejący i czuły, tak rzewliwe płyną z duszy jego pienia, że widać na słuchających wzruszenie, i oczy zbójców, może po raz pierwszy od czasu straconej niewinności, łzą rzewnego uczucia zabłysły. Skończył — upada na kolana — i ciosu śmiertelnego wygląda. Ale osłabły ręce zbrodniarzy — niezdolni wyciągnąć ramion, stoją jak dzieci z rozmiękłém sercem. Rozżaleni, oddając podróżnemu co mu odebrali, puszczają go żywo, i ze spuszczonym wzrokiem, w milczeniu, oddalają się w gęstwinę, czy-

to wstydząc się rzemiosła swojego, czy też pewniej słabości swojej...

Podróżny ów, był-to sławny śpiewak i poeta Piotr Castelnuovo, który żył w drugiej połowie XIII wieku.

Z późniejszych czasów podobny mamy przykład na Alexandrze Stradella. Był on najbieglejszym skrzypkiem swojego wieku. Nabywszy już głośnej sławy we Włoszech, odbył pierwszą podróż artystowską do Wenecyi, i grał tam koncert na skrzypcach. Człowiek głębokich uczuć, porywającej wyobraźni, był jednak szpetny z twarzy, niezgrabny w ruchach i postawie. Na pierwszy rzut oka odrazę sprawiał — tylko płomienne czarne oko, bardziej jeszcze kruczemi włosami przyciemnione, niezwykłym migało połyskiem, i niepospolitego wróżyło człowieka. Ale gdy skrzypce wziął do ręki, gdy je podbródkiem przyparł do piersi, i długim jasnym pociągiem smyczka ze czworostrunu pierwsze w duszy zabrzmiały mu tony, od razu zrósł w jedno z instrumentem, i jakby żywą tętnicą od serca idącą wlewał życie w drzewo i struny — tak przelewały się z piersi jego uczucia w narzędzie muzyczne, i nawzajem tonęły do piersi i unosiły duszę całą. Oblicze rozpromienione w regularne miłe układało się rysy, i niebiańska jakaś biła z nich roskosz — postawa rosła, ruchy ciała potężniały. Widać w nim naraz było królującą powagę mistrza, wszechwładcę tonów. W tych-to uroczystych chwilach zachwycał i porywał w niebiosa słuchaczów. Tysiące osób jakby jedném uchem słuchało go. Wszystkie inne zmysły w osłupieniu milczały, a myśli po słuchu unosiły się w sfery nadziemskie. — Taką-to potęgą talentu, mimo nieudatność powierzchowną, Stradella pozyskał związki z domem wysokiego urzędnika w Wenecyi, i pierwszeństwo nad innym, znakomitego rodu młodzieńcem, nazwiskiem Fernando, który mając się za obrażonego, poprzysiągł mu zemstę. Właśnie kiedy Stradella, wyjechawszy do Rzymu, w kościele św. Jana wykonywał swoje wielkie oratorium, przybywa ów młody Wenecyanin uzbrojony sztyletem, w zamiarze zbroczenia go we krwi przeciwnika. Już brzmią mury świątyni rozgłosem licznych tonów muzycznych i śpiewów. Fernando stoi oparty o filar kościoła — a o jego serce, zemstą gorejące, rozbijają się te przeciągłe tony i głosy, jak burzliwe fale morskie o skaliste brzegi. Co silniejsze tylko i gwałtowniejsze wciskają się do piersi jego, i mieszają z unoszącém zemsty uczuciem... Ale niebawem czuje, iż

oprzeć się nie może natłokowi tysiącznych melodyj, co jakby harmonijne pienia aniołów pokoju brzmią nadziemskim wyrazem. Coraz ciszej a ciszej nucą pieśń posępną, ale czułą; ostatnie już tylko pobrzmiewają kończyny rozgłosu — następuje pauza, i wytężone oczekiwanie... Naraz, z jednego tylko instrumentu odzywa się i na przestwór kościoła rozlega ton tak czysty, tak luby, że zda się, iż anioł niewinności z niepokalanej duszy go wylewa — drży pieniem uroczem, bolejącém, i drży serce i boleje. Wyjrzał z poza filaru Fernando — to Stradella takie solo na swoich skrzypcach wygrywa, a twarz jego blaskiem promiennym rozświecona pała. Zamarła w sercu zemsta, a uczucie najprzód podziwu, potém zachwytu stopniami wzrasta. Gdy skończył, brzmi oklaskami nawa kościoła — wieńce z galeryi spadają na mistrza — a Fernando przez tłumy się przeciska, i już zawisł na szyi Stradelli. „Zwyciężyłeś, mówi, Alexandrze! Twój smyczek skruszył to żelazo zabójcze, i twardsze nad nie serce moje! Tyś stokroć godniejszy ode mnie — żyj szczęśliwy!.

Możnaby więcej naliczyć przykładów, aby okazać, jaka jest potęga tonów.

Snadź starzy już o owej sile muzyki wiedzieli, bo młodzieńcza onych starożytnych narodów wyobraźnia najzdolniejszą była do przyjmowania jej wrażeń. Były-to narody młode, jak wiek młody pochopne do uniesień, do żywych uczuć, któremi świat ogarniać byli gotowi. A jak u młodziana usposobienie duszy bywa to smętne, to wesołe, to porywające zapałem, tak i one młodzieńcze pokolenia ludów wypiętnowały na melodyach szczególne usposobienia swoje.

Między sztukami pięknemi wysoka ztąd muzyki godność, że nigdy skazić ani upośledzić się nie może. Z czemże człowiek nie obejdzie się po swojemu? czego się nadużyje? nie skazi? Sponiewierał rzeczy najświętsze; zelżył, spotwarzył i muzykę. Przy rozgłosie narzędzi muzycznych, co jęki palących się ofiar głuszyły, przy śpiewie pieśni chwale Najwyższego poświęconych, odbywało się straszne autodafe w Hiszpanii. Jak niegdyś gladiatorowie do taktu muzyki nacierali na siebie i wytaczali krew, raniąc się i zabijając dla widowiska zgromadzonego ludu, tak i dziś brzmi bęben, trąby do bitwy grają, i lecą na ten głos szeregi zbrojnych topić w siebie żelaza zabójcze, i rozbestwiają się w tej rzezi jak drapieżne zwierzęta. Przy odgłosie muzyki

spadały w Konstantynopolu głowy janczarów, i nieraz najstraszniejszym mordom wtórowała kapela. Atoli muzyka sama w sobie nigdy się nie upodliła. Natrafisz często na obraz malarski lub posąg obrażający skromność, na mimikę gorszącą, na dramat niewinne drażniący ucho, czytasz poezyą pochlebiającą samej zmysłowości — i oburza się uczucie twoje, jeżeli nieskażone, że sztuka nadobna tak się obnaża i grzeszném świeci ciałem. Z muzyki tylko nigdy szata niewinności nie opadła. Gniew, zazdrość, i wszelkie namiętności nie odezwały się nigdy harmonią tonów, bo jakżeby nią disharmonie duszy ozwać się mogły? To, co nas moralnie odpycha, co zraża uczucie nasze, jest-to właśnie owa niezgodność, co się w duszy naszej krzykliwem wrażeniem odzywa i razi, jak rażą słuch tkliwy niezgodności tonów. Harmonia zatém, owa miła w skutku zgodność głosów, ów koncert myśli i uczuć muzycznych, działa dla tego tak błogo na duszę człowieka namiętnościami szarpaną. Jak oliwa lana na rozhukane fale morza uspokaja ich burzę i do równowagi pieniące się bałwany przyprowadza, tak muzyka leje w rozburzoną duszę słuchacza harmonią tonów, łagodzi i uspakaja umysł. Tak Dawid przygrywając na harfie rozbijał zacięty gniew i melancholią Saula; tak Orfeusz na eolskiej lutni wściekłość dzikich zwierząt poskramiał; tak grze Tyfonów przysłuchiwały się potwory morskie; tak Apollo wiódł dzikie narody do oświaty. Ileżkroć posępne myśli, jak czarne chmury pogodnemi wiatrami gnane, nie uciekały z duszy twojej, gdyś albo sam podniósł narzędzie muzyczne, albo kto inny pojrzawszy po tobie, odpowiednią stanowi duszy twojej melodyą wydobył? Nie czułżeś, jak ton każdy sączył ci w zbolałą duszę, na podobieństwo kropli balsamu, balsam słodyczy na twoje rany? jak coraz bardziej tajała w sercu zgryzota, co jakby kra lodu ziębiła duszę twoją? jak natomiast rozpierała się pierś potęgą tonów zaklęta? jak z razu rozczulenie cię owładło, rzewna jakaś tęskność do lepszego świata ogarnęła, a potém rozweseliło się serce twoje, i czułeś się szczęśliwym w zgodzie ze sobą i światem? bo ten świat przemówił do ciebie potęgą tonów, owym harmonijnym wyrazem duszy.

Tą muzyką przyrodzonego głosu cała natura przemawia. Słychać ją w rozlegającym się huku grzmotów, wyciu orkanów, gwałtownem wzburzeniu się wód morskich — słychać zarówno w łagodnym szeleście strumyka, w poszepcie liści na drzewach, pluskaniu wód lekko kołysanych wiatrami. I człowiek natęża

ucho, i rozumie ten głos przyrody, i zachwyca go równie jej straszliwość jak łagodność.

Kiedy taka jest potęga muzyki, możnaby się zapytać, jaki jest jej użytek? Otóż, co nami tak silnie włada, to musi być dzielnym naszego ukształcenia środkiem. A że nie do przekonania, nie do rozumu melodya przemawia, ale z uczuć płynie i na uczucia wyłącznie działa, więc nie rozumowa, a uczuciowa strona człowieka będzie przedmiotem muzykalnego ukształcenia. Dobrze powiedział Plato: muzyka jest drugą połową wychowania, bo ona ukształca duszę człowieka. Zwierzęcość przyrody naszej, a ztąd dzikość i surowość obyczajów, ociera się z nas od pierwszych zaraz lat dziecinnych przez wpływ oświaty rodziców i wyższego towarzyskiego pożycia. W pierwotnym atoli stanie rodzaju ludzkiego muzyka najwięcej dzikość ową łagodziła. Orfeusz, jak powieść mitologiczna niesie, przy odgłosie muzyki wyprowadzał ludzi z lasów, a kamienie na głos jego lutni układały się w twierdze i grody. Tak poskramiała muzyka dzicz i barbarzyństwo, a godziła uczucia i wiązała ludzi w towarzystwa.

Najważniejszą korzyścią muzyki jest obudzenie w nas estetycznego uczucia. Przywykli do harmonii tonów, szukamy harmonii w całym świecie — muzyka daje nam instynktowy smak w sztukach pięknych. Ona rozwija moralną, szlachetną stronę człowieka — a nawet podnosi w nim narodowe uczucia, i uczucia najczystszej miłości bliźniego. Muzyka więc jest ambrozyą życia ziemskiego, którą się dusza nasza karmi, i cudownem lekarstwem na cierpienia ciała. Potęga jej silniejsza od wszelakich potęg ziemskich.

Otoż znakomite zalety muzyki, nakazujące, aby się do niej przykładać, i uważać ją za istotną część wychowania naszego.

---

257. SKARGI LITAWORA
PRZECIW WITOŁDOWI Ks. Lit.

(z „Grażyny“ powieści litewskiej Ad. Mickiewicza).

„Przebóg! czy nie dość, że Witołda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?

Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła;
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat jako wielki zbiegliśmy do koła,
To na Krzyżactwo, to znowu przez Tatry,
Na Polski pięknie zbudowane sioła:
Ztamtąd po stepach żeglujący z wiatry,
Goniąc błędnego obozy Mogoła.
A cośmy skarbu z zamków wyłamali,
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali,
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta;
Od Fińskich zatok po Chazarów morze*)
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta,
Sam w jakiém mieście, w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu,
A przecież mniejsze od Witołda gmachu,
Co jest na Wilnie lub trockiém jeziorze!**)
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusalek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierzga kwiatem;
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.
Lecz któżby wierzył? u syna Kiejstuta
W pałacu świeższa murawa i kwiecie;
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory,
Z liściem ze srebra i kwieciem ze złota;
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory,
Cudniejsza branek lechickich robota.
W kratach u niego szklanne okienice,
Przywożne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,

---

*) Morze Chazarskie, dzisiaj Czarne.

**) Troki z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potém dziedzictwem Witołda.

Albo jak Niemen przed oczyma słońca,
Z pod śniegu zimne gdy osłoni lice.
„A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku
I z pieluch zaraz przewiniony w zbroję,
Książę jak Tatar żył o końskiém mleku?
Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa
Poduszką moją, przy niej noc wystoję;
A rankiem znowu trąba, na koń wzywa;
Że wtenczas, kiedy moi rówiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę
Zabawić wojny kłamanej obrazem,
Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!
„Przecież me państwa od Erdwiłła czasu
I piędzią szerzej ziemi nie zaległy.
Patrz na te mury z dębowego lasu,
I na ten pałac mój z czerwonej cegły;
Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska,
Gdzie szklanne kuple? gdzie kruszczowe łupy?
Miasto blach złotych, mokry kamień błyska;
Miasto kobierców, śniade mchu skorupy.
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa czy skarby? nic, nic kromia sławy!
„Ale i sławą wszystkim po nad głowę,
Witołd podleciał, Witołd wszystkich gasi;
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi;*)
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku:
Nasze wśród gminu kto wypatrzy imie?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?

*) Wajdeloci, Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególniej w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać lub opiewać ludowi.

„Przecież nie zajrzym: niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imie i skarby bogaci:
Tylko niech zęba chciwego poskromi
Od swych ojczyców, od ziemi swej braci.
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witołd kniaziów wielkich grody
Naszedł i z tronu zmiótł Olgierdowica*)?
I sam owładał? a tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec**),
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać!
O! czas, że temu położymy koniec;
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim;
Póki młodego w piersiach żywię ducha,
Póki żelazo ręki zdrowej słucha,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolim,
Com z łanów krymskich jednego wziął sobie,
A jeszcze dziesięć rży przy moim żłobie,
Któremi wierne poobdzielam sługi:
Dopóki koń mój, póki szabla moja“....
Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył:
Umilkł, — lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzesąc włosa;
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę — od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

---

*) Witołd wypędził z Wilna Skirgajłę i sam wielkie księztwo objął.

**) U starożytnych Litwinów kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się Kriwe Kriwejto lub Kirwejto. Mieszkanie jego było niedaleko miasta Romowe w Prusiech, gdzie potém wieś Heiligenbeil.

258. DUMANIA POETY.

(z powieści J. I. Kraszewskiego „Poeta i świat“).

„Ludzie wszystko popsuli na świecie, chcąc wszystko naprawić. Dumny ich rozum odkrył szkielety w plantach i plamy na słońcu. To niebo czyste, pogodne, iskrzące się gwiazdami — tę szatę naszej nieśmiertelności, w którą patrząc człek idzie przez ziemię — to niebo, naszą nadzieję, zrobili oni atmosferą gazów; gwiazdy świecące, przewodnie życia, na których tyle pamiątek wieszamy, nazwali bryłami kału; słońce zrobili piecem ognistym, piorun iskrą podległą prawom konduktorów. Pokreślili linie, postawiali liczby, ponumerowali światy i niebo jak swoję majętność, rozdzielili je między siebie i rozgospodarowali, dając w niém miejsca próżne zwierzętom, zapłacone bohaterom.

Deszcz, tę rosę, te łzy nieba litującego się nad ziemią, człowiek zrobil brudnym wylewem ziemskich wyziewów. Wodę strumienia przejrzystą i chłodną rozebrał na pierwiastki, rozłożył, pokrajał. I tak wszystko! - Niema miejsca, gdzieby jego rozum nie starł piętna poezyi, którą mu dało przyrodzenie, i nie położył swoich prawd suchych na miejscu tak błyszczących urojeń. — I życie, z rozkosznego i przemijającego snu, stało się poważną, smutną wędrówką.

Szukali prawdy — a przy prawdzie znaleźli nagi smutek i czarną przyszłość, której wprzódy nie było. Odkryli wszystko — i ziewają, niczemu się nie dziwując. — O! mój Boże, jakże ci ludzie świat popsuli, ten świat wprzódy tak piękny, niewinny i świeży! —

Te łąki, po których z kwiatkami zbierają dzieci myśli o sobie i niebie, te łąki pokrajali, zasiali trawami, i przemienili je w pieniądz — wydziedziczyli kwiatki z rodzinnego dziedzictwa, a posiali trawy! — Te góry — patrz, jak je poszarpały ręce ludzkie, szukając żelaza i złota; śmierci drugim, roskoszy sobie! — Te pokłady ziemi, to kości mamutów śpiące tysiące lat we wnętrznościach matki, wykopali, oczyścili, żeby z nich odgadnąć wiek świata i policzyć po ziarnkach piasku lata, które przeżył. Chciwi, rozdarli poetyczne zasłony przeszłości, a nie dość na tém, naznaczyli przyszłości wieki, porachowali je, postawili słup, i przepowiedzieli słońcu, że zagaśnie jak świeca na ich stole.

O! mędrcy, o! szaleńcy, na cóż nas było budzić z pięknych

marzeń, żeby zabijać prawdą? Czy nie lepiej nam było spać w kolebce dziecinnej i kołysać się pieśnią pamiątek i nadziei!

Niema was piękne doliny! — brudne miasta zasiadły na waszém łonie dziewiczém, i zmiotły z waszego lica ten pyłek niewinności, który was zdobił przed laty. — Rzeki! objęły was mosty, i grzbiet wasz nosić musi ich przemyślne zyski, a nagie brzegi wasze zajęły szpichlerze. — I was, drzewa! podbił człowiek, porozsadzał pod sznur jak wojsko, uszykował, policzył, zapisał do książki, żeby nigdy nie dziwić się waszym liściom i kwiatom, i każdą sukienkę waszą poznać z daleka po barwie i kroju. Wyrwał was rodzinnym stronom, z lodów pod pożary, z płomienistego nieba pod śniegi poprzenosił — gospodarz i pan ziemi! — I nic niema jak było — wszędzie znać rękę ludzką....

Zimne stworzenia! zrobili sobie z ziemi klatkę wymierzoną, obejrzaną, zamkniętą, znajomą, w której niema już ani nowego kątka, ani nadziei znalezienia rzeczy niewidzianej, nowej, nieznajomej! — O! jakże się ziemia zestarzała od owych poetycznych czasów, od początków empiryzmu nauk, które podobniejsze były do pięknego marzenia, niż do metodycznego wykładu! W ów czas jeszcze żyły na niej gryfy, smoki, cyklopy, pigmeje — pelikan dzieci karmił piersiami, fenix odradzał się na stosie, w grobach mieszkały duchy, w drzewach leśne boginie — gwiazdy rodziły się z ludźmi i prowadziły ich losy po niebie — kwiaty były jak narcys wspomnieniem, jak lotus tajemnicą, strumienie żyjącemi istotami, kamienie i zwierzęta miały ludzkie dusze. — O! piękne czasy wiary, o! poetyczne wieki ziemi — gdzieżeście się podziały!... Zasypały was techniczne słowa bez znaczenia, formy blade i wycieńczone, rozkazujące przyrodzeniu to rodzić, a tego nie rodzić. Wszystko odrzucili ludzie, jak ten, co roskosznie marząc we śnie, obudziłby się umyślnie, i nie chciał roskoszy, dlatego że była złudzeniem.... Złudzeniem! powiedzcież mi, co na ziemi jest złudzeniem, a co prawdą?

Wasze prawdy zabijają się wzajemnie — wiek jeden zabija drugi, nauka naukę, nowe doświadczenia dawniejsze — i u was niema prawdy! Widzicie ją gdzieś za chmurami, idziecie do niej jak pijany za ognikiem po błocie — ugrząźniecie! ugrząźniecie! Skarby prawdy przeglądają do was, jak trupie kości za zasłoną nieprzejrzystą, za którą zdaje się wam, że widzicie twarz i życie, lecz odkrywszy zasłonę znajdziecie trupie kości.

Powiedzcie mi, mędrcy! szczerze, z ręką na sercu, czy był

choć jeden z was, któryby w chwili zadumania, spoczynku, usypiając lub nudząc się, nie pomyślał o sobie, o swojej mądrości i nauce swojej: wielkie nic! — Powiedzcie szczerze — każdy z was śmiał się po cichu z siebie; bo wasza mądrość ziemska jest nikczemną i tak suchą, że ten, co się z nią raz złączy, traci na zawsze smak do życia, wiarę i nadzieję!

Ta mania wierzenia i poznawania wszystkiego wszystko popsuła na świecie. Odtąd jak się zaczęło jej panowanie, jak przepisano człowiekowi, w wielu latach rozum mu przychodzi, w wielu go traci, w wielu ma być szczęśliwy, w wielu zapalony, w wielu zimny — odtąd stał się zimną bryłą, toczącą się po gotowych kolejach; machiną, którą teorya półgłówków nakręca. Odtąd stracił człowiek swoją wolą, którą poddał pod pewne prawidła; stracił charakter, który poświęcił przyzwoitościom. Odtąd towarzystwo stało się jednostajnym bladym obrazem, gromadą podobnych sobie stworzeń, które powierzchownością przynajmniej starają się być sobie zupełnie podobne. Odtąd niema zdań, ale jest opinia; niema poezyi zapału, ale poezya formy — niema nic naturalnego, ale wszystko jest sztuką, miarą, cyrklem, regułą, teoryą. Odtąd człowiek jest niewolnikiem względów światowych, które sam sobie kuje na kajdany i święcie nosi, kalecząc się i męcząc, i myśląc w swém oślepieniu, że wszystko się dzieje, jak się dziać powinno!

O! mędrcy, oddajcie mi świat poety, ludzi dawnych, dawne dzieciństwo i błędy, urojenia i marzenia — a weźcie sobie wasze prawdy zimne, które jak przy wolnym ogniu wypalają wszystko z człowieka, i zostawiają go na szkielecie świata, szkieletem bez duszy, z cyrklem w ręku, teleskopem przed oczyma, a rozpaczą w sercu“!

---

259. BARATON OSTATNIA DUMA OSSYANA *).

(*tłum. Kazim. Brodzińskiego — w skróceniu*).

Na tej skale oset rośnie,
Wiatrem chwiany drży żałośnie;
Głowę z włosy sędziwemi
Schyla miotany ku ziemi,
I smutny tak głos podnosi:

---

*) Szkockiego śpiewaka czyli barda.

„Czemu mnie wiatry budzicie?
Krótko posłuży mi życie:
Już mię niebo deszczem rosi;
Niedługo w wieczór nad zdrojem
Polecicie z liściem mojem;
A wędrowiec gdy usiędzie,
Rzuci okiem po tej skale,
Lecz daremnie pojrzy wszędzie,
Kwiatka wcale już nie będzie"!

Podobnie kiedyś na wzgórku Kony
Daremnie będą szukać mojej strony;
Już jej nie będzie słyszał myśliwy;
Zaszumią wiatry przez głuche niwy:
Niema już, niema syna Fingala!
Zawoła obcy, przybyły z dala —
Wojenne jego strony przebrzmiały,
Głuche milczenie zaległo skały;
I wóz niezdatny pod zamkiem stoi
Na którym pędził w rycerskiej zbroi.

. . . .

Zimnym tchnie wieczór powiewem —
Wiedź mnie w doliny, między wzgórków cisze.
Żółty liść leży rozwiany pod drzewem,
Świszcząc wiatr nagie gałązki kołysze.
Mgła wzniesiona nad jeziorem,
Już nad czarnym krąży borem,
Białą rosą krzewy rosi....
Synu Alpina! widzisz moją lutnię?
Oto na zgiętej gałązce się wznosi,
I jęczy smutnie....
Czy-to wietrzyk, co się błąka,
Po niej brząka?
Czy duch, dawny bard od Kony,
Mąci strony?

. . . .

Płyną ojcowie różanym obłokiem,
Nizko nakłaniają ucha,

I z rozwartém, mglistém okiem,
Upatrują mego ducha;
Długie wyciągają dłonie
Za moim cieniem ku Konie.

Po długiej trawie rzucający cieniem
Stary dąb skrzypiąc gnie się nad strumieniem;
Świszcząc w mech suchy, obwisły u brzega,
Z smutnym pogłosem wiatr pola obiega;
Zwiać głowę ostu leci nad urwiska....
Jakaż tęsknota serce moje ściska!
Podaj mi lutnię — ręka moja drżąca
Niech smutny rozgłos ze łzami wytrąca.
Do mnie wy wiatry! skrzydłami lekkiemi
Wznieście głos błędny wysoko od ziemi:
W twój gród Fingalu poślę moje żale,
Ja, com rycerskiej służył niegdyś chwale.

. . . .

Słyszę lecący wietrzyk na pastwiska —
Zaszumiała puszcza głucha —
Struna Fingala już bliska
Dochodzi mojego ucha.
Słyszę jak woła: Wznieś się Ossyanie!
Tu naszej chwale wieczyste mieszkanie.
Jako iskry jednej chwili,
Krótkośmy na ziemi żyli;
Ale wiecznym wieńcem chwała
Nasze skronie przyodziała.
Chociaż pole naszych czynów
Głuche pośród Luty synów;
Omszone cztery kamienie
Ożywią nasze wspomnienie:
Będzie wszędy znana
Chwała Ossyana.

Pójdź synu do mnie! tak rycerz woła —
Wznieś się w krążące naddziadów koła.

— Idę już, idę, o! ty duchu świata:
Twój posłaniec już dolata.

Wonniejszego wiatru tchnienie
Mnie porusza;
Na przestrzenie
Wzleci dusza;
Wolna wszędzie
Krążyć będzie....

Pod tą morwą, na kamieniu,
Co się z trawy bieli w cieniu,
Tam mię sen zaskoczy:
Wiecznie ja zasnę —
Słońce się jasne
W górę wytoczy;
Niosąc mi wonie,
Wietrzyk wesoło
Siwe już czoło
Skrzydłem owionie.
Mijaj wietrzyku!
Mijaj promyku!
Już tu na wieki
Zwarte powieki.....

Czego się smucisz synu Fingalowy?
Tysiąc ci wspomnień ciśnie się do głowy;
Jako dziewica zapłakałeś oczy,
Kamieniem boleść na serce się tłoczy.

Uciekły czasy z królami dawnemi,
Sława ich czyny nosiła po ziemi;
Znikła i ona — potomność przeminie,
Inny ród przyjdzie i znowu zaginie.
Na ziemi wszystko przemienne,
Tak jako listki jesienne
W Morwenu lasku
Czernią się w piasku,
Kiedy z wiosną
Nowe rosną.
Gdzież się podziały owe wdzięki Ryna
Niema żadnego po Toskarze syna —
I tyś z Morwenu, wśród głośnego żalu,
Zniknął Fingalu!

I ciebie, Malwino miła,
Głęboko ziemia pokryła.
Poszły pod ziemię rycerzów roje,
Przebrzmiały pieśni, rdzewieją zbroje;
A drogi trawą zarosły,
Gdzie wozy w boje was niosły.
Leżą królowie, walą się ich grody:
Tyżbyś się ostał bardzie siwobrody?

Kołysz się drzewko! w jesieni
Listek się nie rozzieleni —
Ale żyć będzie Ossyana chwała,
Jako Morwenu niepożyta skała,
Co czołem wzniosła do góry,
Roztrąca burze i chmury.

---

260. O CZŁOWIEKU, JEGO WIELKOŚCI I NIKCZEMNOŚCI *).

(z pism Franciszka Karpińskiego).

Człowiek podniósł głowę swoję nad twory ziemskie, i pogroził reszcie stworzenia. Wszystko mu na ziemi ulega, co tylko żyje, i zdaje się, że tylko żyje dla niego. Dosięga myślą Boga, słońca i planet, a tak przybliża się do pokrewnych sobie — ducha i ciała. Dziecko przyrody przystraja matkę swoję, i sam rozumem swoim przybrał się w odzienie wygodne, znalazł powietrze zdrowe, pomierzył niebo, podbił wodę, i dobiegł lotu błyskawicy między chmurami. Rzekł żywiołom zwaśnionym: „Ustąpcie, bo mam przechodzić!“ — i dały mu miejsce przechodu. W potrzebie robi sobie chłody przez wykopane podziemne gmachy, albo na ziemi ciepło przez wytrzebione lasy niedostępne. Rozkazał morzu: „Usuń się, żeby mi ziemia była przestrzeńsza!“ — i usłuchało go morze. Płynie okrętem po grzbiecie jego, a ono mruczy, ale słucha pana, który je podbił.

Wiatrów i ognia używa do wygody swojej, i położył tamy, któreby zatrzymywały ich natarczywość. Porusza wnętrzności ziemi, i dobywa z nich drogie kamienie, kruszcze, sole i marmur, dla pożytku albo ozdoby swojej. Śledząc skrytości natury, zszedł ją

---

*) z rozmów Platona.

nad warsztatami jej dzieł, i ujrzał sprężyny któremi działa. Poszedł na bagna niezbrodzone i w lasy nieprzebyte; a pod nogami jego stały się polem urodzajném i piękną łąką, że zdaje się, jakoby przyroda świat jeden wystawiła, a przemysł człowieka drugi. Rozum-to ludzki ugłaskał jedne zwierzęta, które dziesięćkroć silniejsze od człowieka, pracują cierpliwie na pożytek jego; drugie zaś, które w dzikości swojej pozostały, sprawnością swoją więzi albo zabija. Wół wziął od przyrody siłę do znoszenia najcięższej pracy, koń rzutkość, piękność i dzielność, lew zaś moc największą i śmiałość — a człowiek, który na swój udział wziął tylko rozum, zjada wołu, wsiada na konia, i lwią się skórą przyodziewa.

Człowiecze! pokazałeś mi: jak wiele możesz: a ja ci pokażę, jak słabym jesteś! Oto ceramik*), koniec wielkości ludzkich — gdzie mędrzec albo bohater równie z mizernym robakiem ginie. Cmentarze są-to miasta najludniejsze, ale stolice cichości i pokoju. Jakże jest wymowne milczenie tych popiołów! jakżeż tożsamo nam powtarzać zdają się, co Sylen Midasowi powiedział, że możeby lepiej było, gdyby się człowiek nie rodził; a blisko tego, ażeby urodziwszy się, zaraz i umarł. Dziecię z łona matki wychodzi na świat, gdzie go tyle trudów, tyle niebezpieczeństw krótkiej przeprawy czeka. Wychodzi z nasionami miłości i nienawiści, które z niém razem w potężne wzrastają namiętności, a te swą siłą wszystkie nasze działania w życiu poruszają. Dziecię słabe i nagie, gdyby nie miało opieki, zginęłoby zaraz — zgniótłby je poddany jego zwierz, albo zniszczyły żywioły. Królu ziemi! gdzież twego panowania znaki? —

Po przykrościach w dzieciństwie, po ostrości ćwiczenia młodego wieku, wiek męski tysiące trudów odkrywa — potém przychodzi starość, którą wszyscy pogardzają, i śmierć, po której zapominają o człowieku. Każdy z ludzi żyje pysznym, bo każdemu miłość własna pochlebia — a umiera niewdzięcznym, bo nigdy się Bogu, a często i ludziom nie wypłaci. Zdrowie byłoby największym skarbem dla nas, przecież my je niszczymy, jedząc bez głodu, pijąc bez pragnienia, śpiąc bez potrzeby, i gniewając się bez miary. Namiętności nasze jakże często pogargdziły rozumem, i na niebezpieczeństwo niebacznie nas naraziły. Oświata, czyli wiadomość rzeczy, jakże wiele w nas żądań obudziła, nie zaspokoiwszy nawet próżnej ciekawości! I kiedy dobro istotne albo pozorne

---

*) cmentarz.

porusza w nas miłość własną, wtedy rozum powinienby rozeznawać i miarkować jej zapędy: ale jakże często, gdy myślimy, że on nam panuje, namiętność jaka, pochlebnica rozumu, rządzi człowiekiem! Prócz tego, kiedyż w człowieku zgodziło się to kłótliwe rodzeństwo, rozum z namiętnościami? Rozum kazał mi przed niemi serce zamykać, ażeby się tam nie zagnieżdżały; ale one u mnie już były w domu, i trzeba z niemi codzień w własném mieszkaniu walczyć.

Jakże-to zkądinąd nędznym jest człowiek, kiedy niemasz na świecie nic tak słabego i tak drobnego, żeby mu szkodzić nie mogło! Któż był, żeby od rana do nocy najmniejsza mu się przykrość nie zdarzyła? Nasze nadal układy cieszy prawda i osładza nadzieja; ale zawsze stoi przy niej i bojaźń, która do wszystkiego goryczy swojej przymiesza. A wstąpiłeś wysoko, bój się upadku — a stoisz nisko, czekaj w nędzy twojej upodlenia. Ten chodzi wzdychając, i za każdym krokiem zdaje mu się, że na ciernie nastąpił — w żadném miejscu nic go nie bawi, bo wszędzie z sobą siebie samego włóczy. Ów cnotliwy w gnoju leży — i chociaż mu nie żal, że był cnotliwym, wszelako płacze: tymczasem życie bogacza bezbożnego szybko upływa, z szumem, jak rzeka wezbrana a mętna. I nie myślmy, iżby i on był szczęśliwym — zazdrość, pycha i sumienie, te go udręczają. Rozum ludzki, ten dar dla nas największy, jakże często staje się karą naszą! Anibym tyle ucierpiał z wniosków okropnych, które czynię, gdybym go nie miał; anibym tak często błądził, gdybym się nim nie zagłębiał. Z czegóż więc, marny człowiecze, możesz się chełpić? Życie twoje pełne kłopotów, jak pole dzikie, po którém chodząc, ledwo, że kiedy kwiatek napotkasz. Nie kontent z dnia dzisiejszego, ustawicznie myślisz o jutrze, aż póki nie braknie jutra. To, co masz najlepszego, cnoty, talenta, umiejętność, nie może zostać dziedzictwem dla dzieci twoich: zostawisz im albo ubóstwo, które uciska, albo majątek, który zaślepia, albo imie szlachetne, które nadyma. „Jaki to człowiek! (mówił Momus*) ma oczy tylko na świat patrzące, a w siebie patrzących nie ma; nie ma i okna do serca“. Ta nakoniec ziemia, jest-to więzienie, napełnione samemi występnemi i skazanemi na śmierć — czas w momentach wyznaczonych jednego po drugim zabija. Ród człowieczy, jak liście drzewa, co już opadło, i wiatr je po ziemi rozniósł — a na

*) bożek śmiechu.

jego miejscu drugie zielenieć zaczyna, tegoż samego losu czekając. Wypuść mnie, Boże, z tego więzienia! oto drudzy po mnie następują, i robi się ciasno!...

---

261. DUMANIA STAREGO MIECZNIKA.

(z powieści p. n. „Marya“ przez Antoniego Malczewskiego).

Pod staremi lipami dumał Miecznik stary,
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary;
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyznie —
Ojczyznie, której imie śród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie.
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął....

Dumał — i przez złe żale, obecne zgryzoty
Pokrył kir nieprzebity grożącej sromoty.
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potém?.... dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci, gniewu, a może i wzgardy.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem uśmiech cierpliwości.
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem, jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu wypełni.
Piękna, szlachetna postać, do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona.

Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie ją wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza —
Podobna do owoców umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar — znajduje popioły.
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu w jej mglistém spojrzeniu —
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny....

Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane,
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała, jak lubo
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła.
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć! na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate, starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze, jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie:
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,

Usiadłby zamyślony z Hebrajską rodziną,
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — też samę rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca-człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba!

---

262. ŚWIĘTA U POLAKÓW W CZASACH POGAŃSKICH.

(*p. W. A. Maciejowskiego*).

Bajał gmin na Rusi, że bóstwo żniw utyskiwało niegdyś w radzie bogów, na wielką ilość świąt, przeszkadzających ludziom w zbieraniu plonów ziemi. Jakoż świętował Słowianin i sejmikował chętnie, bo na uroczystych, czy to religijnych, czy politycznych obrzędach, wesoło się bawił. Za pogańskich i chrześciańskich czasów nie były te święta z obchodami politycznemi, jak u Germanów połączone, lecz osobny czas służył dla chwały boskiej, osobny dla rady i zwady, czyli spierania się sądowego. Wszystkie zaś bez wyjątku święta, wielki miały związek z rolném gospodarstwem. Gdy dwakroć odmieniało swój bieg słońce, po zimie wstając a spadając po lecie, przeto też dwa rodzaje były świąt, a z nich każde podzielało się rozmaicie. Były święta wiosenne, które w miesiącu Jarym*) rozpoczynały się. Dochowała się nam czystsza pamięć o tych, aniżeli o zimowych świętach. Chrześciańskie wyobrażenia, z powodu odrębnego charakteru świąt, które obchodził kościół katolicki, nie mogły wiosennych uroczystości tak łatwo jak zimowe zwichnąć, a z tego powodu, doszła do późnej potomności pamięć o świętach wiosny, majówek, rusałek, sobótek i dożynków.

Marzanna czyli Morana, bogini śmierci, wyobrażana przez porę roku, zwaną zimą, stykała się z wiosną. Jak tylko promienie słońca zaczęły zwiastować cieplejsze czasy, strojono bałwana (który złą dolę czyli zimno, powietrze i wszelkie choroby miał wyobrażać), z uroczystym pochodem niesiono go ze wsi do pobliskiej wody, i topiono tamże, stosownie śpiewając. Wypychany ze wsi bałwan, mszcząc się na bluźniercach, wróżył śmierć temu,

*) t. j. w Maju.

który po skończonym obrzędzie wracając od wody miał nieszczęście obalić się na ziemię. Jeszcze za czasów Marcina Bielskiego; a więc w XVI wieku, czyniono ten obchód. Porównywając z tém podanie o powietrzu, które przez utopienie go w wodzie mogło być odwrócone i zniszczone, tudzież wzgląd ztąd biorąc na obrząd wynoszenia ze wsi śmierci, a wnoszenia lata w całej Słowiańszczyznie i Germanii upowszechnione, sądzę, że obchód ten znaczył zwiastowanie znikłego starego roku ze wszystkiemi jakie miał przygodami złemi, a nastanie nowego, po którym sobie wiele obiecywano szczęścia. Wszakże gdy Marzanna czyli mór grała wielką rolę przy tym obrzędzie, widać, że z obchodem tym łączono i pamięć uczczenia zmarłych, czyli dzień zaduszny pogańsko-słowiański, który dopiero na początku przeszłego wieku święcić zaprzestano nad Elbą. Wpływ obczyzny narzucił później wiele dzikich myśli o sposobach odwrócenia zarazy. Mniemał lud wielkopolski, że po oboraniu wsi dwoma wołami bliźnimi, popędzanemi przez dwóch chłopców bliźniaków, zaraza nie przestąpi skiby, rowem będąc oddzielona od wsi i tym sposobem wykluczona od ludzi; że gdy się żywo pogrzebie człowieka, taż zaraza, niby ubłagana ofiarą, ustanie; że klęskę tę zwiastuje pokazująca się w powietrzu czarna płachta, z czerwonemi pręgami, bujająca po niebie czerwoném czyli zakrwawioném.

Tymczasem rozwijała się wiosna ze wszystkiemi swemi powabami, a wtedy pozdrawiano pole w nowo narodzoną ubrane krasę, stawiano drzewa czyli majono niemi chaty, i szukano osób, które śmierć zabrała ze sobą w upłynionym roku. Gdziekolwiek podług podania dziejów mieszkali niegdyś Słowianie, obchód ten był znajomy. Zwano go majówką, nowszym oczywiście wyrazem, bo wiadomo jest, że po słowiańsku miesiąc maj nazywał się Jarym. Zwyczaj szukania w tej porze straconych osób, których pamięć tkwiła w sercach narodu, dotąd przechowuje się tu i owdzie w Morawii i Polsce. Chłopi morawscy szukają w maju wielkiego swojego króla Świętopełka, który im w IX panował wieku; około Krakowa jest podanie gminne, że na wiosnę dwaj młodzieńcy, Lel i Polel, bawiąc się gonitwą po polu, sprowadzają wiosnę. Jak u Greków Poluks i Kastor, tak u Polaków Lelum Pollelum zostawało w związku z piekłem i światem, a tu nowy dowód mamy na to, że i życie ze śmiercią, czyli wiosna z zimą, łączyły się w onych do odgadnienia trudnych istotach, czyli w braciach Lelum Pollelum zwanych.

Przedłużono majówki aż do święta Rusałek, przypadającego około dzisiejszych Zielonych świątek. Wtedy obchodzono uroczystość bogiń, o których zupełnie głucho jest w pieśniach polskich. Sama nawet nazwa Rusałek nie jest znana pomnikom naszego języka. Wszakże są ślady pewnej uroczystości, obchodzonej dotąd w Luzacyi, na Szląsku i w Czechach. Zebrawszy razem co o niej udzielili uczeni, możemy wyprowadzić ten wniosek, że z czasem gmin słowiański, pomieszawszy razem uroczystość topienia Marzanny ze świętem majówki i Rusałek, obchodził pamięć zaginionego pogaństwa osobliwszym obrzędem. — W Luzacyi i na Szląsku odbywały się i dotąd odbywają gonitwy konne, na pamiątkę, podobno Radagasta, który konno staczał boje. Kto na koniu pierwszy stawa u mety, wytkniętej przy jeziorze, bywa okrzyknięty królem młodzieży; kto wyścigając się pozostaje w tyle, zyskiwa nazwisko Rochwista (imie przekręcone z Radagasta). Następnie obwożą Rochwista w umajonej budzie o dwóch kołach, a gdzie jest kałuża tam wóz obalają i wiezionego rzucają w wodę. Poczém zbiera się drużyna do karczmy, niosąc zebrane podarki, któremi ją obdarzają gospodarze wiejscy. Rochwist gra tam rolę wesołka czyli pajaca wiejskiego.

Stawianie majów znał gmin słowacki i czeski, znać go musiał i polski, będąc sąsiadem obydwóch tych ludów. W Czechach w wigilią Zielonych świątek, przed oknami najkraśniejszych z sioła dziewek, stawiano niegdyś drzewa, nazywane majem. W drugie święto zebrani parobcy do karczmy, przebierali się po rycersku, i wybierali jednego z pomiędzy siebie na króla. Z dobraną muzyką szła następnie czereda cała ku mecie, przy kamieniu lub jakim pagórku wyznaczonej, gdzie czyniła wyścigi piesze: lub konno gnała czereda cała, a przejeżdżając około kałuży lub wody, usiłowała wepchnąć do niej króla. Przybywszy na przeznaczone miejsce występował jeden z czeredy, wskakiwał na kamień lub pagórek, i perorował do koła, pytając się zgromadzonych czy tak jest jak mówi, lub nie. „Prawda, prawda“ powtarzała tłuszcza. Następnie wrzucała do wody zrobionego ze słomy bałwana, przyniosłszy go z sobą, albo nawet samego topiła króla. Trwała wesołość i wrzawa, aż dopokąd jeden z koła, niby niezgadzający się na to o czém perorowano, nie wypadł z boku, i kijem nie rozpędził gromady. Nazajutrz strojna młodzież obchodziła wiejskie domy, niosąc na drewnianym talerzu w wstążki ubrane drzewko, zbierała dary od gospodarzów i gospodyń, za co wywiązując się

pociesznemi dykteryjkami, bawiła domowe dziéwki i niewiasty. Zebrane dary niosła następnie do karczmy, sprzedawała je karczmarzowi, a za pieniądze zebrane weseliła się.

Łużycki i szląski obyczaj stosują niektórzy do wyścigów konnych o królestwo, niby że Lachowie tym sposobem obierali sobie niegdyś króla. Zważając na to, że w obrzędzie tym król, kamień, perora, grają ważne role, i że jeden z gromady rozpędza obradujących, wątpić nie można, że tu jest coś politycznego. Wiadomo jest, że już w VIII wieku był u Krainców obyczaj sadzania na kamieniu nowo obranego króla, że, podług Eneasza Sylwiusza (który żył w pierwszej połowie XV wieku), gawiedź miejska na Rusi czerwonej okrzykiwała tego królem, który od razu wskoczył na duży kamień, i utrzymał się na nim; nakoniec że podług Ditmara kijami Lutykowie bili tego, który się nie zgadzał na obradach publicznych z większością głosów. Co wszystko snadź pomieszawszy w jedno gmin słowiański, obchodził dawne wspomnienia, podczas Zielonych świątek. Wszakże owe maje sadzane przed oknami dziéwek, owo ustrojone drzewko przypominające gaik polski, ów nakoniec czas, w którym te uroczystości obchodzono, wskazują na wspomnienia pogańskie, święto, czy Rusałek, czy ubóstwianego niegdyś króla Radagasta przywodzące na pamięć.

Jeżeli niebo zamknęło deszcze i niepozwalało w odradzającej się wiośnie róść bujno trawom, zanoszono modły do Dziada, to jest do starego boga czyli Peruna, ażeby dżdżem odwilżył ziemię. U Serbów obchód z tego powodu czyniony, zwano Dodole. Do obchodu Dodoli używano trawy deszcze sprowadzającej, a i na Rusi około Pińska podobny jak w Serbii był niegdyś obchód, z tą różnicą, że go peryodycznie na Zielone świątki czyniono. Mniemał też i dotąd mniema lud polski, że są pewne trawy, które mają moc sprowadzania deszczów, na czém polegając, wnoszę, że i w Polsce podobnie jak i u Serbów i na Rusi deszczu upraszano od niebios, lubo wiadomo mi nie jest, ażali i tu obchód ten Dodolą nazywał się kiedyś. Nad Elbą, w Turyngii, ubierano w lesie podczas Zielonych świątek parobka w zielone gałązki, i sprowadzano go do wsi w uroczystym obchodzie, nazywając go lackim królem. Podobny obrząd musiał być dawniej znany i w Polsce, gdzie głównie panowali później Lachowie. Tak nazwany smigust, zdaje się także być w związku z obchodem, o uproszenie deszczu czynionym. Rękopis małoruski powiada,

że niegdyś dla uproszenia urodzajności polom, przynoszono ofiary dla krynic i jezior, że w nich niekiedy topiono ludzi w tym celu, lub pławiano płeć oboję, albo nakoniec polewano wodą. Dotąd trwa ten obyczaj między naszym gminem, i dzieje się peryodycznie w drugie święto wielkanocne i następnych dni.

Święto Rusałek obchodzono na cześć rozwiniętej przyrody, zieleniejących się drzew i krzewów, czyli (jak się wyraża pieśń gminna) majów, tudzież odrodzonego ptastwa domowego, pokrytych trawą łąk i t. p. Przeciągano ten obrząd aż do miesiąca czerwca, i łączono go z tak zwaném świętem Kupały. Obrząd hailek, zwany w Polsce kogutkiem, był znany i nad Łabą, jak o tém przekonywają pieśni tak zwane proszalne (stonanje) śpiewane u Łużyczan. Wpływ religii chrześciańskiej pomieszał święto Rusałek z uroczystością św. Jana Chrzciciela, która przypada w czasie rozwiniętych już roślin, czyli do szczęśliwego wzrostu ochrzczonych przez świętego poprzednika, Zbawiciela ludzi Jezusa Chrystusa. Gmin nasz obchodzi to święto wcześniej, pali bowiem stosy drzew we wielki piątek, bądź na pamiątkę Rusałek (dla tego że one po rozwinięciu się przyrody we wiosennych plonach wychodzą z wody i bujają po świecie), bądź że zachowując pamięć palenia cierniów w kościele katolickim w dzień wielkopiątkowy, z pogańskim obyczajem miesza tym sposobem chrześciańskie obrzędy. Są ślady w naszych pieśniach niewłaściwej tej mięszaniny. Zebrane dziewczęta nuciły niegdyś piosnkę:

Święty Janie! pytam się ciebie samego,
Cóżeś nam przyniósł nowego?

Święty odpowiadał:

Przyniosłem wam rosy,
Parobkom do kosy.

Wtedy wróżąc o przyszłym swym losie, puszczały dziewczęta wianki z siedmiu równianek, to jest małych splotek na wodę, gdy tymczasem parobcy rozpierzchnęli się po lasach, szukając kwiatu szczęśliwego. Działo się to w wigilią św. Jana. Przez kwiat szczęśliwy rozumiano kwitnącą paproć. Gdy jest trudno znaleźć to kwiecie, przeto mniemał o niém gmin rozmaicie. Sądził, że to ziele kwitnie bez kwiateczka, to jest, że nie ma kwiatu; to znowu że istotnie paproć kwitnie, ale skoro się kto przybliży do kwiatu, czarci wszczynają burzę i niedozwalają go

znaleźć. Bo gdyby go mógł odkryć śmiertelny, otworzyłyby się jemu wszystkie skarby ukryte w ziemi, przez złych pilnowane duchów. Puszczając wianki, palono i ognie, na pamiątkę kąpiącego się w morzu słońca, czyli jak za chrześciańskich mniemano czasów, na cześć św. Jana. Zwano ten obrząd Kupałą, później zwano go sobótką, ale tylko w Polsce. Zkądże powstały te nazwy? Nie od bóstwa Kupało i od siódmego dnia w tygodniu czyli od soboty, gdyż nie znajdujemy nigdzie śladu czci bałwana, czyli podobnej nazwy bóstwa. Nadto wszystkie niższego rzędu bogi słowiańskie miały nazwy od przedmiotów przyrody, a Kupało i Sobota nie znajduje się pomiędzy niemi. Przeto zdaje się, że Sobótki mają nazwisko od Soboty, niby wigilii poprzedzającej wielkie święto Kupały lub dla tego, że Sobota była dniem odpoczynku. W pierwszym i drugim razie wyraz ten nie do pogańskich, lecz chrześciańskich wyobrażeń należeć będzie. Za pogańskich czasów na cześć Łady, za chrześciańskich na cześć św. Jana obchodzono święto Kupały (rano lub wieczór), zanosząc modły do rzeki i źródeł, co miało miejsce i na Litwie. Wtedy i teraz miano to mniemanie, że słońce wzniosłszy się najwyżej i ogrzawszy gorącemi promieniami ziemię, obmyć się powinno i ochłodzić w wodzie, tudzież, że św. Jan napracowawszy się wielce przy wydobywaniu z ziemi zarodu plonów, powinien, wykąpawszy się, odpocząć po pracy. Na pamiątkę więc tego palono ognie, i patrzano jak słońce wstaje z kąpieli. Zapaliwszy stos drzewa podpalonego słomą, przeskakiwano go, śpiewając stosowne pieśni. Dawniej snać zielone, bóstwu miłe, palono drzewa: później palono posępne świerki i cisy, wyobrażające złych duchów, które przez zapalone ognie spłoszyć chciano. Wrzucano w ogień splecione wianki z rosiczki, płomyka, bylicy, dziewanny, ruty, szałwii, ziela św. Jana i t. p. Skakając przez ogień, lub puszczając na wodę wianki, czyniono ztąd wróżby, co było głównym sposobem u Słowian wybadywania przyszłości. Tak i uroku dochodzono na Rusi, puszczając węgle na wodę.

Chociaż obchodził te pamiątki gmin w czasie przypadających świąt chrześciańskich, przecież pogańskie przywięzywał do nich wyobrażenia. Do tego cośmy w tej mierze powiedzieli, dodać należy święto wiosenne u Słowian nadelbiańskich, w czasie Wielkiejnocy obchodzone na cześć Jutrzenki. Dlatego też Słowianie ci zwali Wielkanoc Jutrem. Obrządek dożynków, czyli dziękczynienia bóstwu za plon szczęśliwie z pola zebrany, który

z wielką okazałością obchodzono nad Elbą na cześć Światowida, zupełnie wyszedł z pamięci ludu. Zastąpił go wyżynek, dziś jeszcze sprawiany od panów rolnikom po zebraniu z pola plonów, i przyniesieniu do dworu żniwowego wieńca.

W pieśniach gminnych, które przy tém śpiewają wieśniacy, nader mało przebija się pogańskiego zwyczaju. Zaledwie że o ptakach i drzewach niektórych (przepioreczu, cisie) wspomniono w pieśniach ruskich przy dożynkach, i polskich pod napisem „Wieniec“. Zdaje się, że wspomnienia, które niegdyś figurowały przy obrzędzie dożynków, przeszły w obchód kolędy.

Wszystko cokolwiek dotąd mówiono o kolędzie, udowadnia mniemanie to, że wyraz oznaczający zimowe pogańskich Słowian obrzędy, obcym jest. Gdy go Grecy i Rzymianie mają, widać ztąd, że obrząd ten był upowszechniony w całym pogańsko-starożytnym świecie. Mimo to godzi się twierdzić, że sposób jakim go obchodzono u Słowian, był im tylko właściwy. Ponieważ zima stykała się z wiosną, przeto z czasem, za upowszechnieniem się chrześciaństwa, nie jeden obrządek wiosenny przeszedł we święta zimowe, pomieszał się z obrzędami, które chrześciańska religia z sobą przyniosła, i czysto słowiańskie zmącił wyobrażenia.

Na cześć rolnictwa i ubóstwianych zwierząt był on obchodzony pierwotnie. Wtedy i niebo objawiało swe dziwy, a złe duchy płatały figle, co oczywiście było wypływem chrześciańskich wyobrażeń. Zaczynał się ten obchód od uczty wieczornej, co i dziś ma miejsce przy obchodzeniu wigilii Bożego Narodzenia. Przy wieczerzy kładziono trzósło pługowe na stół, ażeby myszy i krety nie psuły roli w następnym roku. Gdy również i zimowe święta przedłużano, przeto uczczenie pługa nie odbywało się nad Elbą, (w późniejszych rozumie się czasach) przy kolędowej wieczerzy, lecz w czasie zapust. Wtedy mężczyźni obwozili po wsiach i małych miasteczkach pług, łapali przechodzące niewiasty i zaprzęgali je do niego, podobnie jak je niedawnemi czasy u nas zniewalali do ciągnienia kloca w popielec. Po wieczerzy odbywały się wróżby w domu i za domem. Gospodarz (niegdyś kapłan domowych bóstw a za czasów lepiej rozwiniętego pogaństwa, stróż porządku w swoim rodzie i pod religijnym względem) odbywał za chrześciaństwa i odbywa dotąd wróżby o przyszłym, pomyślnym lub niepomyślnym urodzaju. Biorąc źdźbła ze snopów wróżył rzucając je do góry, podobnie jak podług Tacyta z patyczków

w górę rzucanych wybadywał przyszłość, i jak gmin krakowski, rzucając przy grze w cechę nóż do góry, zgadywa, szczęście lub nieszczęście. Liczył gospodarz w snopie pełne i nie pełne kłosy, zkąd także odgadywał o urodzaju w przyszłym roku. Wtedy dziewczęta wychodziły na dwór; uważając od której strony słychać szczekanie psa, co znaczyło, że ztamtąd dostaną męża. O północy wychodzili wszyscy z domu, ażeby oglądać niebo, które wtedy otwierać się miało, i dawało widzieć co się wewnątrz jego dzieje. Dotąd silne są ślady zabobonu tego w pieśniach i gusłach ludu, gdzie wróżby znakomitą rolę odgrywają. Gdy się to działo, wtedy gospodarz pilnie oglądał obory, ażali są dobrze opatrzone, bo wtedy najwięcej dokazywały czarownice, zakradając się do bydła. Tym końcem chcąc je zabezpieczyć od szkody, nakarmiał dobytek cząstką potraw, na kolędowej spożytych wieczerzy. Było to oczywiście wypływem chrześciańskich wyobrażeń. Tymczasem parobcy, dla przypomnienia na jaką pamiątkę odbywa się to święto, chodzili nazajutrz tudzież w następnych dniach po kolędzie, obnosili pług po wsi stosownie śpiewając i udając oranie. Krakowska pieśń kolędowa nuci o roli, na której jest złoty płużek, a przy nim cztery zaprzężone są konie, na koniu naręcznym siedzi św. Szczepan, św. Jan wodzi koniki, a za pługiem chodzi Pan Jezus. Przebrani parobcy obnosili lub oprowadzali zwierzęta (niegdyś ubóstwiane), jako to niedźwiadka, wilczątko, tura, niby błagając je ażeby w roku przyszłym nie szkodziły ludziom i bydłu. Ztąd owo sławne chodzenie z wilkiem po kolędzie, znane u Polaków, Rusinów i Serbów.

Gdy upływała zima, a zbliżała się wiosna, obchodzono uroczystość, która właściwie na wiosenną przypadała porę, grzebano żur, co miało znaczyć koniec postu (bo się to odbywało we wielką sobotę), w rzeczy zaś samej przypominało topienie Marzanny. Jakoż odbywał się ten zwyczaj i u Niemców, i miał nazwisko pogrzebu postu. Nad Elbą i u Kroatów w same zapusty miał ten obchód miejsce. Tam dla wzgardy pogaństwa, kobiety w XVII jeszcze wieku topiły Marzannę: tu piłowano przed bramami miasta klocek, co zwano tracenie starej baby, czyli koniec starego roku. Obrzędy zapustu i popielcowej środy, są także zabytkiem dawnych zabaw pogańskiego świata, tudzież pamiątką wpływu chrześciaństwa. Wtedy to gospodynie zwodziły w karczmie tak zwany taniec konopny, ażeby się im konopie rodziły w przyszłym roku. Przybywał tam parobek przebrany, siedząc na dre-

wnianym koniu, a głosząc że jest mantuańskie książę, i przybywa z kraju gdzie psy ogonami szczekają, posypywał tańczące popiołem, wyganiał je miotłą, a poobalawszy naczynia z wódką gasił światło.

---

263. CZERTOMELIK *).

(z powieści p. n. „Żmija“ Juliusza Słowackiego).

Piękny to widok Czertomeliku!
Sto wysp przerznęły Dnieprn strumienie;
Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.

A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
Jakby Rusałek **) cudne ogrody.

Gałązką mącą wodne błękity,
I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
I szumią brzozy — lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa.
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana!
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła;
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.
A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie.

Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na Czarne morze;

---

*) Czertomelik, jedna z 70 wysp na Dnieprze, osiadłych przez Kozaków zwanych Siczą zaporozką.

**) Rusałki, boginie, niby nimfy wodne, u Słowian pogańskich.

A górą zamku okna z kryształu
Świecą się, palą, jak ranne zorze;
I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.

W zamku pan mieszka Czertomeliku*),
Dumny Ataman, co Siczą władnie.
Lecz czy sam mieszka? któż to odgadnie —
Nikt nie był w zamku — mówią, że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary —
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta.

Nie jeden rybak wieczorną dobą,
W Czertomeliku płynąc ostrowy,
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą,
Śpiew słodszy, milszy, niż szum Dnieprowy.
A rybak milczał, płynął pomału,
Kiedy wieczorne zorze zapadły;
Widział, jak w zamku okna z kryształu
To się paliły, to znowu bladły,
A z okien blaskiem konały pieśni....
Znów cicho — głucho — a rybak stary
Żegnał się drżący — to czary, czary!
Wszak rybak czuwa? wszak rybak nie śni?

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy —
Ho! to kaganiec, to znak wyprawy —
Popłyną czajki na Czarne morze.

Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czabarów spisa połyska;
A ponad Dnieprem w długie szeregi
Gęsto strażnicze płoną ogniska.

Tam na mogiłę wstąpił wysoką
Gęślarz, i śpiewa pieśni z mogiły —

*) Żmija, hetman kozacki.

Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?

O! śpijcie, śpijcie! przeszła wam pora —
I wyście żyli — tu — w Ukrainie,
I wyście żyli — to było wczora!
My dziś żyjemy — czas szybko płynie:
Pocóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! to było wczora.

---

264. NIEŚMIERTELNOŚĆ DUCHA.

(z dzieła „Ojcze nasz“ p. Aug. Cieszkowskiego).

Spojrzyjcie na świat natury, na bezpośrednie, dokonane, a tém samém doskonałe dzieło Boga — jaka tam rozumna i piękna w ogólnych jej prawach panuje harmonia! Spojrzyjcie nawet na każdy kwiatek, na każdego mikroskopicznego robaczka — cóż tam za przedziwne składy, cudowne organów akordy! — Lepiej jeszcze spojrzyjcie na gwiaździste niebo — wszakże to rajski widok, istna sfer niebieskich harmonia!

Ale świat ducha od samego siebie zależy, bo duch nie jest i nie może być rzeczą martwo ustanowioną, wtedy albowiem przestałby być duchem, ale jest żywém samodziełem.

Duch jest także utworem Boga, ale tworem nieskończonym, nieograniczonym, a przez to właśnie doskonalszym jeszcze niż natura, owszem najdoskonalszym, bo obdarzony zdolnością własnowolnego dokonywania się i doskonalenia. Duch więc sam przez się celu swego dosięga. Gdyby ruchu i celu swego nie miał sam w sobie, zależałby od czegoś jak rzecz martwa, i ciążyłby ku obcemu środkowi, jak wszelkie ciało — on zaś nie jest rzeczą ograniczoną, ale owszem istotą nieskończoną, i doskonalącą się w sobie i przez się. Od Boga stworzony, wytwarza się samodzielnie — i w tém właśnie spoczywa godność jego i nieśmiertelność!

Czynność, wolność, samodzielność, stanowią istotę i przeznaczenie ducha. Co tylko napotyka, co znajduje, co mu daném

zostało, to chwyta, odrabia i przerabia, a z siebie znowu na podobieństwo swoje wyradza.

Duch w sobie, w zawodzie swoim, jako bezpośredni twór Boży, jest już założoną harmonią, jest zaczątkiem wszelkich doskonałości, szczęśliwości i świętości. Owe zarody jego, żywioły i siły wewnętrzne, stanowią bezpośrednie zadatki i dary Boże. W tym-to stanie jest on naiwnie ładnym, i ten ład jego pierwotny nazywamy stanem niewinności. — Ale stan ten jest właśnie stanem nieświadomości, niedoświadczenia, niedojrzałości. Z tego więc stanu duch sam wystąpić musi, bo stan ten nie odpowiada jego przeznaczeniu. Pierworodna naiwność jest ładna, ale tylko w dziecińs twie. Chcieć dziecińs two przenieść do stanu dojrzałości, byłoby śmiesznością.

Jak człowiekowi, tak i człowieczeństwu trzeba się wznieść z dziecinnego stanu do dojrzałego, do praktycznej ducha harmonii. Od ducha więc samego zależy dokonać tego rzeczywiście, co w kolebce było tylko możebne, stać się sobie i przez się harmonią i samodzielnie z siebie samego rozwinąć te założone w nim zarody.

Zaiste mógłby był Wszechmocny od razu wprawić ludzkość w pożądany i ostateczny stan harmonii, skoro złożył w niej zdolność ku temu i zarody. Byłby jej przez to oszczędził prac wędrówki, doświadczenia i cierpienia. Mógł-ci to zaprawdę, bo jest Wszechmogący, lecz właśnie dlatego tak nie uczynił, że wolał daleko lepiej uczynić. Bóg stworzył namiętne, myślące i wolne istoty — kwiat i owoc stworzenia swego — duchy do niego podobne, z nim współrodne — cele przez się, podrzędne wprawdzie, bo On sam jest celem nad celami, ale powołane do współżycia z Nim, a przez to samo współczynniki powszechnego celu świata.

Tych więc przeznaczeniem jest dorobić się szczęścia, zarobić sobie na wieczne życie, wyrobić sobie raj ziemski. Bóg obdarzył je mnogością darów, ich zaś przeznaczeniem jest z darów onych korzystać.

---

265. IMPROWIZACYA.

(*Ad. Mickiewicza*).

Pieśni ma! tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski do ciebie wysłany za gońca ,

Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,
Tylko o twoję mleczną drogę się uderzy,
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam pieśni ludzkie oczy, uszy niepotrzebne —
Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie.
Ja mistrz! wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa, i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Milion tonów płynie — w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie.
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęcze, i w akordy i we strofy plączę,
Rozlewam je we wdziękach i błyskawic wstęgach.

Odjąłem ręce — wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.
Sam śpiewam; słyszę me śpiewy —
Długie, przeciągłe jak wichru powiewy —
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie —
Jęczą żalem, ryczą burzą,
A wieki im głucho wtórzą:
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie:
Mam go w uchu, mam go w oku, —
Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szumie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!
Pieśń-to wielka, pieśń-tworzenie!
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność! —

SPIS RZECZY.

I. PROZA.

I.

Małe opisy i powiastki.

II.

Zdania i przestrogi obyczajowe.

III.

Gawędy i baśnie.

IV.

Legendy i podania ludowe.

V.

Opowiadania historyczne i krajobrazy.

---

*) Na str. 80 przez pomyłkę wydrukowano: LUTNISA.

VI.

Powieści i opisy większe.

VII.

Życiorysy.

VIII.

Proza dydaktyczna.



II. POEZYE.

I.

Obrazki i potoczne śpiewki.

II.

Bajki i powiastki.

III.

Zdania i przestrogi obyczajowe.

---

*) Przez pomyłkę w druku podano na str. 33 tytuł: KURA I KACZKA, zamiast: KURA I KACZĘTA.

IV.

Legendy i podania ludowe.

V.

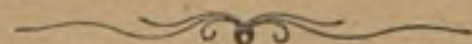
Powieści i opisy większe.

---

*) Przez omyłkę w druku podano na str. 76 tytuł: LEGENDA zamiast: GARNEK Z POPIOŁEM (Legenda).

VI.

Poezye liryczne i liryczno-opisowe.



WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	wiersz	zamiast	ma być
28	4 od dołu	łabędzie	łabędzia
33	w tytule 51	Kura i Kaczka	Kura i Kaczęta
34	7 od dołu	gąszczykach	gąszczach
35	18 od góry	zapłot	za płot
76	w tytule 93	Legenda	Garnek z popiołem (legenda)
80	w tytule 96	Bekwark Lutnisa	Bekwark Lutnista
83	8 od dołu	Powróżę c,	Powróżę ci
133	1 od dołu	ręką	rękę
288	10 od dołu	Rabor	Racibor



DZIEŁA NAKŁADOWE

KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA W KRAKOWIE

przy ulicy Floryańskiej pod L. 322.

	zł.	c.
Dr. KELNER. Pedagogika w urywkach, opracowana przez *Zygmunta Sawczyńskiego*. Kraków 1872	1	32
Dr. KRZEPICKI. Początki nauki religii Mojżeszowej. Kraków 1874	—	10
LERCEL. Gramatyka polska dla szkół elementarnych. Wydanie drugie. Kraków 1872	—	45
Dr. MECHERZYŃSKI. Stylistyka czyli nauka obejmująca prawidła dobrego pisania, do użytku młodzieży szkolnej. Kraków 1870	—	80
Dr. MECHERZYŃSKI. Wypisy polskie dla szkół żeńskich. Wydanie drugie. Kraków 1875	1	60
Dr. MECHERZYŃSKI. Historya literatury polskiej dla młodzieży, opow. w krótkości. Kraków 1873	1	60
Dr. MECHERZYŃSKI. Przykłady i wzory do historyi literatury polskiej. Kraków 1874	2	60
ODY HORACYUSZA. Tłumaczenie *L. Siemieńskiego*. Wydanie ozdobne. Kraków 1868	1	50
POL WINCENTY i jego poetyczne utwory, przez *L. Siemieńskiego*. Kraków 1873	2	50
RYCHARSKI. Literatura polska, 2 tomy Kraków 1868 . . .	3	—
REBEN. Gramatyka języka niemieckiego. Część II. Składnia i wierszowanie. Kraków 1871	—	60
REBEN. Wypisy niemieckie do tłumaczenia z niemieckiego na polskie i z polskiego na niemieckie. Wydanie drugie, przerobione i pomnożone przez Fr. Poppera. Kraków 1874 .	1	30
SCHOBER. Gramatyka języka niemieckiego. Część I. Tłumaczenie E. Rebena. Wydanie drugie, przerobione i pomnożone przez Franciszka Poppera. Kraków 1873	—	85
SIEMIEŃSKI. Wieczory pod Lipą czyli historya narodu Polskiego. Wydanie 10. Kraków 1873	1	—
ŚWITKOWSKI. Wypisy francuzkie do użytku młodzieży polskiej. Kraków 1874. Wydanie trzecie	1	20
WELTER. Dzieje powszechne w skróceniu. Tłumaczenie *Zygmunta Sawczyńskiego*, 3 części. Kraków 1873—1874. Wydanie trzecie	2	12
Dr. WĘCLEWSKI. Słownik łacińsko-polski do autorów klasycznych. Wydanie drugie. Kraków 1868. Cena zniżona z 4 złr. na	2	50
WASILEWSKI. Poezye, wydanie piąte, kompletne, z chromolitografowaną okładką. Kraków 1873	2	—

